

Violetta Wejs-Milewska

# WYKLUCZENI

– *wychodźstwo, kraj*

Studia z antropologii emigracji polskiej XX wieku  
(idee, osobowości, instytucje)

Wydawnictwo  
Uniwersytetu w Białymstoku  
Białystok 2012



*Autorka oraz Wydawca pragną serdecznie podziękować  
za nieodpłatne udostępnienie praw do publikacji  
materiału ikonograficznego Państwu:  
Elżbiecie Ostromęckiej z Działu Rękopisów Zakładu Narodowego  
im. Ossolińskich,  
Piotrowi Maculewiczowi z Gabinetu Zbiorów Muzycznych  
Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego,  
Benowi Hermanowi z Archiwum Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa  
(Narodowe Archiwum Cyfrowe)  
oraz Ninie Taylor-Terleckiej.*

*Gorąco dziękuję Ninie Taylor-Terleckiej, Lechosławowi Gawlikowskiemu  
oraz pracownikom Gabinetu Zbiorów Muzycznych BUW  
za szczegółowy opis fotografii umieszczonych w niniejszej książce,  
a także Piotrowi Musurowi i Renacie Suchenek z Archiwum Polskiej Sekcji  
Radia Wolna Europa (Narodowe Archiwum Cyfrowe) za pomoc w zebraniu  
interesującego mnie materiału archiwalnego*

Violetta Wejs-Milewska

Recenzent: dr hab. Kazimierz Adamezyk, Uniwersytet Jagielloński

Fotografie ze zbiorów: Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego – Ossolineum;  
Kolekcja Romana Palestra (Archiwum Kompozytorów Polskich XX wieku – BUW);  
Archiwum Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa (Narodowe Archiwum Cyfrowe);  
Archiwum Tymona Terleckiego – Oksford; Archiwum Violetty Wejs-Milewskiej

Redakcja: Marta Rogalska

Projekt okładki: Mieczysław Rabczko

Korekta: Zespól

© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku

15-097 Białystok, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 14, tel. 857 457 120

<http://wydawnictwo.uwb.edu.pl>; e-mail: [ac-dw@uwb.edu.pl](mailto:ac-dw@uwb.edu.pl)

Wydanie publikacji sfinansowano ze środków

Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku

Wydanie I

Wszystkie prawa zastrzeżone. All rights reserved

Białystok 2012

ISBN 978-83-7431-323-0

Druk i oprawa: QUICK-DRUK, s.c., Łódź

## Spis treści

Egzul jako stan	9
Marsjaszowe konflikty. O szkicach Romana Palestra	43
Do publiczności w Polsce: Miłosz, Palester, Panufnik	99
Doktryna rozbrajana przez śmiech. <i>O Kociotku na Ziemowita Czesława Straszewicza</i>	145
Dylematy klerka na wygnaniu. Dyskusja z lat 50.	167
Intelektualiści znad Wisły w komentarzach Radia Wolna Europa	205
Paradoksy komunikacji: Radio Wolna Europa a kraj	233
Próby współpracy Witolda Gombrowicza z Polską Sekcją Wolnej Europy	289
Jerzy Stempowski – niespieszny przechodzień w pospieszonym medium	321
Gość z innej planety – Józef Wittlin	341

Między literaturą a radiem. Przypadek Tadeusza Nowakowskiego	365
Za mało zaangażowania, za mało oporu. <i>Dziennik</i> Jana Józefa Szczepańskiego	385
W pułapce „kontradykcyjności”. Stefan Kisielewski wobec polskich powinności	423
Ważniejsze pozycje bibliograficzne	509
Nota wydawnicza	525
Spis ilustracji	527
Indeks nazwisk	531

*[Emigranci] są jak lis, co wyskoczył po rogach jelenia, który został w studni – triumfują i – patrzą z góry.*

Anna Kowalska

*Obowiązkiem każdego z nas jest być tam, gdzie mu się podoba i gdzie sądzi, że może więcej zrobić.*

Andrzej Bobkowski

*Wczoraj rozmawiałem z Andrzejewskim. Rozważaliśmy najważniejszą dla nas sprawę: wystąpić czy nie wystąpić z organizacji, tj. z partii. Czy można być, pozostawać w tej samej organizacji, w której są Nowak, Klośiewicz, Witaszewski?*

*Należać ze spokojnym sumieniem do partii faszystowskiej w istocie?*

*Wystąpić – to skazać się na prześladowania, na milczenie.*

*Pozwalają nam przecież z łaski drukować.*

Mieczysław Jastrun

*Wstyd oraz wyrzuty sumienia bywają ostatnim oddechem wiary i miłości. Dopiero pełne zrozumienie własnej klęski uwalnia od wstydu, a wyzwolenie staje się pełne i ostateczne, co wcale nie oznacza, że ów stan jest równoznaczny z samousprawiedliwieniem.*

Jerzy Andrzejewski

*Życie u nas przypomina coraz bardziej wegetowanie gąsienic, sparaliżowanych ułtuciem osy. Żyje się. Z własnych myśli, z własnych pragnień nie robi się użytku, bo nie ma jak.*

*...najbardziej przerażająca, najbardziej dramatyczna nauka naszych czasów – że ludzie, którzy nie uniknęli „zarażenia” w piekielnym pomorze, wcale nie hamletyzują do końca swoich dni i nie niosą w tragicznym milczeniu „straszego brzemienia”, lecz czynią wszystko, aby zapomnieć i aby o nich zapomniano. Ich bliźni znacznie częściej rogowacieją niż krwawią.*

Jan Józef Szczepański

*...samotności nikt nie wybiera. Samotność to jest coś co się odczuwa jako klęskę, jako klątwę, jako nieszczęście. Ale kiedy się to zaakceptuje, dopiero z perspektywy widać, jak to jest potrzebne i jakie zbawiennie. Myślę, że gdybym nie miał tej samotności to prawdopodobnie o wiele bym mniej mógł zrobić.*

Czesław Miłosz



## Egzul jako stan

*Na którym torze – może kto wie – czeka na Straszewicza niebieski wagon Bolka Micińskiego?*

Czesław Straszewicz

Czym jest w istocie bycie „poza” – *out of place* czy *dépaycé* – tłumaczone jako wygnanie, wysiedlenie, przeniesienie w obce miejsce, czym jest wyobcowanie – egzul (łac. *exsul*)?<sup>1</sup> Można powiedzieć, że jako stan przeciwny harmonii i jedności, określa pewien rodzaj negatywnych doświadczeń charakteryzujących zarówno egzystencję osoby, jak i grupy społecznej czy wspólnotowej. Przejawia się ostrym poczuciem rozdźwięku między „tu” i „tam”, między „swoim” i „obcym”, bywa odczuwany jako dotkliwa niewygodność życia w żywiole odmienności: narodowej, kulturowej, społecznej czy ideowej. Ponadto o egzulu można mówić zwłaszcza wtedy, kiedy odczucia przykrości, mające zazwyczaj rozmaite źródła, występują z dużym natężeniem i charakteryzują się znaczną trwałością. Jest też odwrotnością azylu, o ile przyjmujemy, że azyl oznacza miejsce schronienia dla tego, kto ucieka lub jest (czuje się) wygnany i kiedy

---

<sup>1</sup> Łac. *exsul* zastąpiłam zdomowionym w polszczyźnie słowem „egzul”, dla podkreślenia pojemności zawartego w nim znaczenia, co w rozważaniach na temat wariantów wykluczenia, emigracyjności czy poczucia obcości jest szczególnie ważne. Zob. np.: Edward Balcerzan, *Ojczyzna wobec obczyzny*, w: *Między Polską a światem. Kultura emigracyjna po 1939 roku*, pod red. Marty Fik, Warszawa 1992.

staje się sposobem, poprzez który podmiotowi udaje się przezwyciężyć dyskomfort „utrąty” i poczucie „braku”, wyciszyć tęsknoty i zrównoważyć pozytywnymi, doznania negatywne.

Egzul, podkreślmy, to taki stan i zarazem rodzaj kondycji osoby, która doświadcza obcości w wielu wymiarach osobistego i społecznego istnienia i którą charakteryzuje określony – w odpowiedzi na los – styl życia: tj. etos i kreacja. Ów styl życia (uświadamiany i tworzony każdego dnia) rozpoznawany w bólu, odczuwany subiektywnie jako piekło izolacji i (samo)alienacji – co bodaj najistotniejsze – jako duchowa inicjacja o podłożu autoanalitycznym i autodemaskacyjnym, stając się treścią biografii indywidualnej, rzutuje i na treści pamięci zbiorowej. Pod warunkiem wszakże, że ów indywidualny styl życia realizowany przez jednostkę okaże się wystarczająco atrakcyjny i wyrazisty, np. jako punkt zwrotny w orientacji wspólnoty. W takim przypadku doświadczenie obcości jako emanacji określonej „ekspresji życia” osoby, kształtuje i formatuje kulturę grupy, współtworząc przy tym jej uniwersalizującą paradygmat<sup>2</sup>.

---

<sup>2</sup> Szczególnie w kontekście świadomego stwarzania osobowego „ja”, stylu życia czy strategii przetrwania w miejscach „postoju”, geopoetyki antropologicznej, terytorialności i deterytorialności tożsamości, antropologii kulturowej zorientowanej na wyobcowanie, interesujące rozpoznania poczynione zostały w tomie *Pisarz na emigracji. Mitologie, style, strategie przetrwania*, pod red. Hanny Gosk, Andrzeja S. Kowalczyka, Warszawa 2005, tu zwłaszcza: Marian Płachecki, „*Emigracja*”: *Paradygmat 1900* (s. 30-42), Bożena Karwowska, *Kategoria wygnania w anglojęzycznych dyskursach krytycznoliterackich. Czesław Miłosz, Josif Brodski* (s. 79-95), Nina Taylor-Terlecka, *Tymon Terlecki. Emigrant – etos i rzeczywistość* (s. 169-182), Andrzej S. Kowalczyk, *Jerzy Giedroyc – Mieczysław Grydzewski: dwa style bycia emigrantem* (s. 183-197).

A także *Jerzy Giedroyc: Kultura, polityka, wiek XX. Debaty i rozprawy*, pod red. Andrzeja Mencwela, Andrzeja S. Kowalczyka, Leszka Szarugi, Zuzanny Grębeckiej, Warszawa 2009. Ponadto: *Literatura i wyobcowanie – studia*, pod red. Jerzego Święcha, Lublin 1989; Eugenia Prokop-Janiec, *Ku wielokulturowości: literatura emigracyjna jako literatura imigrantów*, w: *Proza polska na obczyźnie. Problemy – dyskursy – uzupełnienia*, t. 1, pod red. Zbigniewa Andresa, Janusza Pasternskiego, Anny Wal, Rzeszów 2007, s. 37-50; Wojciech Wyskiel, *Kręgi wygnania. Jan Lechoń na obczyźnie (krąg pierwszy i drugi)*, Kraków 1988, s. 35; Czesław Miłosz, *Noty o wygnaniu*, w: tegoż, *Zaczynając od moich ulic*, Wroc-



Trzeba także powiedzieć i to, że zespół wrażeń, odczuć psychicznych czy objawów towarzyszących wyobcowaniu wymyka się opisom modelującym, co nie znaczy wszakże, że nie doczekał się on już wielu interesujących omówień w literaturze przedmiotu, która tematyzując polską XX-wieczną kulturę emigracyjną (kulturę egzulu), uchwyciła jej kształt nowoczesny i ponowoczesny. Świadczą o tym choćby współczesne badania nad migracją i transgresją, które nawet jeśli nie odwołują się wprost do „dawnych” emigracji, to i tak korzystają z wypracowanego przez nie języka oraz zespołu wyobrażeń i doświadczeń.

Problem emigracji i XX-wiecznego wyobcowania ze szczególną intensywnością badany jest od co najmniej 20 lat. Moja książka będzie zatem dopowiedzią do już istniejących rozpoznań i przebadanych kwestii z zakresu historii i antropologii emigracji, ale taką, która – jak miemam – może być uznana za uzupełnienie znaczące; wprowadzie mniej o nowe wątki, a bardziej o ich nowe egzemplifikacje. Ponadto perspektywa antropologiczna i socjologiczno-kulturowa uwzględniająca *casus* emigracji z września 1939 roku z jej psychospołecznym i historycznym doświadczeniem, pozwala uzyskać dziś satysfakcjonujące efekty oraz orientować na sprawy dotąd niepodjęte lub marginalizowane, a dzięki łatwiejszemu dostępowi do archiwów poszczególnych autorów (czasem przeniesienie ich do kraju wzmaga lub zwyczajnie ułatwia badawcze zainteresowanie) oraz do dokumentacji instytucji, które swoją długoletnią działalność zakończyły na wychodźstwie (dotyczy to np. archiwum

---

ław 1990; Wojciech Ligęza, *Jerozolima i Babilon. Miasta poetów emigracyjnych*, Kraków 1998. Problem w ujęciu socjologicznym omawia publikacja Marka Pytasza, *Wygnanie – emigracja – diaspora. Poeta w poszukiwaniu czytelnika*, Katowice 1998; Krzysztof Cwikliński, *Bobkowski i inni albo o emigracji i pisarzach emigracyjnych*, w: tegoż, *Znani i nieobecni. Studia i szkice o Andrzeju Bobkowskim i innych pisarzach emigracyjnych*, Toruń 2011, s. 7-34; Kazimierz Adamczyk, *Doświadczenia polsko-żydowskie w literaturze emigracyjnej (1939–1980)*, Kraków 2008, tu zwłaszcza *Wstęp* (s. 9-22).

Radia Wolna Europa), podjąć również działania weryfikujące i reinterpretujące.

W książce, którą oddaję do rąk Czytelnika, przedstawiam kilka wariantów a zarazem jednostkowych przypadków wykluczenia (i wykluczenia się), koncentrując uwagę na poczuciu egzystencjalnej dziwności, jakiej doznaje człowiek twórczy poddany ciśnieniom negatywnych sił zewnętrznych i działający pod presją rozmaitych dramatycznych okoliczności (zwłaszcza, jeśli nie jest w stanie im sprostać), a przy tym doświadczający dojmującego braku wewnętrznej suwerenności. Całą tę sytuację traktuje on jako zamach na własną indywidualność, ma więc niszczące poczucie bycia w absurdzie, w dusznym ograniczeniu i pomniejszeniu, w miałej bylejąkości. Bolesna przy tym jest świadomość bezpowrotnie utraconych szans i zmarnowanego czasu, który przemijając, pozbawia kreatywną osobę możliwości dokonania satysfakcjonującej korektury.

*Gros* miejsca poświęcam emigracji niepodległościowej, choć nie wszyscy twórcy, o których będzie tu mowa, to wychodźcy, którzy powzięli decyzję o pozostaniu na stałe poza krajem i trwali w tym postanowieniu konsekwentnie, acz warunkowo – do chwili ustania powodów politycznych, dla których ich powrót do Polski stałby się możliwy<sup>3</sup>. Bohaterami tej książki, którzy doświadczyli wyobco-

---

<sup>3</sup> Ważne argumenty dotyczące roli emigracji politycznej przedstawia m.in. Tymon Terlecki. Zob.: Tymon Terlecki, *Emigracja naszego czasu*, pod red. Niny Taylor-Terleckiej, Jerzego Świącha, Lublin 2003.

Józef Wittlin w 1942 roku kondycję emigranta politycznego i zarazem artysty charakteryzuje następująco: „Oblicze tej emigracji z natury rzeczy musi być nieco inne niż emigracji zarobkowej i dobrowolnej. Nikt z nas, licznych europejskich pisarzy-emigrantów, nie przyjechał tutaj [do USA – V.W.M.] celem poprawy własnego, materialnego bytu. Każdy natomiast przybył tu, aby ocalić swą twórczą swobodę, twórczą godność, tak brutalnie deptaną dziś na tych ziemiach, w których ta twórczość zakiełkowała. Uciekliśmy z Europy nie tyle ze strachu przed fizyczną niedolą, przed głodem materialnym, ile od głodu duszy, od poniewierki umysłu, od wykoślawienia charakteru”. Józef Wittlin, *Do jakiej Ameryki jechałem*, w: tegoż, *Orfeusz w piekle XX wieku*, Paryż 1963, s. 283.

wującego *out of place*, są i ci twórcy, którzy wprawdzie nie wyjechali z kraju, jednak mentalnie należeli do zbioru rzeczpospolitej „wychodźczej” czy „wyobcowanej”. Ich także, choć bez zmiany adresu, dotknęła emigracja wewnętrzna z jej marginalizacją; okazali się z przyczyn politycznych i światopoglądowych nie do zaakceptowania dla władz, których wyobrażenie o roli twórcy w powojennym kraju było dalece odmienne od ich własnych mniemań. A więc i oni w pewnych okresach osobistego i zawodowego życia odczuwając wyobcowanie, doświadczali egzystencji wygnańca. Ponadto, co warto podkreślić, artyści pozostający po wojnie poza krajem i żyjący w kraju, tworzyli swoistą diasporę ducha. Pod względem ideowym, estetycznym czy artystycznym ukształtowało ich dwudziestolecie międzywojenne, w szczególności atmosfera kulturalna i polityczna jego drugiej dekady, zarówno tamte mity, jak i tamte spory, zwłaszcza etos społecznej aktywności.

Generacyjne uformowanie w zderzeniu z trudną rzeczywistością obczyzny, a w kraju z totalitarnym uciskiem stalinowskiego systemu, musiało rodzić przeświadczenie (i tak też było), że żyje się w egzulu i że dla Polaków z „ducha” Drugiej Rzeczypospolitej, szczególnie z rocznika „1910”, wyłączając ideowych komunistów, obczyzna jest właściwie wszędzie. Bolesne rozpoznanie sprzyjało nadto wyborowi postawy nihilistycznej i cynizmowi, albo – wprost przeciwnie – stawało się źródłem siły motywującej do działania, gdziekolwiek się jest.

Słowem, mowa tu będzie o obcości wewnętrznej, której przyczyn można doszukiwać się raz – w dojmującej, zniewalającej i redukującej osobę presji z zewnątrz jako konsekwencji nacisków ze strony polityki (zwłaszcza polityki), ideologii i systemu, tradycji, mocy autorytetu czy modelowych preferencji kultury (np. w kraju domi-

---

Zob. także: *Emigracja polska wobec sowietyzacji kraju po drugiej wojnie światowej. Studia*, pod red. Ryszarda Sudzińskiego, Toruń 2007; Paweł Machcewicz, *Emigracja w polityce międzynarodowej*, Warszawa 1999; Andrzej Friszke, *Życie polityczne emigracji*, Warszawa 1999.

nacja estetyki socrealistycznej), dwa – w napięciu motywacyjnym, w imperatywie mówienia własnym niekoniumkturalnym, osobnym głosem; a więc raczej ideowe i sankcje moralne stanowić będą o stylu i treści ich indywidualnego wyboru.

Szczególnego znaczenia, w pewnym sensie wzmacniającego tę aktywność, nabierają i „miraże” – kompleksy czy też twórcze potrzeby kreacyjno-kompensacyjne, świadomość osobności i potrzeba pielęgnowania jej jako wartości. Oczywiście wszystko to, o czym wspomniałam, to psychiczne treści pewnej potencji, stanowiącej podłoże wszelkich działań życiowych i kreacyjnych twórczego indywiduum, innymi słowy takiej, która składa się na ważny, jeśli nie zasadniczy rys osobowości wybitnej.

Twórcy, o których traktuje książka, albo będą stale mieszkać poza krajem i nie zdecydują się na powrót, albo – w kraju, choć z racji wykonywanej profesji jako obywatele PRL-u, mając możliwości wyjazdu za granicę i korzystania z wychodźczej agory, będą dokonywać udanych prób przekraczania zawodowych i egzystencjalnych ograniczeń.

Hana Voisine-Jechova w szkicu *Być sobą – być u siebie* powołuje się na Mircea Eliadego, który uznał, że w istocie każdy człowiek żyje na obczyźnie – co oczywiście nie byłoby sądem ani nowym, ani specjalnie oryginalnym, gdyby jedynie tylko tego dotyczyła uwaga badacza, ale Eliade – jak pisze Jechova – kładzie nacisk na znaczenie tej wiedzy o dramatycznym, by nie powiedzieć tragicznym rysie ludzkiej egzystencji, dla uzmysłowienia jej uwewnętrzniającego charakteru. Według niego bowiem tylko niektórzy zdają sobie sprawę, że żyją niejako poza miejscem własnym i nie w swoim czasie, ponieważ – jak mniemają – dzielą swój los nie z tymi ludźmi, z którymi by chcieli i zajęci są sprawami, które ograniczają, zatem żyją nie na miarę osobistych wyzwań. Jedynie właśnie taka – jak pisze za Eliadem Jechova – o wyobcowującym charakterze bolesna świadomość własnej egzystencji, daje podstawę do stania się twórczym,

a zarazem paradoksalnie – zaangażowanym z całą powagą w „swój” i jednocześnie – subiektywnie „nie swój” czas. Owo indywidualne i psychospołeczne doświadczenie człowieka, choć uniwersalne<sup>4</sup>, najradykałniej reprezentowane jest przez (po)nowoczesny nomadyzm ufundowany na nieprzynależności.

Voisine-Jechova sygnalizuje jednak jeszcze jeden znaczący problem; chodzi o możliwość uchwycenia granicy między egzulem jako takim a istotą doświadczenia emigracyjnego, podkreśla, że: „Chodzi jednak o sprawę skomplikowaną. Gdzie jest granica między egzulem a azylem i między egzulem a emigracją? Teoretycznie można je odróżnić, w rzeczywistości są czasem trudne do uchwycenia. Tę samą sytuację można bowiem przyjmować raz jako emigrację (człowiek sam zdecydował się na zamieszkanie w obcym kraju) albo jako egzul (człowiek był zmuszony do opuszczenia ojczyzny i do zamieszkania w obcym kraju). Poza tym istnieje jeszcze egzul wewnętrzny – jest się obcym w ziemi rodzimej. I ów wewnętrzny egzul jest chyba gorszy od egzulu zewnętrznego, gdyż w konsekwencji prowadzi do nieruchomej samotności [podkreśl. V.W.M.]. Trudno i w tej kwestii wyrokować, ponieważ nie ma dwóch istot identycznych, a sprawa egzulu albo emigracji jest kwestią intymną, skomplikowaną i przedstawiającą się pod wieloma zmieniającymi się postaciami”<sup>5</sup>.

Doświadczenie emigracyjne („zewnętrzny” egzul), o którym pisze Jechova, Tymon Terlecki określa jako „wyzwanie rzucone normalności”, bo – w jego mniemaniu – ma ono charakter totalny – psychospołeczny i polityczny, to stan osobliwej traumatycznej reakcji, poprzez którą dochodzi do dekompozycji dotychczasowego szkieletu

---

<sup>4</sup> Zob.: Józef Wittlin, *Blaski i nędze wygnania*, w: tegoż, *Orfeusz w piekle XX wieku*, dz. cyt., s. 139-154, również Eugeniusz Czapplewicz, *U źródeł literatury emigracyjnej (jeden z najstarszych toposów literatury europejskiej)*, w: *Pisarz na emigracji*, dz. cyt., s. 10-29.

<sup>5</sup> Hana Voisine-Jechova, *Być sobą – być u siebie*, w: *Paryż – Londyn – Monachium – Nowy Jork. Powrześnieowa emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko polskiej*, pod red. Violetty Wejs-Milewskiej, Ewy Rogalewskiej, Białystok 2009, s. 29.

psychicznego i uwypuklenia jego innej, dla podmiotu wcześniej nieznannej strony, uwolnienia treści, które dopiero w sytuacjach granicznych dają o sobie znać, manifestując się bólem i cierpieniem: „Emigracja wyzywa normalność poprzez dobrowolne oderwanie się od gruntu materialnego i duchowego, społecznego i gospodarczego, od pejzażu i obyczaju. Jest to wstrząs podobny do tego, jaki przeżywają dojrzałe rośliny przesadzone w obce im podłoże. Następstwa takiego wstrząsu są nieuniknione. Przeżywa je każdy emigrant z osobna w wymiarze świadomym i podświadomym. Przeżywa je emigracja jako całość. [...]”

Być emigrantem to sytuacja neurotyczna, psychopatyczna. Jest w niej nawet może coś ze schizofrenii. Jażn emigranta wydaje się rozdwojona, jakby podzielona między rzeczywistość senną macierzystej ojczyzny i rzeczywistość rzeczywistą wygnania. Tylko że odczucie tych światów ma często wartość odwrotną: realnością jest kraj pochodzenia, kraj wygnania – snem złym, dobrym lub obojętnym, snem rutyny, a takich jest najwięcej. Ponieważ rzeczywistość wyższego rzędu, zabarwiona mocniejszym kolorem uczuciowym nie opiera się na ziemi, ale konfrontuje się z faktami, ma dążność przeobrażania się w mitologię. Ponieważ rzeczywistość niższego rzędu jest zbyt natrętna, zbyt obciążona faktami, przeobraża się w dręczący koszmar lub oszałamiający omam; w najlepszym razie pociąga się szarym poblaskiem apatii.

W ten sposób emigracja jest życiem wśród widm i miraży, mar i straszaków. Cechuje ją skłonność do »perseweracji« uczuciowych, ślepych przywiązań, fetyszyzmu. I w kontekście tym występuje pochopność do złudzeń, brania życzeń za spełnienia, nadmierna pobudliwość wyobraźni”<sup>6</sup>.

Według Kazimierza Brauna o wyobcowaniu decydują co najmniej trzy płaszczyzny egzystencjalnego doświadczenia, do których przy-

---

<sup>6</sup> Tymon Terlecki, *Rozważania o emigracji*, „Wiadomości” 1958, nr 22, s. 1. Podają za: K. Ćwikliński, *Znani i nieobecni*, dz. cyt., s. 13-14.

należy w różnym stopniu każdy emigracyjny twórca. Dopiero jednak indywidualny splot okoliczności zewnętrznych sprzęgniętych z wrażliwością indywidualną konkretnej osoby, jakiej ten stan dotyczy, stanowi o niepowtarzalnym rysie egzula. Na tę subtelność zwraca uwagę również Voisine-Jechova.

Braun natomiast pisze: „To »egzystencjalne doświadczenie emigracyjne« ma co najmniej trzy wymiary: duchowy, literacki, praktyczny. Najważniejszy z nich, wymiar duchowy, jest trudno uchwytny, a jednak możliwy do tropienia w sferach wiary, moralności i zasad pisarza; ujawnia się najwyraźniej w chwilach prób i wyborów; jest głębokim fundamentem twórczości. Wymiar literacki można odczytywać z dzieł i tu, oczywiście, przydają się narzędzia literaturoznawstwa. Wymiar praktyczny – to proza dnia codziennego: sytuacja rodzinna, praca zarobkowa, środowisko społeczne, miejsce zamieszkania, biegleść w posługiwaniu się językiem kraju osiedlenia i wiele innych składników życia – przyziemnych, a jednak pośrednio, a nawet bezpośrednio wpływających na twórczość”<sup>7</sup>.

Ponadto kilka kolejnych przypomnień Brauna może mieć znaczenie dla podjętych tu rozważań. Emigracyjność bowiem – jak czytamy w szkicu *Los i etos polskiego pisarza emigracyjnego*<sup>8</sup> – wyznaczają takie czynniki, jak: los („traf, przypadek, dola, fatum, zatem coś koniecznego, nieuchronnego”) i etos („duchowy system wartości, zawsze wynik określonego wyboru, treść podjętej decyzji”); istotna jest również pewna modelowa procesualność, czyli doświadczenie owego „smaku” oderwania i wykorzenia, które określają następujące stany, „węzły życia”: szok, cierpienie, mocowanie się ze sobą i światem, stabilizacja, nowe narodzenie duchowe<sup>9</sup>

---

<sup>7</sup> Kazimierz Braun, *Los i etos polskiego pisarza emigracyjnego*, w: *Proza polska na obczyźnie*, dz. cyt., s. 10.

<sup>8</sup> Tamże.

<sup>9</sup> Zob.: Jerzy Świąch, *Nowoczesność. Szkice o literaturze polskiej XX wieku* Warszawa 2006, tu: rozdział 2. Także: Paweł Zając, *Emigracja, „Twórczość”* 2010, nr 2, s. 136-139.

(dla pisarza wiąże się ono z twórczą aktywnością w sytuacji nowej, która pozwala funkcjonować poza cenzurą polityczną o charakterze przewencyjnym) oraz – co niezwykle ważne dla obiegu kulturalnego, funkcjonowania instytucji i życia literackiego – stosunek do kraju<sup>10</sup>.

Życie egzula realizuje się również zawsze w określonej przestrzeni. Dlatego na treść oraz jakość egzystencji w stopniu znaczącym wpływa „lokalizacja” (geografia i topografia) – miejsce postoju emigranta<sup>11</sup>. Zwłaszcza determinantą publicznego i dyskursywnego znaczenia dzieła stają się odległości (dialektyka centrum i peryferii). Publicystyka, eseistyka, epistolografia emigracyjna

<sup>10</sup> Krzysztof Dybciak, piszący o literaturze polskiej po 1989 roku zwrócił moją uwagę na kwestię, którą traktuję jako kluczową w kontekście polskiej literatury (kultury) drugiej poł. XX wieku, powstającej równolegle w kraju i na emigracji. Jeśli bowiem uznać, że literatura to nie tylko poszczególne reprezentacje estetyczne, ale i tzw. życie literackie zogniskowane wokół osób i instytucji, to literaturę polską w latach 1945–1989, w tym względzie charakteryzuje niekompletność i niepełno-krwistość. Można nawet powiedzieć, że wskutek cenzury (w PRL-u), a na emigracji m.in. niedostatecznego wsparcia instytucjonalnego, wytworzył się swoisty jej paradygmat, tj. paradygmat „braku”, wykluczenia z obiegu: określonych utworów, tematów, poglądów, autorów, instytucji. Słowem – historia polskiej literatury drugiej poł. XX wieku – to w istocie historia jej niepełnej reprezentacji. Krzysztof Dybciak pisze: „Dla współczesnych literatura to przede wszystkim życie literackie: pomysły, całościowe koncepcje, ciekawe choć nie zrealizowane projekty, działania twórcze, rozpowszechnianie tekstów i ich czytanie, a właściwie frapujący proces ich skomplikowanego odbioru. Przecież dorobek piśmiennictwa tworzą nie wyłącznie utwory, lecz elementy i wartości ponadjednostkowe. Pamiętamy nie tylko wiersze, powieści, dramaty, ale również wielkie dyskusje, idee, czasopisma, wynalazki języka artystycznego, bohaterów itp.”. Teżoż, *Tworzyć przestrzeń wartościowego odbioru literatury*, „Kresy” 1993, nr 15, s. 151.

<sup>11</sup> O powszechności doświadczenia emigracji w kontekście jego znaczenia dla kształtowania się nowoczesnego dyskursu ideowego i wagi „miejsca postoju” emigranta w kształtowaniu się koncepcji historyzoficznych, traktują szkice: Krzysztof Dybciak, *Próba porównania wielkich emigracji europejskich XX wieku*, w: *Paryż – Londyn...*, dz. cyt., s. 13-28; Maria Zadenka, *Granice Europy. O wadze lokalizacji oraz znaczeniu przestrzeni w emigracyjnych dyskusjach historycznych*, w: *Paryż – Londyn...*, dz. cyt., s. 45-58; Janusz Kryszak, *Emigracyjność w literaturze XIX i XX wieku*, w: *Polonistyka w przebudowie. Literaturoznawstwo – wiedza o języku – wiedza o kulturze – edukacja*, t. 2, pod red. Małgorzaty Czermińskiej, Kraków 2005.



aktualizuje ten problem, dając mu skądinąd uchwytne wyraz, szczególnie w kontekście działań porzuconych i niezwieńczonych sukcesem<sup>12</sup>.

Ponadto, jeśli uważnie przyjrzymy się literacko przetworzonym dokumentom życia emigrantów, zwłaszcza zapisom o charakterze psychologicznym i intymnym, to na ich dnie dojrzymy bezsprzecznie okruchy autobiograficzne i autotematyczne, napotkamy rozmaite ślady autora, jego strategie i pakty<sup>13</sup>. Owe ślady i aluzje, „znaki duszy”, pozwalają niejednokrotnie dojrzeć to, co najbardziej uwe wnętrznione: ów nieustanny ruch między swoim i innym (obcym), między „stanem” a „pragnieniem”, ograniczeniem warsztatu a odwagą wyobraźni. „Tożsamość wyobcowanego”, „tożsamość wyobcowująca” jest więc zasadniczym motorem kreatywnej wypowiedzi, jest też dobrem – mimo że problemem przecież. Jawi się w procesie, ma swoją wewnętrzną dziejowość ciężącą ku esencji i zakrzepłemu kryształowi rozpoznanej dla siebie i przez siebie „sobości” – zwykle rozpoznanej niesatysfakcjonująco<sup>14</sup>.

---

<sup>12</sup> Zob. zwłaszcza: W. Ligeza, *Jerozolima i Babilon*, dz. cyt.

<sup>13</sup> Zob.: Małgorzata Czermińska, *Autor – podmiot – osoba. Fikcyjność i niefikcyjność*, w: *Polonistyka w przebudowie. Literaturoznawstwo – wiedza o języku – wiedza o kulturze – edukacja*, t. 1, pod red. Małgorzaty Czermińskiej, Stanisława Gajdy i in., Kraków 2005; też: *Autobiograficzny trójkąt: świadectwo, wyzwanie i wyznanie*, Kraków 2000; Ryszard Nycz, *Osoba w nowoczesnej literaturze: ślady obecności*, w: tegoż, *Literatura jako trop rzeczywistości*, Kraków 2001; Danuta Ulicka, *Funkcja poznawcza literatury i wiedzy o literaturze*, w: tegoż, *Literaturoznawcze dyskursy możliwe*, Kraków 2007; Michał P. Markowski, *Antropologia, humanizm, interpretacja*, w: *Kulturowa teoria literatury*, pod red. Michała P. Markowskiego, Ryszarda Nycza, Kraków 2006; Philippe Lejeune, *Wariacje na temat pewnego paktu. O autobiografii*, przełożyli Wincenty Grajewski, Stanisław Jaworski, Aleksander Labuda, Regina Lubas-Bartoszyńska, Kraków 2001.

<sup>14</sup> Zob.: Barbara Skarga, *Tożsamość i różnica. Eseje metafizyczne*, Kraków 1997. Szczególnie przydatne w tym kontekście są uwagi Aleksandra Fiuta wyrażone w słowie wstępnym do książki *Pytanie o tożsamość*. Zwłaszcza następujący fragment: „Czymże jednak jest tożsamość i jak ją rozumieć? Daremne, jak się zdaje, byłyby próby sformułowania jednoznacznej definicji tego pojęcia. Stało się bowiem ono wielce rozciągliwe, a spór o jego sens i zakres nie został w sposób zadowalający

Barbara Skarga pisze na przykład, że wygnanie, które nie jest związane z presją zmiany miejsca, a z konsekwencją naturalnego procesu jakim jest życiowa inicjacja, pozwala ukonstytuować się „tożsamości procesualnej” i „deterytorialnej”, stwarzającej się i krystalizującej w konflikcie. „[...] jestem zmiennością – czytamy w *Tożsamości i różnicy* – czyli takim rodzajem istnienia, które nieustannie podlega modyfikacji w czasie. Jednak jak to się dzieje, że człowiek będąc bytem niepewnym, chwiejącym się, nieświadomym ani celu, ani drogi pragnie być sobą, a pragnąc – zaczyna siebie szukać i tworzyć. Spontanicznie wylaniem się, ów fenomen hipostazy zaświadcza o tajemniczej naturze ludzkiego wyobcowania. Bo cóż człowieka »wytraça« z równowagi? Egzystencjaliści skłonni są twierdzić, że to może ból, niezaspokojone pożądanie, nagły lęk przed czymś nieokreślonym lub strach przed czymś konkretnym i cielesnym”<sup>15</sup>. I jeszcze inny fragment, niejako dopełniający. Skarga mówi: „W pragnieniu [bycia sobą – V.W.M.] można widzieć raczej reakcję na groźbę zagubienia się w tym świecie pośród jego rzeczy, groźbę uprzedmiotowienia. To reakcja na przymus, na uzależnienie czynów, myśli, całej egzystencji przez innych, a także przez wydarzenia przerastające możliwość zrozumienia i oporu. [...] Bycie nie jest bowiem stanem, lecz nieustanną dążnością. Metafora drogi nie jest metaforą pustą”<sup>16</sup>.

---

rozstrzygnięty. Powiem zatem otwarcie, że bliższe są mi rozważania z – ciągle jeszcze zbyt mało zagospodarowanego – pogranicza literatury, socjologii, antropologii i psychologii społecznej niż jałowe a modne postmodernistyczne dywagacje o rozpędzie czy zaniku podmiotu. Chodziło mi głównie nie tyle o wyczerpanie zagadnienia, bo wydaje się to całkiem niemożliwe, ile o wielostronność jego przekrojów i ujęć w literaturze ostatniego półwiecza. Starałem się pokazać, że trochę inny zakres pytania o tożsamość wylania się z konfrontacji pisarskich postaw i światopoglądów, inny – kiedy się szuka ich indywidualnego i zbiorowego, społecznego i kulturowego rodowodu. Jeszcze inny, gdy owo pytanie pada w obliczu Boga i historii, występuje w przebraniu narodowej mitologii oraz dotyczy samych postaw i reguł autoidentyfikacji”. Tegoż, *Pytanie o tożsamość*, Kraków 1995, s. 7-8.

<sup>15</sup> B. Skarga, *Tożsamość i różnica*, dz. cyt., s. 196.

<sup>16</sup> Tamże, s. 202.

Sytuacja psychospołeczna, środowiskowa i egzystencjalna bohaterów tej książki w perspektywie wyobcowania stanie się więc głównym przedmiotem opisu, analizy oraz hermeneutycznego namysłu. Interesująca w równym stopniu będzie zarówno bezpośrednia „publiczna” eksplikacja poglądów, a więc dyskusje i spory wyrażane w trybie publicystyczno-eseistycznym, deklaracje i apele wygłaszane przed mikrofonami zachodnich radiostacji, zwłaszcza Radia Wolna Europa, oraz sądy wypowiedziane prywatnie: w epistolografii i na kartach dziennika. Zwornikiem wszystkich tych wypowiedzi będzie bardzo istotny, bo tragiczny moment historii wspólnoty państwowej i jego dramatyczne, wieloletnie konsekwencje społeczno-polityczne. A zatem wojna w 1939 roku i wędrówka po świecie bez pewności, że powrót do domowego azyłu kiedykolwiek będzie możliwy. Z jednej strony zachodni, „wolny”, liberalno-demokratyczny świat ze wszystkimi swoimi ograniczeniami i możliwościami, z drugiej zaś – życie pod skrzydłami zwycięskiej Rosji sowieckiej w kadłubowym i mającym charakter kondominium PRL-u, to twarda i jedyna alternatywa, przed jaką stają Czesław Straszewicz, Roman Palester czy Stefan Kisielewski. Na dowód tego, że niesatysfakcjonująca, niech świadczy swoista mapa „doświadczenia egzulu”, dojrzanego dzięki różnorodnym dyskursywnym punktom widzenia, ideowo-światopoglądowym sporom, artystycznym mniemaniom i „wmówieniom”. Kraj a emigracja, kraj i emigracja, kraj wobec emigracji – i na odwrót: emigracja wobec kraju – to zasadnicza oś dyskursu decydująca o wyborze prezentowanej tu problematyki, zorientowanej na wyobcowanie.

Wojna stanowi w myśleniu o wadze ludzkiego doświadczenia i wartości samowiedzy cezurę istotną, może i najistotniejszą. Najdotkliwiej rani, rodzi także pytania zarówno o sens życiowej drogi, jak i o cenę rozmaitych uników. Nie daje komfortu, zmusza do nerwowego poszukiwania azyłu–kryjówki, wyruszenia tam, gdzie możliwe jest ocalenie. Na przykład tak, jak przedstawia to Czesław Straszewicz

w *Piórach w ukropie*: „Był taki, który w czasie wojny musiał uciekać z Zagrzebia – czytamy w szkicu symulującym audycję radiową – bo mu Pavelich chciał oczy wyłupić i wraz z innymi go przeznaczył na śmierć. Konduktor wagonów sypialnych, nazwiskiem Czan, dał się ubłagać: »Dobry pan był, hojny, lubiłem pana, więc w nocy idź pan na stację kilometrów pięć, będzie ulica, będzie płot, przeskoczysz pan przez płot, wejdiesz na tory i będziesz liczył: Szósty tor będzie twoim torem. Torem tym pójdziesz w kierunku stacji i tam będzie stał sypialny wagon niebieski. Wskoczysz pan do wagonu, a ja cię w tym wagonie po cichu umieszczę i jeśli dobrze pójdziesz, dojedziesz po kryjomu do Włoch. Licz, nie pomyśl się, szósty tor, kierunek na stację!«.

Ksiądz Majchrzak trząsał się, ale pomagał. Noc była, śnieg leżał, wiatr huczał – przez płot go ksiądz Majchrzak jak piłkę przerzucił. W śnieg. A tamten się ledwie podniósł zaczął: »szósty tor, szósty tor, kierunek na lewo«. Wygramolił się ze śniegu i liczy: pierwszy tor, drugi tor, trzeci tor – nie – ta szyna w śniegu należy jeszcze do czwartego toru! Więc od początku. Pierwszy tor, drugi tor – nie, na guzikach płaszczka będą liczył: pierwszy tor, drugi tor – noc ciemna, śnieg, wiatr wieje, tyle torów, tyle torów! – Pierwszy tor, drugi tor, tu miałem guzik drugi, teraz chwytam za guzik trzeci. Tu jest tor, i tu jest tor, ta szyna do tego toru, ta szyna do tego toru! Pierwszy tor, drugi tor, trzeci tor. Pierwszy guzik, drugi guzik, trzeci guzik. Błyskają światła semaforów. Lepiej zacząć od początku. Pierwszy tor, pierwszy guzik, drugi tor, drugi guzik. Lepiej krzyczeć, wołać, rzucić się w śnieg, zginać! Trzeci tor, trzeci guzik, czwarty tor, czwarty guzik. Nie wolno myśleć o pomyłce. Piąty tor – braknie już guzików – piąty tor, piąty tor – zwrotnica, szósty tor! Na prawo czy w lewo? Z obu stron jednakowo śnieg błyszczy i semafony błyskają. Tu stoją wagony i tam stoją wagony. W lewo, w prawo – w lewo, w prawo? Wiatr wieje. Wszędzie szyny. Szósty tor – a może piąty – a może dziesiąty? W prawo czy w lewo? Szósty czy dziesiąty? Lepiej spytać. Wiatr wieje. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć! Teraz w lewo. Ten wagon, czy tamten, niech się dzieje co chce! Ten wagon w lewo niebie-

ski, czy ten wagon w prawo niebieski? Piąty tor, szósty tor. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Ten wagon, ten guzik, ten tor?...”<sup>17</sup>.

Czesław Straszewicz tym fragmentem wyprowadza nas na bezdroża XX-wiecznego świata, lokuje biednego uciekiniera w nader niesprzyjającej scenicznej aranżacji. Noc, huczący i przeszywający zimowy wiatr to okoliczności i znaki skrajnie nieprzychylnego losu, ale oczywiście to tylko metafora. Jeśli jednak uwzględnimy kontekst, w jakim ten tekst powstawał<sup>18</sup>, to rzecz o ucieczce i dramacie rozdroży, wybrzmiewa z całą powagą. Po wojennej hekatombie pisarz staje równie bezradny na rozdrożach świata, co jego tajemniczy bohater, „taki, który w czasie wojny musiał uciekać z Zagrzebia” – jak czytamy w *Piórach w ukropie*. Różna będzie jednak sytuacja psychospołeczna bohaterów tego szkicu (Witolda Gombrowicza, Czesława Miłosza, Bolesława Micińskiego, Światopełka Karpińskiego, samego pisarza), a na innym poziomie refleksji zaznaczy się rys autobiograficzny, który konsekwentnie prowadzi nas w obszary nieprzepracowanej traumy autora – manifestującej gorycz i frustrację tyleż męczącą, co spalającą i wyjaławiającą psychikę<sup>19</sup>. W efekcie – bliżej nam do rozumienia tego dezintegrującego posttraumatycznego zniechęcenia i poczucia nieważności, unieruchomienia, zapadania się w głąb oraz zamykania się przed światem. Do stanów, które stały się znaczącą, jeśli nie przeważającą, treścią duchowej biografii autora przedwojennej *Litości*.

Mikroopowieść (chodzi o przywołany fragment) traktująca o krańcowej determinacji, psychicznym piekle i zarazem „duchowej suszy”

---

<sup>17</sup> Czesław Straszewicz, *Pióra w ukropie, albo strach nami rządzi*, „Kultura” (Paryż) 1952, nr 2-3/52-53, s. 12-13.

<sup>18</sup> Piszę o tym w swojej książce *Wykorzenieni i wygnani. O twórczości Czesława Straszewicza*, Kraków 2003.

<sup>19</sup> Violetta Wejs-Milewska, *Pióra w ukropie i pióra suche. Wokół eseju Czesława Straszewicza „Pióra w ukropie, albo strach nami rządzi”*, „Arcana” 2001, nr 5, s. 81-95.

człowieka pragnącego z całych sił odnaleźć właściwy tor i trafić do umówionego pociągu, którym, jak ufa, uda mu się uciec przed niebezpieczeństwem, to w istocie makroopowieść o sytuacji granicznej, z natury opresywnej; narracja o ludzkim losie i jego znakach, śladach i ścieżkach, wyborach oraz gestach. Dla samego Straszewicza, poza doświadczeniem osobistym, *Pióra w ukropie* to przede wszystkim opowieść o życiu i pisaniu, i jeszcze o miejscu własnym, o *dominium*, którego dojmujący brak stanowi o nędzy wygnania, więcej – właściwie staje się jej esencją.

Ale gdyby sądzić, że chodzi jedynie w tym szkicu o Straszewicza, o przykład jego emigracji, byłoby to niesłuszne. Fragment *Piór w ukropie*, oprócz tego, że poruszający, jest również metaforycznym zapisem, wyrażającym w istocie wiele z tego, co stanowiło zaraz po wojnie pierwszy i zasadniczy problem człowieka, któremu nie tyle odmówiono prawa do powrotu do domu, ile do zamieszkania w nim wedle jego własnych standardów, a co najważniejsze – odmówiono prawa do bezpieczeństwa. Ponadto mowa o losie i jego nieubłagalności, o tym co determinując, odbiera nawet wszelkie złudzenia, że w skrajnie nieprzychylnych warunkach zewnętrznych możliwe jest zagospodarowanie wąskiej, choćby prywatnej przestrzeni własnej.

Obraz wylaniający się z *Piór w ukropie* jest radykalnie pesymistyczny, to rzeczywiście smutne rozpoznanie kondycji emigranta i wykluczonego („bywszego człowieka”) – ale czy nieprawdziwe, przesadzone, emfatyczne? Pokolenie „1910”<sup>20</sup>, z którego się pisarz wywodzi, zapewne jest szczególne<sup>21</sup>. Ale generacje przyległe doś-

---

<sup>20</sup> Zob.: Hanna Kirchner, *Młode pokolenie prozaików: w poszukiwaniu tożsamości osobowej i nowych form ekspresji*, w: *Literatura polska 1918–1975*, t. 2, 1933–1944, pod red. Aliny Brodzkiej, Stefana Żółkiewskiego, Warszawa 1993, s. 654.

<sup>21</sup> Np. Czesław Miłosz wspomina: „Zarówno ja, jak Gombrowicz, jesteśmy typowymi wychowankami Polski dwudziestolecia. To znaczy świadomość przyszła już w kraju niepodległym i zdążyliśmy już skończyć szkołę i skończyć uniwersytet w tym okresie i zacząć literacką karierę. Właściwie byliśmy w czasie wybuchu wojny indywi-

wiadczały równie intensywnie życia we wszystkich jego krańcowych wymiarach, a orientując się na tradycję, twórczo ją wzbogacały, nierzadko wbrew jej autorytetowi i wbrew wszelkim przeciwnościom losu.

Równie znaczące w kontekście dotychczasowych uwag jest kolejne dramatyczne świadectwo z wojny: Straszewicz stosunkowo najpóźniej spotyka się z chorym wówczas eseistą Bolesławem Micińskim. Historia Micińskiego składa się na jeszcze inną opowieść o traumie egzystencji zawłaszczonej przez historię i zarazem o twórczej i heroicznej na nią odpowiedzi młodego wtedy filozofa i krytyka<sup>22</sup>; Straszewicz wspomina spotkanie, którego wymowa każe mu po latach sformułować pytanie zasadnicze, a dla moich rozważań najistotniejsze: w czym trzeba wytrwać?: „Rzekł mi raz brat najmilszy, Bolek Miciński, gdy go w czasie wojny w roku 1940 wraz z Bogdanem Kwiatkowskim odwiedziłem na motocyklu pod Vichy (a chory był Bolek i choroba go żarła i wyglądał jak święty, bo umrzeć miał prędko) – pisze Straszewicz.

Rzekł do mnie Miciński, kołyszając wózek swego dziecka, gdy noc była późna i żona i siostra już spały.

– Ty, Sławek [Czesław – V.W.M.], motocyklisto wściekły, który 500 kilometrów do mnie pod wiatr i przez góry się darłeś, zrozumiesz mój wysiłek, jaki wkładam, aby – idąc pod wiatr – zrozumieć wrogów, którzy są przyczyną naszego nieszczęścia [chodzi oczywiście o pracę przy *Podróżach do piekieł* – V.W.M.]. Tak jakbyś na Mont Blanc na swoim Gnomie pod wiatr przeciwny chciał w czasie burzy się dostać! Wiatr był wielki w czasie naszej ucieczki z Łotwy, gdy na wozie konnym żona moja wiła się w bólach porodowych – a ja – na tym wozie – w tym wietrze – starałem się pojąć filozofię Kanta. I Kartezjusza. Oraz świętego Tomasza z Akwinu. W obliczu kata-

---

dualnościami...”. Czesław Miłosz, Aleksander Fiut, *Czesława Miłosza autoportret przekorny*, Kraków 1994, s. 329.

<sup>22</sup> Zob.: Tomasz Wójcik, *Bolesław Miciński. Pre-figury emigracyjności*, w: *Pisarz na emigracji*, dz. cyt., s. 339-350.

strofy funkcjonowałem najsprawniej, wtenczas na wozie, gdy wiatr w oczy dmuchał, latarki błyskały, a żona prosiła, bym ją zabił. Nie zważaj na wiatr, który ci w oczy dmucha, najmilszy mój Sławku!

Miciński, wszyscy wiedzą, był święty. Widzę jego oczy w gorączce, gdy obejmował mnie za szyję – nocy owej, gdy księżyc stał nad śliczną francuską doliną – a ja czoło spocone ocierałem chusteczką, mówiąc: nie przejmuj się, Bolku, nie mów tyle, widzisz jak jest parno!

A on mówił: Ja już nie mam siły, ale ty, proszę cię, Sławku – nie daj się z gór znosić wiatrom...

Mnie matka strachu mojego za włosy w dolinę francuską pognała, i pobiegłem. I księżyc francuski świecił. I kwitnące migdały pachniały. Gdy wróciłem zziąjany – sobie a nie jemu czoło otarłem z potu, mówiąc na dobranoc: nie przejmuj się, Bolku, widzisz jak jest parno!”<sup>23</sup>.

Zasadnicze stają się więc pytania: w czym wytrwać, czemu mężnie stawić czoło, jakim pokusom się oprzeć, zdając sobie sprawę z faktu, że niemal każda decyzja podjęta w dramatycznych okolicznościach, stać się może źródłem kolejnej klęski? Jak wytrwać w świecie z natury nieprzychylnym dla maksymalistów, niesprzyjającym radykalnym postawom, heroicznym gestom i twardej opozycyjności, jak pokonać biograficzne zapętlenie?

Dla indywidualistów prezentujących postawę niezgody na to, co funduje „nowe”, co niesie ze sobą marksizm, dla nieufnych i krytycznych nonkonformistów, okres tużpowojenny jest również bardzo trudny. Obywatele dawnej Rzeczypospolitej przedzieleni żelazną kurtyną, po obu jej stronach żyją z poczuciem uczestniczenia w czymś z gruntu absurdalnym. Pozostający w kraju doznają kryzysu niemożności ponownego zakorzenienia się (dla wielu) w tym samym miejscu: mieście, okolicy; w tej samej „własnej” przestrzeni,

---

<sup>23</sup> Cz. Straszewicz, *Pióra w ukropie*, dz. cyt., s. 10.



a jednak „innej”. Zmienił się bowiem krajobraz kulturalno-ideowy, a postępujący eksperyment marksistów i stalinistów w zakresie społecznej inżynierii radykalnie alienował tych, którzy emocjonalnie związani byli z przedwojenną „przestrzenią duchową” i nie akceptowali zmian. Podobnie jak byli żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, intelektualiści i artyści. Ci ostatni nadto stawali przed problemem: zostać na Zachodzie czy powrócić do kraju? Życiu twórców zarówno po jednej, jak i drugiej stronie żelaznej kurtyny towarzyszyło dręczące i bolesne poczucie niespełnienia, odarcia z możliwości, jakie zazwyczaj daje czas przyszły, który niesie ze sobą nadzieję. Z perspektywy jednostki negatywy przewyższają pozytywy – chodzi o zmarnowane szanse i czas, poronione pomysły, niewykorzystany w pełni talent, źle ulokowane uczucia, niefortunnie wybrane cele i zamierzenia skazane na niepowodzenie. I nie ma specjalnie znaczenia, że wszystkie te mniemania są nieweryfikowalne, trudno bowiem na takiej podstawie tworzyć alternatywną historię kultury polskiej, bo i nie o to tu chodzi. Ważne jest samo spojrzenie na polską kulturę XX-wieczną z perspektywy wyobcowania i to niezależnie od konkretnych jego wariantów (stały za nim najczęściej raczej ideowe i polityczne), w kontekście egzulu, który, jak sędzę, ostatecznie bardziej ograniczał, niż stawał się szansą. Wiele będzie za takim stanowiskiem przemawiało, świadczą bowiem o tym narzeczania o rozbitych rodzinach, niemożliwych do związania supłach nowego, własnego – póki się żyje – czasu, bolesne wspomnienia o przyjaciółach, których spopieliła wojna: dla przykładu opowieść Straszewicza o Bolesławie Micińskim; epistolografia i dzienniki.

Emigracja nie mogła żyć bez kraju, kraj – jak się okazuje – bez Polaków z wychodźstwa radziłyby sobie znacznie gorzej. Emigracja i kraj to dwie strony medalu, to polski awers i rewers wspólnotowego losu, o którym należy pamiętać, jeśli się ma na myśli całość wysiłku intelektualnego i kulturalnego drugiego 50-lecia XX wieku. Historie zmagania emigrantów politycznych z własnym wykorzenie-

niem, podobnie jak i losy „krajowców” wprzęgniętych w maszynę socjotechnologii PRL-u dopominają się o uwagę badaczy polskiej kultury drugiej połowy XX wieku. Na tę ostatnią kwestię zwróciła uwagę Marta Wyka, przeglądająca starą szufladę ojca – Kazimierza Wyki. Jej nota w *Przypisach do życia* zapisana może i mimochodem, na marginesie spraw innych, może i bardziej dla niej istotnych, przywodzi na myśl obszar nierozpoznanych i nieopisanych jeszcze dramatów twórców, których pochłaniał, często bez reszty i bez litości, PRL-owski egzul. Marta Wyka porusza wyobraźnię następującą konstatacją: „Ta szuflada, te jej fragmenty, jak rzadko które znane mi teksty, oddają tragiczny absurd lat PRL-u. Absurd obrzędów, rytuałów, nakazów. Otwierają czyściec, a może i piekło kompletnie zapomnianych nazwisk literackich, są ponurym błyskiem ze świata, który przestał istnieć, lecz ludzie, którzy w nim żyli, odeszli ze świadomości przegranej. [...] Dlatego, między innymi, sprzeciwiam się wewnętrznie współczesnej mitologizacji PRL-u, w szczególności zaś oprotestowuję słowo »nostalgia«. Być może jeszcze zostanie napisana wielka książka o wielkich tragediach PRL-u – ale niekoniecznie o tych, które mogły wiązać się z systemem państwa policyjnego, czyli z różnorodnymi aktami donosicielstwa.

Nie wiem, czy żyją albo się rodzą pisarze, którzy potrafiliby odbudować w słowie i tekście tę atmosferę oczekiwania, zagrożenia, nadziei i pozbywania się nadziei, przy jednoczesnym wielkim śmiechu, dramatycznym chichocie, który towarzyszył tamtym czasom”<sup>24</sup>.

Niniejszy postulat jest nadal aktualny – rzeczywiście, jak opisać ów PRL-owski absurd? Jak zrobić to mądrze, z zachowaniem wszelkich proporcji między tragedią, dramatem a śmiesznością, nonsensem i absurdem, wreszcie – nawet chichotem. Jak opisać aurę purnonsensu, a przy tym łamanie kości, kręgosłupów, knebłowanie ust, przymus do życia i pracy poniżej możliwości, zgodę na pomniej-

---

<sup>24</sup> Marta Wyka, *Przypisy do życia*, Kraków 2007, s. 285-286.

szenie i jednocześnie jak opisać euforyczną akceptację, umotywowaną ideowo lub koniunkturalnie symbiozę z systemem, zwykły oportunizm i serwilizm, ostentacyjną obojętność, podłą zdradę, życie w miarę swobodne, ale w kręgu ciasnej prywatności, wreszcie – wrogość i nieprzejednaną nienawiść? To wszystko jest bardzo trudne, ale chyba jednak nie niemożliwe. Pewną szansę dają nam przecież dzienniki, zapiski do szuflady, raptularze, pamiętniki, listy, quasi-literatura tworzona poza cenzurą, choć niewolna od autocenzury<sup>25</sup>. Wszystkie te wypowiedzi pozwalają nam na pewien, szczególnie dzisiaj, wgląd w atmosferę dusznego PRL-u, na zanurzenie się w mikroświat głębi podmiotowego istnienia kreatywnego twórcy.

Oto kilka zawiązków – a można ich znaleźć dzisiaj znacznie więcej dzięki publikacjom z rozmaitych pisarskich szuflad – do „projektu” książki o PRL-owskiej rzeczywistości, uchwyconej w mikro-skali prywatności, rzeczywistości zakrzepłej w wytworach – świadectwach wyzwolenia od przymusu czynienia ustępstw najpierw wobec naporu socrealizmu, później modelu kultury aranżowanej przez ingerencję cenzury prewencyjnej. Jednak wyzwolenie to jako bycie „poza” wymagało zgody na życie w niesatysfakcjonującym zawodowym pomniejszeniu, wiązało się ze świadomością niemożności uczynienia właściwego użytku z myśli i pragnień, z wyobraźni i kreacji.

---

<sup>25</sup> Wymienię jedynie niektóre dzienniki: Kazimierz Brandys, *Dziennik 1972*, Warszawa 1996; tegoż, *Dziennik 1976–1977*, Warszawa 1996; tegoż, *Dziennik 1978*, Warszawa 1997; Andrzej Kijowski, *Dziennik 1966–1969*, wybór i opracowanie Kazimiera Kijowska, Jan Błoński, Kraków 1998; tegoż, *Dziennik 1970–1977*, Kraków 1998; Leszek Prorok, *Dziennik 1949–1984*, Kraków 1998; Zygmunt Mycielski, *Dziennik 1960–1969*, Warszawa 2001; tegoż, *Niby-dziennik*, Warszawa 1998; Anna Kowalska, *Dzienniki 1927–1969*, przedmowa Julia Hartwig, wybrał, z rękopisu do druku przygotował, przypisami opatrzył Paweł Kądziela, Warszawa 2008; Stefan Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1996; Mieczysław Jastrun, *Dziennik. Wybór z lat 1955–1960*, wybór, opracowanie, wstęp Włodzimierz Bolecki, Londyn 1990; tegoż, *Dzienniki 1955–1981*, Kraków 2002; Leopold Tyrmand, *Dziennik 1954*, Warszawa 1996; Jan J. Szczepański, *Dziennik 1945–1956*, t. 1, Kraków 2009; Mieczysław Rakowski, *Dzienniki polityczne 1967–1968*, Warszawa 1999; tegoż, *Dzienniki polityczne 1969–1971*, Warszawa 2001.

Rzecz jasna przykłady, którymi się tu posłużę mają charakter arbitralny, zapoznają z problemami twórców marginalizowanych, a tym samym mniej znanych, służą jednak sprowokowaniu namysłu nad możliwymi wariantami alienacji. Istotne będzie także postawienie pytania o ewentualny wpływ jednostkowego wykluczenia na treść i jakość międzypokoleniowych więzi, a w konsekwencji na specyfikę kształtującej się po wojnie – w warunkach niepełnej reprezentacji obiektów i zjawisk – kultury krajowej i emigracyjnej.

Wypada w tym miejscu przywołać Leopolda Tyrmanda, maksymalistę z okresu najczarniejszego PRL-owskiego stalinizmu. Przypadek Tyrmanda jest w tym kontekście interesujący. O życiu, w którym człowiek pragnie bronić jakiegoś własnego mirażu, czegoś, co wymarzył sobie w młodości, będzie mówił on w wywiadzie udzielonym Wolnej Europie w 1985 roku, a więc po wielu latach pobytu w PRL-u, jak i tych spędzonych za oceanem. Postawił sobie wówczas Tyrmand pytanie: czy warto jest żyć, nie mając żadnych szans? Pytanie to wybrzmiewa, szczególnie dzisiaj, zaskakująco i kategorycznie. Ale jeśli tylko uwzględnimy fakt, że pada ono w kontekście uwag do *Dziennika 1954* – rzecz wydaje się zasadna, może nawet i mniej zaskakująca. Wczuwający się w autora dziennikowych, autobiograficznych zapisków, w siebie „przeszłego” Tyrmand wyznaje: „*Dziennik* jest manifestacją jakiejś bardzo indywidualnej walki skazanej w gruncie rzeczy na zagładę – to nie ma dwóch zdań. Autor *Dziennika* kiedy to pisał, kiedy notował swoją – powiedzmy – rację bytu dookoła siebie, w onych dniach nie miał żadnych szans – i to jest podkreślane wielokrotnie. Jednym z centralnych zagadnień *Dziennika* jest: czy warto jest żyć, nie mając żadnych szans na zwycięstwo, a Bóg wie, czy nawet na przeżycie? Niemniej, jednak odpowiedź jest – tak, dlatego że to stwarza czy, powiedzmy, regeneruje jakieś inne wartości w życiu i potem nie wiadomo, potem jest [...] jakoś otwarte terytorium zdarzeń, które się może w życiu ludzkim przydarzyć. [...]

Ja zajmuję postawę podyktowaną przez terażniejszość, postawę egzystencjalną [...]. To jest moja egzystencja owego czasu, ja się do niej ustosunkowuję. Mój pesymizm w *Dzienniku* może być słuszny, może być niesłuszny, ale ja jego nie oceniam, dlatego że ja nie czuję się na siłach, aby stworzyć z tego pesymizmu, który mnie wtenczas przepaja, teorię. Ja tej teorii nie stwarzam, ja reaguję. Na pewno w *Dzienniku* jest swego rodzaju paradoksalna cecha, która być może jest atrakcyjna dla czytelnika, dlatego że postawa pesymistyczna jest serwowana ciągle w jakimś języku ironii, autoironii, nawet powiedziałbym *sui generis* dowcipu, nie wiem tak czy nie – przynajmniej w moich oczach. Tak, bo ja sililem się na ten dowcip; czy on mi wychodził, czy nie – to ja tego nie wiem”<sup>26</sup>.

Życie bez szans, w pomniejszeniu, pod ciśnieniem aparatu władzy ma charakter pustynny, o którym mówi po latach autor *Złego*. Ale innych przykładów nie brak przecież. Podczas pobytu na Zachodzie w kwietniu 1958 roku w wywiadzie dla francuskiej prasy, młody wówczas i ciekawy świata Marek Hłasko powie i to: „Pisarz jest niczym bez ojczyzny. Polska jest materiałem nadzwyczajnym dla pisarza i warto ponosić konsekwencje, jeśli można tyle obserwować. [...]

---

<sup>26</sup> Transkrypt wypowiedzi Leopolda Tyrmanda z maja 1985. Archiwum RWE, w: Narodowe Archiwum Cyfrowe. W 1954 roku Jan Józef Szczepański w *Dzienniku 1945–1956*, dz. cyt., t. 1, notuje: „Tyrmand zaimponował mi. Ten broni właściwie jakiegoś mirażu, czegoś, co wymarzył sobie w młodości. Jest zupełnie zmaglowany przez rzeczywistość, leży na ziemi, nie liczy na pomoc nikąd, ale wie, że »Nowe« nie jest dobre i że trzeba przez nie »przenieść« protest zaadresowany do ludzi, którzy nas może nie rozumieją. I trwa w sprzeciwie, i głosi to otwarcie. Jego exprzyjaciel Koźniewski »nawraca« go w taki sposób: »Jednak jeszcze cię nie zamknęli, jednak jeszcze masz na kolację – więc widzisz: jest dobrze. Czego chcesz?«. Koźniewski jeździ »demokratką«, dostaje nagrody, figuruje na akademiach i... afirmuje radośnie. [...] szkoła afirmacji jest szkołą filisterstwa. Daje się ludziom ekwipunek na drogę przyszłości, zapewniając, że są to siedmiomilowe buty. W rzeczywistości są to ciepłe pantofle” (6 marca 1954, s. 398). W innym miejscu czytamy: „W Warszawie widziałem się m.in. z Tyrmandem, który jest po dawnemu niezłomny. Kończy powieść o chuliganach! dla Czytelnika, ale potrafił ustrzec się od wszelkich danin” (31 października 1954, s. 436).

Dla mnie intelektualści, których tu [na Zachodzie – V.W.M.] spotykam, stanowią typ ludzi, którzy na sytuację, taką jak w Polsce, reagują wyłącznie postawą moralną. Ale brak im tego strasznego doświadczenia każdego dnia codziennego. Dlatego czuję zupełną niemożność powiedzenia im, na czym to polega. Jeśli im powiem, że największym marzeniem robotnika jest upić się – upić się tak, żeby na dwie godziny zapomnieć – nie uwierzą mi. A tymczasem to fakt. Największym nieszczęściem człowieka żyjącego w systemie totalitarnym jest nieopuszczające go poczucie własnej śmieszności, groteskowości... Odrzucenie marzeń, pragnień, atrofia moralna, niemożność reagowania na święstwa, które się widzi każdego dnia... Pisarze jak Koestler, Orwell czy Malraux widzą poprzez to wszystko jednak świat w kategoriach heroicznych. Dla mnie to wszystko jest obrzydliwe i śmieszne do ostateczności. Przede wszystkim śmieszne. Akceptacja jakiejś »własnej« prawdy swojego życia – jedyna rzecz, która naprawdę »robi« człowieka – nie może się obronić w tych warunkach. [...] Nie wiem, jaki jest »świat normalny«... Ale chciałbym żyć na świecie, na którym gest przyjaźni nie musi być równoznaczny z gestem samozniszczenia”.

Pytanie do Hłaski: „– Czy pan myśli, że Zachód może w jakikolwiek sposób pomóc Polsce znajdującej się w orbicie sowieckiej?

– Mnie się wydaje, że może.

H. – To bardzo szlachetne z pańskiej strony.

– A jednak pan mógł teraz przyjechać do Francji. Pozwolono panu.

H. – Ale nas jest 30 milionów... Zależy mi na tym, aby to zostało jasno powiedziane”<sup>27</sup>.

---

<sup>27</sup> Fragmenty wywiadu Marka Hłaski dla „L’Express” oraz „Le Figaro Littéraire”. Podaję za: „Program Specjalny” z 17 kwietnia 1958. Archiwum RWE, w: Narodowe Archiwum Cyfrowe. W tym kontekście ważne są pozycje: Andrzej Friszke, *Przystosowanie i opór. Studia z dziejów PRL*, Warszawa 2007; Marta Fik, *Kultura polska po Jalcie: kronika lat 1944–1981*, Londyn 1989; *(Nie)ciekawa epoka? Literatura i PRL*, red. i wstęp Hanna Gosk, Warszawa 2008.

Atmosfera grozy stalinizmu, a później duszny okres PRL-owskiego kondominium wciąż czekają na swoje kolejne opowieści. Najbardziej interesujące byłyby „gorące” narracje, pod powierzchnią warstwą znaczenia skrywające ból, demaskujące owo wynikające z sieci rozmaitych ograniczeń, zwłaszcza instytucjonalnych, męczące życie w kraju, gdzie presja totalitaryzmu i autorytaryzmu władzy oraz niszczące działania cenzury prewencyjnej były na porządku dziennym i gdzie organiczny i niewymuszony rozwój kultury przy pomocy „mądrych” instytucji mediacji i autorytetu, nie był możliwy.

Głos Jerzego Andrzejewskiego wybrzmiewający w *Miazdze* w tym kontekście jest nie tylko ważny, ale i poruszający. Zwraca bowiem uwagę pisarz na to, co przez kilkadziesiąt lat zajmowało emigrację, znajdowało swój wyraz w publikacjach z Londynu i Paryża, stanowiło treść wystąpień przed mikrofonami radiostacji, zwłaszcza Wolnej Europy oraz znalazło swoje odbicie w korespondencji. Andrzejewski mówi o zmarnowanym potencjale intelektualnym pokoleń, które przeżyły wojnę, zarówno o diasporze przebywającej poza krajem, jak i o kraju: „[...] w żywym kształcie współczesnej kultury narodowej – czytamy w *Miazdze* – nieobecni są nie tylko emigranci, nie ma również i wielu tych, którzy wprawdzie żyją tu, na miejscu, lecz zmuszeni [są – V.W.M.] do milczenia, odcieci od wszelkich środków przekazu, bez książek, wśród martwej ciszy, z nazwiskami powoli wygasającymi, więc zapomnianymi. Tak wiele po obu stronach, tam i tutaj świetnych umysłów i talentów, tyle twórczych sił, tyle znakomitych osiągnięć i wszystko na marne, może nie na zawsze, lecz na teraz na pewno, można mieć nadzieję, lecz nie warto się łudzić: i oni poza krajem, i my, grupka ludzi w kraju żyjących, nie mamy żadnego wpływu na to, co się w Polsce dzieje, nie ma nas, a nasze książki ukazujące się w wydawnictwach zagranicznych i choćby na Zachodzie wysoko cenione i znane, tu znajdują tylko nielicznych czytelników – i ich istnienie nie ratuje, bo uratować nie może postępującego upadku polskiej kultury tu, gdzie Pol-

ska jeszcze jest. Zmęczenie sobą, zmęczenie bliskimi ludźmi, zmęczenie zmęczeniem drugich, zmęczenie przyszłości<sup>28</sup>.

Andrzejewski bez wątpienia dotyka najboleśniejszego polskiego „węzła niemocy”, jakim było życie pisarza w PRL-u; konflikt Marsja-sza z Apollinem nie należał bowiem wówczas do sfery przebrzmia-łego mitu, przeciwnie – zaraz po wojnie był żywą prawdą doświad-czenia codzienności.

Nomadyczny charakter polskiego losu drugiej połowy XX wieku znakomicie wyraża scena z *Katedry Sandwiczów* Straszewicza, gdzie dwaj uciekinierzy–„obieżyświaty” wyruszający z egzotycz-nego punktu A i zmierzający do jakiegoś hipotetycznego punktu B, splatając się w szalonym, maniackim tańcu–uścisku, nienawi-żąc się i kochając zarazem, trwają i poddają się drodze; bez sie-bie nie mogą żyć, są niczym, ale żyjąc tak razem – muszą się ranić. Ten taniec bez opamiętania, bójka na dachu wagonu zmierzającego donikąd obejmuje wszystkich – także Polaków pozostałych w kraju; ci bowiem również cierpią na nomadyzm „utajony”, „drugobie-gowy”, podskórny. Być może m.in. dlatego ów Straszewiczowski obraz jest tak celny, bo oddaje zarówno istotę paradoksu życia „na wolności”, jak i piekło azylanckiego mirażu, który zmusza do odna-wiania podróży i budowania substytutu domu.

Budowanie to dokonuje się zwykle w warunkach skrajnie nieprzy-ychylnych, kosztem „upływu krwi” własnej i kosztem zerwanych nici międzypokoleniowej transmisji. „Wówczas na dachu lecącego wagonu – czytamy w *Turystach z bocianich gniazd* – rozegrała się scena bójki bez żartów. Uderzony w czulsze miejsce Lizus Jarzą-bek dźwignął się na kolana i stanął na czworakach. Kostek Napier-ski klęczał i łapiąc równowagę na łukowatym dachu, w chwiejbie, starał się utrzymać i bić. Klęczeli i opadali na czworaki jeden obok drugiego, a gdy złapali równowagę, kuli jedną ręką albo dwoma,

---

<sup>28</sup> Jerzy Andrzejewski, *Miazga*, [Puls Publication LTD, b.r.], s. 489.



zależnie od chwilowego położenia. Czasami zamiast się wyróżnąć, obejmował jeden drugiego, żeby utrzymać zachwianą równowagę. Objęci przypadkowym uściskiem, mówili sobie straszne słowa. Jednocześnie jeden drugiego ratował przed spadkiem w przelatującą głąb. Szamotali się na klęczkach, jak dwa cienie w świetle gwiazd i księżycy, który po dachach wagonów bezpiecznie chodził. Tak się bili, tak się łomotali, że za szyję się musieli objąć, żeby nie spaść. Będąc w przypadkowym uścisku i szukając podpory – Kostek nagle wybuchną żalem: – Za co mnie spychasz, kiedy ja zawsze ciebie lubiłem, Lizus?”<sup>29</sup>.

Niniejszy tom tworzy trzynaście artykułów, z których pięć ogłaszałam w pracach zbiorowych, a które tu zostały umieszczone pod zmienionymi tytułami i po uprzednim gruntownym przemyśleniu oraz wzbogaceniu o materiał archiwalny dotąd niepublikowany i niewykorzystywany przez historyków i antropologów literatury. Pozostałe napisałam z myślą o *Wykluczonych*. Uważałam bowiem, co zresztą już na początku starałam się zasygnalizować, że należy powrócić do problemów podjętych przez badaczy kultury i literatury emigracji, ale na innym materiale i pod innym kątem. Poza tym, jak sądzę, przywołanie konkretnych dyskusji, przypomnienie o ważnych inicjatywach i podjętych działaniach w obrębie omawianych instytucji, jak i poza nimi w jednym zwartym tomie, daje niecodzienną szansę na to, by pewne sprawy mogły wybrzmieć dobitniej, by skrzyżowały się w polifonicznym dyskursie różnych punktów widzenia oraz ideowo-estetycznych stanowisk, wreszcie – zyskały nowe konteksty badawcze, a zatem i nową perspektywę.

Prowadzenie przeze mnie przez dekadę kwerend, zwłaszcza w archiwum RWE i w zbiorach autorskich, dotarcie do zapisów audycji radiowych, prywatnej i niepublikowanej dotąd korespondencji mię-

---

<sup>29</sup> Czesław Straszewicz, *Turyści z bocianich gniazd* (tu: *Katedra Sandwiczów*), Warszawa 1992, s. 124.

dzy twórcami przebywającymi na emigracji i w kraju, pozwoliło na precyzyjniejsze zanalizowanie kwestii już wcześniej wzmiankowanych (również przeze mnie), na wzajemne ich oświetlenie i aktualizację oraz stosowny, jak miemam, komentarz krytyczny.

Rozpaczam korpusem, który tworzą różne narracje na temat pisarsko-klerkowskich i etyczno-artystycznych wyborów, węzłowych miejsc twórczej biografii, postaw ideowych i rytuałów konwersji; wszystkie one są owocem traumatycznego doświadczenia egzulu: *Marszjaszowe konflikty. O szkicach Romana Palestra; Do publiczności w Polsce: Miłosz, Palester, Panufnik; Dylematy klerka na wygnaniu. Dyskusja z lat 50.; Intelktualiści znad Wisły w komentarzach Radia Wolna Europa*. Kontynuuję emigracyjnym spojrzeniem na kraj w czasie stalinowskiej opresji. *Doktryna rozbrajana przez śmiech. O „Kociołku na Ziemo-wita” Czesława Straszewicza* jest bowiem pisarską wizją Polski lat 50., o tyle interesującą, że stworzył ją człowiek, który po wojnie nigdy do kraju nie przyjechał, a miał o nim wyobrażenie – jak niemal każdy emigrant – z prasy i radia. Dzięki wykształconej przez pracę w wojennym Świecie umiejętności wnikliwego czytania depesz informacyjnych, artykułów propagandowych i dzięki analizie komunikatów pod kątem treści skrywanych i przemilczanych przez komunistyczną władzę, stworzył obraz powojennego kraju tyleż groteskowo-ironiczny, co i melancholijny. Chodzi także o to, że PRL Straszewicza jest obczyzną, której istnienie jest trudne do zaakceptowania przez politycznego uchodźcę legitymującego się nansenowskimi dokumentami tożsamości, byłemu żołnierzowi wojsk polskich na Zachodzie i publicyście Wolnej Europy.

Zestaw kolejnych kilku rozdziałów stanowi próbę uchwycenia zarówno paradoksu werbalnej komunikacji emigracji z krajem (*Paradoksy komunikacji: Radio Wolna Europa a kraj*), jak i paradoksu sytuacyjnego samych twórców, dla których emigracja była doświadczeniem męczącym, przykrym, wyjaławiającym. Odbierana jako przekleństwo losu, który alienuje i spycha w anonimowość oraz

w pustkę, albo przeciwnie – stanowiąca wyzwanie do aktywności, choć nie w pełni satysfakcjonujące. Ważna tu będzie perspektywa niespełnienia, mniemanie o obrabowaniu z talentu i szans, gdyby nie wygnanie: *Próby współpracy Witolda Gombrowicza z Polską Sekcją Wolnej Europy*; *Jerzy Stempowski – niespieszny przechodzień w pospiesznym medium*; *Gość z innej planety – Józef Wittlin*; *Między literaturą a radiem. Przypadek Tadeusza Nowakowskiego*.

Książkę zamyka epizod krajowy: jego treść ogniskuje się wokół problemu codziennej mitręgi twórcy marginalizowanego, który tak, jak Jan Józef Szczepański oczekuje na zmianę lub jak Stefan Kisielewski angażuje się, by zmiany stały się możliwe, choć w pewnym okresie zawodowego życia czuje się jak egzul, jak ktoś wykluczony: *Za mało zaangażowania, za mało oporu*. „*Dziennik*” *Jana Józefa Szczepańskiego*; *W pułapce „kontradycyjności”*. *Stefan Kisielewski wobec polskich powinności*.

W jej rozdziałach głosy płynące z kraju i emigracji spotykają się i krzyżują na płaszczyźnie politycznej, ideowej, artystycznej i egzystencjalnej. Idzie mi bowiem o dobitne podkreślenie, że wykorzenie nie jest doświadczeniem przypisanym jedynie do losu wychodźcy, przeciwnie – może być stanem powszechnie odczuwanym, choć z różną intensywnością i o różnej trwałości. W kraju doświadczają go zwłaszcza twórcy stawiający opór polityce kulturalnej PRL-u, doznają jego uciążliwości nie mniej boleśnie niż „rzeczywiści” emigranci, których życie na obczyźnie w tym samym czasie wiąże się z ciągłym ruchem, zmianą miejsca postoju, z próbą znalezienia jakiegoś azylu w żywiole odmienności kulturowych, rasowych i językowych, w żywiole odmiennych racji politycznych i ideowych.

I jeszcze jedna sprawa, może nawet nie wprost wpływająca z prezentowanych w tym tomie analiz, ale, jak sądzę, wyrazista na ich tle; konstatacja niestety także o melancholijnym zabarwieniu, utrzymana w klimacie wypowiedzi Jerzego Andrzejewskiego

w *Miazdze*: tyle czasu zmarnowanego, tyle talentów rozproszonych i zniszczonych, tyle wysiłku na marne...

A zyski? Też są, jednak połowiczne, dość późno zapoznane, jeszcze nie do końca przemyślane i twórczo przepracowane. Mamy zatem smutny bilans półwiecza kultury polskiej XX wieku, jeśli patrzymy na nią z innej niż zazwyczaj perspektywy, bo z perspektywy zamierzeń, intencji, powziętych choć niedokończonych projektów. Pozytywy także są, ale o nich pisano już wielokrotnie, pieczołowicie archiwizując niebanalną aktywność zarówno tych, którzy drugiej wojny nie przeżyli, jak i tych autorów, którzy z niej uszli z życiem, zostawiwszy po sobie znaczący ślad.

Bohaterom Straszewicza z *Piór w ukropie* wszystko się w życiu splątało i nadzwyczajnie skomplikowało. Stają na rozdrożach świata i nie wiedzą, dokąd pójść. Wymowny będzie i ten fragment ze szkicu autora *Litości*, metaforyzujący los człowieka w sytuacji granicznej: „Z tymi i owymi tak samo jest: pierwszy tor i drugi tor, pierwszy guzik i drugi guzik, i oby się im guziki nie pomieszały z torami!

A temu, co pisze, właśnie się tory pomieszały z guzikami – i pierwszy tor, i drugi tor – i trzeci guzik, i czwarty guzik – za guziki się chwyta i torów się doliczyć nie może. W prawo czy w lewo, pod ten semafor z zielonym światłem, czy pod ten semafor z pomarańczowym? Torów tyle, guzików tyle, a konduktora Czana i księdza Majchrzaka jak nie ma, tak nie ma. Piąty tor, szósty tor! Na którym torze – może kto wie – czeka na Straszewicza niebieski wagon Bolka Micińskiego?”<sup>30</sup>.

Książka, którą oddaję do rąk Czytelnika, jest dla mnie szczególnie ważna. Jestem do niej przywiązana prawdopodobnie dlatego, że pisałam ją w szczególnie trudnym okresie własnego życia; pisałam ją, darząc empatią wszystkich moich bohaterów. Byli mi bowiem

---

<sup>30</sup> Cz. Straszewicz, *Pióra w ukropie*, dz. cyt., s. 13.

przez pryzmat mojej własnej dyskomfortowej sytuacji znacznie bliżsi, sądzę nawet, że lepiej dziś rozumiem ich dramat, gesty niezgody i rozgoryczenie, nonkonformizm jako postawę, a zwłaszcza ich upór. Wysoko oceniam Romana Palestra, podziwiam jego gest niezgody, rujnujący mu karierę w latach 50. i determinujący dalszy jej przebieg, rozumiem ten konflikt, który każe mu pracować i być – mimo licznych przeciwności – człowiekiem kreatywnym.

Roman Palester urodził się – jak sam mówi – po to, aby komponować, Stefan Kisielewski z kolei powtarza: zmarnowali mi życie, bo talent publicystyczny musi być konsumowany w swojej epoce, a Jan Józef Szczepański, chcący z dobrą wolą wejść w „nowe”, tj. zawrzeć pakt z socjalizmem, acz bezskutecznie i skądinąd szczęśliwie dla jego twórczości, pierwsze powojenne 10-lecie odczuwa jako męczące i jałowe trwanie w bezruchu, oczekiwanie na choćby minimalną zmianę, na lekkie poluzowanie systemu, wreszcie – Czesław Straszewicz, który pyta: w czym wytrwać?

Dziękuję wszystkim moim Przyjaciołom z kraju i zagranicy za wsparcie i pomoc, za wszelkie oznaki sympatii oraz gesty przyjaźni, które podczas pisania tej książki były dla mnie bardzo ważne i podnoszące na duchu.

Za uważną lekturę, cenne odpowiedzi, krytyczne komentarze i mobilizację, wdzięczna jestem jej Recenzentowi – dr. hab. Kazimierzowi Adamczykowi.

Mojej Mamie dziękuję za to, że wytrwała i że jest ze mną.

---



*Na dworcu kolejowym w Budapeszcie.  
Drugi od prawej: Roman Palester,  
1948*

Zdigitalizowano i udostępniono w ramach projektu pn.  
Rozbudowa otwartych zasobów naukowych Repozytorium Uniwersytetu w Białymstoku,  
dofinansowanego z programu „Społeczna odpowiedzialność nauki” Ministra Edukacji i Nauki na podstawie umowy SONB/SP/512497/2021



## Marsjaszowe konflikty. O szkicach Romana Palestra

Pod datą 29 stycznia 1977 Stefan Kisielewski notuje: „Biedny Roman Palester siedzi w tym głupim Paryżu na wolnoeuropejskiej emeryturze i wciąż komponuje, a grać go nie chcą. Może go wreszcie ludowa ojczyzna przygarnie – i taki będzie koniec eposu!”<sup>1</sup>. Autor *Dzienników* jak zwykle bez pardonu kwituje niedokończoną biograficzną „odyseję” Romana Palestra, także i powrót do kraju jego muzycznego dzieła. Rzeczywiście – wiele gorzkiej prawdy w tym krótkim *passusie* Kisielewski zawarł oraz spuentował nim 26 lat pobytu Palestra na Zachodzie. Drugie zdanie ma też charakter profetyczny: lata 80. były dla autora *Wisty* owocne i w pewnym sensie granie w Krakowie w 1983 roku jego kompozycji może nas naprowadzać na myśl, że ostatecznie to „ludowa ojczyzna go przygarnęła”. Oczywiście ma rację Kisielewski, z zastrzeżeniem wszakże, co do „ludowej ojczyzny, która przygarnia twórców–emigrantów”.

Jak widać, paradoksalność i koincydentalność zdarzeń, dotyczy nie tylko osobistego życia autora *Śmierci Don Juana*, ale przede wszystkim jego sztuki i pisarskiego rzemiosła. W życiu kompozytora wypełniło się bowiem wszystko, co stanowi istotę znakomitego

---

<sup>1</sup> Stefan Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1999, s. 894.



szkicu zatytułowanego *Konflikt Marsjasza*, ogłoszonego w 7-8 numerze paryskiej „Kultury”<sup>2</sup>, po wcześniejszej publikacji Miłoszowego *Nie*<sup>3</sup>. Szkic Palestra stanowi bowiem kwintesencję jego osobistego programu artystycznego, werbalizuje wyobrażenie o bolesnym fenomenalnym sprzęgu artyzmu z fatalizmem, efektem którego winno być dzieło skończone.

By wytłumaczyć ów tragiczny węzeł konieczności warunkujący sztukę, Palester przywołuje i zarazem przetwarza opowieść o mitologicznym konflikcie Marsjasza z Apollinem. To przypomnienie i jednocześnie zaktualizowanie mitu prowadzi jego wywód w obszary metafizyczne. Akt tworzenia wiąże się dlań przede wszystkim z niepojętym imperatywem wewnętrznym i piekłem „sobości”, z krańcową próbą wcielania w materię formy treści wyobrażenia, owej krystalicznej wizji spływającej na artystę–instrument, której źródła należy poszukiwać w tajemniczym „poza” czy „ponad”. Nie tylko więc chodzi mu o zmaganie z materią własnego *parole*, idzie o możliwie adekwatny do wyobrażenia kształt artystycznego przedmiotu. Ponadto w tym kreatywnym procesie i wydarzeniu zarazem, nie ma miejsca na jakikolwiek estetyczny czy etyczny kompromis, oczywiście poza naturalną potrzebą podtrzymania żywej więzi ze światem odbiorcy.

Opowieść mitologiczna także i w tej sprawie nie pozostawia najmniejszych wątpliwości, poza tym wyznacza możliwe granice artystycznego kompromisu; tak ją kompozytor rozpoczyna: „Kiedy młody Frygijczyk Marsjasz – który ze wszystkich śmiertelnych posiadał jakoby w najwyższym stopniu trudną sztukę gry na fletni – postanowił wyzwać w zawód samego Apollina, zazdrosny bóg pokarał go w sposób dotkliwy i urągający wszelkiej »sprawiedliwości«. Marsjasz został »przywiązany do pnia i odarty żywcem ze skóry«, po czym »lekkim krokiem przeszedł poza czas i przestrzeń«. Pora-

<sup>2</sup> Roman Palester, *Konflikt Marsjasza*, „Kultura” (Paryż) 1951, nr 7-8.

<sup>3</sup> Czesław Miłosz, *Nie*, „Kultura” (Paryż) 1951, nr 5.

żony straszną karą i konający w męczarniach był nieważnym, obojętnym »przedmiotem«, na którym wylądowała się owa tragiczna, fatalistyczna siła, rządząca kondycją śmiertelnych, ale i mieszkańcami Olimpu. [...]

Jeśli przyjmiemy – dodaje również autor – że umiejętność Marsjasza miała w sobie całe piękno i poezję, jaką człowiek zdolny jest technąć w dzieło sztuki – a wątpić w to byłoby równoznaczne z odebraniem temu mitowi wszelkiej wartości – to nie możemy też nie przyjąć, że konflikt jego z Apollinem był aktem pełnej świadomości. Wiedział, że musi wyzwać Apollina, nie mógł też nie zdawać sobie sprawy z nieubłaganej konieczności poniesienia wszystkich dalszych konsekwencji. Gdyby tego nie wiedział, ton jego fletni byłby niechybnie fałszywy i martwy. Używając terminologii dzisiejszej, była to po prostu sprawa jego »uczciwości artystycznej«<sup>4</sup>.

Nietrudno zatem zgadnąć, że rzecz idzie o istotę powinności artystycznej i fenomen swoistej twórczej „skazy”, piętna, kompleksu czy powołania, o ów „splot konieczności”, który w sztuce decyduje o wszystkim. Nie zostanie zapoznany jednak bez konfliktu i dotyczy jedynie tych, którzy nie mogą ustąpić ani na krok „z wystawienia własnego kategorycznego świadectwa czasom i ludziom”, są przecież upartymi głosicielami własnej prawdy – podkreśla autor. Siłą takiego uposażenia artysty w ujęciu maksymalistycznym i metafizycznym jest „fatalna (bo) własna wizja świata” i „karygodna zdolność myślenia i wątpienia w najbardziej niesamowitych kategoriach” – tak kompozytor uściśla w dalszej części swój wywód. Cena, jaką płaci artysta za ów twórczy maksymalizm, jest najwyższa, a satysfakcja ma zazwyczaj posmak co najwyżej melancholijny. „Lekki krok”, którym odchodzą ci, co mieli odwagę rzucić wyzwanie Apollinowi (władzy), nie wygrywają „tu”, bo życie „tu” jest tylko „lewą stroną” rzeczy: tu są tylko supły, wiązania, nieatrakcyjna szara osnowa, chaos. Dopiero, w co wierzy „artysta prawdziwy”,

---

<sup>4</sup> R. Palester, *Konflikt Marsjasza*, dz. cyt., s. 3.

odwrotna, „prawa strona” stanowi wzór doskonały, wzór sensu i głębokich znaczeń, które równoważą, a może i unieważniają tragizm.

Do takiej oto finalnej konstatacji doprowadza Palester ową marsjaszową opowieść. Jednakże nie poprzestaje na niej; mit – jako wypełniona wiecznym sensem alegoria – stanowi ramę dla eksplikacji napięć, do jakich dochodzi na styku twórczego maksymalizmu i konformizmu, gdzie zderza się indywidualium ze światem, wreszcie – co bodaj najistotniejsze z perspektywy autora szkicu – dochodzi do spotkania sztuki z polityką.

Ta arcyciekawa historia o Marsjaszu w istocie nie tyle wyznacza, ile zarysowuje pole podziału między „prawdziwymi” artystami a pozostałymi – rzemieślnikami sztuk różnych, wykonawcami zleceń czy kopiażami. Autorska narracja prowadzi nas ku rozważaniom o istocie czy też charakterze konformizmu i jego rozmaitych źródłach oraz wariantach, a przy tym – dla przeciwwagi niejako – operuje kategorią Łaski, spontaniczności, daru, imperatywem Prawdy<sup>5</sup>. Ale to nie wszystko. Problem, o którym Palester pisze, ma charakter immanentny, wiąże się ze sferą głębokich przeświadczeń autora, z presją prawdy i siłą przekonań, słowem – z odwagą snucia własnej artystycznej opowieści i to najczęściej wbrew przyzwyczajeniom i gustom odbiorców, słowem – wbrew światu.

<sup>5</sup> Palester mówi o darze Łaski, zasadniczym dla jego wyobrażeń o istocie artyzmu, w wywiadzie z Jędrzychowską tak: „Ja jestem, proszę pani, wychowany na Brzozowskim, to był główny przewodnik mojej młodości, jego myśl została mi na całe życie najbliższa. Nic dziwnego, że kiedy w Paryżu w tym czasie odkryłem Kierkegaarda, była to dla mnie niejako rewelacja dalszego ciągu refleksji Brzozowskiego i Newmana. Jego postawa antyhegłowska i antykartezjańska była mi bardzo bliska. Dla Kierkegaarda celem nie jest myślenie w sensie kartezjańskim, ale przeżycie życia w poszukiwaniu Boga. Na miejsce świadomego aktu cerebralnego przychodzi odruch, odczucie, akt irracjonalnej wiary. A tu już jesteśmy o krok od newmanowskiego poglądu, że stosunek człowieka do Boga musi być spontaniczny, bo jest darem Łaski. Jeśli ktoś obdarzony jest darem stawiania na papierze czarnych nutek albo wiązania kolorów i form po to, aby one ożyły w najbardziej czarodziejski sposób, to przecież jest to ta sama Łaska, jaką tysiące ludzi znajduje w innej formie i w innych dziedzinach”. Jagoda Jędrzychowska, *Widzieć Polskę z oddalenia*, Paryż 1990, s. 79.



*Roman Palester,  
1946*

Palester podkreśla, że „literaci”, „malarze”, „kompozytorzy”, którzy czasem nawet i doskonale, z precyzją władają techniką i stosują standardowe chwytaki, ale którzy nie przeczuwają istnienia tragicznego konfliktu, skrywającego się za fasadą rzemiosła, skłonni są z natury do nadmiernych kompromisów estetycznych.

Brzmi to jak wyrzut, ale też jak usprawiedliwienie. Wybitność artysty mierzy się bowiem wielkością jego tragizmu i heroizmu, co wszakże nie wyklucza słabości człowieka, jakim twórca jest przecież. Istota konfliktu, o którym mówi m.in. mit, rozgrywa się bowiem „na innej planecie”, walka toczy się na polu metafizyki, choć ciosy spadają natychmiast i są rzeczywiste: egzul artysty ma niejako dwoistą naturę. Jego treść stanowi piekło wynikające z jestwa indywiduum i jego wewnętrznego uposażenia, a współtworzy chłodny dotyk świata: jego obojętność, pośpiech, powierzchowność oraz celowe działanie przeciw niepokornemu twórcy.

A więc nie chodzi tu tylko o konkretną sytuację artysty żyjącego w kraju w latach 50. XX wieku (taki kontekst narzuca się przecież samoistnie), ale o coś więcej, o pewną sytuację modelową i zarazem pozaczasową. Palester w *Konflikcie Marsjasza* zdaje się mówić: tak było zawsze. Jednak w latach 50. mamy do czynienia z inną skalą zjawiska, z taką, która miała prawo przerażać autora. Idzie mu przecież o bezwzględność owych „ciśnień Apollińskich” – żeby posłużyć się nomenklaturą bliską mitowi, czyli o terror społecznego odbioru, a w konsekwencji o jakość zamówienia publicznego w kontekście postulowanej masowej recepcji (współczesnej odmiany uniwersalności?), wreszcie – o najbardziej wynaturzoną w socrealizmie formę deklaracji i dekretacji obligatoryjnej zgodności odbioru z produktem rzemiosła quasi-artystycznego. A przecież w tym, że zarówno w przestrzeń samego aktu tworzenia, jak i w jego finalny kształt wkracza publiczność, czy raczej pojedynczy odbiorca, nie ma nic nowego, tak było zawsze. Ale są znaczące różnice, warte podkreślenia, jeśli porównamy model „demokratycznego (tzn. media-

cyjnego) obiegu” dzieła sztuki z praktykowaną przez socrealizm formułą jego obligatoryjnej i jednostronnej aplikacji.

Przywołując instytucję odbiorcy i tradycję mediacji między nim (odbiorcą) a artystą, Palester zmierza krok po kroku do wypełnienia współczesną mu treścią artystycznego konformizmu. Na początku stara się jednak opisać to zjawisko w granicach samej sztuki. Wywód, do którego zmierza, prowadzi poprzez następującą konstatację: „[...] stosunki między autorem a konsumentem układają się na podstawie mądrego i subtelnego kompromisu estetycznego, który polega na braniu z dzieła sztuki przez każdą poszczególną jednostkę tylko tego, co jej jest potrzebne. Natomiast od strony artysty odbiorca przedstawiał się zawsze jako niewiadoma, bezimienna masa ciężaru, którą porównać można do ciśnienia atmosferycznego: nie moglibyśmy żyć bez niego, ale istnienie jego uważamy za coś tak normalnego i zrośniętego z nami, że nie myślimy o nim nieomal nigdy”<sup>6</sup>.

Kolejna dychotomia interesująco zarysowana w szkicu odnosi się do problemu wolności artystycznej w perspektywie konfliktu Marsjasza i rodzi pytanie, na ile jest możliwa mediacja, dzięki której ucierałyby się dwa skrzydła twórczego procesu: po jednej stronie wolność twórcza z jej paradoksalnym przeciwieństwem kompleksem adekwatności dla wyrażenia sublimacji i ekspresji, z drugiej – samoo graniczenie jako wybór i zarazem przymus, który wynika ze skończoności samego warsztatu, z jego materii i formy, z użycia narzędzi, skrupowania tematyką, zastaną estetyką kumulującą doświadczenia przeszłości. Uświadomienie przez artystę istnienia jedynie szczeliny, w której owa wolność, mimo ograniczeń, może być realizowana, to tylko przedsmak tragedii, jej zapowiedź; a niespełnienie i zawstydzenie sąsiadujące z afirmacją i radością, stają się jedynie osnową perypetii, której finałem może być tylko fatalność. Sztuka byłaby wolna absolutnie tylko wtedy, kiedy nie wyrażałaby nic, musiałaby to czynić bowiem środkami nieograniczonymi i nie-

<sup>6</sup> Tamże, s. 5.

skończonymi – powiada Palester – a to już samo w sobie zaprzecza fenomenowi dzieła jako aktu skończonego i zarazem projektującego „wydarzenie”, aktualizujące się dzięki zarówno intencjonalności, jak i estetycznej mediacji oraz interpretacyjnemu dyskursowi tradycji.

Konstatacja, jaka z tego spostrzeżenia wypływa, prowadzi kompozytora w rejony polityki, przenosi tym samym aktywność artystyczną w obszary obciążone ogromnym, jeśli nie największym, ryzykiem, z czego on, jako kompozytor przybyły zza żelaznej kurtyny, zdaje sobie w pełni sprawę. I to jest w eseju Palestra najciekawsze dzisiaj, a wówczas istotne jako problem. „Stąd też – pisze autor *Wisty* – postulat »wolności« przeniesiony z XIX wieku w tę dziedzinę [do polityki – V.W.M.] stworzył pomieszanie pojęć, zburzył dawniejszą równowagę i spowodował wciąż pogłębiający się kryzys w stosunkach artysty z »resztą świata«. Artyści użyli całej zniewalającej siły swych talentów na wykrzykiwanie na rozmaite tony hymnów o wolności tam, gdzie należało raczej mówić konkretnie (a nie »śpiewać«) o wolności publikowania, wolności osobistej lub zasadzie samostanowienia narodów. Jest oczywiście godne pochwały i szacunku, że poeta przejmuje się losem narodów walczących o wolność polityczną, ale w rezultacie ta problematyka wciągnęła artystów znacznie dalej, niż jedynie na teren platonicznych wolnościowych zachwyty. Nieznacznie wciągnęła ich do polityki *tout court*. Konflikt Marsjasza przenosi się – świadomie lub bezwiednie – na teren polemiki politycznej lub socjologicznej, a artyści przyczyniają się wydatnie do wytworzenia owego typu *homo politicus*, tak charakterystycznego dla okresu zdobywania demokracji.

Odbywa się to z widoczną szkodą dla poziomu czysto artystycznego ich twórczości”<sup>7</sup>.

Zapręganie „mowy sztuki” do polityki i posługiwanie się nią dla osiągnięcia poprzez metafory określonych celów politycznych, a więc

<sup>7</sup> Tamże, s. 6.

praktycznożyciowych, świadczy o niezrozumieniu, czym artystyczne powołanie jest i czemu ono w istocie służy. Jeśli poza tym przyjmie się za pewnik materialistyczny konstrukt ludzkiego istnienia, odcinający przecież wszelkie związki z metafizyką, to dramatyczne perypetie Marsjasza tracą wszelki sens, a bezdyskusyjne akceptowanie „naukowej interpretacji zjawisk”, prowadzi wprost do zakwestionowania celu i zarazem samorodnej wartości wszelkiej twórczości. Wówczas mit Marsjasza (alegoria artysty) przestaje znaczyć cokolwiek istotnego; będzie tylko fantomem i jednocześnie skrajną kwalifikacją nonkonformizmu, gestem archaicznym i zbędnym.

Dalej – wywód Palestra zbliża się do rozpoznań Miłosza w *Nie*, może z tą różnicą, że kryzysu moralnego artystów upatruje on po obu stronach żelaznej kurtyny, choć w „tej chwili” (tzn. w latach 50.) – jak podkreśla – po „tej”, czyli zachodniej, werbalizuje się go swobodnie i dyskutuje, co nie znaczy także, że jest on nieantycypowany (choć jest nieupubliczniony) przez twórców współuczestniczących w promocji socrealizmu.

Tu wracamy raz jeszcze do konformizmu. Krytyka Palestra skupia się przede wszystkim na praktyce komunistycznej, choć autor nie zapomina o faszystowskim totalizmie, którego doświadczał podczas okupacji i – jak uznał – wiedza o jego mechanizmach zaowocowała paradoksalnie *in plus* w pierwszych trzech powojennych latach. Wytworzyły się wówczas mechanizmy współpracy środowiskowej w warunkach skrajnie negatywnych, które zaraz po wojnie próbowano z pewnym powodzeniem stosować wobec naporu komunistów. Trzeba też dodać, że wspomnienia Palestra są dla krajowego życia artystycznego (zwłaszcza muzycznego) istotne, bo dotyczą najwcześniejszego okresu, jego atmosfery i coraz silniej odczuwanej izolacji, a zarazem rodzącej się konieczności zajęcia wyrazistej postawy wobec groźnie zapowiadającego się *novum*. „Po straszliwym wstrząsie Jałty, powstania warszawskiego i »liberacji« – pisze kompozytor – artyści zabrali się do odbudowy życia kulturalnego



w taki sam sposób, jak i wszyscy inni Polacy, tj. zdając sobie jasno sprawę z tego, że idzie okres ciężkiej niewoli i dalszej walki”<sup>8</sup>.

Zwracam uwagę na następujące stwierdzenie autora: „zdając sobie jasno sprawę z tego, że idzie okres ciężkiej niewoli”; jest ono ważne, ponieważ stanowi głos osobny wobec rozpowszechnianej wówczas tezy o determinizmie historycznym i oznacza, że np. środowisko artystyczne (m.in. muzyków) wcale nie było zafascynowane komunizmem. Palester przede wszystkim podkreśla środowiskową aktywność, może nawet z ducha sceptycyzmu zaangażowanego, ale jednak istotną jako postawa (gest) i wartość w perspektywie długiego trwania kultury. „Ale ponieważ Polacy mieli dość okazji do nauczenia się, jak toczyć z zaborcą walkę w codzienny, nieustępliwy i najbardziej wyrafinowany sposób – czytamy dalej w szkicu – więc w podziwu godnej harmonii rzucono się natychmiast do roboty, wiedząc podobnie jak i inni, że trzeba wykorzystać chwilowy brak organizacji, niemożność kontroli rządowej i zupełny brak zwolenników régime’u, aby przez ten czas zrobić tyle dobrego, ile się tylko da. Można na ten temat napisać tom, pełen anegdot, czasem nawet wesołych: rzeczy, które nie mogłyby »przejsić« pod okiem władz centralnych w Warszawie, robiono na prowincji, wykorzystywano zgrabnie animozje między tuzami partyjnymi, oszukiwano, gdzie się tylko dało. [...] Działo się to wszystko bez euforii, jako że bardzo prędko poczuliśmy, że nawet jeżeli minister czy inny dygnitarz myśli podobnie jak my – a w pierwszym okresie zdarzało się to częściej, niżby się mogło wydawać – to bez decyzji swego ukrytego kierownika sumienia nie może sam załatwić nawet najbłaższej sprawy. Równie prędko zrozumieliśmy, że ten ukryty sowiecki opiekun jest głównie po to, aby nie dopuścić do zrobienia czegoś pozytywnego i dobrego<sup>9</sup>. O dobrowolnym wybieraniu drogi emigracji i wygna-

<sup>8</sup> R. Palester, *Konflikt Marsjasza*, dz. cyt., s. 9.

<sup>9</sup> Stefan Kisielewski po latach mówi podobnie: „Po wojnie komuniści w Polsce zaczęli popierać – naturalnie wyłącznie w celach propagandowych – rozwój muzyki. Powstało wiele szkół muzycznych, nowych filharmonii itp., itd. Garstka sprytnych

nia nie było wtedy mowy i opinia krajowa była jednolita w tym, że należy zostać w kraju, aby walczyć z destrukcyjną rolą okupanta”<sup>10</sup>.

Naturalna, żywiolowa atmosfera odbudowy, w cieniu totalizmu, trwa – jak podaje Palester – mniej więcej do 1948 roku. Od tego bowiem czasu stosuje się wobec artystów zasadę głaskania i bicia na przemian, trzeba też wspomnieć o potężnych środkach korupcji, których użycie dawało również w wielu wypadkach pożądane wyniki. „Dzięki temu – jak czytamy w eseju – rozbito dość szybko ową serdeczną, koleżeńską współpracę, powstałą w okresie okupacji. [...] Kompozytorów odsunięto od udziału w organizacji życia muzycznego, obsadzając czołowe stanowiska ludźmi najzupełniej nieodpowiednimi, ale za to partyjnie pewnymi. Równocześnie zapewniono artystom warunki życia – w stosunku do reszty ludności – wspaniałe i dano im mnóstwo pieniędzy. Wielu przyjęło to naiwnie z uczuciem zachwytu, ale trzeba przyznać, że są i tacy, którym ta pozycja uprzywilejowanych kibiców régime’u staje kością w gardle. Nie mówiąc już o tym, że w ten sposób udało się zgrabnie wytworzyć niechęć ogółu do tej nowej arystokracji. Spotykany czasem pogląd, że artyści w zamian za tę uprzywilejowaną pozycję materialną poszli, łatwiej niż reszta ludności, na lep obietnic régime’owych, nie jest pozbawiona cienia prawdy. Trudno jednak wymagać od wszystkich postawy heroicznej na co dzień, tym bar-

---

krakowskich muzyków, panowie Ochlewski, Rutkowski, Piechowicz, Palester zrozumieli, że oto pojawił się rząd, który będzie łożył na muzykę. Postanowili to wykonać, stworzyli Wydawnictwo Muzyczne, a potem doili komunistów, wydając tyle, ile przedtem nie zdołano wydać przez tysiąc lat. Tą drogą wydrukowano całą polską muzykę. Co jednak okazało się całkiem niedawno? Otóż wyszło na jaw, że w Składnicy Księgarskiej w Krakowie wszystko to leżało dziesiątkami lat, że nie umiano sprzedać towaru za miliardy złotych; za mało było (i jest) w Polsce księgarni muzycznych, a biurokratyczna »Ars Polona« nie potrafiła wyeksportować. Zatem: początek dobry, finał do chrzanu, czyli nie – w komunizmie – nowego”. Stefan Kisielewski, *Abecadło Kisiela, Testament Kisiela. Ze Stefanem Kisielewskim rozmawia Piotr Gabryel*, wstęp Tomasz Wolek, Piotr Gabryel, posłowie Mariusz Urbanek, Warszawa 2011, s. 352-353.

<sup>10</sup> R. Palester, *Konflikt Marsjasza*, dz. cyt., s. 10.

dziej że wszystkie zmiany w życiu kraju »satelickiego« odbywają się nieznacznie i w ukryciu, poza zewnętrzną fasadą »niewzruszalności« zasad. Od żadnego artysty nie żąda się natychmiastowego »opowiedzenia się«, presja trwa latami i przypuszczenia, że w pewnym momencie »nakazuje się« artyście konkretnie iść po takiej, a nie innej linii, jest grubym uproszczeniem. Nacisk odbywa się wszelkimi możliwymi drogami pośrednimi, a definitywna utrata wolności artystycznej nie jest sprawą, którą można by wiązać z jakąś datą czy zdarzeniem. Trwa to latami i dlatego jest mniej uchwytne, tym bardziej że artysta jest świadkiem ciągle zmieniających się haseł urzędowych i w łonie samej partii czy rządu obserwuje zajadłą walkę najrozmaitszych klik, najróżniejszych tendencji, a niebywale niski poziom, na którym się to wszystko odbywa, pozwala mu czasem rokować nadzieję, że może jednak uda mu się zachować pewną wewnętrzną niezależność”<sup>11</sup>.

Esej Palestra i jego argumentacja raczej nie pojawia się w dotychczasowych rozważaniach badaczy na temat związku sztuki z polityką, po drugie – wyjawia interesujące szczegóły na temat najwcześniejszych momentów wejścia nowej władzy zarówno w przestrzeń ducha kultury rodzimej, jak i w obszar społecznej recepcji. A właśnie ta relacja kompozytora o sposobie funkcjonowania instytucji wspomagających artystów i zarazem kształtujących estetykę odbioru, ma istotne znaczenie dla lepszego rozumienia kilku pierwszych powojennych lat kształtowania się PRL-u. Podkreślam: nie ma wyraźnego momentu, od którego można mówić o ekspansji realizmu socjalistycznego jako pewnej holistycznej filozofii społecznej, w której uczestniczyć ma sztuka. Względna swoboda nie trwa do proklamacji socu. Swobody właściwie nie było od początku (*vide*: cenzura czy też polityka wydawnicza określająca nakład prasy), było tylko codzienne odzyskiwanie przestrzeni względnej wolno-

---

<sup>11</sup> Tamże, s. 10-11.

ści działania, możliwego (o paradoksie) dzięki sprytowi, skłamaniu, przyjęciu jako normy podwójnej etyki publicznego życia. Realizm socjalistyczny jako zespół obowiązujących reguł, zaczynał się wszędzie tam, gdzie zalecana „sztuka” stawała się obligatoryjnym nakazem płynącym z góry i wzorcem bez zwłoki wcielonym w życie, a więc – kiedy stawała się faktem społecznym.

Postulowanie sztuki, od której wymagana jest bezpośrednia rzeczowa przydatność, a więc „zaangażowanie”, nie jest zjawiskiem nowym. Nie zostało więc wymyślone ani przez totalizm faszystowski, ani komunistyczny, choć – jak sądzę – już sama dyskusja na temat jej społecznych rudymentów może być uznana za objaw pewnego kryzysu, który trwa do dziś.

O ile w przeszłości krytyka, skupiając się raczej na osobnych (integralnych) manifestacjach przedmiotów artystycznych, zapowiadała tendencje przyszłości, o tyle w XX wieku, odwróciwszy tę kolejność, zaczęła zalecać, niejako „wywoływać”, przyszłość sztuki i to bez jakiegokolwiek oparcia się o analizę dzieł już istniejących. Zjawisko skądinąd interesujące, zwłaszcza w latach 20. XX wieku, wytworzyło nową jakość w kulturze, która niewątpliwie ożywiła zarówno samą sztukę, jak i jej otoczenie. Awangardowe manifesty artystyczne tamtego okresu, kwestionując zastane wartości i przyzwyczajenia, stanowiły bowiem interesującą „przygodę” estetycznej recepcji; wówczas były świeże i niewymuszone. Były świadomą, swobodną grą z tradycją, dzięki której dokonywała się odnowa kanonu i miało miejsce wyprowadzanie sztuki w nowe rejony. Zjawisko pozytywne, ale pod jednym warunkiem – że żaden z owoców krytyki prospektywnej w postaci obowiązującej normy, nie byłby instytucjonalnie zadekretowany. A tak się przecież stało w krajach realnego socjalizmu; obligatoryjność dostosowywania artystycznej wypowiedzi do potrzeb społecznych urosła wówczas do rangi nowego fetysza, a drobiazgowo „planowanie sztuki” (jakkolwiek

brzmi to paradoksalnie) – to jeden z najbardziej kompromitujących wówczas wynalazków żdanowszczyzny<sup>12</sup>.

*Uwagi o muzyce czyli „Pazylogia” i „współczesny Apollo”*<sup>13</sup> – kontynuują wątki podjęte w *Konflikcie Marsjasza*, zwłaszcza w kontekście twórczej aplikacji, pojmowanej jako naturalny czynnik zbliżający artystę do jego odbiorcy, oraz nonkonformizmu – traktowanego jako źródło naturalnego rozdźwięku i zarazem przyczyna odosobnienia twórcy dającego wiarę wyimaginowanej, szczególnej pozycji artysty–burzyciela (krnąbrnego buntownika), artysty–eksperymentatora, nietzscheańskiego nadczołowieka. Każdemu z tych wariantów współtworzących kanon nowoczesnego artysty, towarzyszy jednak świadomość klęski, a więc fatalizm. Rezygnacja z wymagań stawianych warsztatowi bogacącemu się dzięki wielowiekowej kumulacji środków ekspresji dających możliwości wyboru, to w istocie artystyczna kapitulacja, i na odwrót – nieustanne podejmowanie ryzyka bycia „w awangardzie”, zmaganie się z oporem materii artystycznej, rozwiązywanie coraz to nowych problemów powstających wraz ze zmianą paradygmatu sztuki – to kłopoty i zarazem źródła niekończącego się i frapującego artystę „interakcyjnego ryzyka”, jakim jest ostatecznie zmaterializowane dzieło – finalny wyraz sublimacji.

Jednak ten stary jak świat problem Palester sprowadza „na ziemię”, kiedy podejmuje się opisanie tego, jak w PRL-owskiej praktyce owo dostosowywanie czy też edukowanie słuchaczy się odbywało, słowem – jak sztuka stawała się faktem społecznym. „Jest bowiem rzeczą jasną – pisze kompozytor – że każdy artysta podejmuje chętnie wszystko, co rozszerza krąg jego odbiorców, i muzycy

<sup>12</sup> Zob.: Andrzej Żdanow, *Przemówienia o literaturze i sztuce*, Warszawa 1954. Także m.in.: Małgorzata Gąsiorowska, *Muzyka polska lat 1945–1955 wobec socrealizmu*, w: *Muzyka, słowo, sens*, pod red. Anny Oberc, Kraków 1994; Barbara Fijałkowska, *Polityka i twórcy 1948–1959*, Warszawa 1985.

<sup>13</sup> Roman Palester, *Uwagi o muzyce czyli „Pazylogia” i „współczesny Apollo”*, „Kultura” (Paryż) 1951, nr 12.

polscy, pomni na tradycje *Śpiewników domowych* Moniuszki, od lat prowadzili szeroko zakrojoną akcję najrozmaitszych koncertów popularnych, młodzieżowych etc. Właśnie odbudowaniu tej akcji władze najbardziej przeszkadzały po wojnie. Jeśli nawet przypuścić, że akcja ta była poprzednio prowadzona wadliwie, to przecież zebranie jakiejś najelementarniejszej statystyki na temat gatunków i rodzajów muzyki, której chcą słuchać robotnicy, chłopci czy nieprzygotowana muzycznie młodzież, pozwoliłoby traktować poważnie przynajmniej sprawę umuzykalnienia szerszych warstw ludności. Ale nic takiego nie nastąpiło! Samowolne, arbitralne narzucanie wszystkim odbiorcom – bez względu na stan ich rozwoju intelektualnego – rzeczy jak najgorszych dowodzi raz jeszcze, że chodzi tu po prostu o sprowadzenie stanu kultury do możliwie najniższego poziomu i że cel całej akcji jest z gruntu negatywny: ma wprowadzić w umysły ludzkie jak największe zamieszanie i zmęczenie, jako że może wtedy posiew »nowej kultury« łatwiej się da zaszczepić. Walka oczywiście trwa, ale na razie jeden cel reformatorów został chwilowo osiągnięty: artysta polski pozbawiony został całkowicie możliwości bezpośredniego kontaktu ze swym odbiorcą<sup>14</sup>.

Na tle tak zarysowanego problemu i bezwzględnej taktyki Apollina władzy konflikt twórcy ma wymiar totalny, rozgrywa się w mikro- i w makroskali, na forum publicznym, w kolektywie. Wyraża się przymusem milczenia, bo milczą wszyscy: rzemieślnicy i artyści, choć głęboko przeżywają jedynie ci, dla których według mitu figura losu Marsjasza znaczy. Oni dopuszczają „odejście”, a więc – obczyzną. „W trzeszczących zębach tego strasznego kieratu łamią się charaktery<sup>15</sup>, gną się karki... Jak żądać od tych ludzi, aby »sta-

<sup>14</sup> Tamże, s. 12.

<sup>15</sup> Autor przywołuje instytucję tzw. audycji, z których protokoły publikowano w pismach muzycznych, na dowód zmniejszającego się oporu artystów: „Litość bierze, kiedy się w tych protokołach czyta, a propos pewnego preludium symfonicznego, któremu kompozytor nadał tytuł *Epitafium na cześć poległych bohaterów*, dosłownie co następuje: »[...] jak się później okazało, Prelud symfoniczny, czy też *Epitafium*

nęli w zawody z Apollonem«? Gdzież jest bunt przeciw kondycji jednostki, jakże żądać od artystów, aby w tych najcięższych warunkach zachowali siłę, która pozwoliłaby im ukryć – na dłuższą metę – ich prawdziwy cel i istotną dążność? Ale przypuściwszy nawet, że artyście uda się w czterech ścianach pracowni stworzyć dzieło szczerze, z którego publikacją czekać będzie innych, lepszych czasów – to jakiej wielkości i jakiego skupienia potrzeba by było, aby wypowiedzieć, wyrwać z trzewi cały ból, całe sponiewieranie i ten kłęb nieszczęścia, zwątpienia, tragizmu i nienawiści, jakiego pełna jest dzisiejsza »dola człowieka«?”<sup>16</sup>.

W takim opresywnym otoczeniu dobrowolny, mediacyjny konformizm artysty z rzeczywistym odbiorcą czy odbiorcą projektowanym, nie jest możliwy. Każdy kolejny krok rezygnacji z własnego stylu, indywidualności i ryzyka, bez których nie ma dobrej sztuki, grozi nadmiernym zapętleniem się w sieci zależności międzyludzkich, instytucjonalnych i politycznych. Artysta, ustępując niejako sobie, zdradzając siebie, wkracza na ścieżkę konformizmu, serwilizmu, a osobisty (duchowy) dyskomfort jest wówczas tym większy, im większa tej rezygnacji towarzyszy świadomość potrzeby mówienia „własnym” głosem.

Jak to wszystko wpływa na tzw. społeczną funkcję sztuki i samą jej wartość, w tym na poziom muzyki? Palester nie ma złudzeń – eksperyment sowiecki prowadzi do całkowitego zniszczenia podstaw cywilizacji zachodnioeuropejskiej, śródziemnomorskiej

---

było de facto uwerturą do oratorium o Przemienieniu Pańskim. Abstrahując od tego, że autor wprowadził tym słuchaczy w błąd, zarzuty stawiane utworowi dopiero w tym świetle wydają się całkowicie uzasadnione«. Istotnie, lodowaty chłód tej notatki nie wróży nic dobrego... (i co najsmutniejsze: denuncjato-rem musiał być przecież w tym wypadku ktoś będący w bardzo bliskiej zażyłości z kompozytorem...) [podkreśl. V.W.M.]. Jeżeli utwór zostanie ostro skrytykowany, to każda odpowiedź autora zaczyna się od stereotypowego stwierdzenia, że »napisał utwór dawno, bo przed rokiem (!), i jemu samemu utwór dziś już zupełnie się nie podoba!«”. R. Palester, *Uwagi o muzyce*, dz. cyt., s. 13.

<sup>16</sup> Tamże.

i chrześcijańskiej, bo nowa cywilizacja ma się zbudować na gruzach starej i jej kosztem. Dialektyczne sztuczki z przemówień Stalina, Żdanowa, a na polskim gruncie, jeśli idzie o muzykę – Zofii Lissy o „bazie” i „nadbudowie”, o „walce klasowej na odcinku muzycznym”, ponadto używanie określeń „walka o”, „walka przeciw”, nie pozostawiają cienia wątpliwości, o jakim projekcie mowa, co z całą mocą będzie kompozytor podkreślał. Nie ma tu też miejsca na markowanie, udawanie, że w istocie nowa inżynieria kulturalna nie ma przyszłości, że należy ją traktować jedynie jako kuriozum, a zatem pobłażliwie, co w pierwszych latach powojennych próbowano wmówić środowiskom twórczym.

Przeciwnie – piszący te słowa autor jest głęboko przekonany o tym, że eksperyment socu ma duże szanse powodzenia i to nie dlatego, że jest nań autentyczne społeczne zapotrzebowanie, ale dlatego że uczestniczy w nim w swojej większości, z rozmaitych powodów, środowisko intelektualno-artystyczne, dodając mu nadto niezасłużonej powagi<sup>17</sup>.

Jak inna była sytuacja środowisk artystyczno-intelektualnych podczas okupacji i tuż po wojnie, ilustrują kolejne akapity *Uwag o muzyce*. W pierwszej kolejności zwraca uwagę Palester na polityczny kontekst, istotny dla uchwycenia niuansów tej różnicy: „Czynnikiem, który w ostatnich latach w najpoważniejszym stopniu zaważył na problemie stosunku artystów do społeczeństwa, była nieoczekiwana ingerencja polityki. Stało się to w krajach, które przechodziły, lub

---

<sup>17</sup> Stanem kultury polskiej próbował Palester zainteresować środowiska opiniotwórcze Zachodu znacznie wcześniej, już podczas czasowego pobytu we Francji. Także emigrację. Uznał, że „trzeba zacząć wielki krzyk”, był też zdania, że polska prasa emigracyjna nie docenia groźby sytuacji, „która jest montowana tak niesłychanie zgrabnie, że jeżeli potrwa lat kilkanaście, to po prostu nie trzeba będzie »włączać« się do ZSRR, bo wtedy Polacy w Polsce przestaną »być Polakami« w sensie jakiejś elementarnej odrębności kulturalnej”. Z listu Palestra do Kazimierza Wierzyńskiego z 9 sierpnia 1950. Cytuję za: Tadeusz Wyrwa, *Z nie opublikowanych wspomnień z (nie tylko) emigracyjnego życia kompozytora Romana Palestra*, „Pamiętnik Literacki” (Londyn) 2010, t. 39, s. 36.



jeszcze przechodzą, chorobę totalizmu. Podstawy i urządzenia państwa totalnego były i są szeroko wentylowane i omawiane, że nie ma dziś człowieka, który by nie wiedział, że ingerencja rządu dosięga w tych krajach wszystkich terenów działalności ludzkiej. Jeśli chodzi o muzykę, to wszyscy pamiętają harce Goebbelsa sprzed niewielu lat i wiedzą czym w tej dziedzinie może się pochlubić Rosja sowiecka. Ponieważ działalność Goebbelsa została w międzyczasie zakończona, wystarczy nam przypomnieć, że twórczość muzyczna niemiecka w czasie jego rządów nie wyprodukowała ani jednego dzieła większej wagi – w każdym razie, jeśli chodzi o kompozytorów, którzy pozostali w Niemczech i cieszyli się łaskami i poparciem krótkotrwałego régime'u. Hitlerowski minister propagandy był też pierwszym wynalazcą muzycznych »list proskrypcyjnych«, skazujących »na śmierć« całe mnóstwo utworów. System ten rozwija się w dalszym ciągu w najlepsze w Rosji z tą różnicą, że spisów dzieł »zakazanych« nie publikuje się, jak to czynił Goebbels. Ale pomimo wszystkich dewastacji, jakich dokonał hitleryzm, nie należy przeceniać upadku niemieckiej kultury muzycznej, który nie jest tak wielki jak to się niekiedy wydaje, i poziom zainteresowań muzycznych publiczności niemieckiej wraca bardzo szybko do dawnej wysokości.

Natomiast sposób, w jaki zabrano się do sprawy w Rosji, jest o wiele groźniejszy [...]. System sowiecki rozbił dawno ściśle polityczne czy ekonomiczne ramy doktrynalne i podstawowym i elementarnym celem jego stało się całkowite zniszczenie naszej cywilizacji. Zmiany, które bolszewizm wprowadził do stosunków międzyludzkich, są tak olbrzymie, że już one same postulują konieczność wytworzenia z czasem nowej, całkowicie odmiennej kultury. Ta idea wydaje się nam często absurdalna, szczególnie kiedy władcy Kremla krzyczą o budowaniu »nowej kultury« na komendę, w ciągu kilku lat, ale tym niemniej sama rzecz istnieje i posuwa się naprzód żywiej, niż przypuszczamy<sup>18</sup>.

---

<sup>18</sup> R. Palester, *Uwagi o muzyce*, dz. cyt., s. 16-17.

Owa absurdalna idea ma swoją metodę, której istotę kompozytor cierpliwie wykląda: „Inne zaiste zadania społeczne wyznaczał kiedyś muzyce Platon i całkowicie inny był dawny, średniowieczny porządek rzeczy. Wtedy bowiem rola kompozytora polegała na wypowiedaniu tendencji i myśli swego społeczeństwa, dlatego że czuł, myślał, przeżywał i reagował tak samo, jak szczerze i bez przymusu czuli i reagovali wszyscy z jego gromady. W systemie sowieckim artysta jedynie pozornie wypowiada »tendencje« swego narodu i swych współczesnych. Jest on wszystkimi środkami – nacisku policyjnego i przekupstwa, biciem i głośkaniem – zmuszany do stanięcia u boku owej cieniutkiej warstwy rządzącej, która narzuca mu stanowisko pełne fałszu i kłamstwa wewnętrznego, stanowisko, które nie wyraża ani jego własnego przeżycia, ani nie jest wyrazem myśli, krążących w otaczającym go społeczeństwie. Ten podstawowy fałsz wychodzi na wierzch przy każdej okazji, bije w oczy – a nas, muzyków, w uszy – ilekroć przychodzi nam skonfrontować się z »osiągnięciami« sztuki »sorealistycznej«. Z przykrością obserwujemy potworne łamańce estetyczne, do których zmusza się utalentowanych skądinąd kompozytorów rosyjskich, z których wielu zasłużyło na lepszy los, z żalem wspominamy niektóre utwory, które napisane przed kilku laty i »dozwolone« wówczas do grania, zostały już dziś surowo »zakazane« i wycofane z obiegu. Widocznie w międzyczasie nastąpiło przemebłowanie »nadbudowy« lub może nawet zmiana »bazy«? Poza zdecydowaną szmirą, którą się urzędowo ochrania i której się broni, nie ma ani jednego poważniejszego utworu rosyjskiego ostatniego okresu, który by wytrzymał próbę kilkunastu lat. Zawsze w końcu okazuje się, że albo utwór nie jest dość »klasowy«, albo »usypia czujność«, albo wyraża »treści niezgodne z epoką«!... Czytelnik łatwo domyśli się, że są to wszystko pojęcia, które na terenie muzyki nie mają w ogóle żadnego pokrycia, sąd zatem w każdym wypadku jest najzupełniej arbitralny i dowolny”<sup>19</sup>.

---

<sup>19</sup> Tamże, s. 18-19.

W świetle tego zapisu, „odejście” dla ocalenia własnej tożsamości artystycznej i usłyszenia własnego głosu, co stawało się niemożliwe w nieustannym jazgocie ulicznej i wulgarnej propagandy, niesienie własnej prawdy – było decyzją konieczną i może nawet paradoksalnie obarczoną mniejszym ryzykiem, niż pozostanie w kraju.

Nie powinno też dziwić, że Palester zjawisku konformizmu poświęca najwięcej miejsca w obu esejach, czym jedynie podkreśla, jak mocno i b e z p o ś r e d n i o problem ten go dotyczył. Na początku niespecjalnie groźny, w chwilę później prowadził ku równi pochyłej, z której można było ześlizgnąć się w pełne uzależnienie od władzy. Nie chodzi również autorowi *Uwag o muzyce*, który „wybiera wolność” czy „ucieka”, o spokojny sen i elementarną swobodę prawną, to znaczy o zabezpieczenie się przed bezprawiem – artyści reżimowi byli jego arystokracją i nie potrzebowali obawiać się Urzędu Bezpieczeństwa. Podkreśla, że głównie niepokoiła go niemożność zachowania świeżości oporu i ostrości widzenia, kiedy pozostaje się we wnętrzu systemu; trudno też żyć w ciągłym stanie mobilizacji intelektualnej, która pozwoliłaby adekwatnie reagować na każde, nawet najmniejsze kłamstwo płynące z góry. Niebezpieczeństwo stępienia wrażliwości krytycznej i krańcowe zmęczenie są to – jak się zdaje – realne lęki, z jakimi zmagał się kompozytor „numer jeden” w kraju, od którego władze wymagały najczęściej: przede wszystkim legitymizacji systemu, a więc politycznego zaangażowania w sprawę, w którą twórca nie wierzył.

Nic dziwnego więc, że kilka pierwszych lat powojennych było czasem zapamiętanym przez niego głównie jako bolesne doświadczenie zmagania się ze sprzecznościami: bo przecież z jednej strony swoją rolę odgrywa przywiązanie do kraju, jego krajobrazu, ludzi i klimatu duchowego, rodzimej meliczności, do tego, co najlepiej znane, z drugiej zaś – opór przeciw modernizacji w bolszewickim stylu, która zrywa brutalnie duchową nić – jak w przypadku autora *Wisty* przez niemal 40 lat jego życia – z kulturową wrażliwością rodem

z Drugiej Rzeczypospolitej. Zmęczenie i poczucie absurdu przymusza do decyzji w horyzoncie „ostateczności”; jeśli uważał się za prawdziwego artystę – musiał „milczeć”, zatem – „emigrować wewnątrznie”, „wykluczyć się” albo „zostać wykluczonym”. Mógł Palester podjąć ryzyko „zaangażowanej opozycyjności” – i tak zrobił.

„Są w tej chwili w Polsce artyści – czytamy w *Uwagach o muzyce* – którzy poszli całkowicie na lep urzędowej propagandy i za pieniądze robią, co im się każe; tacy istnieli zawsze i nie ma powodu zatrzymywać się nad tym dłużej; jest tłum grafomanów, dla których w tym okresie równania w dół otworzyły się olśniewające możliwości; są tacy, którzy pojedynczymi koncesjami i delatorstwem politycznym opłacają prawo do zachowania pewnej elementarnej swobody. Ale znajdzie się też kilku takich, którzy nie zrobili żadnej koncesji, zachowali dotychczas pełną uczciwość artystyczną i wybrali – milczenie. [...] Jednych niszczy się wcześniej, innych później. Są artyści, którym pozwala się uprawiać sztukę bardziej »formalistyczną« niż innym (jest zresztą faktem notorycznie znanym, że duch kliki, stosunki, przyjaźnie i lizusostwo decydują tam o wielu rzeczach w stopniu bez porównania wyższym, niż to ma miejsce w osławionych krajach kapitalistycznych; a to niemało przyczynia się do ogólnej demoralizacji). Zdarza się, że ten i ów zawdzięcza przyjaźni z ministrem czy dygnitarzem partyjnym prawo większej swobody niż inni.

Ale każdy, zły czy dobry, twórca czy grafoman musi stale kłamać – kłamać, aby »utrzymać się na powierzchni«, kłamać na krytycznej audycji [...], kłamać, podkreślając na każdym kroku, że robi z największym zadowoleniem artystycznym to, czego w istocie nie nawidzi [...]. Na zjazdach artystów, poświęconych ważnym politycznym problemom sztuki, można słuchać przez kilka dni z kolei kilkudziesięciu ludzi – między którymi przecież jest na pewno kilku wybitnych – kłamiących we wszystkim, co mówią, przy czym kłamię i przewodniczący obradom minister, i przedstawiciel »mas ludowych«, i po kolei wszyscy obecni artyści. [...]

Jakże długo można bez poczucia najgłębszego poniżenia słuchać tego potoku kłamstw, któremu towarzyszą najszczerze w świecie spojrzenia – choć wszyscy wiedzą nawzajem o sobie, że kłamią?”<sup>20</sup>.

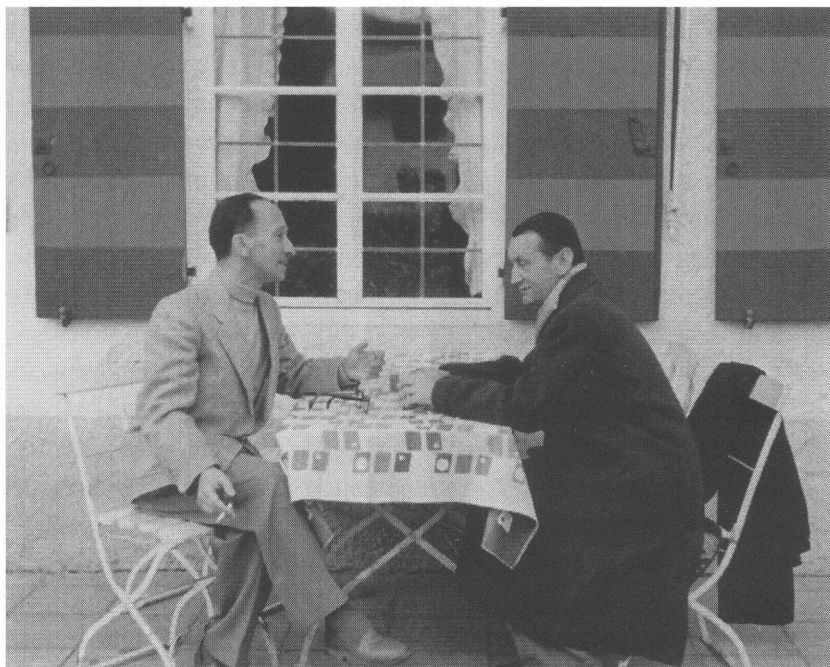
Emigracja Palestra jako gest wolności, to ostatni akord fatalistycznej siły, to ów „lekki krok marsjaszowego przechodzenia poza czas i przestrzeń”. Wygnanie osoby, będącej artystą–kompozytorem, wywołuje skutki dalekosiężne, cofa zawodowe życie niemal do początków kariery i pozostawia ją w dramatycznym położeniu bez własnych utworów. „Wybierając wolność”, twórca staje się przez jakiś czas bardziej „obiektem” natury politycznej, niż artystycznej.

Mitologiczny konflikt Marsjasza wyznacza jednak tę inną i najważniejszą perspektywę w kontekście historyczności artysty, a jego samego wiąże z niezbywalnymi prawami wiecznymi. Nie jest ważne więc, czy totalitaryzm ostatecznie zwycięży i na jak długo; w pracy kompozytora–artysty idzie tylko (i aż) o to, aby ton jego sztuki był „czysty”.

Palester podaje nadto w wątpliwość wiele stereotypowych wyobrażeń o sztuce, o wolności artysty i jego wyjątkowości czy wybitności oraz specjalnej, należnej mu pozycji społecznej. Kwestionuje romantyczny i modernistyczny mit geniuszu i bezwzględnej pozycji sztuki w życiu wspólnoty. Co istotne – umniejsza także wagę lęku przed PRL-owskim establishmentem, który zwykle się uznawać za klucz do zrozumienia środowiskowego konformizmu. Dbalność o najwyższej próby rzemiosło kompozytorskie, o jak najczystsze *métier*, pewność ręki, oraz uważność, zgodność dzieła z osobą artysty – to zasadniczy i oryginalny rys jego esejów. Ta zgodność, o której mowa w tekstach kompozytora, znajduje swoje potwierdzenie w jego osobistych wyborach artystycznych i prak-

---

<sup>20</sup> Tamże, s. 14-15.



*Od lewej: Roman Palester i Tymon Terlecki,  
Oberammergau 1954*

tycznożyciowych<sup>21</sup>. Zauważa to i docenia również Gustaw Herling-Grudziński, skoro będąc po drugiej stronie żelaznej kurtyny, skłonny był napisać: „[...] mieliśmy sposobność przeczytania przepięknego, wspaniale napisanego i mądrego artykułu Romana Palestra *Konflikt Marsjasza*. Nie jest jeszcze najwidoczniej tak źle z »intelektualistami w krajach demokracji ludowej«, jeśli oto – wybitny kompozytor, który po znacznie dłuższym od Miłosza pobycie w kraju postanowił również pozostać na Zachodzie – potrafił w sposób tak ujmująco skromny, pełen pokory i uczciwości artystycznej, bez wygibasów dialektycznych nazywać rzeczy po imieniu: niewolę niewolą, wolność wolnością, a niezależność – najwyższym skarbem, jakiego może pragnąć artysta godny tego imienia”<sup>22</sup>.

W kilka miesięcy po napisaniu *Konfliktu Marsjasza* Palester i Herling-Grudziński spotkają się w Monachium w rozgłośni Wolnej Europy; ich partnerstwo w sztuce i czysto ludzka przyjaźń trwać też będą długie lata<sup>23</sup>.

<sup>21</sup> O formacji pokoleniowej i artystycznej, z której autor się wywodził (t.j. o szkole Karola Szymanowskiego), pisze Teresa Chylińska w szkicu *Czy Roman Palester był emigrantem?*, w: *Między Polską a światem. Kultura emigracyjna po 1939 roku*, pod red. Marty Fik, Warszawa 1992, s. 197-208.

<sup>22</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Murti-Bing*, w: tegoż, *Wyjścia z milczenia. Szkice*, Warszawa 1998, s. 242.

<sup>23</sup> Świadczy o tym zachowana korespondencja między twórcami. Herling-Grudziński starał się o włoskie zamówienia dla Palestra na muzykę filmową, próbował sztuki pisania libretta do muzyki Palestra, podrzucał pomysły z innych dzieł literackich. Pisał doń listy z literackim nadatkiem i dowcipem. Oto przykład: list pisany jest po dwutygodniowym opuszczeniu przez Herlinga-Grudzińskiego Monachium – 25 listopada 1955 r.: „Maestrissimo, Twój list jest takim arcydziełem szampańskiego humoru, polotu, inteligencji, lekkości i daru pióra, że w pierwszej chwili miałem zamiar nie odpisywać w myśl zasady »ptak ptakowi nie dorówna«... Przeważała jednak tęsknota do dalszych popisów Twojej epistolografii (a nie »epistografii«) i oto siedzę znowu przy maszynie, licząc oczywiście na wzajemność. Ale o czymże tu pisać na neapolitańskim bruku? Pada dziś straszny deszcz i miałbym ochotę trochę o deszczu, gdyby nie to, że nie lubisz o pogodzie i że jak wykazuje Twój własny dorobek pisarski, »o deszczu można nieskończenie«... (Nawiasem mówiąc, nie bardzo rozumiem, skąd u Ciebie, największego w literaturze polskiej pisarza meteorologicznego, taki wstręt do opisów

## Między Ugolinem a Ulisessem

„Marsjaszowy cień” nie opuszcza autora i jego kompozytorskiego dzieła. Jego muzyka zostaje strącona w przepaść złej obecności, on sam znajduje się na dnie piekła między Ugolinem a Ulisessem, potępiony – jak oni – za to, że tak jak Ulisses, zbyt długo „siedział” poza krajem..., jak Ugolin – za „prawa, na jakich siedział”. Po wielu latach stara się wyjaśnić powody, dla których właśnie opuścił Polskę. W wystąpieniu przygotowywanym do wygłoszenia na krajowej konferencji „Muzyka źle obecna” pt. *Prawda źle obecna* Palester nie bez sarkazmu i zniecierpliwienia wyjaśnia status swojego oddalenia od ojczyzny i traktuje je jako świadomą i zaangażowaną emigrację. Aktywność tę można mierzyć wkładem artysty w prace Kongresu Wolności Kultury (szczególnie w latach 50. i 60.), występowaniem w roli stałego komentatora życia kulturalno-politycznego w monachijskiej Polskiej Sekcji Wolnej Europy, kogoś, kto w istocie mentalnie z kraju nigdy nie wyemigrował i kto mówił o jego sprawach nieprzerwanie przez dwadzieścia lat.

---

pogody). Więc o czym? O »pogodzie politycznej na kuli ziemskiej« nic nie wiem, bo od dwóch tygodni nie czytuję gazet i nie słucham radia, co zresztą uważam za pierwszy plus mojego wyjazdu z Monachium. Maestrissimo, Ty, który grasz na słowach jak na harmoniki kręgach, Ty, o którym Tymon Ateńczyk pisze mi, żeś oczarował wszystkie rodaczki w Londynie wdziękiem i łatwością elokwencji oraz zręcznością konika polnego w przeszkakiwaniu z tematu na temat, Ty, w którego rękach mowa polska (a Lidia zapewnia mnie że i francuska) jest niezrównanym w swojej celności łukiem, bądź miłościw mnie grzesznemu, rzuconemu przez los na neapolitańską pustynię beztemacia. Bądź miłościw i bądź cierpliwy. Nie opuszczaj mnie korespondencyjnie, pisz o wszystkim, co się u Was dzieje, i czekaj chwili, i koło mnie zacznij się coś dziać. Bo tymczasem dzieją się tylko rzeczy trywialne i codzienne, których nie odważyłbym się nigdy pomieścić w listach do CIEBIE, Maestro, i które bardziej na miejscu będą w liście do Barbary [Palester] (jeśli nań zechcesz rzucić znudzonym okiem). Salutissimi, padam do nóżek i dotykam nieśmiało końców palców artysty–muzyka i redaktora – Gustaw [...]”. Kolekcja Romana Palestra w: Archiwum Kompozytorów Polskich XX wieku – BUW (dalej: AKP – BUW).



Im częściej pojawiał się na antenie RWE, tym intensywniej wymazywano go z polskiej tradycji muzycznej: nazwisko skreślono ze wszystkich publikacji, wydawnictw, encyklopedii, muzyki Palestra nie można było grać ani pisać o niej, a utwory wydane drukiem odesłano na przemiał i skonfiskowano egzemplarze biblioteczne, kontrakty wydawnicze – anulowano. Nie można zapominać też o reperkusjach płynących z tych faktów dla kompozytora na Zachodzie. Brak regulacji do praw autorskich utrudniał, a wręcz uniemożliwiał, granie jego muzyki po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Oto twarde konsekwencje płynące z dramatycznej decyzji. O nich i o zachowaniu środowiska pisze w *Prawdzie źle obecnej* tak: „Co do reakcji środowiska, to ograniczyła się ona w pierwszym okresie do odebrania mi – z nakazu władz – członkostwa ZKP pod dwoma najzupełniej kłamliwymi zarzutami<sup>24</sup>. Koledzy nie potępiali mnie, ale wiadomości na ten temat przeciekały z trudnością – proszę nie zapominać, że odcięcie od świata zewnętrznego, nazwane dość niezgrabnie »żelazną kurtyną«, istniało jednak naprawdę. W pierwszych latach żadne listy do mnie nie dochodziły i kontakt polegał jedynie na spotykaniu się z artystami, którzy wyjeżdżali też raczej rzadko. Od Geni Umińskiej i Ewy Bandrowskiej, od Sztompki czy Drzewieckiego wiedziałem, że wśród tych, z których zdaniem się liczyłem, nie tylko nie było ludzi, którzy by mnie potępiali – ale przeciwnie, wszyscy uważali, że mam rację. I wszyscy uważali, że należy mówić jak najwięcej i krytykować ostro nowy układ stosunków. Robiłem to.

Były te postawy bardziej skomplikowane: z najlepszym przyjacielem, Ochlewskim, pokłóciliśmy się śmiertelnie – od kiedy mogli-

---

<sup>24</sup> List z 19 kwietnia 1951 podpisany przez prezesa ZKP Witolda Rudzińskiego informuje Palestra m.in. o tym, że: „[...] Zarząd Główny ZKP komunikuje Panu, że wobec złożonej przez Pana rezygnacji z obywatelstwa polskiego oraz biorąc pod uwagę Pańskie nieetyczne postępowanie wobec Zarządu ZKP, jednomyślną uchwałą z dnia 7 kwietnia 1951 r. pozbawił Pana członkostwa Związku Kompozytorów Polskich. Uchwałą powyższą Zarząd Gł. ZKP powziął z tym większym żalem, że dotyczy ona tak wybitnego jak Pan artysty”. Dokument relegowania Palestra z ZKP znajduje się w: Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

śmy korespondować. Uważał, że »zdradziłem« i potępiał mnie, jak to między przyjaciółmi, najgorszymi słowami, ale w podtekście tego, co pisał, wyczuwało się zawsze jakąś przyjacielską czułość i jak gdyby pewien specjalny typ zazdrości – że ja mogę mówić, a inni nie! Ale przecież ja też nie byłem swobodny o tyle, że musiałem ciągle myśleć o tym, aby nie narażać ludzi w kraju... [...]

Tymczasem sprawy układały się w ten sposób, że po październiku 1956 udało się doprowadzić do kilku wykonań mojej muzyki pod dyrekcją przyjaciół – jak Krenz, Wodiczko i Skrowaczewski. A w prasie upomniał się o mnie pięknie Bogusław Schaffer – za co mu jestem głęboko wdzięczny. Ale potem rzeczy poszły utartym szlakiem martwej rutyny, to znaczy: co kilka lat jakieś wykonanie, oczywiście możliwie bez rozgłosu i bez recenzji.

Trzeba też zwrócić uwagę na nowe w polskich stosunkach zjawisko autocenzury. Z upływem lat represje administracyjne w stosunku do mnie były coraz mniejsze, natomiast środowisko bało się stosunków ze mną bardziej, niż to było potrzeba. Wystarczy przypomnieć, jak Zbinio Drzewiecki – z którym i przed wojną, i po niej robiliśmy wspólnie sporo rzeczy – wykastrował swoje wspomnienia z jakiegokolwiek mojej obecności<sup>25</sup>. Inni też to robili, ale w wielu wypadkach ta autocenzura sięgała daleko poza konieczność.

Podobnie było z wykonaniami. Bano się nie jakiegoś »zakazu«, ale reakcji bardziej odległej, która mogła przyjść po kilku miesiącach, albo i później, w postaci na przykład odmowy paszportu... Ba, ta »autocenzura« odbiła się w swoisty sposób nawet za granicą – głównie w Niemczech Zachodnich. Kiedy Brandt zrobił szerokie »otwarcie na Wschód«, kiedy zapanowały żywe i przyjacielskie stosunki między polskim a zachodniemieckim życiem muzycznym, my, pracujący na Zachodzie, staliśmy się przez samo nasze istnienie pewną przeszkodą w łatwym ułożeniu stosunków. [...]

---

<sup>25</sup> Zob.: Zbigniew Drzewiecki, *Wspomnienia muzyka*, Kraków 1971.



*Podczas uroczystości wręczenia Nagrody Polskich Oddziałów Wartowniczych przy Armii Amerykańskiej w Europie. Od lewej: Witold Małcużyński, Roman Palester, Andrzej Panufnik, Tymon Terlecki, Londyn 1955*

Zdigitalizowano i udostępniono w ramach projektu pn.

Rozbudowa otwartych zasobów naukowych Repozytorium Uniwersytetu w Białymstoku,  
dofinansowanego z programu „Społeczna odpowiedzialność nauki” Ministra Edukacji i Nauki na podstawie umowy SONB/SP/512497/2021

Natomiast kiedy w r. 1963 Tadeusz Kaczyński zrobił ze mną duży wywiad dla »Ruchu Muzycznego«, władze zażądały od Mycielskiego – który wtedy był redaktorem naczelnym »Ruchu« – aby usunął Kaczyńskiego z redakcji. Myciel odmówił, ofiarowując w zamian własną dymisję. Nie przyjęto jej i powoli sprawa przyschła, ale Kaczyńskiemu za karę przez szereg lat odmawiano paszportu. Dopiero w drugiej połowie lat 70. cenzura skasowała tzw. zapis w stosunku do Panufnika i do mnie, ale nie przyniosło to żadnej wyraźnej poprawy w częstotliwości wykonań. [...]

Zgrane i bardzo mocne koterie kierują polskim życiem muzycznym w nieopisanej zgodzie z czynnikami oficjalnymi. Te koterie szeregują kompozytorów w różnych klasach i kategoriach – bynajmniej tego zresztą nie ukrywając...”<sup>26</sup>.

Trzeba jednak podkreślić, że rzeczowość i względna powściągliwość emocjonalna przygotowywanego wystąpienia jest godna podkreślenia. Szczególnie, jeśli uzmysłowimy sobie zakres i czas restrykcji, jakie spotkały Palestra. To zapewne efekt upływu lat, jako takiego oswojenia się z własnym losem, z ciosem, jaki przyjął kompozytor w myśl marsjaszowej „powinności”. Nie znaczy to jednak wcale, by dramat powojennej ucieczki z kraju został przepracowany do końca, szczególnie renegacja ze Związku Kompozytorów Polskich pod fałszywym i wyjątkowo nieuczciwym pretekstem – rzekomej rezygnacji z polskiego obywatelstwa (nigdy Palester nie wyrzekł się obywatelstwa, co było źródłem jego rozlicznych kłopotów związanych z pobytem na Zachodzie i poruszaniem się po świecie) oraz „nieetycznego zachowania” – kwestia w ogóle niejasna i w dokumentach oficjalnych nieznajdująca potwierdzenia, to cios od losu, z którego – jak mówił – nigdy do końca się nie podźwignął.

---

<sup>26</sup> *Prawda źle obecna* – maszynopis wystąpienia przygotowywany na krajową konferencję „Muzyka źle obecna”. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

Dla Palestra egzul nie zaczyna się jednak wraz z samą emigracją, doświadczany jest znacznie wcześniej, co – jak już wspomniałam – kwestionuje pogląd, że lata 1945–1948 były okresem względnej swobody; w świetle wspomnień autora, poczucie absurdu i doświadczenie odgórnego ograniczania działań spontanicznych i obywatelskich ma miejsce znacznie wcześniej, jeszcze przed rokiem 1949. Powojenne początki odbudowy kojarzy kompozytor z ogromnym wysiłkiem środowiska, które postawiło sobie za cel możliwie jak najszybsze dźwignięcie z gruzów instytucji polskiego życia kulturalnego. Szlachetnej inicjatywie towarzyszyły jednak frustracje, których źródeł upatruje on: z jednej strony w triumfalizmie i hałaśliwości propagandy rządu lubelskiego, budzącej entuzjazm dla niemal nadludzkiego heroizmu, z drugiej zaś – w pesymizmie części środowisk intelektualnych i artystycznych, który wynikał z wiedzy o konsekwencjach porozumień jałtańskich, z pamięci o krzywdach i z liczenia strat, wreszcie z przekonania, że spełniła się apokalipsa w tragicznym scenariuszu dziejowej konieczności. Jeśli dodamy do tego poczucie zupełnego rozminięcia się sfery intencji władzy (oczywiście publicznie artykułowanej) ze sferą praktyki, to obraz spraw krajowych, jaki się z tego świadectwa wyłania, między rokiem 1945 i 1948, jest ponury. Rozminięcie się oczekiwań społecznych z ich realizacją, schizofreniczność tej sytuacji, jej fałszywość Palester odczuwa jako coś, co będzie w dłuższej perspektywie nie do zaakceptowania.

Egzul zrodził się ze sprzeciwu wobec tego, do czego zmusza się artystę w PRL-u. Jazgot każdego dnia, nieustanne roszczenia władz w stosunku do artystów, mogły stać ostatecznie (i to jest zrozumiałe i przekonujące) u podstaw jego własnej decyzji o wyjeździe na Zachód jesienią roku 1946, by choć przez pewien czas w innym otoczeniu pozbierać myśli i nuty... Wystarczyły więc dwa lata (a przecież były to lata intensywnej pracy wykonywanej w dobrej wierze), by poczucie wyobcowania przybrało całkiem realne kształty.

Zofia Helman w monografii poświęconej kompozytorskiemu dziełu autora *Wisty* przytacza jego listy do Tadeusza Ochlewskiego, które świetnie ten problem ilustrują. Oto przykład (zapis z 1947 roku): „[...] rozumiesz, że w takiej atmosferze nie mam ochoty żyć – pisze Palester – i dałbym bardzo wiele, żeby z niej móc się wyrwać definitywnie. Nie widzę możliwości spokojnej pracy dla siebie w kraju, jeśli olbrzymia większość kolegów ma być na mnie wściekła tylko za to, że ja piszę muzykę, a oni nie. Ostatecznie na palcach jednej ręki mogę wyliczyć kolegów, jak Wiechowicz, Lutosławski albo Malawski, którzy byli dla mnie zawsze lojalni”<sup>27</sup>.

Wyjazd na Zachód na pobyt czasowy związany z kontraktami był – jak się można domyślić – oddechem, czasem danym dla komponowania w skupieniu. Palester naiwnie – rzecz jasna – sądził, że stan taki, tzn. formalny związek z krajem, reprezentowanie kraju na forum europejskim, będzie trwał bez zakłóceń i długo, jeśli nie zawsze. Można sądzić, że nie do końca zdawał sobie sprawę z konsekwencji płynących z referendum 1946 roku oraz wyborów roku 1947; może nie uważał wówczas, że władza w stosunku do kultury przybierze kurs totalitarny, że stanie się w praktyce dyktaturą jedyne go stylu. Jednak i to wydaje się mało prawdopodobne. Chciał w istocie pozostać na Zachodzie i tam reprezentować kraj, o emigracji *sensu stricto* nie myślał. Ochlewski – jak pisze Helman – zajmuje się jego krajowymi sprawami, z kolei na Zachodzie sprzymierzeńców kompozytor próbuje pozyskać sam. W liście do Feliksa Łabuńskiego z 19 października 1947 Palester pisze: „Niesłychanie niezdrowa i demoralizująca atmosfera polityczna w kraju wpływa fatalnie zarówno na twórczość, jak i na charaktery ludzkie. Koledzy żrą się między sobą niesłychanie, a co najważniejsze, prawie nie piszą. Każdy jest zajęty gonitwą za coraz to bardziej lukratywnymi i wpływowymi stanowiskami, niektórzy powstępowali nawet do partii (PPR, tzn. komu-

<sup>27</sup> List do Tadeusza Ochlewskiego (z 17 stycznia 1947); Archiwum PWM w Krakowie – podają za: Zofia Helman, *Roman Palester. Twórca i dzieło*, Kraków 1999, s. 160.

nistycznej) [...] woleliśmy oboje z żoną »zmienić grunt pod nogami«, choć tutejsze moje warunki materialne, mieszkaniowe itd. nie mogą się równać z tym, co mieliśmy w Polsce. [...] Zresztą oczywiście nie możemy sobie pozwolić na »zerwanie« z krajem i od czasu do czasu tam jedziemy, przeważnie ze względów zarobkowych”<sup>28</sup>.

Przebywający poza krajem twórca liczył na szczerą korespondencję; nie zakładał w praktyce ostrej ingerencji cenzury czy też autocenzury piszących. Listy, które doń wysyłałi koledzy, były jednak dość asekuracyjne, co być może go dezinformowało, a na pewno konfundowało. Atmosfera wokół niego w kraju coraz bardziej „gęstniała” i miała bezpośrednie przełożenie na niestabilizowanie się sytuacji w Paryżu: był reprezentantem kraju „w delegacji” na Zachodzie, był tam grany (Barbara Palester reprezentowała też PWM za granicą), pełnił też rolę promotora polskiej muzyki współczesnej. Zarzucał Ochlewskiemu ostry i chłodny ton korespondencji, ale nie uwzględniał w tym czasie uwarunkowań tych, którzy działali w Polsce, i to był niewątpliwie problem rzutuający na jego nieformalne kontakty z konkretnymi osobami ze środowiska. Nie przybył do Wrocławia na Kongres Pokoju, krytykował opieszałość wydawnictw krajowych w związku z publikacjami jego partytur, wytykał brak profesjonalizmu, słowem – był niecierpliwy, pryncypialny i wymagający. Nie przyjmował do wiadomości, że idą „nowe czasy”, gdzie nie profesjonalizm miał odgrywać rolę decydującą, a możliwość balansowania na powierzchni nowo tworzącej się rzeczywistości PRL-u<sup>29</sup>. Nawet po zjeździe kompozytorów w Łagowie – mimo niesmaku – nie był jeszcze zdecydowany na emigrację, planował operę do libretta Jarosława Iwaszkiewicza, z czego nic oczywiście nie wyszło, realnie rozważał zatem propozycje Włodzimierza Sokor-

---

<sup>28</sup> Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>29</sup> O wysiłkach przyjaciół ze środowiska pracujących na rzecz Palestra pisze Z. Helman w: *Roman Palester...*, dz. cyt., s. 160-172.

skiego związane z pracą artystyczną, chciał być obecny muzycznie w kraju, tworzyć na Zachodzie, pozostając tam jak najdłużej.

Projekt z istoty szalony i karkołomny nie mógł się powieść – Palester był w kraju coraz bardziej marginalizowany, cenzurowany, co miało zmusić go ostatecznie do powrotu. Taki był niewątpliwie strategiczny cel decydentów. Jesień 1949 roku okazuje się decydująca. W liście do Kasserna pisze szczerze o swojej trudnej i niejasnej sytuacji we Francji tak: „[...] byłem ostatni raz w zeszłym roku na »konferencji« w Łagowie, udało mi się wrócić, ale teraz już by się pewno nie udało. Dotychczas musiałem jeszcze »być w zgodzie« z nimi, bo żyję tutaj wyłącznie lub prawie wyłącznie z tego, co mi ZAiKS lub »Film Polski« przekazywali z moich dochodów. Żadnych moich praw autorskich zarabianych tutaj nie wolno mi tu inkasować. Jako członkowi ZAiKS-u odsyłają Francuzi wszystkie pieniądze dla mnie do Polski. Teraz jestem bez ważnego paszportu, ale »niby« ambasada mnie uznaje (choć coraz chłodniej). [...] Znikąd nie mogę się doczekać pomocy, czyli że jeśli się nic nie zmieni, to za miesiąc czy dwa będę musiał pokajać się i wracać do Polski po to, aby z niej więcej nie wyjechać (a może nawet i gorzej, bo oni wiedzą, co ja tu gadam, a jak wiesz, zawsze byłem »niewyparzony« w pysku!). [...] Smutny jest los nas wszystkich, jakieś takie pokolenie i w ogóle naród – chciałoby się powiedzieć – »zapomniany« od Boga i ludzi»<sup>30</sup>.

Pobyt czasowy w Paryżu był zatem swoistym przedsmakiem emigracyjnego wygnania. Przedsmakiem, bo wszystko, co stało się później, smakowało podobnie gorzko, tyle że niejako pomnożyły się źródła tej goryczy. Nie może kompozytor ułożyć satysfakcjonująco swoich relacji z krajowym establishmentem z jednej strony, z drugiej zaś – przyjmowany z rezerwą przez emigrację, choć – co ważne – nie spotkał się z tej strony z jakimś wyraźnym ostracyzmem, ale nie czuł się i zachęcony przez nią, by móc zdecydować o zerwa-

---

<sup>30</sup> List Palestra do Tadeusza Z. Kasserna z 26 maja 1950 (Paryż). Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).



niu swoich kontaktów z krajem. Nie mniejsze znaczenie dla podjęcia takiej decyzji miał potencjalny jej odbiór przez opiniotwórcze elity zachodnioeuropejskie – a te, w przewadze lewicowe, niezbyt sprzyjały podobnym poczynaniom. Między rokiem 1947 i 1950 towarzyszą Palestrowi perypetie, które z czasem skumulowane dojrzeją do rozstrzygnięcia: nie mógł już dłużej przebywać w kraju, nie mógł też na prawach „gościa” pozostawać w nieskończoność na Zachodzie, ponadto nie chciał być doświadczany „piekłem” pełnej banicji, ale tę ostatecznie pieczętowała decyzja o zerwaniu z PRL-em.

Na konsekwencje nie trzeba było długo czekać. Rozpoczął się czas przeżywania pełnowymiarowej izolacji: był odcięty, choć na krótko, od przyjaciół z Zachodu (kompozytorów i wykonawców), postrzegany był bowiem jako niepewny intelektualista zrywający ze swoją „postępową” ojczyzną, od kraju, z którego nie wpływały tantiemy za kompozycje i wykonania, od emigracji politycznej, dla której był podejrzany, jako człowiek z PRL-u, potencjalny komunista czy może kryptokomunista.

Sytuacja z gruntu nie do pozazdroszczenia, którą niejako potwierdzają słowa komentarza sprawozdawcy „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” z 25 sierpnia 1950 roku: „Roman Palester, znany kompozytor polski, znalazł się w Polsce na indeksie jako »formalista« i muzyk ulegający wpływom Zachodu. Wezwany do powrotu do kraju, Palester odmówił i pozostał w Paryżu. Palester jest pierwszym wybitnym przedstawicielem sztuki z za żelaznej kurtyny, który wybrał »wolność«”<sup>31</sup>. Inny komentator radia z Baden-Baden po prawykonaniu *Wistły* na XXIV Festiwalu Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej w Brukseli, doniósł bez konsultacji z kompozytorem, że ten wybrał wolność. Od tego momentu sprawy zawodowe twórcy w kraju potoczyły się błyskawicznie: złożył rezygnację z członkostwa w ZAiKS-ie (w konsekwen-

---

<sup>31</sup> Z rozmowy Jagody Jędrzychowskiej z Palestrem, w: tejże, *Widzieć Polskę z odalenia*, dz. cyt., s. 83.

cji został skreślony z listy członków), wystąpił o rozwiązanie umów wydawniczych do PWM-u, mając nadzieję, że kiedyś, jak powiedział, „przyjdzie taki moment, w którym z największą radością będę mógł odnowić moje stosunki z PWM”<sup>32</sup>. Niebawem doszły go wieści o skreśleniu go z listy członków Związku Kompozytorów Polskich.

Nie udało mu się zatem do końca w sposób cywilizowany przeciąć węzłów gordyjskich, nie udało się także finansowo zabezpieczyć przyszłości na emigracji dzięki tantiomom, a pieniądze przeznaczone na ewentualne skwitowanie kosztów pobytu na Zachodzie, okazały się niewystarczające – zostały przede wszystkim użyte w innym celu, niż wymagały tego odeń władze krajowe.

Naraził się wszystkim: decydentom, najprawdopodobniej niezbyt przychylni decyzji wyjazdu byli przyjaciele kompozytorzy, przypisujący mu „zdradę” interesów własnego środowiska, a gdyby znali jego ówczesne dyskretne próby zmierzające do pozostania na Zachodzie, byłiby mu może i wrodzy. Naraził się twórcom zachodnioeuropejskim, którzy w marksistowskim eksperymencie upatrywali jakiejś odmiany własnego losu, a w tym i bardziej uprzywilejowanej roli sztuki; wreszcie – emigracja polityczna nie była przychylna, choć nie można powiedzieć, by była mu wroga. Decyzję raczej przyjęła z rezerwą i oczekiwaniem na rozwój wypadków. Można uznać, że zwłaszcza lata 1949–1951 były dlań dramatem „spełnionego egzulu”. Jednak etap kolejny miał nastąpić niebawem; wiązał się z zatrudnieniem w Radiu Wolna Europa. I ta praca zdecydowała o wyjątkowo konsekwentnym zapisie cenzury; stał się odtąd nie tylko nieposłusznym kompozytorem, ale przede wszystkim wrogiem, „reakcyjnym” emigrantem politycznym, którego należało zwalczać wszelkimi dostępnymi środkami. Najskuteczniejszy i najdotkliwszy okazał się totalny zapis na jego muzyczne dzieło. Nie mógł Palester wiedzieć wszystkiego o dotkliwości wyroku, na jaki go skazały

---

<sup>32</sup> List Palestra do PWM w Krakowie, pisany 25 kwietnia 1951 (Archiwum PWM w Krakowie).

władze PRL-u w roku 1951, kiedy pisał *Konflikt Marsjasza* – znał głęboki sens antycznej tragedii, ale nie wiedział wówczas jeszcze, w jakim stopniu jej przesłanie i jego dotyczy, mimo że domyślał się wielu najgorszych rzeczy.

Na pewno na godną podziwu rzeczowość i głęboko skrywany sentyment do kraju (to uczucie z pewnością mu towarzyszyło) stać było twórcę co najmniej od lat 60.; wówczas spotkały go miłe wydarzenia na Zachodzie: w 1961 roku otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej za *Śmierć Don Juana*, a w 1965 – nagrodę Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego w Nowym Jorku za całokształt twórczości, poza tym kompozycje powstałe na wychodźstwie prezentowane były w zachodnich radiostacjach. Wolna Europa z dość dużą regularnością prezentowała muzykę swojego publicyisty i nadawała audycje mu poświęcone – profile, wywiady<sup>33</sup>. Ale czy nagrody zdobyte później mogły wymazać gorycz doświadczeń sprzed Łagowa i z samego Łagowa? Czy pobrzmiwające przez lata echo „zdrady” przyjaciół w kraju (a o zdradę był posądzany), pozostawienie ich w warunkach opresywnych; szczególnie męczący i mający swój ciężar gatunkowy zawód środowiska, z którym aktywnie współpracował między 1945 i 1947 rokiem, także podczas wojny i okupacji, a który kładł się cieniem na wiele kolejnych lat, nie był paliwem napędowym wolnoeuropejskiej publicystyki „interwencyjnej” Palestra?<sup>34</sup> Jestem głęboko przekonana o tym wszystkim; gorycz po tym, co się stało, nigdy go nie opuściła. Tak smakowała emigracja.

---

<sup>33</sup> Na przykład: *Profil Romana Palestra*, autorstwa Jacka Michniewicza („Program Specjalny”, 25 marca 1978. Archiwum RWE, w: Narodowe Archiwum Cyfrowe), *Portret Romana Palestra*, autorstwa Pawła Zaremby („Panorama”, nr 3890 z 23 września 1969), tamże.

<sup>34</sup> Więcej na temat publicystyki kompozytora w mojej książce: *Radio Wolna Europa na emigracyjnych szlakach pisarzy. Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski, Roman Palester, Czesław Straszewicz, Tymon Terlecki*, Kraków 2007, tu: rozdział o Romanie Palestrze.

Bycie między Ugolinem a Ulisesem spalało do żywego, szczególnie na początku lat 50. i w czasie odwilży, kiedy wydawało się (a pewne nadzieje wiążą się z liberalizacją), że możliwy będzie jego artystyczny powrót do Polski. Pewne propozycje z kraju otrzymuje – mimo że równolegle na antenie RWE wygłasza dość sceptyczne uwagi o odnowie życia politycznego i kulturalnego – jednak nie zamierza ich przyjąć na warunkach mu nieodpowiadających. Palester w istocie jest pryncypialny, nawet radykalny i skłonny do podjęcia maksymalnego ryzyka. Budzi szacunek ta jego pełna wewnętrzna zgodność, integralność człowieka z jego dziełem, słownym (publicystycznym) i muzycznym, zgodność zapewne wypalająca wewnętrznie, rujnująca nerwy, męcząca, przepełniona powracającymi falami wątpienia zarówno w sens oporu, jak i w gest niezgody. Ale i na to wszystko, co rujnuje psychikę i wypacza ducha, znajduje antidotum.

Im świat zdaje się mieć tragiczniejszy rys, tym silniejszą wymowę ma dlań wiara w jego celowość i w konieczność jego akceptacji wyrażanej w poddaniu się prawdom wiecznym. Perspektywa „prawd wiecznych” przekłada się w istocie na pragmatykę codzienności, jest stałym punktem odniesienia, decydującym zarówno o sprawach drobnych, jak i znaczących. Oto przykład. Robert Satanowski i Andrzej Szwalbe na początku 1957 roku zaproponowali twórcy współpracę literacką. Jej szczegóły nie są mi bliżej znane, z odpowiedzi Palestra możemy się pewnych kwestii jedynie domyślać. Ale nie o szczegóły tej współpracy chodzi, a przede wszystkim o atmosferę zmiany odwilżowej i jej reglamentowane ramy, które nie pozwalają kompozytorowi przyjąć propozycji. Nonkonformizm Palestra obejmuje całość jego publicznej wypowiedzi: muzyki oraz publicystyki. Pisze w odpowiedzi autorom listu 24 lutego 1957: „Drodzy Panowie, list Panów z propozycją współpracy sprawił mi prawdziwą i niekłamana przyjemność. Jeśli pomimo tego okoliczności zmuszają mnie do zrezygnowania z przyjemnej ewentualności takiej współpracy, to winien jestem Panom kilka słów wyjaśnienia:



*Roman Palester i Andrzej Panufnik  
na balkonie monachijskiego mieszkania Palestrów,  
1955*

Jestem z zawodu wyłącznie kompozytorem i znacznie łatwiej przychodzi mi pisanie nut aniżeli tekstów słownych. Kilka lat temu wziąłem co prawda pióro, ale zrobiłem to wyłącznie w celu walki z tym wszystkim, co wówczas gnębiło krajowe życie muzyczne i artystyczne. Dziś ten okres wydaje się powoli przechodzić do przeszłości i wszyscy mamy nadzieję, że artyści będą mogli wypowiadać się coraz swobodniej i w sposób nieskrępowany. Że proces ten dopiero się zaczął – i że daleko mu jeszcze do pełnego rozkwitu – wnoszę to z tego, że na przykład moje utwory wydają się być w dalszym ciągu na indeksie. I to zarówno nowe, napisane na uchodźstwie, jak i dawniejsze, które w najgorszych latach socrealizmu zostały wycofane z katalogów, a może po prostu zniszczone. A przecież widać – choćby z ciekawych programów Filharmonii Pomorskiej – że zakazy zostały w przeważnej mierze uchylone. Wnoszę z tego, że istnieje jakiś specjalny zakaz dotyczący mojej twórczości.

Ten smutny fakt uniemożliwia mi – miejmy nadzieję na razie – współpracę literacką z instytucją kierowaną przez Panów. Sami Panowie rozumieją i na pewno przyznają mi rację, że nie mogę zaczynać współpracy literackiej, jeśli równocześnie nie wolno – z powodów, które pozostają dla mnie w obecnej chwili niezupełnie zrozumiałe – grać mojej muzyki”<sup>35</sup>.

<sup>35</sup> List R. Palestra z 24 lutego 1957. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW). Druga strona, poufna, wybrzmiewa w listach Palester – Herling-Grudziński: „Jasne, że służba w RFE przeszkadza bardzo w stosunku z Krajem – pisze Herling-Grudziński w liście z 31 stycznia [b.r., ale najprawdopodobniej 1957 lub 1958 r.] – i nie ma na to zdaje się innej rady, jak wypowiedzieć ją. Co do mnie, nie mam zamiaru tego zrobić, bo 1. nie lubię warunków, a 2. lepszy comiesięczny przekaz dolarowy w garści niż »Nowa Kultura« z przybudówkami wydawniczymi na dachu. Faktem jest, że Woroszyński szalenie się palił do przedrukowania mojego szkicu o Conradzie, a potem napisał nagle lakonicznie, że »sprawa jest już nieaktualna«. Wat pisze mi, że w ostatniej chwili weszło w grę coś, co »trudno jest wyjaśnić w liście«. Wiadomo co. Nie przejmuj się Kisielewskim i Mycielskim (Kisielewski zupełnie ostatnio zidiociał – choroba, na którą cierpią prawie wszyscy bracia Słowianie, kiedy się zaczyna »gołowokrużenie ot sukcesu«; co do Mycielskiego, to pokażę Ci przy okazji *passus* z jego listu do Giedroycia dotyczący mojej skromnej osoby...). Grunt, że Cię jednak grają i że lubią Cię młodzi. Reszta jakoś sama się ułoży – trzeba mieć tylko trochę cierp-

Były kolejne próby spełnienia warunków twórcy – nieudane; wiadomo, że grano go w kraju dość okazjonalnie, a zapis na dzieło kompozytora właściwie został uchylony dopiero u schyłku lat 80.

---

liwości i siedzieć przy stoliku z piórem w ręku, aż dupa zaboli”. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

Docierają do Palestra informacje poufne o losach jego muzyki w okresie odwilży oraz zachowaniu środowiska. W liście z 22 grudnia 1957 czytamy: „Na Twoim »Requiem« w Filharmonii Warszawskiej na Wszystkich Świętych nie byliśmy, bawiąc niestety właśnie poza Warszawą – ale koncert ten odbił się w opinii powszechnej wspaniałym echem i zbieraliśmy tylko bardzo dobre relacje. Co do zmielenia Twoich dzieł, to oczywiście był taki czas, gdy tak mszczono się na nutach. Niestety, czas większej kulturalnej rozwagi przyszedł wtedy, kiedy z kolei środki materialne na te cele stały się bardziej ograniczone, a Polskie Wydawnictwo Muzyczne, robiąc bardzo wiele dobrego, lwich serc nie posiada w nadmiarze. Jestem jednak pewien, że jego kierownicy zrobiłoby i zrobią wszystko, co mogą, w granicach oczywiście własnego świętego spokoju. Przed kilku laty fotografii niektórych kompozytorów nie zdejmowali przecież ze ściany hallu własną ręką. Słusznie skarżysz się na Kisielów i Mycielskich, bo to nie instytucje, lecz po prostu koledzy. Mamy przykłady wśród kompozytorów i literatów większego upominania się o kolegów, czego ja na przykład korzystnie doświadczyłem na sobie w ostatnim czasie. Ale cóż chcesz od nadwornego Stańczyka czy błazna, przejechałego muzyką, a nienasyconego zagadnieniami motorycznymi, jakim jest Kisiel, lub od człowieka, któremu się zdaje, że został instytucją, jakim jest Mycielski, ze wszystkimi konsekwencjami tego złudzenia. Natomiast normalni ludzie w Polsce, kochający muzykę pamiętają dobrze i bardzo cenią Twoją twórczość. Ostatnio obracam się dużo w sferach teatralnych. Niejeden z dyrektorów chętnie by widział Twoją operę muzyczną jakiegoś wybitniejszego spektaklu, a Dejmek, dyrektor Teatru Nowego w Łodzi, ten sam co przed rokiem wystawił mi »Święto Winkelrieda«, mówił mi przed kilkoma dniami, że każdej chwili gotów byłby starać się o pozwolenie zamówienia od Ciebie na muzykę. Mówię o pozwoleniu, gdyż prócz innych oporów musiałby pokonywać obwarowania przy szluzach dewizowych, ale to są już sprawy pozaartystyczne i pozakołożeńskie. Mam wrażenie jednak, że umiałby wyargumentować. Miłe słowa, które mi przysłałeś, są mi pociechą, że w ciągu tych 10 lat od naszego niewidzenia się, a mego powrotu do kraju, nie wszystko, co starałem się robić, poszło na marne. Sądzę, że jeżeli nie zostały poczynione stenogramy z wielu jazdów i dyskusji, które nie były publikowane, można by mieć pełniejszy obraz kotłowania przez te lata naszych kolegów i mojej. Może byś i Ty wtedy również miał mniej powodów do rozgoryczenia na niektórych. Teraz na przykład dojdą was relacje ze zjazdu walnego literatów w Poznaniu, że był krótki i milczący. W istocie zaś to, co zostało na nim powiedziane lakonicznie i półgębkiem, może mieć nie mniejsze znaczenie niż zeszlóroczne fajferwerki, które tak wielu ekscytowały. Na tym samym tegorocznym zjeździe poznańskim wieczór autorski kilkunastu poetów był absolutnie jednoznaczny: twardy, a przecież nam idzie nie o popisy na obradach, lecz o przemawianie do ludzi wspólnym językiem z nimi. [...] Jerzy Zagórski”. Tamże.

Prób unormalizowania stosunków z krajem korespondencja Palestra zdradza całkiem sporo. Wszystkie one jednak obarczone są cieniem ograniczenia, zapewne z powodów cenzuralnych niewysłowionego. Korespondujący z kompozytorem piszą wprawdzie o możliwości współpracy, ale w bardzo wąskim zakresie i bez perspektywy stabilnej kontynuacji. Dla przykładu Ludwik Erhardt 4 września 1958 tak oto: „[...] korzystając z pobytu w Paryżu i łatwiejszych możliwości nawiązania kontaktu, pozwalam sobie jako jeden z redaktorów »Ruchu Muzycznego« niepokoić Pana następującą sprawą.

Redakcja nasza chciałaby w miarę swych skromnych możliwości przyczynić się do unormowania stosunków między kompozytorami polskimi przebywającymi poza granicami Polski, a polskim życiem muzycznym. Pragniemy również informować naszych czytelników o pracy i osiągnięciach kompozytorów emigracyjnych.

W związku z tym, pozwalam sobie prosić Pana o odpowiedź na załączone pytania, którą chcielibyśmy opublikować na łamach naszego dwutygodnika”<sup>36</sup>.

Sam Palester korzysta z nadarzającej się okazji i podejmuje próby unormowania swoich relacji z pozostawionymi w Polsce przyjaciółmi i współpracownikami, szczególnie z okresu krakowskiego. Symptomatyczna staje się w tym kontekście jego propozycja porozumienia się i zgody, skierowana do Tadeusza Ochlewskiego w liście z 15 października 1958: „Odsuńmy na stronę wszelkie sztywności, które ostatnio zaistniały między nami. Nie powinny one mieć miejsca między Palestrem a PWM. Przecież gdybyśmy się spotkali, to uściskalibyśmy się serdecznie i z żartem skwitowalibyśmy nasze wzajemne pretensje.

Życie biegnie wciąż naprzód. Jest skomplikowane. Istnieje mnóstwo różnych węzłów. Niektóre – niepotrzebne, zawikłane – trzeba po prostu przecinać”<sup>37</sup>.

---

<sup>36</sup> Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>37</sup> Tamże.



Ostatnie zdanie z listu twórcy potwierdza, jak bardzo zależy mu na podtrzymaniu kontaktów z niegdyś bliskimi ludźmi ze środowiska. Czuje się bowiem, mimo oddalenia, częścią tej dawnej wspólnoty muzycznej, wspólnoty – co z goryczą podkreślać będzie kompozytor w różnych miejscach – nie do odtworzenia.

Życie jest bowiem skomplikowane, a czas biegnie naprzód – kiedy się zrobiło zdecydowany, spektakularny jeden krok, konsekwencje przychodzi ponosić do końca. Żadne półśrodki autora *Śmierci Don Juana* nie interesowały: ani poniżające samoograniczenie artystyczne za cenę sławy i wygody (a tym właśnie uzasadnia serwilizm środowiska), ani koncesja, o ile – jak mówił – nie stała za nią sprawa wyższej wagi, istotna dla ocalenia niezbywalnych wartości.

Kompromisem z samym sobą, swoistym paktem była dlań praca w rozgłośni monachijskiej. Z jednej strony nie chce Palester zużywać twórczej energii, rozpraszać się, ponieważ przede wszystkim czuje się kompozytorem i język zapisu nutowego oraz świat dźwięków jest mu najbliższy, z drugiej jednakże – często w złości skreśla felietony, których ramę stanowi szeroko pojmowany styk kultury i polityki. Wie wówczas, że to, co robi, ma niejako charakter zawężonej perspektywy, może i głosem „wołającego na puszczy” (*casus* Stefana Kisielewskiego), zbiorem słów zwykle słusznych, ale niezmieniających rzeczywistości. Im więcej lat upływa mu na wygłaszaniu przed mikrofonem RWE bardziej lub mniej słusznych ocen, tym bardziej też czuje się zmęczony mizernym lub prawie żadnym tego efektem. Paradoksalnie jednak świadomość „przepadania” jego głosu w przestrzeni międzyplanetarnej, m.in. wskutek zagłuszenia, nie wpływa na obniżenie poziomu tej publicystyki. Bo i w publicystyce Palester nie pozwala sobie na taryfę ulgową, choć – co oczywiste – traktuje to zajęcie dość doraźnie, rzemieślniczo. Pisząc dla RWE przez dwadzieścia lat (od roku 1952 do 1972) i jeszcze kilka kolejnych na prawach *freelance*, ma coraz mniej nadziei, że powrót do ojczyzny będzie kiedykolwiek możliwy. A przecież w pierwszych

latach pracy w radiu był przekonany, jak i wielu innych emigrantów, że będzie nawet możliwy znacznie wcześniej, w latach 50.

Liczył na cud, bo polski Październik nie napawał go nadzieją na ów szczęśliwy powrót, choć cieszyło go zelżenie terroru i opresywności systemu. Z kolei lata 1980–1981 to czas miłych niespodzianek, ale był to okres w jego prywatnym życiu po śmierci Barbary Palester bardzo trudny i o powrocie do Polski nie mógł być myśleć poważnie. Gdyby wcześniej nastąpiła wolność – znacznie wcześniej niż w 1989 roku – na pewno byłby już w Polsce. Pisał o tym przyjaciółom, twierdził, że nie musi mieszkać na stałe w Paryżu, by móc realizować się jako kompozytor i człowiek aktywny.

W wywiadach wracał wielokrotnie do decyzji o pozostaniu na Zachodzie<sup>38</sup>, twierdził w rozmowie z Jagodą Jędrychowską, że

---

<sup>38</sup> J. Jędrychowska, *Widzieć Polskę z oddalenia*, dz. cyt.

Szczególnie interesująca jest w tym kontekście korespondencja Palestra z Kazimierzem Wierzyńskim zdeponowana w Bibliotece Polskiej w Paryżu (zbiory nieopracowane, nr akcesji 7221/1-2), odtwarzająca jego kontakty z emigracją polityczną. Podają za: T. Wyrwa, *Z nie opublikowanych wspomnień z (nie tylko) emigracyjnego życia kompozytora Romana Palestra*, dz. cyt., s. 33-39. W świetle tych listów widać wyraźnie, że kompozytor rozważał wyjazdy czasowe na Zachód i pozostawanie tam jak najdłużej, także, choć niechętnie, brał pod uwagę emigrację już od końca 1946 r. 9 stycznia 1947 r. „[...] potwierdzał – jak pisze Tadeusz Wyrwa – że wyjazdy za granicę stają się coraz trudniejsze. Dlatego wraz z żoną postanowił wyrwać się raz jeszcze na Zachód, żeby próbować szukać gdzieś indziej »Pastwiska«. Zaznaczył jednak, że we Francji nie ma dużych możliwości. Dlatego też byłby Wierzyńskiemu bardzo wdzięczny za poinformowanie go, czy byłyby jakieś możliwości zahaczenia się w USA. Zapytuje więc, czy w ogóle kompozytor muzyki poważnej ma szansę dania sobie tam rady i czy mógłby liczyć na poparcie Polonii amerykańskiej, no i najistotniejsze: czy wpuszczoneo by ich do Stanów.

Odwrotną pocztą Wierzyński poinformował Palestra o sytuacji. Z kolei, bezzwłocznie również, dziękując za wiadomości, Palester pisał w liście z 3 lutego 1947 roku, że wiadomości te przedstawiają smutny obraz rzeczywistości. Nie oczekiwał cudów i był raczej nastawiony na ciężkie przeprawy natury zarówno moralnej, jak i materialnej, ale co go przejęło najwięcej, to »poczucie jakiegoś zagubienia, zatopienia w nicości setek tysięcy najlepszych istnień polskich«. Palester przypuszczał, że »życie na emigracji, choćby najcieńsze, ma w sumie nie tylko jakieś znamię wielkości... ale daje też maximum realnych, konkretnych osiągnięć organizacyjnych».

W liście z 28 marca 1947 roku Palester pisał, „że nie ma właściwie nic nowego do zakomunikowania, nadmienając, że nadal są na przedłużonych paszportach i nadal trudno

zawsze mylił się w polityce. Paradoksalnie, gdyby był cierpliwy i przeczekał kilka lat – od 1949 roku do odwilży – to warunki krajowe, jakie wówczas powstały, były na tyle dobre dla polskiej muzyki, że decyzja o emigracji mogła być znacznie trudniejsza, a komponowanie w kraju możliwe. Wówczas miałyby na głowie problem konformizmu wynikający z konieczności decydowania o koncesjach z władzą. Mógłby też sprawdzić, na ile jego receptura „działa”. A usprawiedliwione były dlań zawsze te koncesje, które robione są dla uratowania cenniejszych wartości, nie do wybaczenia zaś te, których intencję można by odczytać jako udzielanie się w ciągłym apologizowaniu reżimu dla zrobienia osobistej kariery. Dlatego krytycznie reagował na zachowania i gesty Jarosława Iwaszkiewicza, Andrzeja Panufnika czy Leona Schillera<sup>39</sup>.

---

im jest cokolwiek decydować, a to głównie z powodu natury materialnej. Londyńskie kontakty bez rezultatu i raczej deprymujące, szczególnie jeśli chodzi o dziedzinę kulturalną. Ano trudno, trzeba się przebijać dalej. W podobnym nastroju doniósł w liście z 11 maja 1947 roku, że w dalszym ciągu pragnęliby nie wracać do Polski [...]. Na razie, wyznawał dalej [...] znajdują się w sytuacji tragikomicznej, która na dłuższą metę jest niemożliwa do utrzymania, a bardzo pragnęlibyśmy uniknąć powrotu do kraju” (tamże, s. 33-34). W liście z 6 czerwca 1947 roku „Ubolewał nad pogarszającym się stanem rzeczy w Europie Zachodniej, co jest skutkiem wkroczenia w jakąś ponurą epokę, »w której to wszystkim, co robimy, traci coraz bardziej jakikolwiek sens«” (tamże, s. 35). 28 września 1947 roku pisał, że: „[...] pobyt w kraju bardzo go zmęczył i że nie zaprzestał starań o zostanie na Zachodzie; najlepiej byłoby dostać się do Stanów. Przypomina jednak, że to »pozostanie« na Zachodzie w dużej mierze uzależnione jest od możliwości utrzymania się, a z tym jest tutaj bardzo trudno. Jakoś dawali sobie radę, ale w rezultacie »przy takim życiu z tygodnia na tydzień ciągle staje przed nimi ewentualność konieczności powrotu do kraju, gdy tylko jakokolwiek z dorywczych spraw finansowych nie wypali«. Nie wyklucza przeto powrotu do Polski »ze względów czysto materialnych, zdając sobie zresztą całkowicie sprawę z całego tragizmu i beznadziejności takiego powrotu.»” (tamże, s. 35-36). 9 sierpnia 1950 roku Palester sumuje dwulecie, uznając je za korzystne dla własnej twórczości, choć materialnie niestabilne, i dodaje – jak czytamy za Wyrwą – „[...] na skutek nacisków kolegów krajowych, jak również z porady niektórych »emigrantów«, początkowo nie zrywał stosunków z krajem. Na dłuższą metę trudno było tę sytuację wytrzymać »i w ciągu bieżącego roku definitywnie zerwałem wszystkie stosunki«” (tamże, s. 36).

<sup>39</sup> Zob.: V. Wejs-Milewska, *Radio Wolna Europa...*, dz. cyt., tu w: *Komentarze, recenzje, felietony (wybór)*, wypowiedzi publicystyczne autora o Panufniku (s. 553-556), Iwaszkiewiczu (s. 566-568) i Schillerze (s. 569-572).

Decyzja o pozostaniu na Zachodzie także zostawiła trwałe ślady. Znamy lepiej dylematy Miłosza; Palestra są tej samej klasy, choć jego pozostaniu nie towarzyszyła „burza”, jak w przypadku poety. Być może dlatego, że Jerzy Giedroyc nie sądził, by jego opowieść o kraju i moment zerwania, mógł być również cenny ze względów propagandowych. Perturbacje kompozytora były wyciszone, niechęć do środowisk emigracyjnych także, jak się zdaje, była mniejsza, niż wobec Miłosza, ale rezerwa, zwłaszcza na początku, niemal identyczna; była to rezerwa do człowieka przybyłego zza żelaznej kurtyny, do potencjalnego „komunisty”, który przeszedł konwersję (co oczywiście nie było zgodne z prawdą).

W korespondencji Palestra z Jerzym Fitelbergiem przebywającym w USA, pojawia się kwestia owej ideowej niepewności świata muzycznego Zachodu, a szczególnie decydentów w USA, i pytanie, czy intelektualiści stamtąd powinni pisać listy polecające w sprawie kompozytora już po „wybraniu” przezeń wolności. W liście Fitelberga z 4 stycznia 1951 czytamy: „Nikt mi tego nie mówił o Was, ale mam wrażenie, że ludzie boją się dawać jakieś polecające listy w obawie, że mogą siebie wkopać, bo może ten facet kiedyś miał coś wspólnego z komunizmem. Rozumiesz?”.

Inny przykład: list z 6 października 1950, Zygmunt Nagórski z Free European Press Service pisze prawdopodobnie do Józefa Wittlina: „Dostałem Twój list w sprawie Palestra już dosyć dawno. Dopiero wczoraj jednak rozmawiałem w jego sprawie z człowiekiem, który może mu konkretnie coś pomóc. Jest nim Bill Raphael, Chief, Program Section, Radio FE [...]. Powiedział mi, że chętnie spróbuje użyć Palestra – w tej chwili na przykład szukają kompozytora na napisanie *Pieśni Wolności*, która by stała się hymnem, wezwaniem dla narodów okupowanych przez Rosję. Mój rozmówca miał wątpliwości jednak, czy Palester, który aż pięciu lat potrzebował na rozstanie się z polską rzeczywistością dzisiejszą, potrafi wczuć się

w tego typu pracę. Nie umiałem mu na to odpowiedzieć, dzielając sam jego wątpliwości<sup>40</sup>.

Podjęcie pracy w RWE w świetle takich uwag – to znak opowiedzenia się twórcy po jednej stronie politycznego, zimnowojennego konfliktu. Może także liczył, przynajmniej przez pewien czas, że dzięki historii zatrudnienia w radiu będzie mu niejako łatwiej uzyskać amerykańską wizę.

Osobiście ten argument odrzucam. Zbyt dobrze był informowany przez Fitelberga, ostrzegany przez Wierzyńskiego<sup>41</sup> o codziennej mitrędze kompozytora muzyki poważnej w świecie królującej popkultury w Ameryce, by mógł rzeczywiście porzucić Europę i wyjechać do USA. Ale oczywiście ten wariant rozważał, służyły temu konkretne pytania kierowane do wspomnianych korespondentów. W Wolnej Europie otrzymał dość satysfakcjonujące warunki zatrudnienia. Wynika to z listu Nowaka-Jeziorańskiego, który pisze do Palestra: „[...] serdecznie cieszę się, że będę miał Pana w gronie moich współpracowników. Ze swej strony mogę Pana zapewnić, że uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, by umożliwić tu Panu pracę, której znaczenie dla polskiej kultury w pełni doceniam<sup>42</sup>. Wynika to także ze wspomnień samego zainteresowanego. Palester był cennym nabytkiem radia, miał za sobą występ przed mikrofonem BBC – z tzw. listem–apelem kierowanym do środowiska krajowego<sup>43</sup>, opublikowane szkice w „Kulturze” o *Konflikcie Marsjasza*, *Uwagi o muzyce*, akces do podjęcia współpracy z Kongresem Wolności Kultury, jednoznaczną publiczną deklarację bycia przeciwnikiem komunizmu i przede wszystkim posiadał wiedzę o systemie

---

<sup>40</sup> Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>41</sup> Podaję za: T. Wyrwa, *Z nie opublikowanych wspomnień z (nie tylko) emigracyjnego życia kompozytora Romana Palestra*, dz. cyt., s. 33-39. Por. także: przypis 38.

<sup>42</sup> List z 28 lutego 1952. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>43</sup> Podejmuję ten wątek w kolejnym rozdziale: *Do publiczności w Polsce: Miłosz, Palester, Panufnik*.

niejako od wewnątrz. Poza wszystkim – znakomicie pisał i był w tej pracy niezwykle wydajny.

Jan Krenz w 1996 roku wypowiedział rzecz znamiennej, także znaczącą w odniesieniu i do jego sytuacji: „Kompozytora można przywrócić do życia, tylko grając jego muzykę”<sup>44</sup>. Jeśli weźmiemy pod uwagę aktywność publicystyczno-literacką autora *Wisty*, to i w odniesieniu do niej można powiedzieć to samo: można Palestra–komentatora przywrócić do życia, ogłaszając w druku jego radiowe wypowiedzi. Zarówno jedno, jak i drugie jest postulatem, oczekującym na satysfakcjonujące spełnienie. Najpierw antycypacji wymaga dramat wahań Palestra z końca lat 40., który stał się tłem dla powstania *Konfliktu Marsjasza*, oraz konsekwencje, jakie wynikały dla niego z bycia posiadaczem nansenowskiego paszportu uchodźczego – esencji emigracji, następnie – spóźniony powrót z muzycznym sednem do kraju, o radiowym nie wspominając.

Zofia Helman i Teresa Chylińska, również Jagoda Jędrychowska dużo zrobiły dla przybliżenia motywacji wychodźczych twórcy. Zwłaszcza Zofia Helman, poświęcając monografię kompozytorowi; ona także natrafiła na wiele interesujących źródeł, rzucających światło na ów dramatyczny splot życia emigranta; ważny dla zrozumienia Palestra był też zapewne jej bezpośredni kontakt z kompozytorem i publicystą, odbyte z nim w Paryżu liczne rozmowy.

## Przekraczanie egzulu

Dopiero rok 1977 stanowi pewien przełom; od tego momentu rozpoczęło się powolne wychodzenie z muzycznego niebytu kompozytorskiego dzieła Palestra. Ale na satysfakcjonujący powrót było nie tyle za późno, ile znowuż okoliczności niezbyt twórcy sprzyjały,

---

<sup>44</sup> Elżbieta Markowska, *Jana Krenza pięćdziesiąt lat z batutą. Rozmowy o muzyce polskiej*, Kraków 1996, s. 88.



*Roman Palester podczas pracy twórczej,  
lata 60.*

ponieważ rozpoczynają się w kraju lata 80., z których *gros* przypada na stan wojenny i jego mroczne konsekwencje.

Od 1972 roku już nie był etatowym pracownikiem Wolnej Europy; upłynęło więc kilka lat karencji niezbędnej, by władze PRL-u zechciały znieść zapis na Palestra. Towarzyszyły temu również inne działania o charakterze opozycyjnym środowisk intelektualnych w Polsce; one tworzyły pewną nową jakość – atmosferę jawnego oporu oraz kontestowania władzy centralnej i jej stosunku nie tylko do kultury. Skorzystał na tym twórca o tyle, że szczęśliwym trafem w 1977 roku obchodzono w kraju 50. rocznicę założenia Stowarzyszenia Młodych Muzyków Polaków w Paryżu, którego był członkiem, co ostatecznie wymusiło granie jego *II Trio smyczkowego* i *Tańca z Osmotody*.

To, poza epizodem z roku 1957, ważne i znaczące przypomnienie kompozytorskiej pracy. Były kolejne projekty, m.in. wystawienia *Śmierci Don Juana*, ale oficjalnie zostały storpedowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki z przyczyn finansowych (prawdopodobnie chodziło o płatności honorarium autorskiego w dewizach).

W 1979 roku w ramach Warszawskiej Jesieni odbyło się prawykonanie *Koncertu na altówkę i orkiestrę*, a rok 1981 był wyjątkowo dla kompozytora obiecujący: Członkowie Zarządu Związku Kompozytorów Polskich podjęli jednogłośnie uchwałę o anulowaniu decyzji z 1951 roku o skreśleniu Palestra z listy członków Związku. Otrzymał on także od Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych zaproszenie do udziału w Niezależnym Kongresie Kultury Polskiej obradującym w dniach 11-13 grudnia 1981, na który nie przybył ze względu na zły stan zdrowia, a którego ideę popierał całym sercem i którego intencje stały się niejako zmaterializowaniem wieloletniej pracy w Wolnej Europie. Oczywiście zapraszano wówczas nie tylko autora dzieł muzycznych, bardziej publicystę politycznego i intelektualistę z uchodźstwa. Tym gestem pośrednio doceniono i jego radiowe dzieło, z czego świetnie zdawał sobie sprawę on sam, kiedy dziękując za zaproszenie Janowi



Białostockiemu i Klemensowi Szaniawskiemu, zauważył: „[...] od 30 lat staram się na swój skromny sposób walczyć słowem w obronie zasad, które i Panom są bliskie”<sup>45</sup>.

Rok 1983 również należał do udanych w jego biografii artystycznej, mimo niesprzyjającej atmosfery stanu wojennego: przybył do Polski, do Krakowa dzięki pomocy księży pallotynów z Paryża i grano jego kompozycje<sup>46</sup>. Oficjalne zakazy nie zmąciły też przyjacielskiej atmosfery, jaką stworzyło środowisko muzyków i muzykologów – jak pisze Zofia Helman. Doczekał się dobrych recenzji i uznania swojej trudnej marsjaszowej drogi; byli jednak i tacy, którzy Palestrowi nie wybaczyli „zdrady” i pracy we wrogięj rozgłośni

---

<sup>45</sup> List Palestra do Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych, Paryż, 30 listopada 1981. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>46</sup> O nastrojach Palestra po podróży do Polski dowiadujemy się pośrednio z listu doń G. Herlinga-Grudzińskiego z 18 października 1983:

„Mój Kochany,

dzisiaj przyszedł Twój list, serdecznie dziękuję. Wczoraj przyjechał do Neapolu z Krakowa (na krótko, na egzaminy, będzie tu do 5 listopada) Józef Opalski, który nam szeroko opowiadał o Twoim krakowskim triumfie (jego określenie).

Dawno wiedziałem, że masz dar opowiadania, ale co innego słuchać, a co innego czytać. Twój list jest znakomity, żywy, barwny, autentyczny. I jednocześnie smutny – list człowieka, który się przez tydzień plawił w zasłużonym sukcesie, wdychając wciąż po cichu do chwili odlotu... W każdym razie dobrze się stało, że pojechałeś, jestem dumny, że moje namowy przyczyniły się częściowo do Twojej decyzji. Straszna jest tylko myśl, że nie dożyła tego Barbara: tak marzyła o wizycie w Polsce, o Twoim koncercie, ostatnio wracała w rozmowach bez przerwy do tego tematu.

Wiedziałem, że po powrocie poczujesz się może gorzej nawet niż przed wyjazdem. Ale stopniowo przekonasz się, jak dużo Ci ta wyprawa dała. Obyś tylko potrafił wciągnąć się, krok po kroku, do pracy! To jest jedyny ratunek, niełatwy do zastosowania, ale naprawdę jedyny. I to jest główna rzecz, której zawsze pragnęła Barbara. Jakbym ją słyszał odwzajemniającą z radością na początku każdego nowego spotkania: »Roman komponuje!«.

Byłem kilka dni w Rzymie, widziałem się tam m.in. z Jerzym Turowiczem. W ostatnim T.[tygodniku] P.[powszechnym] znajduję notatkę o Twoich koncertach, myślę jednak, że to tylko wstęp do jakiegoś większego artykułu. Opalski opowiada, że bardzo serdecznie odniósł się do Ciebie Penderecki. W T.[tygodniku] P.[powszechnym], moim zdaniem, powinien o Tobie napisać właśnie Penderecki”. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

RWE<sup>47</sup>. Podobnie było w roku 1987 (80. rocznica urodzin twórcy), kiedy wykonano jego kompozycje; kolejny raz bez jego obecności w kraju w roku 1988. Jak zauważa Zofia Helman, to wszystko stało się późno, by nie powiedzieć – zbyt późno. „Okoliczności zewnętrzne sprawiły, że utwory Palestra nie są dziś znane ani uznane w takim stopniu, na jaki zasługują. Ale immanentna wartość tej twórczości, jej szczególne właściwości stylu, brzmienia i ekspresji, jej wreszcie miejsce w rozwoju muzyki polskiej XX wieku – nie dadzą się pominąć ani zniweczyć. [...] I właśnie ta zdolność pokonania czasu oraz stała możliwość nowego odczytania dzieła powodują, że wszelkie oceny mają ostatecznie charakter otwarty”<sup>48</sup>.

Stefan Kisielewski w 1977 roku w dzienniku napisał też o paradoksalnym losie Palestra na emigracji; wypowiedź tę znamy z początkowych zdań niniejszego rozdziału. Za dopowiedzenie niech posłuży inny zapis Kisielewskiego. Pod datą 4 października 1979 możemy przeczytać: „Skończył się XXIII Festiwal »Warszawska Jesień«. [...] Bardzo śliczny koncert skrzypcowy Andrzeja Panufnika, także koncert na altówkę Palestra. A więc grają »emigrantów« – tylko ileż to już lat minęło. Henio mówi, że Panufnik myśli, iż go tu grają umyślnie, aby zwabić do kraju i zamknąć. Jakież idee legną się w głowach bliźnich...”<sup>49</sup>.

Nie można Kisielewskiemu odmówić celności uwagi; rzeczywiście, ludowa ojczyzna „przygarneła” kompozytorskie dzieło Palestra, stało się to jednak późno, za późno, bo z niewątpliwą szkodą dla tradycji muzyki polskiej, której luk powstałych wskutek wyłączenia z dialogu zjawisk powstających w swoim czasie, również uznawanych wówczas

<sup>47</sup> Recenzje i wywiady z roku 1983 te fakty potwierdzają, m.in.: Piotr Wierzbicki, *Gdyby istniał muzyczny Nobel...*, „Tygodnik Powszechny” 1980, nr 49; tegoż, *Meteor*, „Tygodnik Powszechny” 1983, nr 42; Adam Walaciński, *U progu nowego sezonu*, „Dziennik Polski” 7 X 1983; Leszek Polony, *Spotkanie z Romanem Palestrem*, „Tygodnik Powszechny” 1983, nr 42. Negatywną recenzję skreślił Bruno Rajca, *Bez akapitu*, „Gazeta Krakowska” 1983, nr 225.

<sup>48</sup> Z. Helman, *Roman Palester...*, dz. cyt., s. 346.

<sup>49</sup> Stefan Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1996, s. 936.

za *novum* i mogących wpływać na rozwój dyscypliny artystycznej w sposób znaczący, nie udaje się twórczo wyzyskać samym przypomnieniem po latach i „skatalogowaniem”. Ciekawe, na marginesie, że Kisielewski chwilę wcześniej, nim zagrano Palestra w Polsce, wykonał ruch w przeciwną stronę: rozpoczął współpracę z „Kulturą” Jerzego Giedroycia i z kraju (również z różnych miejsc podróży) posyłał do pisma swoje felietony, a emigracyjna agora przyjęła go (sam Palester także) na pełnoprawnego członka „wolnomyślicielskiej diaspory”.

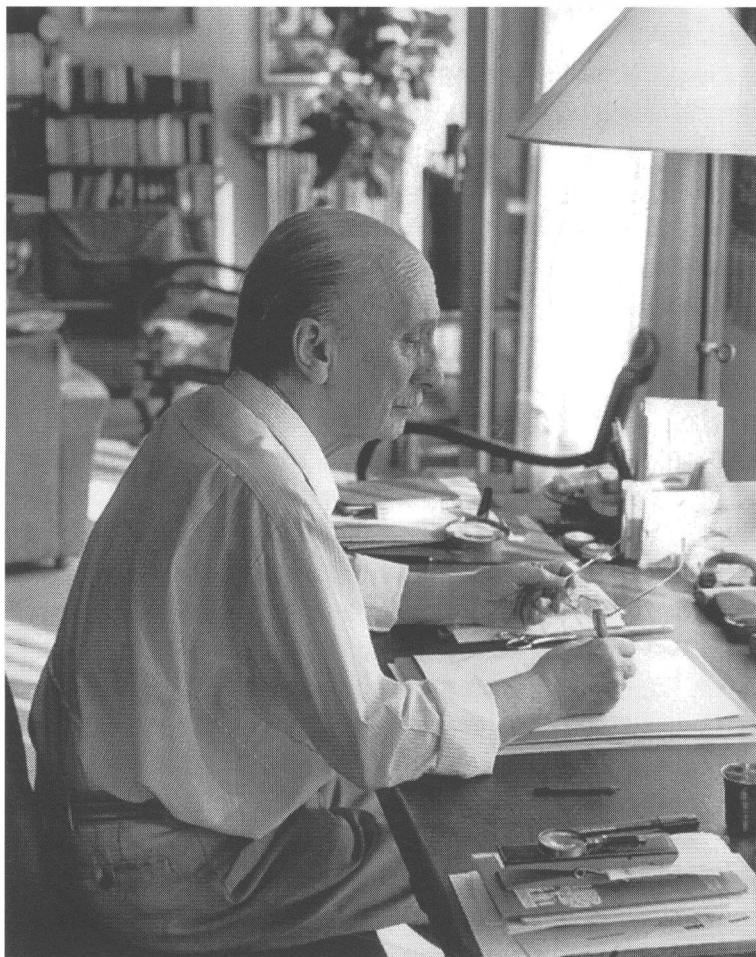
Kisielewski znał dobrze twórcę przed wojną, a po wojnie pracowali razem jako wykładowcy akademicy w Krakowie, spotkał się z nim też w Monachium, i mimo kontaktów, jak się zdaje, dość częstych i znajomości wieloletniej, nie znalazłam śladu, poza przywołanymi w tej książce, by autor *Abecadła* komentował radiową pracę kolegi. Słuchał przecież Wolnej Europy.

Palester przeciwnie – Kisielowi<sup>50</sup> poświęca kilka felietonów i próbuje docenić uparte „wołanie na puszczy” publicysty „Tygodnika Powszechnego” dobiegające z różnych miejsc i pism (zarówno z Krakowa, Warszawy, jak i Londynu, Paryża czy Monachium). Obaj jednakże przylegają metrykalnie do „pokolenia 1910”, należą do „Polski muzycznej”, wreszcie – obaj parają się publicystyką, w której polityka społeczno-kulturalna odgrywa rolę kluczową.

To ciekawa koincydencja; tak różni, a jednak tak bardzo do siebie podobni. Podobni w niezrealizowanych marzeniach: Palester pragnął jedynie pracować wśród dźwięków, publicystyka i komentarz krytyczny – to żywiły poboczne i poniekąd rozpraszające go, Kisiel natomiast komponował i pisał o muzyce, także o literaturze, a pragnął być publicystą politycznym i pisarzem z prawdziwego zdarzenia (cokolwiek miałyby to znaczyć). Wreszcie – obaj przeżywali gorycz porażki i męczącego niespełnienia.

---

<sup>50</sup> Zob.: V. Wejs-Milewska, *Radio Wolna Europa...*, dz. cyt., w: *Komentarze, recenzje, felietony (wybór)* – O Stefanie Kisielewskim, s. 557-579.



*Roman Palester w paryskim mieszkaniu, lata 80.*

Powróćmy już po raz ostatni do podstawowego kompleksu artysty, który determinował wszystkie idące pod prąd znane mi gesty kompozytora oraz publicysty RWE.

Czy było warto? Po „tej” stronie nie ma dobrej odpowiedzi. Po tej stronie jest tylko rewers – same węzły i supły, melanzowe bure barwy, chropowata i rozmazana faktura tkaniny życia. Pewne jest jedno – udało się władzy w PRL-u postąpić z twórcą tak, jak powiedział „sledowatiel” Sołżenicyna: „U nas wczoraj człowiek był, żył, a dziś go nie ma, nigdy nie żył i załatwiona sprawa”.

O ile muzyka Palestra była w kraju grana, o tyle jego komentatorski głos i eseistyka domaga się dziś przypomnienia. Publicysta RWE podjął ryzyko – i zapłacił najwyższą cenę.

Zmarł 25 sierpnia 1989 roku w Paryżu, został pochowany na Montmorency pod Paryżem, blisko kwatery Norwida, Mickiewiczów, Niemcewicza, Wata. Obok emigrantów, z których większość mocowała się z własnym tragicznym węzłem nonkonformizmu. Nie doznał satysfakcji, jaka z pewnością stała się udziałem Stefana Kisielewskiego, nie mógł przecież wiedzieć, że rok 1989 będzie znaczący, że stanie się momentem trwałego polskiego przełomu – dla niego i na to było za późno.

Do końca życia nie był pewien, czy upór, z jakim angażował się jako publicysta w Wolnej Europie i zarazem komponował, dzieląc czas między „propagandę” a „muzykę”, miał sens. I znowuż, zdaje się, zwycięża prawda marsjaszowego mitu, w świetle której ważne jest tylko to, co artysta uważa za słuszne, zgodne z jego tajemniczym kompleksem i z jego własną, gorzką prawdą życia, z Prawdą, której służy.

---



## Do publiczności w Polsce: Miłosz, Palester, Panufnik

W 149. numerze „Zeszytów Historycznych” z 2004 roku opublikowany został tekst Czesława Miłosza z 1951 roku zatytułowany wprawdzie dość enigmatycznie, jednak ze wskazaniem konkretnego odbiorcy: *Drodzy Rodacy!* Przedrukowany – bardzo fortunnie – obok innych wypowiedzi poety ze szczególnie dramatycznych dlań lat 50. w tomie korespondencji: Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz, *Listy 1952–1963*, w opracowaniu i ze wstępem Marka Kornata, ponadto przywołujący na myśl i jednocześnie dający wgląd w inne tego typu wypowiedzi „krajowców”, obywateli PRL-u, którzy w różnym czasie zdecydowali się na emigrację. Ponadto w przypisie do wypowiedzi Miłosza, Kornat podaje informację następującą: „Tekst pisany był na krótko przed oficjalnym ujawnieniem się Miłosza po »wybraniu wolności« podczas konferencji w Paryżu 15 maja 1951. Pisany był prawdopodobnie równocześnie z opublikowanym w »Kulturze« artykułem *Nie*. Po wydrukowaniu w formie *facsimile* rozsyłany był do dziennikarzy i literatów w Polsce, a także czytany na antenie Voice of America”<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz, *Listy 1952–1963*, opracował i wstępem opatrzył Marek Kornat, Warszawa 2008, s. 733.

To bardzo interesująca informacja, szczególnie jeśli się bada bezpośrednio ślady kontaktów między emigracją a krajem i próby podejmowania przez wychodźców publicznej dyskusji na tematy zasadnicze, tj.: wolności obywatelskiej, swobody twórczej, także osobistych wyborów ideowych i praktycznożyciowych.

„List” (bo tak go tu będę nazywała) i wypowiedź Marka Kornata przywodzą na myśl dwa inne „listy do kraju” i podobne inicjatywy z lat 50. nagłaśniane na falach zachodnich radiostacji. Podobnych wypowiedzi było przecież więcej. Myślę o, do dzisiaj będącej w cieniu Miłoszowego *Nie*, arcyciekawej wypowiedzi Romana Palestra oraz krótkiej, ale znaczącej w świetle wcześniejszych zachowań i decyzji artystycznych, autokrytycznej Andrzeja Panufnika z 1954 roku.

Oczywiście lista opuszczających na przełomie lat 50. i w latach 60. kraj artystów i pisarzy jest znacznie dłuższa, by wspomnieć głośniejsze wyjazdy: Marka Hłaski, Leopolda Tyrmanda czy Henryka Grynberga, ale te najwcześniejsze wydają mi się najbardziej interesujące, choćby dlatego, że tworzyły precedens (także medialny); stanowiły dla propagandy PRL-u nie lada wyzwanie, dla Zachodu zaś były swoistym testem sumienia i sprawdzianem funkcjonowania w praktyce prawideł liberalnej demokracji. Słowem – tacy emigranci, którzy zdecydowali się na upublicznienie decyzji o porzuceniu kraju za żelazną kurtyną, sprawiali na Zachodzie kłopot, mimo bezsprzecznych korzyści, jakie ich wystąpienia przynosiły przeciwnikom komunizmu.

Przed wszystkim jednak to zachodnioeuropejski establishment obawiał się destabilizacji powojennego europejskiego i na dodatek kruchego *status quo*. Dla przykładu – wyjazdy czy „ucieczki” były odbierane z nieukrywanym niepokojem przez zachodnioeuropejskie koła lewicowe, które uznawały je za niebezpieczne, bo zagrażające niepożądanym zwrotem tendencji politycznych, zwłaszcza wyhamowaniem ekspansji marksizmu i komunizmu w świecie. Z kolei – dla środowisk politycznych o wrażliwości konserwatywnej i republikańskiej, sceptycznie nastawionych do ideologii komunizmu i jego



praktyki, na odwrót – wszelkie gesty utraty wiary czy niezgody na uczestniczenie w ryzykownym i społecznie kosztownym eksperymencie (a więc i spektakularne „ucieczki”) były ważnym dowodem na potwierdzenie istnienia propagandowego *bluffu* komunistów.

Od końca lat 40. i szczególnie w okresie zimnej wojny owe wystąpienia, przemowy, listy otwarte czy wywiady z opuszczającymi radzieckie *dominium* przedstawicielami politycznego i kulturalnego establishmentu, wykorzystywane były w politycznej batalii na słowa, z rozmaitym zresztą skutkiem. Tej roli podjęli się między innymi Amerykanie, tworząc potężną strukturę wielojęzycznej radiofonii Wolnej Europy, współtworząc Komitet Wolnej Europy i współpracując z Kongresem Wolności Kultury. Instytucje te okazały się niezwykle pomocne w utrzymaniu kulturalnej żywotności emigrantów, co z dzisiejszej perspektywy widać coraz lepiej<sup>2</sup>.

Wypowiedź Palestra, o której będzie mowa, emitowana była w grudniu 1951 na falach BBC – czy towarzyszył jej papierowy wariant tekstu przesłany do kraju i konferencja, jak w przypadku Miłosza? Nie znalazłam żadnego potwierdzenia, ale to mało prawdopodobne. To jednak znamienne, bo znaczy, że tylko Miłosz miał tak widowiskową oprawę dla swojej ucieczki. Pozostanie kompozytora na Zachodzie – jak się zdaje – nie wywołało również tak głośnej „sprawy”, jak znana powszechnie sprawa Miłosza. Dlaczego? Może właśnie dlatego, że chodzi tu o kompozytora muzyki poważnej i filmowej, znanego stosunkowo wąskiemu gronu odbiorców i jedynie muzykologicznemu środowisku. Może także dlatego, że Palester do 1949 roku nie pełnił oficjalnych funkcji w zewnętrznych strukturach administracji państwowej, jak Miłosz, inaczej też wchodził w środowisko emigracyjne, nie miał antyemigracyjnych fobii – co gwarantowało raczej miękkie (choć niepozbawione problemów) lądowanie

---

<sup>2</sup> Zob.: Mirosław A. Supruniuk, *Przyjaciele wolności. Kongres Wolności Kultury i Polacy*, Warszawa 2008.

po zachodniej stronie żelaznej kurtyny. Ale bezsprzecznie był przecież uznanym twórcą, z przedwojennym dorobkiem rozpoznawalnym na Zachodzie. Dla przypomnienia podam jedynie kilka faktów: debiutował w 1931 roku *Muzyką symfoniczną*, w 1937 nagrodzono złotym medalem na Paryskiej Wystawie Światowej jego kompozycję baletową *Pieśń o ziemi*. Przy tym Palester pełnił także różne funkcje organizacyjne w przedwojennym krajowym życiu muzycznym: był sekretarzem generalnym Stowarzyszenia Kompozytorów Polskich, wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Muzyki Współczesnej, członkiem Rady Naczelnej ZAiKS-u, członkiem zarządu Towarzystwa Szerzenia Sztuki Polskiej wśród Obcych i należał do Stowarzyszenia Młodych Muzyków–Polaków w Paryżu, po wojnie prowadził klasę kompozycji w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie i został wybrany na stanowisko prorektora tej uczelni, od jesieni 1946<sup>3</sup> przebywał czasowo za granicą jako kompozytor wykonywanych na festiwalach i tam nagradzanych utworów (Londyn, Paryż, Bruksela), kompozytor – dodajmy – reprezentujący Polskę Ludową, ponadto aktywnie uczestniczący w odbudowie powojennego życia kulturalnego i muzycznego. To niemało. Wszystko to jednak być może znaczyło mniej, niż funkcja *attaché* kulturalnego ambasady polskiej w USA czy Francji, jak w przypadku Miłosza. Powody mogą być jeszcze inne.

Panufnik z kolei wypowiedział się, dlaczego „wybrał wolność” na antenie Radia Wolna Europa w 1954 roku zapowiedziany przez kolegę po fachu – Romana Palestra właśnie, wówczas od dwu lat etatowego pracownika RWE. Jego „ucieczka” była wyciszana w kraju – pozostanie na Zachodzie było bowiem szczególnie niewygodne; stanowiło konfundujący dysonans w okresie świętowania

---

<sup>3</sup> Pierwszy wyjazd związany był z wykonaniem *II Symfonii* na festiwalu UNESCO. Palester dodaje: „[...] od tej pory staraliśmy się [z Barbarą Palester – żoną kompozytora i muzykolożką – V.W.M.] przyzwyczajać władze, że nie ma powodu, abyśmy stale siedzieli na miejscu, w Krakowie – mamy prawo jeździć”. Jagoda Jędrychowska, *Widzieć Polskę z oddalenia*, Paryż 1990, s. 78.

dziesięciolecia PRL-u. Na Zachodzie jednak ją odnotowano. Panufnik był wówczas dobrze rozpoznawanym kompozytorem, identyfikowanym przede wszystkim z PRL-owską władzą, także dość gorliwym (co będą mu „krajowcy”, np. Stefan Kisielewski, wypominać, także i sam Palester) wykonawcą zaleceń socu w muzyce.

Okazuje się zatem, że tych trzech twórców łączy wiele; przede wszystkim żywe zainteresowanie losami kultury krajowej. Na emigracji natomiast przecinać się będą ich ścieżki – choćby na polu działań w ramach rozmaitych inicjatyw podejmowanych przez Kongres Wolności Kultury<sup>4</sup>.

Wróćmy jednak do wystąpienia Miłosza. „List” *Drodzy Rodacy!* czytany był na antenie Voice of America na długo przed audycją Palestra, jeśli przyjąć ustalenia Kornata, że tekst Miłosza pisany był w maju 1951, a czytany przed mikrofonem prawdopodobnie tuż po konferencji, na której autor *Doliny Issy* wyjawiał powody, dla których nie powróci do kraju (może równoległe z nią?). A wystąpienie Palestra wybrzmiewało na falach BBC dopiero w grudniu 1951 – mimo że kompozytor znacznie wcześniej „wybrał wolność”, bo w roku 1949, tuż po zjeździe łagowskim, na który zresztą przyjechał z pobytu czasowego w Paryżu za usilną namową Włodzimierza Sokorskiego. Ponadto, jego kariera przed rokiem 1950 rozwijała się pomyślnie. Pozostanie na Zachodzie wówczas wydawało się może nie tak wielkim ryzykiem, jeśli uwzględnimy dużą popularność Palestra i jego szerokie znajomości w kręgach świata artystycznego. Tak czy inaczej – decyzja nie przyszła łatwo.

Dodajmy jeszcze na marginesie i to, że owe listy i „przemowy” oraz apele mogą nas dziwić, a nawet nudzić, ale wówczas elektry-

---

<sup>4</sup> Zob.: Mirosław A. Supruniuk, *Czesław Miłosz i Kongres Wolności Kultury*, „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 1998, z. 1, s. 95-102. Także tegoż, *Przyjaciele wolności...*, dz. cyt.; Basil Kerski, *François Bondy i Kongres Wolności Kultury*, w: *Pisarz na emigracji. Mitologie, style, strategie przetrwania*, pod red. Hanny Gosk, Andrzeja S. Kowalczyka, Warszawa 2005, s. 121-133.

zowały publiczność po obu stronach żelaznej kurtyny. W końcu – można by zapytać – czy trzeba było aż tak się tłumaczyć i to publicznie z konwersji? Dzisiaj, kiedy to, co indywidualne i oryginalne, jest w cenie, tamte „rytuały przejścia” mogą nie robić specjalnego wrażenia. W latach 50. było oczywiście inaczej. Po wschodniej stronie żelaznej kurtyny, w świecie przesiąkniętym dydaktyką społeczną, „autokrytyka” (samokrytyka, spowiedź) była czymś oczywistym. Wojciech Ligeża na marginesie rozważań o poezji Wisławy Szymborskiej pisze o atmosferze PRL-owskiego dominium w latach 50. tak: „Wielką karierę zrobiły wtedy [w okresie zadekretowanego socrealizmu, sądzę, że i wcześniej – V.W.M.] mowy i przemowy, pogadanki, nieustające apele, publiczne wypytywania, Orwellowskie minuty nienawiści. [...] Natrętny obszar napisów: hasła i slogany, pouczenia i przypomnienia. Człowiek pojedynczy nie mógł być ani na chwilę pozostawiony samemu sobie”<sup>5</sup>.

Widać, że polityka konfrontacji, życia niemal „na ulicy”, publiczne przepytywania również zagościły po zachodniej stronie żelaznej kurtyny, oczywiście w zupełnie nieporównywalnej skali i natężeniu<sup>6</sup>. To swoisty rewers wobec tego, co działo się w tym samym czasie po wschodniej stronie świata. Świadczą o tym kongresy intelektualistów – odpowiedzi na podobne zjawiska „montowane” w krajach demokracji ludowej, działalność fundacji popierających demokrację i wolność, dyskusje odbywane w międzynarodowych gremiach PEN Clubu, w ramach narodowych stowarzyszeń Związku Pisarzy, a także

---

<sup>5</sup> Wojciech Ligeża, *O poezji Wisławy Szymborskiej. Świat w stanie korekty*, Kraków 2001, s. 57.

<sup>6</sup> Choćby działająca Komisja McCarthy’ego, przesłuchująca publicznie w amerykańskim Kongresie intelektualistów, naukowców, twórców, polityków w celu ustalenia ich politycznych sympatii i ewentualnych związków z komunizmem; nadawano także z tych przepytywań transmisje, a telewizja CBS emitowała audycję Edwarda R. Murrowa „See It Now” o działalności Komisji pod przewodnictwem McCarthy’ego. Prace Komisji i rozgłos wokół niej bezsprzecznie dowodzą obawy Stanów Zjednoczonych przed komunistyczną inwigilacją świata zachodniego.

konferencje i wreszcie – wystąpienia nagłaśniane przez radio lub dla radia pisane. Rezonorem tego niejako kulturalnego frontu zimnej wojny po zachodniej stronie były przede wszystkim rozgłośnie: Voice of America, Free Europe, BBC. Oczywiście uwzględniając wszelkie proporcje. Świat zachodni rządził się przecież innymi prawami i aktywność intelektualistów wynikała z ich głębokiego przekonania, nie była więc efektem presji o charakterze instytucjonalnym. To zasadnicza różnica, o której nie należy zapominać.

Wystąpienie Miłosza w tym kontekście należy odbierać jako wypadkową zimnowojennych ciśnień z jednej strony, z drugiej zaś – prawdopodobnie wynikało ono z osobistej potrzeby poety, by publicznie wyjawić powody, dla których porzuca kraj. Znaczącą rolę w tym spektaklu odegrał i Giedroyc, który współaranżował to medialne wydarzenie i oczywiście pomagał zadomowić się pisarzowi w „Kulturze”. Publicznością, na której Miłoszowi wówczas najbardziej zależało, jest pozostawione w Polsce środowisko pisarskie; zapewne myślał też Miłosz i o swoich krajowych czytelnikach. Odium „zdrady”, anatema, jakiej się mógł spodziewać, była zapewne także motorem napędowym tego ryzykownego przedsięwzięcia. To z jego strony gest indywidualny i osobisty – a przy okazji też próba wpisująca się w szerszy kontekst niejako filozoficzny, w której dochodzi do zderzenia tego, co indywidualne, osobowe, z tym, co masowe, mówiąc przewrotnie – w marksistowskim rozumieniu „powszechne” (jeśliby mieć na uwadze również atmosferę lat 50., wyrazistość języka dyskursu, presję ideologii, odpowiedzialności za zbiorowość, zgodę na dziejową konieczność). W wypadku Miłosza to także próba uwiarygodnienia własnej narracji z jej konsekwencją zaciągnięcia zobowiązań wobec późniejszych przyjaciół z emigracji, dodajmy – przyjaciół konsekwentnie wspierających „krajowca”; chodzi o środowisko „Kultury”. Splotą oczywistego zobowiązania Miłosza jako człowieka przybyłego zza żelaznej kurtyny, któremu udzielono wsparcia, był zapewne i *Zniewolony umysł*, i nawet *Zdobycie władzy*, także artykuły polemiczne

wokół *Nie*<sup>7</sup>. Przede wszystkim jednak współpraca z Kongresem Wolności Kultury, w ramach której owe publikacje powstawały. Ale w chwilę później zaczyna się etap stopniowego wycofywania się poety z linii bezpośredniego ostrzału i próba owocnego wejścia – jak się z czasem okaże – w świat literatury. Ta ostatnia kwestia zresztą należała do obszaru sporu między nim a Jerzym Giedroyciem. Na wszelkie nowe propozycje aktywności parapolitycznej (choćby kontrakt z RWE) Miłosz reagował alergicznie, obawiając się o legitymizowanie środowisk, z którymi mógłby być kojarzony, a kojarzony być nie chciał, ale był i okres, kiedy taką współpracę mógłby podjąć. Ten czas w biografii intelektualnej Miłosza jest zresztą bardzo interesujący. Zapewne właśnie wówczas zmagał się poeta z problemem zasadniczym, warunkującym jego przyszłość zawodową, określającym jego status: na ile może być pisarzem zaangażowanym, a na ile klerkiem? Postawienie tego pytania i namysł nad nim, możliwe było tuż po złapaniu pierwszego głębszego oddechu we Francji.

Wkroczył jednak w świat zachodni z impetem: z konferencją i z przesłaniem *Droży Rodacy!* Pisz o tych pierwszych krokach Miłosza–emigranta i o historii listu do intelektualistów Mirosław A. Supruniuk tak: „List był też parokrotnie czytany i komentowany w Voice of America oraz przez samego Miłosza w Radio France Internationale. I list, i tekst wywołały w Polsce kampanię prasową przeciw poecie i zmusiły Miłosza do ponownego wystą-

<sup>7</sup> *Odpowiedź Czesława Miłosza na komentarze do jego artykułu „Nie”, „Kultura” 1951, nr 7-8; List Czesława Miłosza do Redaktora, „Kultura” 1955, nr 6; Artykuł Czesława Miłosza List do polskich komunistów, „Kultura” 1959, nr 12. Inne artykuły Miłosza przywołuję w rozdziale *Dylematy klerka na wygnaniu. Dyskusja z lat 50.* Ciekawe uwagi dotyczące figury Tygrysa (Tadeusza Krońskiego) z *Rodzinnej Europy* Miłosza poczynił w dzienniku Gombrowicz; pośrednio jego wypowiedź, dość późna, bo z 1960 roku, dotyczy omawianego casusu „heglowskiego ukąszenia” i współpracy intelektualisty z systemem. Zob.: Witold Gombrowicz, *Dziennik 1957–1961*, Kraków 1988, s. 236-238.*

O węzłowych wyborach Miłosza pisze Krzysztof Masłoń: *Fobie i obsesje Czesława Miłosza*, „Plus-Minus” 12-13 II 2011, nr 6, Tygodnik „Rzeczpospolitej”, s. 18-20. Zob. też: Aleksander Fiut, *W stronę Miłosza*, Kraków 2003.

pienia na antenie RFI w czerwcu 1951 roku. [...] Z radiem i możliwością oddziaływania tą drogą na wydarzenia w Polsce – czy nie za sprawą Giedroycia – Miłosz wiązał pewne konkretne nadzieje. Miało to zarówno związek z powstającym [w tym] czasie radio Free Europe, jak i staraniami o wizę amerykańską”<sup>8</sup>. Komentarzem do mających miejsce reperkusji listu w kraju może być zapis z listu Miłosza do Wittlina: „Amerykanie zdaje się zupełnie nie rozumieją, że coś im spadło z nieba i że gdybym teraz do Polski zaczął mówić, to okropne tam byłyby piski i wycia tych różnych oficjałów, których umiałbym doprowadzić do rozpaczy, bo znam cały ten mechanizm i wiem, jak mówić, używając tej terminologii, do której w Polsce są ludzie przyzwyczajeni”<sup>9</sup>. Supruniuk pisze dalej, że Miłosz zaproponował Amerykanom współpracę, którą oni odrzucili, i że mógł odczuwać rozczarowanie i rozgoryczenie, że nie został zrozumiany właściwie, ponieważ nie doceniono jego wiedzy o systemie i nie skorzystano z jego doświadczenia. Nie da się jednak raczej tej supozycji Supruniuka potwierdzić. Miłosz otrzymał „polityczną” propozycję z Wolnej Europy od Nowaka-Jeziorańskiego, by między innymi prowadzić audycję z cyklu „Listy do komunisty”, ale w rezultacie – po namyśle – odrzucił ją<sup>10</sup>. Przypomnijmy, że wspomniany cykl

---

<sup>8</sup> Mirosław A. Supruniuk, *Zagadki Czesława Miłosza. Rok 1951 – wstęp do opisu*, „Kresy” 2003, nr 2-3/54-55, s. 61. Także tegoż, „Wielkie pokuszenie”, albo *zapomniany fragment „Zniewolonego umysłu” Czesława Miłosza*, „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 2001, z. 4, s. 73-108; tegoż, *Poeta i redaktorzy „Wiadomości”. Czesław Miłosz w „polskim Londynie”*, w: *Życie literackie drugiej emigracji niepodległościowej*, t. 2, pod red. Barbary Czarneckiej, Janusza Kryszaka, Toruń 2004, s. 155-168.

<sup>9</sup> Podaję za: M. A. Supruniuk, *Zagadki...*, dz. cyt., s. 61.

<sup>10</sup> W przypisie do wywiadu *Samotności nikt nie wybiera* (rozmowa Anny Frajlich z Czesławem Miłoszem przeprowadzona 8 listopada 1980 roku w Berkeley) czytamy: „Rozmowę nagrano na zamówienie Radio Wolna Europa. Był to pierwszy wywiad, jakiego udzielił Czesław Miłosz tej rozgłośni. RWE emitowało w początkach lat 50. audycje niepochlebne pocie, komentując jego decyzję o pozostaniu na emigracji, co na długie lata zniechęciło Miłosza do współpracy z monachijską rozgłośnią”. „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 2000, z. 3, s. 197. Czy rzeczywiście był to powód i czy w radio mówiono coś ostrzejszego niż to, co mówiła emigracja lon-

prowadził na początku Gustaw Herling-Grudziński. Wydaje się, że stał za tym uraz Miłosza do Amerykanów, którzy zwlekali z wydaniem amerykańskiej wizy (w USA została żona), obawa o konieczność ściślejszego kontaktu z emigracją przybyłą do RWE w Monachium, głównie z Londynu, niechęć do bycia etykietowanym jako „reakcjonista” przez liberalno-lewicowe koła na Zachodzie, dla których monachijska rozgłośnia była hamulcowym postępu (nie mówiąc już o tradycyjnej niechęci intelektualistów zachodnich do Ameryki, jej kultury, religijności i imperialnego sposobu uprawiania polityki).

Wymiana kilku listów Miłosza z Giedroyciem z 1952 roku nie daje jednoznacznej odpowiedzi. Pewne jest jedno – Miłosz wstrzymuje się zarówno z podjęciem współpracy z rozgłośnią, jak i z krytyką jej programu. W lipcu 1952 roku otrzymuje bowiem od Giedroycia propozycję podzielenia się uwagami na temat programu Wolnej Europy. Giedroyc swoje zamówienie tak precyzuje: „Prośba: czy nie zechciałby Pan napisać nie tyle krytykę, ile postulaty, jak powinna wyglądać propaganda radiowa na Polskę. Idzie mi o monachijską F[ree] E[uropę]. Można FE lubić lub nie – radiostacja istnieje i działa. Otóż przekonałem się, że są oni niezmiernie wrażliwi na wszelkie krytyki prasowe i tą drogą można im podsunąć cały szereg pomysłów i projektów czy przynajmniej częściowo wytepić idiotyzmy. Ma się rozumieć, że to stacja amerykańska, a nie samodzielna stacja polska”<sup>11</sup>. Odpowiedź odmowna przychodzi prawdopodobnie od razu: „Propozycja napisania artykułu o propagandzie radiowej. Niestety nie mogę – niech Pan zrozumie motyw: 1) Nie znam żadnych audycji radiowych F[ree] E[uropę], nigdy ich nie słyszałem, nie mam o nich pojęcia; 2) Nie mogę nic napisać o propa-

---

dyńska? I wreszcie – kiedy mówiono? Chodzi o Wolną Europę nowojorską, bo monachijska sekcja jeszcze nie istniała. Oczywiście w archiwum radia takie materiały nie przechowały się, skąd zatem taka supozycja?

<sup>11</sup> J. Giedroyc, Cz. Miłosz, *Listy...*, dz. cyt., s. 81-82 (list z 10 lipca 1952, a więc w trzy miesiące od uruchomienia monachijskiej sekcji RWE).



gandzie radiowej w ogóle...”<sup>12</sup>. Niezadowolony redaktor „Kultury” kwituje odmowę słowami: „Co do odmowy napisania *essayu*, jak powinna wyglądać propaganda na kraj, to rozumiem, że jest Pan zapracowany, ale nie podzielam dalszych argumentów. Rozumiem, że nie ma Pan czasu słuchania tych bzdur, które są nadawane, ale to nie zmienia faktu, że jest Pan jednym z niewielu, który mógłby powiedzieć, czego ludzie tam potrzebują jako materiału. I to jest Pana obowiązkiem. Nie jest poza tym ważne, czy to Pan napisze w »Kulturze«, czy w »Preuves«. W tym wszystkim – poza głupotą – jest więcej dobrej woli, niż Pan przypuszcza. A co do mięsa, to z Panem nic nie poradzimy, że propagandę będą robić. To nie zależy całkowicie od nas. To, co możemy zrobić, to (pomijając wysiłek znalezienia tego »mięsa«), by nie stały się rzeczy nie do odrobienia.

Rozumiem, że to nie jest wiele jako program, ale musimy w tej sytuacji pracować wielopłaszczyznowo. [...] ale czas idzie naprzód i nie jest to już rok 70-[t]y, gdzie w czasie Komuny można było malować płótna, które 60 lat później dały tyle blasku Francji”<sup>13</sup>.

Nawet na dość niewinne propozycje z RWE poeta reaguje alergicznie. Na przykład pisze o tym bezpośrednio do Giedroycia w liście z listopada 1954 tak: „Zwróciło się do mnie Radio Free Europe, sekcja polska, tzn. dostałem list podpisany Nowak i Palester – chcą, żebym opowiedział o swoich planach literackich etc. w ramie ankiety wśród pisarzy. Żebym to nagrał u Michałowskiego, który już mnie łapał w Paryżu telefonicznie. Otóż nie wiem, co z tym robić. Wie Pan, że to radio nie jest dla mnie szczególnie pachnące i że dobrej opinii w Polsce nie ma [sic!]. Wolę zapytać, co Pan o tym sądzi, niż włapać się [!] niepotrzebnie. [To pilne, niech Pan odpowie]. Oczywiście, że mój głos nagrany to znaczy »Miłosz przemawiał przez Free Europe«. Jeżeli zależy mi, a pewnie i Panu jako »Kulturze«, na pewnej autonomiczności stanowiska, które by nas odcinało od pew-

---

<sup>12</sup> List z lipca 1952, tamże, s. 83.

<sup>13</sup> List z 16 lipca 1952, tamże, s. 85.

nych robótek<sup>14</sup> – a wie Pan, że to jest wszystko bardzo płynne, i na zacieraniu granic szczególnie pewnym kołom zarówno za granicą, jak i w Polsce zależy – to mnie się zdaje, że trzeba się nad tym zastanowić. Oczywiście, że nasze stanowiska tu chyba się różnią, mimo Pana zasadniczo mało entuzjastycznego stanowiska wobec Free Europe, nie trzymał Pan za złe Straszewiczowi czy komu, że sobie tam zarabiał. Ale tu może jest coś innego. Wydaje mi się, że powinienem odmówić albo, jeśli chcę uniknąć zadrażnień, mogę się zgodzić na to, żeby Michałowski zrobił *interview* ze mną i podał jako swój artykuł, a nie mój osobisty *speech*. To zaproszenie jest zresztą dość charakterystyczne, ale podobne do zaproszeń do Związku Pisarzy w Londynie”<sup>15</sup>.

---

<sup>14</sup> List do polskich komunistów, zamieszczony przez Miłosza w „Kulturze” w numerze 12 z 1959 roku (przedruk: J. Giedroyc, Cz. Miłosz, *Listy...*, dz. cyt., s. 752-755) dowodzi przede wszystkim tego, jak bardzo poecie zależało na zdystansowaniu się do RWE, poza, rzecz jasna, obroną instytucji, z którymi współpracował, także poza intencją zdemaskowania fałszu krajowej propagandy, posługującej się kłamstwem, czyli – jak pisze – „mową podwójną” i mową „przyrzadzoną” według „znanych politycznych tradycji”: „Wasz tygodnik »Polityka« ogłosił ostatnio duże studium o Free Europe, czyli, jak głosi podtytuł, »o metodzie zimnej wojny«. Nie jest dla nikogo sekretem, że brak mi przyjaźni do tej instytucji, tak jak jej brak przyjaźni do mnie [sic!]. Ponieważ studenci Collège de l’Europe Libre w Strasburgu chcieli mnie jako prelegenta, wygłosiłem tam odczyt w 1957 r. i ten jedyny wypadek mojej współpracy raczcie odnotować. Jeżeli mocujecie się z Free Europe, to rzecz wasza i owego przedsięwzięcia. Wy jednak nie jesteście zdolni pozbyć się starych nałogów i korzystając z artykułu w »Polityce« stosujecie jak najbardziej klasyczną metodę zimnej wojny: metodę »amalgamu«, zbyt wstawioną, żeby wymagała opisu. »Polityka« na liście filii Free Europe umieszcza mianowicie Kongres Wolności Kultury, na liście emigracyjnych organizmów przez nią kierowanych i finansowanych umieszcza »Kulturę«, po czym, żeby zaokrąglić, łączy jeszcze ze sobą te dwie rzekome agencje i oto nareszcie wszystko jest jasne.

Kongres Wolności Kultury nie jest przybudówką Free Europe. [...] »Kultura« nie jest przybudówką Free Europe. [...] Jeżeli wasz gniew budzi akcja radia Free Europe przeludzkiwo kółkom rolniczym, to nic nie zrealizujecie jednak na wsi, wyobcowując się z ludzką wspólnotą, tak jak już raz byliście wyobcowani. Brnąc w mitologię wroga, nie będziecie umieli spostrzec, ilu milczących wrogów ta mitologia przysparza wam pod bokiem”. J. Giedroyc, Cz. Miłosz, *Listy...*, dz. cyt., s. 754-755.

<sup>15</sup> Tamże, s. 199-200.

Michałowski i Palester otrzymali podobną odpowiedź od Miłosza. Cytuję z listu do Palestra: „Ankieta tego rodzaju obejmuje, o ile rozumiem, ludzi najrozmaitszego pokroju, specjalności i orientacji. Nie jest dla mnie jasne, jacy przedstawiciele owej kultury polskiej na emigracji wezmą w niej udział. Nie ukrywam bynajmniej, że mogą wśród nich być osoby dla mnie osobiście nieprzyjemne (a być może i ja dla nich), z którymi nie chciałbym stwarzać wrażenia noworocznego »kochajmy się«. Sądzę, że o ile w Polsce następuje grupowanie osób w podobnych ankietach (co dla mnie zawsze było b. nieprzyjemne), to korzystając z tej swobody, jaka jest na Zachodzie możliwa, żadna »grupowość«, tylko z tytułu statusu emigranta, nie jest konieczna”<sup>16</sup>. Michałowski z kolei kwituje to tak: „Każdy swoją własną sytuację widzi zapewne inaczej niż otoczenie i mam wrażenie, że Miłosz boi się trochę, aby nie ograniczać swego »niezależnego« stanowiska występując razem ze wszystkimi pisarzami emigracyjnymi. [...] Pan wie [tym razem z listu do Nowaka-Jeziorańskiego, któremu Michałowski wyklada kłopot z nagraniem wypowiedzi Miłosza – V.W.M.], zależy mi bardzo na tym, aby wszyscy z nami współpracowali chętnie, i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że osiągnięcie tego celu rozbija się często o drobiazgi czy nieporozumienia. Ludzie nie rozumieją często, na czym polega naprawdę nasza praca, i ich zastrzeżenia zwykle nie mają nic wspólnego z rzeczywistością”<sup>17</sup>.

Ciekawe, że pisarz bardzo niechętny współpracy z RWE zdecydował się na podobną około 1956 roku, zawierając umowę z Polską Sekcją BBC na cykl audycji „Listy z Francji” i będzie je pisał dla radia aż do wyjazdu z Europy.

Mimo że współpraca trwała stosunkowo długo i była – jak wyraził się Andrzej Franaszek<sup>18</sup> – jednym z najważniejszych źródeł docho-

<sup>16</sup> List znajduje się w Kolekcji Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>17</sup> List Zygmunta Michałowskiego do Jana Nowaka-Jeziorańskiego z 2 grudnia 1954. Tamże.

<sup>18</sup> Andrzej Franaszek, *Miłosz – biografia*, Kraków 2011, s. 532-534.

dów Miłosza, sam autor *Zniewolonego umysłu* raczej o niej milczał. Zdaje się również, że nie był o ten epizod radiowy pytany.

Wróćmy jednak do samego listu. Jego pierwsze zdanie pojawia się niemal w identycznym brzmieniu u Palestra i Panufnika, tak jakby istniał pewien wzór obowiązujący obywateli „podwójnego egzulu”. Każdy z nich ma do opowiedzenia własną historię. Miłosz jako pierwszy publicznie mówi tak: „Jako poeta polski, którego każde słowo jest pisane z myślą o jego ojczyźnie, czuję się w obowiązku podać moim słuchaczom przyczyny, dla których zdecydowałem się nie wracać do kraju”. Palester mówi nieco inaczej, ale w rezultacie rzecz sprowadza się do tych samych wynurzeń zapowiedzianych w pierwszym zdaniu Miłosza: „Muzykowi, kompozytorowi polskiemu, przebywającemu na uchodźstwie trudno jest zaiste mówić do kolegów w kraju o tym, co nas łączy”<sup>19</sup>. Panufnik, bez zbędnych wstępów z kolei: „Chciałbym podać powody, dlaczego wyjechałem z Polski”.

Ciekawe, że Miłosz zaczyna swoją wypowiedź od kwestii podnoszonej także najczęściej przez emigrację. Przyznaje, że był w sytuacji uprzywilejowanej materialnie, był też wysoko postawiony w strukturze „bezklasowego” społeczeństwa nowo powstałego państwowego tworu. Mówił bowiem: „Jak wszystkim wiadomo, pisarze w Polsce zajmują pozycję uprzywilejowaną. Ich zarobki są liczone w tysiące, a nie w setki złotych. Korzystają, pod każdym względem, z licznych przywilejów. Byłem jednym z najbardziej cenionych poetów i mieszkając w Warszawie, byłbym otoczony dobrobytem i sławą”<sup>20</sup>. Więcej – pisze o tym, czego się spodziewa po zerwaniu kontaktów z krajem, robi to także z dużym rozeznaniem realiów zachodniego świata: „Odrzucając te przywileje i dobrobyt, wiedzia-

<sup>19</sup> Maszynopis audycji przygotowanej dla BBC, 1 XII 1951. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>20</sup> Czesław Miłosz, *List „Drodzy Rodacy!”*, w: J. Giedroyc, Cz. Miłosz, *Listy...*, dz. cyt., s. 733.

łem, że idę na życie pełne trudów i niedostatku. Godziłem się z myślą, że będę zarabiał na chleb codzienny ciężką pracą fizyczną. Wiedziałem również, że moje nazwisko zniknie z łamów pism i książek wydawanych w kraju i że nie ma takiej obelgi, która by nie padła pod moim adresem z ust oficjalnych władców polskiej literatury. Zdecydować się na podobny krok, przekreślić swój poetycki dorobek i swoje literackie nazwisko, oznaczało dla mnie to samo, co rzucić się na bruk z szóstego piętra. Nikt nie popełnia samobójstwa dlatego, że mu słodko. Jeżeli to zrobiłem, to widać byłem doprowadzony do ostateczności”<sup>21</sup>.

Z powyższego fragmentu wynika rzecz gorzka: Miłosz dobrze wiedział, jakie restrykcje go spotkają, jeśli wyjedzie z kraju, znał krajowe realia mimo amerykańskiego oddalenia, znał ten mechanizm od wewnątrz – jak sam pisał do Giedroycia. Zdawał sobie sprawę – chyba od dłuższego już czasu, a na pewno tuż po 1949 roku<sup>22</sup> – z bezwzględnej władzy cenzury prewencyjnej. Znał także zachodnioeuropejskie realia – i wiedział, że Zachód obserwujący uważnie sowiecki eksperyment gospodarczo-ideologiczny nie jest mentalnie przygotowany na dysydentów zza żelaznej kurtyny. Jednocześnie należał jednak w jakimś stopniu do bardziej zaangażowanych wyznawców nowej wiary, obawiał się też posądzenia zarówno w kraju, jak i na Zachodzie o „reakcjonizm”; jeśli idzie o Zachód, to zapewne chciał być kojarzony głównie z liberalno-lewicowymi kręgami intelektualnymi Europy, bo z nimi prawdopodobnie wiązał swoją przyszłość jako emigrant i twórca zarazem.

„Byłem dumny z osiągnięć mego narodu w dziele odbudowy kraju – czytamy w liście. Cieszyłem się, że rosą nowe domy Warszawy

---

<sup>21</sup> Tamże.

<sup>22</sup> Por.: wymowa książki Miłosza, *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945–1950*, Kraków 1998. Wątek ten podejmuje Joanna Pyszny. Też, *Pisarze i literatura w prasie polskiej lat pięćdziesiątych XX wieku. Szkice*, Wrocław 2002; Zdzisław Łapiński, *Jak współżyć z socrealizmem. Szkice nie na temat*, Londyn 1988.

i dymią kominy Śląska. Chciałem służyć memu krajowi, tak jak umiałem najlepiej. Nie jestem reakcjonistą i nie marzę o powrocie do gospodarczych i społecznych stosunków sprzed 1939 roku. Ojczyzna moja, wierzę w to, powinna należeć do polskiego ludu, a nie do jaśniepanów”<sup>23</sup>. I zdradza więcej szczegółów z polskiego życia: „Dopóki w Polsce nie było ani w życiu, ani w literaturze niewolniczego naśladowania wzorów rosyjskich – można było działać i pisać. Dzisiaj jednak wiemy, że wszystko, co się dzieje w Rosji, jest uważane za doskonałe i jest kopiowane w Polsce w najdrobniejszych szczegółach. Ja, godząc się na stanowisko dobrze płatnego poety, musiałbym, tak jak inni pisarze, wziąć na swoje sumienie pochwałę Rosji i przekonywać moich czytelników, że ustrój, który się tam ustalił, daje ludziom szczęście. Ja wiem, że to jest nieprawda. Wiem, że w trzydzieści trzy lata po rewolucji podstawowymi pierwiastkami w życiu sowieckiego obywatela są strach i kłamstwo. Zbyt wielu moich znajomych, których słowom ufam, spędziło tam lata w więzieniach i obozach pracy przymusowej<sup>24</sup>, abym mógł nie współczuć cierpieniom rosyjskiego narodu. Ze zbyt wielką ilością Rosjan, Polaków, Ukraińców, którzy tam długo mieszkali i pracowali, rozmawiałem, aby zalecać dzieciom i młodzieży mojej ojczyzny ten kraj jako część świata, w której realizują się marzenia pokoleń. Co wię-

---

<sup>23</sup> Cz. Miłosz, *List „Drodzy Rodacy!”*, dz. cyt., s. 734.

<sup>24</sup> Zofia Romanowiczowa napisała we wspomnieniach, że Miłosz nie znał prawdy o GUŁagu; kiedy przebywał w Maisons-Laffitte, ta wiedza była mu dana: „Na przykład istnienie łagrów, o których tutaj miał informacje z pierwszej ręki tak od Zosi i Zygmunta [Hertzów], jak i od Józia Czapskiego, było dla niego rewelacją i nie mógł się pogodzić z faktem, że to było dla niego rewelacją”. Podają za: M. A. Supruniuk, *Zagadki...*, dz. cyt., s. 60. Zob. także: Marek Zaleski, *Redaktor i poeta*, Andrzej Franaszek, *„Wszystkie Pana wady i ćwieki”*. *Spór Jerzego Giedroycia z Czesławem Miłoszem*, Aleksander Fiut, *„Ach, jak mam czasami dosyć tych swoich »Norwidów«!”*. *Czesław Miłosz w korespondencji Jerzego Giedroycia*, w: *Jerzy Giedroyc: Kultura, polityka, wiek XX. Debaty i rozprawy*, pod red. Andrzeja Mencwela, Andrzeja S. Kowalczyka, Leszka Szarugi, Zuzanny Grębeckiej, Warszawa 2009, s. 159-183.

cej, nie wierzę, żeby drzewo wolności mogło kiedykolwiek, nawet w odległych latach jutra, wyrosnąć z zatrutego ziarna”<sup>25</sup>.

Stwierdzenie „nie jestem reakcjonistą” czy „ojczyzna [...] powinna należeć do polskiego ludu, a nie do jaśniepanów” przywołuje na myśl wytarte slogany propagandowe z gazet krajowych z ich prymitywną i nachalnie artykułowaną logiką modelowej progresji, postulowanej w ramach marksistowsko-leninowskiej doktryny w jej stalinowskim wariacie. Czyżby naprawdę Miłosz uległ tej propagandzie? Przebywanie przez dłuższy czas od zakończenia wojny na Zachodzie powinno zaowocować znacznie większą wiedzą o praktyce komunizmu, choćby z racji dostępu do liberalnego rynku przepływu informacji, nie wspominając o jego własnym doświadczeniu i bezpośrednich relacjach z krajowym establishmentem. Na dodatek ten język... Miał więcej szans, by się nim właśnie nie posługiwać. A może uznał, mając świadomość, że mówi do radia i do „masowego” odbiorcy (choć przecież w istocie, jak można mniemać, mówił do kolegów po fachu), że dla wyrażenia własnej intencji należy posługiwać się właśnie takim, najlepiej rozumianym w kraju, językiem propagandy. Akurat to jest oczywiście zrozumiałe. Ale jeśli list był także rozsyłany do dziennikarzy i literatów (również do Polski) – jak podaje Kornat – to wystawia krajowym adresatom dość kiepskie świadectwo. Pośrednio i samemu Miłoszowi – przede wszystkim jego wyobrażeniu o charakterze polskiej diaspory pozostającej po wojnie na Zachodzie. Emigracja polityczna dlań to świat niejako przeszły, rządzący się jedynie resentymentami, nadto widziany dość schematycznie, bez empatii, zgodnie zresztą z obowiązującą linią propagandy PRL-u.

W liście Miłosza mowa również o psychospołecznej kondycji krajowych intelektualistów. W zasadzie *Nie* rozwija zasygnalizowane tu ledwie wątki, jednak w liście dwie sprawy wybrzmiewają najdobitniej; chodzi o uścisk kłamstwa i strachu jako konstytutywnej zasady leżącej u podstaw nowej rzeczywistości. Zawiązkę autotematyczną

---

<sup>25</sup> Cz. Miłosz, *List „Droży Rodacy!”*, dz. cyt., s. 734-735.

(i autokrytyczną) sugeruje stwierdzenie: „Człowiek żyje krótko i nie powinna go opuszczać myśl o własnej śmierci. Kiedy myśli o śmierci, zapytuje siebie, czy wolno mu przemknąć się wygodnie przez życie, kupując spokój i bezpieczeństwo za cenę wyrzeczenia się prawdy [podkreśl. V.W.M.]. Wiem, że moi koledzy boją się sądu historii. Choć rozumieją, że biurokratyczna rewolucja rozpowszechniana ze Wschodu jest zła, sądzą, że dla ludzkości nie ma innego wyjścia, i są ulegli, bo wierzą w historyczny fatalizm. Czy jednak nie jest obowiązkiem człowieka wyzywać los i nieść w sercu wizję ludzkości naprawdę braterskiej i sprawiedliwej? Uważam, że tak”<sup>26</sup>. Mówi więc: „Kłamstwo jest przerażającą rzeczą i źródłem wszelkich zbrodni. Najwspanialszy nawet system społeczny, jeżeli jest oparty na ciągłym kłamstwie, musi przynieść ludziom tylko nieszczęście. Żadna, nawet najzręczniejsza dialektyka, żadne powoływanie się na uczone książki nie potrafi sprawić, żeby to, co czarne, stało się białe. Największą plagą naszych czasów jest podstępny użytek, jaki został zrobiony z ludzkiej mowy. Ci, którzy posługują się mową, aby przy pomocy kłamstw realizować swoje cele, tracą wreszcie zdolność rozróżniania, co jest kłamstwem, a co prawdą. [...] Ludzkość w dwudziestym wieku jest narażona na bezgraniczne cierpienia, bo zbyt często usta sprawiedliwych są zamknięte. Zmusza się ich siłą, aby milczeli [podkreśl. V.W.M.]. W ten sposób żaden głos rozważki nie przeszkadza hasłom przez aklamację, pochodom i transparentom”<sup>27</sup>.

List do rodaków zawiera ważne oświadczenie Miłosza–poety: stać na straży prawdy i pamięci o tych, którym odebrano godność, zmuszono do milczenia, zastraszone, pozbawiono życia. Dołączyć do pantheonu wieszczów, którzy głosząc prawdę, nie zastanawiali się, na ile jest ona zgodna z „obowiązującymi instrukcjami” czasu, co znaczy,

---

<sup>26</sup> Tamże, s. 735.

<sup>27</sup> Tamże, s. 734.



że poeta gardził konformizmem, a cynizm uznawał za szkodliwy i wyniszczający substancję społeczną i państwową wspólnoty.

To oświadczenie, mimo wyraźnie literackiego rodowodu, również stawia Miłosza w rzędzie tych twórców, którzy za pomocą słowa chcieli uprawiać politykę (podobnie jak Tomasz Mann – także autor „listów” adresowanych do rodaków w Niemczech – czy choćby Ignazio Silone). W spolaryzowanym świecie, w świecie konfrontacji ideologicznej, a w takim słowa te poeta wypowiadał, mówienie prawdy wchodziło zarówno w bezpośredni spór intelektualny, jak i w realną tkankę rzeczywistości. W tak bowiem zagospodarowanej przestrzeni każda wypowiedź i gest musiały mieć wymiar polityczny, którego – jak się zdaje – Miłosz również nie chciał wówczas unikać. Taki ton i owa kategoryczność w późniejszej, dość chłodnej publicystyce pisarza, już się nie powtórzy. „Zostać wygnańcem – mówi poeta – jest dla mnie większą tragedią, niż ktoś może sądzić. Lepiej jest jednak zostać poetą na wygnaniu, niż ulegać i szukać uczonych argumentów, aby wobec siebie usprawiedliwić własną hańbę, jak to robi tytu pisarzy w Warszawie” [podkreśl. V.W.M.]<sup>28</sup>.

To interesujący list, w konfrontacji z *Nie* wybrzmiewa kategorycznie, konkretniej. Odbiorca (słuchacz) bez trudu domyśla się emocji, z jakich się ów tekst zrodził, także bez trudu daje wiarę w autentyczność przeżycia, które stoi za wypowiedzianymi słowami. Miłosz mówi rzeczy ważne, deklaruje zaangażowanie, jest, jak sądzę, zdeterminowany i w punkcie zwrotnym swojego życia – zarówno zawodowego, jak i prywatnego<sup>29</sup>. Ponadto w liście tym mowa o strachu jako podstawowej „normie” funkcjonowania spo-

<sup>28</sup> Tamże, s. 736.

<sup>29</sup> Podobne wrażenie odnosi Kajetan Morawski, który w poufnej nocy skierowanej do Jana Starzewskiego z Londynu, relacjonuje spotkanie z poetą. Zob.: *List Ambasadora Kajetana Morawskiego z 9 lipca 1951 o Czesławie Miłoszu*, w: J. Giedroyc, Cz. Miłosz, *Listy...*, dz. cyt., s. 737-741. Interesujący ten okres życia analizuje Andrzej Franaszek w *Historii pewnego samobójstwa*, w: tegoż, *Miłosz – biografia*, dz. cyt., s. 461-536. Miłosz do tego okresu wracał w wywiadach z lat 90., m.in.: *O komunistycznym maglu i polskiej szkole poezji, Nie wszystko jest*

łeczeństwa w systemie komunistycznym. Czymś nieco innym było *Nie* – było bowiem pewną analizą stanu rzeczy, próbą spojrzenia na zjawisko jak na przedmiot niejako z pewnego oddalenia. Tropem *Nie* pójdzie też Miłosz w książkach pisanych na użytek Zachodu, publikowanych w wydawnictwach Kongresu Wolności Kultury, głównie w „Preuves”. I co ciekawe, z czasem i z faktu oddalenia od PRL-u, jego uwagi zyskają na dojrzałości, zmieni się styl – z perswazyjnego i polemicznego na analityczny. Paradoksalnie też przybliży się w oglądzie fenomenu „wielkiego pokuszenia” do rozpoznań Palestra. Szczególnie interesujące w tym kontekście będą publikowane w „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” dwa teksty (funkcjonowały w swoim czasie jako referaty): *Wielkie pokuszenie. Dramat intelektualistów w krajach demokracji ludowej*<sup>30</sup> oraz wygłoszony w Mediolanie w 1955 roku: *Bieliński i jednorozec*<sup>31</sup> – ciekawy, bo ujmujący zjawisko współpracy intelektualistów z systemem komunistycznym, ale już w perspektywie odwilży.

O ile Miłosz oparł się na etosie poety–rzecznika prawdy, kompozytor Roman Palester sięgnął po mit, który stanowi kanwę jego eseju *Konflikt Marsjasza*. Wystąpienie przed mikrofonem BBC poprzedzone było staraniami programowych decydentów BBC. Niewątpliwie po „akcji” Miłosza przeprowadzonej przez Giedroycia i po szkicu *Konflikt Marsjasza*, dostrzeżono również przypadek Palestra i prawdopodobnie też uznano, że może być odpowiednio wyzyskany (nie chcę powiedzieć – propagandowo), a także, że wart jest upublicznienia. W wypadku Palestra, podobnie jak u Miłosza, zbiegły się dwa wystąpienia: w 12. numerze „Kultury” publikacja *Uwag o muzyce* i wystąpienie przed mikrofonem BBC – z grudnia

---

*dozwolone, Nie bierzcie mnie za prymitywa*, w: tegoż, *Rozmowy polskie 1979–1998*, Kraków 2006.

<sup>30</sup> „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 2001, z. 4, s. 95-108.

<sup>31</sup> „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 1998, z. 1, s. 112-124.

1951. Wymienione wystąpienia są sobie bliskie, wzajem się oświetlają, choć audycja radiowa miała nieco inne wymagania.

Nie jest wykluczone, że znajomość na gruncie londyńskim z Janem Nowakiem-Jeziorańskim, kontakt z nim i debiut w roli publicysty radiowego w grudniu 1951 w studiu BBC, przyczynił się ostatecznie do uznania Palestra za osobę pożądaną w zespole RWE (zapewne nie bez znaczenia była i jego wcześniejsza współpraca z przedwojennym polskim radiem, także powojenne anonimowe programy muzyczne pisane dla radia francuskiego). Pewne światło rzuca na tę sprawę list Evelyn M. Zasio z the British Broadcasting Corporation z Londynu z 17 sierpnia 1951 do Palestra: „List Pana z 13 sierpnia pisany do p. Nowaka został mi przez niego podpisany. Ucieszyłam się ogromnie wiadomością od Pana, bo i ja również od dłuższego czasu chciałabym się z Panem skontaktować. Szukaliśmy Pana od paru miesięcy. Trzeci program BBC trwa w zamiarze zrobienia audycji na temat tego, co się dzieje za Żelazną Kurtyną i podczas pobytu Pana w Londynie w październiku będzie można tę sprawę bliżej omówić.

W związku z pogadanką z cyklu »To, co nas łączy« i my mielibyśmy prośbę do Pana o przygotowanie audycji, w której Pan jako ten, który jest w tym szczęśliwym położeniu znajdowania się w wolnym świecie – przemówiłby do kompozytorów i muzyków w Polsce”<sup>32</sup>.

Należy podkreślić, że w grudniu 1951 roku twórca mówił do słuchaczy w kraju, mając już za sobą wychodźcze doświadczenia. Przebywał bowiem jako emigrant na Zachodzie od lata 1949 roku, ale już od jesieni 1946 roku mieszkał we Francji (jeszcze jako obywatel PRL-u<sup>33</sup>). Poznał zatem gorzyc odosobnienia i chłodne przyjęcie

---

<sup>32</sup> Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>33</sup> Okres między 1946 a 1949 był dla kompozytora najlepszy, jeśli idzie o jego umocowanie na Zachodzie i jednocześnie o stały kontakt ze środowiskiem krajowym, od którego był uzależniony. Pewne światło rzuca na to korespondencja, jaką Palester prowadził z Zygmuntem Mycielskim. W listach z 27-28 października 1947 i z 12 lipca 1948 Mycielski kieruje sprawami Palestra w kraju z dużym powodze-

przez środowisko intelektualno-artystyczne Zachodu emigranta zza żelaznej kurtyny. Miał bowiem poczucie, że dla zachodniego establishmentu jest „gorszym” Polakiem, „lepsi” – to twórcy reprezentujący PRL, przedstawiani w kołach sympatyzujących z lewicą jako forpocztą nowego i „postępowego” systemu<sup>34</sup>. Wojenna emigracja również, przynajmniej na początku, mu nie ufała. Dla wszystkich zatem był Palester „podejrzany”, chociaż powoli – jak sam wspominał po latach – w sposób naturalny było mu coraz bliżej do emigracji wojennej, bardziej z nią czuł się związany niż z pozostawionymi w kraju przyjaciółmi i współpracownikami. Różnica między nim a Miłoszem była więc taka, że kompozytor zdążył już przez ponad dwa lata oswoić obczyznę i raczej nie zamierzał się publicznie usprawiedliwiać. Wolał występować w roli wypowiadającego się w imieniu kraju, niejako w zastępstwie za tych, którym prawo do swobodnej wypowiedzi zostało odebrane. Rola ta również, zwłaszcza na początku, zgodna była z przyjętą przez polityczną emigrację strategią działania.

Ponadto – radiowe wystąpienia będą zawsze ściśle powiązane z argumentacją stojącą u podstaw jego własnej etyki, sformułowanej w trybie eseistycznym w *Konflikcie Marsjasza*<sup>35</sup>, o którym była już mowa w poprzednim rozdziale. Jedynie w komentarzach zadba Palester o stosowną do okoliczności zmianę tonu retorycznego. Aktywność publicystyczna kompozytora nie będzie więc tylko dziełem przypadku czy męczącą koniecznością wynikłą ze

---

niem, ale też pyta (list z 12 maja 1948): „Kiedy przyjeżdżasz? Czy Ci tam ten cały ZACHÓD tak właściwie pachnie? Co Wy tam robicie? Czy tam o Was strasznie dbają? Czy Was tam tak kochają? Czy tam robią lepszą sztukę niż ta nasza krew, orana ziemia i słońce to samo? Małoś miał tego bruku paryskiego? Co jest u cholery? Miło tam, ale nie rozumiem!”. Tamże. Na marginesie – korpus korespondencji Mycielskiego do Palestra odsłania kulisy kontaktu między kompozytorami (oficjalnego i nieoficjalnego): Listy z 1947–1981. Tamże.

<sup>34</sup> Zob.: J. Jędrzychowska, *Widzieć Polskę z oddalenia*, tu: *Rozmowa z Romanem Palestrem*, dz. cyt., s. 84.

<sup>35</sup> Zob. rozdział: *Marsjaszowe konflikty. O szkicach Romana Palestra*.

splotu życiowych okoliczności, ale konsekwencją niezwykle poważnego traktowania zagrożeń, jakie kulturze europejskiej zgutował sowietyzm i stalinizm. Pisze o tym wprost w *Uwagach o muzyce* i w wielu felietonach radiowych, nawet przy okazji prezentowania muzyki poważnej, czy np. na marginesie uwag o stylu i o tajnikach warsztatu instrumentalnego. Po wielu latach będzie również wracał do rozróżniania emigracyjności ze względu na kwestię zasadniczą, głównie zależną od powodu, dla którego opuściło się kraj<sup>36</sup>.

---

<sup>36</sup> W *Prawdzie źle obecnej* – w wystąpieniu przygotowanym na konferencję muzykologiczną „Muzyka źle obecna” prezentuje własną postawę artystyczną i polityczną. Zabiega o precyzję w rozróżnianiu wariantów emigracji ze względu na stosunek do kraju. Pisze o tym z sarkazmem: „Ale organizatorzy [symposium – V.W.M.] woleli żeglować na fali ogólników i pomieszali wszystkie postawy, wszystkie przyczyny i skutki, faworyzując w ten sposób tendencję do dezinformacji. Wcale się nie zdziwię, jeśli w najbliższym czasie usłyszymy, że wszyscy omawiani dziś kompozytorzy byli w okresie stalinowskim ciężko męczeni, prześladowani i już, już mieli jechać na Sybir... W innych środowiskach zawodowych ta »represyjna« dezinformacja jest już praktykowana nie od dziś – z najlepszym skutkiem... W tym stanie rzeczy wypada jednak powiedzieć kilka słów o tych czterech artystach, którzy należeli do innej parafii. W chwili kiedy »wybierał wolność« – bo tak to wtedy nieco emfaticznie nazywano – Kassern był urzędnikiem konsulatu polskiego w Nowym Jorku. Jego defekcja ponawiała zatem stare pytanie: czy wolno używać nieupiełnie uczciwych środków dla osiągnięcia uczciwego celu? Na to każdy musi odpowiedzieć sam w swoim sumieniu... Tak czy inaczej, sprawa należy do odległej przeszłości, dziś nie ma żadnych zastrzeżeń w stosunku do Kasserna, a jego muzykę spotkał ten sam los, co większości »bohaterów« dzisiejszego sympozjum: to znaczy, że kilka utworów jest wydanych, a reszta leży grzecznie na półkach Biblioteki Centralnej, przy zainteresowaniu minimalnym – jeśli nie żadnym.

Szałowski jest jedynym kompozytorem z tego grona, na którego kara spadła niejako rykoszetem. Poglądy miał mniej więcej takie same jak Panufnik lub ja – ale nie okazywał tego zbyt często. Administracyjne zakazy trafiły w niego po prostu dlatego, że w latach 50. my trzej byliśmy uważani za grupę oficjalnych kompozytorów emigracyjnych. Braliśmy wspólnie udział w rozmaitych konwentykłach, razem dawaliśmy różne oświadczenia, wspólnie dostaliśmy nagrodę Oddziałów Wartowniczych – podzieloną w tym celu na trzy równe części – mieliśmy nawet kiedyś w Paryżu dwa wspólne koncerty symfoniczne. A ponieważ my obaj z Panufnikiem staliśmy blisko ówczesnego Kongresu Wolności Kultury, więc i Antkowi też się dostało. [...] Nie będę mówił o Andrzeju, bo wyobrażam sobie, że państwo się do niego chyba też zwrócili z prośbą o wypowiedź – a zatem lepiej aby on sam powiedział to, co ma do zakomunikowania”. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

W audycji BBC mówi m.in.: „Muzykowi, kompozytorowi polskiemu przebywającemu na uchodźstwie trudno jest zaiste mówić do kolegów w kraju o tym, co nas łączy. Trudno dlatego, że łączy nas wszystko, a nie dzieli nic poza wątlą, chwilową linią, która choćby opatrzona wszystkim tym, co mózg ludzki w dziedzinie politycznej wymyślić zdołał, jeszcze nie potrafi definitywnie oddzielić człowieka od człowieka, a tym bardziej człowieka od kraju lat dziecinnych, ojczyzny. Wy artyści i muzycy, którzy przebywacie w kraju, i my, którzy świadomie zdecydowaliśmy się wybrać raczej wygnanie niż ucisk okupacji, stanowimy przecież jedno i myśli nasze, dążenia i tendencje naszej twórczości wyszły z jednego pnia i jednakowo świadczą o żywotności kultury polskiej. Na ogół wzięwszy, my wiemy prawie wszystko o waszej pracy i o waszej sytuacji, tak jak i wy wiecie sporo o tym, co się z nami dzieje”. I natychmiast przechodzi do analizy sytuacji środowiska muzycznego w kraju: „Wy znaleźliście się dziś pod straszliwym ciśnieniem nieludzkiego systemu, narzuconego całemu narodowi. Wymaga się od was gloryfikowania opresji i niewoli, a w najlepszym razie sztuka wasza ma służyć chwilowym celom politycznym zaborcy. W tym stanie rzeczy każdy z was sam wybrał drogę, która wydała mu się zgodna z jego uczuciowością artystyczną. Niektórzy stali się względnie szybko heroldami i chwalcami régime'u i piszą to, co im władze każą i tak, jak każą. Nie ma powodu mówić o nich dłużej, jako że oportuniści i karierowicze istnieli zawsze i będą istnieć zawsze. Ale mówię w tej chwili do tych artystów polskich w kraju, którym droga jest jeszcze ich wewnętrzna niezależność, którzy odczuwają bunt i nienawiść do tego, co zostało narzucone Polsce obcą siłą i którzy w klimacie codziennego dnia starają się zachować ducha oporu. Zapewniono artystom ogromne dochody i wspaniałe materialne warunki

---

Palester czuł się związany z Wolną Europą także po odejściu na emeryturę. Świadczą o tym zachowane dwa korpusy korespondencji z lat 70., tj. listy do J. Nowaka-Jeziorańskiego, Archiwum J. Nowaka-Jeziorańskiego, Ossolineum; oraz listy J. Nowaka-Jeziorańskiego, Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).



*Roman Palester przed mikrofonem RFE w Londynie,  
lata 50.*

życia; wspaniale – przynajmniej w porównaniu do warunków, w jakich żyje reszta Polaków w kraju. Nic dziwnego, że nie wszyscy od razu zorientowali się, w jaki sposób trzeba się będzie za to znacząco odpłacać, jaką cenę trzeba będzie zapłacić za uprzywilejowaną pozycję arystokracji régime'u”<sup>37</sup>.

Bardzo to bliskie wynurzeniom Miłosza, przy czym są i różnice. Palester kładzie nacisk na te środowiska i osoby, które nie zadeklarowały ochoczo w latach 50. własnego udziału w modelowaniu kultury według sowieckiego wzorca. Zwrócenie na nich uwagi, niejako wyróżnienie, było gestem znaczącym, który świadczył o wiedzy kompozytora i jego rozeznaniu, co do rzeczywistych postaw konkretnych twórców, i to mimo propagandy przenikającej na Zachód oraz kolportującej mit o polityczno-artystycznej jedności PRL-owskich środowisk twórczych. Pojawia się także uwaga o kompozytorach, którzy zdecydowali się opuścić powojenną Polskę i zrozumienie dla tych, którym taki wybór był obcy: „Liczba artystów polskich znajdujących się na Zachodzie nie jest wielka, a już ilość tych, którzy wybrali drogę wygnania w ostatnich latach wskutek coraz bardziej zaciskających się kleszczy zaborcy – jest po prostu znikoma – mówi Palester. Jest to niewątpliwie rezultat całego szeregu czynników: niełatwo oderwać się muzykowi od swoich słuchaczy, od tej publiczności, która najlepiej umiała go odczuć, poza tym grają w tym rolę pewne złudzenia, że jednak uda się uratować resztki niezależności wewnętrznej. W końcu wewnętrzne poczucie solidarności z resztą tak ciężko doświadczonego społeczeństwa w kraju nie pozwala uchylać się od cierpienia, które jest udziałem wszystkich. Poza tym régime, który jest mistrzem demoralizacji dusz, wybrał w stosunku do artystów drogę, której nie wszyscy umieli się oprzeć”<sup>38</sup>.

---

<sup>37</sup> Maszynopis wystąpienia napisany dla BBC. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>38</sup> Tamże.



I wtęret osobisty, uzasadniający decyzję o pozostaniu na Zachodzie, oraz komentarz do skali restrykcji, jakie w związku z tym go spotkały: „Pomimo tego – a czasem właśnie dlatego – szereg artystów wybrało raczej niełatwą i niepewną drogę wygnania. Władze warszawskie zareagowały na to, wycofując utwory nasze z księgarń, z katalogów, zabraniając je grać i nakazując wam, koledzy, usunąć nas ze wszystkich stowarzyszeń zawodowych. Wprawdzie nikt z nas nie ma ochoty należeć do związku muzyków lub kompozytorów, od czasu kiedy instytucje te stały się wyłącznie środkami politycznego nacisku na artystów, tym niemniej, kiedy czytam list, w którym zawiadamiacie mnie o skreśleniu mnie z listy waszych kolegów, nie mogłem nie odczuć wstydu na widok argumentów, których polecono wam użyć jako pretekstu. Oczywiście wstydu za tych, którzy takie listy podpisują swym nazwiskiem [...]”.

To, co wydaje się najtrudniejsze do zniesienia, to owo podeptanie elementarnej godności ludzkiej, konieczność ciągłego okłaskiwania swej niewoli i apoteozowania swoich gnębieli. Nic dziwnego, że nie wszyscy mogą to na dłuższą metę wytrzymać i wybierają raczej niepewną drogę wygnania i uchodźstwa. Nie robią tego dla korzyści osobistych i łatwej kariery. Zdajecie sobie pewno sprawę z tego, że sytuacja nasza jest pod każdym względem ciężka i trudna. Reprezentuje ona same minusy i niedogodności: zewnętrzne, materialne, artystyczne... Ale daje jeden plus: możliwość skupienia się nad swoją pracą i możliwość swobodnej i nieskrępowanej twórczości bez konieczności ciągłego kłamania, ciągłego piania hymnów na cześć okupanta i dziękowania za utratę wolności oraz niepodległości. [...] Oczywiście – sprawa jest w gruncie rzeczy najzupełniej osobista. Dla jednych stały, codzienny kontakt z polską rzeczywistością – jak smutna by ona nie była – stałe przebywanie wśród rodzimego krajobrazu, ludzi i w swoim klimacie wewnętrznym jest ową *conditio sine qua non* istotnego aktu twórczego, inni znów w prostracji i załamaniu decydują się na krok rozpaczliwy – i opuszczają kraj. Czynią to dlatego, że rzeczywistość polska staje się dla nich nor-

malnie nie do zniesienia. Niosą ze sobą w daleki, obcy i nierozumiejący ich świat własną wizję Polski, dla której w tej postaci, w jakiej utworzyły ją dziesiątki pokoleń Polaków – nie ma chwilowo miejsca na świecie”<sup>39</sup>.

W ostatnim fragmencie wystąpienia określa Palester swoje własne miejsce i „wartość”, czy też sens egzulu. Ma on dlań bezsprzecznie wymiar polityczny, społeczny, korporacyjny, artystyczny. Jest w istocie konsekwencją bezkompromisowej postawy w każdym z tych wymiarów, z których najważniejszy wyraża metaforycznie mitologiczna opowieść o konflikcie Marsjasza z Apollinem<sup>40</sup>. Chodzi w niej o czystość sztuki i uczciwość artysty: „Jeśli powtarzam tu to wszystko – mówi przed mikrofonem BBC – co wy sami przemyśleliście i co sami dobrze wiecie, czynię to dlatego, że może będzie ulgą dla was usłyszeć, że jesteśmy tu także i po to, aby mówić to, czego wy nie możecie powiedzieć, aby móc kłamstwo głośno nazwać kłamstwem, aby zbrodni nie zasłaniać szumnymi frazami reform czy postępu i aby przedstawić światu rachunek waszych cierpień i waszej walki.

Każą wam pisać muzykę »sorealistyczną« w przeciwieństwie do tamtej »formalistycznej«, którą pisaliście, kiedy nasz naród był jeszcze wolny. Każą wam budować »nową kulturę«, której i wy, i cały naród nienawidzicie bardziej niż czegokolwiek innego na świecie! I jakiż jest rezultat? Cóż to pomoże, że drugorzędny kompozytor polski w swej świeżo napisanej operze przedstawi najhumanitarniejszego z królów polskich jako prześladowcę uczącej się młodzieży? Czy któregokolwiek z waszych słuchaczy wzruszy i przekona taka sztuka? Wy sami przecież nie możecie powstrzymać śmiechu, kiedy

---

<sup>39</sup> Tamże.

<sup>40</sup> Problem ten zajmuje badaczy po latach. Por.: Konrad W. Tatarowski, *Emigracyjny „spór o prawo do nawrócenia” i jego konsekwencje*, w: *Paryż – Londyn – Monachium – Nowy Jork. Powrześnieńowa emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko polskiej*, pod red. Violetty Wejs-Milewskiej, Ewy Rogalewskiej, Białystok 2009, s. 145-156.

kompozytor rosyjski wymownie i rozlewnie opiewa sowiecką »przebudowę natury« i miłość zakochanej pary komsomolców do wodza! Czy ta muzyka, produkowana pod batem dozorczy, dała choć jedno dzieło naprawdę wielkie, choć jedno dzieło, które zostanie?

I dlatego nie tu nie pomogą politycy, pod nadzorem których bezwolni i usłużni przywódcy waszych związków artystycznych usiłują przekonać was, jaką to muzykę artysta ma pisać, aby przypodobać się régime'owi! Nie ma w tym wszystkim prawdy, a przecież wszelka sztuka poszukuje zawsze swojej własnej wewnętrznej prawdy. Rezultat jest żaden właśnie dlatego, że nie ma nic dalszego od prawdy, jak system, który wam siłą usiłują narzucić.

I tu leży ten fakt, który nas – a i was chyba również – napędza spokojną nadzieją i pewnością siebie. Prawda jest z nami – i z wami, którzy myślicie podobnie, jak my. A to właśnie jest najważniejsze i decydujące<sup>41</sup>.

Ostatecznie – najważniejsza jest uczciwość artystyczna. Ale dla artysty, jakim niewątpliwie Palester jest, sztuka ma również wymiar społeczny. Liczy się zatem intencja, uczciwość i twórcza powaga. W gruncie rzeczy i Palester, i Miłosz myślą o sztuce podobnie, podkreślając ten jej społeczny wymiar. Jednak to Miłosz skłonny był do większych ustępstw, jeśli w efekcie dzięki nim mógł ocalić czystość własnego tonu. Palester przeciwnie – był zasadniczy i radykalny.

Wystąpienie kompozytora w grudniu 1951 roku otworzyło przed nim drogę do Wolnej Europy, w której pracował do 1972 roku. Tam w komentarzach rozwinął wszystkie podjęte w wystąpieniu problemy związku sztuki z etyką. W latach 50. obaj – i Miłosz i Palester byli aktywni. Korzystali z możliwości, jakie dawał Kongres Wolności Kultury, z tą różnicą, że Miłosz publikował dla „Kultury” i „Preuves”, stronił od Wolnej Europy, choć na różnych etapach życia od czasu do czasu spotykał się z monachijską sekcją radia. Palester

---

<sup>41</sup> Maszynopis wystąpienia napisanego dla BBC.

natomiast przede wszystkim mówił na antenie RWE do kraju i emigracji. Na marginesie należy wspomnieć i to, że jego aktywna działalność na rzecz wolności człowieka i kultury została potwierdzona po latach zaproszeniem do kraju w okresie przełomowym. Dnia 30 listopada 1981 organizatorom Niezależnego Kongresu Kultury Polskiej w Warszawie zapraszającym go do udziału w obradach, że solidaryzuje się z dziełem, które on sam rozpoczął w grudniu 1951: „Nazwiska Panów są dla mnie pewną gwarancją, że nasze poglądy na sprawy kulturalne są raczej zbliżone. Jeśli o mnie chodzi, to od 30 lat staram się na swój skromny sposób walczyć słowem w obronie zasad, które i Panom są bliskie”<sup>42</sup>.

Andrzej Panufnik przygotowywał swoją „ucieczkę” w tajemnicy<sup>43</sup>, a jego wyjazd z kraju (oficjalnie na zaproszenie do nagrania muzyki

---

<sup>42</sup> Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>43</sup> Więcej dowiadujemy się o ucieczce Panufnika z listów Giedroycia do Mieroszewskiego. W liście z 30 grudnia 1955 Giedroyc pisze, że Panufnikowi pomógł Konstanty Regamey (kompozytor i krytyk muzyczny, przed wojną pisujący do „Prosto za mostu”, po wojnie zamieszkały w Szwajcarii), organizując koncert w radio w Zurichu (Jerzy Giedroyc, Juliusz Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, cz. 2, wybrał i wstępem poprzedził Krzysztof Pomian, przypisami i indeksem opatrzyli Jacek Krawczyk, Krzysztof Pomian, szkicem o Mieroszewskich i Mieroszewskim uzupełnił Piotr Wandycz, Warszawa 1999, s. 193). Redaktor przyznaje również, że ma swój udział w sprawie Panufnika (tamże, cz. 1, s. 394) i że kompozytor – za jego pośrednictwem – korzystał z platformy Kongresu Wolności Kultury, przemawiał do artystów (tamże, cz. 1, s. 440). Publikował w „Kulturze”: *Życie muzyczne w dzisiejszej Polsce*, „Kultura” 1955, nr 1-2/87-88. Ta publikacja opatrzona jest następującą uwagą Giedroycia (list z 13 grudnia 1954): „Panufnik ma przebogaty materiał krajowy. Jest już w Paryżu, a ponieważ jest niepiśmienny i bardzo nieśmiały, więc przydzieliłem do niego Kota Jeleńskiego, który taki artykuł za niego napisze. Spodziewam się, że będzie to dobry materiał” (tamże, cz. 1, s. 641). O Panufniku napisał dla „Kultury” Konstanty Regamey, *Andrzej Panufnik* (1954, nr 11). Natomiast w korespondencji Giedroycia z Miłoszem sprawa Panufnika pojawia się marginalnie, sam Miłosz prosi redaktora o adres kompozytora, prawdopodobnie mają ze sobą kontakt, obaj udzielają się dla Kongresu. Także niewiele mówi się o Panufniku w korespondencji redaktora z Konstantym A. Jeleńskim.

polskiej w radiu szwajcarskim 12 i 13 lipca 1954<sup>44</sup>) i przelot ze Szwajcarii do Anglii, prośba o azyl zadziwia nawet emigrację, w tym Palestra. Dlaczego? Zapewne dlatego, że twórca *Wistły* nie podejrzewał Panufnika o taki krok. Tym bardziej że Panufnik bywał za granicą wcześniej wielokrotnie i gorliwie wypełniał się w roli narzuconej mu przez władze PRL-u. O tej roli Palester, pracując już w RWE, będzie miał zresztą okazję wielokrotnie mówić<sup>45</sup>.

---

O Panufniku pisała prasa emigracyjna: „Reżym stracił najwybitniejszego muzyka. Andrzej Panufnik wybrał wolność w Szwajcarii. Wkrótce po wygłoszeniu propagandowego przemówienia” („Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” 16 VII 1954).

<sup>44</sup> W notatkach kompozytora pojawiają się i inne daty dotyczące tego nagrania: 10 i 11 lipca 1954. Podaję za: Beata Bolesławska, *Panufnik*, Kraków 2001, s. 167.

<sup>45</sup> Palester zarzucał Panufnikowi mówienie nieprawdy o życiu na Zachodzie, mimo że kompozytor należał do nielicznych, którzy mieli szansę przebywania z koncertami za granicą i konfrontowania się z tamtejszymi warunkami pracy artystycznej: „Dopuszczam, że młody i niewyrobiony artysta idzie na najrozmaitsze koncesje dla zachowania wygody, komfortu życia, dla zachowania możliwości krótkich wyjazdów za granicę co jakiś czas – itd. Jeśli Panufnik zaczął od napisania *Symfonii Pokoju*, a skończył na razie na wyjazdach do Moskwy lub – jak ostatnio – na dyrygowaniu w Chinach *Kantatą o Stalinie*, to uczynił to dla wyżej wymienionych powodów, a także dla zaspokojenia swojej ambicji pierwszeństwa, dla korzystania w pełni z reżimowego aparatu propagandowego. Ale znamy w kraju cały szereg kompozytorów, którzy nie zbrukali się ani pisaniem utworów o tytułach politycznych, ani wątpliwymi występami zagranicznymi pod egidą rządu warszawskiego. Za to są oni usunięci w cień i nie lansuje się ich tak jak Panufnika. Postępują tak w imię rzeczy najcenniejszej – wewnętrznej niezawisłości ich twórczości. Nie roszczą oni sobie – o ile wiem – żadnych tytułów do wyróżnienia, a to niewątpliwie różnica, jaka istnieje między przyzwoitymi artystami a tymi, którzy gotowi są na wszelkie koncesje dla błahego chwilowego sukcesu – różnica, która musi zostać wyraźnie podkreślona. Bo jeśli wszystko, co Panufnik napisał o muzyce, dolarach i »konieczności pomozienia« biednym kompozytorom na Zachodzie, nie jest świadomym kłamstwem dla interesu, to w takim razie zaczęłoby chyba wierzyć, że bakał z Wschodu zaczyna powoli coraz głębiej drażyć umysły i psychikę niektórych mniej opornych artystów w kraju”. *Panufnik o muzyce*, cykl: „Muzyka obala granice”, nr 73 z 8 grudnia 1953, audycja RWE. Podaję za: Violetta Wejs-Milewska, *Radio Wolna Europa na emigracyjnych szlakach pisarzy. Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski, Roman Palester, Czesław Straszewicz, Tymon Terlecki*, Kraków 2007, s. 555-556.

Kiedy dowiaduje się o decyzji Panufnika – zabiera głos. W komentarzu radiowym z 15 lipca 1954 nie ukrywa zadowolenia z faktu, że Panufnik swoją ucieczką być może ocala własną twórczość. Nie stroni także od krytycznych i cierpkich uwag pod jego adresem. Mówi przede wszystkim: „Do ostatnich dni omawialiśmy bardzo krytycznie wypowiedzi Panufnika – bo uważaliśmy je za szkodliwe i wprowadzające zamęt w umysły. Kierowała nami elementarna lojalność w stosunku do tysięcy naszych słuchaczy i rodaków w kraju. Ale to samo stanowisko, które wczoraj nakazywało nam przeciwstawić się jak najostrzej temu, co Panufnik pisał w prasie, czy mówił w radio – to samo stanowisko zmusza nas do ocenienia we właściwy i lojalny sposób jego dzisiejszej decyzji. Jeśli artysta decyduje się opuścić kraj, w którym żył w świetnym dobrobycie, gdzie był uznawany, szanowany, ceniony, i zamienia tę sytuację na niepewną rolę uchodźcy, to ta decyzja niewątpliwie rehabilituje w pełni człowieka – nawet jeśli w przeszłości mieliśmy mu coś do zarzucenia. Nikt z nas nie uważa się za nieomylnego sędziego i nie mamy – w gruncie rzeczy – żadnego prawa sądzić osoby, której istotnych, głębokich pobudek moralnych nie znamy. Dlatego witam nowego uchodźcę tym serdeczniej, że my, muzycy polscy, żyliśmy zawsze w gromadzie i jest mi dziś szczególnie miło, że obok Szałowskiego, Kondrackiego, Maciejewskiego, Kasserna czy Łabuńskiego stanie jeszcze jeden kolega–kompozytor i przyjaciel.

A swoją drogą, nie sposób nie zwrócić uwagi na to, że – dziwnym zbiegiem okoliczności – na naszej chwilowej emigracji przybywa coraz więcej nazwisk muzyków, a w kraju ich ubywa. Ubywa pomimo tego, że *régime* ułożył artystom życie materialne w prawdziwie aksamitny sposób, pomimo tego, że służy im całym swoim potężnym aparatem urzędowej propagandy i reklamy. I pomimo tych wszystkich korzyści i istotnie uprzywilejowanego stanowiska okazuje się, że życie w kraju jest – nawet dla artystów – nieznośne i staje im wszystkim kością w gardle. Jakże wygląda w świetle ucieczki Panufnika ten smutny bohater dzisiejszego dnia – pan mini-

ster Sokorski. Bo on jest przecież głównym aktorem tej farsy, która dla niego osobiście zamieniła się dziś nieoczekiwanie w poważną tragedię. Jak to autor *Symfonii Pokoju*, jeden z bardzo nielicznych kompozytorów krajowych z prawdziwego zdarzenia, ośmielił się zrobić mu tak straszny zawód! Jeszcze niedawno zarówno Sokorski, jak i jego wierna Lissówna, pisali tyle o wspaniałym »nurcie realistycznym« w naszej muzyce ostatniego dziesięciolecia; nurcie, którego najlepszym przykładem bywała zawsze i niezmiennie Panufnikowska *Symfonia Pokoju*. A teraz – z godziny na godzinę – uczone wypowiedzi pani Lissy okażą się bezsensownym bełkotem i makulaturą. A co za kłopot z wydawnictwami, nutami, katalogami! Wszystko to trzeba będzie teraz wycofać, zniszczyć i wypuścić nowe wydania, z których wymaże się nazwisko marnotrawnego syna, podobnie jak się w swoim czasie wymazywało nazwiska innych.

Bo okazuje się, że nie można liczyć na nikogo i cała – z takim hałasem budowana – »nowa kultura« jest zwykłą patiomkinowską fasadą, dekoracją, spoza której wyzierają przerażone twarze artystów, zerkających na wszystkie strony w kurczowym poszukiwaniu możliwości ucieczki za granicę. I jakże w świetle tego jedyne go faktu wyglądają wszystkie te zjazdy, sesje i posiedzenia, na których kwiat intelektualistów polskich przemawia z akcentem iście wzruszającej szczerości? A teraz okazuje się, że oni wszyscy po prostu myślą o tym, jakim sposobem znaleźć się najprędzej poza zasięgiem tego królestwa szantażu i fałszu, które komuniści nazywają »krajowym życiem artystycznym«.

Słowem pan Sokorski będzie miał smutne »dziesięciolecie«. A już najgorzej jest z tym nieszczęśliwym »Festiwałem Muzyki Polskiej«, który ma się odbyć w przyszłym roku. W każdym razie nie radzę ustalać jeszcze programu, bo jeśli tak pójdzie dalej, to do tego czasu ilość kompozytorów w kraju może się jeszcze wydatnie zmniejszyć. Za to my moglibyśmy już dziś urządzić na uchodźstwie festiwal muzyczny – na pewno lepszy i bogatszy od warszawskiego. To chyba nawet pan Sokorski musi nam przyznać.

Nie ma on szczęśliwej ręki. »Gwoździem« warszawskiego festiwalu miała być nowa symfonia Panufnika napisana z okazji »Dziesięciolecia«. A teraz nic z tego nie będzie. Ta »jubileuszowa symfonia« zamieniła się po prostu w »niedokończoną symfonię«. Ale ostatecznie wszystko to, co komuniści usiłują stworzyć w dziedzinie kulturalnej i artystycznej, pozostanie też niedokończone i przeminie prędzej, niż się tego sami spodziewamy<sup>46</sup>.

Ale już 22 lipca 1954 Palester zapowiada wystąpienie Panufnika przed mikrofonem RWE: „Proszę państwa przypadł mi w udziale wyjątkowo przyjemny i miły obowiązek przywitania przed mikrofonem naszego radia wybitnego kompozytora polskiego a mojego kolegi – Andrzeja Panufnika. Znają państwo historię tego wybitnego kompozytora, który przy okazji *tournée* koncertowego na Zachodzie postanowił pozostać w wolnym świecie i nie wraca w tej chwili do Polski. Oczywiście każdy Polak, któremu uda się ująć spod okupacji sowieckiej, jest dla nas najserdeczniej i mile witanym gościem. Ale w tym wypadku moja radość jest podwójna, bo jest to radość muzyka, który cieszy się, że przybył nam tutaj na Zachodzie wybitny i utalentowany kompozytor, któremu życzymy jak najwięcej sukcesów i powodzenia w jego dalszej pracy.

Jak to zwykle bywa między kolegami, mieliśmy dużo sprzeczek w życiu, a już artyści sprzecają się specjalnie mocno. W rozmaitych rzeczach mieliśmy rozmaite poglądy, ty Andrzeju miałeś inne poglądy niż ja na rozmaite kwestie muzyczne, ale rozwiązania, jakie nasze sprzeczkę w końcu otrzymały, jest bodaj najbardziej nieoczekiwane z tych, jakie kiedykolwiek mi się zdarzyło w życiu widzieć, bo stoimy w tej chwili przed jednym i tym samym mikrofonem, w dalekim mieście wolnego świata, nad tym mikrofonem jest napis: Głos Wolnej Polski i ty Andrzeju możesz nareszcie swobodnie i nieskrępowanie mówić wszystko to, na co masz ochotę i cokol-

---

<sup>46</sup> Ze skrypty audycji RWE *Escape of Andrzej Panufnik* Romana Palestra (cykl: „Komentarz dnia”, nr 782; 15 July 1954). Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).



wiek ci przyjdzie do głowy. Oby wszystkie sprzeczki na świecie miały takie rozwiązanie.

Proszę państwa, ale już dosyć tego, teraz mówi Andrzej Panufnik; chodź Andrzeju do tego mikrofonu i powiedz wszystko to, na co masz ochotę, zupełnie swobodnie. Poza tym to jest mikrofon, który pozwala ci się skontaktować z tysiącami ludzi w Polsce, z tysiącami naszych słuchaczy, czyli z tymi, do których idą wszystkie nasze myśli i uczucia serdeczne”.

Panufnik mówi tylko kilka minut, ponieważ mamy jedynie możliwość usłyszenia jego głosu dzięki zachowanemu fragmentowi nagranej wypowiedzi. Jak wiadomo, mówcą też nie był wytrawnym, ale i okoliczności najdłuższej współpracy z władzą PRL-u wcale mu w tej chwili nie pomagają. Podejmuje się niełatwego zadania uwiarygodnienia zarówno własnej osoby, jak i twórczości: „Chciałbym podać powody, dlaczego wyjechałem z Polski. Główną przyczyną był fakt, że zmuszono mnie do działalności politycznej. W tej sytuacji znalazłem się w atmosferze wybitnie niesprzyjającej pracy twórczej. W wyniku tej sytuacji, która trwała cztery lata, moja praca twórcza stała się zupełnie niemożliwa. Rok 1949 był rokiem przełomowym dla każdego twórczego artysty za żelazną kurtyną. Po raz pierwszy słyszeliśmy o tzw. socrealizmie i do znudzenia powtarzanym sloganie sztuki narodowej w formie i socjalistycznej w treści. To hasło, jak również ostry atak na pozycje formalistyczne w sztuce były sposobem przekształcenia sztuki w narzędzie polityczne oraz odcięcie polskiej sztuki całkowicie od Zachodu, z którym była ściśle związana. W Polsce Ludowej twórca nie ma zapewnionej całkowitej swobody dotyczącej koncepcji, jak i środków artystycznego wyrazu. Jakikolwiek usiłowania poszukiwania nowych dróg w sztuce, bez których moim zdaniem prawdziwa sztuka nie może istnieć, uważane są za hołdowanie sztuce zgniłego Zachodu. Przykładem może być moja *Kotysanka*, którą dyrygowałem w 1948 roku w czasie Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej w Amsterdamie, a także moja *Suita polska* i inne utwory wykonywane na Zacho-

dzie, które nie mogą być wykonywane w Polsce, gdyż są to utwory uznane jako formalistyczne<sup>47</sup>.

Za tłumaczeniem z języka angielskiego Beaty Bolesławskiej, która pełny tekst oświadczenia Panufnika odnalazła w archiwum kompozytora w Twickenham, możemy zapoznać się z dalszą jego częścią: „Nie tylko moje dzieła były zakazane, dotyczyło to także niektórych radzieckich kompozytorów – na przykład *VII* i *IX Symfonia* Szostakowicza, mimo niezaprzeczalnej wartości artystycznej, nie jest wykonywana ani w Polsce, ani w krajach demokracji ludowej, ani nawet w samym Związku Radzieckim.

Poza wspomnianymi wyżej artystycznymi konfliktami z władzami, byłem również obciążony wieloma oficjalnymi funkcjami administracyjnymi, a jako członek różnych komitetów, byłem zmuszony do udziału w politycznych spotkaniach, dla których nie znajdowałem najmniejszego zainteresowania i które bardzo często były wbrew moim przekonaniom.

[Po ostatnich ciężkich przeżyciach] moim jedynym życzeniem jest poświęcenie całego czasu i energii mej sztuce, co – jak dla mnie – jest możliwe tylko w świecie, który zapewnia zupełną wolność myśli i niezależność indywidualnych koncepcji artystycznych.

Miałem też nadzieję, że moja ucieczka z Polski przyniesie wkrótce więcej swobody moim kolegom–kompozytorom w kraju...<sup>48</sup>.

---

<sup>47</sup> Rozmowa Romana Palestra z Andrzejem Panufnikiem z 22 lipca 1954. Archiwum RWE, w: Narodowe Archiwum Cyfrowe; transkrypt.

<sup>48</sup> Beata Bolesławska zwraca uwagę zarówno na wymagania władz PRL-u wobec Panufnika, dla których kompozytor, po pozostaniu na Zachodzie Romana Palestra, awansował do osoby numer jeden w środowisku i od którego spodziewano się rozmaitych „świadczenia” na rzecz polityki kulturalnej. Spotykał się z przychylnością władz, z praktycznocyfrowymi ułatwieniami, nagrodami i wyróżnieniami, które zobowiązywały do lojalności. Zob.: B. Bolesławska, *Panufnik*, dz. cyt., s. 187. Po latach Panufnik w autobiografii (Andrzej Panufnik, *Panufnik o sobie*, Warszawa 1990, s. 199) wraca do okresu socrealizmu i wspomina: „Czułem, że zaakceptowanie podstawowego założenia, iż muzyka ma być narodowa w formie i socjalistyczna w treści, byłoby niemoralne i artystycznie nieuczciwe. Na myśl, że miałbym muzyką odzwierciedlać walkę ludu w jego zwycięskim marszu do socjalizmu, wszystko się

Andrzej Panufnik na temat własnej osoby w zasadzie mówi niewiele. Właściwie jedynie się usprawiedliwia. Mówi, że zmuszono go do działalności politycznej, prawdopodobnie wymagano odeń coraz wyrazistszych gestów serwilizmu, co o ile sprzyjało prywatnemu życiu kompozytora, o tyle było sprzeczne z twórczym imperatywem. Kompozytor także współuczestniczył w socrealistycznym projekcie<sup>49</sup>, w przeciwieństwie do Palestra. Owo uczestnictwo będzie mu pamiętane zresztą przez długie lata. Zdawał i z tego sobie sprawę, powziął również postanowienie, zapewne po reperkusjach krajowych „ucieczki” Miłosza na Zachód, że nie będzie się wdawał w publiczną polemikę z krajowymi propagandzistami kultury. Prawdopodobnie też, w przeciwieństwie do Miłosza, uznał, że powrót do kraju w jakiegokolwiek formie, może nawet poprzez muzyczne

---

we mnie wywracało. [...] Niezależnie od [...] sloganów propagandowych nie miałem po prostu ochoty pisać muzyki w stylu dziewiętnastowiecznym, mającej rzekomo trafiać do uszu niewykształconych słuchaczy.

Gdybym jednak odrzucił socrealizm i pozostał przy komponowaniu muzyki abstrakcyjnej, poszukując dla siebie niezależnych inspiracji duchowych i poetyckich i opierając się na moich własnych poglądach co do formy i środków wyrazu, zostałbym posądzony o pisanie dla elity i dążenie do oryginalności za wszelką cenę [...]. Byłbym napiętnowany jako formalista”. Wspomina także o wypracowanym przez siebie sposobie uniknięcia estetyki socrealistycznej: „Po długim namyśle wypracowałem wreszcie sposób, który pozwolił mi uniknąć zarówno konfrontacji, jak i kapitulacji. Idąc za przykładem naszych architektów, którzy w owym czasie z zapałem odbudowywali całe dzielnice starej Warszawy, zdecydowałem się zająć rekonstrukcją szesnasto- i siedemnastowiecznej muzyki polskiej, która ucierpiała nie tyle podczas ostatniej wojny, ile przez kolejne wieki obcych najazdów. [...] Pracując bardziej jako naukowiec niż kompozytor, mogłem się w ten sposób przyczynić do ocalenia jakiegś nikielnej części naszego dziedzictwa”. Tamże, s. 199.

Ponadto wspomina, że do bezpośredniej decyzji o emigracji przyczyniło się polecenie szefa Komitetu Obronców Pokoju i członka KC PZPR – Ostapa Dłuskiego: „[...] chciał, bym pisał osobiste, prywatne listy w celu rozpowszechniania komunistycznej propagandy na rzecz rzekomego polskiego ruchu pokoju. [...] Innymi słowy, nie ujawniając właściwych zamiarów, Dłuski chciał się dowiedzieć, czyje sympatie lub słabości mogłyby być najlepiej wykorzystane – tak jak w przeszłości wykorzystywano Picassa, Éluarda, Sartre’a i wielu innych. Krótko mówiąc, pośrednio, zmuszał mnie do szpiegowania na rzecz Moskwy”. Tamże, s. 237-238.

<sup>49</sup> Zob.: Beata Bolesławska, *Socrealizm i decyzja o emigracji*, w: tejsze, *Panufnik*, dz. cyt., s. 129-163.

dzieło, nigdy z powodów politycznych nie będzie możliwy, choć wierzył w moc muzyki, również własnych kompozycji. Fakt – nie pomylił się, o czym świadczy choćby wypowiedź zamykająca artykuł *Życie muzyczne w dzisiejszej Polsce* ogłoszona w numerze 1-2 „Kultury” w 1955 roku: „Staralem się wybrać dla czytelników »Kultury« garść wrażeń i informacji, głównie z życia muzycznego w Polsce. Prawdopodobnie zostaną one w zniekształconej formie wykorzystane w Polsce jako argument mojej »zdrady« czy »dezercji«. Znam przecież dobrze metody, jakie obowiązują w systemie, jeśli chodzi o »skompromitowanie« kogoś. Pojęcia »kłamstwa« czy »prawdy« nie istnieją w tym systemie. Dlatego nie zamierzam ani przez chwilę wdawać się z daleka w »polemikę« z »Trybuną Ludu« czy z »Przeglądem Kulturalnym«. Zresztą są to kłamstwa, które i tak nie przenikają do opinii publicznej. A co do moich uwag krytycznych, to raz jeszcze podkreślam, że są one wyłącznie skierowane przeciw systemowi i drobnej grupie ludzi, którzy ten system narzucają. Jestem natomiast całkowicie solidarny z polskimi artystami i pisarzami i z polskim społeczeństwem”<sup>50</sup>.

Co do tego, że ucieczka, wprawdzie przez miesiąc przemilczana w PRL-owskich mediach, spotka się z ostrą reakcją, nie było wątpliwości. Komentarze w stylu: „Obywatel »wolnego świata« wybrał wolność. Od czego? Od trudu tworzenia nowego stylu polskiej muzyki, od twórczego patriotyzmu, od zaufania i szacunku, z jakim go niegdyś witały nasze sale koncertowe, od roli artysty w społeczeństwie ceniącym sztukę jak swoją przyszłość. [...] Szkoda talentu byłego polskiego kompozytora. Sprzedano go za tandetę, za sensację jednego sezonu, za pół roku czy rok popularności. Za karierę człowieka, który by żyć, będzie musiał czujnie nadśluchiwać, za co klaszczą pierwsze rzędy, upierścienione dłonie, obce ręce” – wychodzą spod pióra Jerzego Broszkiewicza<sup>51</sup>. A przecież takich wypo-

---

<sup>50</sup> „Kultura” 1955, nr 1-2, s. 19.

<sup>51</sup> Jerzy Broszkiewicz, *O dezercerze*, „Przegląd Kulturalny” 18 VIII 1954.



*Od lewej: Andrzej Panufnik, Tymon Terlecki (prawdopodobnie),  
Roman Palester, Londyn 1955*

wiedzi było więcej. Echa decyzji Panufnika po latach odnajdujemy w intymnych zapisach przedstawicieli środowiska muzycznego i literackiego, w ich korespondencji<sup>52</sup>. Przede wszystkim pozostali w kraju kompozytorzy i muzycy nie mogli zrozumieć, w jaki sposób ucieczka Panufnika miałyby przynieść więcej twórczej swobody, słowem – irytowała ich naiwność autora, który tak niedawno jeszcze napisał *Symfonię Pokoju* i legitymizował system. Stefan Kisielewski także, choć z charakterystycznym dla siebie sarkazmem, notuje w *Abecadle*: „Andrzej Panufnik – kompozytor. Jeden z najdawniejszych moich kolegów, razem z Lutosławskim, znam go chyba już sześćdziesiąt lat. Bardzo zdolny, tylko miałem do niego pretensję, że uciekł jako niby straszny antykomunista. A tutaj pisał *Symfonię Pokoju* i *Pieśń połączonych partii* i różne takie. No a potem się zmienił. Gdy spotkaliśmy się w Londynie na jego koncercie, powiedziałem: »Żle zrobiłeś, żeś wyjechał przed Październikiem«. A on mówi: »Co, kazali ci to powiedzieć?«. Ja mówię: »Słuchaj, mój kochany, mnie nie kazali napisać *Pieśni połączonych partii* i *Symfonii Pokoju*. To tobie kazali najwyżej«. No i rozstaliśmy się nie bardzo... a potem go już nie widziałem”<sup>53</sup>.

Komentarze dotyczące ucieczki pojawiają się m.in. i w korespondencji „kulturzyków”. Oto kilka przykładów „sprawy Panufnika”, którą sygnalizują listy Miłosza i Giedroycia, ale trzeba przyznać, że dość rzadko i enigmatycznie mowa także o tym w listach Giedroycia do Juliusza Mieroszewskiego, Konstantego A. Jeleńskiego, Jerzego Stempowskiego, Melchiora Wańkowicza. Giedroyc, który przyczynił się do wyjazdu Panufnika z kraju (co po „sprawie” Miłosza było niełatwe), zapewne liczył na pewien rozgłos, czego dowody znajdujemy w liście do Mieroszewskiego, w którym m.in. na kanwie sprawy Panufnika pisze: „Bardzo bym sugerował, by zechciał pan napisać

<sup>52</sup> Zob.: B. Bolesławska, *Panufnik*, dz. cyt., zwłaszcza s. 173-188.

<sup>53</sup> Stefan Kisielewski, *Abecadło Kisielewskiego, Testament Kisielewskiego*, wstęp Tomasz Wolek, Piotr Gabryel, posłowie Mariusz Urbanek, Warszawa 2011, s. 97.

artykuł na temat nowej emigracji, tj. inteligencji czy intelektualistów z kraju, którzy się zjawiają czy zjawia. Idzie mi o ustalenie ich miejsca, i to dosyć poczesnego, w naszym życiu emigracyjnym jako tych, którzy będą zdolni zmniejszyć przepaść coraz większą między nami a krajem. [...] Moją ambicją jest stać się pismem tej nowej emigracji”<sup>54</sup>. Ale Mieroszewski wrzuca do ogródka spraw „krajowych” jeszcze jedną sprawę związaną z Panufnikiem, bardzo interesującą zresztą, bo pokazującą rozmaite postawy i alienację twórców uwikłanych oraz zdeterminowanych, czy zmarginalizowanych. A przy tym szczególnego znaczenia nabierają osobiste sympatie i antypatie. W liście z 17 grudnia 1955 pisze: „Wydarzył się śmieszny incydent u Oberona, o którym zapomniałem wspomnieć. W pewnej chwili pojawił się Panufnik, który jest w przyjaźni z Oberonem. Oberon zatrzymał go w przedpokoju i zapytał wprost Łubieńskiego [Konstantego – V.W.M.], czy nie będzie miał nic przeciwko temu, by porozmawiać z Panufnikiem. Łubieński z miejsca – odmówił. Oberon musiał Panufnika poprosić do pokoju na górze – dosłał mu na górę »drinka« i facet czekał tam, aż Łubieński (po godzinie!) wreszcie się zlikwidował. Dla ludzi z Kraju istnieją dwa gatunki emigrantów: tacy jak Pan i ja i tacy jak Panufnik i Miłosz. Tego podziału na emigracji de facto nie ma”<sup>55</sup>.

Nie ma racji Mieroszewski, który nie doceniał wagi nie tylko subtelności, ale i znacznie wyrazistszych gestów czy deklaracji, którym uważnie przyglądał się kraj. Nie zadał sobie pytania, jakie stawał w tym czasie choćby Palester – czy wolno używać niezupełnie uczciwych środków dla osiągnięcia uczciwego celu? Nawet Melchior Wańkowicz nie był zapewne skłonny przyjąć gestu Panufnika z całym dobrodziejstwem inwentarza, co wnioskuje z listu Giedroycia z 18 lipca 1954 do pisarza: „Co Pan na [podkreśl. V.W.M.] Panuf-

---

<sup>54</sup> List z 13 grudnia 1954, w: J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, cz. 1, dz. cyt., s. 461.

<sup>55</sup> Tamże, cz. 2, s. 187-188.



*Roman Palester i Andrzej Panufnik  
podczas uroczystości wręczenia Nagrody Polskich Oddziałów Wartowniczych  
przy Armii Amerykańskiej w Europie,  
Londyn 1955*



nika? Jestem dumny jak paw, bo jest w tym mój skromny wkładzik. Jak było do przewidzenia, emigracja londyńska przyjmuje go jak Miłosza, jeśli nie gorzej. Artykuł z »Dziennika« z 16 lipca pod pozorami obiektywnej informacji jest zwykłym donosem na komunistę w stylu Bywalca. Jest w tym coś przerażającego. Zamierzam na to najostrzej reagować, ale jak zwykle będę pewnie osamotniony»<sup>56</sup>.

Podziały zatem były, ich źródła należy szukać nie tylko w wyborach etycznych, ale i zadawnionych urazach, resentymentach, w imponderabiliach, z których w istocie składa się całe ludzkie życie. Powstało także domniemanie, że pozostanie Panufnika na Zachodzie mogło znacząco wyhamować czasowe wyjazdy artystów na Zachód, ale i na tę sprawę Giedroyc patrzył sceptycznie. Stempowskiego utwierdzał w przekonaniu, że „zafiksowanie” przyjazdu Mazowsza do Paryża jest faktem (jako skutek ucieczki Panufnika), poza tym – jak podkreślał z całą mocą – wielu dziennikarzy z kraju nadal podróżuje do Francji<sup>57</sup>. A więc bez zmian?

Po latach Palester powróci wspomnieniami do sprawy Panufnika, zostawiając kompozytorowi prawo do własnej wypowiedzi. Przypomina jedynie o wspólnym froncie zmagania z komunizmem w ramach Kongresu Wolności Kultury<sup>58</sup>. Jednak zawsze będzie miał wątpliwość, czy trzeba było uprawiać kontrowersyjny, a może i wątpliwy „wallenrodyzm”, by ostatecznie wyjechać na Zachód. Pod tym wzglę-

---

<sup>56</sup> Jerzy Giedroyc, Melchior Wańkowicz, *Listy 1945–1963*, wyboru dokonała i wstępem opatrzyła Aleksandra Ziółkowska-Boehm, przypisy opracowali Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Jacek Krawczyk, Warszawa 2000, s. 381.

<sup>57</sup> Por.: Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946–1969*, cz. 1, wydał, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej S. Kowaleczyk, Warszawa 1998, s. 244–245.

<sup>58</sup> Andrzej Panufnik korzystał w 1956 roku ze stypendium Komitetu Wolnej Europy w wysokości 100 dolarów miesięcznie. Trwały też zabiegi o przedłużenie świadczenia oraz o jego podwojenie. Sprawę tę prowadził J. Nowak-Jeziorański; kompozytor współpracował więc zarówno z Komitetem Wolnej Europy, jak i z rozgłośnią RWE. Zob. listy z lat 1955–1968 A. Panufnika i Scarlett Panufnik do J. Nowaka-Jeziorańskiego, w: Archiwum J. Nowaka-Jeziorańskiego, Ossolineum.

dem Panufnik pozostanie dlań „podejrzany”, a w każdym razie jego postawa z lat 50. nie doczekała się pełnej akceptacji autora *Wisty*<sup>59</sup>.

Jeśli patrzeć z dzisiejszej perspektywy na fenomen publicznych listów do kraju, pisanych lub wygłaszanych przed mikrofonami zachodnich radiostacji, to niewątpliwie trzeba przyznać, że kanalizowały one dyskusję na tematy zasadnicze. Ponadto szły pod prąd silnych tendencji lewicowych Europy Zachodniej, dzięki Kongresowi Wolności Kultury docierały do środowisk niebezpiecznie zafascynowanych sowieckim eksperymentem. W jakim stopniu na te środowiska oddziaływały świadectwa Miłosza, Palestra czy Panufnika? Trudno ocenić<sup>60</sup>. Pewne jest jedno – wszyscy trzej wybitni twórcy swoją decyzją o emigracji ryzykowali, ale pamiętać trzeba, że nie co innego, jak potrzeba uczciwego wykonywania zawodu, pragnienie swobody artystycznej, stały u podstaw tej decyzji.

Na ile z kolei w kraju ich głos był słyszalny? W wypowiedzi Miłosza, Palestra i Panufnika uważnie wsłuchiwały się władze PRL-u, które tym intensywniej pracowały na rzecz umniejszenia wagi ich głosu, im większą rangę starano się im nadać za granicą. Działania zagłuszające, kompromitujące, zastraszające, wreszcie – inwigilacyjne służb specjalnych PRL-u były na porządku dziennym. Nie mniej skuteczne okazywały się i decyzje administracyjne poszczególnych korporacji artystycznych. Władza osiągnęła swój cel: pogłębiła się izolacja, zwiększył się dystans między Polską a wychodźcami. Działania te były skuteczne mniej więcej do 1956 roku.

Październik – niewątpliwie zmienił atmosferę, umożliwiając kontakty osobiste i w miarę swobodny przepływ korespondencji, ale

---

<sup>59</sup> Niechęć Palestra do Panufnika ma zapewne podłoże czysto zawodowe. Ciekawą i zabawną uwagę znajduję w liście Herlinga-Grudzińskiego do Palestra: „Miałem dziś straszny sen – pisze Herling-Grudziński – śniło mi się, że Panufnik nazywa się Pakufnik i umieszczono go przed Tobą. Te przekłete zasady alfabetu!”. List z 25 listopada 1955. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>60</sup> Przełom dokonał się wraz z publikacją *Sołżenicyna Archipelagu GULag*.

czy w sposób istotny wpłynął na kształt oficjalnej (i niejawnej, półprywatnej) dyskusji politycznej? Jestem co do tego bardzo sceptyczna. Cóż okazało się wartością? Kontakt, może bardziej zakamuflowany, ale z szansą na szczerość. Taki, w którym powoli pękały lody, poczęły wyjaśniać się zawiślane sprawy między niedawnymi kompanami z ciasnego kręgu środowiska. Zrodziły się przyjaźnie i więzi w nowych warunkach na obczyźnie.

Oficjalnie – po Miłoszu, Palestrze i Panufniku władze zacierają ślady w kraju. Robiły to gorliwie, a więc i skutecznie niemal do lat 80. Miłosz i Panufnik zdołali jednak przeczekać PRL i zasmakować czegoś na kształt zwycięstwa; Miłosz otrzymał Nagrodę Nobla, jak wiadomo, publikował w demokratycznej Polsce, gdzie mieszkał w ostatnich latach swojego życia. Panufnik wtopił się w Anglię, zżył się z nią dzięki angielskiej żonie, na świecie wykonywano jego utwory i przyjmowano z honorami w Polsce także w latach 90. Dla Palestra emigracyjna obczyzna – to właściwie całe powojenne życie... Z czasem zarówno Miłosz, jak i Panufnik porzucili „politykę kulturalną” podejmowaną w kategoriach słownej akcji bezpośredniej, zajęli się dziełem swojego życia, dziełem, dla którego m.in. zaryzykowali wybranie wolności na Zachodzie.

Jedynie Palester, który uczynił to samo i z tych samych pobudek, wytrwał w „politycznym fachu” najdłużej, bo związał się na dwadzieścia lat z Wolną Europą. Bez wątpienia – to Monachium było głównym powodem, dla którego trwał w publicystycznej profesji tak długo. Uważał zapewne też, że ma wciąż coś ważnego do powiedzenia o polityce i kulturze, wciąż – to znaczy do czasu, póki nie zajdą zmiany w kraju i na świecie, na których najbardziej mu zależało. Natomiast Roman Palester – kompozytor miał mniej szczęścia, by nie powiedzieć, że całkiem mało.

Niestety.

Doktryna rozbrajana przez śmiech.  
O *Kociółku na Ziemowita*  
Czesława Straszewicza

W *Kociółku na Ziemowita*<sup>1</sup> jak w soczewce skupiają się bodaj najważniejsze, sztandarowe dyrektywy polskiego socrealizmu, naturalnie – *à rebours*, co w języku pisarza znaczy „na odwyrtkę”. *Kociółek* jest utworem wyjątkowym z kilku powodów. Po pierwsze dlatego, że powstał z dala od krajowej rzeczywistości i jest dziełem emigranta, którego los zawiódł po drugiej wojnie światowej na dalekie urugwajskie antypody i któremu z tak odległego geograficznie i mentalnie miejsca przyszło obserwować i oceniać zmiany, jakie zachodziły w latach 50. w PRL-u. Po wtóre – jest utworem artystycznie spełnionym i domkniętym, niebanalnie też pomyślanym, choć nie co innego, jak banał właśnie współtworzy tkankę opowieści o absurdzie życia dyrygowanego odgórnie, zorganizowanego wokół kilku propagandowych haseł politycznych. Mamy tu zatem do czynienia z pionierską próbą uchwycenia aury realnego socjalizmu – ze szczególnym wskazaniem na jego nieautentyczność: czym innym żyją bowiem bohaterowie *Kociółka* w ciasnym kręgu włas-

---

<sup>1</sup> Czesław Straszewicz, *Turyści z bocianich gniazd* (tu: *Katedra Sandwiczów, Kociółek na Ziemowita*), Paryż 1953, Biblioteka „Kultury”; wyd. I krajowe: Warszawa 1992.

nej prywatności, co innego natomiast stanowi treść życia publicznego i współtworzy oficjalną propagandową narrację.

Bodaj po raz pierwszy także prowadzona jest przez autora–emigranta eksperymentalna i demaskatorska gra z językiem socrealnej nowomowy i drętwej mowy, a w konsekwencji – z koncepcjami komunistycznej doktryny, zwłaszcza z utopijną wizją człowieka i świata, ze zinstrumentalizowanym traktowaniem przez totalny system takich wartości, jak: społeczeństwo, naród i państwo<sup>2</sup>. Ponadto utwór ten, nie tracąc nic ze swojej integralności i spoistości, sprawdza się w ramach większej całości literackiej, wieńczy bowiem i tłumaczy wątki zakreślone w *Katedrze Sandwiczów* – stanowiącej pierwszą część Straszewiczowskiej dylogii objętej tytułem *Turyści z bocianich gniazd*.

Nie co innego jak właśnie język staje się w *Kociotku* podstawowym narzędziem, przy pomocy którego autor podejmuje udaną próbę demaskacji fałszu komunistycznej propagandy w jej najbardziej newralgicznym obszarze, bo na styku „teorii” z autentycznym mięszem życia, co w konsekwencji prowadzi go do ostatecznego zdyskredytowania utopijnych założeń marksistowskiej doktryny. Służą temu celowi rozmaite pisarskie zabiegi nasycające utwór

---

<sup>2</sup> Pisarz emigracyjny uchwycił znakomicie i z właściwym dystansem to, co zostało po latach opisane precyzyjnie – język „nowomowy”. Zob.: Leszek Bednarczuk, *Władza nad mową (nowomową)*, „Pismo” 1981, nr 2, s. 93-102; Jerzy Bralczyk, *O języku polskiej propagandy politycznej*, w: *Współczesna polszczyzna. Wybór zagadnień*, pod red. Haliny Kurkowskiej, Warszawa 1981, s. 336-354; François Thom, *Drewniany język*, z francuskiego przełożyła Izabela Bielicka, konsultacje i posłowie Michał Głowiński, Warszawa 1990; Michał Głowiński, *Nowomowa po polsku*, Warszawa 1991. Zob. także: Zbigniew Jarosiński, *Nadwiślański socrealizm*, Warszawa 1999; Leszek Szaruga, *Literacki kanon polskiego realizmu socjalistycznego*, w: *Socrealizm. Fabuły, komunikaty, ikony*, pod red. Krzysztofa Stępnika, Magdaleny Piechoty, Lublin 2006, s. 11-22; tegoż, *Literatura lat 1945–1975*, Warszawa 1996; *Słownik realizmu socjalistycznego*, pod red. Zdzisława Łapińskiego, Wojciecha Tomasika, Kraków 2004; Przemysław Czaplinski, *O realizmie socjalistycznym*, „Teksty Drugie” 1995, nr 1.

humorem<sup>3</sup>, śmiechem, kpina i ironią, zabiegi parodiujące postacie bohaterów, ich mowę czy też sytuacje. Ironia – w utworze wszechobecna, czasem mająca wydźwięk dobroduszny, częściej jednak zjadliwy, sprawia, że całość „kociołkowej” opowieści przemienia się w ponurą groteskę. Co istotne – ów humor, śmiech czy kpina w istocie służą powadze, groteska zaś z całą bezwzględnością obnaża fałsz i zarazem odsłania grozę mrocznej codzienności wczesnego PRL-u.

Dla pisarza, który Polski powojennej nie znał z autopsji, napisanie *Kociołka* stanowiło nie lada wyzwanie. Straszewicz dysponował jedynie wiedzą wyniesioną z lektury prasy krajowej, która niesystematycznie i z pewnym opóźnieniem docierała do Urugwaju, słuchał też krajowego radia, przez które sączyła się w eter komunistyczna propaganda, czerpiąca pełnymi garściami ze „zdobyczy” języka drętwej mowy. Wiedza i rozeznanie – co istotne, jeśli oceniamy walory twórczego warsztatu pisarza – nie były więc owocem osobistego doświadczenia i prostej naoczności. Wiodły Straszewicza głównie przecucie i intuicja (autorski słuch), pomocne okazały się także, poza wspomnianą lekturą prasy i słuchaniem radia, umiejętności zdobyte podczas wojny, kiedy między rokiem 1943 a 1944 pracował w polskiej radiostacji Świt ulokowanej pod Londynem i na co dzień korzystał z chwytów, jakie wypracowali wojenni nadawcy i które stosowali na wszystkich frontach drugiej wojny światowej. W audycjach Świt u korzystał więc autor z językowych strategii „białej”, „szarej” i „czarnej” propagandy<sup>4</sup>, bo było to wówczas

---

<sup>3</sup> Interesującą analizę języka *Turystów z bocianich gniazd* (tj. *Katedry Sandwiczów i Kociołka na Ziemowita*) przeprowadził Tomasz Mizerkiewicz w pracy *Nie śmieszego. Studia o komizmie w literaturze polskiej XX i XXI wieku*, Poznań 2007, tu rozdział: *Reforma „śmiechu polskiego” na emigracji (Gombrowicz i Straszewicz)*, s. 153-185.

<sup>4</sup> Strategię dezinformacji stosowały podczas drugiej wojny światowej wszystkie strony militarnego konfliktu, zarówno w prasie, jak i w eterze. Świt symulował krajową radiostację podziemną, a w rzeczywistości nadawał spod Londynu. Odbiorcami audycji byli nie tylko słuchacze krajowi, ale i tajne służby wywiadowcze: przede

narzędzie podstawowe i zarazem konieczne do prowadzenia walki na słowa w eterze.

Miejsce akcji *Kociółka* jest newralgiczne, ale dla systemu i jego trwałości – zasadniczej wagi: to granica PRL-u, ściślej – morska granica z punktem odpraw ustanowionym w gdańskim porcie. W perypetiach, których zręczna układanka przykuwa do samego końca uwagę, uczestniczą niejako dwie strony powojennego polskiego dramatu: po jednej – establishment: filary komunistycznego reżimu, a w praktyce ślepi wykonawcy poleceń, gwaranci *status quo* nowo tworzącego się systemu, prześladowcy i oprawcy, oficerowie UB, członkowie partii, żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza, po drugiej – ofiary narzuconego siłą, bezdusznego i ogłupiającego systemu: marynarze floty handlowej PRL-u, niedoszli uciekinierzy z powojennej Polski, w utworze konsekwentnie nazywani „brykami”.

Społeczeństwo w *Kociółku* reprezentowane jest dość skromnie – ledwie przez dwie siostry mieszkające w małym domu przy ulicy Ziemowita, utrzymujące w dyskrekcji, by nie powiedzieć „w konspiracji”, kontakty z zagranicą i z tego też powodu bezwiednie uczestniczące w polityczno-szpiegowskiej intrydze Zenona Bijasa – majora UB. Obraz dopełnia przedstawiciel socjalistycznej kultury, autor utworów panegirycznych i okolicznościowych, człowiek o giętym kręgosłupie ideowym i wątpliwych możliwościach zarówno intelek-

---

wszystkim wywiad niemiecki oraz sowiecki. Cel stacji nie ograniczał się jedynie do rzetelnego informowania z powołaniem się na autentyczne źródło informacji (chodzi o korzystanie ze strategii tzw. białej propagandy). Radiostacja wykorzystywała „szarą propagandę”, co wiązało się z podaniem informacji bez wskazania jej źródła, np. z kolportowaniem plotki oraz „czarną propagandę”, która sprowadzała się głównie do „wytwarzania” informacji i fałszowania jej źródła w celu uzyskania przez nadawcę zamierzonego efektu psychologicznego. Zob. m.in.: Stanisław Newcourt-Nowodworski, *O propagandzie (przeważnie czarnej), jaka panoszyła się na falach eteru (i gdzie indziej też)*, „Z Dziejów Polskiej Radiofonii” 2005, nr 2, s. 7-20. Zob. również: Czesław Straszewicz, *O „Świcie”, „Kultura”* (Paryż) 1953, nr 72; Janusz Laskowski, *Radiostacja „Świt”, „Zeszyty Historyczne”* 1966, nr 9-10.



*Czesław Straszewicz*



tualnych, jak i artystycznych, praktykujący „nowomówca”, gorliwy „wierszokleta” i twórca z awansu – „poeta” Czesław Muś.

Parodiowanie systemu, którego bazę stanowił UB, wymagało artystycznej odwagi. Rozbrajanie śmiechem doktryny, której powaga budowana była na lęku, niegodziwości, potajnym mordzie i wszechobecnej konfabulacji, nie mogło być przecież łatwe, z czego świetnie zdawał sobie sprawę Straszewicz. Ryzyko, jakie podjął, było ogromne, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że jego głos *à rebours* płynący z dalekiej zagranicy był próbą komentarza na gorąco, a artystyczna „kontra” korespondowała z praktyką PRL-u (przypomnijmy: Polska, kiedy Straszewicz pisze *Kociotek*, jest rzeczywistym więzieniem, władza bezwzględnie rozprawia się z żołnierzami Armii Krajowej, proklamuje w kulturze socrealizm), i mimo „artystycznych pułapek” palącej aktualności problemów, udaje się mu ośmieszyć system wraz z jego dyrektywami, ośmieszyć świat pozorów – realne dzieło socjalizmu, rzeczywistość zafałszowanych hierarchii wartości, tryumfujący zły gust i smak, a jednocześnie upomnieć się o to, co najistotniejsze – o człowieka z jego szlachetnymi słabościami, pragnieniem wolności i niezależności, potrzebą nadania własnemu życiu sensu i jakiegoś indywidualnego rysu.

*Kociotek* realizuje się także w ramach kanonu literatury rozrywkowej (kryminalnej i sensacyjnej), popularnej w Polsce w latach 50., korzysta z jej receptury i pozornie – na poziomie schematów – w niej się wyczerpuje. Dla przypomnienia: w modelu tym zderzały się dwie postawy skrajnie zarysowane, jedna wyznaczała cechy bohatera pozytywnego, druga – negatywnego, najczęściej wroga klasowego: burżuja, kułaka, inteligenta-indywidualisty, faszysty, sabotażysty. Akcja sprowadzała się do przygody, w narracji eksplorowano wątek tajemnicy (katalizatorem dziania się był najczęściej intensywnie wyzyskiwany dla potrzeb ideologicznych wątek szpiegowsko-sabotażowy), a w finale, będącym zazwyczaj potwier-

dzeniem zwycięstwa bohatera pozytywnego i tzw. słusznej sprawy, pojawiała się postać kobieca<sup>5</sup> – naturalnie pozbawiona cech indywidualnych, pełniąca funkcję urzeczowionej „nagrody” za trud i szlachetne wyczyny bohatera pozytywnego – protagonisty systemu.

Zbliżenie utworu do powieści rozrywkowej, gra z jej formalno-treściowymi chwytami, nie służy pustej kreacji, przeciwnie – odgrywa w utworze rolę demaskatorską.

### Ludzie z awansu w służbie władzy

Świat władzy z jej bezpośrednimi wykonawcami tworzą w *Kociotku* szpiedzy, agenci, prowokatorzy, donosiciele, politrucy z UB, żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza i pospolici karierowicze. Wszyscy oni nadają ton rzeczywistości, tworzą osobliwą atmosferę systemu zniewolenia. Egzystencjalna i duchowa bylejakość, myślowa i życiowa siermiężność, męcząca prowizoryczność, oportunistyczny i codzienna niepewność (np. podsycanie lęku przed kolejną „imperialną” wojną) są tu wszechobecne. Także wszechobecne są przeciętność i banalność – gwaranty trwałości systemu, które Straszewicz nazywa „średniością”, i słowem tym obejmuje wszystkie elementy artystycznej konstrukcji: zarówno bezbarwną fizjonomię postaci, ich niezborność i charakterologiczną płaskość, jak i sposób życia, w którym nie ma miejsca na autentyczność, na wzruszenie i podziw, na tajemnicę i afirmujące, refleksyjne zdziwienie. Zenon Bijas, major UB, jak czytamy, to: „Człowiek średni wiekiem, wzrostem i zachowaniem, z łokciem na wklęsłym czole w formie sierpa!” [s. 131]<sup>6</sup>. Traktuje swoją służbę jak męczący obowiązek, jak balast,

---

<sup>5</sup> Por.: *Kobiety obraz*, w: *Słownik realizmu socjalistycznego*, dz. cyt., s. 100-104. Podobne realizacje kobiety znajdujemy znacznie wcześniej, w pisarstwie Henryka Sienkiewicza.

<sup>6</sup> Wszystkie cytaty podaję za krajowym wydaniem utworu (Czesław Straszewicz, *Turyści z bocianich gniazd*, Warszawa 1992).

który – gdyby tylko można było – chętnie by z siebie zrzucił; to także tchórz – z obowiązku wszędzie wietrzy podstęp, wyszukuje wroga klasowego i sabotażystów.

To dociekliwość majora Bijasa i jego „klasowa” podejrzliwość, czujność konieczna dla wykazania się przed przełożonymi, czego dowodzi raport z prowadzonego przezeń śledztwa, uruchamiają lawinę małych nieszczęść, które zmuszą wopistę Ryma do ucieczki z PRL-u, czyli – posługując się językiem pisarza – do „bryknięcia” na szwedzki statek handlowy, cumujący w gdańskim porcie.

I właśnie ów raport majora Bijasa, a raczej technika jego sporządzania, stanowi oś tematyczno-wydarzeniową *Kociołka na Ziemowita*. Straszewicz zręcznie podrabia w nim styl obowiązującej w literaturze krajowej nowomowy, miesza rozmaite typy dyskursu, wprowadza sformalizowaną metaforykę, operuje kolokwializmami i stylizuje. Wszystkie te kreacyjne zabiegi umożliwiają demontaż kanonicznej opowieści lat 50.

Indywidualizacja mowy postaci – w tym przypadku Zenona Bijasa – służy przede wszystkim wyzyskaniu dysonansu między zindoktrynowaną myślą a bezpośrednim doznawaniem rzeczywistości, jest też sposobem kompromitowania doktryny przy pomocy tej samej metody – i to w najbardziej newralgicznym miejscu, w którym skostniała i sformalizowana myśl staje się bezradna: na styku ideologii z praktyką codzienności. Niemal każda postać w *Kociołku na Ziemowita* mierzy się bowiem z problemem braku autentyczności, odczuwa duszne ograniczenie, staje wobec niemożności zapanowania nad autentyczną przeszłością rodzinną i indywidualną. Pamięć przywołuje bowiem asocjacje niewłaściwe i niezgodne z duchem postępowych czasów, przede wszystkim jednak bardzo ryzykowne dla tego, który pamięta.

Karierę we władzach PRL-u można zrobić błyskawicznie, trudniej jednak utrzymać się na szczycie. Niepewność jest więc stanem wyniszczającym i doświadczanym powszechnie, zwłaszcza przez stróżów prawa. Awans nie wynika bowiem z osobistego wkładu

pracy i poczucia własnej wartości, jest dziełem przypadku, efektem pełnej dyspozycyjności wobec zwierzchników, a wspinanie się po szczeblach kariery wymaga wyrachowania, pospolitego oportunisty i tzw. słusznego pochodzenia. „Tak właśnie, proszę towarzyszków – wygłasza tyradę bohater Straszewicza – towarzyszu Dzikowski [jak podpowiada wszystkowiedzący narrator – wódka przemogła w nim wychowanie i uśpiła instynkt samozachowawczy, bo „puścił farbę” – V.W.M.] – głęboka cześć mnie zmusza... i ma się rozumieć wdzięczność dla tych... może nie dla tych, a dla tego... mam bowiem na myśli rewo-lucję, która mnie wszystko dała i posadziła między wami! Proszę towarzyszków, moim psim obowiązkiem jest wdzięczność, że mnie – że ja bez rewo-lucji, że ja bym bez marksistowskiego aktywu drapałbym, proszę towarzyszków, gnój w stajni, do tej pory bym drapał i nawet abecadła bym nie znał, a dziś dzięki rewo-lucji, ja dzięki rewo-lucji z wami tutaj siedzę... [...] Zdrowie naszego ukochanego Prezydenta! Który mnie wziął od gnoju, posłał do szkoły, zachęcił i zaopatrzył w pazury i kły!” (s. 149).

Awans powieściowego literata, socrealistycznego poety, jest także typowy. „Ja jestem synek praczki [„zwierza się” podczas przesłuchania w UB – V.W.M.], która od mydlin miała ręce poobierane do kości, a mój fater sprzedawał szelki na pomorskich jarmarkach i chodziłem bez gaci, wszystko to macie od a do z w *Żniwie w pełni*” (s. 186).

Marynarz Lubański, schwytany na kradzieży drabiny, poddany zostaje gruntownemu i męczącemu przesłuchaniu. Odbywa się ono w scenerii obskurnego pokoju, w którego centrum znajduje się jaskrawo świecąca lampa, należąca do istotnych rekwizytów tego ponurego wydarzenia. Prowizorka pospiesznie budowanego systemu i zarazem presja, jaką wywołuje tymczasowość, dopadają przesłuchiwanego bohatera: „Po zamknięciu okiennic nowy protokolant zapalił wiszącą nad biurkiem lampę z zielonym kloszem, następnie uruchomił wynalazek w postaci sznurka przywiązanego do kabla, sznurkiem wykrzywił lampę w ten sposób, że światło poszło ukośnym sno-

pem i oświeciło w całej okazałości zwiotczalego na krześle Igarza Lubańskiego; po czym sznurek umocował i podwiązał” (s. 163).

Bohater zaaranżowanego „kociołka” powodowany strachem, płacząc się w zeznaniach, wyznaje mimochodem prawdę o własnej przeszłości, nieustannie także koryguje ją tak, by zgodna była z oczekiwaniami przesłuchującego, tym samym – zgodna z duchem nowych czasów: „Urodziłem się w Kowlu – mówi – z rodziców dla mnie wyjątkowo dobrych... Szczególnie matka była dla mnie wyjątkowo dobra... [...] Potem wywieźli..., to znaczy emigrowaliśmy do Ojczyzny Proletariatu... a potem szczęśliwie wróciliśmy... a potem nas wywieźli na ziemię odzyskane. A potem ja byłem... a potem ja trafiłem...” (s. 161).

Pod powierzchnią oficjalnego i zalecanego modelu życia tętni w *Kociołku* życie inne, dalekie od politycznych dyrektyw i postulatów. Tu krzyżują się ścieżki stróżów prawa i prześladowanych, dochodzi do kontaktów towarzyskich, handlowych, rodzinnych, do potajemnej wymiany korespondencji z zagranicą. Bohaterów łączy wspólna okupacyjna trauma, której nie sposób wymazać z życiorysu.

Przeszłość to także źródło nieustannych i męczących konfuzji, których doświadcza Zenon Bijas. W czterech ścianach prywatności rozgrywają się „dramaty” Straszewiczowskiego bohatera: „Gdzieś dobrze po północy – czytamy – gdy gdański wiatr stukał w okiennice i potrząsał deskami, płosząc senność – mąż Zenon Bijas czuł potrzebę wywnętrzania się w serdeczny sposób, a w niektórych wypadkach czuł nawet potrzebę wymyślenia samemu sobie od ostatnich synów. Czuł mus i przymus ujawnienia własnych błędów i win obywatelskich i rozdrapywania ich w nocy po cichu pod kołdrą, jak zwykli czynić strupowaci ze strupami oraz cierpiący na świerzb z nieludzko swędzącym świerzbem” (s. 171).

W barach, przy alkoholu, stróże systemu zdają się rozumieć marność własnej kondycji. Wiedzą, że tylko w zamkniętym kręgu PRL-owskiej rzeczywistości mogą się czuć bezpiecznie, świadomi włas-

nej duchowej i intelektualnej nędzy. Z jednej strony pragną innego świata, czasem przychodzi im na myśl ucieczka na antypody, z drugiej zaś – przeczuwają nie bez słuszności, że w innym miejscu, za kordonami, czujkami, reflektorami, „samograjami” (pluskwami, czyli podsłuchem) byłiby nikim – co dla Straszewicza znaczy tylko jedno: byłiby wreszcie sobą z całą egzystencjalną udręką i nieprzewidywalnością losu, z mozołem budowania na własne ryzyko każdego kolejnego dnia życia.

„Władzio [zwraca się do Ryma bywały w świecie marynarz i radiooficer Kazio Pieniążek – V.W.M.], jesteś w Gdańsku Władzio, tutaj ciebie uważają, salutują tobie, wiesz, co możesz, a czego nie – a na przykład w takim Santosie automatycznie niknie sierżant Rym i robi się mały Rymek, a w końcu gie. [...] Wielu bałamutnych Polaków mnie w Ameryce przyznawało się i po cichu żałowało” (s. 231).

Nie ma zatem – zdaje się sugerować autor – fundamentalnych i fanatycznych wyznawców komunizmu, a ci, którzy się za nich podają, szybko i przy nadarzającej się okazji, mogą zmienić polityczną orientację. Komunizm tak wykpiony i przez śmiech unieważniony, wydaje się więc systemem powierzchownym i prowizorycznym, zbyt słabym, by stanąć do poważnej konfrontacji z zachodnio-europejską myślą liberalną, wystarczająco jednak silnym, by przy pomocy reglamentacji myśli i dóbr, manipulować słabym, zmęczonym, zastraszonym, często też i próżnym człowiekiem.

Czy możliwe jest więc wyzwolenie się z tak urządnego świata? I któż miałby się w istocie zbuntować? Straszewicz nie jest w tej sprawie optymistą. W galerii postaci z *Kociółka na Ziemowita* takich ludzi właściwie nie ma.

Zderzenie codziennego konkretnego z bombastycznym sloganem daje w utworze również efekt komiczny, za którym w istocie kryje się to, co dla pisarza najważniejsze – czyli śmiertelna powaga jego głosu. Rozmowy, jakie prowadzą między sobą stróżowie prawa, stają się tu cynicznym przykładem filozofii władzy przeniesionej w sferę

praktyki, ujawniają jednoznaczny stosunek opresyjnego aparatu do zwykłego człowieka, do jego losu i uznawanej przezeń aksjologii, za „kociółkowymi” dialogami kryje się w istocie bowiem i głęboka, i dramatyczna prawda o słabości człowieka poddanego przemożnej próbie paraliżującego strachu; strach ów właśnie, a nie ideowość, to zdaniem Straszewicza trwały budulec totalitarnej hegemonii.

„Jurek Mazurek też twierdzi – wygłasza swoją kwestię aparatczyk Dzikowski – że na świecie panuje domniemanie, że ludzie stoją o całe niebo wyżej od pluskiew, co jak doszliśmy do przekonania, jest taka bujda, że spuszcza portki. Praktycznie biorąc, jeśli pluskiew albo człowieka rozciśniesz, jednakowy w trakcie i w skutku jest rezultat, cicho jak makiem siał. Fałszywe mniemanie niefachowców bierze się stąd, że historia roznosi na prawo i lewo, jakby w trakcie rozgniatania człowieka, w przeciwieństwie do pluskwy, obowiązkowo musi powstać wrzask. To jest łgarstwo! [...] ale ja ci mogę potwierdzić, że w wypadku gniecienia dominuje cisza i spokój, ani mru-mru! Ma się rozumieć nie biorę pod uwagę fizjologicznych skutków gniecienia ani też jakichś ślamazarnych słówek i gestów, ale normalnie biorąc jest jak makiem siał...” (s. 196)<sup>7</sup>. I puentuje: „Ludzie mają taką naturę, że głęboko cierpią i pyskują, jeśli chodzi o gie, np. stojąc w kolejce po chleb, ale jak przyjdzie co do czego, kiedy np. stają w kolejce do pieca albo jak on się do nich zbliży [oficer UB – V.W.M.], robią się takie mileczki, jak te pluskwy, zrób z nimi, co chcesz, nawet im się nie chce zipnąć! [...] Jurek Mazurek twierdzi, że same jego zbliżanie się na odległość dotyku powoduje, że ludzie robią się w ogromnym procencie jak trusie i kto tej prawdy nie doszedł, może czekać, ile wlezie, ale w dzisiejszych postępowych czasach nie będzie rządził dłużej niż kilka lat! Gach nie martw się, bo i materialistyczna teoria dziejów potwierdza, że człowiek to samo co pluskwa!” (s. 196).

---

<sup>7</sup> Pobrzmiewają tu echa *Pluskwy* Majakowskiego. Zob.: Włodzimierz Majakowski, *Utwory sceniczne. Pluskwa*, przełożył i posłowiem opatrzył Seweryn Pollak, tegoż, *Łażnia*, przełożył Artur Sandauer, posłowiem opatrzył Florian Nieuważny, Warszawa 1985.

Osobliwego znaczenia nabiera także w świetle utworu pojęcie narodu, który sprowadzony zostaje do „kupy” i „karność”, nie pozostawiając najmniejszej wątpliwości co do znaczenia tej kategorii w totalitarnej praktyce nowo powstałego organizmu państwowego. W istocie naród staje się tu synonimem masy, bezwzględnej jedności i unifikującej jednorodności tzw. społeczeństwa bezklasowego.

„Cały naród nasz – czytamy w *Kociołku* – siedzi na kupie [...] naród w kupie jest absolutnie niezbędna rzecz, co także było dowiedzione na politycznym udoskonaleniu, że jest po socjalistycznej linii. Wściekłość czuję niewypowiedzianą – zwierza się kompanowi aparatezyk Rym – gdy kto od kupy pragnie się oderwać i bryknąć. [...] Czy albowiem komu jest dobrze, czy komu jest źle, ma być na kupie” (s. 139).

Podejrzane są również i inne pojęcia, którymi nafaszerowane są propagandowe agitki, takie jak choćby: dziejowa konieczność, przymus ateizacji, ewolucjonizm w marksistowskim rozumieniu, przewidywalność historyczna czy historyczna progresja. Autor kwituje je tak oto:

„W socjalistycznym układzie społecznym nie ma przypadków (nieł szczęśliwych) ani zbiegów okoliczności, każdy zbieg okoliczności winien być ścigany, jak dokonany fakt karygodny...” (s. 15)<sup>8</sup>.

## Literatura w służbie państwa

Dwa środowiska gwarantują ekspansję komunizmu; pierwszy stanowi aparat przymusu UB, drugi to także ośrodek presji, nie fizycznej wprawdzie, lecz światopoglądowej (w istocie propagandowej), który tworzą jego gorliwi rezonerzy – rzemieślnicy słowa.

Poeta Czesław Muś reprezentuje świat kultury tak, że czytelnik nie ma najmniejszej wątpliwości co do marnej jakości uprawianej przez niego „sztuki”. Poprzez Musia docieramy do koniunktural-

---

<sup>8</sup> Praktyczne Przeszkolenie Polityczne.



nego i wstydlivego socrealistycznego dzieła systemu, zbudowanego na fałszywym fundamencie, a idzie głównie Straszewiczowi o absurd żdanowszczyzny, absurdalny charakter dyrektyw zakładających kolektywny proces pracy pisarskiej, wagę ideowej dyscypliny; jałowe i pozbawione uzasadnienia są też mętne wynurzenia programowej krytyki, sprowadzającej swoje oceny dzieła do kilku ledwie pojęć: słuszne – niesłuszne, potrzebne – szkodliwe, pożądane – niepożądane, własne – obce (imperialistyczne, burżuazyjne).

Wkładając w usta poety Musia wiersze – naiwne wyliczanki, pastwi się Straszewicz nad samą koncepcją kultury, także nad konkretnymi realizacjami socu. Śmieszy w *Kociotku* zręczna parodia poronionych wytworów obowiązującej i wszechobecnej konwencji, na którą składają się najczęściej zaskakujące przeciwieństwa, dysonanse tonów i klimatu, sprzeczne zestroje treści refleksyjno-uwnioślających, przemieszane z reportażowym konkretem i propagandową agitką. Wspomniane zabiegi uwypuklają pustą retorykę oraz podkreślają jej nonsens, co w konsekwencji prowadzi nas do następującego rozpoznania: za socrealistyczną sztuką nie stoi ani twórcza prawda, ani autentyczna pasja czy też kreacyjna swoboda, więcej – socrealizm nie jest w stanie stworzyć żadnego ponadczasowego dzieła. Kilka próbek powieściowego „rzemieślnika słowa” Czesława Musia, a zarazem przykładów parodiowania socu, nie pozostawia w tej kwestii najmniejszych wątpliwości:

My mamy plan! Już nie żyjemy głupio i bezdurnie z dnia na dzień!  
 Nie w słowach się urzeczywistniamy, lecz w czynie!  
 Nie na trzęsawiskach zwątpień, lecz na betonie społecznych  
 wytwórni!

Na torze! Na traktorze! W kopalni! We spółdzielni!  
 Wisząc na szprychach kół, z kielnią na murarskiej drabinie –  
 wbijamy oczy, jak gwoździe, w nasz plan! W nasz plan sześćioletni!

(s. 150)

Albo rzecz nieco lżejszego kalibru:

Haneczka miała zamiar całe życie kochać burą kotkę –  
 Ale przyszła Rewolucja w Polsce...  
 I Haneczka przestała kochać kotkę – zakochała się w Czynie  
 I nie o burej kotce śpiewa pieśni, lecz o Stalinie!

I jeszcze inny przykład. W ostatecznej redakcji, która dokonuje się na naszych oczach i która jest efektem „zbiorowej pracy” pod ciśnieniem cenzury, także po wielu osobistych perturbacjach jego autora, który ingerencję redaktora odpowiedzialnego przyjmuje z pokorą, wiersz ów wybrzmiewa tak oto:

Pięć było wiatrów Siuśruty, które nas gnały o drodzy towarzysze moi!  
 Pierwszy wiatr w dół nas ciągnął! Drugi wiatr w górę dął i w trwodze  
 nad nami biadolili!...  
 Trzeci wiatr wiał w bok na bis! A czwarty wiatr w kółko się kręcił  
 i żarty z nas stroił!...  
 Piąty wiatr nic nie robił, w miejscu stał i zrzedził!...  
 Pięć było Wiatrów na świecie! Aż pełnymi usty,  
 Chlusnął w nas, towarzysze, październikowy, wiatr szósty!...

(s. 187-188)<sup>9</sup>

Nasz wgląd do *Kociółka na Ziemowita* byłby niepełny, gdyby pominięty został niewielki *passus* parodiujący tzw. mądrość ludu na temat literatury i roli, jaką powinna odgrywać nie tylko w życiu społecznym i państwowym, ale również – czym winna być (choć nie jest w istocie).

„Literatura partyjna [zwierza się bohater – V.W.M.] to jedna sprawa, a literatura, co człowiek czuje, mnie niekiedy fantastycznie ciekawi. [...] Literatura dużo gada, ale mało wie. [...] Literatura jest rzecz najgłupsza pod słońcem” (s. 195).

<sup>9</sup> Wyrażna jest tu intertekstualna gra autora; pobrzmiewają w niej echa filozofii pięciu wiatrów rzekomego medyka hinduskiego, Siuśruty (zob.: T. Mizerkiewicz, *Nie śmieszego...*, dz. cyt., s. 181-182) czy wiersza Juliana Tuwima, *Dwa wiatry*, w: tegoż, *Wiersze wybrane*, Wrocław 1986.

Czesław Straszewicz rozpoczął pisanie *Turystów z bocianich gniazd* na początku 1952 roku w Urugwaju, wydał utwór w paryskiej „Kulturze” w 1953 roku, a w tym samym roku Wolna Europa nadaje *Kociotek na Ziemowita* w formie słuchowiska radiowego w znakomitej adaptacji Zdzisława Marynowskiego<sup>10</sup>. Ten tekst przyniósł mu spory sukces. Podkreślano w licznych omówieniach, że napisanie takiego tomu o świecie nieznanym autorowi z autopsji<sup>11</sup> było ogromnym wyzwaniem, zwłaszcza dla człowieka z antypodów. Straszewicz miał przecież odwagę pisać o powojennej Polsce, w której nie był – co z przekąsem skonstatował swego czasu krajowy krytyk Zygmunt Lichniak w artykule o znamienym tytule: *Jak sobie duży Czesio wyobrażał Polskę*<sup>12</sup>. Oczywiście dla Lichniaka opowieść Straszewicza o PRL-u w stylistyce satyryczno-groteskowej była nie do przyjęcia.

Dopiero w 1987 roku *Turystów z bocianich gniazd* wydaje drugoobiegowy lubelski Cis, a w 1992 – pojawia się pierwsze oficjalne wydanie PIW-u, które zresztą – poza nielicznymi recenzjami – przechodzi prawie bez echa.

Sam pisarz dziwił się swojej odwadze i usiłował swego czasu zrozumieć powód, dla którego zdecydował się zmierzyć z arcytrudną dla emigranta materią, jaką była powojenna krajowa rzeczywistość, a przecież mamy tu do czynienia z artystyczną formą komentarza do nowomowy autora, oddalonego o tysiące mil od kraju, dodajmy – komentarza gorzkiego, surowego i bezwzględnie wobec tych, którzy tak szybko poddali się doktrynie i przystali na życie w oparach nonsensu. Ostrza krytyki z całą mocą kieruje Straszewicz nie tyle

<sup>10</sup> Słuchowisko emitowane w kilku częściach w 1953 roku (znajduje się w zasobach archiwum RWE, w: Narodowe Archiwum Cyfrowe).

<sup>11</sup> Otrzymał II nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie utworzoną przez koło byłych żołnierzy AK z Detroit. Pojawiły się po wydaniu *Turystów* liczne recenzje w prasie emigracyjnej; książka rezonowała dzięki Radiu Wolna Europa.

<sup>12</sup> Por.: „Literatura” 1981, nr 36; w 1957 roku krytyk zrecenzował książkę Straszewicza w *Raptularzu literackim*, poświęcając jej rozdział *Słuczzone okulary*.

w stronę zwykłego człowieka, co warte podkreślenia – dla takiego ma zawsze wiele ciepła i sympatii, ile w stronę intelektualistów, którzy zapomnieli o swoim klerkowskim rodowodzie bądź opacznie go rozumieją, a próżność środowiska, bo co do tego był Straszewicz przekonany, była dla niego porażająca<sup>13</sup>, czemu będzie jeszcze dawał wyraz wielokrotnie i na rozmaite sposoby.

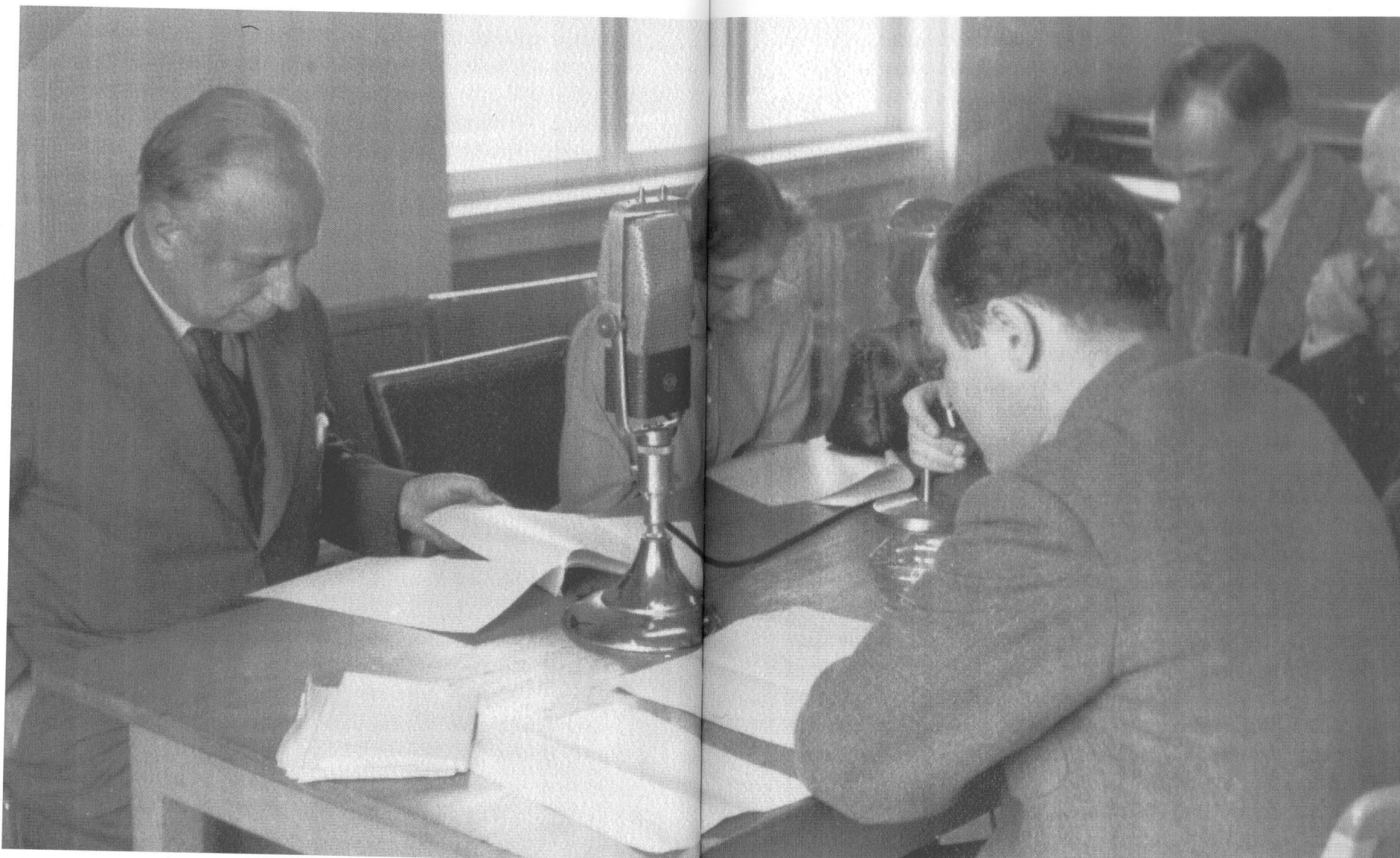
Nie o taką bowiem Polskę chodziło autorowi–żołnierzowi, pracownikowi wojennego Świtu i Wolnej Europy, a przed wojną pisarzowi, krytykowi, redaktorowi działu kulturalnego „Polityki” i „Tygodnika Ilustrowanego”, intelektualistcie zaangażowanemu, obywatelowi Drugiej Rzeczypospolitej.

---

<sup>13</sup> Straszewicz podejmuje problem odpowiedzialności klerka także w trybie publicystycznym. W liście otwartym do Związku Pisarzy Polskich (czytany w Wolnej Europie, drukowanym w Dodatku Tygodniowym „Ostatnich Wiadomości” z 1954, nr 12) krytykuje „świecznikowych” pisarzy PRL-u, ideologię i estetykę doktryny. Zwraca uwagę także na kondycję emigracyjnego intelektualisty, borykającego się z problemami natury zasadniczej: z sytuacyjnym absurdem powojennej emigracji, biedą, nieprzychylnością losu, z poczuciem marginalizacji i wyobcowania. „Ongiś przed wiekami – czytamy w liście Straszewicza – napisałem książkę, która miała tytuł *Gromy z jasnego nieba*. Takim właśnie gromem poraziła mnie ta nagroda [chodzi o *Turystów z bocianich gniazd*]. A trzeba wiedzieć, drodzy mi sędziowie, Koledzy i Przyjaciele, że Urugwaj, skąd do Was piszę, tym się właśnie odznacza, iż tu pioruny naprawdę potrafią strzelać z jasnego nieba i nikt się temu nie dziwi, bo taka tutaj natura! Wyrobnicy pióra na emigracji, zgodnie z nomenklaturą szerszą w kraju, jesteście bandą, czyli zgrają, a także samo wrogami pracującego ludu. Wprost przeciwnie – nasi przedwojenni kompanionowie, których losy zachowały w zdrowiu, gdzie się urodzili, ci niemal wszyscy mają wytatuowane pod łopatką ludowe stemple, jak my mamy burżuazyjne piszczele. [...]

Dlatego twierdzę, że jest na odwyrtkę. My, stemplowani tzw. wrogowie ludu, wsiąkamy w proletariata, a stemplowani proletariusze grają w futbol. Dlaczego tak czynią, wyjaśnił Miłosz”. Ponadto konstatuje: „Zmierzam do tego, że okrutny i wspaniały los, który nas soków rodzinnych pozbawił – jednocześnie wetknął nam w ręce świat niedostępny tamtym rączkom: świat niewymagający dusznych kompromisów, normalny świat walki o chleb na ziemi bardziej obcej, któremu jest całkowicie obojętne, co z każdym z nas i ze wszystkimi nami się stanie. [...] Wtórna proletariackość i borykanie się z chlebem na obcych ziemiach, owszem, powinno być bardzo płodne – natomiast każdy musi przyznać, że do płodzenia musi być podnieta i czas”.

Problemowi odpowiedzialności klerka poświęcam sporo miejsca w swojej książce o Straszewicu: *Wykorzeleni i wygnani. O twórczości Czesława Straszewicza*, Kraków 2003.



*Nagranie w studio RWE. Od lewej: Czesław Straszewicz,  
Janina Radulska, Kazimierz Sowiński, Zdzisław Marynowski (widoczny  
częściowo) i Gustaw Herling-Grudziński (tyłem),  
Monachium 1954*

„Kiedy pisałem *Kociotek* [zwierza się Straszewicz londyńskiemu „Życiu” – V.W.M.], posiadałem jedynie swoje przeświadczenia z radia<sup>14</sup>. I posiadałem w pamięci tych marynarzy, którzy w ilości wielkiej zapłodnili *Katedrę Sandwiczów*. Nic poza tym. Może jeszcze tęsknotę... podjąłem się zadania, które powinno przeróść siły urugwajskiego emigranta, zaszytego na końcu świata, emigranta, który na podstawie Boskich i ludzkich praw mało winien wiedzieć, co się w Polsce święci, który co najwyżej miał prawo napisać *Katedrę Sandwiczów*”<sup>15</sup>.

Warto w tym miejscu zatrzymać się jeszcze na chwilę w latach 1953–1954. Interesująca jest bowiem reakcja emigracji na utwór Straszewicza i dość powszechnie podzielana nadzieja, że pisarz wykonał ważne zadanie, bo pokonał granicę percepcyjnej niemożności, dostał się do niedostępnego dla wychodźcy świata za żelazną kurtyną i miał odwagę go ośmieszyć. Docenił to Gombrowicz, choć zajął się głównie warsztatem Straszewicza. W liście z Argentyny 2 grudnia 1953 roku tak do druha ze wspólnie dzielonej kajuty na „Chrobrym” latem 1939 roku napisał: „Bym powiedział, że humor *Kociotka* wolę od humoru zbyt »marynarskiego« *Katedry*, co zresztą nie znaczy, aby humor *Katedry* nie był jędrnym i uciesznym humorem. Język kapitalny prawie zawsze, efekty celne, osoby żywe, technika wytrawna i w ogóle myślę, iż wolałbym, aby ta sama obrotność talentu osadzona była na osi silniej, głębiej wdrażonej w prywatną, indywidualną Egzystencję Autora, aby [...] humor ten zamiast plasować wokół czytelnika skierowany został także w głąb samej istoty twórcy [...]. Ma Pan w istocie arcygroteskowy i doskonały instrument, na którym wiele Pan wygra melodii”<sup>16</sup>.

<sup>14</sup> Straszewicz pracował podczas wojny w radiostacji Świt, nadającej do okupowanego kraju spod Londynu. Więcej: V. Wejs-Milewska, *Wykorzeni i wygnani. O twórczości Czesława Straszewicza*, dz. cyt., tu: *Radio*, s. 277-304.

<sup>15</sup> O „*Turystach z bocianich gniazd*”, „*Życie*” 1954, nr 14.

<sup>16</sup> Kolekcja Czesława Straszewicza w: Archiwum Rękopisów Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie.

Nie można jednak zapomnieć, że pod podszewką tego humoru, o którym tak celnie pisze Gombrowicz, czai się groza systemu – „nowego świata”, jaki chcieli stworzyć komuniści na gruzach wartości zastanych. Czy *Kociotek na Ziemowita* był tym wielkim ostrzeżeniem, na którym tak zależało w tym samym czasie Romanowi Palestrowi – komentatorowi z Wolnej Europy, przekonanemu wówczas, że emigracja nie do końca zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, który nadto był przekonany, że jeśli ten stan „montowania” kultury w sowieckim stylu potrwa jeszcze kilkanaście lat, to Polacy w kraju przestaną być Polakami w sensie jakiejś elementarnej odrębności kulturalnej<sup>17</sup>? Raczej nie, ale z pewnością utwór ów był i pozostaje głosem ważnym.

*Kociotek na Ziemowita* bez wątpienia dotknął nerwu ówczesnej polskiej rzeczywistości, stał się jej odważną metaforą, ponadto jest dla nas dzisiaj jednym z pierwszych, stąd szczególnie cennych, głosów pisarza–egzula na temat powojennej Polski; nie zapominałmy również, że pod maską Straszewiczowskiego humoru czai się ponura rzeczywistość, żywcem wyjęta z raportu Józefa Światły<sup>18</sup>. Obok m.in. *Powracam z Polski* Aleksandra Janty-Pończyńskiego<sup>19</sup> i *Zniewolonego umysłu* Czesława Miłosza, *Kociotek na Ziemowita* winien być traktowany jako przykład dość desperacko podjętej próby beletrystycznego ujęcia tematu krajowego. Nie ma też wątpliwości, że pisarz z tej próby wychodzi zwycięsko.

Pod maską tego po wielokroć przywoływanego humoru skrywa się nadto smutne oblicze pisarza, który tęskni, który w odległym Urugwaju wyteża wzrok i słuch, imaginuje, bo chce być mimo wszystko blisko „swoich”, pragnie też być przez nich słyszany. —

---

<sup>17</sup> Zob. rozdział w tej samej książce: *Marsjaszowe konflikty. O szkicach Romana Palestra*.

<sup>18</sup> Zob.: Zbigniew Błażyński, *Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii, 1940–1955*, Londyn 1985.

<sup>19</sup> Zob.: Aleksander Janta-Pończyński, *Wracam z Polski 1948*, Paryż 1949.





## Dylematy klerka na wygnaniu. Dyskusja z lat 50.

„Działanie prawdziwego intelektualisty – pisze Stanisław Stabro<sup>1</sup> – a zatem [...] tego, któremu przyświecają ideały niezależności duchowej w stosunku do społeczeństwa, każdego systemu politycznego oraz wszelkiego rodzaju autorytetów, zawsze cechować będzie wewnętrzne rozdarcie pomiędzy naturą wyznawanych przezeń wartości, bytujących w sferze powinności, a sposobem realizacji ich nie tylko zresztą w praktyce życia społecznego”.

Ta ważna konstatacja dotyka samej istoty klerkizmu<sup>2</sup> – postawy, którą cechuje dramatyczne – żeby nie powiedzieć tragiczne – położenie.

---

<sup>1</sup> Stanisław Stabro, *Samotność intelektualisty*, w: *Literatura a wyobcowanie. Studia*, pod red. Jerzego Świącha, Lublin 1990, s. 219.

<sup>2</sup> Klerkizm to postawa, jeśli potraktować ją modelowo, jaką charakteryzuje obrona autonomicznych wartości rozumu, a w przypadku intelektualisty-artysty, również autonomicznych wartości sztuki. Chodzi w tym miejscu o subtelny i skomplikowany związek intelektu z intuicją, ekspresją i etyką. Klerkizm jest też bezkompromisowym dążeniem do prawdy w ścisłym związku z dobrem – ostatecznym i niezbędnym warunkiem postępowania etycznego. Szczególna pozycja intelektualisty związana jest przede wszystkim z niezależnością poznawczą i osądzającą. Jednocześnie postulowana niezależność (owa najczęściej niedościgniona idea) w zetknięciu z realiami życia ujawnia swoją kruchość, wiedzie klerka na ścieżkę niepowodzeń, na drogę społecznego i psychicznego osamotnienia. Rodzi frustrację, także grozi marginalizacją. Zob.: tamże.

żenie intelektualisty, z jednej strony programowo nonkonformistycznego i duchowo niepodległego, z drugiej zaś zainteresowanego realnym wpływem na kształt społecznego i politycznego życia narodu. W strategii klerka aktywnego mieszczą się także różne i najczęściej biegunowe warianty postaw: począwszy od suwerennego i heroicznego głoszenia idei wbrew grupie, jej oczekiwaniom i gustom (co w tym przypadku ostatecznie spycha intelektualistę na margines, skazuje na społeczną banicję), po zaangażowanie i akceptację racji strony silniejszego. Najczęściej tym silniejszym jest obóz władzy. Dokonawszy takiego wyboru, intelektualista automatycznie godzi się na konformizm i utratę niezależności; zyskuje i coś w zamian – unika marginalizacji.

Przewyciężeniem dramatycznego i męczącego balansowania między skrajnościami, między aktywnością a biernością, między mediacyjną funkcją a duchowym przewodnictwem w łonie określonej grupy wspólnotowej, bywa wsparcie instytucji mecenatu – o ile znowuż mecenat taki nie zmusza intelektualisty do radykalnego samoograniczenia i rezygnacji z wewnętrznej swobody, której ostatecznym celem winno być bezkompromisowe dążenie do prawdy. Jeśli zatem owa wolność – jako podstawa klerkowskiego etosu – nie będzie przez instytucje wspierające kwestionowana, intelektualista zyska nawet względną stabilizację i pewność siebie oraz pewność własnych działań. Obce mu będą także samotność, frustrujące poczucie marginalizacji i społecznej nieważności; bywa, że i zdobywa sławę.

Jednak w praktyce życia społecznego, niepodległość intelektualna i duchowa prowadzi najczęściej na drogę permanentnego konfliktu z rzecznikami prostych prawd, zwykle z własnym narodem i politycznym establishmentem, co z istoty paradoksalne, bo to właśnie nie co innego, jak naród, staje się życiowym powołaniem klerka. Naród – to przecież wspólnota ludzi, którą nie tylko najlepiej rozumie, bo do niej przynależy, ale i z tych samych powodów – najbardziej pragnie zmienić.

Poza tymi wariantami XX-wiecznego klerkizmu należy wspomnieć o jeszcze jednym – interesującym mnie tu najbardziej, bo charakterystycznym dla powojennego indywidualisty, pisarza i artysty. Jest on także znakiem XX-wiecznych czasów, w których doświadczenie emigracyjne staje się niemal powszechne<sup>3</sup>. Interesować mnie będzie zatem osobliwa kondycja intelektualisty żyjącego na obczyźnie, pragnącego jednak uczestniczyć w życiu duchowym zarówno społeczności wychodźczej, jak i wspólnoty pozostałej w kraju. Samotność, jakiej w takich warunkach doświadcza, ma swoje rozmaite odcienie; jest w niej męczące poczucie nieprzydatności, egzystencjalnego i zawodowego zagubienia, jest i pustka, bezsilność, rozgoryczenie.

Ważna dyskusja z lat 50. XX wieku jest tych właśnie doświadczeń szczególnym wyrazem. Jej interlokutorzy i zarazem bohaterowie „słownego dramatu” formułują sądy o roli pisarza żyjącego w warunkach geograficznego oddalenia od kraju i odosobnienia. W świetle rozważanych wówczas moralnych i intelektualnych problemów konkretyzuje się więc istota klerkowskiego etosu w sytuacji wychodźczego wyobcowania i wykorzenia.

Dyskusja toczy się na łamach paryskiej „Kultury” w latach 50., z biegiem czasu zatacza coraz szersze kręgi, prowokuje autorów z różnorodnym wojennym i emigracyjnym życiorysem do licznych kontrowersyjnych polemik i intelektualnych retorsji. Za jej kontynuację możemy uznać także głosy historyków i socjologów, którzy indywidualnym gestom i pisarskim manifestacjom nadają stosunkowo bardziej obiektywny rys, wyprowadzając je na pola zachowań grupowych, społecznych i wpisując w szersze ramy kulturowe<sup>4</sup>.

---

<sup>3</sup> Por.: Krzysztof Dybciak, *Historyczne znaczenie oraz różnorodność ruchów migracyjnych i społeczności migrujących*, „Ethos” 2009, nr 3-4.

<sup>4</sup> Problemy klerka na wygnaniu to również problemy pisarza i odbiorcy na emigracji, wreszcie samej emigracji, jej statusu, dążeń, orientacji politycznych i postaw światopoglądowych. Z myślą o tym redakcja „Kultury” publikuje w numerze 9/59

Przedstawiam rzecz całą z częściowym zachowaniem chronologii publikowanych szkiców w „Kulturze” – chodzi tu zatem o trzy głosy pisarskie: głos Czesława Miłosza, Czesława Straszewicza<sup>5</sup> i Witolda Gombrowicza. Reakcja środowiska emigracyjnego na tę polemikę była natychmiastowa, a formułowane sądy i spostrzeżenia świadczą o polaryzacji, jaka wówczas miała miejsce.

Wybór twórców jest nie tylko podyktowany wzajemnym zainteresowaniem sobą oraz krzyżowaniem się ich polemicznych wypowiedzi. Chodzi także o coś więcej – o trzy charakterystyczne stanowiska, o ich reprezentatywność i modelowość. Wymienieni autorzy bowiem zależnie od doświadczeń, postaw i osobistych wyborów (biograficznych wolt i znaczących gestów) stawiają istotne pytania, żywotne w latach 50., rozpalające emocje polskiej diaspory na Zachodzie, ogniskujące się wokół miejsca polskiego twórcy i intelektualisty żyjącego poza krajem oraz pozycji, jaką mógłby (czy winien) zajmować zarówno wobec publiczności własnej (krajowej

---

z 1952 roku ankietę pt. *Nasze życie na emigracji* służącą według jej autorów lepszemu poznaniu się Polaków żyjących w rozproszeniu i ew. odpowiedzi na pytanie o kierunek, w jakim podąża diaspora, o jej polityczne orientacje i podziały. Po roku na łamach pisma pojawia się jej omówienie. Zob.: „Kultura” 1953, nr 4/66.

Struktury społecznej polskiej emigracji dotyczy artykuł Jerzego Zubrzyckiego, *Socjologia polskiej emigracji*, „Kultura” 1954, nr 9/83 (cz. 2).

Również Juliusz Mieroszewski w artykule *Literatura „Oblężonego miasta”* postuluje przezwycięzenie syndromu „oblężonej twierdzy”, tj. pisarstwa uprawianego w zamknięciu, „odwetowego” i anachronicznego, również – jak określa – reakcyjnego: „Jesteśmy reakcyjni, bo uważamy się nie tylko za uchodźców z niepodległej Polski, ale i za uchodźców z Europy »ancien régime« [...] bo w tej epoce przełomowej zamiast być awangardą postępu, jesteśmy stróżami mauzoleum skostniałych doktryn”. Zob.: „Kultura” 1952, nr 1/51.

Na temat wagi dyskusji z lat 50. pisze Stanisław Bereś (gromadzi również materiał publicystyczny w przypisach do artykułu), *Literatura emigracyjna (1945–1990). Zarys periodyzacji*, w: *W kręgu twórczości pisarzy emigracyjnych. Studia i szkice*, pod red. Zbigniewa Andresa, Rzeszów 1999, s. 33–35.

<sup>5</sup> Stanisław Bereś, wspominając o szkicach Miłosza i Gombrowicza w „Kulturze”, pomija niesłusznie trzeciego interlokutora – Straszewicza, który – moim zdaniem – odegrał w tej dyskusji znaczącą rolę. Zob.: S. Bereś, *Literatura emigracyjna (1945–1990)*..., dz. cyt.

i emigracyjnej), jak i kraju zamieszkania. Straszewicz, Gombrowicz i Miłosz dywagują nad ewentualną możliwą do spełnienia rolę polskiego pisarza w świecie zachodnim.

Nie sposób nie zauważyć, że tragiczną cezurę i osobliwą egzystencjalną sytuację graniczną stanowi wybuch drugiej wojny światowej i wszystko, co się w jej wyniku stało. Chodzi bowiem o ciężar wyborów powziętych w momencie wojennego i okupacyjnego exodusu, tym bardziej że pod naporem tragedii i traumy, człowiek staje w swojej egzystencjalnej i duchowej prawdzie, przechodzi próbę szczególną i niejako w niej się określa.

Z całą dobitnością, myśląc o doświadczeniu własnego pokolenia, wyraził ów progowy stan Tymon Terlecki słowami: „Wojna ugodziła jak w serce, w połowę życia – w to miejsce, w którym graniczy czas obietnic z czasem spełnień”, a Miłosz, Straszewicz i Gombrowicz taką właśnie próbę mają za sobą.

Okupację w kraju i PRL-owski epizod współpracy z władzą, który upoważni go do zabrania głosu w sprawie „klerka uwięzionego” i „złamanego”, ma za sobą Czesław Miłosz. Gombrowicz nie powraca we wrześniu 1939 roku do Europy z egzotycznej wyprawy transatlantykiem „Chrobry”, co uchroni go przed bezpośrednimi skutkami wojny. Czesław Straszewicz natomiast, skłonny do poświęceń, przekonany o wadze zobowiązań wobec wspólnoty narodowej i państwowej, która znalazła się w stanie najwyższego zagrożenia, decyduje się na powrót z Argentyny do Francji<sup>6</sup>. W Europie zaciąga się do polskiego wojska na północy Francji, w okolicę Coëtquidan, wraz z nim ewakuuje się do Wielkiej Brytanii, tam m.in. pracuje w wojennym radiu Świt. Po wojnie, podobnie jak Gombrowicz, nie wraca do kraju<sup>7</sup>.

---

<sup>6</sup> „Chrobry” dopływa jedynie do Brazylii, dla odbycia dalszej podróży pasażerowie zamustrowani zostali na statek towarowy, którym dopłynęli do zachodnich wybrzeży wówczas jeszcze wolnej Francji.

<sup>7</sup> Więcej: Violetta Wejs-Milewska, *Wykorzeni i wygnani. O twórczości Czesława Straszewicza*, Kraków 2003.

Bezsprzecznie – mimo wielu innych niezwykle ważnych przesłanek – to doświadczenie wojenne staje u źródła ideologicznego podziału świata, pogładowej polaryzacji i różnicy postaw. Sarkazm, aprioryczność, a zarazem pewna chimeryczność (psychiczny „kompleks”) Gombrowicza, stają niejako naprzeciw melancholii, zgorzknienia i zagubienia Straszewicza, który wyjazd w 1945 roku do Ameryki Południowej traktuje przez niemal dziesięć lat jako artystyczne i cywilne samobójstwo. Natomiast trauma okupacji i gorzki smak klęski wrześnieowej zdają się tłumaczyć powojenną aktywność w ramach PRL-u Miłosza. Ponadto – jak wiadomo – m.in. i doświadczenie okupacyjne stało u źródła jego niechęci do środowiska emigracji londyńskiej, a po 1951 roku – także do krajowego środowiska pisarskiego, które przyjęło jednak i marksizm, i socrealistyczne dyrektywy w kulturze.

Dyskusja między autorami – choć bywało i tak, że za sprawą przyjętej strategii jej mówców głosy nie trafiały bezpośrednio do interlokutora – wywołuje lawinę kolejnych wypowiedzi. Do polemiki dołączają inni publicyści i pisarze emigracyjni; na łamach prasy formułują swój stosunek zarówno do bohaterów niniejszego intelektualnego wydarzenia, jak i do kwestii zasadniczych wywołanych ich polemiką, zwłaszcza do sytuacji emigracji, jej roli politycznej i kulturotwórczej w aktualnych warunkach spolaryzowanego świata. Należy także dodać, że polemika Straszewicza z Miłoszem i Gombrowiczem wpłynęła na ogłoszenie w „Kulturze” ankiety, której wyniki obrazować miały strukturę społeczną, preferencje polityczne oraz status i warunki życia wychodźstwa po 1945 roku.

Ósrodkiem owej dyskusji, w związku z *casusem* pisarsko-klerkowsko-emigracyjnym, czynimy znakomity tekst Straszewicza *Pióra w ukropie, albo strach nami rządzi* z 1952 roku<sup>8</sup>. Jest to szkic symulujący audycję radiową (w istocie to skrypt radiowy), w którym obaj interlokutorzy: Gombrowicz i Miłosz, wywołani przez

---

<sup>8</sup> „Kultura” 1952, nr 2-3/52-53.

autora, zajmują miejsce znaczące. *Pióra w ukropie* stają się bowiem figuralną egzemplifikacją zarówno osobistego dramatu ich autora, jak i prezentowanej przezeń wizji pisarstwa, ponadto stanowią znakomity pretekst do uchwycenia i wyodrębnienia kilku modeli literatury oraz strategii artystycznych. Dodajmy, że tekst Straszewicza drukowany jest w „Kulturze” po Miłoszowym *Nie* z 1951 roku<sup>9</sup>, jak również po Gombrowiczowskim wstępie do *Trans-Atlantyku*<sup>10</sup>. *Trans-Atlantyk* niewątpliwie sprowokował Straszewicza, stał się w nim przecież bohaterem pierwszej strony utworu; trzeba dodać, że odebrać musiał to wspomnienie o sobie z „Chrobrego” z niemałym zakłopotaniem, a może i z niemałym rozdrażnieniem.

Odpowiedź na Straszewiczowskie *Pióra w ukropie* formułuje Gombrowicz „nie wprost”, „serio” i „ponad”, unikając osobistych wtretów w *Komentarzu* do *Dogodności i niedogodności wygnania* Émile’a M. Ciorana<sup>11</sup>. Ale to nie wszystko. Bezpośrednio zwraca się do kompana z „Chrobrego” w *Refleksjach na marginesie Straszewicza* w następnym numerze „Kultury” z 1952 roku<sup>12</sup>.

Przyjrzyjmy się zatem owej polemice, wychodząc od tekstu Straszewicza; *Pióra w ukropie*, poza wątkiem czysto biograficznym, traktują bowiem o nadziejach i wątpleniach człowieka, który niezwykle poważnie traktował przedwojenne wyzwania i wierzył w moc sprawczą słowa, w etos twórcy, w pisarstwo poważne, społeczne i zaangażowane. Teraz jednak pozostawszy na emigracji – z perspektywy wojennej traumy – ma poczucie totalnej klęski. Po pierwsze – jako obywatel, który utracił własne państwo, po drugie – jako prywatny człowiek, któremu wojna odebrała rodzinny dom, wreszcie jako intelektualista i pisarz, który nie znajduje w obcym

<sup>9</sup> „Kultura” 1951, nr 5/43.

<sup>10</sup> Tamże.

<sup>11</sup> „Kultura” 1952, nr 6/56.

<sup>12</sup> „Kultura” 1952, nr 7-8/57-58.

świecie punktu odniesienia dla własnej pracy, traci bowiem kontekst w osobie realnego, żywego odbiorcy. *Pióra w ukropie* są również miejscem stawiania istotnych pytań natury etycznej, prowokują do rozważań na temat tego, co w życiu twórcy i człowieka winno być uznane za najważniejsze. Zwraca uwagę na tę problematykę Giedroyc w liście do Straszewicza, kiedy pisze: „Długo czekałem, ale warto było czekać. Szkic Pana jest naprawdę świetny. [...] Postawił Pan przy tym pierwszy w naszej literaturze a jednocześnie tak stary – tragiczny konflikt pisarza. [...] Rozumiem, że warunki, w których się Pan znajduje, nie są najbardziej sprzyjające dla twórczości – ale to zdaje się już jest przeznaczenie polskich pisarzy”<sup>13</sup>.

Straszewicz przyznaje na samym wstępie, że jego artykuł sprovokowali przywołani: Gombrowicz i Miłosz oraz – wiemy to z korespondencji – redaktor „Kultury”. Określa ich przewrotnie w swoim szkicu „podżegaczami”. Ponadto i z Miłoszem, i z Gombrowiczem łączy go warszawski epizod: biesiady w „Zodiaku” i „Ziemiańskiej”, gdzie – jak wspomina ironicznie – „muskani przez muzy codziennie się spotykali”. Jednak doświadczenia wojenne i okupacyjne oraz diametralnie różne losy kolegów po piórze, każą mu zastanowić się nad własnym życiem wiedzionym w Urugwaju, w miejscu, które – jak podkreśla – stało się dlań intelektualną pustynią i nieznośnym „izolacyjnym kloszem”. Ale dostrzega i dobrodziejstwa przebywania na antypodach: Urugwaj chroni go przed okaleczonym i zaczadzonym zachodnim światem, przed Europą, która nie poradziła sobie nie tylko z wojną, ale i z jej konsekwencjami.

Nie tylko mu o to idzie. Jak pisze w *Piórach w ukropie*, chce sprovokować dyskusję, której pole nie może w istocie być ściśle określone. Pisarz zamierza – ironizując i parodiując Gombrowicza – rozpocząć sąd: „[...] patriotyczny! Artystyczny! Pod kątem

---

<sup>13</sup> List Giedroycia z 19 grudnia 195(?). Kolekcja Czesława Straszewicza (w zbiorach Archiwum Rękopisów Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie).





***Konferencja RWE. Na pierwszym planie Stanisław Paprocki,  
za nim Kazimierz Zamorski (obaj z Działu Studiów i Analiz),  
na trzecim planie Czesław Straszewicz,  
Monachium, początek lat 50.***

doczesności! Pod kątem nieśmiertelności! Pod kątem polskiego, zachodniego, demokratycznego i ego widzenia! Kto z nas trzech [...] znaczy: Miłosz, Gombrowicz i ja – mądrze słuchał matki strachu swego, a kto matkę miał głupią i zmazał się grzechem wobec siebie, społeczności, wieczności?...”<sup>14</sup>.

Innymi słowy, stawia pytanie – i nie jest w tym odosobniony – jak to się stało, jakiej przewrotnej i ironicznej fortunie zawdzięcza ponowny pobyt w Ameryce Łacińskiej, która przed laty miała być jedynie epizodyczną bohaterką jego kolejnej książki? Teraz jednak, po 1945 roku doświadcza w niej życia w ubóstwie i na marginesie spraw istotnych, rozgrywających się w dalekiej Europie, z której rozgoryczony rozstrzygnięciami wojny niegdyś uciekł. Przed wszystkim tęskni. Pyta: dlaczego za „zanurzenie się” w wojnie otrzymuje od losu wątpliwą zapłatę w postaci niechcianej i męczącej, bo jałowej kondycji emigranta (bezpaństwowca), skazującej go na izolację i milczenie? Cóż wreszcie ma robić klerk czy pisarz zaangażowany, który nagle utracił „aksjologiczny pion” – ów istotny dla życiowego bycia punkt odniesienia?

W niniejszych pytaniach kryją się ludzkie i pisarskie dylematy. Najboleśniej staje się jednak poczucie zagubienia i utrata hierarchii wartości. W odległej Ameryce bowiem sprawy jeszcze całkiem niedawno zaprzatające umysł i serce pisarza, okazują się bez znaczenia, ulegają erupcji, rozplývają się w oceanie obcych, egzotycznych żywiołów. Jeśli dodamy do tego dość nagłą zmianę społecznej pozycji inteligenta rodem z Europy – teraz zdegradowanego, wyobcowanego i samotnego duchowo – obraz klerka na obczyźnie staje się pełniejszy, a kondycja nie do pozazdroszczenia.

Powołując na sędziego we własnej sprawie odbiorcę z lat 50., wyzywa Straszewicz na „intelektualny pojedynek” Miłosza, chce bowiem przejrzeć się w nim jak w lustrze, zmierza ku konfrontacji.

---

<sup>14</sup> Czesław Straszewicz, *Pióra w ukropie, albo strach nami rządzi*, „Kultura” (Paryż) 1952, nr 2-3/52-53, s. 8.

Miłosz jest dla niego reprezentantem jednej z postaw inteligenckich, którą charakteryzuje pewna elastyczność czy intelektualna (dialektyczna) chybotliwość. Poza tym postawa autora *Ziemi Ulro* zasugerowana w *Nie*, nie przekonuje go. Zadziwia także łatwość, z jaką Miłosz przystosowuje się do nowych warunków na emigracji i z jaką potrafi też o tym publicznie mówić. By przybliżyć czytelnika do tego, o czym myśli, posługuje się metaforą „solucji”. W takim – jego zdaniem – podczerwonym świetle kąpał się właśnie autor *Zniewolonego umysłu*, a ironiczna uwaga Straszewicza dotyczy owych prowokujących jego szkic moralnych wyborów sięgających czasów próby, także kwestii tzw. wiarygodności pisarza, jego legitymizacji oraz w konsekwencji – powagi samej literatury. Sprawdzianem jedynym w swoim rodzaju, radykalnym i dlatego najważniejszym, staje się więc wojna.

Straszewicz z pozorną nonszalancją i zarazem z dużą dozą powściągliwości pisze: „Miłosz, który nie umarł [podczas wojny – jak dawni przyjaciele Straszewicza: Światopełk Karpiński, Stanisław Piasecki, Bolesław Miciński – V.W.M.], którego nie zabił strach, o jakim nie mają pojęcia ludzie nie gnębieni przez fatum gwiazd. Którego strach wywiódł na inne drogi niż Światopełka – Witolda – Czesława... Miłosz prowokuje tą rzeczą o strachu. Miłosz objawiony w »Kulturze«, który jeśli nie ma już dzisiaj buzi różowej i oczek jarzących – ma pióro ostre i prowokujące, jakby dzisiaj wyrwane z kupra dostojnej gęsi – muzy”<sup>15</sup>.

W innym miejscu, zasłaniając się alegorią „matki Strachu”, upośrednicającą wypowiedź i poniekąd chroniącą przed nadmierną psychoduchową demaskacją, autor zawoła: „Miłoszu! Miłoszu! Chyba mądrze zrobiłeś, żeś mnie posłuchał... [„matki Strachu” – V.W.M.] – czytamy w *Piórach w ukropie* – żeś talent swój oblizywał właśnie jak kot oblizuje puszysty ogon swój – żeś zdrowo strawił wojnę, żeś dzielnie przełknął okupację, że czerwone wyjadałeś powidła

---

<sup>15</sup> Tamże, s. 7.

– ale poezja twoja zawsze była cudowna, sztuka [...] miłoszowska! Żeś był jak korek, co na wodzie pływa, albo jak boja, co w największej burzy nie zatonie i w nocy świeci! Na wschodnim oceanie czy na zachodnim – zarówno świeci!”<sup>16</sup>.

Decyzję Miłosza określa Straszewicz mianem „paktu z diabłem” zawartego w imię celów wprawdzie zrozumiałych i być może pod pewnymi warunkami nawet do przyjęcia, dla niego zaś – nie do zaakceptowania. Miłosz nie przekonuje go w *Nie*, a motywacja służenia „ludowej ojczyźnie” wypada „blado”.

Wobec *Nie* i argumentacji o pozostaniu autora *Zniewolonego umysłu* na Zachodzie, wypowiadać się także będzie dość surowo i pryncypialnie polski Londyn. Decyzja Miłosza wywołuje również liczne polemiki (głównie w pismach londyńskich), wymusza publikację *Oświadczenia*<sup>17</sup>, które zgodnie z intencją Jerzego Giedroycia w numerze grudniowym „Kultury” z 1951 roku odegrało rolę

<sup>16</sup> Tamże.

<sup>17</sup> W tekście tym „Kultura” formułuje stosunek do tzw. nowej emigracji: „Sąd o nowych emigrantach musi być wydany w pierwszym rządzie na podstawie ich działalności i ich zachowania na emigracji. Stosunek nasz do nich powinien być bez uprzedzenia i gorzkich urazów, lecz pełen życzliwej czujności. Jeżeli nowo przybyły emigrant współpracował aktywnie z reżimem, mamy prawo oczekiwać od niego, że przedstawi swą sprawę publicznie. Nie mamy jednak prawa domagać się od niego upokarzających »pokajań« na wzór procesów sowieckich. Nie mamy również prawa żądać, by się zdeklarował po stronie jednego z licznych obozów politycznych na emigracji. Posiada on prawo, tak jak każdy uchodźca, do kształtowania sobie własnej opinii, dotyczącej wszystkich zagadnień, jak również i naszej działalności, i wybierania własnej, zgodnej z jego sumieniem, drogi walki” (podpisani m.in. Bobkowski, Giedroyc, Mieroszewski, Sambor, Vincenz), „Kultura” 1951, nr 12/50.

W numerze 2-3/52-53 z 1952 r. „Kultury” pojawia się list Gombrowicza z 9 stycznia 1952 w tej samej sprawie, gdzie czytamy: „Deklaracji w sprawie Miłosza nie podpiszę, gdyż chorobliwie nie znoszę podpisywania wszelkich deklaracji. Proszę mnie zrozumieć. Proszę uszanować moje dziwactwa i moją wstydlivość. Wstydzę się występować jako »pisarz« i jako »przedstawiciel kultury«. Niestety wszyscy to »wiedzą«, jestem tylko biednym, szalonym, ciężko dotkniętym zupełną niepoczytalnością ultra-pokątnym Gombrowiczem. Zlitujcie się nad biednym Tomkiem! Nie męczcie biednego Tomka! Ale mówi poeta: »Furie zrodzone w podziemnym królestwie / Ciasno myślących łbów co uderzają / Tępo brutalnym nożem... niechaj okiełzna / Duch szlachetniejszy cnoty, roztropności / Mądrej rozwagi...«”.

oficjalnego stanowiska pisma wobec ewentualnej nowej fali emigracyjnej z PRL-u (tej „fali” – jak wiemy – nie było jednak).

*Nie* Miłosza sprawia wrażenie swoistej samokrytyki złożonej na ręce emigracyjnej publiczności, skierowanej także, a może i przede wszystkim, do kraju; sam autor *Nie* – skupia się w rozważaniach na problemach natury ogólniejszej, o sobie pisze mniej. Zarysowuje tło i przybliża atmosferę życia twórcy w PRL-u, wprowadza czytelnika emigracyjnego w świat dusznych kompromisów, a co za tym idzie – w świat duchowego zniewolenia i presji doktryny.

Czy jednak Miłosz „objawia” prawdy nieznane emigracji? Cóż w owym *Nie* mógł przeczytać zatem Straszewicz? Czego nowego miałyby się dowiedzieć o kondycji i dramacie klerka uwięzionego i złamanego?

W świetle *Piór w ukropie*, także i innych wypowiedzi pisarza, okazuje się, że szkic Miłosza go nie zaskoczył, nie był też źródłem jakiegoś szczególnego poznania rzeczywistości krajowej, zwłaszcza mechanizmu funkcjonowania środowiska pisarskiego. Potraktował jego przesłanie jako dość udaną próbę wytłumaczenia się wileńskiego poety, który analizując w *Nie* metodę kruszenia oporu inteligencji przez totalitarne państwo, umniejsza w tym projekcie swoją rolę. Straszewicz jest bowiem przekonany, że istotne decyzje i życiowe przełomy nie mają jedynie charakteru czysto intelektualnego, ważne wybory dokonują się także i wtedy, kiedy człowiek przechodzi przez głębokie napięcia uczuciowe, gdy zмага się z własnymi słabościami.

Szczególnie ta wypowiedź Miłosza z *Nie* nie mogła przypaść do gustu Straszewiczowi: „Zaliczano mnie do »dobrych pogan«. Moja postawa wobec totalitarnych doktryn szerzących się w XX wieku na prawicy była zawsze bezkompromisowa [...], nie ukrywałem swojej niechęci do nacjonalizmu i szowinizmu, starałem się walczyć z pol-

---

W tym samym numerze w rubryce „Listy do redakcji” drukowany jest list Adama Uziembły polemizującego z ideą oświadczenia, również z decyzją Miłosza, s. 195-196.

skim antysemityzmem. Byłem więc »dobrym poganinem« i darzono mnie względami. W ciągu pięciu lat służyłem lojalnie mojej ludowej ojczyźnie, starając się według najlepszego mojego rozumienia wypełniać moje obowiązki i jako pisarz, i jako attaché kulturalny w Stanach Zjednoczonych i we Francji. [...] Poza tym mój stosunek do politycznej emigracji polskiej był co najmniej ironiczny: na kimś, kto rozumiał dynamikę przemian zachodzących w Polsce, spory kilkunastoosobowych stronnictw robiły wrażenie bezużytecznej zabawy, a same postacie tych polityków wyglądały na figury z wodewilu. Miałem więc powody, aby trzymać się nowej Polski zmierzającej ku socjalizmowi, i tak było do czasu, gdy postanowiono mnie, tak jak i innych podobnych do mnie pisarzy, ochrzcić. Wtedy powiedziałem: »Nie«<sup>18</sup>.

Straszewicz nie daje wiary tłumaczeniom, on nie chce rozgrzeszać poety, ale także zdecydowanie go nie potępia, po ludzku go rozumie – tak jak może zrozumieć i współczuć każdemu zwyczajnemu człowiekowi – jednak rzecz w tym, że Miłosz nie jest zwykłym człowiekiem, nie może zatem przysługiwać mu prawo łaski. Miłosz–intelektualista, Miłosz–pisarz i publicysta jako autor poważny oraz odpowiedzialny będzie więc dla Straszewicza niewiarygodny.

Autor *Piór w ukropie* znajduje w postawie wileńskiego poety niekonsekwencje, z jednej strony rozumie jego pragnienie bycia twórcą niezależnym, intelektualistą duchowo niepodległym, z drugiej zaś wie, że postawa taka musi rodzić konflikt – zwłaszcza wtedy, kiedy deklaruje on zaangażowanie w sprawy społeczne i polityczne. A Miłosz w *Nie* pisze i to: „Ambicją pisarza powinno być trafienie do prostych, uczciwych ludzi, którzy może nigdy nie czytali Prousta czy Joyce’a, ale których zaprzętają bynajmniej niebłahe problemy”<sup>19</sup>.

Usprawiedliwieniem decyzji o pozostaniu po 1945 roku w kraju i porozumieniu się z władzą ma być – w świetle tej wypowiedzi – pragnie-

---

<sup>18</sup> „Kultura” 1951, nr 5/43, s. 3.

<sup>19</sup> Tamże.

nie, by możliwe się stało wypełnienie historycznej roli klerka rządzącego duszami, panującego nad wspólnotą w imię jej dobra i fundamentalnych humanistycznych wartości. W *Nie* podnosi także problem twórców–konformistów, na tle których jego postawa odznaczać by się miała imponującą wyrazistością. Są oni przede wszystkim pozbawieni moralnego kośćca i etosu. To, jak pisze Miłosz: „[...] sympatyczni cynicy, którzy uważają literaturę za rzemiosło takie jak każde inne – jest to tylko kwestia otrzymania zamówienia. [...] Czyż nasza profesja – autorów płatnych hymnów na cześć wybitnych osobistości i paszkwilów na wrogów władzy – nie jest stara? Czyż nie posiada pięknych tradycji? – zapytuję. [...]

Inni, nie mogąc uporać się z zagadnieniem tak prosto, zdobywają się na szczególną operację: cokolwiek osłabia człowieka w jego działaniu, jest ich zdaniem złe. Co jest złe, powinno być z organizmu usunięte. Ponieważ świadomość równoczesności zjawisk zmniejsza energię działania, należy to usunąć przez ustalenie pewnych tabu, których nie powinna tykać mowa ani myśl (»ja tam nie byłem«, »ja tego nie widziałem«, »jeśli tak jest, to widać, tak być powinno« etc.)”<sup>20</sup>.

Poeta podkreśla wagę presji systemu, który niszczy i degradowa; klerk traci bowiem w Polsce swoją wiarygodność, choć jako prywatny człowiek w swojej ludzkiej słabości jest autentyczny, ale jako pisarz pozbawia się wewnętrznej siły, niezbędnej do tego, by móc z powagą wykonywać swój zawód, traci więc też i prawo do osądzania.

Co na to Straszewicz? Nietrudno zgadnąć. Za konkretnym przekazem literatury jako faktu społecznego winien stać autor: to znaczy jego autorytet i jego własna, radykalnie skrojona wizja świata, jego prawda. Jeśli nie udaje mu się zachować niezależności, wcześniej czy później wpada w pułapkę duchowego i intelektualnego „rozwojenia”. Tak też – jego zdaniem – stało się z „modelowym” twórcą w PRL-u. Sam Miłosz naprowadza autora *Piór w ukropie* na ten

---

<sup>20</sup> Tamże.

interpretacyjny trop słowami: „Większość pisarzy [w PRL-u – czytamy w *Nie* – V.W.M.] cierpi na rozdwojenie i na to rozdwojenie musi być znaleziona rada. Wyrzeczenie się prawdy na rzecz literatury propagandowej i utylitarnej jest możliwe, jeżeli jest to wyrzeczenie się w imię czegoś. Tutaj dochodzimy do konieczności przyjęcia Nowej Wiary drogą praktyki”<sup>21</sup>.

Dodatkowe argumenty podrzuca pośrednio Straszewiczowi poeta, kiedy decyduje się odpowiedzieć Antoniemu Słonimskiemu, świeżo wówczas przybyłemu z Londynu do kraju. W polemice ze Słonimskim bowiem, choć już w innym tonie, mniej wyważonym, ale za to bardziej osobistym i emocjonalnym, wraca poeta do zasadniczej sprawy, jaką jest klerkizm. Wtrącenia biograficzne mają tu swoją wagę, należą bowiem do integralnej części argumentacyjnego wywodu: „W tym samym mniej więcej czasie kiedy ja zrywałem swoje związki z dzisiejszą Polską, ty wracałeś z Londynu do Warszawy, po dwunastoletnim niemal pobycie za granicą. Wróciłeś, bo w Warszawie wydajesz swoje dzieła poetyckie, masz pieniądze, apartament i kontrakt na przekład *Sonetów* Szekspira. Ja wyrzekłem się pieniędzy, kontraktów i publikowania wierszy. Wróciłeś również dlatego, że niebezpiecznie jest narazić się wielkiej potędze, która ma czołgi, samoloty, władzę nad setkami milionów ludzi a także świadomych i nieświadomych pomocników we wszystkich krajach świata. Nazywasz to koniecznością historyczną. Ja koniecznością historyczną – skoro już o niej mowa – nazywam co innego. Nazywam pragnienia milionów mieszkańców kuli ziemskiej [...], którzy chcą czego innego niż tyrania, z jakiej na wiele pokoleń nie ma żadnego wyjścia. [...] Nie byłeś nigdy komunistą. Kiedy polscy komuniści gnili po więzieniach, ty zasiadałeś w kawiarni i pisałeś kroniki tygodniowe dla liberałów z małego miasteczka. [...] I byłeś w Londynie, kiedy polscy komuniści gnili z kolei w sowieckich więzieniach i wybaczały te więzienia, kiedy brali na swoje sumienie masowe deportacje, organizowane

---

<sup>21</sup> Tamże, s. 10.



przez Rosjan, zniszczenie Warszawy, planowe, pod pokrywką działań wojennych, palenie miast i grabież fabryk na ziemiach zachodnich; brali to na swoje sumienie w imię własnej idei. A teraz wybrałeś ortodoksję mocą faktów, których sam nie tworzyłeś i których nie chciałeś. Ja też nie byłem komunistą i nie siedziałem w więzieniach; nie wierzyłem, że to, co się dzieje w Rosji, jest zbawieniem ludzkości. W r. 1936 ogłosiłem w wileńskiej »Karcie« list otwarty, w którym określiłem swoje antystalinowskie stanowisko. Ale po wojnie, kiedy każdy był dobry, kto nie miał czarnego podniebienia, uważałem, że powinienem być z moim krajem i temu krajowi w miarę sił pomagać. Kiedy jednak powiedziano: nie ma prawa przemawiać, kto nie akceptuje ślepo i bez zastrzeżeń podstaw naszej filozofii, wybrałem to rozwiązanie. Nie jestem pierwszym ani ostatnim człowiekiem, który odrzuca doktrynę wtłaczaną przemocą”<sup>22</sup>.

Wróćmy jednak do *Nie*. Miłosz usprawiedliwia wybór pisarza w PRL-u, bo w gruncie rzeczy ma na myśli ową schizofreniczną świadomość intelektualisty, dopuszczającą w myśleniu o historii istnienie tzw. dziejowej konieczności, która z kolei miałaby nie tyle sankcjonować, ile usprawiedliwiać zło jednostkowe. Pisarz w kraju zmuszony jest z jednej strony do rezygnacji z bezkompromisowej prawdy, a więc z tego, co najistotniejsze – z własnej wizji „bez złudzeń”, z intelektualnej suwerenności, z możliwości uznania, że sztuka jest osobliwym rodzajem poznania, wtajemniczeniem i zstąpieniem w głąb rzeczy, z drugiej zaś – pragnie wierzyć, że robi to dla celu znacznie bardziej istotnego, ponieważ udział w realizacji utopii nowego świata pociąga go. Z tej wiary ma również wynikać jego rola „siewcy słowa” w nowo tworzącym się systemie (w praktyce – jak się przecież okazało – totalitarnym). Píše też o praktycznościowych udogodnieniach „klerka nadwornego”. O tej ostatniej sprawie – jednak dość oszczędnie, nie zatrzymuje się bowiem dłużej przy skądinąd

---

<sup>22</sup> Czesław Miłosz, *Do Antoniego Słonimskiego*, „Kultura” 1951, nr 12/50, s. 80-81.

bezspornej kwestii: przy komforcie materialnym, stabilizacji życiowej i tzw. konfiturach. Dopiero w polemice ze Słonimskim o tym jest mowa. Także w liście *Droży Rodacy!*, o którym piszę w rozdziale *Do publiczności w Polsce: Miłosz, Palester, Panufnik*.

Miłoszowe *Nie*, późniejszy *Zniewolony umysł* dowodzą bezsprzecznie, jak diametralnie różna jest sytuacja pisarza krajowego i emigracyjnego, choć jest i to co łączy. Zarówno pisarz w kraju, jak i na wychodźstwie ma poczucie alienacji, której przyczyny też będą różne. Pisarz krajowy czuje się wyobcowany ze względu na ideowo-estetyczną dekretację kultury, emigracyjny – przede wszystkim doświadcza odcięcia od pierwotnego kontekstu jego dzieła, od środowiska, krytyki i odbiorców, instytucji promujących kulturę.

Sytuacja literatury polskiej, ofiary zimnowojennej polityki – co m.in. uzmysławia publicystyczna wypowiedź Miłosza – podzielonej na krajową i wychodźczą, a w konsekwencji reżimową PRL-owską – szizofrenicznie kłamliwą oraz emigracyjną – wolną, choć nieuwolnioną od koterii środowiskowych i atmosfery getta, ale biedną, pozbawioną pełnego instytucjonalnego wsparcia, rzutuje na konkretne ludzkie losy, w tym także na los samego Straszewicza. Degradacja, „wtórna proletariackość” – to główny problem twórcy na wygnaniu i zarazem problem człowieka–emigranta politycznego, tego, którego również dotyczy historia „pewnego samobójstwa” (*casus Miłosza*)...

Autor *Piór w ukropie* wróci do tego wątku również w 1954 roku w liście otwartym do Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie<sup>23</sup>. Jak się okaże, stanowisko to podzielać będzie znaczna część wychodźstwa politycznego. Ocena Straszewicza nie będzie też tak radykalna, jeśli skonfrontujemy ją choćby z opinią Andrzeja Bobkowskiego, surowego i pryncypialnego w tych sprawach<sup>24</sup>. Przez Stra-

<sup>23</sup> Zob. przypis 13 w rozdziale *Doktryna rozbrajana przez śmiech. O „Kociotku na Ziemowita” Czesława Straszewicza*.

<sup>24</sup> Zob.: Jerzy Giedroyc, Andrzej Bobkowski, *Listy 1946–1961*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Jan Zieliński, Warszawa 1997. Interesująca jest w tym kontek-

szewicza przemawia przede wszystkim gorycz życiowej porażki i poczucie nieprawdopodobnej dziejowej niesprawiedliwości. Niewątpliwie ostrość widzenia, także autentyczność postawy (rozumianej jako zgodność biografii z pisarstwem) staną się wyrazistą sygnaturą radiowego i publicystycznego stylu autora *Turystów z boćcianich gniazd*. Gombrowicz też myśli podobnie. W odniesieniu do krajowej praktyki literackiej, formułuje wnioski radykalne i dramatyczne zarazem: „[...] koncepcja sztuki wykuwana po tamtej stronie kurtyny przez zwycięską biurokrację proletariatu – pisze w *Komentarzu do Dogodności i niedogodności wygnania* Émile’a M. Ciorana – jest bardziej jeszcze elitarna... i bardziej naiwna. Lecz artysta na emigracji, zmuszony istnieć nie tylko poza narodem, ale i poza elitą, konfrontuje się o wiele bardziej bezpośrednio ze sferą duchowo i intelektualnie niższą, nic nie izoluje go od tej styczności, musi osobiście wytrzymać napór brutalnego i niedojrzałego życia. Jest on jak zbankrutowany hrabia, który widzi, że salonowe maniery tracą wartość, gdy nie ma salonu. To jednych pcha w »demokratyczną« płaskość, w dobroduszną pospolitość, lub w ordynarny »realizm«... innych zaś skazuje na odosobnienie”<sup>25</sup>.

Miłosz, poznawszy treść Straszewiczowskich *Piór w ukropie*, nie podejmuje z nim bezpośredniej polemiki na łamach „Kultury”, jednak – jak dowiadujemy się z listu Giedroycia do Gombrowicza – jest Straszewiczowi „wdzięczny, a nawet esejem tym jest zachwycony”<sup>26</sup>. Niestety nie wiemy, co konkretnie mogło to znaczyć. Można jednak zaryzykować twierdzenie, że od czasu publikacji *Nie* i kolej-

---

ście polemika Miłosza z Bobkowskim. Zob.: Krzysztof Ćwikliński, *Polemiki traumatyczne albo o Andrzej Bobkowskim i Czesławie Miłoszu*, w: tegoż, *Znani i nieobecni. Studia i szkice o Andrzej Bobkowskim i innych pisarzach emigracyjnych*, Toruń 2011, s. 117-148.

<sup>25</sup> Witold Gombrowicz, *Komentarz do: Émile M. Cioran, Dogodności i niedogodności wygnania*, „Kultura” 1952, nr 6/56, s. 8.

<sup>26</sup> Zob.: Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy 1950–1969*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Andrzej S. Kowalczyk, Warszawa 1993, s. 44 (list Giedroycia z 15 marca 1952).

nych wypowiedzi, m.in. Gombrowicza oraz Straszewicza, zarówno sytuacja twórcy krajowego, jak i środowiska intelektualnego w Polsce, stanie się przedmiotem nieustannego monitorowania. Do grona polemistów i obserwatorów dołączy Roman Palester, Andrzej Panufnik i część wychodźstwa ulokowanego zwłaszcza w monachijskiej sekcji Radia Wolna Europa<sup>27</sup>.

Ponadto klimat tych dyskusji z lat 50. znakomicie ilustruje wypowiedź Miłosza z 1955 roku, a więc znacznie późniejsza wobec *Nie* i z pewnością radykalniejsza: „Jeżeli tamto środowisko [zniesmaczało go przed wojną – V.W.M.] swoją nieprzejrzystością i jakąś nierealnością, to jego nowe wcielenie, począwszy od roku 1945, budziło we mnie zupełną grozę. Gąszcz psychiczny może osiągnąć takie napięcie, że chce się wyć. Wyczerpanie się człowieka w człowieku, czytanie jego myśli, walcowanie każdej opinii, która mu się wymknęła, prowokacja, śledzenie wyrazu ust: należy tego doświadczyć, żeby wiedzieć, że nie mówię o naciskach policyjnych, tylko o torturze, jaką jest nagłe zmienienie się w postać z powieści Dostojewskiego do n-tej potęgi. Ale ci ludzie – a wśród nich wielu, którym zazdrościłem przed wojną ich zgody na świat i ich pewności siebie – chcieli żyć i zaczynali tarło, żeby idąc ławą, ocaleć od wstrętu od siebie samych, który mógłby ich zabić. Musieli znaleźć aprobatę w oczach innego takiego jak oni, stworzyć nowe normy etyczne, nowe zakazy – z całkowitym odwróceniem dotychczasowych pojęć. Musieli otoczyć się rzeczywistością autonomiczną, rodzajem hermetycznego klosza, tak, żeby ich zasady nie były konfrontowane z żadnym zewnątrz.

Biografie podrobione; upadki nagradzane laurem jako zasługi; zwycięstwa wewnętrzne uznane za hańbiące upadki: najzwyczajsze, straszliwe, wstrząsające dzieje kraju i poszczególnych jednostek

---

<sup>27</sup> Zob. rozdziały: *Marszjaszowe konflikty. O szkicach Romana Palestra; Do publiczności w Polsce: Miłosz, Palester, Panufnik; Intelektualiści znad Wisły w komentarzach Radia Wolna Europa; Paradoksy komunikacji: Radio Wolna Europa a kraj.*

wtłoczone w konwencję przepisowych terminów; epos, który jest w powietrzu, ale który nie może się wcielić w dzieło i który się za to mści. W oczach tych ludzi dziesięć już lat jest strach. Drżą, żeby ktoś nie wymówił nieprzyzwoitego słowa. Bo jeżeli ktoś wymówi to słowo, krzykną »dzyń« i padną, jak wariaci, co uważali, że są ze szkła. Żeby nikt się nie ośmielił, zakazom nadają brzmienie zawodowych przepisów: nie rób, bo to nietakt estetyczny, bo to brak mądrości. Powściągają tak siebie nawzajem, ale czując niejasno, że prawdziwa działalność pisarza i artysty zaczyna się tam, gdzie mądrość ostrzega: stop”<sup>28</sup>.

Zgoła inaczej rzecz ma się z Gombrowiczem<sup>29</sup>. Ten ostatni, dotknięty do żywego słowami autora *Turystów z bocianich gniazd*, śpieszy z ripostą, o czym za chwilę. W *Piórach w ukropie* znajdujemy bowiem i taki *passus*: „Gombrowicz. Patrzenie: jego warszawski melonik przyklapnął i stracił fason, ale ma za to fajny, hiszpań-

<sup>28</sup> Czesław Miłosz, *Refleksje o środowisku zamkniętym*, „Kultura” 1955, nr 11/97, s. 24-25.

<sup>29</sup> Jak ważny dla Gombrowicza był polemiczny dyskurs ze Straszewiczem, może świadczyć wymiana korespondencji między zainteresowanym i Giedroyciem. W liście z 15 marca 1952 redaktor „Kultury” pisze: „Sprawa Straszewicza. Przyznam się, że bardzo mnie zaskoczyło, że poczuł się Pan dotknięty *essayem* Straszewicza. Wydaje mi się on nie tylko świetny, ale bardzo uczciwy i skromny, a bynajmniej nie faryzejski. [...] Pana odpowiedź uważam za bardzo dobrą, może tym lepszą, że napisaną tonem tzw. przez publiczność »serio«. Miałbym tylko zastrzeżenia co do niepotrzebnych ataków (w dwóch miejscach) na Straszewicza, które wprowadzają nutę personalną, od której Pan sam się odżegnuje”. Gombrowicz w liście z 8 maja 1952 odpowiada: „[...] martwi mnie zwłoka w publikacji moich replik Straszewicza i poetom. Przeciż z punktu widzenia pisma takie rozbijanie dyskusji też jest niepożądane”. J. Giedroyc, W. Gombrowicz, *Listy 1950–1969*, dz. cyt., s. 44, 50.

W związku z esejem Straszewicza wywiązała się dyskusja na łamach „Kultury” i argentyńskiego „Głosu Polskiego”. Pojawia się sprostowanie Straszewicza (zob.: „Kultura” 1954, nr 8/82) oraz Kota Jeleńskiego, *Gombrowicz a robaczek Kozłowski* („Kultura” 1954, nr 6/80). Straszewicz pisze: „W kampanii, jaką przeciwko Gombrowiczowi prowadzi argentyński »Głos Polski«, kilkakrotnie wymieniane było moje nazwisko w charakterze koronnego świadka. Stwierdzam, że prawdziwy sens mojego eseju *Pióra w ukropie* wiernie te oddał K. A. Jeleński w czerwcowym numerze »Kultury«”.

ski beret i pisze do »Nacion« [...]. Ten także objawił się w »Kulturze« z zakonserwowaną ikrą swoją, z ferdydurkowskim geniuszem swoim»<sup>30</sup>.

Nim Gombrowicz wda się w polemikę ze Straszewiczem, wypowie się na temat roli pisarza w wolnym świecie i twórcy pióra w ogóle, w roku 1951 w *Przedmowie do Trans-Atlantyku* („Kultura”, nr 5). Zresztą przy okazji wydobywa z urugwajskiego niebytu Straszewicza; kto wie, czy to nie on, zelektryzowawszy uśpionego pisarza, nie wpłynął na powstanie *Turystów z bocianich gniazd?* Na pierwszych stronach *Trans-Atlantyku* – przedziwnego skądinąd „dokumentu” i równie przewrotnego „świadczenia” rejestrującego argentyńskie perypetie samego autora, wywołuje go bowiem z imienia. W *Trans-Atlantyku* ożywają także narodowe mity i duchy przeszłości. Egzotykę polskiego życia nie tylko w geograficznej „próżni”, wiedzionego w otoczeniu zwietrzałych alegorii, odsyłających do anachronicznej, pustej i sformalizowanej, skostniałej sarmackiej „bogoojczyźnianej” polskości, zderza z żywiołem dziwacznym, obcym i nowym. W przedmowie doń tak charakteryzuje swoją sytuację i zarazem sytuację polskiego (tj. europejskiego) pisarza na emigracji: „W zupełnym osamotnieniu przedzieram się przez zawilę gąszcz sztuki. Nie popiera mnie żaden obóz, żadna grupa, żadna propaganda i mój sposób pisania jest z tych, które zaiste nie nadają się do popierania, gdyż jest [...] »ekscentryczny«, a z drugiej [strony – V.W.M.] może jakiś »niepoważny« [...]»<sup>31</sup>.

W innym miejscu, wskazując na dystans, jaki dzieli go od kraju i jego spraw, dodaje: „Mieszkam tu, w Buenos Aires, nieco jak na księżycu, i w ciągu wielu lat tutaj spędzonych oddaliłem się od spraw polskich – tych doraźnych i codziennych»<sup>32</sup>.

<sup>30</sup> Cz. Straszewicz, *Pióra w ukropie*, dz. cyt., s. 7.

<sup>31</sup> *Przedmowa do: Trans-Atlantyk*, „Kultura” 1951, nr 5/43, s. 20.

<sup>32</sup> Witold Gombrowicz, *Risum teneatis...*, „Kultura” 1952, nr 1/51, s. 10.

Trudno zatem nie dostrzec w gestach Gombrowicza wielu sprzeczności. Zakradają się one do jego artystycznych „manifestów” – licznych wstępów do kolejnych wydań *Trans-Atlantyku* i zapisów dziennikowych. Postuluje w nich pisarz maksymalistyczną suwerenność twórczą, dla której zbędny jest wszelki kontekst i punkt odniesienia w osobie realnego odbiorcy, przekonuje też, że jego (odbiorcy) oczekiwania i gusty nie są sztuce potrzebne.

A jednak praktyka pisarska Gombrowicza przeczy tym wynurzeniom; bez trudu daje się zaobserwować rozdzwięk między powinnościami pisarza a sposobem ich realizacji. Z jednej strony spotykamy się ze skrajnym poglądem autora o wadze samotności klerka jako stanu koniecznego i płodnego, z drugiej zaś – z „twardym” przeświadczeniem o potrzebie odbiorczej akceptacji, ważnej dla żywej recepcyjnej aktualizacji dzieła.

W sprzecznościach myśli i praktycznego działania zawiera się zapewne istota Gombrowiczowskiego uwikłania, o czym pisało już wielu świetnych komentatorów pisarza, np. Konstanty A. Jeleński, który przekonywał również, że pisarz chce w ten sposób w swoim dziele utrwalić własną miękkość i niekonsekwencję, czyniąc z tego niezbywalny walor nowości i oryginalności. Nazwać wolnością własną chwiejność, u podstaw której leży ów egzystencjalny strach, odwieczna trwoga bytu, usprawiedliwiająca w istocie wszystko. Strach bowiem nabiera także wyrazu z każdą kolejną kartą *Trans-Atlantyku*<sup>33</sup>, są tam przecież i Ból, i Śmieszność, i Tajemnica, i Lęk.

Inny przykład: „Literatury nie wymyśla się »z głowy« – pisze Gombrowicz – ona rodzi się w żywym obcowaniu piszącego z masą odbiorców, we wzajemnym kształtowaniu się i przetwarzaniu – i dlatego autor musi wywalczyć sobie prawo do własnego sposobu bycia wobec was... do tego, aby między nim a wami powstał stosu-

---

<sup>33</sup> Zob.: Konstanty A. Jeleński, *Bohaterskie niebohaterstwo Gombrowicza*, „Kultura” 1957, nr 9/119, s. 38.

nek autentyczny, pełen napięć i zdolny wyzwolić mające urodzić się słowo”<sup>34</sup>.

A zatem kontekst odbiorczy – tzn. paradoksalnie, chcąc nie chcąc, i narodowy... Straszewicz, podchwyciwszy myślowe figury Gombrowicza, parodiując jego styl w *Piórach w ukropie*, posługuje się ową „matką Strachu”, by wyjawić różne źródła lęku, jakiego doświadcza nie tylko człowiek wygnany – choć ten szczególnie. Wraca przede wszystkim do momentu decyzji, która przesądza o losie każdego z bohaterów jego szkicu. Raz jeszcze zatem rok 1939 i Buenos Aires w wersji Straszewicza: „I był sobie ze mną wówczas w Buenos Aires tenże Witold Gombrowicz Ferdurkę z głową w chmurach [...]. Oczy miał latające i język biały: »I – panie Czesław – mówił do mnie – i – przed kataklizmem geniuszom zmykać przystoi! Co się gapisz, co myślisz, bierz walizki za uszy jak ja – i w nogi, panie Czesław za burtę, panie Czesław, po cichutku hyc, hyc!”<sup>35</sup> Bowiem – jak przewrotnie pisze Straszewicz – matka ferdydurkowskiego strachu mówiła: Geniu, Geńku, Geniuszku, Geniuszu – świata cudzie – ty! Taki jak ty, Geniu, urodzić się potrafi raz na sto lat – i dobrze ci radzę, kiedy mówię: Oszczędzaj siebie!»<sup>36</sup>. Z cieniem goryczy dodaje: „[...] Gombrowicz geniusz skrył się – a ja [...] nie całkiem się skryłem – i bomby na mnie ma się rozumieć padały, a na niego nie, i czołg mnie na 9 miesięcy przejechał, a jego nie – i ja ma się rozumieć zeschęłem się, a on nie!”<sup>37</sup>.

Komentując wybory Miłosza i Gombrowicza, autor *Piór w ukropie* zachęca wyimaginowanego interlokutora z lat 50. do osądu: „No i wyrok sądu waszego? Iść z diabłem, jak Miłosz, przez tyle lat trzeba – kąpać się w solucji, która twórczości sprzyja – dbać o ge-

<sup>34</sup> W. Gombrowicz, *Risum teneatis...*, dz. cyt., s. 5.

<sup>35</sup> Tamże, s. 5-6.

<sup>36</sup> Tamże, s. 6.

<sup>37</sup> Tamże, s. 7.



niesz swój, jak o jajko żywota świętego, bo dla narodu i kultury, i potomności jajko to jest nieśmiertelne i najważniejsze, czy?...

Czy jak Ferdydurke uciekać od piany nieszczęść i wojny, i od wścieklny ludzkiego bestialstwa – i w obcym środowisku szukać dla geniusza swego zapłodnienia – czy?

Odrzucać podszepty wabiące od sióstr i braci z gombrowiczowskiej i miłoszowskiej rodziny i deptać niewdzięczną dróżkę, którą frasobliwa ojczyzna milionom swoich synów wyznacza? Powiedźcie: o co człowiek, w którego Bóg i ludzie wmówili przeznaczenie – taki Miłosz i Gombrowicz, i ten tam Straszewicz dawny – o co taki człowiek ma dbać?

O jajo swego geniuszu?

Dbać o pióro, żeby się nie wygotowało w ukropie?

O co ma dbać?”<sup>38</sup>.

Ostatecznie stwierdza: „[...] jeden uciekł od strachu matki swojej przed wojną, zaś w progi demludowego banku przed nędzą. Drugi uciekł od strachu matki swojej nurknąwszy w wojnę, a po wojnie w alembik społeczno-wełnianych spraw. Trzeci, różnolicy, uciekł od strachu swego do demludowych ambasad, a kilka lat później – nagrany i rzeński – do polskiej powojennej, nienadzwyczajnej rzeczywistości”<sup>39</sup>.

Na reakcję ze strony Gombrowicza nie trzeba było długo czekać. Jest dość gwałtowna, pojawia się w postaci riposty na łamach „Kultury” – pod tytułem *Refleksje na marginesie Straszewicza* (tekst zostanie włączony do *Dziennika 1953–1956*; notabene hamował jej publikację Giedroyc; świadczy o tym wymiana korespondencji między redaktorem i pisarzem). Głęboko dotknięty ironicznym sądem i sarkastyczną supozycją kompana z „Chrobrego” o istocie „geniuszu”, wypowiada w *Refleksjach* kilka mocnych zdań, które mają przekonać czytelnika o determinacji, jakiej wymaga bycie

<sup>38</sup> Cz. Straszewicz, *Pióra w ukropie*, dz. cyt., s. 8.

<sup>39</sup> Tamże.



*Nagranie w studio RWE. Od lewej: Zdzisław Marynowski (stoi),  
Kazimierz Sowiński, Gustaw Herling-Grudziński (za chmurą dymu),  
Janina Radulska i Czesław Straszewicz,  
Monachium 1954*

twórcą niezależnym i outsiderem z wyboru. Tłumaczy wstydliwą, jak sądzę, decyzję o pozostaniu w Argentynie, którą na ogół emigracja, z wyłączeniem „Kultury”, uznała za akt dezercji. Zejście na ląd z „Chrobrego”<sup>40</sup> było z pewnością decyzją znaczącą w biografii autora, świadomie przecież mitologizującego swoją historię – silnego w słabości, stanowczego w chwiejności, atakująco-uciekającego.

Gombrowicz zwraca się do Straszewicza z nieskrywaną irytacją: „Zdawałoby się, że ja jestem tym zarozumiałym, który puszy się »talentem«, gdy on – Straszewicz – hołduje zacnej skromności. Tymczasem jest wręcz na odwrót. Ja mówię: – Usiłuję mieć talent. A cóż mówi Straszewicz? Mówi: – Ja mam talent, ale patrzcie... oddałem go Ojczyźnie w ofierze! Otóż twierdzą, że talent Straszewicza nigdy nie urzeczywistni się w pełni, gdyż Straszewiczowi brak czegoś, co jest nieodzowne: brak poszanowania talentu. [...] Mogę powiedzieć bez przesady, że »poświęciłem się literaturze«. Dla mnie literatura to nie kwestia kariery i ewentualnych pomników, ale wydobycie z siebie tej maksymalnej wartości, do jakiej jestem zdolny. Jeżeliby się okazało, że to, co piszę, jest błahe, to jestem przegrany, ale nie tylko jako literat, lecz jako człowiek”<sup>41</sup>.

Okazja do polemiki ze Straszewiczem – choć nie wprost – pojawia się również wraz ze wspomnianym już i publikowanym przed *Refleksjami – Komentarzem* do szkicu Ciorana. Gombrowicz pisze w nim m.in. tak: „Cioran opowiada, jak ginie pisarz oderwany od swego społeczeństwa. Lecz pisarz ten nigdy naprawdę nie istniał: to embrion pisarza. Mnie się raczej wydaje, że – teoretycznie biorąc i pomijając trudności materialne – to zanurzenie się w świecie, jakim jest emigracja, powinno stanowić niesłychaną podniecię dla literatury”<sup>42</sup>.

<sup>40</sup> Południowoamerykańskie koleje losu pisarza śledzi Klementyna Suchanow: teźże, *Argentyńskie przygody Gombrowicza*, Kraków 2005.

<sup>41</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, Kraków 1988, s. 162.

<sup>42</sup> „Kultura” 1952, nr 6/56, s. 7.

I oto fragment z tego samego artykułu, który można uznać za bezpośrednią aluzję nie tylko do wyborów autora *Piór w ukropie*, ale również światopoglądu Miłosza: „Słusznie – pisze Gombrowicz – podkreśla Cioran niebezpieczeństwo zbytniego oderwania, nadmiernej wolności. Wszystko, z czym byli oni związani (pisarze »społeczni«) i co ich wiązało – ojczyzna, ideologia, polityka, grupa, program, wiara, środowisko – wszystko zniknęło w wirze historii, a na powierzchni ukazała się nicością wypełniona bańka... i wynurzeni ze swojego śmietnika znaleźli się w obliczu świata, świata bezmiernego i wskutek tego niemożliwego do opanowania. Tylko kultura uniwersalna może sprostać światu, nigdy – kultury lokalne, nigdy ci, co żyją tylko fragmentami egzystencji”<sup>43</sup>.

Czy można „żyć” kulturą uniwersalną, czy też „żyć” w kulturze uniwersalnej – i co to w istocie znaczy? Gombrowicz przecież wie, że przewyciężając kulturę lokalną (chodzi tu o jego nieustanny spór z polskością, z formą), staje człowiek przed uniwersaliami. Nie będzie to jednak możliwe bez losowego usytuowania w konkretnej tradycji i języku, także bez poczucia autentyzmu lokalności. Koncepcja formy, realizowanej przez alegorie Bólu i Lęku, do których zawsze pisarz się odwołuje, są tego faktu niezaprzeczalnym dowodem. Dalej – najczęściej przecież jego polemiki z publicznością i krytyką ogniskują się wokół dramatycznych relacji polskiego twórcy z polskością, z charakterem narodowego i etnicznego mitu. To problem podnoszony wielokrotnie zarówno w głównym nurcie jego wywodu, jak i na peryferiach dziennika drukowanego w „Kulturze” w roku 1953, 1954 i później.

Unikając „polskości”, jest w nią Gombrowicz w istocie zaplątany jak ryba w sieć. Rozumie skądinąd, że człowiek związany z narodem więzami zwyczajnego, nawet mało efektywnego patriotyzmu,

---

<sup>43</sup> Tamże, s. 7-8.

i tak będzie stał na straży jego godności – choćby właśnie dlatego, że dla świata zawsze będzie Polakiem<sup>44</sup>.

Można zaryzykować sąd, że tak często pojawiający się w myśleniu Gombrowicza problem uniwersalizacji kultury, potrzeby „wyzwolenia się” pisarza spod ciśnień i presji wspólnotowych mitów, nie tyle wywołuje, ile nasila ów biograficzny moment z „Chrobrego”. Wydaje się, że Gombrowicz należący do tych, którzy wyjechali z kraju na tyle wcześnie, że uniknęli traumy wojennej, czuje się zwyczajnie zażenowany skalą nieszczęścia, jakie Polskę spotkało, kiedy on przebywał w stosunkowo spokojnej Argentynie. Być może także zмага się z wyimaginowaną winą, „za nieobecność” w chwilach trudnych. Może właśnie dlatego, nieoczekiwanie dla siebie samego, rezygnuje z powagi, prezentuje w sztuce postawę zaczepno-obronną, chętnie „odpływa” w rejony uniwersaliów i pielęgnuje w sobie pragnienie pełnej realizacji poza domem, narodem i kulturą. Stąd być może parodia polskiej „rycerskości”, romantycznego patriotycznego uniesienia, koncepcji utożsamiających artyzm z działaniem praktycznym, z etosem społecznikowskim, ze społeczną funkcją literatury. Również klęskę wrześnieową skłonny jest ujmować głównie w ramy karykatury i groteski...

Być może i z tych wszystkich powodów tak bezwzględnie rozprawia się ze Straszewiczem, który zdaje się ucieleśniać to, z czym on sam wiecie swój życiowy spór. Dlatego twierdzi, że związek autora *Piór w ukropie* z polskością jest chorobliwy i nie lub zgoła niewiele wnosi do kultury oraz do uniwersalnie pojmowanego ludzkiego doświadczenia, a uwagami w *Dzienniku* chce dotknąć Straszewicza w najczulsze miejsca jego prywatnej i pisarskiej biografii. Paradoksalnie jednak są to bliskie im obu „momenty” biograficzne, w których drogi kompanów z „Chrobrego” się przecięły, i – czy tego pisarz chce, czy nie – dokonany wówczas wybór, dając niewątpliwie do myślenia, stanowi także i dziś oś sporu o kształt i wartość pol-

<sup>44</sup> Zob.: „Kultura” 1953, nr 4/66; 1954, nr 1-2/75-76.

skiej kultury powojennej (emigracyjnej i krajowej), również najnowszej. Gombrowicz przetwarzający własne życie w sztukę kreuje się na outsidera, ale czy zawsze towarzyszy temu suwerenny wybór, o którym tak często mówi? „Zawdzięcza” sporo losowi: zarówno ocalenie w czasie wojennej hekatombi, jak i samotną, wyniszczającą egzystencjalną szarpaninę na końcu świata.

Inny charakter ma egzul Straszewicza. Jego romantyzm, owa „odwrotna strona medalu” wobec postawy przyjętej przez kompana z „Chrobrego”, skupiającego się na maksymalizacji twórczego wyrazu „ja”, romantyzm powinności obywatelskich, aktu pisarskiego poświęcenia na „ołtarzu ojczyzny”, zostaje przez samego Straszewicza wyjawiony, wypowiedziany i podkreślony: „Matka mojego strachu mówiła: Jedyny mój! Wojny się lękaj i śmierci się bój – ale więcej się bój aury tchórzostwa i wyrzutów sumienia, bo według polskich odwiecznych praw – każdy w życiu wart tyle, ile pożytku z niego ojczyźnie. Muskuły moje i twoja szarża w większej są teraz cenie niż twój śliczny talent i mózg. [...] Kiedy działa grają – milkną muzy. Nie staniesz, nie doszłusujesz – to ci każdą godzinę żywota pretensją zatruję”<sup>45</sup>.

Nie można unikać powinności i obywatelskiej odpowiedzialności, jeśli było się niegdyś głosicielem prawd trudnych: „Uciekać [jak Gombrowicz – V.W.M.] od rozbitych miast i trupów spalonych – pyta pisarz – w zamian w państwie ferdydurkowskim budować lepsze miasta i wszystkim spalonym trupom umieć nakazać mądrzej żyć – czy dobrze?”<sup>46</sup>.

Składa przyrzeczenie, że „zdjąwszy pisarskie ostrogi a wdziawszy wojenne”, będzie w nich trwać aż do ostatecznego zwycięstwa. Tym zwycięstwem jest dla niego powrót do domu, dom bowiem to Straszewiczowskie uniwersum. Istota wygnańczego dramatu pisarza-

<sup>45</sup> Cz. Straszewicz, *Pióra w ukropie*, dz. cyt., s. 8.

<sup>46</sup> Tamże.

intelektualisty zaangażowanego, ogniskuje się więc wokół decyzji o aktywnym udziale w wojnie, a jej powzięcie niewątpliwie zaciążyć musiało na przyszłości osobistej i artystycznej. Straszewicz powojenny to człowiek zmęczony czasem, wydrażony, pozbawiony złudzeń i nadziei, pisarz, którego pióro stało się suche.

Do rozważań i pytań wojennego Świtowca włączają się Józef Łobodowski i Herminia Naglerowa. Najwcześniej jednak Józef Czapski, kierując do Straszewicza prywatny list, zaraz po zaznajomieniu się z *Piórami w ukropie*, a jeszcze w trakcie trwania prac redakcyjnych „Kultury” nad jego publikacją. Zwraca uwagę na oryginalność stylu autora szkicu i wagę zawartych w nim argumentów<sup>47</sup>.

---

<sup>47</sup> Łobodowski na łamach „Orla Białego” z 1954 r. (*Galileusz tupnął nogą*, cz. 1 – 24.07; cz. 2 – 31.07) pisze: „Talent pisarski – jak słusznie stwierdza Gombrowicz w swojej polemice ze Straszewiczem – to nie doczepka do faceta, nie wózek ciągnięty przez riksę, ale sama istota ludzkiej osobowości i każde rzetelne piarstwo musi z niej organicznie wynikać. Pisarza od człowieka oddzielić niepodobna, jak niepodobna oddzielić treści od formy zarówno w sztuce, jak i w życiu. Więc prawdziwy pisarz, jeśli jednocześnie jest pełnym człowiekiem, będzie zawsze sobą: przy biurku, w kawiarni, na spacerze, w miłości, w sporcie, i na wojnie, i przy »brzęczeniu ostrogami«. Literatura nie jest »dodatkiem do egzystencji«, ale egzystencja również nie jest dodatkiem do literatury. Pisarz ma prawo żądać od społeczeństwa szeregu przywilejów i to nie byle jakich, bo wytwarza wartości wyrastające wysoko ponad przeciętność. To jednak nie zwalnia go od obowiązków, zawsze gdy potrafi im sprostać. Gombrowicz nie poszedł do wojska, bo jak sam wyznaje ze szczerością i odwagą, godną największego uznania, »jako żołnierz byłby katastrofą«. Dobrze zrobił i łatwe dowcipy na ten temat byłyby zwykłym błazeństwem. [...] Jałowe byłyby to dociekania, czy w pewnym momencie dla Dantego czy Mickiewicza ważniejsze byłyby ich pasje polityczne od poezji. Stać ich było na jedno i na drugie, jak stać Straszewiczów na »brzęczenie ostrogami«, choć grzebiący ich przedwcześnie Gombrowicz tak bardzo się na to oburza. I tak myślę, że dla Cervantesa równie ważna była »ręka stracona« pod Lepanto, jak ta druga, którą napisał *Don Kichota*. A napisał swą nieśmiertelną księgę, bo nie był literatem. Był autentycznym pisarzem, był prawdziwym człowiekiem. I na koniec uwaga na temat decyzji Straszewicza o wyborze służby wojskowej: Jego (Gombrowicza) lekceważący stosunek do Straszewiczowskiego »brzęczenia ostrogami« dotknąć musiał niejednego adresata. Trzeba przyjąć, że Gombrowicz miał kategorię »C«, zanim zaawansował do kategorii »D«. To nie jego wina. Ale niechże pogodzi się z tym, że są i tacy, którzy mieli i mają kategorię »A« i byli na wojnie, choć również pisarze”.

Innymi słowy mówiąc, by wrócić do pisarstwa – podkreśla z całą mocą Straszewicz – najpierw należy odtworzyć kontekst, powołać do życia społeczność, będącą najwrażliwszym odbiorcą autorskiej wypowiedzi. To, co go zatem dotyka, to utrata owego żywego dialogu z odbiorcą, podobnie zaangażowanego i zobowiązanego do heroizmu. Dla autora *Piór w ukropie* gwarantem uprawiania pisarstwa jest w istocie powrót do domu, z nim bowiem automatycznie odbudowuje się pierwotny horyzont odbioru i rodzą się nieprzymuszenie tematy oraz konkretyzują istotne zadania. Autor tęskni zatem do środowiska, które – jak sądzi – najlepiej rozumie, i czuje się uprawniony, by mówić jego głosem, także stawać w jego obronie. To paradoksalnie nadmiar wolności w istocie go krępuje. Bo o czym

---

W podobnym duchu wypowiada się Naglerowa, z większym dystansem rzecz całą traktując: Straszewicz rzuca spóźnione pytanie: „[...] w czym wytrwać? Pytanie to jest raczej zwrotem retorycznym. Jest zresztą spóźnione, skoro Straszewicz nie spekulując wszedł świadomie w służbę, w robotę, w bezmiennosć.

Mówiąc wszedł świadomie: Straszewicz spełnił swój obowiązek obywatelski, zatem żołnierski. Owszem – postąpił tradycjonalistycznie, tak właśnie, jak trzeba było. Anglik uważa takie postępowanie za cnotę pospolitą, zaś coś, co obywa się bez uczuciowych przydawek. Polak lubi się chwalić, ale też łatwo popada w rozgoryczenie – po szkodzi, po klęsce. Straszewicz wprawdzie po polsku ziorzezy, a po literacku ironizuje, ale dobrze wie, że jego niepisarskie lata nie były stracone”. Herminia Naglerowa, *Po piętnastu latach. O twórczości Czesława Straszewicza*, „Orzeł Biały” 16 VI 1954.

Czapski w liście do Straszewicza zauważa, że ekonomiczna i społeczna sytuacja pisarza na emigracji jest dość modelowa. W liście doń pisze: „Czy nie może Pan naliczyć sporo wielkich pisarzy, których warunki życia były jeszcze gorsze od Pańskich. Zaczynając od Norwida, którego żadna »Kultura« nie poprosiła o teksty i któremu ówczesne »Kultury« wszystkie teksty gubiły albo odrzucały. [...] nie znam pisarza polskiego dziś zdolnego napisać takie strony, jak te, które Pan napisał. W Gombrowiczu, Miłoszu jest element paszkwilu czy nienawiści, tłumi on muzykę ciepłą i cichą, której się Pan wstydzi, ale która jest w Panu wszechobecna. Jest w każdym zdaniu. I dlatego jak Pan zdejmuje czy zdejmie ostrogi nie na placu Piłsudskiego, niech te Pan dzieci matki strachu ułoży w swojej lanie i do skrzyni zamknie i niech Pan nie szuka żadnych wykrętów: samooskarżeń i tłumaczeń, dlaczego Pan nie może pisać, i niech Pan pisze. Pan wie dobrze, że ta »ojczyzna frasośliwa« właśnie tego od Pana żąda”. Z listu Czapskiego do Straszewicza. Kolekcja Czesława Straszewicza (w zbiorach Archiwum Rękopisów Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie).



pisać i do kogo pisać z tego urugwajskiego końca świata? Nie chce być przecież anachroniczny, konfesyjny i wspomnieniowy, choć prywatnie godzi się nawet na rolę „bywszego człowieka”. Jako pisarz – nie.

Gombrowicz też dostrzega ową paradoksalność kondycji pisarza na wygnaniu. Nadmiar wolności może paraliżować twórcę, bo jak zauważa: „I ten nadmiar wolności (a raczej samotności pisarza na emigracji) najbardziej krępuje pisarza. Zagrożeni ogromem świata i ostatecznością jego spraw, kurczowo czepiają się przeszłości; czepiają się samych siebie; pragną pozostać takimi, jakimi byli; lękają się najmniejszej choćby zmiany w sobie, z obawy, że wówczas wszystko się rozleci, i na koniec, czepiając się nadziei, jaka im pozostała, to jest nadziei na odzyskanie ojczyzny”<sup>48</sup>.

W istocie Miłosz i Straszewicz zmagają się z tym samym problemem, o którym Gombrowicz pisze: „On [Miłosz – V.W.M.] podobnie jak oni wszyscy (literaci pewnej szkoły, wychowani na »społecznej« problematyce), doświadcza zmagania, udręczeń, wątpliwości, które były zupełnie nieznanymi dawniejszym pisarzom”<sup>49</sup>.

Ale dzisiaj Miłosz (i nie on jeden) przykładą palec do czoła i medytuje: jak i o czym pisać? Gdzie jest moje miejsce? Jakie są moje obowiązki?? Mamże zanurzyć się w historii? A może szukać »drugiego brzegu«? Kim mam być? Co robić? [...] Lecz on [Miłosz – V.W.M.] mówi – lękam się... i lękam się tego, że gdy oddalę się od Historii (to znaczy od truizmów doby obecnej), będę samotny. Na co ja powiem: – Ten lęk jest nieprzyzwoity i, co gorzej, urojony. Nie-

---

<sup>48</sup> W. Gombrowicz, *Komentarz*, dz. cyt., s. 8.

<sup>49</sup> Miłosz w odpowiedzi na publikację Słonimskiego określa się jako pisarz emigracyjny. To uwaga korespondująca z sądami Gombrowicza o pisarstwie „poważnym” i klerkizmie: „Dzisiaj moim programem jest pozbyć się tego przedziału między myślą a akcją, który jest w was wszystkich w Warszawie. Piszecie i mówicie publicznie jedno, prywatnie drugie i śmiejecie się z tego, co powiedzieliście publicznie. Moim programem nie jest działalność polityczna. Niech to, co powinno być powiedziane, będzie powiedziane – to mi wystarczy za program”. Tegoż, *Do Antoniego Słonimskiego*, dz. cyt., s. 86.

przyzwoity, gdyż jest, zaiste, rezygnacją nie tylko z wybitności, ale i z własnej prawdy, jest rezygnacją z jednego – chyba – heroizmu, który stanowi duszę, siłę, żywotność literatury. Ten, kto się boi ludzkiej wzgardy i osamotnienia wśród ludzi, niech milczy. Może lęk ten jest także urojony – albowiem popularność, którą zdobywa się w służbie czytelnika i prądów epoki, oznacza jedynie duże nakłady – i nic, nic więcej – a tylko ten, kto zdołał wyodrębnić się z ludzi i zaistnieć jako człowiek osobny, a dopiero potem zdobywa sobie dwóch, trzech, dziesięciu wyznawców, braci, ten tylko wydobył się z samotności w granicach sztuce dozwolonych”<sup>50</sup>.

Wypada już na koniec posłużyć się ważnym artykułem Michała Sambora z 1953 roku<sup>51</sup>, w którym krytyk problem roli pisarza na emigracji sprowadza do dwu głównych kwestii: po pierwsze – do skomplikowanej sytuacji społecznoekonomicznej twórcy i trudnych warunków egzystencji, które z jednej strony grożą degradacją i marginalizacją, z drugiej zaś – paradoksalnie mogą stać się zaryzykowanym wzrostu literatury tworzonej na uchodźstwie. Po drugie – do problemu odbioru w kontekście braku rynku czytelnika, co oczywiście czyni zawód literata nieopłacalnym i deklasuje go, także w innym sensie – bo dotyka niemożności stworzenia dzieła na miarę tęsknot, czy potrzeb czytającej publiczności. Ostatnia sprawa – to w istocie skutek utraty żywego kontaktu z czytelnikiem krajowym.

Sambor zauważa również, że nawet jeśli pisarz jest śmiały artystycznie i obrazoburczy, jak Gombrowicz, w warunkach emigracyjnych nie może być jednak do końca pewien swojej estetycznej siły. Brak polemik bowiem i profesjonalnej krytyki oceniającej, także perspektywnej, nie daje twórcy na obczyźnie ani szansy, ani przyjemności szlifowania pióra, doskonalenia warsztatu, hartowania własnych

---

<sup>50</sup> Witold Gombrowicz, *Fragmentsy z dziennika*, „Kultura” 1954, nr 1-2/75-76, s. 35-36.

<sup>51</sup> „Kultura” 1953, nr 6/68.

idei w przestrzeni autentycznego intelektualnego sporu, a niechciany efekt takiej sytuacji będzie zazwyczaj pisanie w próżnię.

Czy jest zatem jakaś skuteczna recepta, poza utyskiwaniem? Sambor formułuje śmiało wnioski. Trzeba przyznać, że jak na tekst z 1953 roku konkluzja jest ciekawa i niepozbawiona racji, choć z perspektywy czasu przesadnie optymistyczna. Krytyk proponuje – co zrazu przywołuje na myśl wybór Gombrowicza – by twórca na emigracji zrezygnował z ograniczającej go „świadomości narodowej” – i to na rzecz (jak pisze) „szerszej ojczyzny”: europejskiej, chrześcijańskiej, katolickiej. By był niewrażliwy na głosy i podszepty płynące z samej Polski.

Oddalenie od kraju rodzi jednakże inny problem, dla literatury zasadniczy: jak zaradzić ubożeniu ojczystego języka, jak uniknąć jego anachroniczności? Sambor i na to znajduje odpowiedź: pisarz świadomie winien czerpać soki z języka i kultury kraju postoju (ze słów, z dźwięków mowy, przesunąć znaczeniowych); jedynie w melanżu kulturowym mieszczą się: owa innowacyjność, osobliwości i oryginalność pisarstwa; są one potencjalnie dostępne diasporze emigracyjnej przez jej specyficzny status *out of place*.

Kondycja twórcy na obczyźnie ma zatem dla Sambora posmak heroiczny: „Brak uznania może złamać słabszą osobowość pisarską, silniejszą może wyzwolić z zabobonu sławy i zawieść ją na zagubioną od wieków ścieżkę twórczości pojętej nie jako pyszny wyraz indywidualnego geniuszu, ale jako pokorna bezosobista modlitwa. [...] Wielkim pisarzem emigracyjnym mógłby się stać ten, kto by swą bolesną deklasację przyjął jako dar niebios, pozwalający mu na stworzenie literatury proletariackiej bez cudzysłowu”<sup>52</sup>.

Ta ostatnia myśl jakże bliska jest duchowej postawie Gombrowicza. W podsumowaniu do *Dogodności i niedogodności wygnania* pisze Gombrowicz, że w danej chwili, tj. w latach 50., idzie nie o twórczość samą w sobie, lecz o odzyskanie możliwości tworzenia.

---

<sup>52</sup> Michał Sambor, *Literatura na emigracji*, „Kultura” 1953, nr 6/68, s. 18.

Chodzi więc o swobodę ducha, śmiałość estetyczną i bezwzględność moralną. To program maksimum i nie dla każdego: „Będziemy musieli – postuluje pisarz w 1952 roku – potraktować z zimną krwią i bezceremonialnie najdroższe nam uczucia, aby dojść do nowych wartości. Z chwilą, gdy zabierzemy się do kształtowania świata, z tego miejsca, w jakim się znajdujemy, ogrom się zmniejszy, bezmiar nabierze formy i poczną opadać wzburzone wody chaosu”<sup>53</sup>.

Rok 1956 na nowo roznieci polemiczny ogień. Dokumentuje ten moment *Ankieta „Kultury”*, zamieszczająca głosy autorów rozproszonych po świecie<sup>54</sup> i wówczas kolejny raz problem klerka i jego powinności stanie się tematem publicystyki, ożyją na nowo pytania: o czym pisać, gdzie publikować, co jest etyczne, a co moralnie niedopuszczalne, ponownie emigracja stanie w obliczu tragicznego konfliktu twórcy i intelektualisty na wygnaniu, problemu, który tak dramatycznie wybrzmiał w *Piórach w ukropie*.

Wypada nam się na koniec zgodzić z Gombrowiczem i Miłoszem, ich klerkowskie i pisarskie strategie zwyciężyły, zyskali sławę i pamięć potomnych. Nie zapominajmy wszakże o łaskawości gwiazd towarzyszących ich artystycznej i życiowej drodze, które były już mniej łaskawe dla Czesława Straszewicza oraz innych, równie wybitnych postaci emigracji literackiej i politycznej.

---

<sup>53</sup> „Kultura” 1952, nr 6/56, s. 9.

<sup>54</sup> Por.: *Literatura emigracyjna a Kraj (Ankieta „Kultury”)*, 1956, nr 12/110, s. 49-71; cz. 2, „Kultura” 1957, nr 1-2/111-112, s. 80-90. Tu pojawiają się ważne głosy Straszewicza i Gombrowicza oraz polemiki: list Jana Kowalika do redakcji „Kultury” (1957, nr 3/113) odnoszący się do stanowiska Gombrowicza oraz odpowiedź pisarza: „Kultura” 1957, nr 5/115.



## Intelektualiści znad Wisły w komentarzach Radia Wolna Europa

Obserwacja kraju, recenzowanie postaw i działań krajowego środowiska intelektualnego należało do jednego z najistotniejszych zadań felietonistów i komentatorów emigracyjnych ulokowanych w Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa w Monachium, począwszy od 1952 roku po lata 90. Kwestia ważna, świadczą o tym – poza głosami płynącymi swego czasu z emigracji – najpierw publikacje krajowe drugoobiegowe, a po 1989 roku wydawnictwa oficjalne, których autorzy analizowali fenomen udziału intelektualistów i artystów w komunistycznym projekcie tworzenia tzw. nowej rzeczywistości, o czym za chwilę.

O ile także doświadczenie współpracy elity intelektualno-artystycznej z władzą zostało przedyskutowane w odniesieniu do totalizmu faszystowskiego, o tyle stalinizm (komunizm, również i ten z złejszej autorytarnej wersji późnego PRL-u) nadal wymaga poznawczego pogłębiania, zwłaszcza jeśli uznamy *Zniewolony umysł* Czesława Miłosza, skądinąd bardzo ważną pozycję, za książkę niewystarczającą, pozostawiającą spory niedosyt czytelnikowi, którego autorski ketman – jako postawa mająca tłumaczyć złożone zjawisko balansowania establishmentu artystyczno-litera-

ckiego między współpracą a oporem, czy też między ubezwłasnowolnieniem a opozycją – nie przekonuje<sup>1</sup>.

Z kolei swoistą próbą konfesji twórcy w PRL-u, podjętą „od wewnątrz” w latach 80. była Jacka Trznadla *Hańba domowa*. Liczne późniejsze publikacje problem ten oświetlające (m.in.: Piotr Wierzbicki, *Raport o gnidach*, 1986; *Struktura kłamstwa*, 1987; Maria Hirszowicz, *Pułapki zaangażowania. Intelktualiści w służbie komunizmu*, 2001; *Człowiek wewnętrznie zniewolony. Mechanizmy i konsekwencje minionej formacji – analiza psychosocjologiczna*, 1997; Joanna Pyszny, *Boje na łamach. Pisarz i literatura w prasie polskiej lat pięćdziesiątych XX wieku. Szkice*, 2002; Krzysztof Woźniakowski, *Między ubezwłasnowolnieniem a opozycją. Związek Literatów Polskich w latach 1949–1959*, 1990; Alicja Lisiecka, *Mandaryni i gryzypiórki: wstęp do pamiętnika*, 1973; Joanna Bikont, Joanna Szczęsna, *Lawina i kamienie. Pisarze wobec komunizmu*, 2006; Andrzej Krajewski, *Między współpracą a oporem. Twórcy kultury wobec systemu politycznego PRL (1975–1980)*, 2004; Andrzej Werner, *Wina niewinnych i niewinność winnych. Rzut oka na związki polityki z literaturą i literatury z polityką w PRL* (w: *Sporne postaci polskiej literatury współczesnej*, pod red. Aliny Brodzkiej, 1994); Andrzej Walicki, *Zniewolony umysł po latach*, 1993; Czesław Miłosz, *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945–1950*, 1998; i książki badające naturę problemu: Jan Prokop, *Klerk i diabeł*, 1999; Czesław Madajczyk, *Klerk czy intelektualista zaangażowany*, 1999; Konrad Rokicki, *Literaci. Relacje między literatami a władzami PRL w latach 1956–1970*, 2011) niewątpliwie wzbogaciły naszą wiedzę o psychologicznym mechanizmie zniewalania jednostki, ale nie dały jasnej odpowiedzi na pytanie: jak w istocie do tego doszło? Jak

<sup>1</sup> Zob. rozdziały: *Dylematy klerka na wygnaniu. Dyskusja z lat 50.; Marsja-szowe konflikty. O szkicach Romana Palestra; Do publiczności w Polsce: Miłosz, Palester, Panufnik.*

możliwe było tak liczne uczestniczenie świata intelektualno-artystycznego w dziele „realnego” komunizmu? Jaka była rzeczywista wiedza o systemie, wreszcie – jak działał mechanizm psychicznego wypierania treści niewygodnych czy niebezpiecznych?

Perspektywa emigracyjna wydaje się dla podjęcia tej kwestii zasadna, a głosy, które przywołam, wybrzmiewały swego czasu na falach RWE; dziś zaś są znakomitym suplementem do dyskusji i do już istniejących (przywołanych także przed chwilą) zapisów, mających nierzadko charakter analityczno-wspomnieniowy. Oczywiście ograniczam się jedynie do kilku interesujących wypowiedzi i jak mniemam – dla tej sprawy reprezentatywnych<sup>2</sup>.

Takie i inne pytania przez niemal całe 40-lecie stawiała krajowym intelektualistom emigracja polityczna. Jej przedstawiciele ulokowani w Wolnej Europie kształtowali własny etos, a przy tym przypominali o wartościach, którym jako wychodźcy chcieli pozostać wierni.

Szczególnie dobitnie i stosunkowo najwcześniej wybrzmiewał głos Romana Palestra, który przede wszystkim upatrywał niebezpieczeństwa dla istnienia kultury w nieakceptowanym przez siebie kształcie, w destrukcyjnym charakterze złudzeń, w jakich trwały krajowe środowiska intelektualne i twórcze, zwłaszcza gdy władza dawała do zrozumienia, że zmiany, jakie wprowadza, począwszy od pierwszych miesięcy powojennych po zadekretowanie socrealizmu, nie mają trwałego charakteru i nie są groźne. Przekonywała nadto, że mają one jedynie charakter modernizacyjny.

Atmosferę owej tymczasowości, nieostrości kompetencyjno-decyzyjnej podtrzymywali w pierwszych latach PRL-u Borejsza, Sokorski i Putrament, ale łagowski zjazd kompozytorów, którego Palester był uczestnikiem, był nie tylko dla jego przyszłości istotnym

<sup>2</sup> Szerzej tę kwestię rozważam w swojej książce: *Radio Wolna Europa na emigracyjnych szlakach pisarzy. Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski, Roman Palester, Czesław Straszewicz, Tymon Terlecki*, Kraków 2007.



momentem w życiu, można rzec – zwrotnym (o czym pisałam w rozdziale *Marsjaszowe konflikty. O szkicach Romana Palestra*), przede wszystkim obnażył dystans i obcość niedawnych przyjaciół, ujawnił ich nerwową niepewność, odsłonił absurd sytuacyjny, prowadzący się do tego, że oficjalnie estetykę socrealistyczną uznawano za normę, poufnie zaś w kularach zjazdu kwestionowano ją i ośmieszano.

Spostrzeżenia Palestra poczynione u źródła są o tyle istotne, że prowadzą nas być może w nieco inne, niż u Miłosza, może nawet bardziej wstydliwe, rejony indywidualnych decyzji reprezentantów tj. władzy. Palester skłonny jest nawet sądzić, że nie tyle artyści uwierzyli, ile pozwolili sobie raczej zaszcześcić nową wiarę, by głównie uniknąć dyskomfortu marginalizacji. Właśnie marginalizacja i zawodowe wykluczenie były nie do pogodzenia z ambicjami (głównie młodych), także ze zrozumiałą skądinąd po długotrwałym zmęczeniu wojną, potrzebą stabilizacji życiowej. Należy wziąć pod uwagę i lęk o zachowanie stanu posiadania, dotyczy on również ewentualnego podtrzymania wpływów środowiskowych i politycznych, czy też chęci należenia do blichtrowego świata establishmentu.

Uwagi Palestra i innych komentatorów z Monachium sprowadzać się będą właściwie do kilku kwestii, ale bez wątpienia dla tego problemu kluczowych. Zastanawia ich zasadniczy rozdźwięk między tym, co mówi o doktrynie środowisko ustami swoich przedstawicieli oficjalnie, a tym, co nieoficjalnie, w dyskrecji niektórzy jego reprezentanci próbują powiedzieć o PRL-owskiej rzeczywistości, podczas przebywania poza granicami kraju.

Najgroźniejsze jednak z perspektywy wychodźstwa było konsekwentne reklamowanie i eksportowanie komunizmu poza strefę sowieckiej dominacji, mimo że owi reklamujący go reprezentanci establishmentu prywatnie nie byli już tak gorliwymi wyznawcami marksizmu. Z drugiej strony za równie niebezpieczne uznawano fałszowanie wiedzy o Zachodzie na potrzeby wewnątrzrajowe, za groźny uznawano też dystans wobec propagandy, jaki manife-

stawiali publicyści udający się na Zachód, jednocześnie nierzadko będący autorami owych „wstydlivych” treści kolportowanych na użytek wewnętrzny.

Groźne z perspektywy emigracyjnej i poddane krytyce były wszelkie zachowania serwilistyczne tolerowane w PRL-u, w istocie wyniszczające kulturę i degradujące życie społeczne, narażające jednostkę na męczącą i wyjaławiającą schizofrenię myśli, zachowań i postaw.

Już w grudniu 1952 roku na antenie RWE, analizując i oceniając konkretne przypadki środowiskowego serwilizmu, Palester mówił, że: „[...] co innego jest robić koncesje dla uratowania cenniejszych, istotnych wartości, a co innego brać żywy udział w ciągłym i stałym apologizowaniu reżimu w celu zrobienia osobistej kariery”<sup>3</sup>. I w takim duchu będzie analizował konkretne przypadki, oceniał postawy, badał zależności środowiskowe i niełatwe próby konwersji, zwłaszcza po Październiku.

---

<sup>3</sup> Cykl: „Muzyka obala granice”, nr 30 z 12 grudnia 1952, maszynopis. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW). Tej kwestii dotyczy także wypowiedź po latach Jana Nowaka-Jeziorańskiego (a chodzi o lata 1953–1954, czyli o okres najbardziej znaczący dla konstytuowania się postaw krajowej inteligencji wobec systemu, co koresponduje też z powyższą konstatacją Palestra): „Po śmierci Stalina w całym kraju obowiązywała nakazana z góry żaloba. [...] Lepiej nie wymieniać znanych nazwisk pisarzy, publicystów, autorytetów prześcigających się wzajemnie w żałobnych hymnach pochwalnych i płaszcących się w pośmiertnych hołdach. Słowa żalu i bólu płynęły potokiem na szpaltach prasy i w radio. Były to dni najwyższego poniżenia polskiej inteligencji twórczej. Godność narodową uratowała nieliczna, bohaterka redakcja »Tygodnika Powszechnego«, która odmówiła zamieszczenia nekrologu i wspomnienia pośmiertnego, wskutek czego pismo zostało z miejsca zamknięte. Były to czasy, kiedy społeczeństwo musiało wydawać się samemu sobie znacznie gorszym, aniżeli było naprawdę. System rządzenia hodował skrajną uległość i oportunizm, wyrzucał na powierzchnię szumowiny. Bardzo wielu było takich, którzy woleli pisać do szuflady albo milczeć, aniżeli kłamać. Jako przykłady warto wymienić Leopolda Tyrmanda, Zbigniewa Herberta, Antoniego Gołubiewa, Hannę Malewską, Jana Parandowskiego, Stefana Kisielewskiego, Jana Józefa Szczepańskiego. Jednakże zewnętrzna skorupa powszechnego zakłamania, niktzemności, korupcji i bezprzykładowego serwilizmu przesłaniała prawdziwe oblicze Polski. Kryło się za tym groźne niebezpieczeństwo, że naród utraci wiarę w siebie i własne siły, ulegnie zniechęceniu, demoralizacji i defetyzmowi”. Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański), *Wojna w eterze – wspomnienia*, t. 1, 1948–1956, Londyn 1986, s. 107.

Dlatego z wyjątkowym niesmakiem skomentuje zachowanie Andrzeja Panufnika<sup>4</sup>, który w roku 1953, zaraz po powrocie z koncertów w Europie Zachodniej, na forum publicznym w kraju, wypowiadać się będzie z udawanym znawstwem o systemie i organizacji instytucji muzycznych, o wadze pieniądza i „nędzy” artystów–muzyków żyjących i pracujących po zachodniej stronie żelaznej kurtyny. Panufnik będzie więc dla Palestra do 1954 roku (do czasu podjęcia własnej decyzji o emigracji) klasycznym przykładem twórcy koncesjonującego z władzą; nie o uratowanie cenniejszych wartości, ale na podtrzymaniu osobistej kariery zależy kompozytorowi, twórcy *Symfonii Pokoju* – podkreśla w komentarzu Palester. *Casus* Panufnika jest tu o tyle istotny, że może stanowić dość modelowy przykład uwikłania artysty, tj. podjęcia przezeń ryzyka współpracy z władzą w systemie totalitarnym i jej wyniszczających konsekwencji.

Natomiast Jarosław Iwaszkiewicz stanie się bohaterem niejednego komentarza<sup>5</sup>, ponieważ jako pisarz niepartyjny i administrator kultury krajowej legitymizuje system za granicą. „Bo Iwaszkiewicz nie jest przecież w partii, jest pisarzem »niezależnym i niezawisłym« – mówi przed mikrofonem RWE w 1954 roku Palester – w tym charakterze jest ciągle w podróży. Od Buenos Aires do Sztokholmu głosi on, że naród polski jest obecnie wolny, że sam sobie wybrał formę rządu, że w Polsce nikt nikogo nie więzi, nikogo nie uciska, że nikomu nie zabrania się swobodnego podróżowania, czego najlepszym dowodem jest to, że on – Iwaszkiewicz – wyjeżdża ciągle za granicę i bierze udział we wszystkich możliwych kongresach. Taki podróżujący herold odrodzenia nowej Polski, anioł pokoju z gołąbkim Picassa! Jeździ, gdzie chce, i mówi, co chce – wszystko po to, aby przekonać cudzoziemców, że w Polsce nie dzieje się wcale

<sup>4</sup> Więcej o Andrzeju Panufniku w rozdziale: *Do publiczności w Polsce: Miłosz, Palester, Panufnik*.

<sup>5</sup> Uwagi komentatorów interesujące w kontekście monografii Marka Radziwona, *Iwaszkiewicz. Pisarz po katastrofie*, Warszawa 2010.

tak źle, jak to twierdzi prasa emigracyjna i liczne książki oraz publikacje ludzi, którym udało się wyrwać z za żelaznej kurtyny”<sup>6</sup>.

Inny przykład dotyczy cynizmu „konfidencyjnego”. Tym razem bohaterem felietonu – autorstwa Tadeusza Nowakowskiego – zostaje, skądinąd równie często jak Iwaszkiewicz pojawiający się w omówieniach radiowych, Włodzimierz Sokorski. Należy zaznaczyć, że wypowiedź Nowakowskiego pochodzi z roku 1964, co tylko podkreśla trwałość pewnych zachowań. Interesująca w jego przypadku jest umiejętność dostosowawcza do określonych warunków, pewien typ „mimikry” środowiskowej, politycznej i jednocześnie ambiwalencja, postać osobiwej dialektyki: „Prezes Sokorski, mistrz gładkiego frazesu, gdy bawi z wizytą w Londynie – przebiera się w garnitur odwilżowca i powiada w prywatnych rozmowach: »Ach, jak my się użeramy z tą cenzurą, ile my mamy poważnych trudności z tymi tam... na górze, męczym się i dręczym się...«. Ale ledwie wraca do Warszawy, z miejsca przebiera się w surdut uległego realizatora partyjnych dyrektyw, których – notabene – jest współtwórcą. »Dwie dusze żyją w mojej piersi« – jak mawiał romantyczny poeta.

W ubiegły poniedziałek prezes wystąpił w roli rozwiewacza wątpliwości. Z wyżyn swego urzędu odpowiedział na pytanie: »Czy istnieje dyskusja partii ze środowiskiem twórczym nad programem kulturalnym w Polsce?«. Zabawne słowo »dyskusja«. Jeden z najpiękniejszych eufemizmów, jakie wymyślono w żargonie partyjnym. [...] Prezes Sokorski mówiąc o tej »dyskusji« oznajmił, że partia »nie chce się uciekać do zakazów administracyjnych«. [...]

[...] czy odmawianie niektórym pisarzom paszportów na wyjazd za granicę, czy obłożenie ich jawnymi i zamaskowanymi kłótwami, biletami wilczymi, zakazami publikacji i występu w eterze – czy to

<sup>6</sup> *Jarosław Iwaszkiewicz* (cykl: „Kultura w niewoli”, nr 61 z 4 marca 1954). Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

nie są przypadkiem właśnie te »zakazy administracyjne«, których stosowanie, jeśli wierzyć panu Sokorskiemu, sprawia kierownictwu partii boleść niewysłowioną?<sup>7</sup>

Przykłady zachowań działaczy i twórców związanych z partią lub z nią sympatyzujących, w tym przywołana wypowiedź Tadeusza Nowakowskiego, pozwalają jeszcze na jedną uwagę. Posłużę się ponownie radiową wypowiedzią Palestra, w której mowa o pewnym symptomatycznym i szerszym zjawisku dotyczącym tzw. intelektualisty zaangażowanego, totalnego sposobu myślenia i ryzyka, na które jest on wystawiony, jeśli oferuje swoje usługi określonej ideologii i partii politycznej. Adresatem słów w latach 50. z intencji kompozytora miał być nie tylko krajowy, ale i zachodnioeuropejski establishment intelektualno-artystyczny. „Oparcie się artysty o jakąkolwiek partię polityczną – mówi na antenie w 1952 roku – wydaje się być działaniem, które przechyla wagę jeszcze bardziej na niekorzyść jednostki, wydaje się niezgodne z istotnym powołaniem artysty. W dzisiejszej epoce jest to po prostu wpływ »totalnego« sposobu myślenia, owej konieczności zaszeregowania, która w najjaskrawszej postaci ujawniona została w państwach totalnych. Nie będziemy tu oczywiście mówić o krajach, w których w tej chwili panuje narzucony siłą konformizm jednej opinii i jednego dla wszystkich poglądu. Ale rudymenty totalizmu zatrują powietrze i po tej stronie żelaznej kurtyny. Pisarz tzw. wolnego świata wiążący się – przypuścmy – z partią komunistyczną, musi prędzej czy później stanąć wobec problemu: Należy czy nie należy kłamać? Jeśli jest wewnątrz w zgodzie z ortodoksją partii, wówczas wymagania partii w dziedzinie literatury nie powinny być dla niego żenujące. Decyduje się wtedy na drogę świadomego – z punktu widzenia partyjnego – celowego kłamstwa. I tak kończy karierę intelektualisty. [...]

---

<sup>7</sup> *Polemika z Sokorskim* (cykl: „Panorama”, nr 2302 z 15 lipca 1964).

W tzw. wolnym świecie sytuacja jest o tyle lepsza, że aby móc być wolnym, musi się tam walczyć jedynie z trudnościami ekonomicznymi i z pewną częścią zbyt konformistycznie nastawionej opinii publicznej. W zachodniej części świata pisarz nie musi walczyć z tajną policją. Dlatego też niepokojące jest, jeśli swoboda artysty zagrożona jest ze strony samych artystów, zamykających się czasem w ramach partii politycznych i żonglujących przy tej okazji pojęciem »literatury zaangażowanej«<sup>8</sup>.

Dla części emigracji, krajowi intelektualiści w swojej większości to „elita terkocząca ze strachu spodniami”, „pikolujący literaci”, „czerwona burżuazja”, „stemplowani proletariusze”, czy też „wyjadacze czerwonych powideł”, a krytyka płynąca z wychodźstwa była tym głośniejsza, im bardziej znacząca zdawała się społeczna rola intelektualisty w kraju, wynikała ona – jak podkreślał Czesław Straszewicz – m.in. z polskiej tradycji niepodległościowej. „Pisarz – wieszcz, pisarz – duchowy przewodnik narodu – mówi Straszewicz w 1956 roku w „Reflektorze” – to wynalazek czysto polski, powstały w szczególnych i zrozumiałych okolicznościach, w okresie niewoli. Tradycje te idą za nim krok w krok, ba, samo społeczeństwo wymaga, żeby pisarz nie mogąc być wieszczem, był przynajmniej od społeczeństwa bystrzejszy. Stąd w Polsce ranga pisarskiego rzemiosła – i to na różnych platformach, które z samym rzemiosłem niewiele mają wspólnego”<sup>9</sup>.

I jeszcze jeden problem podnoszony w publicystyce radiowej autora *Turystów*, istotny, bo odnoszący się do etyki zawodowej dziennikarza.

<sup>8</sup> „Okno na Zachód”, nr 1 z 9 sierpnia 1952. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW). Na marginesie należy zauważyć, że Palester, mówiąc jedynie o trudnościach ekonomicznych twórcy żyjącego na Zachodzie oraz konformizmie tamtejszej opinii publicznej, zapomina, a może świadomie pomija, makkartyzm ze względu na swoje umocowanie w amerykańskiej radiostacji, jaką było RWE. Komisja powstała 21 grudnia 1950 r., o jej pracach Palester musiał więc wiedzieć.

<sup>9</sup> *Na marginesie Zjazdu Pisarzy w Warszawie* (cykl: „Reflektor”, nr 774 z 13 grudnia 1956). Archiwum RWE, w: Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Zwraca Straszewicz bowiem uwagę na to, co od wewnątrz, w praktyce krajowych publicystów, stało się niechlubną normą – cyniczny dystans autora do własnego tekstu, jak i do faktu jego publikacji. Dystansowanie się to odbiera Straszewicz – wówczas czynny pisarz i aktywny publicysta radiowy, ukształtowany ponadto przed wojną w duchu aktywizmu i etyzmu – jako przejaw ostrego kryzysu życia publicznego i niszczącej schizofrenii zawodowej, burzącej podstawy dziennikarskiej profesji.

W felietonie o znamienym tytule *Gdzie leży granica musu i gdzie leży granica sumienia* mowa wszakże o rudymentach prawdy: „Dziennikarz w kraju, człowiek, który żyje z pióra i dla pióra, zupełnie świadomie zgadza się na proces rozdwojenia osobowości. Jedna osobowość czuje i myśli, druga pisze i łąże, a obie mają się do siebie jak dwa bieguny.

Nie rozmawiałem z tym panem, ale łatwo mi uzupełnić tok jego rozumowania. W Polsce – powiedziałyby mi – umieją rozróżnić tych, którzy muszą, od tych, którzy chcą. Do pierwszych nie ma się pretensji, rozumie się ich sytuację, zna się trudności, mogą cytować setki przykładów i nazwisk. Skoro są tylko dwie drogi: nie pisać wcale albo pisać, jak to się mówi, »po linii« – piszemy po linii. Może to wam się wyda niezrozumiałe, niezbyt etyczne, ale takie są nasze dzisiejsze polskie warunki, taka też jest polska racja stanu.

Zapewne ów dziennikarz dodałby coś więcej, ale mniejsza o to. Problem przerasta jego osobę. Wcale nie wątpię, że on i jemu podobni potrafią stworzyć dokoła siebie życzliwą atmosferę, że biedaki piszą nie tak, jak chcą, ale jak muszą. Nie wątpię, że nie ma do nich pretensji za hipokryzję ani rodzina, ani przyjaciele, ani najbliższe otoczenie. Argumenty ich są realne, postawa dość często aprobowana, nikt się specjalnie nie dziwi, nikt się specjalnie nie sroży. [...]

Czy ten, który pisze wbrew sobie, po cudzej myśli, w pismach o wyraźnym charakterze agenturalnym, nie popełnia przypadkiem większego niż dozwolone przestępstwa? Od dwóch lat słyszy

się ciągle, że Gomułka musi. Gomułka musi, Rapacki musi, ten musi i tamten musi, szczebel po szczeblu w dół coraz więcej ludzi nie chce, a musi! Gdzie kres tego musu, gdzie jego nieprzekraczalna granica? Pisarz, dziennikarz, który musi fałszować rzeczywistość – chyba przekracza tę granicę. Wytłumaczy się przed sobą, wytłumaczy się przed swoim bliskim, wytłumaczy, jak w naszym konkretnym przypadku, na Zachodzie – ale jak wytłumaczy czytelnikom? Ta krzywda i ta szkoda nie da się łatwo powetować. Niech mi nie mówią o pisaniu między wierszami i o tym, że ludzie w Polsce nauczyli się chwytać ukryty sens z powietrza. Owszem są takie wypadki. [...] Czy autor wierzy, czy nie wierzy w swoje teksty, ta strona zagadnienia nie przenika do świadomości czytelników, a także nie najbardziej obchodzi samych inspiratorów tekstu”.

Jednocześnie Straszewicz odpiera ewentualne zarzuty, które mogliby sformułować krajowi publicyści, a których rzecz ta przecież dotyczy: „Bo cóż łatwiejszego, jak powiedzieć: patrzcie ich – łatwo im na Zachodzie mieć do różnych krajowych ludzi pretensje, kiedy sami pozostają wolni i nie mają wyobrażenia, w jakich warunkach toczy się ich życie. Otóż rozumiemy. Rozumiemy wiele, a to, czego nie rozumiemy, jestem przekonany, budzi identyczne wątpliwości w kraju [...]”.

Stąd konkluzja i pytanie najważniejsze: „Czy sam fakt pisania i drukowania jest ważniejszy od tego, co i gdzie się pisze? Czy i do jakiego stopnia, i w jakich okolicznościach wolno ludziom pióra pisać i drukować w Polsce nie po własnej, lecz po obcej linii? Gdzie leży granica społecznej tolerancji i udzielanego przez społeczeństwo absolutorium? [...] Jeśli tej granicy nie będzie – jeśli o mnie chodzi – nawet przez szkło powiększające nie potrafię zauważyć różnicy między Mackiewiczem (Catem) a Putramentem”<sup>10</sup>.

<sup>10</sup> Cykl: „Odwrotna strona medalu”, nr 1958 z 24 sierpnia 1958. Archiwum RWE.



Inny przykład, odnoszący się jednak do tej samej kategorii spraw o rudymenarnym charakterze, podaje Tadeusz Nowakowski. Zdziwiający rezon i poklask, z jakim spotkała się krytyka pamiętników Konrada Adenauera w Polsce, o którą pokusił się swego czasu na Zachodzie Heinrich Böll, sprowokowała redaktora „Panoramy dnia” do uszczypliwego komentarza. W 1965 roku tak ten fenomen wybiórczej wolności słowa ocenia na antenie: „Nie wystarczy przyklaskiwać odważnym wystąpieniom obcych pisarzy za granicą. Należy jeszcze tolerować wystąpienia własnych pisarzy we własnym kraju. [...] A może redakcja warszawskiej »Kultury«, chwając niemieckiego prozaika Heinricha Bölla, umyślnie chce zademonstrować różnicę, jaka zachodzi między pojmowaniem wolności słowa drukowanego w Polsce dzisiejszej a za granicą? Może oni w ten przemyślany sposób chcą zawstydzić rodzimych celebrow i cenzorów? Może to taka wielka aluzja lub metafora? Nie, nie posądzajmy zastrachańców, lizusów, cwaniaczkowatych podskakiewiczów, oportunistów w rodzaju redaktora naczelnego tego tygodnika, Janusza Wilhelmiego o machiawelizm czy wallenrodyzm! Na to ci chłopy są zbyt oblatani i życiowo wyrobieni. [...] posadzym – niezawodny prąd umysłowy. Posadzym – jedyny kompas ideologiczny. Złota młodzież po czterdziestce, bananowcy z ulicy Wiejskiej pod 12, od dawna wryli na swych brylantynowych spinkach maksymę wznioślejszą ponad wszystkie zawołania rodowe: »Śmierć frajerom! Posłuszni tyją szybciej!« [...]

Jeśli cudzoziemiec podnosi za granicą pióro na osobistości polityczne swego kraju, należy go nagrodzić rzęsiistymi oklaskami za akt odwagi cywilnej i niekonformizmu. Ale co się dzieje, gdy podobna myśl zaświta w mózgu któregoś z rodaków Wilhelmiego? Czy i dla takiego śmiałka warszawska »Kultura« wije wieńce? Nic podobnego! Dla rodaków – inna miara”<sup>11</sup>.

---

<sup>11</sup> Tadeusz Nowakowski, „*Kultura*” warszawska i pamiętniki Matuzalema (cykl: „Panorama”, nr 2775 z 31 stycznia 1966). Archiwum RWE.

Postulaty i pytania z 1955 roku, takie jak: czy wracać do kraju, czy drukować w kraju, okazały się szczególnie ważne, dotyczyły bowiem legitymizacji władzy i tej części krajowej elity, która rozpoczęła z nią współpracę. Ponadto przeświadczenie części emigracji o fakcie narzucenia Polakom siłą systemu społeczno-politycznego i jego aksjologii, wzmacniały także prywatne kontakty i korespondencja – szczególnie istotne w tym kontekście są lata 1955–1958. W listach, osobistych rozmowach odbywanych na Zachodzie (tu za przykład posłużyć mogą relacje ze spotkań stanowiące m.in. treść korespondencji Nowaka-Jeziorańskiego, Romana Palestra, Herlinga-Grudzińskiego, publikowane listy Giedroycia do Stempowskiego, Mieroszewskiego, Wańkowicza, Nowaka-Jeziorańskiego, listy Bobkowskiego do Terleckiego, Lechonia do Grydzewskiego) nietrudno nie dostrzec owego rozdźwięku, na który zwracali na antenie uwagę znacznie wcześniej Palester, Straszewicz czy Nowakowski; na tę różnicę między oficjalnym tonem, oficjalnym słowem mówionym i drukowanym (oczywiście – ocenzurowanym) a prywatnym, dyskrecjonalnym „wyznaniem”, czy „wyszeptanym” rytuałem przejścia.

Z drugiej strony nie ułatwiał porozumienia powszechnie niemal podzielany w środowisku krajowym pogląd, że emigranci, nie żyjąc w kraju, nie są w stanie zrozumieć tego, czym w istocie na co dzień było zniewolenie i upodlenie. Z kolei w czasie odwilży dyskusje toczone w Polsce między rewizjonistami i twardymi marksistami, z emigracyjnej perspektywy wydawały się równie absurdalne. Okazać się miało niebawem (i co do tego emigracja poza środowiskiem „Kultury” była zgodna), że możliwa w kraju była jedynie rewizja marksizmu i pewne odstępstwa od doktryny, i to w dość ścisłych granicach, natomiast inne koncepcje ideowe, choćby konserwatywne i republikańskie, zdecydowanie szans nie miały. Komentarze płynące z Monachium były zatem raczej dość jednoznaczne: skupione na faktach, ale sarkastyczne w tonie, zdradzające często zniecierpliwienie ich autorów, mimo upływu lat, mających wrażenie nieustannego *déjà vu*.

Dla przykładu Herling-Grudziński w podsumowaniu roku 1956 w cyklicznej audycji „Kultura w niewoli” mówi o załatwianiu porachunków ze stalinizmem tak: „Pozostaje jedna dość drażliwa sprawa, którą chciałbym poruszyć na zakończenie tego starego i powitanie nowego roku. Kisielewski wystąpił na VII zjeździe przeciw »załatwianiu porachunków personalnych z przeszłością, przeciw wypominaniu poszczególnym pisarzom popełnionych w swoim czasie grzechów i błędów«, zalecając ogólną »literacką amnestię«. Jestem za taką amnestią, ale pod jednym warunkiem: że sami zainteresowani zachowają trochę więcej taktu, powściągliwości i szacunku dla krytycznego zmysłu prawdopodobieństwa swoich czytelników. Że nie będą występować w roli ponad śnieg bielszych niewiniątek, którym dopiero Chruszczow zerwał brutalnie łuski z oczu. Wszyscy cenimy na przykład Ważyka jako autora *Poematu dla dorosłych* i staramy się nie myśleć o jego sobowtórze o tym samym nazwisku, który grasował we Lwowie pod okupacją sowiecką i w Warszawie pierwszych lat powojennych. Kiedy jednak Ważyk oświadcza dziś najspokojniej w świecie korespondentowi »Corriere della Sera«, że nic nie wiedział o zbrodniach Stalina dopóki nie przeczytał raportu Chruszczowa, to trudno nie pogrozić palcem jako sobowtórowi przyglądającemu się niegdyś obojętnie aresztowaniu Broniewskiego i więcej niż obojętnie aresztowaniu Aleksandra Wata. Prawdziwa amnestia literacka wymaga więc ze strony zainteresowanych uszanowania zasady: nie bij za mocno w stół, bo nożyce się odezwą”<sup>12</sup>.

Czy coś się zmienia w latach 60. i 70.? W zasadzie niewiele. Sądy komentatorów z RWE o konkretnych osobach ze środowiska pisarskiego w zasadzie się nie zmieniały, choć niewątpliwie dostrzegany był na Zachodzie każdy gest wykazujący jakąś niezależność, sygnalizujący sprzeciw, zwłaszcza decyzje pisarzy o drukowaniu poza krajem oraz poza krajową cenzurą. Wszystkie próby niezależności

<sup>12</sup> *Rok 1956* (cykl: „Kultura w niewoli”, nr 199 z 8 stycznia 1957). Archiwum RWE.



*Gustaw Herling-Grudziński w swoim pokoju redakcyjnym  
podczas pracy w Rozgłośni Polskiej RWE,  
Monachium 1953–1955*

(list 34 intelektualistów, powstanie Zapisu, Solidarności i inne obywatelskie i demokratyczne z ducha inicjatywy) skwapliwie nagłaśniały RWE i „Kultura”. Mimo to obraz krajowej elity intelektualnej, jaki wyłonił się z publicystyki RWE, jest raczej przygnębiający. Z perspektywy Monachium w oglądzie kraju przeważa nepotyzm, służalczość, duchowe skarlenie, zgoda na życie zawodowe poniżej możliwości i pisarskich kwalifikacji.

Zdaniem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego mechanizm działania środowiska literackiego, i to mimo upływu lat, pozostaje nie naruszony. W 1965 roku mówi bowiem: „Na naszym podwórku widzimy jeszcze dzisiaj pisarzy o głośnych i szanowanych niegdyś nazwiskach, którzy lubią wypytywać tow. Wiesława [Władysława Gomułkę – V.W.M.], co sądzi o tym czy owym, lub zasiadają bez cienia wstydu za jednym stołem z Generalnym Prokuratorem PRL, gdy chodzi o wysmażenie »aktu oskarżenia« przeciw własnemu koledze po piórze. Powtarzając za Majakowskim – głośno bądź w duchu – samobójczy komunał o »zdradzie na polu bitwy«”<sup>13</sup>.

Poza anteną, mimo ogromnego sceptycyzmu, informował poufnie Jana Nowaka-Jeziorańskiego o sytuacji w kraju, zalecając jednocześnie strategię różnicowania i subtelniejszego wyodrębniania frakcji w pękającym monolicie związku pisarzy: „Spotkałem w Rzymie – pisze Herling-Grudziński w liście – pisarza z kraju [...], którego cenię i szanuję. [...] Przede wszystkim uważa działalność RFE w ciągu ostatnich lat za świetną. Intelktualiści, którzy dawniej lekceważyli stację, są teraz jej pilnymi słuchaczami. W interesującej go dziedzinie uważa ciągle mówienie o ZLP za bardzo ważne. Trzeba jedynie poprawić i lepiej wycieniować rozeznanie sytuacji. Na życzliwość zasługują partyjni pisarze, którzy prawie we wszystkim idą ramię w ramię z »twardymi«. Są to Strykowski, Woroszyński, Konwicky, Karst, Pollak. Zmora są trzy grupy. Pierwsza (Iwaszkiewicz,

---

<sup>13</sup> *Grób i grabarze – o załobnym okresie literatury radzieckiej* („Program specjalny”, nr 3139 z 7 lipca 1965). Archiwum RWE.

Czeszko, Matuszewski) składa się z tchórzy, karierowiczów i asekurantów (na obie strony): należy ich raczej zawstydząć, niż atakować. Druga, która pod pozorami bezpartyjności najbardziej utrudnia życie, jest najokropniejsza: są to Żukrowski, Breza, Szmaglewska, Auderska, Rusinek – i tych należy atakować bez pardonu. Trzeciej przewodzą: Przyboś i Sandauer: także oni ostatnio bardzo szkodzą. Co do grupy »Europy«, najodważniejszej i najczynniejszej, prawdziwej inspiratorki memoriału 34, to nie trzeba jej ograniczać do pięciu tylko nazwisk (Kott, Ważyk, Słonimski, Żuławski, Hertz): szkodzi to zainteresowanym, których się chce w ten sposób wyizolować. Ze wszystkich związków twórczych tylko ZLP coś robi. Byłoby wskazane poruszyć także inne związki twórcze: architektów, muzyków, filmowców. Architekci, na przykład, zostali ostatnio bardzo uderzeni. Ale chodzi o to, by ich narzekania prywatne zamieniły się w wystąpienia publiczne”<sup>14</sup>.

Nawet rok 1968, który dopiero z czasem okaże się przełomowy, także lata 70. nie zmieniły zasadniczo istoty komentarza płynącego z Monachium. Stagnacja, inercja, zgorzknienie – zdawały się mieć trwałe charakter. W coraz mniejszym stopniu również emigracyjni publicyści i radiowcy chcieli krajowemu środowisku podpowiadać czy „zalecać” określone działania, a już na pewno nie wymagali od jego przedstawicieli jakiegoś szczególnego heroizmu. Ale i taka strategia spotkała się z krytycznym komentarzem krajowego słuchacza radia, jakim wówczas był Tyrmand, który wydostawszy się na Zachód, sprowokował interesującą polemikę w monachijskiej rozgłośni szkicem ogłoszonym w paryskiej „Kulturze” *Porachunki osobiste*<sup>15</sup>, a dyskusję na antenie, w której – poza Nowakiem-Jeziorańskim – udział wzięli: Józef Czapski, Konstanty A. Jeleński i Ma-

<sup>14</sup> (List Gustawa Herlinga-Grudzińskiego z 1965 roku); Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Ossolineum.

<sup>15</sup> Leopold Tyrmand, *Porachunki osobiste*, „Kultura” 1967, nr 3, s. 3-39.

ciej Morawski, radio wyemitowało 26 czerwca 1967 roku. Tyrmand upominał się o „wykluczonych na trwałe”, o „twardych, zdeklarowanych antykomunistów” oraz o to, by rozgłośnia także nagłaśniała racje i motywacje, jakie stały za ich dramatycznym, wykluczającym zawodowo i środowiskowo wyborem, nie li tylko rezonowała poglądy rewizjonistów.

Nowak-Jeziorański z kolei tak zapamiętał rozmowę z autorem *Dziennika 1954*: „Tyrmand miał nam za złe występowanie w obronie ludzi, którzy źle się zapisali w okresie stalinowskim, a z partią zerwali dopiero po Październiku. Krytykował nadawanie pozytywnego rozgłosu takim ludziom, jak Leszek Kołakowski, Jan Kott, Wiktor Woroszyński. Uważał to za niesprawiedliwość wobec takich jak on sam, którzy w najgorszym okresie wybrali biedę i milczenie, a nie pisanie pod dyktando. Oponował przeciw temu, bo, jak twierdził, Wolna Europa, reklamując jednych, a przemilczając innych, narzucała opinii w kraju pewną hierarchię wartościowania ludzi.

Odpowiedziałem mu werselem z *Ewangelii*: »Większa w niebie radość z jednego nawróconego niż z dziesięciu sprawiedliwych«. [...]

Ponieważ racje natury moralno-religijnej nie przemawiały Tyrmandowi do przekonania, sięgnąłem do argumentów politycznych. Jesteśmy w stanie wojny z czerwonymi. W czasie wojny nie otwiera się ognia do żołnierzy nieprzyjaciela, którzy chcą przejść na naszą stronę. Przeciwnie, należy ich do tego zachęcać. Dla wroga to nie tylko strata ludzi, ale i klęska moralna.

Im dłużej dowodziłem, tym bardziej irytował się mój rozmówca. Niemoralne, jego zdaniem, było nagradzanie ludzi, którzy jeszcze niedawno biegali z czerwonym krawatem i śpiewali hymny pochwalne na cześć Stalina.

Usiłowałem go przekonać, że zamykanie drogi odwrotu wybitnym intelektualistom, którzy często kosztem dużych wyrzeczeń osobistych zmieniają poglądy, byłoby największą przysługą oddaną przeciwnikowi. Tyrmand nie dał się przekonać.



*Tymon Terlecki w studio RWE,  
1964*



Nie był bynajmniej odosobniony w swym poglądzie, że nawróconych komunistów należy przepędzać do końca ich życia<sup>16</sup>.

Dyskusja właściwie zdradzała jedno – dyskomfort sytuacyjny zarówno opiniodawczych, jak i opiniotwórczych ośrodków emigracyjnych, w tym „Kultury” i Wolnej Europy. Dyskomfort RWE był zapewne większy z racji instytucjonalnego umocowania stacji pod amerykańskim zarządem, niż „Kultury”<sup>17</sup>. Ale głos Tyrmanda legitymizował niejako twardszy ton wypowiedzi krytycznych, m.in. wobec rewizjonistów takich komentatorów rozgłośni, jak choćby Tadeusza Nowakowskiego, który nieustannie upominał się o rozliczenie stalinizmu, ponawiał kłopotliwe pytania o etyczny aspekt prawa do nawrócenia. Analizując łódzki zjazd ZLP z 1972 roku, z konsekwencją wartą tej sprawy, domagał się rozliczenia antysemickiej nagonki z 1968 roku, ale co do efektów tego rozlicze-

<sup>16</sup> Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański), *Polska z oddali. Wojna w eterze – wspomnienia*, t. 2, 1956–1976, Londyn 1988, s. 258-259.

<sup>17</sup> Konrad W. Tatarowski w szkicu *Emigracyjny „spór o prawo do nawrócenia” i jego konsekwencje*, w: *Paryż – Londyn – Monachium – Nowy Jork. Powrześniowa emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko polskiej*, pod red. Violety Wejs-Milewskiej, Ewy Rogalewskiej, Białystok 2009, m.in. zauważa: „Z politycznego punktu widzenia postawa ta [bezkompromisowy antykomunizm Tyrmanda – V.W.M.] była zapewne niewygodna dla środowiska paryskiej »Kultury«, które wiązało nadzieje z programem politycznego »ewolucjonizmu«, stawiało na siły reformatorskie w PZPR i wywodzące się z partii. Nie mieściła się też w linii polityczno-programowej Rozgłośni Polskiej RWE, przyjętej po tragedii Powstania Węgierskiego i polskim Październiku. Mamy tu więc do czynienia z sytuacją, że tekst pisarza, formułującego swe sądy i opinie w pierwszej osobie i przedstawiającego własny – i wysnuwający z osobistych doświadczeń – obraz popaździernikowej rzeczywistości w Polsce, zostaje skonfrontowany z porządkiem politycznych gier i strategii, przyjętych wobec komunizmu przez środowisko »Kultury« z jednej i Wolnej Europy z drugiej strony. W konsekwencji zaś doszło do sytuacji, że Tyrmand, portretując grupę osób, które źle ocenił z moralnego punktu widzenia, zaatakował to środowisko, które zarówno przez Giedroycia, jak i Nowaka-Jeziorańskiego uznane zostało za politycznego sojusznika i częścią składową planu stopniowej demokratyzacji Polski” (s. 155). Zob. także: s. 146-156 oraz Konrad W. Tatarowski, *Konfrontacje i konflikty*, w: tegoż, *Aksjologia i polityka w pisarstwie i działalności Jana Nowaka-Jeziorańskiego*, Łódź 2010, s. 169-200.

nia, był raczej sceptyczny<sup>18</sup>. Mówił bowiem m.in., że: „Łódzki zjazd ZLP tylko wtedy spełni swoje zadanie, jeśli przemieni się, zgodnie z oczekiwaniami społeczeństwa, w swego rodzaju trybunał obywatelski. Trzeba wreszcie ustalić odpowiedzialność osób i instytucji, które w roku 1968 zadały tyle trudnych do powetowania szkód kulturze i nauce polskiej. I – zastanowić się nad zadośćuczynieniem.

Ale nie łudźmy się. Kto tu wystąpi w todzie oskarżyciela? Iwaszkiewicz, Putrament? Machejek?”<sup>19</sup>.

Krytyka płynąca z anteny RWE nikogo zatem nie satysfakcjonowała, zarówno publicystów pracujących w radiu, jak i jego słuchaczy z kraju i emigracji. Nie zadowalała etycznych maksymalistów, choćby Tadeusza Nowakowskiego, i koncyliacyjnie nastawionego do kolegów po piórze Czesława Straszewicza.

Uwagami o niezadowalającej właściwie nikogo strategii rozgłośni wobec krajowego establishmentu (poza Tyrmandem) dzielił się np. Leopold Unger, którego dwa listy do Nowaka-Jeziorańskiego zachowały się w archiwum dyrektora RWE. Do listu z 1 grudnia 1971 Unger załączył opracowanie anonimowego autora, bardzo interesujące w kontekście rozważanych tu spraw. Ów autor, jak napisał w liście Unger, należał do wybitnych przedstawicieli krajowej sceny politycznej, był zatem dobrze zorientowany i odbierany w środowisku.

W załączniku do listu Ungera czytamy: „Sprawa inteligencji i intelektualistów zdaje się być nieco wadliwie »ustawiona« w RWE. Wciąż powtarza się w kółko o »liście 34« czy o procesie Jasienicy, Andrzejewskiego czy Kijowskiego. Nie mówi się natomiast nic

<sup>18</sup> Wzmianki o polityce informacyjnej radia wobec marca 1968 (a wcześniej m.in. wobec „partyzantów”, antysemityzmu grupy Moczara, buntu marksistów, interwencji w Czechosłowacji) i zróżnicowanych poglądach w zespole komentatorów pojawiają się u J. Nowaka-Jeziorańskiego: J. Nowak (Z. Jeziorański), *Polska z oddali*, dz. cyt., s. 224-268. Także: Paweł Machcewicz, *„Monachijska menażeria”*. *Walka z Radiem Wolna Europa 1950–1989*, Warszawa 2007, zwłaszcza s. 131-168.

<sup>19</sup> *Dookoła Zjazdu Literatów*, „Na Antenie” 1972, nr 107.

o przerażającym tchórzostwie inteligencji, o niemal totalnym milczeniu profesury, podlizywaniu się niemal każdemu, kto w tej chwili jest na świeczniku partyjnym. [...] Trzeba pytać, dlaczego tak wybitny skądinąd twórca, jak Lutosławski, nie wystąpił w obronie Mycielskiego [...]. Trzeba pamiętać, że temuż Lutosławskiemu nic nie grozi, oprócz tego, że przez rok–dwa nie dostanie paszportu. [...] Trzeba wprost zapytać, co może grozić temuż Lutosławskiemu, jeśli napisze list do premiera, w którym powie, że uważa usuwanie nazwisk Kisielewskiego i Mycielskiego z bibliografii muzycznej nie tylko za haniebne, ale i za idiotyczne. Wiadomo, że po prostu nie”<sup>20</sup>.

Leopold Unger zdaje się podzielać powyższą opinię. Nie jestem jednak pewna, czy komentator „Kultury” słuchał regularnie Wolnej Europy, a także czy ów anonimowy autor *Uwag i propozycji dotyczących programu polskiego radia Wolna Europa* załączonych do listu Ungera, słuchał choćby „interwencyjnych” komentarzy Palestra, od początku ich nadawania przez radiostację?

Nikt bardziej jednak niż Roman Palester i Tadeusz Nowakowski, a także Wiktor Trościanko nie apelował o środowiskową solidarność. Pod adresem Lutosławskiego już w latach 50. padło wiele krytycznych uwag sformułowanych przez Palestra. Oceniał ostro i mierzył ciosy z dużą precyzją prowadzony i wprowadzany w meandry życia środowiska przez przyjaciół z kraju. Ważną rolę odegrała w tym poufna korespondencja, jaką prowadził Palester ze Zbigniewem Drzewieckim, Tadeuszem Ochlewskim czy Zygmuntem Mycielskim<sup>21</sup>. Nie do przecenienia są także informacje przekazywane m.in. drogą korespondencyjną przez Kazimierza Dejmka Nowakowi-Jeziorańskiemu<sup>22</sup>.

Można się naturalnie zastanawiać, czy publiczne monity odegrały w swoim czasie istotną rolę, a jeśli tak, to w jakim stopniu?

<sup>20</sup> *Uwagi i propozycje dotyczące programu polskiego radia Wolna Europa*, Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Ossolineum (sygn. 82-100/99, t. 33).

<sup>21</sup> Zob.: Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>22</sup> Listy w Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Ossolineum.

Trudno o jednoznaczne rozstrzygnięcie, dość jednak powiedzieć, że Palester wziął na siebie obowiązek ujmowania się za tymi spośród przedstawicieli kultury, którzy mieli odwagę publicznie wypowiedzieć się w kwestiach zasadniczych dla jej funkcjonowania. Wcześniej był to Mieczysław Jastrun, Stefan Kisielewski, Andrzej Kijowski, Zygmunt Mycielski<sup>23</sup>, którego sprawę notabene przywołuje Unger w liście adresowanym do Nowaka-Jeziorańskiego. Palester bierze też w obronę Mycielskiego, który miał odwagę napisać list do muzyków czeskich i słowackich na wieść o inwazji Czechosłowacji w 1968 roku i poniósł wszelkie z tego faktu płynące konsekwencje.

Przy okazji obrony Mycielskiego w 1968 roku, jego postawy godnej najwyższego uznania, autor *Wisły* wywołuje niejako kolejny problem. Dotyczy on decyzji, jaką podejmuje człowiek w zwrotnych momentach swojego życia, w tym przypadku wiąże się ona z kwestią: zostać w kraju czy wyjechać? Palester, który wybrał emigrację, z nieklamany szacunkiem odnosi się do gestu Mycielskiego<sup>24</sup>, który został, bo tak Zygmunt Mycielski postrzegał obowiązek artysty wobec wspólnoty i tradycji.

„Zresztą postawa Mycielskiego w stosunku do władz i reżymu Polski Ludowej była w ciągu długich lat ze wszech miar pozytywna – mówił Palester przed mikrofonem RWE w 1968 roku. Nie darmo brał on czynny udział we wszystkich poczynaniach i inicjatywach muzycznych, które w sumie doprowadziły do poważnego pogłębienia naszej kultury muzycznej. W latach 50., w okresie masywnej ofensywy socrealizmu, Mycielski próbował zmierzyć się na serio z tymi ponurymi teoriami narzuconymi z góry. Nie wyjechał za granicę, choć przecież mógł to zrobić, wołał zostać na miejscu, wołał walczyć z przeciwnościami, budować powoli z drobnych cegiełek gmach kultury muzycznej, gmach, z którego dziś korzystają wszyscy mło-

<sup>23</sup> Roman Palester, *Zygmunt Mycielski* (cykl: „Okno na Zachód”, nr 828 z 22 października 1968). Archiwum RWE, w: Narodowe Archiwum Cyfrowe.

<sup>24</sup> Więcej w rozdziale: *Marsjaszowe konflikty. O szkicach Romana Palestra*.

dzi muzycy. [...] Ćwierć wieku życia Mycielskiego w Polsce Ludowej stanowi jeden z najpiękniejszych dowodów, że i w tym systemie nie liczącym się z jednostką i wywierającym na nią ciągły nacisk – mógł jednak zachować pion moralny i niezawisłość poglądów. Jego koleje są dowodem, że nie każdy musi tam wylądować na platformie oportunistów i łatwego karierowiczostwa – jak to nam usiłują często wytłumaczyć ludzie, którym brak twardego karku. Ale – jak słusznie powiedział Pasternak w niezapomnianym *Doktorze Żywego*: »Ludzie, którzy nie są wolni, mają skłonność do idealizowania swojej niewoli«. Jeśli ten objaw spotykamy u niektórych naszych intelektualistów, to jednak Zygmunt Mycielski był zawsze z daleka od tego. Niczego nie idealizował. Oceniał trzeźwo pozytywne, dodatnie osiągnięcia, ale nie dorzucał do nich nigdy ideologicznej nadbudowy. [...] Czy można się dziwić, że człowiek tego pokroju uważał za stosowne dołączyć swój głos do protestu ogromnej większości pisarzy na pamiętnym zjeździe literatów, który był pierwszym sprzeciwem przeciw narastającej fali nowego stalinizmu? Nie mógł przecież postąpić inaczej – czyż obowiązek walki o wolność słowa nie jest pierwszym i najelementarniejszym obowiązkiem każdego intelektualisty? I czyż ten protest nie był wówczas podyktowany najgłębszą troską o los całej kultury polskiej, której w obcęgach cenzury i pod presją uniformizmu światopoglądowego grozi ciężka deformacja, jeśli nie skostnienie i uwiąd?”<sup>25</sup>.

Karnawał Solidarności 1980 roku, mimo że wiele dawnych sporów unieważnił, to jednak nie rozstrzygnął, a tym bardziej nie zamknął zasadniczej sprawy: odpowiedzialności elity PRL-u za stan kultury. Ponadto wielu komentatorów i dziennikarzy RWE z pokolenia wojennej emigracji już tych wydarzeń nie komentowało, ponieważ odeszli z życia zawodowego, niektórym oszczędzony był również i najwstydlivszy aspekt aktywności niektórych komiwojażerów zza

---

<sup>25</sup> Tamże.

żelaznej kurtyny – udział w inwigilacji środowisk emigracyjnych, a w konsekwencji delatorstwo przyjaciół, jak i ideowych przeciwników.

Intelektualista w PRL-u dość łatwo przystosował się do założeń doktryny i zawarł pakt z totalitarną władzą – to fakt. Prawdopodobnie nie tylko zabrakło mu odwagi, hartu ducha, ale i klasy, by przyjąć odpowiedzialność za uczestnictwo w złej sprawie. Zabrakło także szczerego wyznania, poprzedzonego głęboką analizą, która mogłaby przyczynić się dzisiaj do lepszego rozumienia mechanizmów totalizmu komunistycznego i uczestniczenia w nim również wybitnych jednostek. Ma bowiem wiele racji Nowakowski, kiedy zwraca uwagę na rozdźwięk między wiarą w marksizm a wiedzą o stalinowskiej praktyce (analogię stanowi dlań faszyzm i proces denazyfikacji). Mówi o tym już w 1956 roku. Nic z jego słów nie przebrzmiało, przyrosło wszakże literatury komentującej: „Dyskutantom na zjazdach literatów, architektów i malarzy chciałoby się zawołać »nie utożsamiajcie własnej klęski ze sprawą całego narodu«. Przywróćmy zagadnieniu tendencyjnie zniekształconą perspektywę – przypomina Nowakowski. Prasa huczy »myśmy« popełnili taki a taki błąd! Kto to jest to »myśmy«? Garstka urzędników partyjnych i uległych intelektualistów, w myśl nowych dyrektyw dochodzi do odkryć Ameryki, a czyni to po to, by niechętnych ustrojowi zwabić na teren quasi-opozycji; to wszystko! Wołają patetycznie, że nadszedł »powiew«, »dreszcz«, »wstrząs« i »katharsis«. A cóż to naród ma wspólnego z tym, że grupa zręcznych ekwilibrystów, zapewniając nas teatralnie o swoim dramacie wewnętrznym, bije się z łoskotem w nie swoją pierś? Ten ferment jest zorganizowany. [...] Zawodowi klakierzy zapewniają nas o jakimś rzekomym »wstrząsie«, który przeszedł przez Polskę po XX zjeździe KPZR w Moskwie. Ejże, ejże! Czy był u nas w Polsce człowiek, który naprawdę o tym nie słyszał, że Stalin był mordercą? Nie miejcież Polaków za niemowlęta. Czy potrzeba było dopiero XX zjazdu, aby

dowiedzieć się z ust Chruszczowa, głównego pomocnika herszta, że herszt–psychopata miał ręce po łokcie umazane krwią ludzką? Miliony ludzi o tym w Polsce wiedziały i wyście też o tym doskonale wiedzieli, drodzy panowie. Nawet wychowany w Moskwie na janczara Wiktor Woroszyłski wiedział, że Stalin jest »be«. Z tym »oczyszczającym wstrząsem«, który ogarnia Rzeczpospolitą od Bałtyku do Tatr, to taka sama blaga, jak z istnieniem w Polsce »Frontu Narodowego«, pod którego prezydialnym stołem ukrywają się konfidenci bezpieki”<sup>26</sup>.

W dekadę później Nowakowski nie zmienia zdania: „W czasie dyskusji o moralnym aspekcie Października niektórzy mędracy – co słusznie potępił tygodnik »Po prostu« – wysunęli nieprzytomną tezę, że za tzw. błędy i wypaczenia ponoszą odpowiedzialność wszyscy bez wyjątku. Ta równie mętna, jak i cwaniacka teoria o odpowiedzialności kolektywnej społeczeństwa za miniony okres, wzięła się z chęci ucieczki od odpowiedzialności moralnej wiadomych czynników. Tak to już bywa, że człowiek odpowiedzialny za swoje bezeceństwa wykrzykuje: inni też broili!

W 10 lat po Październiku stwarza się u nas pozory, jakoby lata stalinowskiego terroru były już okresem historycznie zamkniętym i tak odległym jak walki z Jaćwingami. Tymczasem – moralny aspekt przewrotu październikowego mimo upływu czasu nic a nic nie stracił na swej aktualności. Ta najnowsza historia Polski jest jeszcze raną niezabliźnioną, której »pudrować« nie wolno”<sup>27</sup>.

W tym samym niemal czasie wzmacnia siłę argumentacji autora *Szopy za jaśminami* płynący ze studia RWE dramatyczny głos Aleksandra Wata, intelektualisty zaangażowanego, futurysty, przed wojną twórcy „Miesięcznika Literackiego”, świadka i ofiary stali-

<sup>26</sup> *Kilka słów prawdy na marginesie odwilżowych dyskusji* („Tu mówią Orleńta!”, nr 372 z 18 kwietnia 1956). Archiwum RWE.

<sup>27</sup> Cykl: „Odwrotna strona medalu”, emisja 1965. Archiwum RWE.

nowskiego eksperymentu. Wat mówi: „Jak upiór staję między wami i pytam o źródło złego...”. Przejmujące w swojej szczerości wyznanie przeradza się w apel: „Do was [do krajowych pisarzy – V.W.M.] zwracam się, może po raz ostatni: przy ogólnym zakłamaniu musi znaleźć się ktoś, kto powie słowa, które muszą być powiedziane, słowa najprostszej prawdy. O tym, że korzeniem złego jest marksizm-leninizm; że autentyczna literatura i kultura narodowa może istnieć i rozwijać się tylko pod warunkiem, że partia raz na zawsze przestanie się do niej wtrącać. Myślę, że mam prawo powiedzieć za Schopenhauerem: »Podczas gdy wy znów intonujecie piosenkę o waszym najlepszym ze światów, ja jak upiór staję między wami i pytam o źródło złego...«.

Nie, nie pytam. Po prostu nie pozwalam wam zapomnieć”<sup>28</sup>.

---

---

<sup>28</sup> „Na Antenie” 1966, nr 43.





# Paradoksy komunikacji: Radio Wolna Europa a kraj

## Misja

Monachijska sekcja Radia Wolna Europa, funkcjonując w demokratycznym otoczeniu zachodniego świata, korzystając w pełni ze zdobyczy technicznych zachodnich radiofonii, a co bodaj najważniejsze, ze standardów tam obowiązujących – z doktryną odpowiedzialności społecznej, która zakłada, że wolność mediów musi być równoważona ich odpowiedzialnością wobec społeczeństwa – musiała jednocześnie zderzać się niejako z obcym ciałem, z totalitarną rzeczywistością strefy radzieckiej dominacji i z jej medialną (propagandową) maszyną<sup>1</sup>. W istocie w tym celu RWE powstało, było bowiem dzieckiem zimnej wojny i czasów podziału świata na spolaryzowane strefy wpływów politycznych. Ów zasadniczy powód stał się równocześnie źródłem rozlicznych problemów, z jakimi borykali się dyrektorzy i poszczególni komentatorzy, począwszy od powstania rozgłośni w Monachium w 1952 roku, do niemal samego końca jej

---

<sup>1</sup> Zob.: Konrad W. Tatarowski, *Aksjologia i polityka w pisarstwie i działalności Jana Nowaka-Jeziorańskiego*, Łódź 2010, zwłaszcza s. 66-96.

działania<sup>2</sup>. Chodzi głównie o zarzut pojawiający się w środowiskach

<sup>2</sup> Sprawa samodzielności informacyjnej radia wzbudza liczne kontrowersje. Zygmunt Michałowski (dyr. RWE w latach 1976–1982) w wywiadzie udzielonym Alinie Grabowskiej *Z byłym dyrektorem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa* („Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 1998, z. 1, s. 141-142) tłumaczy skomplikowaną relację między amerykańskimi mocodawcami a kierownictwem radia tak: „[...] wytyczne amerykańskie to był dokument genialny. Dlaczego? Te wszystkie reguły, które tam były wyliczone, polegały na tym, że w jednym zdaniu się mówiło np., że Radio Wolna Europa nie ma zamiaru podważać istniejących ustrojów i popierać oporu przeciwko nim w krajach, do których nadajemy, a w następnym zdaniu było powiedzenie, że Radio Wolna Europa opowiada się za prawami ludzkimi, za demokracją, za wolnością prasy, za wolnością słowa. No a czy to nie jest właśnie podważanie ustroju, który takich praw nie stosuje? Ale byli ludzie na emigracji, którzy uważali za ostatni skandal, że tam było powiedziane, że nie trzeba podważać... ustroju komunistycznego tak, jakby poszerzanie wolności słowa i swobód obywatelskich, do czego wzywaliśmy w myśl tych wskazań, nie służyło temu celowi! [...] I władze komunistyczne nigdy się tych instrukcji nie czepiały, wiedząc doskonale, że w Helsinkach podpisały wszystkie te zapewnienia i hasła wolnościowe. A poza tym było, proszę Pani, w naszym statucie zasadnicze zdanie, też genialnie przez kogoś skomponowane. Było tam powiedziane, że audycje Radia Wolna Europa nie mogą stać w sprzeczności z szeroko podjętymi zasadami i celami polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. A jakie to są cele? Przecież wprowadzenie demokracji, prawda? W konstytucji amerykańskiej jest powiedziane, że każdy człowiek ma prawo do wolności, do życia, do poszukiwania szczęścia. Ja to miałem na tablicy w moim pokoju i jak przychodził jakiś dziennikarz amerykański, bo wtedy często o nas pisano, byliśmy popularni, jak się pytali, do czego wy dążycie, ja mu to pokazywałem...”.

Skodyfikowano postępowanie rozgłośni na wypadek ostrego kryzysu w kraju, do którego program nadawano (reguła wprowadzona po casusie węgierskim). Michałowski mówi: „Była taka reguła, że jeżeli w Polsce będzie wielki kryzys, to nie wolno w ogóle nic nadawać bez porozumienia z Amerykanami i wszystkie teksty audycji muszą być uprzednio im przedstawione. Była to instrukcja wewnętrzna, którą się specjalnie nie przejmowałem, bo wydawała mi się – no, niepraktyczna” (tamże, s. 142). Sytuacje nadzwyczajne mają to do siebie bowiem, że wymagają natychmiastowych decyzji o treści emitowanego programu, co stało w sprzeczności z możliwością jego pisemnej konsultacji. Lata 80. wytworzyły w istocie nowy model programu informacyjnego – wcześniej nieznanym – programu nadawanego na żywo. Taka forma emisji pozwala przyjąć sugestie Michałowskiego o zaufaniu Amerykanów do Polskiej Sekcji WE.

W podobnym duchu wypowiada się Marek Łatyński w książce: *Ogród Angielski 1. Wspomnienia z Radia Wolna Europa*, Lublin 1997. Jego analiza kilku lat zarządzania rozgłośnią ujawnia rozmaite napięcia, także w mikroskali; głównie w odniesieniu do polityki informacyjnej poprzedzającego go dyrektora RWE Zdzisława

emigracyjnych, przede wszystkim podnoszony i skrzętnie eksploatowany w momentach przesilen politycznych przez krajową PRL-owską propagandę, że radio było polskojęzyczne (podległe Stanom Zjednoczonym), a nie polskie (ewentualnie emigracyjne i przez wychodźstwo firmowane oraz finansowane), a co za tym idzie – nie

---

Najdera i wytycznych czy raczej pewnych presji ze strony Grzegorza Wierzyńskiego – zwierzchnika z ramienia centrali amerykańskiej.

Tomasz Mianowicz natomiast analizując monachijski okres życia i pracy Józefa Mackiewicza podziela jego sceptycyzm w kwestii zarówno amerykańskiego „partnerstwa” wobec rozgłośni, jak i „autonomii”. Nie tyle podnosi nowe wątki, ile inaczej rozkłada akcenty, co do preferencji politycznych Amerykanów w okresach zimmnow-jennej „odwilży” i „przymrozków”. Szczególnie interesujące są ustalenia ze strony 187-188 artykułu *Józef Mackiewicz w Niemczech: pisarz jeszcze nie znany?*, „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 2003, z. 5/6: „W analizie roli politycznej RWE, a tym samym powodów krytycznych opinii Mackiewicza na temat tego radia, trzeba odejść od uproszczeń i przede wszystkim widzieć Wolną Europę jako instrument polityki amerykańskiej. Nie zmieniają tego faktu wypowiedzi byłych dyrektorów Rozgłośni Polskiej, którzy ze zrozumiałych powodów eksponują własną rolę polityczną. »Amerykanie chcieli, aby były utrzymane pozory niezależności przy zachowaniu linii polityki amerykańskiej« – mówił o tym Kazimierz Zamorski. [...] Mackiewicz krytykował amerykańskie instrukcje polityczne, Nowak twierdził, że instrukcji nie było. Dziś wiemy, że zalecenia polityczne były i to właśnie w sprawach, o których wypowiadał się Mackiewicz. [...] Strategia amerykańska została zresztą ustalona wkrótce po zakończeniu II wojny światowej i pomimo zmiennych doktryn utrzymała się do czasu transformacji w bloku sowieckim na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku. Doradcy rządu amerykańskiego już w 1948 r. opracowali zalecenia dotyczące polityki wobec krajów satelickich ZSRR i Europy Wschodniej: »[...] Naszym celem będzie zastąpienie rządów obecnych przez inne, które będą nam życzliwe, nawet jeśli miałyby być komunistyczne, a jeśli nieżyczliwe – to pod warunkiem, że nie będą pod kontrolą Moskwy. [...]

Jeżeli będziemy gotowi zaakceptować w pierwszej kolejności dysydenckie reżimy komunistyczne, niezależne od ZSRR, w celu zastąpienia obecnych rządów stalinowskich – szansa sukcesu będzie większa. Oczywiście będzie bardzo trudno próbować zerwać natychmiast wszystkie związki pomiędzy Kremlem a krajami satelickimi. Jednak jeszcze trudniej byłoby próbować na początku obalić reżimy komunistyczne u władzy. [...]

Możemy wpływać na obszar polityki i gospodarki. Jest jasne, że ta druga dziedzina jest ważniejsza, ponieważ mamy w niej większe szanse sukcesu».

Warto uwzględnić te zalecenia, analizując historię polityczną okresu powojennego i funkcję, jaką wistocie pełniło RWE, niezależnie od podporządkowanych celom propagandowym opinii, szczególnie intensywnie upowszechnianych od końca lat 80.”.

mogło być reprezentantem autentycznych interesów wszystkich Polaków. Tym bardziej więc ze skutkiem dla treści i jakości antenowego programu, chodziło RWE o to, by mówiąc do kraju w atmosferze zimnowojennej konkurencji, przywracać właściwy sens słowom, propagować ideę demokratyczno-liberalnego modelu życia, skutecznie wykorzystać talenty pisarskie i intelektualne pracowników i współpracowników rozgłośni. Ostatecznie – przebić się przez wszechobecną cenzurę i pokonać dystans różnych doświadczeń Polaków z dwu wojennych frontów, by podzielonych Polaków z kraju i emigracji mentalnie ze sobą połączyć i sobą wzajem trwale zainteresować. Wszystko to ostatecznie znaczyło rozstrzygnięcie w sprawie, którą obejmują pytaniem: jakie wartości winny były czy mogły stanowić bazę dla podzielonej wspólnoty narodowej i społeczeństwa poddanego brutalnej przemianie społecznej inżynierii, nadającej zasadniczo nowy i raczej obcy kształt powojennemu życiu?

Nielatwe to kwestie, szczególnie jeśli ma się na uwadze radio, które codziennie nadaje rozmaite programy, w którym mówi się równocześnie do Polaków z emigracji, do Polonii i Polaków w kraju. Do – jak się z czasem okaże – różnych Polaków o różnym doświadczeniu i do coraz młodszych pokoleń. I czyni się to wszystko przy pełnej świadomości bycia fragmentem potężnej maszynierii geopolitycznej, w której trybach miały się polskie sprawy, podporządkowane nadrzędnym strategicznym racjom, rozgrywającym się w polu konfrontacji świata zachodniego z komunistycznym, liberalnego z totalitarnym.

Trzeba było – wobec rozmaitych sprzeczności – zacząć od czegoś najbardziej oczywistego: od cenzury w kraju. Misja radia budowana więc była na mozolnym wypełnianiu informacją, reagowaniu na przemilczenia władzy, przebijaniu się z własnym głosem przez PRL-owską propagandę. Jan Nowak-Jeziorański w 1962 roku, po dziesięciu latach funkcjonowania stacji, w jednym z listów do Giedroycia potwierdza ten wybór ponowioną deklaracją: „Nie co innego, jak właśnie cenzura, stanowi z naszego punktu widzenia główną rację

bytu radiostacji zagranicznych. Są one konieczną, chociaż z natury rzeczy, niedoskonałą i niewystarczającą namiastką wolnej i niezależnej prasy, która nie może ukazywać się w kraju. Gdyby Wolna Europa nie nadawała od świtu do nocy, zarówno oficjalna propaganda, jak i cenzura miałyby daleko większą swobodę w ukrywaniu lub fałszowaniu faktów”<sup>3</sup>.

W tej wypowiedzi zawarta jest w istocie misja radiowa. Powie ktoś dzisiaj: wówczas było łatwiej – misja była niejako narzucona przez okoliczności, była uchwytna i wyrazista. Określała ją cenzura krajowa i jej prewencyjny charakter. To prawda – ale można było w ramach „omijania” cenzury robić właśnie radio propagandowe (wulgarnie) z argumentacją niejako wyłożoną „na skróty”. RWE było jednak radiostacją mającą ambicje nie tylko rzetelnego informowania, ale również tworzenia czegoś na kształt polityki kulturalnej; produkowało własnymi środkami audycje artystyczne i quasi-artystyczne (literackie i przyliterackie). Dlaczego? Odpowiedź, która od razu, niemal automatycznie się narzuca, jest następująca: programy te, to dzieła, wykonane zgodnie ze sztuką, która znana była radiowcom, często z jeszcze przedwojennym stażem, wykonane adekwatnie do potrzeb swego czasu; a i dzisiaj nietracące swej atrakcyjności – raz historycznej czy poznawczej, dwa – w wielu wypadkach również estetycznej.

Jak to było możliwe, skoro RWE w czasie swojej długoletniej działalności nie było wolne od paradoksu komunikacji z odbiorcą krajowym, słuchaczem – dla radia przecież najważniejszym? Ten problem znają jedynie media, które kierują swój przekaz do odbiorcy na co dzień poddanego indoktrynacji, do społeczności zarządzanej autorytarnie czy totalitarnie, odgradzonej od konkurencyjnych źródeł informacji oraz od innych modeli życia i form kultury.

---

<sup>3</sup> Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy 1952–1998*, wybór i opracowanie Dobrosława Platt, Wrocław 2002, s. 257.

Za paradoksalną można uznać sytuację, w której audycja radiowa nie dociera do słuchacza ze względu na próby jej zagłuszenia. Do roku 1956 – skutecznego. Sygnał RWE na początku działalności radia był dość słaby, urządzenia zagłuszające usytuowane były m.in. pod Poznaniem, Bydgoszczą i gęsto rozsiane między większe skupiska miejskie. Później nadal wprawdzie zagłuszano aż do 1988 roku, ale z terytorium Związku Radzieckiego i Czechosłowacji, jednak sygnał programu dzięki nadajnikom dużej mocy był również silniejszy<sup>4</sup>. Głosy komentatorów RWE docierały do kraju *via* Lizbona, gdzie znajdowały się anteny RWE wielkiej mocy i ich program nadawany na falach krótkich, odbity od jonosfery, spadał na Polskę. Z Monachium do Lizbony przesyłano program za pomocą stacji radiowej małej mocy, co nie gwarantowało wysokiej jakości dźwięku. Nagrania ważniejszych programów na taśmie magneto-fonowej przesyłano do Lizbony pocztą. Była to niezwykle skomplikowana operacja, jeśli zważyć, że chodzi tu o aktualności, dla emisji których czas jest najważniejszy, a nawet zabójczy, jeśli informacja jest spóźniona. Audycje także dla pewności powtarzano kilkakrotnie na dobę, co miało zwiększyć szansę na jej słyszalność i dotarcie do właściwego adresata. W rezultacie jednak słuchacz krajowy słyszał często jedynie fragmenty programu, „okruchy” wypowiedzi. Zdarzało się też, że słyszał całą audycję bez zakłóceń, mimo że słyszalność była zróżnicowana terytorialnie i zależna od pory emisji. Na taki efekt wpływała z jednej strony moc nadajników, z jakich korzystało radio, z drugiej zaś – siła zagłuszenia<sup>5</sup>.

<sup>4</sup> Zawsze funkcjonowało pasmo przeznaczone dla rządzących, wolne od zagłuszenia. Wiele materiałów archiwalnych odzyskujemy dziś dzięki nagraniom i transkrypcjom dokonanych przez nasłuchujących je urzędników MSW. To szczególnie istotne w okresie, kiedy radio w połowie lat 80. (zwraca na to uwagę Marek Łatyński w: *Ogród Anielski 1...*, dz. cyt.) było w dużej części żywe (tzn. nie towarzyszył audycji skrypt), a komentatorzy bezpośrednio dzięki połączeniom telefonicznym udzielali informacji, komentowali wydarzenia, brali udział w dyskusji.

<sup>5</sup> Zob.: Paweł Machcewicz, *„Monachijska menażeria”. Walka z Radiem Wolna Europa 1950–1989*, Warszawa 2007, tu: *Zagłuszenie*, s. 72-78.

Dlaczego zagłuszano? Chodziło po pierwsze o to, by uniemożliwić w kraju odbiór informacji niebezpiecznych dla władzy państwowej, dla władzy, która nie mogła sobie pozwolić na otwartą rywalizację o odbiorcę i na spory światopoglądowe, co było przecież czymś zupełnie normalnym w liberalnej demokracji. Stosowano więc w PRL-u metody pozwalające uniknąć konfrontacji merytorycznej. Poza zagłuszaniem władze podejmowały rozmaite próby niejako zniechęcania odbiorcy do słuchania programów stacji. Między innymi wywierały presję psychologiczną, której główny cel sprowadzać się miał do wytworzenia wrażenia, że treści RWE były z istoty kłamliwe i zarazem społecznie szkodliwe, słuchanie zaś – sprzeczne z normami „socjalistycznej moralności”. Konrad W. Tatarowski<sup>6</sup> nazywa to pierwszym paradoksem komunikacji: masowość odbioru stacji, i to mimo zagłuszania oraz gróźb represji. Mówimy tu o masowości z pewną przesadą, trudno ją bowiem potwierdzić, zwłaszcza we wczesnych latach 50., choć biorąc pod uwagę nawyki polskiego słuchacza z czasów wojny (np. słuchanie BBC, Świt, Błyskawicy i innych stacji wojennych) można przyjąć, że Wolnej Europy rzeczywiście w kraju słuchano na dużą skalę. Bo emigracja słuchała z pewnością, mimo że w Europie i w obu Amerykach były miejsca znacznie słabszej emisji sygnału radiowego.

Wolna Europa w kraju spełniała więc rolę radia zastępczego<sup>7</sup>, zajmowała przestrzeń (nieobecną w PRL-u), którą zwykle wypełnia opinia publiczna czy głos społeczeństwa pluralistycznego w dojrzałej demokracji. W istocie była więc „zastępczą opozycją polityczną”, wyjawiającą wobec władz PRL-u żądania, postulującą i artykułującą potrzeby niejako od wewnątrz, w imieniu społeczeństwa. Można zatem w tym miejscu powiedzieć o kolejnym paradoksie komunikacyjnym: radio nadające z zagranicy, zachowu-

<sup>6</sup> Pisze o tym Konrad W. Tatarowski w książce *Literatura i pisarze w programie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa*, Kraków 2005, s. 55-64.

<sup>7</sup> Por.: Jaques Semelin, *Wolność w eterze*, Lublin 1999, s. 35 i n. (autor używa terminu „radio substytucyjne”).



jące się jak stacja wewnętrzna, ponadto nadająca (poza odbiorcą masowym) także do establishmentu, mająca ambicje polemizowania z nim, bycia podmiotem moderacji politycznej, chciało wpływać na świadomość marksistowskich elit partyjnych i wytworzonych przez nich kół opiniotwórczych (taką funkcję pełnił m.in. „List do komunisty” redagowany przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego). I trzeba powiedzieć, że na pewno przez establishment stacja ta była uważnie słuchana. Jak wspomina Jan Nowak-Jeziorański w *Polsce z oddali*, notable komunistyczni byli jej „najpilniejszymi słuchaczami”; utworzono w kraju Dział Odbioru Audycji Zagranicznych Polskiego Radia, powstały obszerne biuletyny z nasłuchów tylko do użytku władz i wiele wystąpień publicznych lub wewnętrznych podporządkowanych było problematyce wywołanej i nagłośnionej głównie przez RWE<sup>8</sup>.

Wiedza o zagłuszaniu mogłaby jednak na publicystów rozgłośni działać demobilizująco i wpływać tym samym na obniżenie jakości tworzonego przez nich i nadawanego materiału. Czy tak było? Trudno mi mówić o całym programie, ale z moich rozpoznań archiwalnych wynika coś przeciwnego – dbałość o słowo, o kompozycję wypowiedzi i wagę problemów podnoszonych publicznie. Z czego to mogło wynikać? Chodziło głównie o etos radiostacji, o misję radia właśnie i o to, co chętnie nazywa się dziś heroicznym okresem działalności RWE, kiedy wiara w krótkotrwałość porządku jałtańskiego podzielana dość powszechnie w latach 50. przez Polaków na wychodźstwie, motywowała ich do intensywnej pracy. Oczywiście ważnym odbiorcą, ale nie bezpośrednim podmiotem „dzia-

---

<sup>8</sup> O sieci tajemnic, intryg, inwigilacji w całej instytucji pisze Richard H. Cummings, *Wroga działalność skierowana przeciwko Radio Free Europe, Radio Liberty i społeczności emigracyjnej w Monachium w czasach zimnej wojny* (referat przygotowany na konferencję „Radia Wolności – 20 lat później”, Warszawa, 13 stycznia 2011). Także mówi m.in. o tym Jan Nowak-Jeziorański w rozmowie z Aliną Grabowską: *Rozmowa z Janem Nowakiem-Jeziorańskim, założycielem Rozgłośni Polskiej RWE*, „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 1999, z. 1, s. 174-193; zwłaszcza s. 186-188.

łań słownych”, była także wielomilionowa emigracja polska rozrzucona po niemal całym świecie. Polscy wychodźcy słuchający radia bez zagłuszania byli jego stałymi recenzentami, często korespondowali z autorami audycji. Bywało tak, że współtworzyli programy, składali propozycje, prowadzili rozmowy na antenie (ten ostatni rodzaj współpracy miał jednak miejsce znacznie później). Niewątpliwie i oni, jako uważni słuchacze i recenzenci, współdecydowali o wysokim poziomie emitowanego materiału. Nie bez znaczenia dla jego jakości była ścisła zależność i współpraca publicystów RWE z ośrodkami politycznymi w Europie Zachodniej i w USA. Chodziło o przeforsowanie polskiego punktu widzenia (co – jak wiadomo – nie było łatwe); dodatkowym czynnikiem dyscyplinującym był fakt, że radio to nie było „żywym” medium w dzisiejszym rozumieniu tego słowa, wytwarzało tzw. skrypty, skrupulatnie przechowywane na wypadek, gdyby w grę wchodziły procesy sądowe o zniesławienie. Stanowiły one ponadto dowody w sytuacjach kryzysowych, w momentach napięć kompetencyjnych między Polską Sekcją w Monachium a Amerykanami. Dbałość o jakość programu i o jego wartość etyczno-estetyczną była więc wielopoziomowa.

Jednak ten najważniejszy – słuchacz krajowy, ów podmiot intelektualnej aktywności był najmniej uchwytny i „dialog” z nim wymagał niemałej ekwilibrystyki, wyobraźni, wiary w to, że między wojennym doświadczeniem kraju i emigracją nie ma tak przepastnej różnicy, mimo odmiennych warunków życia i naturalnej skądinąd zmiany pokoleniowej. Ta wiara wystawiana była po wielokroć na próbę, bez niej jednak projekt RWE nie miałby żadnych szans. O tym problemie, najbardziej uwewnętrznionym i zarazem zasadniczym dla intencji wpisanych niemal w każdą wypowiedź radiową, wypada powiedzieć w tym miejscu kilka słów.

Chodzi więc o strategie retoryczne, o zgodność wypowiedzi na antenie ze światopoglądem czy światoglądem publicysty RWE, dla którego kraj był zapełniony konkretnymi ludźmi, bliskimi mu sprawami, wobec których trudno mu było utrzymać komentatorski

dystans. Ten aspekt wypowiedzi radiowej jest wszak interesujący, pozwala bowiem z perspektywy czasu nie tylko „podejrzeć kondycję” Polaka w kraju i na wychodźstwie, ale i przyjrzeć się fenomenowi wspólnoty, która przeszła jeden z najpotężniejszych kryzysów wojny i powojnia – traumę separacji oraz indoktrynacji dokonywanej się w ramach komunistycznego eksperymentu.

Przeprowadzenie tej analizy możliwe jest na określonym i zarazem ograniczonym materiale radiowym; co do formy, to uwagę w pierwszym rzędzie należy kierować na felietonistykę czy komentarz krytyczny, gatunki pojemne, bo obejmujące w swej treści rozmaite dziedziny życia społeczno-politycznego kraju i świata. Na dodatek chodzi tu o wypowiedzi najbardziej wyraziste i autorsko zindywidualizowane. Ale zrazu wprowadzam zastrzeżenie: inne programy radia – słuchowiska, miniwykłady o kulturze, nauce, zdobyczach ekonomii – podlegają podobnemu trybowi perswazji. Oczywiście adekwatnie do tematu rozkładane są akcenty, istotny jednak zawsze pozostaje indywidualny styl komentatora. Dbłość o retorykę jest wszakże powszechna. To cecha radia wynikająca z jego misyjnej roli, określonej przez okoliczności podzielonego świata i tzw. wojny w eterze, to również efekt klasycznego kształcenia, o które w Drugiej Rzeczypospolitej dbano znacznie bardziej, niż dzisiaj.

Najważniejszym zadaniem radia, przed jakim stawał publicysta RWE, było subtelne narzucanie przekonań zgodnych z jego intencjami, a przy tym panowanie nad emocjami i zarazem sterowanie nimi. Taka rola przypadła felietonowi, bo „Felieton! – mówił przed mikrofonem RWE w 1973 roku, tuż po objęciu po Romanie Palestrze działu kulturalnego Włodzimierz Odojewski – O, takie sobie niby nic! Dziennikarsko-literacki miszmasz, lekko, swobodnie, strawnie, czasem wesoło, czasem refleksyjnie i na smutno, o wszystkim po trochu, niekiedy, żeby rozwinąć jedną zaledwie myśl, jedno spostrzeżenie, czasem pozornie w ogóle o niczym. Felietonu nie można nauczyć się pisać. Łamię sobie na nim pióra najzdolniejsi dziennika-

rze i najzdolniejsi literaci. Felieton to odrębny, rządzący się swoimi, własnymi prawami gatunek. Do tego trzeba mieć talent, do tego trzeba się urodzić. Inaczej wychodzi dziennikarska piła lub literacka chała. Gnieciuch! [I dodaje:] [...] rasowych felietonistów nigdy nigdzie za dużo; pisanie dobrego felietonu, i to z tygodnia na tydzień, to nieraz trudniejsze niż pisanie kawałka prozy fabularnej lub wiersza, to zadanie, któremu sprostać udaje się tylko nielicznym<sup>9</sup>.

Do tego, co jest niejako warunkiem dobrej publicystyki: ogólna wiedza i praktyka retoryczna, znajomość wymogów stylistycznych (sprawne operowanie różnymi rejestrami i co najważniejsze odpowiednią tonacją) dodać należy dyspozycję indywidualną – oryginalny trop kompozycyjny. Do stałej receptury włączyć trzeba i to, co jest względne i zmienne: kontekst polityczny, dynamikę sytuacyjną, presję amerykańskich mocodawców, interesy Polaków z emigracji (w tym głos stronnictw politycznych na wychodźstwie) oraz „siłę rażenia” propagandy komunistycznej. Splot owych „względnych” ogniskował się zwykle w każdej wypowiedzi, był w istocie jej wypadkową<sup>10</sup>.

---

<sup>9</sup> Włodzimierz Odojewski, *Pochwała felietonu*, „Na Antenie” 1973, nr 129, s. 26.

<sup>10</sup> O problemach funkcjonowania rozgłośni w kontekście makropolitycznym i jej charakterze traktuje artykuł Rafała Habielskiego, *Charakter i znaczenie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Kilka uwag i refleksji*, w: *Radio Wolna Europa w polityce polskiej i zachodniej. Materiały z konferencji naukowej. Warszawa 30 listopada – 1 grudnia 2007*, pod red. Andrzeja Borzysza, Jeremiego Sadowskiego, Warszawa 2009, s. 57-66; tegoż, *Obawy i wątpliwości. Emigracja wobec inauguracji RWE*, w: *50 lat Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Materiały sesji jubileuszowej*, pod red. Darii Nałęcz, Warszawa 2003; tegoż, *Rozgłoszenia Polska Radia „Wolna Europa”*, w: tegoż, *Polityczna historia mediów w Polsce w XX wieku*, Warszawa 2009; P. Machcewicz, „*Monachijska menażeria*”..., dz. cyt. Także z amerykańskiej perspektywy pisze na ten temat A. Ross Johnson, *Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych podczas zimnej wojny. Rola Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa*, w: *Radio Wolna Europa w polityce...*, dz. cyt., s. 23-31, a Lechosław Gawlikowski rekonstruuje początki radiostacji, nie bez znaczenia dla jej późniejszego kształtu: Lechosław Gawlikowski, *Mitologia ery tworzenia Rozgłośni Polskiej RWE*, w: *Radio Wolna Europa w polityce...*, dz. cyt., s. 109-136.

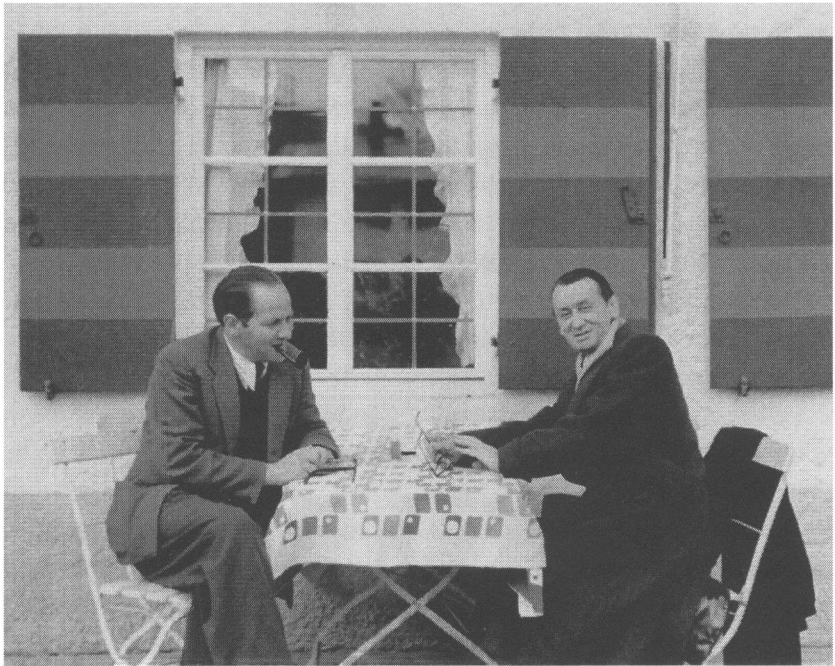
Jak zatem pogodzić mówienie do słuchacza krajowego poprawną, niesztampową polszczyzną z jednoczesnym prowadzeniem sporu na słowa (na treści) z językiem wulgarnej propagandy PRL-u? Od samego początku był to zasadniczy problem, wymagający odpowiedniej taktyki czy też strategii. I tylko wybitni publicyści (także zaprawieni w pracy w radiostacjach wojennych, obcy z wojenną czarną propagandą, m.in. Czesław Straszewicz, Wiktor Trościanko, Tadeusz Checiuk-Celt), mogli radzić sobie z tym kłopotem satysfakcjonująco. To z kolei, co było niezwykle wyczerpujące, wiązało się z codzienną kwerendą prasy krajowej, z czytaniem publikacji oficjalnych organów PZPR i pism, które wprawdzie miały peryferyjny charakter, ale były równie indoktrynujące. Uważnie monitorowano tytuły o minimalnym nakładzie, mające charakter quasi-opozycyjny (wydawnictwa katolickie, PAX-u, „Tygodnik Powszechny”). Te ostatnie jednak, mimo niewielkiego nakładu i cięć cenzury, w sposób znaczący wpływały na wybór i kształt cyklicznego komentarza w RWE.

Bezsprzecznie – była to praca wyczerpująca. W takim też duchu zwierza się w liście Herling-Grudziński do Barbary Palester 17 listopada 1956, w rok po opuszczeniu Monachium, gdzie pracował przy cyklu „List do komunisty”, zajmował się publicystyką i reporterką: „Teraz, kiedy odprężam się trochę po Monachium, widzę dopiero, ile mnie kosztowały te trzy latka jako pisarza: mam w głowie pustkę i czuję, jak gdybym był kukłą ulepioną z gazet”<sup>11</sup>. Nowakowi-Jeziorańskiemu także donosi 19 stycznia 1956: „Praca nad powieścią idzie mi okropnie, bo przez trzy lata w RWE odzwyczaiłem się trochę od dyscypliny ściśle literackiej i nabrałem – co jest zrozumiałe i naturalne – pewnych nawyków dziennikarskich”<sup>12</sup>.

Czesław Straszewicz zwykł mawiać, że nie tyle pisanie, ile przegląd prasy krajowej był wyczerpujący i poniekąd intelektualnie

<sup>11</sup> Z Kolekcji Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>12</sup> Z Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Ossolineum.



***Od lewej: Gustaw Herling-Grudziński i Tymon Terlecki,  
Oberammergau 1954***

jałowy. Właśnie ta jałowość i sztampa publicystyki krajowej paradoksalnie stanowiła największą przeszkodę w utrzymaniu wysokiego poziomu audycji. Przeszkodę, choć przecież z drugiej strony można by sądzić, że łatwiej w warunkach posuchy i braku intelektualnej konkurencji przeforsować pewne treści, wzmocnić perswazję, sięgając po zasoby emotywniej funkcji języka.

Radio konsekwentnie przez lata utrzymywało cykle programowe, których tytuły podkreślać miały przede wszystkim polemiczny charakter, np.: „Odwrotna strona medalu”, „Z innego punktu widzenia”, „Na czerwonym indeksie” czy audycje za jakiś czas także pojawiające się w Polskim Radiu, ale o zupełnie innym nastawieniu ideowym i sprawności warsztatowej (przede wszystkim jednak ocenzone): „Fakty, wydarzenia, opinie”, „Panorama dnia”. Taką właśnie strategię przyjęto, by uwypuklić istotę owej „wojny w eterze”; nie tylko bowiem chodziło o przeciwstawienie propagandzie komunistycznej faktów, zdarzeń, doświadczeń, świadectw (czyli tego, co jest sednem publicystyki żywiącej się ścisłym związkiem z rzeczywistością), ale również o postawienie słowa przeciw słowu, żywej myśli przeciw treściom martwym, zbanalizowanym i zindoktrynowanym. Bój o słowa i na słowa miał znaczenie zasadnicze, pełnił funkcję swoistej odtrutki, miał demaskować banał i fałsz, dekonstruować język propagandy zawłaszczający nazwy, pojęcia, odzierający słowa z ich powagi i naturalnego przylegania do rzeczy.

W tym miejscu przychodzi mi uczynić ukłon w stronę niewdzięcznej a niezwykle dla tych rozważań przydatnej pracy Michała Głowińskiego, której owocem są dziś dla nas cenne tomy komentarzy wydanych już po roku 1990: *Marcowe gadanie. Komentarze do słów 1966–1971*, *Peereliada. Komentarze do słów 1976–1981* oraz *Końcówka (czerwiec 1985 – styczeń 1989)*. Głowiński w swych analitycznych rozpoznaniach demaskuje nowomowę i precyzyjnie określa cechy języka komunistycznej propagandy. Jego głos – to głos niepokornego adresata i czytelnika zinstrumentalizowanego przez nowomowę słowa (ten język w RWE nazywano drętwą mową).

Dwie poniższe uwagi wskazują na najważniejsze jej cechy: „Nie chodzi o poznanie danej rzeczy (przy pomocy języka), ważne jest tylko samo nazwanie, nalepienie etykiety dogodnej do danej chwili ze względów pragmatycznych. Jest to przeciwieństwo poznania czy analizy, język funkcjonuje tu tylko jako sygnał oceny, którą chce się narzucić. Jest to więc język maksymalnie wyjąłowany”<sup>13</sup>.

Autor podkreśla podobieństwa języka propagandy we wszystkich krajach obozu socjalistycznego: „Uwaga ogólna: W tych komentarzach biorę pod uwagę także teksty tłumaczone, głównie rosyjskie i czeskie. Bełkot, który analizuję, ma charakter międzynarodowy, znajduje się ponad poszczególnymi systemami językowymi, został zunifikowany we wszystkich krajach, które nie wyzwoliły się od stalinizmu. Jest to ponadnarodowa mowa reżimu, wynik swego rodzaju braterstwa w bełkocie”<sup>14</sup>.

Komentator i literaturoznawca w istocie zauważał to, co i felietoniści RWE po drugiej stronie żelaznej kurtyny: Roman Palester, Czesław Straszewicz, Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski, Wiktor Trościanko. Notatki, z których powstały książki Głowińskiego, spisywane były przezeń na długo przed rokiem 1989. Pisał je z innych pobudek i pracował w paradoksalnym komforcie „zapewniania szuflady”. We wstępie do pierwszej książki Głowiński mówi bowiem tak: „Pisałem tę rzecz do szuflady. I nie sądziłem, że dane mi będzie opublikować ją za życia, prawdę mówiąc, w ogóle o tym nie myślałem. Dzisiaj zaś zastanawiam się nad czym innym: co mnie skłoniło do podjęcia tej roboty, nieefektywnej, bo zmuszającej do dokładnego czytania różnych obrzydliwości?”

Pamiętam, że zapadła w moją świadomość myśl, rzucona przez jednego z kolegów w przygodnej rozmowie: żyjemy w świecie rzą-

---

<sup>13</sup> Michał Głowiński, *Marcowe gadanie. Komentarze do słów 1966–1971*, Warszawa 1991, s. 86.

<sup>14</sup> Tamże.



dzonym przez kłamstwa i fałsze, trzeba więc pisać do szuflady, by zostawić jakieś wiarygodne świadectwo”<sup>15</sup>.

Jakże to symptomatyczne. Na marginesie – okazuje się po latach, że nie tylko Michał Głowiński pisał do szuflady i w swoich zapiskach przywoływał Wolną Europę; pisali o języku propagandy PRL-u: Piotr Wierzbicki, Stefan Kisielewski, który poza tym z rozgłośnią współpracował, Andrzej Kijowski, Leopold Tyrmand, na wzmianki o RWE natrafiłam m.in. w dziennikach Anny Kowalskiej i Mieczysława Jastruna. A przecież te kilka przykładów nie wyczerpuje listy, trzeba jeszcze czekać na publikacje autorów krajowych, piszących jak Głowiński wówczas do szuflady.

O języku stalinowskiej propagandy w podobnym duchu myśleli komentatorzy radia. Okazuje się także, że rozpoznania emigrantów, ich wnikliwość, inteligencja i wiedza o systemie nie odbiegała od tej, jaką od wewnątrz prezentował badacz literatury. Nawet sposób docierania do istoty problemu uwiecznionego w skostniałych frazesach i skompromitowanych formułach jest bardzo bliski odczuciom i wrażliwości odbiorcy z kraju. Będą i rozbieżności – ale o dziwo nieznaczne. Oczywiście musimy wziąć pod uwagę fakt, że prasa PRL-owska czytana jest przez Głowińskiego ze znawstwem, z ironicznym dystansem; *casus* not literaturoznawcy będących reakcją na irytujący fałsz, zawiera się w tym, że nie były one przeznaczone do publikacji. Nie musiał więc ich autor zabiegać o efekty retoryczne, o to wszystko zatem, co w radiu było pierwszoplanowe. Głowiński zdradza też własny stan odczuć z lektury. Sądzę nawet, że zapiski te zyskałyby wielu słuchaczy, gdyby mogły być w swoim czasie czytane w studiu RWE. Te znakomite miniaturki są bowiem z ducha radiowe. Autor tworzy głównie inwentarz pojęć, natomiast publi-

---

<sup>15</sup> Tamże, s. 3. Zob. także: Mariusz Mazur, *Propagandowy obraz świata. Polityczne kampanie prasowe w PRL (1956–1980)*, Warszawa 2003.

cyści RWE stają przed zadaniem o charakterze dostosowawczym, analiza – *gros* pracy Głowińskiego – to dla nich punkt wyjścia.

Wypada tę retoryczną pracę nad słowną propagandą PRL-u pokazać na kilku spektakularnych przykładach, choć wiadomo, że zarówno raptularz Głowińskiego, jak i komentarze publicystyczne RWE są z jednej strony rejestracją procesu pewnych zmian, a raczej powtórzeń, jakie w języku nowomowy zachodzą, szczególnie w obliczu realnego kryzysu społeczno-politycznego, z drugiej zaś – potwierdzają trwałość i zarazem męczące skostnienie świata wykreowanego przez propagandę. Od pierwszych komentarzy RWE z roku 1952 i niemal do końca istnienia radia (choć w innej konfiguracji i natężeniu) pojawiać się będą omówienia relacji między władzą w kraju a społeczeństwem, między „My” („my”) a „oni”, „my” („My”) a „Wy” („wy”), „oni”; między wspólnotą Polaków z kraju i zagranicy, między krajem a emigracją, obywatelami a władzą, również Polską a PRL-em. Owe relacje komplikowały się z czasem, kiedy od połowy lat 50. Stany Zjednoczone zaczynają prowadzić politykę dwutorową: dbają o dobre kontakty z PRL-em, a jednocześnie wspomagają opozycję, pozostając tym samym rzecznikiem wolnej i niezależnej Polski. Nowak-Jeziorański określał to mianem przejścia od polityki wyzwolenia do strategii ewolucji. Taka polityka konfundowała, szczególnie w momentach realnych przesileń. „My” w okresie stalinowskim, w języku propagandy krajowej, oznaczało zwykle coś nieistniejącego, jakąś nikomu nieznaną wspólnotę (naród?), pojęcie, w którym nie było żywej treści, któremu nie towarzyszyła identyfikacja, a które należało do rezerwuaru drętwej mowy. To nim każdego dnia bombardowano masowego odbiorcę. Odzyskanie zatem owego „My” było dla emigracji kwestią zasadniczą, gwarantem i sensem jej istnienia.

Charakterystyczna w tym kontekście jest wypowiedź Romana Palestra nadana w 1951 roku przez BBC. Kolejne – już z RWE – podkreślają, tak jak ta, iluzoryczność granicy w obszarze wspól-

nych wartości ducha kultury: „Muzykowi, kompozytorowi polskiemu przebywającemu na uchodźstwie trudno jest zaiste mówić do kolegów w kraju o tym, co nas łączy. Trudno dlatego, że łączy nas wszystko, a nie dzieli nic poza wątlą, chwilową linią, która choćby opatrzona wszystkim tym, co mózg ludzki w dziedzinie politycznej wymyślić zdołał, jeszcze nie potrafi definitywnie oddzielić człowieka od człowieka, a tym bardziej człowieka od kraju lat dziecinnych, ojczyzny”<sup>16</sup>.

W pierwszym felietonie z cyklu „Muzyka obala granice” pojawia się ta sama kwestia: „Jeśli jednak my, którzy wprawdzie jesteśmy wolni, ale tą wolnością, którą zatruwa ciągła i nieprzerwana myśl o Waszej niewoli i Waszych cierpieniach, zdecydowaliśmy się mówić do Was o muzyce i sztuce, a zatem o rzeczach, które pozornie bardzo daleko są od tego, co Was boli i co Wam najbardziej leży na sercu, to powodem tego jest oczywiście ta straszliwa zhora i ten ponury cień śmiertelnego komunistycznego niebezpieczeństwa, które prężnym ciężarem kładzie się dziś nad ogromną częścią muzycznego świata”<sup>17</sup>. Silnie jest podkreślana, mimo granicy, wspólnotowa łączność ponad komunizmem i reżimem. Oczywiście ton wypowiedzi Palestra z lat 50. jest dość koturnowy, podniosły, ale z zachowaniem właściwych proporcji. „Polityczni »kierownicy sumień« – mówi Palester w kolejnej zapowiedzi do prezentacji muzyki poważnej – których WAM narzucono, zabronili wykonywania w Polsce naszych utworów, nakazali skreślenie ich z katalogów wydawniczych... [...] Wszystko to oczywiście nic nie pomoże, bo jesteśmy krwią z tej samej krwi i kością z tej samej kości. [...] Sam fakt, że nie szczędzi się żadnych wysiłków, aby zapuścić nad naszą działalnością kurtynę zapomnienia, aby odciać nas – jeśli to możliwe – od WAS, aby wywołać u WAS niechęć do nas – dowodzi, że nasza praca nie jest

<sup>16</sup> Skrypt audycji powstałej dla BBC z 1 grudnia 1951. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW). Więcej – rozdział: *Do publiczności w Polsce: Miłosz, Palester, Panufnik*.

<sup>17</sup> Audycja nr 1, tamże.

pozbawiona pewnego znaczenia i niejakiej wartości. [...] A zatem ci budowniczy kultury tworzonej pod batem mniej lub więcej zrusyfikowanych politruków – boją się nas. Boją się – ponieważ wiedzą, że mamy pełne prawo mówić w WASZYM imieniu, boją się, ponieważ wiedzą, że WY, nasi koledzy i przyjaciele, myślicie tak samo jak my, ale nie możecie tego powiedzieć”<sup>18</sup>.

O ile początek lat 50., czas ostrego forsowania stalinizmu zdawał się usprawiedliwiać tę – prezentowaną przez Palestra – pewność co do istniejących, nieprzerwanych więzi duchowych z Polakami w kraju, potwierdzać to miała także odwilż, o tyle rozprawienie się władz komunistycznych z poznańskim Czerwem, z powstaniem węgierskim, wraz z upływem czasu odbiera ją nie tylko autorowi *Wisty*, ale i innym publicystom. Dramatyczne przesilenia każą sądzić, że za owym wspólnotowym „My” kryć się mogą inne wyobrażenia. Propaganda krajowa nie próżnowała zresztą, czego dowody znajdujemy choćby w jednej z bardziej dramatycznych wypowiedzi Tadeusza Nowakowskiego z 1955 roku, gdzie polemizuje on ze strategią ostrej polaryzacji między „My” – „wy” („oni”), traktowania emigracji jako ciała obcego i wrogiego Polakom z kraju. Ośmieszanie, postępowanie wychodźstwa miało oczywiście za cel umniejszenie jego wpływu, odebranie legitymizacji do zabierania głosu w sprawach polityki wewnątrz krajowej. Oczywiście ta presja na polaryzowanie i konfliktowanie była w PRL-owskiej propagandzie stale obecna (aż do 1989 roku), różne było jednak jej natężenie; pewnej modyfikacji podlegał także język i tonacja. Na przykład okres tzw. odprężenia z lat 70. wiązany czy raczej kojarzony z Edwardem Gierkiem, paradoksalnie utrudniać będzie emigracji jej „misję”<sup>19</sup>.

W felietonie z 1955 roku (bardzo ważnego – wydawało się, że nadchodzi czas porozumienia w duchu odwilży) „Czy emigracja jest

---

<sup>18</sup> Cykl: „Muzyka obala granice”, nr 4 z 30 maja 1952. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>19</sup> Wracam do tej sprawy w dalszej części wywodu (zwłaszcza na s. 268-270).

Polsce potrzebna?” Nowakowski, podobnie jak Palester, wdaje się w bezpośrednią polemikę z krajowymi propagandzistami systemu, podejmując próbę (moim zdaniem udaną) obnażania propagandowych klisz, dyskredytujących wychodźstwo. Na podobne wypowiedzi natrafiamy w publicystyce Straszewicza, Herlinga-Grudzińskiego, Trościanki. Nowakowski polemizuje z czarnym obrazem emigracji politycznej, przywołując stanowisko Władysława Konopczyńskiego (wyłożone w artykule *Siedem emigracji*, „Tygodnik Warszawski” 1946), za którym publicysta powtarza: „Pielgrzymstwo bowiem dziś, jak i za dni Mickiewicza nie powinno być ani pokutą, ani ekspatriacją, ani wegetacją, ani karierą – tylko dalszym ciągiem misji narodowej”. Mówi dalej, opierając się na romantycznym paradygmacie Wielkiej Emigracji, że: „Taka jest opinia o emigracji ludzi szlachetnych i znających dzieje naszego narodu. Natomiast najmici pióra, urzędnicy okupacji w swoich apelach i zakłamanych »listach otwartych« pragną unicestwienia wychodźstwa politycznego na Zachodzie. Musi to wychodźstwo być czynnikiem doniosłej wagi i stanowić poważne niebezpieczeństwo dla sowieckiego okupanta, skoro z taką zajadłością dopuszczają dzisiaj atak na emigrację. Przy czym – jak to w propagandzie komunistycznej – wszystkie chwytły są dozwolone. Poeta, który niegdyś buntował się przeciwko przemocy, a obecnie posłusznie wykonuje polecenie chlebobawców, pisze: »Konta czekowe rosna, aż serce rośnie w pierśiach / zalatuje wojenką wiosna, rzy biały koń Andersa«...

Niemądry krótkowidzu, który wołasz »nie wróć na białym koniu«. Z czego się naigrywasz, wajdeloto niewoli, który nie znasz naszej historii i nie przeczuwasz dynamitu drzemiącego w legendzie. Polska dla ciebie to tylko garść województw na mapie i kilkaset kroci wykonujących plan PGR-ów. To ptak niemy i oskubany ze srebrnego pierza. Żałosny ignorancie, żałosny pyszałku, który sądzisz, że uda ci się wydrzeć choć jedną kartkę z tysiącletniej przeszłości naszego wspaniałego narodu. Po co ci wawrzyny na Wawelu i ta skoczna piosenka, przyniesiona przez obdartusów napoleońskich z ziemi wło-

skiej do polskiej, po co ci harfa anielska *Króla-Ducha* Słowackiego i patetyczny gest Mickiewicza, kiedyś ty głuchy i ślepy, a nie znający własnej ojczyzny. Ale ty dobrze wiesz, chwalco niewoli, dlaczego się tak boisz własnej historii. [...]

Naturalnie, można się naśmiewać z emigracji, można jej stawiać »zarzut« nieustępliwości i nieprzejednania, można o niej mówić, że »nie patrzy na rzeczywistość realistycznie«, że wyrusza na samotną, beznadziejną walkę, że jest romantyczna, bo wierzy w istnienie idealnej wolności. Można także twierdzić, że miejsce wszystkich emigrantów jest dzisiaj w kraju, że powinni oni dzielić ciężar życia pod obcą okupacją. Powstaje jednak pytanie: czy taka jest rzeczywistość wola narodu, nie mogącego wypowiedzieć swoich uczuć i myśli? Czy rzeczywistość ludzie ujarzmi chęć, aby dzielić razem z nimi ciężar niewoli? Nie twierdzimy bynajmniej, że nie można pracować dla Polski na obszarze zniewolonej Ojczyzny. Twierdzimy jednak, że ósma w naszej historii emigracja jest Polsce potrzebna dla wypełnienia tych zadań, których Polacy w kraju wypełnić dzisiaj nie mogą. I dlatego bardziej wierzymy słowom historyka, profesora Władysława Konopczyńskiego o »narodowej misji emigracji«, niż zakłamanym strofom poetów, wielbiących życie w sowieckiej niewoli”<sup>20</sup>.

Widać tu wyraźnie przebiegającą linię podziału między „My” (Polakami z wychodźstwa), a „wy” – nomenklaturą krajową, intelektualistami prezentującymi serwilistyczną postawę wobec komunistycznych władz. To także przykład dyskursu prowadzonego ponad głowami obywateli, wymuszonego przez PRL-owską propagandę. Ta sama propaganda zarzucała bowiem emigracji sceptycyzm, niewiarę w efekty odwilży, nim jeszcze na dobre nastał Październik. Zdarzało się, że głos rządowych mediów współgrał w tej sprawie z opiniami krajowych intelektualistów. Odnotować należy w tym kontekście wypowiedzi Stefana Kisielewskiego, o którego stosunku do emigracji i RWE będzie jeszcze mowa.

<sup>20</sup> Cykl: „Tu mówią Orleńca!”, nr 319 z 14 października 1955.

Ale Czesław Straszewicz, zwykle w takich przypadkach, daje odpór bezpardonowym próbom dyskredytowania realnego i praktykowanego przez emigrację pluralizmu. Nie jest jednak ortodoksyjny, jego wiarygodność jako komentatora sprawdzała się w dramatycznych okolicznościach, kiedy służąc prawdzie, nie czuł oporów przed mówieniem rzeczy nieprzychylnych własnemu środowisku. Stawiał się w roli moderatora, tłumacza, kogoś, kto chce być reprezentantem i zarazem rezonerem spraw polskich, nie PRL-owskich. Jak mówił: „Złych, durnych i tępych nie brak, nie trzeba też świeczki, żeby ich znaleźć na emigracji. Ci, ma się rozumieć, robią czasami takie miny, jakby mieli pretensje, że się ich czarne proroctwa nie spełniły. Wiesz [zwrot do osoby radiowego dialogu – V.W.M.] jednak tak dobrze jak ja, że każde »lepiej« w Polsce, każde »łżej« w Polsce przyjmujemy więcej niż z radością. Mamy swoich bliskich w kraju. Jak możemy pragnąć, żeby im było gorzej?”<sup>21</sup>.

To „My” i „wy” pojawia się i w bezpośredniej polemice *ad personam* z Kisielewskim<sup>22</sup>, który – zdaniem Straszewicza – bez pardonu i mało zręcznie analizuje przyczyny napięć, do jakich dochodzi na styku wychodźstwo – kraj. Najbardziej irytująca jest dlań Kisielowa propozycja podziału Polaków na „lepszych” i „gorszych”, i to przy kryterium niejasnym i ze wszech miar nie do obronienia przy najlepszych chęciach – jak podkreśla. Komentator posługuje się przy tym rzeczową argumentacją, nie chce uchodzić jako publicysta RWE jedynie za „stronnika” emigracji, czuje się przede wszystkim Polakiem. Przytoczone poniżej argumenty dowodzą, jak trudna to była sprawa, zwłaszcza w pierwszym powojennym 10-leciu (kolejne zresztą obfitowały wcale w nie mniejsze konflikty): „W październiku, w obozie wojska polskiego w Coëtquidan we Francji, ja, spadłszy z innej półkuli, spotkałem się z takim niepojętym dla mnie zjawiskiem: Oto oficerowie i żołnierze po klęsce Polski podzielili się

<sup>21</sup> „Z Kisielem na udry”, cykl: „Odwrotna strona medalu”, nr 1918 z 8 sierpnia 1958.

<sup>22</sup> Stefan Kisielewski, *Polska światowa*, „Tygodnik Powszechny” 1958, nr 29.

na dwie wyraźne grupy: na tych, co przekroczyli granicę rumuńską, i na tych, co przekroczyli granicę węgierską. Z niepojętych dla mnie przyczyn każda z tych grup uważała się za lepszą. Od razu natknąłem się na Polaków lepszych i gorszych. Ten podział miał się utrzymać do czasu, gdy pojawiły się inne grupy, np.: Polacy z Francji, Polacy z Rosji, Polacy z armii niemieckiej, żołnierze AK i Powstańcy Warszawscy – ciągle i stale można było obserwować chętkę do podziału na Polaków lepszych i Polaków gorszych. Nie formalnie, ma się rozumieć, ale tak w duchu.

A przypomniało mi się to wszystko, gdy czytałem artykuły Kisielewskiego o emigracji. [...] Kisielewski jest przedstawicielem lechickiego plemienia, który z głębi swojej natury musi klasyfikować rodaków na lepszych i gorszych. Ton wyższości, ton, powiedziałbym, protekcyjny, jakiego używa w stosunku do emigracji, nie pozostawia wątpliwości, że Kisielewski Polaków z zagranicy uważa za gorszych. Nie będę się z nim w tej materii spierał, jak nie spierałem się z tymi, którzy byli pod Monte Cassino albo w Powstaniu Warszawskim, a ja nie byłem. Natomiast chcę z nim merytorycznie pogadać”<sup>23</sup>.

W *Polsce światowej* („Tygodnik Powszechny” 1958, nr 29)<sup>24</sup> – Kisielewski nazywa emigrację „pozycją martwą”. Za przykład służy mu postawa Karola Małcużyńskiego, wrażliwego Polaka wprawdzie, zainteresowanego krajem, ale żyjącego w odmiennym rytmie i zajętego własnymi sprawami, patrzącego na Polskę z oddalenia. Publicyście chodzi przede wszystkim o atmosferę codziennej mitręgi człowieka uwięzionego w skostnieniach doktrynalnej praktyki i o inżynierię dusz, która zmienia mentalnie Polaka, czyniąc zeń obywatela PRL-u, dla którego romantyczny paradygmat, etos rycerski i mieszczański oraz system tradycyjnych wartości – to tylko rekwiizyty przeszłości. Kisielewski w istocie więc odwołuje się

---

<sup>23</sup> „Z Kisielem na udry”, dz. cyt.

<sup>24</sup> Tamże.





*Dyskusja „okrągłego stołu”. Przed mikrofonem od lewej:  
Juliusz Sakowski, Leopold Kielanowski, Tymon Terlecki,  
Włada Majewska, Michał Chmielowiec, Bronisław Hetczyński,  
londyńskie studio RWE, 1964*

Zdigitalizowano i udostępniono w ramach projektu pn.

Rozbudowa otwartych zasobów naukowych Repozytorium Uniwersytetu w Białymstoku,  
dofinansowanego z programu „Społeczna odpowiedzialność nauki” Ministra Edukacji i Nauki na podstawie umowy SONB/SP/512497/2021

do różnego powojennego doświadczenia, akcentując – rzecz jasna – to krajowe.

Przyznanie racji publiczście „Tygodnika Powszechnego” odbierałoby jednak legitymizację Straszewiczowi. A przecież nie o co innego, jak o zachowanie pewnej ciągłości wspólnoty idzie publiczście emigracyjnemu. Owa podtrzymywana dzięki słowu wspólnotowa „baza” miała być gwarantem potencjalnej zmiany, możliwej przy sprzyjających warunkach geopolitycznych. Patrząc z dzisiejszej perspektywy można zaryzykować twierdzenie, że czekano na to jak na cud po obu stronach żelaznej kurtyny. Argumenty Straszewicza są też rzeczowe i nie do zlekceważenia. „Daruje Kisiel – ripostuje komentator – ale te smakiem goryczki zaprawione uwagi zalatują jakąś głęboką, anachroniczną prowincją. [...] Nie ma ludzkiej siły, która zmusiłaby na przykład warszawiaków odczuwać brak mięsa czy mleka w Kielcach równie intensywnie, jak odczuwają to mieszkańcy Kielc. [...] Ubolewać nad podobnymi faktami można tylko z jakiejś mistycznej platformy, wbrew normalnym życiowym prawom. »Wyjechać, to trochę umrzeć« – mówią Francuzi. Zapewne. Ale nie dotyczy to polskiej emigracji, jak sugeruje Kisiel. [...]

Stawiam wręcz odwrotną tezę niż Kisiel: właśnie emigracja polska ze wszystkich innych emigracji jest najbardziej związana z matczyzną, mimo politycznych kołowrotek jest najbardziej czuła na sprawy kraju, do ofiar skłonna. Natomiast jeśli Kisiel żąda, aby na każdą nową ustawę czy na każdą zmianę temperatury w kraju reagowała tak samo jak mieszkańcy Polski – to żąda bzdury. Trzeba żyć w świecie utopii, by taki postulat stawiać<sup>25</sup>.

O zarzutach wobec emigracji Straszewicz mówi z pewnym zniecierpliwieniem: „Tej [emigracji – V.W.M.] Stefan Kisielewski przygadał najszpetniej. Ona to rzekomo głosi hasło bojkotu kraju, dla niej wszystko, co się w kraju dzieje, jest »po prostu trefne«. Nie wiem, o co w tej chwili pośadzić Kisiele: o złą wolę czy o obskuran-

---

<sup>25</sup> Tamże.

tyzm? Co Kisiel woli? Czy zgodna akcja Polonii na rzecz pomocy Polsce, zbiórki na repatriantów, a może demaskowanie sowieckich świństewek i świństw jest wyrazem bojkotu kraju? Et, szkoda każdego słowa!

Trzeba kończyć. Są Polacy lepsi i gorsi. Muszą być. Ale ja bym ich nie klasyfikował geograficznie, nie klasyfikowałbym ich na podstawie przydziału, formacji, klasy, pochodzenia, dzielnicy, płci, wieku ani na podstawie koloru włosów. I nie klasyfikowałbym ich na podstawie bitew, w których brali udział, i nie na podstawie miejsca, gdzie przeżywają swój polski los. Są inne kryteria. Kisiel wie o nich równie dobrze, jak i ja. Na pewno<sup>26</sup>.

Dla podkreślenia zainteresowania środowiska wychodźczego, choćby monachiskiego, polskimi (krajowymi) sukcesami w sferze kultury, przywołuje Straszewicz różne przykłady i to w wielu programach. Przekonuje: „Jesteśmy zdenerwowani i jesteśmy pełni emocji, kiedy »Mazowsze« lub »Śląsk« występują w Paryżu czy w Londynie; kiedy na Festiwal Hallu gra po raz pierwszy Czerny-Stefańska; kiedy występuje za granicą teatr polski z Warszawy; kiedy odbywa się premiera polskiego filmu...<sup>27</sup>

W tych wszystkich dniach czatujemy na wiadomości. Redaktorki i maszynistki, aktorzy i speakerzy, jeden przez drugiego pytają: jakie nowiny? Wygrali? Podobali się? Jak reagowała zagraniczna publiczność? Jakie recenzje, jakie wrażenie, czy duży sukces? Pamiętam, ukazał się numer londyńskiego tygodnika »New Statesman and Nation« z długim artykułem o polskiej kinematografii, w którym stwierdzano, że Polska znajduje dzisiaj miejsce, jakie ongiś zajmowała Rosja, a potem Włochy – pamiętam, jak ten numer wędrował z rąk do rąk. Wyrywano go sobie<sup>28</sup>.

---

<sup>26</sup> Tamże.

<sup>27</sup> Sprawy kultury z perspektywy krajowej omawia Magdalena Sirecka-Wołodko w pracy *Zagraniczna polityka kulturalna Polski w latach 1956–1970*, Toruń 2011.

<sup>28</sup> „Z Kisielom na udry”, dz. cyt.

Jak jednak skomplikowana była sytuacja komentatora politycznego i zarazem emigranta niepodległościowego, jakiej ekwilibrystyki słownej wymagała, dowodzą audycje nadawane w momentach przesileń i kryzysów. „My” staje się wysoce problematyczne w czasie Października 1956, choć jeszcze poznański Czerwiec nie burzył obrazu narodu, który solidarnie miał nie akceptować komunistycznej władzy. „My” dla emigracji z RWE to wówczas wspólnota, na którą składać się miało społeczeństwo poddane w kraju represywnemu systemowi, opierające się czynnie i biernie jego dyrektywom oraz wychodźcy. Za przykład mogą posłużyć audycje nadane w ramach cyklu „Odrotna strona medalu” z lat 1956–1957.

Październik jednak zmienia wiele. Przyjęta wówczas taktyka zalecająca wstrzeźliwość i ostrożność oraz działanie na rzecz schładzania nastrojów – przestrzegane bezwzględnie po krwawym stłumieniu węgierskiej rewolty – dowodzi, w jakim dyskomforcie wobec tego co nieprzewidywalne, znajdowali się Polacy w Monachium<sup>29</sup>.

---

<sup>29</sup> Por.: Paweł Machcewicz, *Radio Wolna Europa wobec wydarzeń w Polsce i na Węgrzech jesienią 1956 r.*, w: *Październik 1956 roku. Początek erozji systemu*, pod red. Marka Jabłonowskiego, Stanisława Stępki, Słupsk 2007.

Na wypowiedzi pozaantenowe pracowników radia z okresu popaździernikowego („Sytuacja w Polsce” – konferencja redakcyjna) natrafił Konrad W. Tatarowski, za którym cytuję. Krystyna Marek mówi: „My się nie czujemy tymi intelektualistami pewnego specjalnego typu, albowiem do Ważyka, Woroszyłskiego, *et tutti quanta*, nie sprowadza się myśląca część społeczeństwa polskiego. [...] Jeżeli zatem mówimy o ludziach słowa, o ludziach piszących, to nie zapominajmy, że tam jest też kilka grup i odchyleń, i nie widzę powodu, żeby jedynym naszym wskaźnikiem i źródłem inspiracji była ta grupa, którą pozwoliłem sobie, oczywiście w skrócie myślowym bardzo niedokładnym, nazwać Ważyk *et consortes*”.

Aleksandra Stypułkowska (Jadwiga Mieczkowska): „Jak to się wszystko ma do naszego warsztatu? To jest sprawa, z którą się spotykamy co dnia. Co godzina niemal. I która nas dużo, przynajmniej mnie osobiście, kosztuje bezsennych nocy. [...] Co jest największą bolączką? Wycenienie, określanie, które z naszych powiedzeń, którego używamy w naszych skryptach, jest niebezpieczne, a które nie jest niebezpieczne. To jest aptekarska waga. [...] Druga rzecz, że właściwie my ciągle mówimy »komentarz«. To, co my robimy, to nie są komentarze. To są – właściwie nie ma na to określenia – to są rodzaje raportów [...], to jest w każdym razie praca odwórcza, przetwórcza. Pracy twórczej właściwie w naszym warsztacie w tej chwili nie ma. [...] Ja tutaj w pewnym sensie bronię interesów nas jako felietonistów, że

Wystąpienia Straszewicza z tego czasu przed mikrofonem zdradzają niewygodę sytuacyjną felietonisty. W istocie świadczą o skonfliktowanych porządkach myślenia i działania, rozumu i serca Polaka–emigranta, niepokodzonego z pojałtańskim podziałem świata, dla którego „polrealizm”, tj. uznanie *status quo* powojennych granic Polski, gwarantowanych przecież przez stalinowską i poststalinowską Rosję (co z całą mocą podkreślała propaganda PRL-u), było coraz trudniejsze do przyjęcia. Ucieczka zatem w dwugłosowość, posługiwanie się strategią zderzania sądów o stopniowalnym natężeniu sceptycyzmu, zestawianie opinii w istocie wykluczających się – to konieczne zabiegi prowadzące do tego, by uchwycić złożoność politycznego konstruktu i jednocześnie – w stopniu możliwym do przyjęcia dla całego zespołu radia i Amerykanów – nie zrezygnować z własnych poglądów oraz emocji. Tę ostatnią kwestię ilustruje autorskie „My”, tłumaczące się silną potrzebą więzi i solidarności z Polakami w kraju. Towarzyszy temu przeświadczenie o istnieniu wspólnoty reagującej na gesty narodowej identyfikacji.

Kluczowa staje się w tym kontekście audycja Straszewicza pt. „Rozmowa o dwu stronach medalu”<sup>30</sup>, gdzie krzyżują się dwa porządki: ideowy i pragmatyczny. Z jednej strony jej treść stanowi oficjalna linia reakcji na Październik i dojście Gomułki do władzy, a z drugiej – osobiste odczucia autora, przepełnione moralnymi dylematami. Porządki uwypuklone poprzez radiowy dialog, w którym jest wszystko: radość z każdego zwycięstwa idei demokratycznej

---

my dajemy swoje nazwisko pod coś, co nie jest komentarzem, nie jest naszą pracą twórczą. [...] Jest szalenie trudno napisać komentarz, w którym nie się nie powie. [...] Ja nie mówię, broń Boże, żeby stanąć po stronie grupy liberalizującej czy po stronie Gomułki, ale jakieś stanowisko musimy zająć”. Podaję za: K. W. Tatarowski, *Aksjologia i polityka w pisarstwie i działalności Jana Nowaka-Jeziorańskiego*, dz. cyt., s. 90.

<sup>30</sup> Zob.: Violetta Wejs-Milewska, *Radio Wolna Europa na emigracyjnych szlakach pisarzy. Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski, Roman Palester, Czesław Straszewicz, Tymon Terlecki*, Kraków 2007, tu: s. 296-299 oraz *Komentarze, recenzje, felietony (wybór)*, s. 541-727.



*Dyskusja „okrągłego stołu”. Przed mikrofonem od lewej:  
Michał Chmielowiec, Bronisław Hetczyński,  
Tymon Terlecki (prowadzący dyskusję), Juliusz Sakowski,  
londyńskie studio RWE, 1964*



*Dyskusja „okrągłego stołu”. Przed mikrofonem od lewej: Tymon Terlecki,  
Leopold Kielanowski, Michał Chmielowiec, Bronisław Hetczyński,  
Włada Majewska, Juliusz Sakowski,  
londyńskie studio RWE, 1964*

żenia między Ameryką i Związkiem Radzieckim, także po zawarciu porozumienia w sprawie zachodniej granicy między PRL a Niemiecką Republiką Federalną. Rok 1968 można uznać więc za przełomowy – komentatorzy RWE uświadamiają sobie z czasem niewymierność własnej pracy, nawet dopuszczają myśl o jej bezcelowości, zwłaszcza w kontekście pogłosek o zakończeniu misji. Pojawiły się wątpliwości co do rzeczywistego efektu wpływania na świadomość odbiorcy krajowego. Problem wiarygodności przekazu radiowego, jego zgodności z intencją emigracji i zarazem dobrem kraju, w chwilach przesileń politycznych wywoływał też efekt pewnej dwutorowości. Oficjalnie z nieodległego Monachium komentatorzy zalecali jedynie spokój, zachęcali do uznania *status quo*, bo w istocie nie mogli mieć żadnych zobowiązujących propozycji politycznych. Bez zgody Amerykanów – niemożliwych przecież.

Korespondencja Tadeusza Nowakowskiego z Juliuszem Sakowskim ujawnia kulisy gorączki roku 1968 i zarazem zdradza zarówno wewnętrzną słabość stacji, jak i jej „akcyjne” zaangażowanie: „[...] ale Nowak mi świadkiem, jak trudno jest w kilka osób prowadzić walkę z milionową armią PZPR-u w PRL, śpimy w ubraniach jak w remizie strażackiej; miałem tu ostatnio cykl w telewizji pod frymuśnym tytułem: »Nowakowski antwortet Gomulka«, kilka wieców w sprawie Odry i Nysy [...] słowem: męczem się i dręczeniem od świtu do nocy, patrząc jak połowa rodaków umiera z nudów”<sup>31</sup>.

Pojawia się też rysa na wyobrażeniu wspólnoty narodowej, kiedy okazuje się, że zmiany, jakie dokonały się w kraju – być może także za sprawą działań informacyjnych RWE – są niewystarczające i niesatysfakcjonują również publicystów politycznych radia. Społeczeństwo, a więc owo „My”, zdaje się być głęboko zsowietyzowane, pozbawione wrażliwości, ksenofobiczne i przywykłe do małej stabilizacji. „My” z okresu pionierskiego i heroicznego coraz mniej zna-

---

<sup>31</sup> List z 26 marca 1968 (Kolekcja Juliusza Sakowskiego, w: Archiwum Emigracji w Toruniu).

czy, a kompromitujący brak reakcji krajowych elit, poza nielicznymi wyjątkami, na pacyfikację Czechosłowacji i falę wulgarного antysemityzmu<sup>32</sup>, ogólna niemoc i społeczne rozproszenie – to z perspektywy Monachium smutny obraz Polski lat 70.

W innym liście do Sakowskiego Nowakowski wskazuje na jeszcze inną linię podziału między „My” a „wy” (Polakami w kraju); oczywiście publicysta nie mógłby publicznie powiedzieć tego, co napisał przyjacielowi (w liście pojawia się nazwisko Tadeusza Bieleckiego, publicysty emigracyjnej „Myśli Polskiej”): „Co ten ograniczony Agresułka i cwaniak–cynik Cyrankiewicz wygadują po agresji – przechodzi ludzkie pojęcie. Hadko być Polakiem. To jednak malutki narodek, zahukany, ciemny, niemoralny, jest w nim garstka ludzi, którzy od pokoleń symulują »wartości polskie«, a reszta to mierzwa i dziec – zawsze tak było: wiedział o tym Żeromski i Piłsudski; gazowalibyśmy, gdybyśmy mieli niemiecki talent do chemii, zdrowaśka, Gomułka, Bielecki, prymas paplający w dniach gwałtu dokonanego na Czechach, że pigułka antykoncepcyjna jest zmorą ludzkości, wymyśloną przez Niemców, jako ciąg dalszy eksterminacji dziecka polskiego; brr...”<sup>33</sup>.

Najtrudniejszy jednak okres przechodzi wraz z odprężeniem; Amerykanie chcą misję uznać za wypełnioną, a co za tym idzie, zlikwidować radiostację, do tego dochodzą kwestie psujących się stosunków wewnątrz rozgłośni: sprawa inwigilacji (*casus* Czechowicza), słabnącej pozycji Jana Nowaka-Jeziorańskiego na skutek m.in. konfliktu z Józefem Mackiewiczem, „nowej orientacji” w stosunku do krajów bloku wschodniego, do uznania której zobligował dyrektor radia Komitet Wolnej Europy. Wówczas pojawił się kolejny problem nie tyle nowy, ile nabrzmiewający. Chodziło o brak zde-

---

<sup>32</sup> Zob. przypis 18 w rozdziale *Intelektualiści nad Wisłą w komentarzach Radia Wolna Europa*.

<sup>33</sup> List z 1 listopada 1968 (Kolekcja Juliusza Sakowskiego, w: Archiwum Emigracji w Toruniu).



cydowanej postawy Monachium wobec przeciwników komunizmu w samym kraju. Rozgłośnia wspierała rewizjonistów kosztem – jak twierdził m.in. Leopold Tyrmand<sup>34</sup> – należytej ochrony i dbałości o twarde oponentów władzy nad Wisłą marginalizowanych. Zgadzała się na spolegliwą politykę Brandta wobec Związku Radzieckiego kosztem emigracji politycznych krajów bloku wschodniego.

Sprawy te i napięcia im towarzyszące wystawiały na próbę wieloletnie przyjaźnie w samym radiu, frustrowały zespół, chodziło przecież – przypomnijmy – o szczerotę i misję stacji, z jaką rozpoczęła ona swoją pracę 3 maja 1952 roku. Skomplikował się więc nie tylko stosunek do „My” – do wspólnoty, będącej adresatem strategii perswazyjnych, sama wspólnota bowiem przechodziła rozmaite transgresje wykluczenia lub przynależności. Nowakowski w liście do Sakowskiego z emfazą pisał: „Tutaj – wszystko po staremu. Rosnący lęk przeciw »Ostpolitik« Brandta, który doprowadza do finlandyzacji RFN, a w fabryczce naszego herosa – lęk przed akcentami antykomunistycznymi; trzy procesy organizacji podziemnej »Ruch« w Polsce potraktowano półgębkiem, bo ci młodzi mieli program antykomunistyczny, a tego przecież nikt dzisiaj na Zachodzie nie przełknie”<sup>35</sup>.

W innym liście dowiadał: „[...] RWE od dawna już politycznie neutralne, raczej o życiu pściowym pingwinów na Alasce gawędzi niż o braku demokracji i wolności nad Wisłą”<sup>36</sup>. Albo: „Tutaj cenzura, co się zowie. Właśnie mi cenzor Michałowski usunął, błady z przerażenia, słowo »dyktat jałtański«, zastępując je określeniem

---

<sup>34</sup> O krytycznym stanowisku Tyrmanda pisze Konrad W. Tatarowski, *Emigracyjny „spór o prawo do nawrócenia” i jego konsekwencje*, w: *Paryż – Londyn – Monachium – Nowy Jork. Powrześnieowa emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko polskiej*, pod red. Violetty Wejs-Milewskiej, Ewy Rogalewskiej, Białystok 2009, s. 145-156. Zob. także rozdział: *Intelektualiści znad Wisły w komentarzach Radia Wolna Europa*.

<sup>35</sup> List (b.d.) – 1971 (Kolekcja Juliusza Sakowskiego, w: Archiwum Emigracji w Toruniu).

<sup>36</sup> List z 12 sierpnia 1973. Tamże.

»spotkanie na Krymie«. Ciekaw jestem, co puszczą w eter z antyjałtańskiej imprezy publicznej w Londynie?»<sup>37</sup>.

Nie ma wątpliwości, że misyjność Wolnej Europy była ściśle związana z zimnowojenną polaryzacją, która wyraźnie przyczyniała się do identyfikacji owych „onych”. Oczywiście należy przyjąć, że radio, będąc inicjatywą długofalową i nastawioną na zmianę, musiało różnicować swój stosunek do władzy (do „onych”); część z nich przeszła do obozu „wy” – rewizjoniści, a z czasem także rewizjoniści („Wy”) zostali włączeni do wspólnoty „My”. Działanie to miało jednak charakter procesualny, ale i tak niektórzy publicyści RWE nie uznali takiej identyfikacji za słuszną.

Z czasem – w latach 80., po doświadczeniach nagłaśniania procesów poznańskich, brania w obronę rewizjonistów korzystających z prawa do nawrócenia, kontestatorów (autorów listu 34) – rozpoczyna się dla radia nowy okres wraz z wybuchem Solidarności, a w chwilę potem ze stanem wojennym. Misja zostaje niejako dramatycznie zaktualizowana. Zmienia się treść zaimkowej formy „My”. Teraz „My” w RWE to nowe pokolenie radiowców–dysydentów, opozycjonistów PRL-u, którzy na fali emigracyjnego wypchnięcia z kraju zasilili monachijski zespół radia. Nadeszła pokoleniowa zmiana warty<sup>38</sup>. Między krajem a emigracją znowu – jak na początku lat 50. i w okresie odwilży – nie było znaczącego rozdźwięku (a przynajmniej tak wyraźnego jak w latach 70.), spoiwem było bowiem wspólnotowe i pokoleniowe doświadczenie oraz współodczuwanie (solidarność). Radio Wolna Europa stało się więc rezonerem ruchu alternatywnego oraz głosem opozycji i „drugiego obiegu”. A zatem głosem „wolnej Polski” poza cenzurą i instytucją substytucjonalną niemal dosłownie, jak niegdyś wojenny Świt – przy uwzględnieniu

---

<sup>37</sup> List (b.d.) – zapewne z 1974. Tamże.

<sup>38</sup> Por.: Zdzisław Najder, *RWE 1982–1987. Zapiski dyrektora*, „Zeszyty Historyczne” 2005, nr 153. Pisze o tym również kolejny dyrektor – Marek Łatyński.

należytych proporcji i odmiennej sytuacji. Choć przecież w cieniu „dyskretnej” kontroli amerykańskiej.

Radiowcy najstarsi nie przywykli jednak do tej zmiany, głównie do stylu pracy w samej rozgłośni. Z listu z 9 września 1985 roku Danuty i J. (pracowników radia) do Romana Palestra, wówczas będącego już na emeryturze, dowiadujemy się że: „Obecnie i program bardzo podupadł i towarzystwo dużo gorsze i nieprzyjemne stosunki. Ktoś słusznie powiedział, że przez wiele lat uciekaliśmy od Polski Ludowej, ale obecnie ona nas dogoniła. Te stosunki, które u nas teraz zapanowały, to nastawienie do pracy, do prawa, do wszelkich przepisów – wszystko to przypomina PRL. Nas jest coraz mniej i coraz mniej mamy do powiedzenia. Niektórzy zresztą dali się przekupić i przeszli na stronę nowej fali – to bardzo przykre, ale prawdziwe”<sup>39</sup>.

## RWE – w perspektywie odbioru krajowego

W *Marcowym gadaniu* pod datą 17 sierpnia 1967 Michał Głowiński zanotował: „W intencji wyłącznie ironicznej posługuje się tym skrótem [PRL – V.W.M.] Wolna Europa. Konsekwentnie dokonuje ona zróżnicowania: PRL – Polska. O Polsce mówi wtedy, gdy informuje o sprawach narodu, o tym, co wiąże się z jego rzeczywistymi postawami i problemami. O PRL zaś wówczas, gdy rzecz dotyczy władzy, ich polityki, zarządzeń itp.”<sup>40</sup>.

Ten rzeczywiście dość nieskomplikowany zabieg pozwolił publicystom z Monachium konsekwentnie wykluczać ze wspólnoty wyobrażonej partyjny establishment. PRL-owska władza to owi „oni”, którzy nie reprezentują realnych interesów wspólnoty narodowej i państwowej. I na odwrót. W propagandzie krajowej również funk-

<sup>39</sup> Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

<sup>40</sup> M. Głowiński, *Marcowe gadanie...*, dz. cyt., s. 17.

cjonują „oni”, z tą różnicą jednak, że zaimkiem tym próbuje objąć propaganda, w zależności od politycznej koniunktury, określone osoby i środowiska. Czasem więc jest to ktoś konkretny, wywołany z imienia i nazwiska lub sprowadzony do pewnej typowej reprezentacji, wyposażony w zestaw negatywnych supozycji, zatem cech nieakceptowanych przez władzę. „Oni” – to zawsze wrogowie, konkurenci, burzyciele ładu (np. emigracja).

W ten sposób, w opozycji niejako do „onych”, odległych i niebezpiecznych miała się konstytuować intencjonalna społeczność „my”, tj. relacja bliskości między władzą a obywatelami. W okresie stalinowskim zwłaszcza zabieg ten służył wznoszeniu gmachu fałszywej koherentnej wspólnoty „my”; był to także niezbędny składnik drętwiej mowy i towarzyszących jej skostnień.

„Oni” częściej jednak sygnalizują w propagandzie PRL-u beznadzieję i bezgraniczne oddalenie, to też zwykle ktoś bliżej nieokreślony, mgławicowy, peryferyjny i zarazem ktoś, kim się pogardza. „Oni” – to również niepewne, choć spacyfikowane peryferia. Propaganda PRL-u stosowała też wybiegi, skądinąd zmyślne, by kraść słowa, a wyłączwszy je z macierzystego kontekstu dowolnie zestawiać w nowych konfiguracjach sensów.

Odwracając porządek: „oni” – z drugiej strony publiczności RWE, na takie zabiegi odpowiadali ironią, zarówno zjadliwą, jak i dobroduszną. Z pozoru też ich słownik niespecjalnie różnił się od zestawu słów używanych w krajowej propagandzie; rzecz jasna ich użycie miało intencję przeciwstawną i inne było nasycenie pojęciami nowomowy *à rebours*. Słowa takie, jak: reżim, politykierstwo, towarzysz – kolega, na linii – po linii, wichrzyciele, opozycja: prawidłowy – nieprawidłowy, odnowa (i wszystkie terminy z dziedziny meteorologii i klimatu: odwilż, przymrozek, roztopy, mróz), pomoc, jedynie słuszne, dywersja ideologiczna, naukowy – jako zgodny ze stalinowską wersją marksizmu, krytykanctwo, błędy i wypaczenia, nacjonalizm – internacjonalizm, przykręcanie śruby, rzekomo, inspirowany, kurs, nie ma powrotu, etap, przyimek „o” stanowiący znak tego, że

o coś się występuje (ze strony RWE celował w tym Straszewicz konsekwentnie opatrujący tytuły własnych komentarzy słówkiem funkcyjnym „o”<sup>41</sup>), demagogia, nagonka na Polskę, są ludzie..., misja dziejowa itd. – nie wyczerpują słownika, ale są jego bogatą reprezentacją.

Obserwacje Głowińskiego z wnętrza systemu są identyczne. W notatce z 8 października 1968 zapisuje: „Świat propagandy jest światem na opak. Antysemityzm nie jest dla niej antysemityzmem, serwilizm nazywają racją stanu, a okupowanie kraju, który chciał reform – pomocą. Pewnego dnia dowiemy się może, że śmierć jest życiem, a wolność posłuszeństwem wobec dyktatora. Świat na opak ma nie tylko bezpośrednie uzasadnienia w bieżących interesach politycznych, motywuje go także marksistowska dialektyka, a więc metoda, za pomocą której – jeśli się chce – można dowieść wszystkiego. W tym sfalszowanym świecie »pomoc« jest szczególnie irytująca, budzi wyjątkową wprost odrazę. Przed 21 sierpnia [20 sierpnia 1968 – najazd na Czechosłowację – V.W.M.] nawet nie można było przypuszczać, że to piękne słowo stanie się nazwą akcji tak haniebnej”<sup>42</sup>.

Zadaniem radia, w takich momentach było: podważyć argumenty władzy i obnażyć rozdźwięk między słowem, które płynie z propagandowego centrum a rzeczywistością, ujawnić fałsz i na ile to możliwe odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu kłamstwo jest produktem cynizmu i oportunistów władzy<sup>43</sup>.

<sup>41</sup> Oto kilka przykładów oddających klimat walki na słowa w wydaniu RWE: „Rozmowa o bólu głowy”; „Rozmowa o zielonych światłach”; „Rozmowa o pytaniach, na które nie ma odpowiedzi”; „Rozmowa o karuzeli”; „Rozmowa o bezpieczeństwie”; „Rozmowa o rozcinaniu włosów na pół”; „Rozmowa o agresji”; „Rozmowa o reakcji” itp.

<sup>42</sup> M. Głowiński, *Marcowe gadanie...*, dz. cyt., s. 56.

<sup>43</sup> Zob.: Piotr Wierzbicki, *Struktura kłamstwa*, Londyn 1987. W rozdziale *Autoświadomość kłamstwa* pisze: „Otóż w niektórych wypowiedziach rzeczników realnego socjalizmu zgrzyta specyficzny dysonans. Wygląda mianowicie na to, iż zdają oni sobie sprawę, że rzeczywistość kłóci się z pewnymi punktami ich politycznego katechizmu. Chodzi nade wszystko o dogmat powszechnego poparcia udzielanego im przez społeczeństwo. W pewnych mianowicie sytuacjach rzecznicy realnego socjalizmu nie tylko ujawniają, że wiedzą, iż są Nielubiani, lecz wręcz odwołują się do tego

Głowiński zastanawia się nad bezradnością nowomowy w sytuacji ostrego konfliktu i autentycznej społecznej fluktuacji. W *Nowomowie a kryzysie społecznym* notuje: „Nowomowa wystarcza komunistom i dobrze im służy do momentu, gdy rzeczy toczą się spokojnie i mniej więcej normalnie, staje się zaś pancierzem także i dla nich w takim momencie jak obecny, kiedy ta czy inna grupa społeczna porzuca bierność, ogłasza strajk, formułuje żądania. Nowomowa nie tylko utrudnia negocjacje, ale także nie dostarcza argumentów. Nie jest przypadkiem, że jedynym rzeczywistym argumentem, przywoływanym przez rządzących niezmiennie od lat, jest groźba interwencji sowieckiej. O tym można mówić tylko półsłówkami.

Wiążą się z tym stanem rzeczy dwie kwestie, różne zresztą. Sprawa pierwsza: twierdzi się, i twierdzi słusznie, że nowomowa ma charakter bezosobisty, że jest nieprzedmiotowa. [...] Można jednak się zastanawiać, czy za nowomową nie kryje się wyraźny przedmiot zbiorowy. Jest nim elita władzy (na różnych szczeblach hierarchii) czy – ogólniej – ta grupa, która wszystko zawdzięcza komunizmowi i całkowicie się z nim identyfikuje, aż do zatraty wszelkich moralnych zasad i do granic zdrady narodowej. W kontaktach międzyludzkich, tak prywatnych, jak publicznych, istnieje zjawisko, które można określić jako zgranie podmiotu. Cokolwiek taki zgrany podmiot powie, jest z góry podawane w wątpliwość, traktowane jako niewiarygodne, jako czeze gadanie. [...]

I tu ujawnia się sprawa druga: jak w takiej sytuacji pertraktować mają ci, którzy świetnie wiedzą, że podmiot oficjalny jest zgrany i że za jego mową nie kryją się żadne wartości? Tu właśnie zbiega się kryzys języka z kryzysem społecznym (kryzys języka jest zresztą jednym z jego przejawów)<sup>44</sup>.

---

faktu. Dzieje się tak wtedy, gdy bardziej niż na lojalności wobec doktryny zależy im na skompromitowaniu przeciwnika” (s. 150-151).

<sup>44</sup> Michał Głowiński, *Peereliada. Komentarze do słów 1976–1981*, Warszawa 1993, s. 149-150.

Głowiński jest uważnym słuchaczem radia monachijskiego, co nie znaczy, że nie jest wobec programu rozgłośni krytyczny. Potwierdzają ten fakt zapisy poświęcone konkretnym audycjom (wnioskujemy z tego pośrednio, że radio było słuchane przez inteligencję<sup>45</sup>). Dla przykładu: okazuje się, że słowo „rzekomo” używane dla osłabienia wywodu argumentacyjnego ideowego oponenta, przydatne było obu stronom „zimnej wojny w eterze”: „Cytatami można kierować przez samo osadzenie w dziennikarskim dyskursie. To jednak propagandyście nie wystarcza, obawiają się oni, że słowa, które uważają za niesłuszne, ktoś weźmie za dobrą monetę. Wprowadzają więc interpretację bezpośrednio do przytoczeń; celowi temu służy właśnie piękne słówko »rzekomo«. W konsekwencji własne intencje przypisuje się zwalczanemu mówcy, powstają więc cuda i dziwy: »Eban mówił o rzekomo pokojowych zamiarach Tel-Awivu«. [...] Zdania takie są wyrazem ideologicznej łopatologii, skrajnego dogmatyzmu, który stawia tzw. jedynie słuszną interpretację nad faktami. To objaw upadku kultury dziennikarskiej. Niestety, także i Wolna Europa lubi się posługiwać tym przysłówkiem (bądź przymiotnikiem). Słyszy się więc nierzadko zdanie w rodzaju: »Prokurator oskarżał Kuronia i Modzelewskiego o organizowanie rzekomego spisku przeciwko Polsce Ludowej«. Wbrew pozorom, język krajowej propagandy i język Wolnej Europy oddziałują na siebie wzajemnie, choć trzeba podkreślić, że ta druga używa polszczyzny bez porównania lepszej, nie stosuje tego żargonu (choćby na zasadzie odwrócenia), z którym nieustannie spotyka się czytelnik prasy partyjnej” (zapis z 21 stycznia 1969)<sup>46</sup>.

Inny przykład odnosi się do funkcji użycia słowa „bezprzykładny” (dodajmy na marginesie, używanego, może i nadużywanego przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego): „Przymiotnik ten zrobił w tym roku błyskotliwą karierę. Nieustannie można czytać o »bezprzykładnej

---

<sup>45</sup> Zob. przypis 67.

<sup>46</sup> Tamże, s. 104.

arogancji ministra Ebona«. Ma on – jak się zdaje – wyrażać oburzenie, podnosić je do maksymalnie wysokiego stopnia. Mimo że znany klasycznej polszczyźnie (występuje w *Panu Tadeuszu*), dzisiaj wiedzie żywot tylko w tego rodzaju wypowiedziach. Interesujące, lubi go także używać Wolna Europa, gdy mówi o różnych kwiatkach z ojczystej niwy. W ogóle byłoby ciekawe porównanie języka propagandy PRL z językiem audycji Wolnej Europy” (zapis z 4 października 1968)<sup>47</sup>.

Propaganda krajowa przemilczając pewne pojęcia, ujawniała tym samym własne lęki przed wywołaniem niepożądanych problemów, bo w takim świecie – jak dziś wiemy – nie słowa wyrastają z faktów, lecz rzeczywistość ma być utkana ze słów. Szczególnie nieobecny w słowniku nowomowy był „intelektualista” (klerk). Tę nieobecność wypełnia jednak słownik publicystów Wolnej Europy, w którym konsekwentnie pojawia się szerokie rozumienie tego słowa w związku z etosem, etyką i w kontekście odpowiedzialności jednostek wybitnych za kształt życia wspólnoty.

„Charakterystyczne: w oficjalnej mowie PRL-u słowo to pojawia się rzadko – zauważa Głowiński. Mówi się o pracownikach naukowych, literatach, profesorach itp., unika się ogólnej nazwy »intelektualiści« (dawniej mówiło się o inteligencji twórczej, ale i to raczej wyszło z użycia). Owo unikanie wydaje mi się znaczące: społeczeństwem przez reżim projektowanym jest – w najlepszym razie – społeczeństwo specjalistów, w którym geolog zna się na geologii, weterynarz tylko na krowach, a literata interesują jedynie wewnętrzne sprawy jego zawodu. Intelektualista może być geologiem, weterynarzem, literatem itp., nie może być jednak tylko nim, jego sfera zainteresowań nie ogranicza się do problemów profesjonalnych, interesuje się wieloma innymi sprawami, jest więc niebezpieczny. Nie używając słowa – nie wywołuje się wilka z lasu – a nie używa się go także wówczas, gdy mowa o imprezach międzynarodowych:

<sup>47</sup> Tamże, s. 51.



nazwa Kongres Intelktualistów (odbył się we Wrocławiu w r. 1948) w języku komunizmu jest już dzisiaj archaizmem. Słowo to pojawia się zaś często w audycjach Wolnej Europy. Intelktualistami nazywa się tam zwykle tych, którzy w Polsce podpisują protesty. Słowo w tym sensie jest nadużywane, obawiam się więc, że nabierze zabarwienia groteskowego” (25 listopada 1976)<sup>48</sup>.

Kwestia ostatnia: kim są owi „mgławicowi oni”, jeśli z peryferii, z niebytu propagandowej retoryki skierują się ku centrum? O odpowiedź nietrudno – staną się wskutek słownej manipulacji stygmatyzowanymi „onymi”, wprawdzie istniejącymi poza sugerowaną przez władzę wspólnotą „my” PRL-u, ale w nowych okolicznościach (np. w sytuacji kryzysu) identyfikowanymi z nazwiska w kontekście społecznej reprezentacji i orientacji ideologicznej. „Oni” to emigracja, zwłaszcza ulokowana w Londynie i Monachium.

Piotr Wierzbicki w *Strukturze kłamstwa* przeprowadził rzetelną kwerendę prasy pod kątem mechanizmu stygmatyzacyjnego propagandy krajowej. Z jego rozpoznań wynika również, że wychodźstwo polityczne jako wróg podlegało trwałej stereotypizacji; najwcześniejszy zapis cytowany przez Wierzbickiego pochodzi z czerwca 1945, kolejny z marca 1946, późniejszy – z lutego 1953<sup>49</sup>. Wierzbicki, tak jak Głowiński zauważył, że RWE – jako bez-

---

<sup>48</sup> Tamże, s. 15.

<sup>49</sup> Dla przykładu: „W Inverrasing [...] znajduje się skrawek starej faszystowskiej Polski. Tutaj Polacy, którzy uważają się za synów wolnej Polski i nie chcą służyć reakcyjnej klice Arciszewskiego i Andersa, są brutalnie maltretowani, członkowie Polskiej Partii Robotniczej są tutaj mordowani w trakcie »usiłowania ucieczki«. *Bereza Kartuska w Szkocji*, na podst. Doniesienia agencji TASS, „Głos Ludu” 15 VI 1945; „Wojsko Andersa składa się w znacznej części z żołnierzy b. armii niemieckiej. – Nie popełnię przesady – mówi płk Sidor – określając ilość żołnierzy Wehrmachtu na 60-70 proc. stanu II-go korpusu [...]. Stwierdziliśmy, że między żołnierzami i oficerami znajduje się znaczna ilość byłych SS-owców”. *Hitlerowscy żołnierze trzonem armii generała Andersa*, „Żołnierz Polski” 29 III 1946, w: P. Wierzbicki, *Struktura kłamstwa*, dz. cyt., s. 101. „Są oni [przywódcy emigracji – P.W.] wykładnikami drobnej garstki reakcji polskiej, części obszarników i burzua-

sprzecznie ośrodek opiniotwórczy – budził najżywsze zainteresowanie. Emigracja to bowiem owi „oni”, których obcość należało konsekwentnie podkreślać. Podkreślać zwłaszcza nie tylko geograficzne, ale przede wszystkim jej mentalne oddalenie. „Reakcyjna emigracja rozsiewa kłamliwe wiadomości o kraju socjalizmu. Za pieniądze amerykańskie szerzy oszczerstwa pod adresem Związku Radzieckiego”<sup>50</sup>. A jeśli amerykańskie pieniądze nie zniechęcają słuchacza krajowego, należy odwołać się do pobudek patriotycznych: „[...] nie powinniśmy [pisze dziennikarz „Trybuna Mazowieckiej” 7 września 1968 – V.W.M.] tolerować upowszechniania i przekazywania wiadomości podawanych przez zachodnie ośrodki propagandowe. Mamy bowiem prawo żądać od obywatela lojalności. Jeśli słuchałeś tych szczekaczek, to zachowaj je dla siebie, nie wolno ci ich upowszechniać. To jest nasze prawo. To jest obowiązek każdego Polaka-patrioty”<sup>51</sup>.

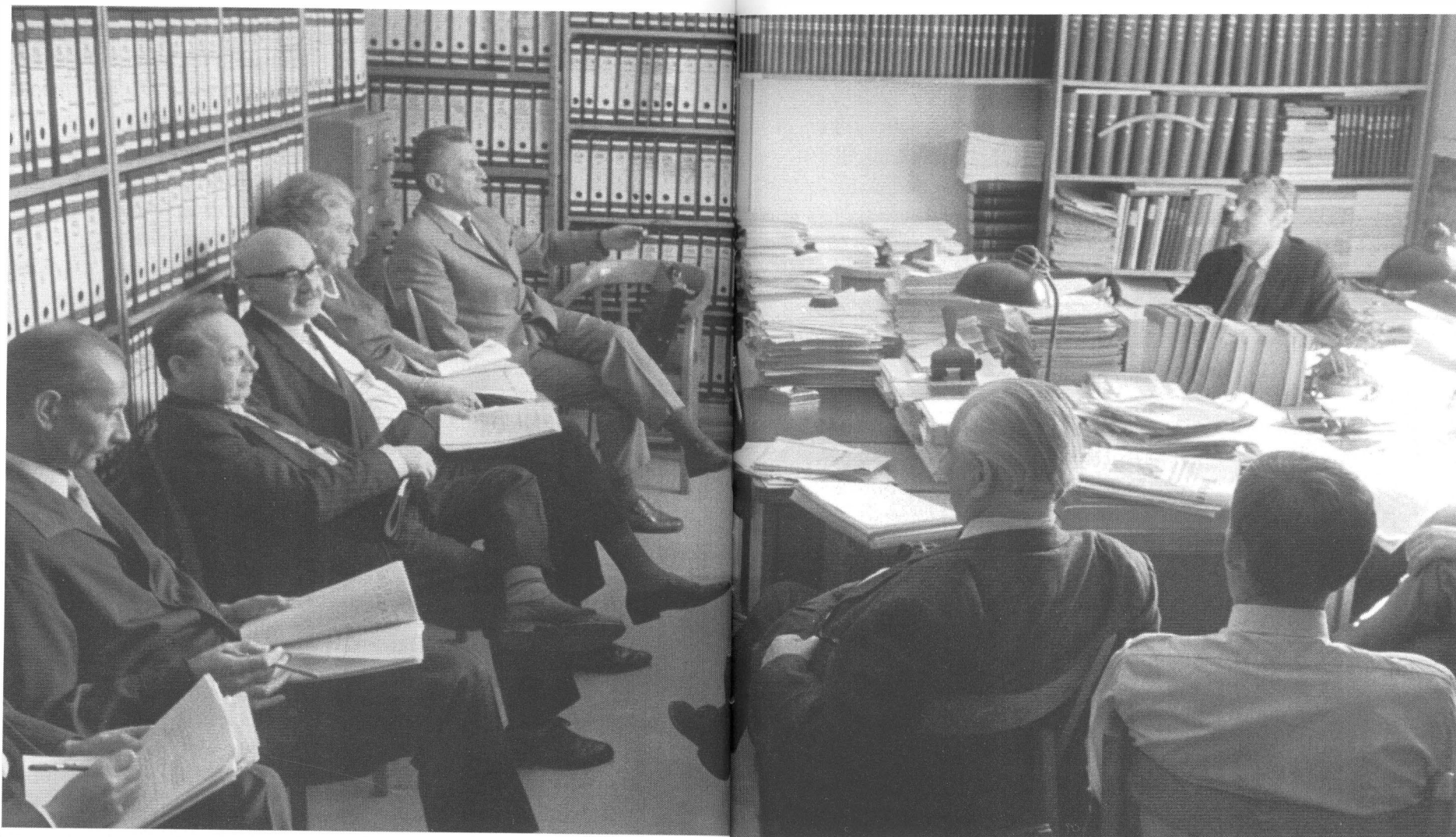
Używanie nazwy RWE w języku niemieckim miało budzić wśród słuchaczy krajowych negatywne skojarzenia i uruchomić stereotyp Niemca-okupanta. „W polemikach z tą radiostacją krajowi dziennikarze lubią używać tej niemieckiej nazwy (Freies Europa) – zauważa Głowiński – mimo że nie jest to nazwa oficjalna. Ta bowiem jest polska, a jeśliby już ktoś chciał użyć obcych słów, to mógłby pisać o Free Europe, skoro stacja jest firmowana przez Amerykanów, mimo że mieści się w Monachium. Te dwa niemieckie wyrazy mają budzić negatywne reakcje emocjonalne. Są elementem demagogii: po niemiecku nazwana instytucja jest nie tylko obca, ale proniemiecka, a więc antypolska. Ci zawodowi polemisi Wolnej Europy, bo uformowała się już spora grupa dziennikarzy, którzy

---

zji, dorobkiewiczów i obcych regentów, wiążących swe nadzieje kastowe z pewnymi kołami plutokracji angielsko-amerykańskiej”. „Trybuna Wolności” 1 II 1953, tamże, s. 52.

<sup>50</sup> Tamże.

<sup>51</sup> Tamże, s. 63.



*Poranna konferencja redakcyjna w Rozgłośni Polskiej RWE w Monachium.  
Od lewej: Lech Wierczyński, Ignacy Klibański (Dział Analiz), Paweł Zaremba,  
Aleksandra Stypułkowska („Jadwiga Mieczkowska”),  
Tadeusz Nowakowski („Tadeusz Olsztyński”). Odwróceni tyłem (od lewej):  
Kazimierz Wierzbiański (szef dziennika radiowego) i Józef Ptaczek.  
Konferencję prowadzi, wówczas asystent dyrektora, Zygmunt Michałowski,  
koniec lat 60.*

tym tylko się zajmują, wiedzą, że nazwa angielska nie spowoduje nigdy takich emocji; słowa niemieckie mają dużo większą szansę” (zapis z 19 stycznia 1968)<sup>52</sup>.

Kolejny przykład: „Te obserwacje – pisze literaturoznawca – nasuwały mi się po lekturze paszkwilanckiego artykułu o Wolnej Europie, drukowanego w ostatnim numerze »Forum«. Otóż jedna z jego głównych tez głosi, że jest to radiostacja niemiecka, która nadaje w języku polskim. Słowo »niemiecki« ma tu szczególnie pejoratywne zabarwienie, tak jakby sam ten fakt musiał być kompromitujący. Nasuwa to wiele uwag. Oczywiście, gdyby społeczeństwo polskie uwierzyło propagandowej tezie, że jest to radiostacja niemiecka, bardzo by to ograniczyło jej skuteczność, gdyż wobec wszystkiego co niemieckie obowiązuje – zrozumiała zresztą ze względów historycznych – nieufność. [...] Wiadomo, że Wolna Europa jest finansowana przez Amerykanów. Spece od propagandy wiedzą jednak, że – ze względu na nastroje społeczne – nazwanie jej radiostacją amerykańską nie tylko chybiłoby celu, ale jeszcze większą wzbudziłoby sympatię. Z tych samych racji propaganda nie nazywa równie znieawidzonej »Kultury« pismem francuskim. [...] Stosuje się więc ogólną nazwę »niemiecki«, czyli zły, wrogi, antypolski” (8 lutego 1970)<sup>53</sup>.

A ostatecznie propaganda nie gardzi grubo krojonym paszkwiłem. Głowiński przytacza przypadek Putramenta: „Pracowników Wolnej Europy określa propaganda w sposób najrozmaitszy; nazywa ich agentami, zdrajcami, pacholkami NRF, syjonistami, wrogami Polski itd. Putrament używa od dłuższego już czasu nazwy prywatnej, mówi mianowicie z upodobaniem o »brudasach z Wolnej Europy« bądź o »brudasach z Monachium«. Nie jest to nazwa oryginalna, stanowi zapewne pochodną zdania – *cliché*: »Wolna Europa wyssała z brudnego palca«. Jest to nazwa niewybredna

<sup>52</sup> M. Głowiński, *Peereliada...*, dz. cyt., s. 27.

<sup>53</sup> Tamże, s. 169-170.

w sposób – powiedziałbym – z pozoru nieoficjalny, ma być przejawem indywidualnego stylu. Putrament traktuje ją jako imię własne, tak jakby nikogo innego poza dziennikarzami z Wolnej Europy nie można było nazwać brudasami. Dał on popis swojego kunsztu polemicznego w atakach na Tyrmanda i – przede wszystkim – Żyto-mirskiego (w dzisiejszej »Trybunie Ludu«). Jest to objaw patologicznego chamstwa. [...] Jako paszkwil najniższego gatunku tekst Putramenta nie jest nawet zły, paszkwile takie może jednak pisać tylko pismak czy – mówiąc jego słowami – właśnie brudas. Brudas nie z Wolnej Europy, ale z organu PZPR” (16 marca 1969)<sup>54</sup>. Kolejny przykład: „Żer daje się imperialistom, syjonistom, wrogom Polski Ludowej, a najczęściej Wolnej Europie, która uosabiać ma wszelkie antysocjalistyczne zło tego świata. Żer dają przede wszystkim ci, którzy żyjąc w krajach socjalistycznych, pozwalają sobie na czyny, jakie nie podobają się władzy ludowej, a więc »żer dawał« imperialistom Siniawski i Daniel, a w Polsce choćby Andrzejewski, gdy ogłosił swój protest przeciw inwazji na Czechosłowację. [...] żer daje się dzikim zwierzętom, przede wszystkim tym, które żywią się padliną” (17 lipca 1969)<sup>55</sup>.

Propaganda krajowa starała się nie tylko utrudnić odbiór stacji i propagowanych przez nią treści poprzez zagłuszanie, czym niewątpliwie udawało się jej opóźnić przepływ informacji między krajem i emigracją, Wschodem i Zachodem, a w konsekwencji izolować nowe pokolenia odbiorców, wzrastających w granicach zamkniętego i opresywnego systemu, ale i starała się nie dopuścić do nawiązania dialogu Polaków z kraju z zagranicą.

<sup>54</sup> Tamże, s. 112-113.

<sup>55</sup> Tamże, s. 137.

## Jeszcze raz – misja

Mówiąc o Wolnej Europie w perspektywie krajowego odbioru, nie sposób nie wspomnieć o Stefanie Kisielewskim. Głos felietonisty „Tygodnika Powszechnego” jest ważny, choć emocjonalny – w przeciwieństwie do zdystansowanych analiz Michała Głowińskiego, którego zainteresowania propagandą prasy krajowej, podobnie jak Kisielewskiego, przenoszą się co rusz za żelazną kurtynę.

To Kisielewski, wbrew sporom, o których donoszą publicyści „Kultury” i RWE, był aktywnym komentatorem politycznym, mającym na swoim koncie liczne publikacje w wychodźczej agorze. Był znajomym i przyjacielem wielu działaczy polskiego Londynu, Paryża i Monachium. Jego kontakty z emigracją, zażyłe, empatyczne i zadziorne, okazały się także niezwykle wartościowe<sup>56</sup>. Trzeba też w tym miejscu dodać, że Kisielewski jako pierwszy publicysta

---

<sup>56</sup> Zygmunt Michałowski (dyr. RWE w latach 1976–1982) w wywiadzie *Z byłym dyrektorem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa* („Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 1998, z. 1) mówi Alinie Grabowskiej: „Mnie zależało specjalnie na tym, żeby utrzymać jakąś łączność duchową z jak najszerszą warstwą Polaków, poprzez ludzi z kraju, do których mieliśmy jakiś dostęp. Z pamięci – nigdy nie robiłem żadnych nieestetycznych notatek, nie miałem na to czasu – sporządziłem sobie jakby przykładowo listę osób, z którymi się spotykałem. Otóż zaczynam: Kisielewski, Bartoszewski, Micewski, Jan Józef Lipski, Lipiński, Michnik, Woźniakowski, Holzer, Paweł Hertz, no, mógłbym to dalej ciągnąć. Wskazuje ta lista na różnorodność ludzi i ich środowisk. Szło o to, aby poprzez nich mieć żywy kontakt z Polską. I tutaj znowu wszedłem w ślady mojego poprzednika Jana Nowaka, który bardzo te kontakty pielęgnował. To musiało być utrzymane w największej dyskrecji, dlatego że groziły wtedy ludziom represje. [...] Pytałem się ich, czy mają jakieś krytyki pod adresem radiostacji, naszej linii politycznej. Czy mają jakieś konkretne przykłady błędów, które by trzeba naprawić, sprostować i tak dalej. Czy wyrażają aprobatę dla naszej generalnej postawy? To było celem konkretnym takich rozmów, które zresztą przebiegały bardzo rozmaicie, zależnie od rozmówców. Zacznę może od Kisielewskiego, Kisielewski, wielkiego przyjaciela naszej radiostacji. [...] Kisielewski działał poprzez swój specyficzny styl publicystyczny, w którym drwina, humor mieszały się z politycznymi ocenami, że tylko przypomnę dwie rzeczy: lansował tezę, że trzeba zlikwidować socjalizm, zachowując nazwę, oczywiście, żeby nie wywołać reakcji rosyjskiej. I drugą tezę, którą przemycał, że trzeba się układać nie z komunistami

z kraju udzielił wywiadu Wolnej Europie pod własnym nazwiskiem, nalegał też na jego szybką emisję, wielokrotnie również od lat 60. gościł u monachijskich przyjaciół<sup>57</sup>.

Skarżył się z czasem coraz dobitniej, że w podległych cenzurze krajowych publikatorach są same szyfry, zamiast – „Zamiast określonej idei, zamiast oceny, zamiast diagnozy, zamiast opisu, zamiast analizy, zamiast koncepcji, zamiast postawy (filozoficznej, światopoglądowej, politycznej)”<sup>58</sup>. Ale i Kisiel, na ile to możliwe, w felietonach (wymieniam tylko najbardziej charakterystyczne dla omawianych tu spraw) *Pochwała kłamstwa*<sup>59</sup>, *Dziwne teksty, dziwne słowa*<sup>60</sup> czy *Zaprogramowani wieloznacznie (felieton – embrion filozoficzny)*<sup>61</sup> pisanych pod presją cenzury, próbował wywołać jednak autentyczną dyskusję. Sygnalizował problemy i udawało mu się nawet przeprowadzić pewne wywody publicznie, pod warunkiem ściszenia tonu, osłabienia ostrości sądu, pod osłoną eufemizmów.

---

w Warszawie, tylko z Moskwą... [...] Ja mu kiedyś powiedziałem: »to dlaczego Pan tego nie robi?«. A on mi od razu: »bo nie mam ich numeru telefonu« (s. 132-133). O spotkaniach z establishmentem mówi tak: „Miałem spotkania z jednym z moich krewnych, który był po tamtej stronie. Zapomnijmy w ramach »grubej kreski«, zapomnijmy o jego nazwisku. Miałem także spotkania z takimi ludźmi pół na pół, Pani rozumie. Ale właściwie nie wiem, czy to wiele dawało, bo ja miałem wrażenie, że oni chcą się dowiedzieć więcej ode mnie niż ja od nich. Wolę przypomnieć spotkania z takimi ludźmi, jak na przykład Paweł Hertz, literat, poeta, człowiek inteligentny, miły i zabawny. Pamiętam, kiedyś w okresie rewizjonizmu pytam się go o rewizjonizm, a on mi mówi: »ja nie jestem komunista, mnie rewizjonizm zupełnie nie interesuje«. Na swój sposób oddał mi atmosferę pewnych kół, które od partii się odcięły. Potem widziałem się na przykład z [...] Arturem Sandauerem. Jak do tego doszło, nie pamiętam. [...] W każdym razie to też człowiek zabawny, który mi dużo opowiadał o nastrojach, naświetlał problemy niejako od wewnątrz. Patrzyłem na niego jak na intelektualistę, który stoi niby po tamtej stronie, ale zachowuje się krytycznie, z rezerwą” (tamże, s. 134).

<sup>57</sup> Zob.: M. Łatyński, *Ogród Angielski 1...*, dz. cyt., s. 132-134.

<sup>58</sup> Stefan Kisielewski, *Przeciw ekspresji, szyfrom i reżyserii*, w: tegoż, *Lata pozłacane, lata szare. Wybór felietonów z lat 1945-1987*, Kraków 1989, s. 500.

<sup>59</sup> Tamże, s. 508-512.

<sup>60</sup> Tamże, s. 691-695.

<sup>61</sup> Tamże, s. 476-482.

Dziennikarstwo, zwłaszcza felietonistyka polityczna, pozbawiona dyskusji, polemicznej riposty, autentycznego, żywego sporu i wymiany myśli, w dłuższej perspektywie skazana jest na skostnienie i banał. Z przyczyn cenzuralnych więc, poza inwektywami, publicyści RWE nie mogli właściwie liczyć na rzeczowy dialog z krajem (z władzą). Krytyczne głosy po tej – krajowej stronie przechowały się jednak w prywatnych dziennikach i zapisach – jak Kisielewskiego. Są one dzisiaj cennym materiałem do badań historycznych, wówczas jednak nie mogły zaistnieć w przestrzeni publicznej i zasilić jej krwioobiegu, przede wszystkim stać się przedmiotem pogłębionej refleksji po zachodniej stronie świata, a więc między innymi w RWE.

Ten brak żywej i autentycznej reakcji na słowa płynące z Monachium (poza oczywiście reakcją słuchaczy emigracyjnych), w pewnym stopniu czynił daremnym wysiłek stacji: publicyści wiedli słowny spór z prasą komunistyczną, która – jak dowcipnie mówił Kisielewski – była gorsza od samego komunizmu.

Ale czy był to spór jałowy? Zwłaszcza że sztampa, powtarzalność, nuda materiału, na którym się pracuje, czyniły te zabiegi monotonnymi, niemal beznadziejnymi?

Kisielewski jednak dostrzegał coś, co emigranci (np. Straszewicz swego czasu) bagatelizowali, a co – jego zdaniem – decydowało o dość ograniczonej sile perswazji radia. Wielokrotnie, obsesyjnie niemal, zwracał uwagę na to, że współcześni mu Polacy w kraju są inni niż wyobrażeni przez emigrację, że prezentują coraz bardziej mentalność „wschodnią” i krytycznie orientują się na Zachód. Nie był w tych sądach konsekwentny, niemniej zapisy dziennikowe i wypowiedzi ogłoszone poza krajem pod tym kątem zasługują na uwagę. W dzienniku w roku 1969 Kisielewski notuje bowiem: „Wolna Europa – mili ludzie z mojego pokolenia, nie pojmują tych przemian duchowych. Myśli, że przemawia do większości społeczeństwa, tymczasem rozumie ją znakomita mniejszość”<sup>62</sup>.

---

<sup>62</sup> Stefan Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1996, s. 238.



To niezrozumienie współczesnej Polski staje u podstaw konstatacji zapisanej 15 lutego 1969: „Zastanawiam się nad bardzo charakterystyczną sprawą: jak dalece ludzie Zachodu nie rozumieją już ludzi Wschodu, i to Polacy Polaków: Radio »Wolna Europa« (sami moi znajomi) mówiło mnóstwo o konflikcie między Gomułką a Moczar, teraz w przemówieniach Gomułka, jak i Moczar, bardzo na nich nawymyślali, że to są wrogie, dywersyjne plotki, »wysane z brudnego palca« etc. I oto »Wolna Europa« okropnie się temu dziwi, powiada, że ma dowody, i stwierdza, że wobec tego Gomułka albo jest cyniczny, albo skrajnie naiwny. Tymczasem ani jedno, ani drugie. Po prostu Gomułka, za ich, biednych zachodnich naiwniaków pomocą, załatwia sobie od razu kilka spraw”<sup>63</sup>. Po czym następuje oświetlanie przez Kisiela zawitych intencji poszczególnych aktorów PRL-owskiej sceny politycznej. Hipotezę o rozdzwisku między krajem a emigracją podtrzymują kolejne zapisy dziennikowe. Tym razem chodzi o „samozadowolonych”, którymi nazywa polskich chłopów po transformacji, na których rzeczywiście przez cały czas liczyła Wolna Europa, zakładając, że narodowe i najbardziej tradycyjne wartości drzemią w tej warstwie.

Znów Kisielowski (w tej sprawie zawsze mający odmienne zdanie) zaprzeczy. Chłopi z lat 50. to nie są ci sami ludzie, ich potomkowie zrosli z systemem i z niego korzystający, niezbyt są skorzy do buntu; to duchowa nowa formacja: „Tak, chłopci dzisiejsi nadają ton dzisiejszej Polsce, to jedyna, ale za to liczna warstwa quasi-zadowolona, nie mają oni żadnych porównań, nie widzą alternatywy, wszystko, co jest, uważają za naturalne. Dla pobudzenia ich i zasiaania w nich twórczych wątpliwości trują się bardzo pan Jan Nowak z »WE«, człowiek pozytywny, miły, o psychice akowskiego harcerza. Trudzi się bardzo, czy zaś nie są to syzyfowe prace – któż to wie? Ale dla nas rozrywka jest – Lidia słucha ich całe wieczory z napię-

---

<sup>63</sup> Tamże, s. 186.

ciem, spragniona z fal eteru ludzkiej, a nie komunistycznej mowy”<sup>64</sup>. Ale podkreśla, że „[...] – jak zabiorą nam tę ostatnią gazetę, to już będziemy siedzieć jak w worku czy zgoła w d...” (6 września 1969)<sup>65</sup>.

Kisielewski także w połowie lat 70. z programu RWE wnioskuje o kryzysie jego misji. Komentarz w dzienniku koresponduje z listami Tadeusza Nowakowskiego do Juliusza Sakowskiego, o których już była mowa. Asekuracja stacji rozczarowuje go, dnia 28 grudnia 1974 notuje bowiem: „Zdaje się, że nieocenione Amerykany w imię przyjaźni z Rosją zaczynają niszczyć »Wolną Europę« i naszego w niej Jana. W każdym razie cienko już ta stacyjka zaczyna śpiewać, mówi coraz ostrożniej, a nawet na temat owego »Listu piętnastu« w sprawie Polaków w Rosji zamilkła nagle jak grób. Nie będziemy już mieli żadnej pomocy, dotąd komuniści bali się, że poprzez »WE« wiadomości przedostają się do kraju, bo inaczej nikt by tu niczego o niczym nie wiedział. Teraz i tego nie będą się bali – w ogóle już niczego – tak to nam Zachód daje w d...”<sup>66</sup>.

Jednak Wolna Europa okazuje się przydatna<sup>67</sup>, choć jej status można określić mianem dość „zagadkowego”. W 6. numerze „Kultury” z 1979 roku Kisielewski potwierdza wagę tej instytucji sło-

<sup>64</sup> Tamże, s. 463.

<sup>65</sup> Tamże, zapis z 20 marca 1971, s. 565.

<sup>66</sup> Tamże, s. 825.

<sup>67</sup> O przydatności radia można wnioskować z lektury dzienników, w których często pojawiają się uwagi na temat programu, co skądinąd przeczy rozpowszechnianemu twierdzeniu (które docierało do radiowców w Monachium), że inteligencja w kraju nie słucha Wolnej Europy (wspominał i o tym rzekomym lekceważeniu radia w listach do Giedroycia Miłosz). Dla przykładu w dzienniku Jastruna (zapis z 22 sierpnia 1957 r.) czytamy: „Wieczór. Chodzę po pokoju, radio otwarte. Myślę, słucham tego, co gada skrzynka – radio Wolnej Europy. Nagle słyszę: »Dziękuję pani X. z Łodzi za przysłanie książki Jastruna o Mickiewiczu. Jakże miły podarunek«. Pomyślałem: »A więc jestem na coś potrzebny, jeszcze...«. Dziwne uczucie”. Mieczysław Jastrun, *Dziennik. Wybór z lat 1955–1960*, wybór, opracowanie, wstęp Włodzimierz Bolecki, Londyn 1990, s. 91. Zapis z 15 listopada 1957: „U lekarza. Najpierw powiedział mi:

- Słyszałem dziś rano w Wolnej Europie nazwisko pańskie.
- Czy to pana gorszy, panie doktorze? – zapytałem.

wami: „O kraju dowiedzieć się można za to sporo z »WE« – lecz znów tu cienie w jaskini, choć odwrócone: wnioskować z zagranicznego radia, co dzieje się pod samym moim nosem, to zaiste perwersja! Trzeba mieć na to mózg specyficznie połamany”<sup>68</sup>.

Rzeczywiście, misja RWE była zawsze ta sama i zawsze tak samo trudna do wypełnienia. Praca w dynamicznym geopolitycznym otoczeniu przez niemal pół wieku była ogromnym wyzwaniem, przed którym stawali doświadczeni radiowcy – emigranci z przedwojennym i powojennym stażem. Trudna – choć w inny sposób – dla reprezentantów pokolenia Solidarności przyplływającego do radia najpóźniej, bo w latach 80., dla owej „nowej fali” zasilającej szeregi zespołu. Próby przebicia się przez żelazną kurtynę – to przecież nie tylko kwestia pokonania mechanicznego zagłuszenia programu, to przede wszystkim problem zdobycia zaufania odbiorcy krajowego, którego trzeba było sobie wyobrazić i zarazem trafnie zidentyfikować jego potrzeby.

Mówiący do kraju dziennikarze musieli wyczuwać nastrój i klimat, identyfikować zjawiska i zajmować się z należytym wyczuciem przypadkami konkretnych osób. Żyli życiem kraju, a mimo to popełniali błędy. Zmagali się również z jednej strony z problemem utrzymania autonomii radiostacji, z drugiej zaś – starali się skupiać na misji, działali w gruncie rzeczy w przestrzeni ograniczonej, nienaturalnie zawężonej. Sami wielokrotnie sfrustrowani nie tylko nikłym postępem demokratyzacji kraju, przedłużającym się *status quo* relacji między Wschodem i Zachodem, fluktuacją koncep-

---

– Ależ nie! – odpowiedział śmiejąc się” (tamże, s. 103). Z 5 lutego 1958: „Wczoraj wieczorem słyszałem w »Wolnej Europie« kilka słów o prześladowaniach pisarzy w Polsce. Padły nazwiska: Kotta, Ważyka, Hertza i moje” (tamże, s. 138). Zob. także: Anna Kowalska, *Dzienniki 1927–1969*, Warszawa 2008 (uwagi pisarki o liście 34 przekazywanym na antenie Wolnej Europy); Andrzej Kijowski, *Dziennik 1955–1969*, wybór i opracowanie Kazimiera Kijowska, Jan Błoński, Kraków 1998; tegoż, *Dziennik 1970–1977*, Kraków 1998.

<sup>68</sup> Stefan Kisielewski, *Cienie w jaskini*, „Kultura” (Paryż) 1979, nr 6, s. 123.

eji politycznych USA; przejściem z polityki „wyzwolenia” na „ewolucyjną” i prowadzoną „metodami pokojowymi” – ale i zmęczeni świadomością życia na jakimś marginesie i w poczuciu, że emigracja to w istocie oczekiwanie na cud geopolityczny.

Wiesławowi Wawrzyniakowi (właściwie Wiesławowi Wróblewskiemu, pracownikowi RWE) udzielił wywiadu Zygmunt Michałowski (kierujący po Janie Nowaku-Jeziorańskim Polską Sekcją w Monachium) w 1987 roku, na kilka lat przed zakończeniem działalności radiostacji. Treść wywiadu odnosi się do „filozofii informacyjnej” RWE, zwłaszcza do skomplikowanego i często paradoksalnego usytuowania stacji w przestrzeni spolaryzowanego świata.

Zygmunt Michałowski odpowiada na pytanie Wawrzyniaka o to, jak rozumie różnicę między informacją a ingerencją: „– Zatrzymajmy się nad sprawą linii politycznej radia. Mówił pan nieraz, że radio ma zadania informacyjne [...]. Wydawało mi się, że jest to swoisty unik i że zadaniem radia jest nie tylko informacja, ale także walka polityczna. Dziś widzę to wszystko nieco inaczej, sam uważam, że 60-70% naszej pracy przy mikrofonie to informacja. Powstaje jednak pytanie: czym byłaby reszta i czy jest pan nadal zdania, że część naszych zadań sprowadza się do zadań informacyjnych?”

M: – Tak, ale trzeba informację traktować bardzo szeroko. Nie można stawiać zagadnienia w ten sposób, że albo informacja, albo walka. Informacja jest walką. [...] dlaczego? Dlatego że my stanowimy niezależne źródło informacji. To jest pierwsza sprawa. Druga sprawa – informacja szeroko pojęta obejmuje przecież także komentarze, analizy i dyskusje, w których rozmaite punkty widzenia są przedstawiane. Mnie nie chodzi o informację w sensie podawania suchych faktów, to by było absurdem. [...] Gdzie jest zasadnicza różnica, którą chciałbym wskazać: to jest granica między informacją a ingerencją. Otóż jeżeli radio z zagranicy wzywa do poszczególnych akcji, potępia jedne, pochwała drugie w sposób dramatyczny, w spo-

sób bardzo aktywny, przypomnijmy sobie to, co robiły radiostacje sowieckie w stosunku do Polaków i do walki podziemnej w Polsce. Wzywały do czegoś, przestrzegały przed czymś, karciły Londyn itd. To wszystko to jest ingerencja polityczna. [...]

Celem tej radiostacji jest poszerzenie demokracji i wolności w Polsce metodami pokojowymi. Ja się całkowicie z tym zgadzam i nie widzę, dlaczego miałyby to być jakiegokolwiek ograniczenie. To jest właśnie cel główny naszej działalności, w okresie Solidarności ten cel był taki sam po stronie Solidarności, jak i po naszej stronie. Poszerzenie środkami pokojowymi zakresu demokracji i wolności.

W: – [...] Ale czy uważa pan, że tylko powinniśmy informować [...], czy też naszym zadaniem powinno być kształtowanie postaw politycznych?

M: – Kształtowanie postaw politycznych odbywa się właśnie m.in. poprzez informację. (Ale po pierwsze wybór informacji – wtrącenie W.). Różnica polega na tym: jaki jest wpływ pośredni i bezpośredni na słuchacza. Nasz wpływ powinien być pośredni i długofalowy, a nie bezpośredni, konkretny i krótkotrwały. Wybór [...] jest konieczny. Ale ten wybór powinien polegać na tym, żeby podawać do wiadomości rzeczy ważne, istotne dla sytuacji, a nie pod tym względem, co się komuś podoba czy nie podoba. Albo – co ktoś uważa, że Polacy akurat powinni o tym wiedzieć, a o tym nie powinni wiedzieć”<sup>69</sup>.

W siedem lat później Lechosław Gawlikowski podsumuje misję radia tak: „30 czerwca Rozgłośnia Polska RWE kończy swoją działalność w Monachium. Po raz ostatni program redagowany z Monachium idzie na antenę właśnie dzisiaj – w niedzielę 19 czerwca.

---

<sup>69</sup> *Rozmowa Wiesława Wawrzyniaka (Wiesława Wróblewskiego) z Zygmuntem Michałowskim na temat misji Rozgłośni Polskiej RWE* (emisja 2 maja 1987), w: *50 lat Rozgłośni Polskiej RWE*; transkrypt – V.W.M. Por. także: Jagoda Jędrychowska, *Widzieć Polskę z oddalenia*, Paryż 1990, tu: *Rozmowa z Janem Nowakiem oraz Rozmowa ze Zdzisławem Najderem*, s. 74-95, 173-202.

[...] Kończy się interesująca i fascynująca praca, która jednocześnie miała charakter misji. Była służbą dla ojczyzny. Jednocześnie praca w Rozgłośni Polskiej dawała nam wszystkim przez lata przywilej szczególnie – audytorium słuchaczy, które w czasach walki z komunizmem liczyło miliony ludzi. Kończy się w ten sposób przygoda grupki zapaleńców i wizjonerów, którzy 3 maja 1952 wraz z pierwszym dyrektorem Janem Nowakiem-Jeziorańskim rzucili z Monachium wyzwanie komunizmowi w Polsce”<sup>70</sup>.

Mimo trudności, paradoksalnego ustuwania stacji i krytki jej programu oraz misji – nierzadko wybrzmiewającej publicznie nawet z emigracyjnego forum, formułowanych stąd zarzutów, można dziś mówić o pozytywnym bilansie, któremu również towarzyszą koszty. W wymiarze indywidualnym były to moralne dylematy twórców, którzy w momencie wejścia do radia zmuszeni byli przedzierzgnąć się w publicystów kulturalnych i politycznych, i przez lata tworzyć warsztat radiowy, doskonaląc go. Konsekwencją były przerwane kariery, porzucone profesje i pasje, także towarzyszące przykre przeświadczenie, że żyje się poniżej własnych możliwości, że marnuje się czas...

Czasem jednak słowo „koniec”, mimo kosztów, wybrzmiewa optymistycznie. Optymistyczna jest też wypowiedź Michała Głowińskiego, z ulgą domykającego w 1989 roku raptularz wykładni chwytów propagandy PRL-u. W tomie *Końcówka (czerwiec 1985 – styczeń 1989)* badacz zapisuje: „Przyznam, że z pewną ulgą wypisywałem słowo »koniec« na ostatniej stronie książki. A nazwałem ją »Końcówką« z wielu względów. Przede wszystkim z tej racji, że przedstawia ostatnią fazę tego osobliwego zjawiska, jakim była oficjalna PRL-owska propaganda”<sup>71</sup>.

<sup>70</sup> *Uwagi na koniec radia – uwagi Lechołstawa Gawlikowskiego w ostatnim dniu nadawania audycji przez Rozgłośnię Polską RWE w Monachium* (emisja 19 czerwca 1994); tamże, transkrypt – V.W.M.

<sup>71</sup> Michał Głowiński, *Końcówka (czerwiec 1985 – styczeń 1989)*, Kraków 1999, s. 5.

## Próby współpracy Witolda Gombrowicza z Polską Sekcją Wolnej Europy

„Szanowny Panie – pisze Gombrowicz w listopadzie 1954 roku do Jana Nowaka-Jeziorańskiego<sup>1</sup> – pragnę zaproponować Panu moją współpracę. W ostatnich czasach prasa reżimu coraz częściej, choć lekceważąco, pisze o mnie – co jednak dowodzi, że moje rzeczy mają oddźwięk w Kraju. Nawet sam wicepremier Cyrankiewicz raczył poświęcić ustęp swojej mowy, wygłoszonej przez radio do narodu, polemice ze mną. Ostatnio »Wiadomości« doniosły, że w książce Matuszewskiego o literaturze 20-lecia niepodległości jestem autorem najbardziej ze wszystkich atakowanym. Zresztą potwierdzają to zainteresowanie listy z Kraju, jakie czasem otrzymuję. M.in. zacytowano mi wyjątek z listu Macha, sekretarza »Twórczości« do Iwaszkiewicza – ciekawy ze względu na to, że pochodzi z samego centrum ideologicznego reżimu: »Osobno dziękuję za *Ślub* Gombrowicza, którym jestem zachwycony. Obiektywna ważność tego utworu jest kolosalna. Kazimierz Wyka czytał drugi i jest oczarowany«. Dodaje mój informator, że takie reakcje są na porządku

---

<sup>1</sup> Interpunkcja i ortografia w cytowanej korespondencji została zaktualizowana. Ponadto wszystkie cytowane w artykule listy J. Nowaka-Jeziorańskiego, dyrektora RWE, i W. Gombrowicza w moim opracowaniu opublikowane zostały w kwartalniku „Kresy” 2002, nr 3-4, s. 222-248.

dziennym. Naturalnie nie przeceniam tego, ale odnoszę wrażenie, że jestem dziś dla nich bardziej interesujący niż większość pisarzy na emigracji, już im dobrze znanych i dla nich obecnie nieaktualnych”.

Po tej autoprezentacji pisarz przechodzi do sedna sprawy – do złożenia propozycji współpracy z RWE w ramach szczegółowej umowy, która miałyby precyzować zadania, wyznaczać obszary tematyczne zbliżone do jego pisarsko-lekturowych zainteresowań i kompetencji. Gombrowicz, zapewniając Nowaka-Jeziorańskiego o swojej przydatności dla radia, pisze w dalszej części listu tak: „Formy tej współpracy wyobrażam sobie, jak następuje:

1 – nadanie fragmentów mojego *Dziennika* drukowanego w »Kulturze«. Ten dziennik jest afirmacją wolności indywidualnej a także wnosi pewne idee, które na pewno okazałyby się żywotne w Kraju. Można by zrobić selekcję, eliminując tematy, które się nie nadają.

2 – mógłbym zająć się stałą krytyką książek i publikacji ukazujących się w Kraju. Umiem pisać w sposób dostępny dla szerszych mas. Na marginesie tych krytyk mógłbym wypowiedzieć się na wiele żywotnych tematów.

3 – luźne audycje, opowiadania etc. Także informacje z zakresu kultury i sztuki łaćńsko-amerykańskiej i hiszpańskiej. Np. o Garcii Lorce (jego wpływ w Ameryce) albo o perspektywach rozwoju literatury iberoamerykańskiej.

4 – ewentualnie powieść radiowa – coś w rodzaju gawędziarskim i humorystycznym.

Najbardziej może odpowiadałaby mi krytyka (punkt 2). Zależałoby mi bardzo na tym, aby to nie była współpraca dorywcza, ale stała, i aby zrobić z Wami kontrakt. To znakomicie ułatwiłoby mi techniczne zorganizowanie pracy.

Bardzo byłbym zobowiązany, gdyby Pan zechciał wziąć moją propozycję pod uwagę i odpisał bez większej zwłoki. Moja sytuacja tutaj jest trudna i kontrakt z FE byłby dla mnie b. pożądany”.



Wiemy, że mniej więcej w tym czasie pisarz nosi się z zamiarem porzucenia pracy w banku, myśli też o pisaniu „na serio” – ma już bowiem w dorobku publikacje *Ślubu* i *Trans-Atlantyku* oraz fragmentów *Dziennika* w paryskiej „Kulturze”, a także wydanie *Ferdydurke* w tłumaczeniu hiszpańskim. Ponadto żywą polemikę i liczne kontrowersje w środowisku emigracyjnym wywołuje *Trans-Atlantyk*, a kilka pierwszych stron utworu prowokuje Czesława Straszewicza – „chwilowego” bohatera i kompana z podróży „Chrobrym” do Ameryki Południowej – do zabrania głosu na łamach paryskiej „Kultury” na temat trudnych wyborów moralnych, jakie stały się udziałem wojennej emigracji, w tym jego i Gombrowicza.

Nim jednak pojawi się wsparcie Konstantego A. Jeleńskiego i Jerzego Giedroycia, które pozwoli Gombrowiczowi nabrać wiary we własne siły i obudzić ambicje, by móc utrzymywać się jedynie z pracy pisarskiej, autor przechodzi ciężką drogę klepania biedy w Argentynie, sondowania możliwości wydawniczych zarówno w kraju, jak i na emigracji, głównie w Londynie (o zabiegach londyńskich interesująco pisze Nina Taylor-Terlecka w słowie wstępnym do listów z roku 1950 i 1951: Gombrowicz – Terlecki<sup>2</sup>). Pomysł, by utrzymać się tylko z pisarstwa, zdawał się wówczas wysoce ryzykowny, co zresztą potwierdzały niewygórowane honoraria „Kultury” przychodzące do Argentyny z opóźnieniem i niesystematycznie. Nie mogły być one gwarantem bytowego bezpieczeństwa, o które – jak wiemy – będzie pisarz zabiegał do końca swojego życia. Chęć Gombrowicza, by nawiązać stałą współpracę z radiem – jak się wydaje w świetle korespondencji z Nowakiem-Jeziorańskim – miała na celu przede wszystkim stabilizację finansową. Propozycje skierowane do radia w pierwszym liście z 1954 roku merytorycznie nie odbiegają od tego, co Gombrowicz robił już dla Giedroycia. Tak więc punkt 1. i 2., nawet 3. listu – to właściwie

---

<sup>2</sup> *Trzy listy Witolda Gombrowicza do Tymona Terleckiego*, „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 2001, z. 4, s. 127-131.

sugestie co do tematów, które już stanowiły treść *Dziennika* drukowanego u Giedroycia i choćby z tej racji propozycja pisarza zdawała się dla radia mało atrakcyjna. To, co ewentualnie usprawiedliwia nadawanie materiału niejako „z drugiej ręki”, to świadomość, że dociera on nową drogą do szerokiego, masowego odbiorcy emigracyjnego i krajowego, zatem takiego, do jakiego mogły nie mieć dostępu wydawnictwa „Kultury”.

Zanim jednak przywołam odpowiedź dyrektora radia, cofnę się w czasie, a to za sprawą korespondencji Gombrowicza z Alicją Barczową i Romanem Palestrem. Listy Gombrowicza do Alicji de Barcza i Palestra potwierdzają bowiem długoletnie starania wejścia do zespołu Wolnej Europy na warunkach dla autora najlepszych, a jeśli stanie się to trudne, jedynie na możliwych do zaakceptowania. Alicja de Barcza, jak podaje Nina Taylor-Terlecka<sup>3</sup>, wspomaga pisarza nie tylko radą, ale również angażuje się w jego sprawy nadzwyczajnie. Właściwie wymyśla dlań strategię bycia pisarzem w wolnym świecie, zachęca do wypłynięcia na szerokie północnoamerykańskie wody, podpowiada współpracę z Amerykanami, w istocie naprowadza Gombrowicza na drogę, której celem miało być związanie się z Radiem Wolna Europa. Oczywiście – najpierw z nowojorską sekcją. Ewentualne honoraria z Wolnej Europy miały wspomóc budżet Gombrowicza, ponadto ich część docelowo planował pisarz przeznaczyć na tłumaczenia *Ferdydurke* i *Trans-Atlantyku*. Zaczęło się najprawdopodobniej – jak twierdzi Nina Taylor-Terlecka – od nadania 27 października 1953 audycji (z formułą dyskusji w studio) na temat twórczości Gombrowicza (słowo „obrony” własnego dzieła należało do pisarza). Pisał on także audycje na zamówienie Strzetelskiego (kierownika nowojorskiej rozgłośni). Niestety nie wiadomo, jakie to były audycje (poza podaną przez Taylor-Terlecką o Pola-

---

<sup>3</sup> Nina Taylor-Terlecka, *Witolda Gombrowicza pradzieje radiowe*, „Przegląd Polski”, Dodatek Kulturalny „Nowego Dziennika” (Nowy Jork) 4 II 2011, s. 2.

kach w Ameryce), w zbiorach radia z tego okresu nic się nie zachowało. Naciska na Jeleńskiego, Giedroycia, Barczową, by wsparli jego starania „zaczepienia się” we Free Europe w Nowym Jorku i równocześnie w Monachium (z osobno wypłacanymi honorariami). Barczowa i tym razem nie odmawia. Taylor-Terlecka pisze bowiem: „Dla zapewnienia sobie stałego kontraktu Barczowa radziła mi, żeby zwrócił się do radia z gotowym planem pogadank na dłuższą metę, uważała też, że nie zaszkodziłoby parę miłych pochlebstw pod adresem Lechonia. Ze swej strony obiecała, że zrobi, co będzie mogła, ale »musisz mieć gotową propozycję, co zamierzasz powiedzieć Naszemu Kochanemu, Ciemieżonemu Narodowi Polskiemu«” (list z 5 października 1954).

Gombrowicz nie zwlekał z odpowiedzią. „Pospieszam Ci donieść, że nie mam pojęcia, co zaproponować tej Voice czy też (bo to jedna para kaloszy) Free”. Rozwija swoją koncepcję pogadanki: „[...] tylko nie pocieszne felietoniki, tylko rzecz raczej na serio, popartą prestiżem i powagą LITERATURY, moja droga, to jest DUCHA, bo naprawdę tego oni tam (tak wyczuwam) potrzebują. Tu chodziłoby o obronę indywidualności i wolności duchowej, tak mniej więcej, jak to stawiam w moim dzienniku”. Powieść jako „coś lżejszego” byłaby buffo-satyryczna. Rozwagał też omówienie książek krajowych („[...] to dobry pomysł, bo mam do tego smykałkę, a też na marginesie omówienia można wiele rzeczy powiedzieć”). Liczył na interwencję przyjaciółki: „Tak, spróbuj nakłonić ich do tego ostatniego punktu, to byłoby najlepsze: przegląd książek lub czasopism, demaskujący nie najbardziej notoryczne i znane kłamstwa, ale raczej rozmaite wtórne, będący walką z ich koncepcjami i z całym ich życiem intelektualnym. Pod tym pretekstem ja pohulałbym zdrowo w sposób sobie właściwy. Ale to musiałoby być stałą rubryką. A w ogóle sama coś wymyśl albo niech oni wymyślą, skąd ja mogę wiedzieć, co im się podoba” (list z 14 października 1954)<sup>4</sup>.

<sup>4</sup> Tamże, s. 4.

Alicja de Barcza powoli wycofuje się z urabiania gruntu we Free Europe, Strzetelski odmawia współpracy, tłumacząc decyzję cięciami budżetowymi w sekcji w Nowym Jorku, a Gombrowicz, nie dając za wygraną, z jednej strony mobilizuje Giedroycia, by go wspierał i rekomendował u Nowaka-Jeziorańskiego, jednocześnie publikował oraz regularnie wypłacał honoraria, z drugiej zaś – pisze do Romana Palestra, wówczas szefa programu kulturalnego RWE w Monachium, z prośbą o dyskretną pomoc w nawiązaniu kontaktu z Nowakiem-Jeziorańskim i rekomendację. Trzeba jednak wspomnieć, że z Palestrem nawiązuje kontakt już w styczniu 1952, ale list, którego fragment przytoczę, dotyczy jedynie spraw muzycznych (pada w nim propozycja promocji muzyki kompozytora w Argentynie), których rozwinięcie pojawi się w kolejnym liście z 23 kwietnia 1953. Oto ciekawszy *passus* z korespondencji autora *Ferdydurke*, korespondencji dość skąpej zresztą, bo przetrwało jedynie siedem listów z większej ilości (świadczą o tym podejmowane w nich wątki): „Na tym kończę, gdyż po powrocie z Salsipuedes zastałem sporą kupę listów, o czym komunikuję z dumą. Podzielim całkowicie Pańskie zdanie, iż ja, a nie te osły, walczę z komunizmem. Byłbym szczęśliwy, gdyby Pan przy sposobności mógł zapoznać się z moją książką *Trans-Atlantyk* i *Ślub* – którą wydał szalony Giedroyc. Proszę nie gniewać się, że nie przesłałem Panu egzemplarza, ale Giedroyc wydzielił mi je w ilości niesłychanie skąpej i musiałem je przesłać osobom, które ewentualnie coś napiszą. Oczywiście gardzę muzykami (a jeszcze bardziej malarzami) i żadnemu z tych analfabetów nie dałbym mego utworu do ręki, choćby to był sam Beethoven, jednak co się tyczy Pana, widzę, że mam do czynienia z osobą, która umie pisać (a zatem i czytać). Czy czytał Pan Miłozsa? Jestem pod wrażeniem tej książki”<sup>5</sup>.

W kolejnym liście, z 10 listopada 1954, potwierdzają się próby pomocy Gombrowiczowi ze strony Palestra, ujawniają się także kło-

<sup>5</sup> List Gombrowicza do R. Palestra, w: Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

poty organizacyjno-kompetencyjne radia mającego na początku dwa miejsca emisji i dwa ośrodki przygotowujące programy: „Nie potrzebuję Panu mówić – pisze Gombrowicz do Palestra – jak zobowiązany jestem Panu za pomoc i cenne rady. Stuprocentowa dyskrekcja rozumie się sama przez się. Od Strzetelskiego, do którego napisałem coś w tym duchu, co teraz do Nowaka, otrzymałem odpowiedź deprymującą – mianowicie, iż »z ciężkim sercem« musi mi zakomunikować, że właśnie obcięto mu budżet [...]. Strzetelski bardzo życzliwie do mnie się odnosi, bardzo chwali moje teksty, ale nie wiem, czy to wykręt, czy prawda. [...] Mam do Pana jeszcze taką prośbę: przesłałem Piotrowskiemu w swoim czasie dwa teksty dla FE – jedna nowelka pt. *Moje cielesne przygody za granicą* oraz felieton o zjeździe filmowym w Mar del Plata. Jeżeli zdaniem Pana te rzeczy nadają się, aby pokazać je Nowakowi, proszę mu to dać – a jeśli nie, to nie. Dziwi mnie, że ten Piotrowski nawet słówkiem mi nie odpowiedział – może zaraził się od Straszewicza chorobą nieodpisywania na listy?»<sup>6</sup>.

Rok później prosi Palestra o radę i ewentualnie o protekcję w liście z 29 września 1954: „[...] mnie zależy na współpracy z FE, gdyż to dla mnie jedyne źródło dolarów, które wobec różnicy kursu przetwarzają się w pokaźną ilość pezów. Już jestem w kontakcie ze Strzetelskim, N. York i posyłam im coś co pewien czas. Dotychczas jednak pisywałem anonimowo [? – V.W.M.]. Obecnie postanowiłem zacząć współpracę pod moim nazwiskiem i chciałbym bardziej się w to zaangażować. Chodzi mi przede wszystkim o to, aby FE puściła fragmenty mego dziennika drukowanego w »Kulturze«. Mógłbym też pisać dla nich nowe fragmenty lub coś innego (pogadanki, powieść etc.). A w ogóle myślę, iż się nadają do tego, aby wejść w styczność z pewną przynajmniej grupą inteligencji w kraju, gdzie, jak się dowiaduję, wzbudzam pewne zainteresowanie. Kiedyś bardzo słusznie Pan zauważył, że jestem bardziej »anty bolszewicki« od

<sup>6</sup> Tamże.

wielu naszych autorów”<sup>7</sup>. Do współpracy dochodzi, ale jej warunki są dość zmienne i niezbyt jasne. Gombrowicz do korespondencji z Palestrem dołącza jakąś (jak pisze) pogadankę; jednak poza fragmentami dziennika, fragmentami później ogłaszanych utworów i odpowiedziami na ankiety RWE – nic nie przetrwało w formie dźwiękowej<sup>8</sup>.

Wróćmy zatem do korespondencji z Nowakiem-Jeziorańskim. Propozycje złożone dyrektorowi RWE w Monachium są powtórzeniem tych, które składał Strzetelskiemu. Odpowiedź Nowaka-Jeziorańskiego na pierwszy list Gombrowicza przychodzi niebawem. Jest rzeczowa, dotyczy ram programowych audycji nadawanych w RWE, polityki informacyjnej, formy i warunków wynagradzania współpracowników i odległości, jaka w tym przypadku dzieli pisarza od Europy. Odległość między Monachium i Argentyną zdaje się wstępnie dyskwalifikować pomysł Gombrowicza, bo – jak wiadomo – waga czynnika czasowego jako podstawowej presji, której podlega radiowe medium, winna być ogromna. Jest także niezbywalnym atutem, którego pominąć nie sposób, jeśli się poważnie myśli o dobrym radiu i sprawnym zespole redakcyjnym. Dlatego – dla pewności – Nowak-Jeziorański w liście z 19 listopada 1954 roku zadaje Gombrowiczowi zasadnicze pytania, od których uzależnia ewentualne dalsze uzgodnienia: „Przechodząc do projektowanych przez

---

<sup>7</sup> Tamże.

<sup>8</sup> Zachowała się jedna wypowiedź, wchodząca w skład audycji „W pracowniach intelektualistów polskich na Zachodzie” z 1965 roku (cykl: „Program Specjalny”, nr 2786): „Dłuższa choroba i podróże skomplikowały mi robotę w ostatnim roku. Dopiero teraz uporałem się z czterema rozdziałami *Dziennika*, dotyczącymi moich przeżyć w Berlinie. W najbliższym czasie mam zamiar zabrać się do napisania pięciu, a może dziesięciu stron, które będą zakończeniem powieści zaczętej jeszcze przed półtora rokiem w Argentynie. Potem? Może operetkę. Już kiedyś zacząłem ją pisać, ale mnie to znudziło. Wobec tego jednak, że moje sztuki teatralne *Iwona* i *Ślub* rozpoczęły wędrowkę po europejskich deskach scenicznych, może znów zabiorę się do teatru. Zobaczmy”. Tamże.

Pana form współpracy, pragnę przede wszystkim zapytać Pana, jak szybko otrzymuje Pan książki ukazujące się w Kraju. Mamy bowiem dążenie do możliwie najrychlejszego ich omawiania przez recenzentów znajdujących się w naszym zespole. Możliwość współpracy Pana w tej dziedzinie zależy w decydującym stopniu od odpowiedzi na postawione wyżej pytanie”. I szczegółowo odnosi się do propozycji Gombrowicza: „Na powieść radiową nie pozwalają nam szczególnie wypełnione ramy programu, tym bardziej, że obejmuje on już dwie stałe audycje tygodniowe zbliżone w swym typie do powieści radiowej. Z tych samych względów (brak miejsca w ustalonym na dłuższy okres programie) nie jesteśmy w stanie skorzystać z interesującej propozycji nadawania fragmentów *Dziennika*, znanego mi zresztą z »Kultury«.

Wspomina Pan o współpracy opartej na stałym kontrakcie. Niestety nie jest to możliwe ze względów organizacyjno-budżetowych. Wszystkie skrypty dla naszej radiostacji, przychodzące z zewnątrz, możemy traktować jedynie na zasadzie »Freelance« i honorarium za nie wypłacone jest »od sztuki«.

Największą obawę nasuwa odległość, która nas dzieli, a która – jak znam z doświadczenia – niestety bardzo utrudnia wzajemne zrozumienie i dostosowanie skryptów do całokształtu naszego programu”. Gombrowicz jednak bagatelizuje problemy sygnalizowane mu przez dyrektora RWE i w liście z 29 listopada 1954 roku odpisuje mu: „Bardzo mnie cieszy, że moja propozycja w zasadzie dogadza Panu – ale z tego, co Pan pisze, wynika, że nie będzie to łatwe do zmontowania.

Książek z Kraju bezpośrednio nie otrzymuję. Przypuszczam, że Panowie mają zorganizowany stały odbiór literatury krajowej – myślę więc, że książki, które miałbym omawiać, musiałyby mi być przesyłane przez Panów pocztą lotniczą, co trwałoby około 2 tygodni. Ewentualnie można by zorganizować przesyłanie książek wprost z Kraju, ale to również byłoby o wiele łatwiejsze dla Panów niż dla mnie. Kalkuluje, że cały ten proces, tj. przesłanie mi

książki, napisanie recenzji i przesłanie jej Panom potrwałoby ok. 5-6 tygodni.

Ale pośpiech nie byłby chyba decydującym czynnikiem przy omawianiu książek pewnego typu, więc przeprowadziwszy odpowiednią selekcję, można by te trudności ominąć”. Ostatecznie konkluduje: „Wobec tego, że jak się dowiaduję, stała współpraca z rozgłośnią jest niemożliwa, będę musiał szukać jakichś innych sposobów urządzenia się tutaj. Trudno mi więc powiedzieć w tej chwili, jaką ilością czasu będę dysponował. W każdym razie bardzo zależałoby mi na wyjaśnieniu, jakie istnieją możliwości współpracy, a także byłbym wdzięczny za przesłanie mi na razie jakichś luźnych tematów do opracowania – może coś z literatury hiszpańskiej lub południowoamerykańskiej (kilka tematów zaproponowałem w poprzednim liście)”.

Wymianę korespondencji w 1954 roku zamyka list z 10 grudnia, w którym Nowak-Jeziorański sugeruje odstąpienie od wszelkich projektów współpracy z Gombrowiczem na odległość; zresztą w tym samym czasie podobną i nieudaną próbę podjął ze Straszewiczem mieszkającym w Montevideo. W końcu stwierdza: „Im dłużej myślę nad możliwością współpracy na tak wielką odległość, tym większe ogarnia mnie zwątpienie. Jest po prostu niemożliwością dla nas, abyśmy wysyłali książki z Kraju do Ameryki Południowej, mając wszelkie możliwości opracowania recenzji na miejscu. Zależało nam bardzo na utrzymaniu współpracy z p. Straszewiczem. Niestety, z chwilą kiedy znalazł się w Montevideo, okazało się to praktycznie niewykonalne.

Jeśli natomiast kiedykolwiek przyjedzie Pan do Europy, proszę uprzedzić mnie o tym, a z największą przyjemnością nawiążę z Panem kontakt i wówczas na pewno znajdę okazję nagrania co najmniej kilku programów”.

Zabiegi wokół spraw pisarza nie zostaną jednak przerwane, jak mogłoby się wydawać w świetle dość kategorycznej odmowy dyrektora RWE. Już w marcu 1955 roku Nowak-Jeziorański otrzymuje list od Giedroycia, w którym ten ostatni sonduje możliwość czaso-



wego przyjazdu Gombrowicza do Europy, zabiega także o kilkumiesięczną pracę w rozgłośni. Argumentuje to następująco (list z 4 marca 1955): „Zawsze zanudzam pana personaliami. W czasie naszego ostatniego spotkania mówiliśmy o Parnickim i o Gombrowiczu. Mam pewne plany, które pozwoliłyby może na znalezienie pieniędzy na bilet dla Gombrowicza *allez et retour* do Europy. Czy w takim wypadku mógłby go Pan wtedy zaangażować na parę miesięcy do Monachium, jak w swoim czasie Straszewicza, może byłby pożyteczny dla Pana, a dla niego byłaby to duża pomoc materialna i moralna. W czasie pobytu w Europie mógłby bowiem pchnąć sprawę przekładów swoich książek”<sup>9</sup>. Odpowiedź dyrektora RWE jest jednak odmowna, niemniej nie zraża to Giedroycia, który nadal myśli o uruchomieniu pomocy finansowej dla pisarzy będących w wyjątkowo kiepskiej sytuacji materialnej – zatem nie tylko zabiega o Gombrowicza. Stara się o fundusze dla Parnickiego, Bobkowskiego i Stempowskiego. Porozumienie Giedroycia i Nowaka-Jeziorańskiego w tej ostatniej sprawie wieńczy sukces: Komitet Wolnej Europy od 1956 roku funduje stypendia pisarzom polskim żyjącym poza granicami USA; na początku wypłacane były one przez sześć miesięcy, z czasem pojawiła się możliwość ich kilkukrotnego przedłużenia. Taki stan udało się utrzymać do 1958 roku.

Niestety – w styczniu 1958 Gombrowicz traci prawo do stypendium w ramach Komitetu Wolnej Europy, co ponownie mobilizuje „Kulturę” do starań i wychodzenia przez Giedroycia z kolejnymi projektami, które miałyby szansę w radio. Ostatecznie powrócono do pierwotnego pomysłu związanego z publikacją dziennika, pomysłu, który pozwoliłyby zawrzeć pisarzowi nowy kontrakt z rozgłośnią. To, co można było pod presją utraty dochodów szybko przedsięwziąć, to powrót do zamysłu nadawania w cyklicznej formie fragmentów *Dziennika*. Tym razem jednak – jak się zdaje – propozy-

---

<sup>9</sup> Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy 1952–1998*, wybór i opracowanie Dobrosława Platt, Wrocław 2002, s. 63.

cja nie wychodzi od Gombrowicza, ale od rozgłośni w Monachium. Rok 1958 – to okres jakościowej zmiany w kontaktach Gombrowicza z RWE, choć paradoksalnie sam pisarz w tym czasie zdawał się mniej skłonny do współpracy. „Giedroyc doniósł mi w swoim czasie o Pańskiej bardzo interesującej propozycji udzielenia mi stałej cotygodniowej audycji – czytamy w liście Gombrowicza do Nowaka-Jeziorańskiego z 4 lipca 1958 roku – ale to jest niestety ponad moje siły – nie podołałbym temu, bo jestem osłabiony chorobą, a po wtóre mój gatunek literacki chyba nie nadaje się do tak częstego kontaktu ze słuchaczem, wyczerpałbym się za szybko. Ale najserdeczniej dziękuję za myśl”.

Wpływ na zmianę nastawienia RWE w 1958 roku do osoby pisarza mogły mieć publikacje paryskiej „Kultury” (np. 1958, nr 5), jawnie polemizujące i krytykujące kulturalną strategię rozgłośni. Zarzuty polemistów paryskiego pisma dotyczyły wówczas głównie dwu spraw: zrutynizowania i zurzędniczenia stałych pracowników radia, błędnej – ich zdaniem – strategii oparcia się na „stałych uprzywilejowanych dostawców” tekstów, miast na freelancerach mieszkających w różnych częściach świata. „Kultura” podkreślała nadto systematyczne lekceważenie w audycjach RWE pisarzy emigracyjnych, o których głośno było w kraju, takich jak: Stempowski, Miłosz, Parnicki czy oczywiście – Gombrowicz.

Echa publikacji „Kultury” pobrzmiewają też w liście z 4 listopada 1958 roku, którego autorem jest Jan Nowak-Jeziorański, adresatem – Konstanty A. Jeleński – bliski współpracownik pisma, i gdzie poza innymi sprawami, o których traktuje list, widać zmianę nastawienia dyrektora RWE do autora *Ferdynandurke*. W efekcie rozmaitych zabiegów i presji, Nowak-Jeziorański ostatecznie zawiera krytyce literackiej, osobiście autorytetowi Jeleńskiego, a także koniunktury na dzieło Gombrowicza w kraju. Zmienia swój stosunek do pisarza. We wspomnianym liście do publicysty „Kultury” (który wyprzedza nieco chronologię niniejszej korespondencji) dyrektor radia pisze: „Pragnę Panu bardzo serdecznie podziękować za przesłanie

mi francuskiego egzemplarza *Ferdydurke* Gombrowicza z tak miłą i cenną dla mnie dedykacją Pana. Gratuluję równocześnie wydania francuskiego, które – przekonany jestem – wywoła zainteresowanie francuskiego czytelnika. W tym samym dniu, w którym otrzymałem od Pana egzemplarz, nadaliśmy wiadomość do kraju o ukazaniu się francuskiego wydania, a p. Roman Palester – idąc za sugestią Zygmunta Michałowskiego – przygotowuje audycję, będącą obszernym powtórzeniem Pańskiego wstępu w przekładzie na język polski. Gdy ukaże się pierwsza recenzja i gdy będzie już można powiedzieć kilka słów o przyjęciu, z jakim książka się spotkała, chciałbym nagrać z Panem krótki wywiad. Wdzięczny będę, jeśli Pan zechce przypomnieć o tym we właściwym czasie p. Michałowskiemu.

Nawiasem informuję Pana, że nadamy niedługo siedem fragmentów *Dziennika* nagranych głosem autora. Oprócz tego nasza filia nowojorska próbuje z mojego polecenia nawiązać bardziej regularną współpracę z Gombrowiczem<sup>10</sup>.

Wróćmy zatem do przywołanych przed chwilą fragmentów *Dziennika*. Pomysł jego nadawania przez radio przypadł ostatecznie Gombrowiczowi do gustu, wydał się mu także ze wszech miar ważny i pożyteczny (ważny również – co warte odnotowania – z powodów politycznych), zgodny z postulatami sprzed czterech lat: „[...] korzystam ze sposobności – pisze w liście z 4 lipca 1958 roku do Nowaka-Jeziorańskiego – żeby ze swej strony nadmienić, iż naprawdę wydaje mi się ta propozycja jak najbardziej interesująca w tej chwili dla FE.

Jak mnie informują z Kraju, wydanie krajowe *Dziennika*, długo wałkowane podobno na »najwyższych szczeblach«, zostało w końcu utracone.

Z drugiej strony *Dziennik* znany jest wielu czytelnikom i wywołał bardzo istotne zainteresowanie. Prasa krajowa pisze o nim jak o sensacji i jak o jednym z najpoważniejszych osiągnięć litera-

<sup>10</sup> List znajduje się w Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego w Ossolineum.

ckich na przestrzeni wielu lat. Książka okazała się też lekturą bardzo atrakcyjną dla przeciętnego czytelnika, a rozmaite jej idee na pewno »na czasie«. Wzbudza więc on dzisiaj prawdziwą ciekawość, jest utworem zabronionym i w dodatku proklamacją – w skali poważnej – indywidualizmu polskiego, jakże nieustępliwą. Spopularyzowanie więc tej książki przez FE jest chyba, bez przesady mówiąc, jednym z najbardziej istotnych zadań na odcinku kultury, przynajmniej w dziale książek em. [emigracyjnych] – tak mi się to wydaje i chyba nie oddaję się złudzeniom”.

W kwestii popularności *Dziennika* i możliwości nadawania go w RWE, Nowak-Jeziorański pisze w liście z 22 lipca 1958 roku: „Zainteresowanie *Dziennikiem* w Kraju jest istotnie bardzo duże. Chociaż książka nie ukazała się w Polsce, sporo egzemplarzy przedostało się tam z Zachodu. Książka jest więc dość szeroko znana w kołach inteligenckich, co list Pański potwierdza. Audycje przytaczające fragmenty *Dziennika* nie były wprawdzie w Polsce nowością, ale stałyby się interesujące, gdyby dały czytelnikowi bardziej bezpośredni kontakt z autorem aniżeli słowo drukowane, a więc gdyby fragmenty odczytane były przez Pana. Przypuszczam, że w miejscu Pańskiego zamieszkania nie byłoby trudno znaleźć studio radiowe, które za odpowiednią opłatą podjęłoby się nagrywać teksty i przysyłać je pocztą do Monachium. Propozycja moja jest następująca: prosimy Pana o wyszukanie i wskazanie adresu miejscowej firmy, która podjęłaby się nagrywania tych programów. [...] Następnie zaproponujemy Panu do nagrania siedem fragmentów przez nas wybranych, odpowiadających każdy długości 9 minut. (Granice te narzucają nam konieczności natury technicznej). Honorarium nasze wynosi \$25 – od audycji odczytanej przez autora”. Przy tej okazji jednak nie omieszkał dać Gombrowiczowi do zrozumienia, że radio jest instytucją specyficzną, innym rodzajem medium, różniącym się od paryskiej „Kultury”, wymagającym także odmiennych środków ekspresji; instytucją, która adresuje swoje programy do wielu odbiorczych kręgów – do słuchaczy czę-

sto przypadkowych i mało wyrobionych. „Pragnę również zupełnie szczerze podkreślić na wstępie – stwierdza stanowczo Nowak-Jeziorański – że nie znajdujemy się w tak szczęśliwej sytuacji jak na przykład paryska »Kultura«. Po pierwsze – nie jesteśmy pismem przeznaczonym dla pewnej określonej kategorii odbiorców o mniej więcej jednolitym poziomie i zainteresowaniach, lecz przypominamy raczej wielki dom towarowy, gdzie musi się znaleźć wszystko dla wszystkich. Innymi słowy, jak każda radiostacja, jesteśmy instrumentem masowego oddziaływania i musimy starać się o zaspokojenie gustów i zainteresowań ludzi o bardzo różnym stopniu wyrobienia i poziomu umysłowego. Po drugie – działamy w obcych, amerykańskich ramach i musimy liczyć się z ograniczeniami, na które nie mam wpływu. Sądzę, że zechce Pan wziąć tę trudną naszą sytuację pod uwagę, a piszę o tym na samym wstępie dlatego, by uniknąć na przyszłość jakichkolwiek niepotrzebnych nieporozumień między nami”. Podkreśla ponadto, że niechętnie podejmuje współpracę pod naciskiem osób trzecich (to aluzja do – w jego mniemaniu – niefortunnego ataku „Kultury” na RWE).

Można odnieść wrażenie, że Nowak-Jeziorański „uczula się” na Gombrowicza, który w ataku paryskiego pisma został użyty jako przykład pisarza znaczącego i popularnego, a przez rozgłoszenie lekceważonego i pomijanego, choć jednocześnie rzeczowo i skrupulatnie ustala warunki pierwszego kontraktu z autorem. Gombrowicz także szybko pojmuje, że naciski wywierane na dyrektora radia, niezależnie skąd by miały pochodzić, odnieść mogą skutek odwrotny do zamierzonego, dlatego bez zwłoki ripostuje w kolejnym doń liście. „Sądzę – pisze 1 sierpnia 1958 roku – [...] że nie trzeba w tych materiałach tracić zdrowego rozsądku, i rozumiem doskonale, że Pańska rozgłoszenia musi pracować na rozmaitych szczeblach. Może Pan być spokojny, na pewno nie będę »naciskał«; natomiast jest możliwe, że będę się starał Pana przekonać, iż jest na czasie wykorzystanie mego *Dziennika* w szerszej skali, niż Pan proponuje, tzn. jeśli obecnie projektowane audycje będą miały oddźwięk. I na wszelki

wypadek radziłbym, żeby wybór obecny sporządzić w ten sposób, aby ewentualnie mógł pójść ciąg dalszy”. Dodaje też rzecz ciekawą na marginesie redagowania wersji radiowej *Dziennika* (chodzi o deklaracje polityczne pisarza): „I jeszcze jedno w związku z wyborem fragmentów. Ja, jak Pan wie, jasno formułuję moje poglądy, także polityczne – ale nie jestem pisarzem politycznym, i myślę, że dlatego właśnie bywam dla niektórych bardziej przekonujący. Otóż należałoby uniknąć nadmiernej ilości materiału politycznego, antykomunistycznego, żeby to nie wyglądało na »propagandę«. Im mniej, tym lepiej. Moja literatura działa nie tym, że »antykomunistyczna«, a tym, że z ducha indywidualistyczna.

Jeśli te audycje miałyby być poprzedzone jakimś słowem wstępnym, bardzo proszę o przesłanie mi tekstu do zatwierdzenia”.

Ostatecznie wykaz siedmiu fragmentów z *Dziennika* otrzymał pisarz pod koniec września 1958 roku, nagrał je w Buenos Aires i pocztą lotniczą odesłał do Monachium. Słowo wstępne już na miejscu w Monachium skreślił i wygłosił Czesław Straszewicz, przybyły na stałe z Urugwaju w 1956 roku. Pierwsza część dziennika w wersji radiowej z nielicznymi skrótami odpowiada zapisowi „Piątku” *Dziennika 1953–1956*, a poprzedzona zostaje dowcipnym, miejscami ironicznym w tonie, ale dobrodusznym w intencji, słowem Straszewicza (nie wiemy jednak nic na temat konsultacji skreślonego przez kompana z „Chrobrego” wstępu). Najpierw jednak kilka zdań spikerskiego wprowadzenia do pierwszej audycji Gombrowicza i o Gombrowiczu w RWE: „Witold Gombrowicz jest pisarzem, który od pewnego czasu wywiera bardzo duży wpływ na polską młodzież literacką. Te jego książki, które ukazały się w kraju, rozeszły się niezmiernie szybko. Ale nie cały dorobek pisarski Gombrowicza dostępny jest czytelnikowi krajowemu. Nie ukazały się znakomite *Dzienniki*, w których autor notuje z dnia na dzień swoje refleksje i spostrzeżenia. Aby wypełniać lukę, postanowiliśmy nadać państwu fragmenty z *Dzienników* Gombrowicza w cyklu audycji, z których

pierwszą usłyszą państwo za chwilę. Zanim Witold Gombrowicz rozpocznie czytanie fragmentów swoich *Dzienników*, oddamy głos Czesławowi Straszewiczowi, który wygłosi kilka słów wstępu”. Po chwili z taśmy rozlega się głos Straszewicza: „Prezentować Witolda Gombrowicza – fatyga całkiem zbędna. Znają go przecież wszyscy, którzy się cokolwiek interesują literaturą. O żadnym współczesnym pisarzu polskim nie mówi się w kraju tyle, co właśnie o nim. Tylko głosu Gombrowicza nikt w Polsce nie słyszał od blisko lat dwudziestu i nawet przyjaciele zapewne nie przypominają sobie jego brzmienia. Prezentuję zatem nie tyle Gombrowicza, co jego żywy głos... Naszym stałym słuchaczom powiem tylko od siebie: Gombrowicz nie jest pisarzem z jedną, dwiema lub trzema gwiazdkami. Gombrowicz ma własną rangę w swojej własnej armii. Jest kotem, który chodzi własnymi, bardzo dziwnymi drogami. Budzi zachwyt, a tak samo potrafi budzić pretensję i niechęć. Budzi Sandauerowski entuzjazm i potrafi wzbudzić Gomułkowską odrazę. Jedno tylko jest pewne, że zawsze powoduje reakcje za lub przeciw. Smakuje jak burgund lub jak ocet – ale nigdy jak ciepła woda. Nazwałem go kiedyś drożdżami. Same drożdże nie zawsze smakują najlepiej, ale ciasto na nich wyrosłe jest wyborne.

To, co za chwilę Gombrowicz zacznie mówić, nie jest ani nasze, ani radiowe – tylko wyłącznie jego własne. Jego sztuka, jego pomysłu- nek, jego pisarska odpowiedzialność. Podoba się czy się nie podoba, trafi do przekonania czy nie trafi, da sobie radę ze słuchaczem czy nie da – jego rzecz. A ponieważ tak się działo, iż losy Gombrowicza i moje często zachodziły na siebie, jak kartki papieru w maszynie do pisania, z satysfakcją otwieram ten cykl słowem starej przyjaźni, datowanej na »Chrobrym«. Pana jest głos, panie Witoldzie!”<sup>11</sup>.

Gombrowicz mówi: „Poniedziałek: Ja. Wtorek: Ja. Środa: Ja. Czwartek: Ja. Piątek: piszę ten dziennik z niechęcią...”.

---

<sup>11</sup> *Archiwum radiowe Czesława Straszewicza*, opracowała Violetta Wejs-Milewska, „Kresy” 2001, nr 3, s. 240-241.

Należy dodać w tym miejscu, że z siedmiu fragmentów *Dziennika* w archiwum radia zachował się tylko ten pierwszy. Kolejne – jak twierdzi Konrad W. Tatarowski – wieloletni pracownik rozgłośni – były nadawane w marcowych „Programach specjalnych” w 1959 roku<sup>12</sup>. W efekcie – ten konkretny i trudny technicznie projekt otworzył przed Gombrowiczem drogę do RWE, zostały także ustalone regularne kontakty i sposoby współpracy na odległość. Osobą, która od 1958 roku przyjmowała korespondencje i skrypty audycji Gombrowicza, był Karol Wagner-Pieńkowski, wicedyrektor Rozgłośni Polskiej w Nowym Jorku, i on – jak wynika z dopisków lub załączników do korespondencji – przysyłał Nowakowi-Jeziorańskiemu do Monachium teksty Gombrowicza, które opatrywał uwagami, a właściwie recenzował w kilku słowach: „bardzo dobre” albo „zasługuje na uwagę”.

W bogatej korespondencji Jana Nowaka-Jeziorańskiego znajdują się ślady wymiany listów między Gombrowiczem a Wagnerem-Pieńkowskim – są zatem przesłanki, by sądzić, że pisarz musiał dość systematycznie przysyłać materiały do nowojorskiego oddziału Free Europe, za które otrzymywał także honoraria 50-70-dolarowe, a z czasem ponownie zryczałtowane stypendium. Zdaje się, że od 1958 roku Gombrowicz funkcjonuje na prawach stałego współpracownika radia, o czym może świadczyć list Nowaka-Jeziorańskiego kierowany do pisarza. Czytamy w nim: „Otrzymałem za pośrednictwem p. Karola Wagnera dwa Pańskie felietony, które wkrótce u nas pójdą. Zależy mi bardzo na tym, by uniknąć zamieszania, które mogłoby łatwo powstać, gdyby sprawy Pańskiej współpracy były załatwiane równocześnie w korespondencji z p. Wagnerem w Nowym Jorku i ze mną w Monachium. Ponieważ zamieszkuje Pan na kontynencie amerykańskim, więc najlepiej będzie, jeśli Pan

---

<sup>12</sup> Konrad W. Tatarowski, *Literatura i pisarze w programie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa*, Kraków 2005, s. 170-171.



będzie kierował teraz wszystkie swoje listy do p. Wagnera w Nowym Jorku. Przesyłam mu odpis Pańskiego ostatniego listu i niniejszej mojej odpowiedzi, z prośbą, by kontynuował korespondencję i dalszą współpracę z Panem” (list z 12 sierpnia 1958).

Nie zachowały się – jak wiemy – w archiwum RWE taśmy sześciu pozostałych audycji opartych na *Dzienniku*, nie zachowały się także inne szkice w postaci skryptu, które Gombrowicz – jak można sądzić – do radia *via* Wagner-Pieńkowski przesyłał. Jednym z nich mógł być znany nam z publikacji „Kultury” szkic *Gęba i twarz* drukowany po latach (1977, nr 9) z komentarzem, że nie był nadany w RWE. Drugim – *Dyskusja radiowa, która nie doszła do skutku*, publikowany we *Wspomnieniach polskich* Gombrowicza w 1990 roku<sup>13</sup>. Ale nie tylko. Publikacja *Wspomnienia polskie. Wędrowki po Argentynie* zawiera felietony i szkice z lat 1958–1959 – co wynika pośrednio z ich treści, pozostałe szkice datowane są na lata: 1960 i 1961. I rzeczywiście mogą to być materiały, na które powołują się w listach do siebie zarówno Wagner-Pieńkowski, jak i Nowak-Jeziorański, a które po latach zostały znalezione w materiałach Gombrowicza. Sprawa wspomnianych felietonów staje się jeszcze mniej jasna, szczególnie w świetle odpowiedzi, jakiej udzielił dyrektor radia Giedroyciowi w 1977 roku na pytanie o losy audycji pisanych przez autora *Trans-Atlantyku* do RWE. Nowak-Jeziorański wówczas odpowiedział: „Przekonany jestem, że zachodzi tu jakieś nieporozumienie. Po tylu latach pamięć może wprawdzie zawieść, ale nadanie dwóch długich cykli tak wybitnego pisarza nie mogłoby ująć mojej uwagi i pamięci. Twierdzę więc, że ani *Wspomnienia polskie*, ani *Watęsam się po Argentynie* nie były przez nas nadawane.

Współpraca z pisarzami i dziennikarzami na zachodniej półkuli znajdowała się w gestii Karola Wagnera. Po otrzymaniu Pańskiego

---

<sup>13</sup> Witold Gombrowicz, *Wspomnienia polskie. Wędrowki po Argentynie*, Warszawa 1990.

listu próbowałem porozumieć się z nim telefonicznie, lecz – niestety – przebywa on na miesięcznym urlopie.

Na wciągnięciu Gombrowicza do naszych programów zawsze mi zależało. Nie chciał on jednak pisać do radia, twierdząc, że ta forma mu nie odpowiada. Przez wiele lat utrzymywał się ze stypendium Komitetu Wolnej Europy. Administracja amerykańska narzuciła przepis, że stypendystom nie można wypłacać honorarium za ich skrypty. W pewnym zaś momencie uzależniano stypendia od współpracy z programem. Zarówno Wagnerowi, jak i mnie zależało na tym, aby Gombrowiczowi nie cofnięto stypendium. Rozmawiał z nim Wagner i – jeśli mnie pamięć nie myli – stanęło na tym, że dla uspokojenia Amerykanów, Gombrowicz przyśle ze swojej teki jakieś rzeczy, które już albo drukował, albo przeznacza do druku. Dzięki temu wybiegowi udało się stypendium utrzymać. [...] Odkrycie zeszytów, pisanych dla naszego radia, jest więc dla mnie zupełną zagadką”<sup>14</sup> (list z 23 stycznia 1977).

Być może klucz do tej zagadki rzekomej spuścizny radiowej Gombrowicza spoczywa w archiwaliach Wagnera-Pieńkowskiego. Może w archiwaliach Strzetelskiego. Na razie musimy jedynie zadowolić się przesłankami. W świetle kilku listów wicedyrektora rozgłośni do Nowaka-Jeziorańskiego można nabrać pewności, że Gombrowicz do radia pisze i to pisze dość systematycznie (niewątpliwie muszą go mobilizować honoraria i wymóg Komitetu Wolnej Europy). W jednym z listów do Karola Wagnera-Pieńkowskiego, z 8 października 1959 roku, możemy znaleźć potwierdzenie owej radiowej aktywności pisarza: „Załączam dwie nowe audycje – donosi Gombrowicz. Jak zawsze będę wdzięczny, gdyby mogły pójść bez większej zwłoki, gdyż jeśli uda mi się uzyskać od Was 50 dol. miesięcznie jako minimum, budżet mój jako tako będzie zipsał. Tutaj, jak może Panu wiadomo z gazet, katastrofa finansowa, rząd stosuje drakońskie środki, a koszt utrzymania galopuje wzwyż piorunująco.

<sup>14</sup> J. Nowak-Jeziorański, J. Giedroyc, *Listy 1952–1998*, dz. cyt., s. 394–395.

Pięknie dziękuję za przesłanie 70 dol. Za tamte teksty”. Na wieść o przyjeździe Gombrowicza do Berlina, 23 sierpnia 1963 roku, Nowak-Jeziorański noszący się z zamiarem zaproszenia pisarza do Monachium skreśla doń kilka miłych słów: „Już dawno nosiłem się z zamiarem, aby do Pana napisać i nawiązać bezpośredni kontakt. Odległość z Monachium do Berlina mierzy się dwiema godzinami lotu. To tak jak przed wojną przejażdżka z Siedlec do Warszawy. Jesteśmy więc prawie sąsiadami i mieszkając o miedzę, bardzo pragnęlibyśmy Pana poznać. Ponieważ nie możemy niestety wybrać się gremialnie do Berlina, bo jest nas tu z górą setka, więc zapytuję uprzejmie, czy zechciałby Pan przylecieć do Monachium na 2-3 dni. Skorzystalibyśmy z tej okazji, aby nagrać z Panem wywiad na temat Pańskiej obecnej działalności pisarskiej, planów na przyszłość itd. Tadeusz Nowakowski byłby Pańskim rozmówcą. [...] Jeśliby Pan uznał, że ta proponowana podróż jest zbyt kłopotliwa i fatygująca – mógłbym poprosić Nowakowskiego, aby odwiedził Pana w Berlinie i nagrał wywiad na miejscu. Byłoby mi jednak doprawdy żal utracić cenną okazję poznania Pana i przedstawienia Panu moich Kolegów”.

Z propozycji Nowaka-Jeziorańskiego pisarz nie chce skorzystać, nigdy także nie spotka się z nim osobiście, odpowiada mu jedynie projekt nagrania wywiadu. Swoją odmowę przyjazdu do Monachium usprawiedliwia następująco: „[...] jak najłaskawiej dziękuję za tak miłe zaproszenie, ale, niestety, nie da się zrobić. Mnie każda podróż, nawet niewielka, wytrąca z równowagi na czas dłuższy, a teraz jestem w trakcie użerania się z finałem mojej nowej powieści, dosyć trudnym, i nie mogę sobie pozwolić na takie luksusy. Mam nadzieję, że co się odwlecze, to nie uciecze, i wcześniej czy później zawitam w Monachium, aby ucieleśnić, że tak powiem, naszą już długoletnią znajomość.

Gdyby pan Nowakowski zechciał tu do mnie zajrzeć, byłbym się ucieszył i tym bardziej, że mógłbym mu osobiście podziękować za piękne dyskursy, jakimi mnie przepychał niedawno przez ucho igielne nagrody »Wiadomości«.

Jeszcze raz dziękuję i proszę mi wierzyć, że z wielką przyjemnością zjrzałbym do Panów, ale trudno i darmo, muszę skoncentrować się na robocie”. Wywiad przeprowadzony 22 września 1963 roku zapewne nadało monachijskie radio, a materiał zamieszczony został po raz wtóry w piśmie „Na Antenie”.

W 1964 roku wysłał pisarz do radia fragment *Kosmosu* oraz odpowiedział na dwie ankiety w RWE. Jedna dotyczyła stulecia urodzin Żeromskiego<sup>15</sup>, druga – problemu „Co to jest sprawiedliwość społeczna”. W korespondencji Nowaka-Jeziorańskiego z pisarzem pozostała jego notatka świadcząca o spełnieniu tej drugiej prośby RWE. W notatce czytamy: „Szanowny Panie, załączam ten krótki tekścik, który może się przyda jako odrobina pieprzu, i łączę najlepsze pozdrowienia. WG”. Gombrowicz otrzymał nagrodę radia za *Operetkę* w roku 1967, co niewątpliwie było nie tylko symbolicznym, ale i wymiernym wkładem instytucji, z którą wiązały go rozmaite perypetie, głównie jednak finansowo-bytowe. W tej sprawie w liście z 31 marca pisze do dyrektora RWE: „Czuję się bardzo zaszczycony tym, że moja *Operetka* uzyskała nagrodę. To wyróżnienie jest dla mnie tym cenniejsze, iż pochodzi od instytucji, która w najcięższym okresie mojej biedy argentyńskiej umożliwiła mi swymi zasiłkami pracę pisarską. Kto wie, czy bez tej pomocy ze strony Radia Wolna Europa, byłbym w stanie utrzymać się na powierzchni, jako pisarz. Pragnę więc podziękować za nagrodę i zarazem za życzliwą pomoc”. I dopisek – dość zaskakujący – „P.S. prywatne: to tak oczywiście na wypadek gdyby Pan chciał ogłosić przez radio lub w »[Na] Antenie«”.

Odpowiedź Nowaka-Jeziorańskiego na ów wyjątkowo przyjaźnie brzmiący list przychodzi niebawem: „Czuję się bardzo ujęty Pańskim listem i upoważnieniem do ogłoszenia go. Cokolwiek w moim własnym bardzo skromnym zakresie starałem się uczynić dla zała-

---

<sup>15</sup> Tekst odpowiedzi na ankietę znajduje się w publikacji: Witold Gombrowicz, *Publicystyka, wywiady, teksty różne 1963–1969*, Kraków 1997, s. 479.

twienia Panu egzystencji, wynikało z poczucia obowiązku wobec Wielkiego Pisarza. Cenię sobie Pańskie słowa, tym bardziej że ludzie, którym staramy się pomagać, nie psują nas na ogół oznakami wdzięczności”. Dyrektor radia ogłosił list pisarza w piśmie „Na Antenie”<sup>16</sup>, zgodnie zresztą z jego wyraźną sugestią.

Inny wymiar kontaktów Gombrowicza z rozgłośnia, począwszy od 1961 roku, sprowadzał się – jak się zdaje – do jednostronnej korespondencji, której treść stanowiły „problemy pisarza” – w jego odczuciu – dręczonego przez niesprawiedliwą, histeryczną i nonszalancką krytykę, nie tylko emigracyjną i krajową, ale i europejską. Systematycznie przysyłał dyrektorowi RWE wycinki z prasy europejskiej na swój temat, z jednej strony na dowód rosnącej popularności własnej osoby, z drugiej zaś – z myślą o tym, by radio rozprawiało się z przeciwnikami (tego tematu dotyczą listy kierowane do Nowaka-Jeziorańskiego z 8 października 1959, 16 maja 1961, 18 października 1963 roku). Chodziło Gombrowiczowi głównie o nieprzychylne komentarze w związku z jego decyzją przyjazdu do Berlina, warunkami, a także zobowiązaniami zeń wynikającymi. Największą burzę wywołała jednak kwestionowana przezeń i szeroko w Polsce komentowana rozmowa z Barbarą Witek-Swinarską<sup>17</sup>.

Nowak-Jeziorański proponuje Gombrowiczowi polemikę i stawia do dyspozycji antenę RWE, rozumiejąc, że pisarz zabiega o publiczną dyskusję i obronę własnych racji. Jednak autor *Ferdydurke* nie korzysta z tej propozycji i w ramach rozgłośni nie podejmuje polemiki z krytyką, choć w tym samym czasie odpowiada swoim interlokutorom i przeciwnikom na łamach „Kultury” – czym, jak nietrudno zgadnąć, wpływa na ochłodzenie stosunków z RWE. W li-

<sup>16</sup> „Wiadomości” 1966, nr 29.

<sup>17</sup> Por.: Rita Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie 1963–1969*, Kraków 1997, s. 225–240. Interesujące mogą być ustalenia Joanny Siedleckiej dotyczące współpracy Witek-Swinarskiej ze służbami specjalnymi PRL-u. Zob.: Joanna Siedlecka, *Jaśnie Panicz. O Witoldzie Gombrowiczu*, Warszawa 2011, s. 289.

ście do dyrektora radia z 3 stycznia 1964 roku, mającym tłumaczyć jego stanowisko, wypowiada się w charakterystycznej dla siebie „zaczepno-obronnej” poetyce. Owa wypowiedź mniej mówi o samej sprawie, nie tłumaczy bowiem kaprysów pisarza, za to więcej o nim samym. To emanacja autorskiego egocentryzmu, głos pisarza pragnącego być uosobieniem wolności ducha, symbolem wszelkiej niezależności – niezależności od Polaków, polskości, rozmaitych więzi, nawet tych najbardziej naturalnych. Riposta w liście Gombrowicza na ataki krytyki jest następująca: „Ja nie jestem atakowany jako Gombrowicz – odpowiada Nowakowi-Jeziorańskiemu – tylko jako pisarz polski na emigracji, niewygodny dlatego, że ma wpływ na umysły w Kraju, prestiż w Europie, że przebywa w Berlinie etc. Obstrzeliwuje się mnie błotem jako pisarza walczącego. Czy to jest temat dla Panów interesujący [chodzi o RWE – V.W.M.], nie mnie o tym sądzić.

Jedno jest pewne: odmowa poparcia ludzi takich jak ja, uosabiających najbardziej stanowcze i niewątpliwe dążenie ducha polskiego do wolności i niezależności, spotkałaby się na pewno z entuzjastyczną aprobatą rządu warszawskiego”.

Załagodzenie sporu i oczyszczenie atmosfery pojawia się już w następnych listach z 12 i 15 lutego 1964 roku. Od 1963 roku – poza odpowiedziami na ankiety – Gombrowicz nie pisze do radia, a to, co przesyła, to w istocie fragmenty przyszłych książek (np. do jednego z listów dołączony jest fragment *Kosmosu*). Stosuje także strategię posyłania szkiców, które są bliskimi wariantami tematów już wcześniej podjętych. Nowaka-Jeziorańskiego natomiast interesuje materiał nowy, pisany specjalnie z myślą o radiu, na zamówienie i na konkretne tematyczne zapotrzebowanie. Że był to w kontaktach RWE z Gombrowiczem pewien istotny problem, niech świadczy fragment listu dyrektora rozgłośni, w którym zastrzega on sobie prawo do honorowania jedynie tekstów oryginalnych, podkreśla nadto, że jest to warunek niezbędny do wypłacania honorarium. Pisze o tym w liście, którego treść sprowadza się głównie do per-

turbacji stypendialnych Gombrowicza: „Zawsze jestem do dyspozycji – czytamy w liście z 2 lutego 1968 roku – gdyby Pan zechciał coś dla nas napisać. Oczywiście współpraca byłaby honorowana pod warunkiem, że teksty nie zostały nigdzie ogłoszone”.

Należy zauważyć, że od czasu, kiedy pisarz znalazł się w Europie, paradoksalnie jego związki z radiem osłabły. Ograniczał się wówczas do pobierania stypendium Komitetu Wolnej Europy, wymagał także (i był w tej kwestii dość chimeryczny), by radio odgrywało rolę propagandowej tuby „Wielkiego Pisarza” i niemal całą energię zużywał na informowanie Nowaka-Jeziorańskiego o tym, co się wokół jego spraw dzieje.

Trzeba wziąć pod uwagę i to, że kiedy Gombrowicz zamieszkał w Europie, zaczął zapadać na zdrowiu; czuł się coraz gorzej, był też zmęczony. Resztki sił wykorzystywał na poprawienie spraw bytowych, niepokoił się o swoje socjalne bezpieczeństwo, chciał żyć w miarę wygodnie i dostatnio. I właśnie ta ostatnia kwestia stanowi najobszerniejszą część korespondencji z dyrektorem radia. Pisarz w listach do RWE określa własną kondycję jako „heroiczną” z powodu finansowego minimum, w którym przyszło mu trwać na obczyźnie od lat (trzeba zauważyć, że o tych sprawach pisze z dużą przesadą, bo przecież na emigracji nie był wyjątkiem). Jego finansowe perypetie, a chodzi głównie – jak się później okazało – o kolidowanie dwu wykluczających się stypendiów: stypendium Komitetu Wolnej Europy i Fundacji Forda, dokumentują właściwie wszystkie listy do Nowaka-Jeziorańskiego. Niewątpliwie jednak listy z 1966 roku i późniejsze, napisane tuż przed śmiercią, tylko tej sprawy dotyczą.

Dyrektor RWE – w miarę swoich możliwości – podejmuje próbę zaradzenia przykrym konsekwencjom utraty świadczenia Komitetu. W tym celu wielokrotnie kontaktuje się z nowojorskimi władzami Free Europe, sporządza przy pomocy Konstantego A. Jeleńskiego przekonującą dokumentację na temat twórczości Gombrowicza

w związku z poprawnością konsumowania przezeń środków przekazywanych przez Komitet – i wygrywa niejedną bitwę z amerykańską biurokracją. W tej sprawie właściwie pisarz wiele zawdzięcza przychylności Nowaka-Jeziorańskiego i jego autentycznemu zaangażowaniu. Warto zastanowić się w tym miejscu, czy z perspektywy dyrektora RWE otrzymał on od Gombrowicza „produkt intelektualny” adekwatny do angażujących jego czas zabiegów? Ta kwestia wymaga jednak osobnej analizy.

Między rokiem 1958 a 1961 – jak wiadomo – Gombrowicz nagrał siedem fragmentów *Dziennika*, ponadto jeśli przyjąć, że rzeczywiście tym, co posyłał Wagnerowi-Pieńkowskiemu, były gawędy radiowe, zasilające zbiór znanych nam *Wspomnień polskich*, to należy stwierdzić, że pracował systematycznie. Być może część tekstów, które Gombrowicz – zgodnie z sugestią organizacyjną Nowaka-Jeziorańskiego – przysyłał wicedyrektorowi rozgłośni do Nowego Jorku, nigdy nie dotarła do Monachium. Może właśnie taki los spotkał *Wspomnienia polskie*.

Pewne jest, że Wagner-Pieńkowski jednak posyłał jakieś skrypty Gombrowicza do Monachium – ślady o dołączonych tekstach pojawiają się na marginesie korespondencji Nowaka-Jeziorańskiego z pisarzem. Być może Wagner-Pieńkowski tylko niektóre „gawędy” Gombrowicza kwalifikował jako materiał nadający się do emisji, inne odrzucał i nie uważał, by należało je posyłać do Europy? Jeśli tak było, to nie o przeoczenie radia tu chodzi, a raczej o selekcję. Dlatego być może o nieogłoszeniu wspomnianych gawęd, także i innych materiałów, zdecydowały przyczyny merytoryczne: po pierwsze – uznanie skryptów za nieoryginalne (materiały pisane dla radia były w istocie bliskimi wariantami tematów podejmowanych przez Gombrowicza w *Dzienniku*, a publikowane na łamach „Kultury”), po drugie – przekonanie o specyficznym i być może dla radia nie do przyjęcia sposobie eksplikacji problemów. Gombrowicz pisał w gruncie rzeczy o sobie, o dylematach indywidualisty, perypetiach z krytycznym odbiorem *Trans-*



*-Atlantyku*, pisał też o polskości, patriotyzmie, niszczącej wolność formie, ale czynił to – jak wiemy – swoiście, czyli ekstrawagancko. W takim bowiem duchu są te sprawy „wyłożone” w domniemanej audycji *O pewnej dyskusji radiowej, która nie doszła do skutku*. Jest w niej jak w pigułce wszystko, o czym pisał od czasu wydania *Trans-Atlantyku*. Pisarz mógł być dla radia nazbyt monotematyczny, bo w końcu kogo (jeśli się ma na uwadze bądź co bądź przypadkowego radiowego odbiorcę, specyfikę RWE i czas polityczny) mogą interesować problemy *stricte* pisarskie i swoiście Gombrowiczowskie? A więc estetyka, dokumentacja zmagania z horyzontem odbiorczych oczekiwań, dbałość o artystyczny indywidualizm...

*Gęba i twarz* to także tekst znajomy, wydaje się zręczną układanką *passusów* pomieszczonych w *Dzienniku 1953–1956*, drukowanym w tym samym czasie w „Kulturze”. Dla słuchacza RWE w kraju ów materiał, mimo niewątpliwej wtórności, mógł być interesujący. *Dziennik* bowiem znany był jedynie w wąskich kręgach czytelników paryskiego pisma, ale czy treść tej pogadanki mogła odpowiadać Free Europe w tamtym czasie? Naturalnie – są w niej miejsca zachęcające do oporu przed narzucającą się formą, unifikującym komunizmem. Znajdują się również wtręty „polityczne”, które autor chętnie w listach do Nowaka-Jeziorańskiego eksponuje, jeśli chce zareklamować swoje pisarstwo. Chętnie łączy (w zależności od przyjętej strategii i osobistych potrzeb) własny egotycznie-indywidualistyczny program z postawą antykomunistyczną, jednostkę przeciwstawia narodowi i totalitarnej masie, a na bolączki Polski powojennej zaleca szlachetne antidotum – osobność. Jego wywód jest paradoksalny, rozgrzewający, zachęcający ewentualnego słuchacza do polemiki i równocześnie chłodny, mentorski.

Pomijając w związku z tym tekstem kwestię artystycznej licencji, wypada jednak postawić niebagatelne pytanie o intencje pisarza, który określa swój – jak się zdaje – egzystencjalny program – programem politycznym. Nie bez znaczenia wydaje się rozstrzygnięcie kwestii, czy ów wykład–pogadanka to dokument autokreacji,

czy też jest to przemyślany i spójny ideowo program pisarza aktywnego (poważnego)? W tamtym momencie nie było to jasne i zapewne dla RWE działającego w latach 60. – zbyt ryzykowne.

Gdyby *Wspomnienia polskie* czytać tendencyjnie i zgodnie z intencją emitowania owych czterdziestu ośmiu pogadanek przez radio z myślą o masowym odbiorcy, to zasadne staje się pytanie: czy można je było odpowiedzialnie emitować? Tę niebagatelną sprawę ówczesna radiostacja musiała rozważać i być może rozstrzygnęła zakazem emisji. A może należało *Wspomnienia* emitować, tyle że z opatrzeniem każdej audycji słowem spikera zastrzegającym o indywidualnej odpowiedzialności Gombrowicza – taki precedens miał już miejsce? Słowo Straszewicza poprzedzało bowiem emisję pierwszej części *Dziennika*.

Nie wdając się w szczegóły założonego tu przeze mnie stroniczego czytania *Wspomnień polskich*, stroniczego ze względu na redukcję zakładającą, że są to teksty pisane specjalnie dla radia, można odnieść wrażenie, że Gombrowicza albo „ponoszą słowa”, albo czuje się nadzwyczajnie umocowany w swoich sądach i... w swojej sławie, że zupełnie nie dopuszcza autocenzury. A może mieszkając tak daleko od Europy, nie uświadamiał sobie autor siły tego medium? Może odnosił wówczas wrażenie, że mówi w międzyplanetarną pustkę? Gombrowicz zapewne też nie słuchał Wolnej Europy w Argentynie, choć – jak wiemy z opowieści Andrzeja Bobkowskiego – nasłuch taki przy pewnym technicznym dostosowaniu był całkiem możliwy.

Co jest zatem treścią pogadanek? Przyjrzyjmy się im dokładniej, zakładając że miały być kierowane do słuchacza w kraju i na emigracji w latach 60., a także, że niektórzy z żyjących mogli się drogą radiową o sobie dowiedzieć rzeczy wyjątkowo nieprzyjemnych. Owe epizody i ekscesy obyczajowe z ich wątpliwymi bohaterami, skreślone ze swadą, przewrotnie i bezpardonowo, mogą w istocie stanowić realizację Gombrowiczowskiego przedwojennego projektu sensacyjnej opowieści dla mas, ale czy jego miejscem winno być właś-

nie radio? Trudno na to przystać w świetle quasi-fabuli i trudnej do rozszyfrowania konwencji wspomnień, a może raczej ich intencji. Wystarczy przywołać fragmenty opowieści, których bohaterami byli: Piłsudski, Światopełk Karpiński, Dołęga-Mostowicz, Stanisław Piasecki, Boy, Nałkowska, by nabrać wątpliwości, które być może stały za decyzją o ich nieemitowaniu.

*Wędrówki po Argentynie* – to w istocie parareportaże. Wiemy, że Gombrowicz należał do osób niespecjalnie mobilnych, zatem jest w nich konfabulacja, niepozbawiona wszakże walorów literackich. Z punktu widzenia przydatności dla radia wypadają znacznie lepiej, ale na tle reportaży z podróży do różnych, często bardzo odległych zakątków świata innych autorów (np. Wojciecha Trojanowskiego, Wacława Zbyszewskiego, Tadeusza Nowakowskiego, czy nawet Wiktora Trościanki) nadawanych cyklicznie w latach 60., nic jednak szczególnie je nie wyróżnia. I na koniec naszego stroniczego czytania Gombrowicza – zamykający „teksty radiowe” wykład o egzystencjalizmie; ten ostatni wydaje się najmniej przystosowany do języka tego medium.

Zasadne jest nadal pytanie, czy blok skryptów z lat 60., które dla Jana Nowaka-Jeziorańskiego zdają się niespodzianką (dodajmy – niespodzianką bardzo miłą, jak twierdził), to w istocie materiał przetworzony, zatem fikcja i literackie zniekształcenie, czy jednak dokument, wspomnienie? Jaka towarzyszyła im autorska intencja? To, co jednak w trakcie lektury *Wspomnień polskich* narzuca się z całą mocą, to siła rażenia słów wypowiedzianych z pasją, sądów – skrajnie subiektywnych, uwierzytelnionych jedynie projekcją autorskiej pamięci, będących także – jak się zdaje – owocem artystycznego przetworzenia. To raczej nie wspomnienia, tylko impresje, ale cóż począć z „przygodami”, w które wplątane są autentyczne żywe lub historyczne postacie, osoby zasłużone, mające swoich wyznawców i własne „kapliczki”?

Jaką grę chciał uprawiać Gombrowicz przez radio i czy była ona do przyjęcia w ramach tego medium? Ta ostatnia sprawa wydaje

się nierozstrzygalna... Być może właśnie niejasność co do tego, czy mamy do czynienia z rzetelnym dokumentem wspomnień pisarza, czy z wykreowanym fantastycznym światem, w którym prowokacyjnie zjawiają się osoby międzywojennego polskiego i artystycznego dramatu, mogła zdecydować o braku zgody na emisję owoców Gombrowiczowskiej radiowej roboty (oczywiście ocena w tamtym czasie nie była tak jednoznaczna i ugruntowana, jak dzisiaj). Jeśli dodamy do tego polityczne uwarunkowania Wolnej Europy, specyfikę radia, zadań, jakie sobie postawiło to medium, to zasadność emisji pogadank pisarza wydaje się więcej niż problematyczna – były one nie do przyjęcia. Można też sądzić inaczej: to ówczesne radio nie było przygotowane na taką językową, artystyczną i polityczną ekstrawagancję.

*Wspomnienia polskie* żyją swoim własnym życiem w formie im najwłaściwszej – publikacji książkowej. Dopiero dzięki nieśpiesznej lekturze możliwy staje się ów dyskurs, do którego Gombrowicz zachęcał i prowokował w licznych „wstępach”, komentarzach i „posłowiach”. Możliwa zatem staje się nie tylko fascynacja ową spuścizną, ale także i opór przed radykalnie skrojoną wizją człowieka i świata. Gombrowicz pragnął dotrzeć do masowego odbiorcy, i taką możliwość dawało mu radiowe medium, z drugiej strony – materiał do opowieści czerpał głównie z siebie, z najbliższego, argentyńskiego otoczenia, w rezultacie mówił o problemie twórcy, o „męce” pisania, o własnej egzystencji, czym trafić mógł jedynie do wąskiej grupy krajowych intelektualistów.

Można odnieść wrażenie, że niespecjalnie wiedział, do czego w istocie radio może być mu przydatne (poza stabilizacją finansową). Nie mógł być radiowcem, co znaczy – pisarzem „zadaniowym”, który pokonuje często własną niechęć do zapoznania się z obcą materią rzeczy dla jej prezentacji na antenie, a z kolei jako pisarz, był

Gombrowicz zbyt abstrakcyjny, by mógł go słuchać odbiorca mniej wyrobiony literacko.

To wszystko zapewne zdecydowało o dość ograniczonym, a nawet wymuszonym przez Jeleńskiego i Giedroycia zainteresowaniu osobą i potencjałem twórczym autora *Ferdydurke* przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego i RWE.

---



Jerzy Stempowski  
– niespieszny przechodzień  
w pospiesznym medium

„[...] zawsze konsekwentnie stałem na stanowisku, że słowo pisane nie podlega kryterium użyteczności społecznej, i cała moja dotychczasowa działalność literacka nosi cechy świadomej nieużyteczności”<sup>1</sup> – tak napisał w 1947 roku Jerzy Stempowski w liście do Jerzego Giedroycia. Te kilka słów skreślonych w korespondencji uznaję za lapidarnie sformułowaną deklarację intelektualnej bezinteresowności Stempowskiego i świadectwo „duchowego outsiderstwa” człowieka, który czuje i pewnie już wie, że na jego oczach dokonuje się stosunkowo trwała (jak się okaże) zmiana paradygmatu kultury, w obrębie której ulega przekształceniu status słowa pisanego wraz z jego funkcją społeczną.

Zapewne kryje się w tym stwierdzeniu i poczucie dyskomfortu „rozmijania się” ze światem autora, którego interesują własne, osobliwe sprawy i osobista hierarchia wartości, charakteryzuje kontemplacyjny, zdystansowany i stoicko-ironiczny (ale i dobronudzny) stosunek zarówno do siebie, jak i do współczesności, zwłaszcza w kon-

---

<sup>1</sup> List z 2 lipca 1947 do Jerzego Giedroycia, w: Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946–1969*, cz. 1, Warszawa 1998, s. 28.

tekście tego, co zaszło w Europie i świecie wraz z wybuchem drugiej wojny światowej oraz w związku z jej konsekwencjami.

Również biografia Stempowskiego, psychiczność pisarza i człowieka – wrażliwość eseisty i epistografa, o czym interesująco pisze Tymon Terlecki<sup>2</sup>, mogą być pomocnym tropem dla snucia hipotez o dość szczególnym, a nawet paradoksalnym usytuowaniu Stempowskiego jako Europejczyka, Polaka, myśliciela, polityka angażującego się do zadań dyskrecjonalnych i zakulisowych na emigracji w Szwajcarii. Zwraca na to uwagę we wspomnieniu – gawędzie wygłoszonym w 1969 roku przed mikrofonem RWE po śmierci Stempowskiego, Wacław Zbyszewski. Kreśli w nim pełen sprzeczności profil autora, akcentując ową paradoksalność i tajemniczość jego osobowości, wahanie wyrażające się z jednej strony szczerą potrzebą uczestniczenia i zaangażowania w bieżące sprawy, z drugiej zaś – wyobcowaniem, wycofaniem, byciem „poza” czy może raczej „ponad” tym, co rozgorączkowane, pozbawione jeszcze formy, a w dłuższej perspektywie może i pozbawione znaczenia. Zbyszewski wspomina swoją pierwszą po wojnie rozmowę ze Stempowskim, dziwiąc się jej przebiegowi: „Pamiętam moje pierwsze po wojnie spotkanie z Hostowcem: spotkaliśmy się przypadkiem w kawiarni koło dworca w Maisons-Laffitte, gdzie obaj byliśmy zaproszeni przez Giedroycia. Stempowski od razu rozpoczął rozmowę, jakbyśmy widzieli się przed kilkoma dniami, dyskutując o ostatniej zmianie rządu we Francji czy o artykułach w »Corriere della Sera«, które to pismo czytał stale, zapewne przez przekorę. Ani razu nie zapytał mnie, co się ze mną przez te lata wojny działo, ani też o sobie niczego nie powiedział”<sup>3</sup>.

Sam Stempowski przy innej okazji czyni dygresję, którą z kolei można potraktować jako dopełnienie myśli wyrażonej w li-

<sup>2</sup> Tymon Terlecki, *Pan Jerzy*, „Dialog” 1981, nr 9, s. 124-130.

<sup>3</sup> Audycja nr NA 8944 (Prominent Poles 182 – journalists in London 4. Archiwum RWE, w: Narodowe Archiwum Cyfrowe).



ście z roku 1947. Tym razem, niejako na odwrót, akcentuje ludzki wysiłek „bycia w świecie” i podkreśla jego wagę dla wartości tak powstającej literatury, z kryterium użyteczności społecznej, rozumianej bardzo szeroko, włącznie. Zwraca uwagę bowiem na rzecz fundamentalną i zarazem oczywistą: wszyscy – piszący i milczący – czynią nieustające wysiłki w znajdowaniu słów potrzebnych do nawiązania kontaktu ze światem, z rzeczywistością, która jak kameleon zmienia się, przerastając przy tym poprzedni zapas terminów i pojęć. Nie zdobędzie się świata i jego prawd żadnym frazesem – podkreśla Stempowski – nie odgrodzi się odeń żadną zasłoną dymną fikcji i nieostrej metaforyzacji.

Czy ktoś taki – osobny i żyjący własnym, niespiesznym rytmem, daleki od chęci przypisywania literaturze wyrazistych, określonych funkcji pozaestetycznych – mógł być atrakcyjny jako współpracownik Wolnej Europy, medium, w którym – jak wiemy – rola słowa była olbrzymia, jeśli nie zasadnicza<sup>4</sup>, które korzystało z szeroko rozumianej literatury pełnymi garściami, choć piarstwo *stricto* literackie i radiowe musiało mieć cechy świadomej użyteczności, by mogło być na antenie wyzyskane propagandowo, a może raczej spełniać funkcję prowokacyjną, wymuszającą informacyjno-opiniotwórczy obieg treści zakazanych w kraju? Oczywiście – cel strategiczny był jeden, ale taktyka – rozmaita; w dłuższej perspektywie sformułowane w radio cele umożliwiły literaturze ambitnej i kulturze wysokiej pojawienie się na antenie. W taki sposób rozgłośnia nadająca z zagranicy mogła występować w roli głosu publicznego, substytucjonalnego, o czym była mowa w rozdziale dotyczącym strategii komunikacyjnych RWE.

<sup>4</sup> Świadczą o tym m.in. proporcje nadawanych audycji słownych w stosunku do muzycznych; samych audycji kulturalnych w ramówce programu było około 45%.

Stempowski o radio „otarł się” już wcześniej. Pisze o niedosłej współpracy z BBC w 1942 roku Paweł Libera, *O niedosłej współpracy Stempowskiego z BBC w 1942 r.*, „Zeszyty Historyczne” 2008, nr 165, s. 208-217.

Wracając do Stempowskiego – można powiedzieć tak: Stempowski tylko kokietuje Giedroycia (myślę tu o wspomnianym na wstępie liście z roku 1947), bo przecież próbuje jednak nie tracić z oczu świata, w tym spraw emigracji, stara się i być bliżej problemów kultury krajowej objętej polityczną cenzurą, także podejmuje dyskretne próby (zwykle udane) kontaktowania się z Polakami z kraju i Ukraińcami itd. I co ważne – chce być jako piszący w zgodzie z samym sobą. Szczególnie w pierwszych latach, formułuje wiele zarzutów pod adresem wydawców emigracyjnych, wypowiada się nieprzychylnie o polskiej diasporze, czasem bardzo krytycznie i kontrowersyjnie<sup>5</sup>. Wszystko co jednak ze szwajcarskiego przyczółka Stempowski czyni, czyni wszakże dla dotrzymania owego kroku i bycia jeśli nie w środku spraw, to przynajmniej na pewną odległość dającą wszakże komfort swobodnego ich komentowania (pisze m.in. i o tym w listach do Marii Dąbrowskiej).

Kontakty Stempowskiego z RWE są, jak się wydaje, próbą owego dotrzymania kroku, także i bycia na miarę możliwości, choćby z odalenia, bliżej „spraw polskich”, co ostatecznie stało się możliwe właśnie za sprawą literatury krajowej, którą Stempowski będzie

<sup>5</sup> W liście do Stanisława Balińskiego z 13 września 1946 pisze: „Jedynym pismem emigracyjnym, które zachowało swój tradycyjny eklektyzm i tolerancję na wszelkie przejawy literackie, są londyńskie »Wiadomości«. Można w nich ogłosić istotnie niemal wszystko, podlegając tylko cenzurze językowej, stanowiącej hobby Mieczysława Grydzewskiego. Wszystkie inne wydawnictwa posiadają uciążliwą i upokarzającą cenzurę wewnętrzną.

Niedawno wyrzuciłem na śmietnik całą paczkę druków emigracyjnych zawierających moje artykuły. Każdy z nich był okaleczony przez cenzurę. Wydawca, korektor, zecer, metrapaź, każdy uważał za stosowne coś skreślić lub dodać, coś zmienić, co mu się wydawało nie dość narodowe i patriotyczne lub co odbiegało od utartych na emigracji pojęć [...].

Nie zdobyłem się dotąd na jedyną słuszną w tych warunkach decyzję, mianowicie nie przestałem pisać [...]. Czuję tylko wielkie przygnębienie moralne i niepokonane obrzydzenie do wszelkiej współczesnej literatury. Jeśli zdobędę się kiedyś na tę decyzję, będę miał poczucie, że nareszcie zrobiłem rozstrzygający – dla mnie przynajmniej – krok do wolności”. J. Giedroyc, J. Stempowski, *Listy 1946–1969*, dz. cyt., s. 26-27.

dla radia recenzował przez kilka lat. Kontakty z monachijską rozgłośnią przechodzą kilka faz, można by je nawet uznać za etapy niespiesznego wchodzenia do instytucji – i to niemal od chwili jej powstania aż po rok 1969. Okres najwcześniejszy to rok 1953, kiedy Stempowski pojawia się w radiu w charakterze gościa. Na podstawie dziennika emisji programu radiowego Konrad W. Tatarowski<sup>6</sup> wymienia dwa wywiady, jakich Stempowski w tym czasie udzielił radiu: pierwszy nadany 27 lutego 1953 i drugi przeprowadzony przez Leopolda Kielanowskiego 27 lutego 1955 roku (pierwszy najprawdopodobniej nadany był w cyklu „W pracowniach intelektualistów polskich na Zachodzie”). Oba niestety nie zachowały się w zbiorach radia. W tym czasie również Krystyna Marek proponuje Stempowskiemu stałą współpracę z działem kulturalnym RWE<sup>7</sup>. Nie wiemy, czy pisarz ją podjął, nie ma bowiem jej śladów w archiwum RWE, wzmiankuje ją jedynie zachowana korespondencja eseisty z Krystyną Marek i Giedroyciem, który – mimo niechęci do Wolnej Europy i jej rozmaitych inicjatyw, a osobiście do Jana Nowaka-Jeziorańskiego – tak oto Stempowskiemu doradza: „Co do propozycji Free Europe, to wyjątkowo jestem zdania panny Markówny. Nie przekonuję Pana do tej instytucji, bo patrzę na nią równie, jeśli nie bardziej, krytycznie. Jednak praca w jury w niczym Pana nie angażuje. Konkurs jest literacki i nie myślę, by nawet biorąc »drymmelowatość« Nowaka, były jakiegokolwiek próby nacisku na Pana opinię. Zresztą wtedy »Kultura« jest zawsze otworem. Osobiście namawiałbym Pana na przyjęcie ich propozycji...”<sup>8</sup>.

W roku 1955 włącza się indagowany przez Giedroycia w charakterze reprezentanta i w pewnym sensie osoby prezentującej stano-

<sup>6</sup> Por.: Konrad W. Tatarowski, *Literatura i pisarze w programie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa*, Kraków 2005.

<sup>7</sup> Zob.: *Listy z ziemi berneńskiej*, opracowała Lidia Ciołkoszowa, wstęp Wiktor Weintraub, Londyn 1974.

<sup>8</sup> List Giedroycia z 19 września 1954, w: J. Giedroyc, J. Stempowski, *Listy 1946–1969*, dz. cyt., s. 247.

wisko „Kultury” przed Komitetem Wolnej Europy w kilka projektów: w inicjatywę stypendialną na rzecz pisarzy i intelektualistów polskich żyjących w najtrudniejszych warunkach na emigracji oraz w sprawę planu zorganizowania Kongresu Wolnej Kultury Polskiej, doprecyzowania zamysłu powołania do życia emigracyjnego funduszu wydawniczego i wydawniczych instytucji na wychodźstwie, a także mocniejszego wsparcia tych już istniejących. Każda z wymienionych inicjatyw ma swoją dłuższą historię, której rozpoznanie wymaga jeszcze dodatkowych badań. Niemniej wiemy, że Stempowski z tymi sprawami jedzie do Monachium na spotkanie z Nowakiem-Jeziorańskim, Terleckim i Giedroyciem (redaktor w tych rozmowach nie bierze udziału, do Monachium w wyznaczonym terminie nie dojeżdża). Rola samego Stempowskiego jest tu znacząca, szczególnie jeśli idzie o pomoc stypendialną dla pisarzy polskich na emigracji. Stempowski już w liście do Giedroycia 21 lipca 1947 roku pisał, że „Teoria emigracji jako przedstawicielstwa kraju pod okupacją należy do przeszłości [...] i trzeba by znaleźć dla niej jakieś nowe usprawiedliwienie egzystencji czy też umotywowanie egzystencji nieusprawiedliwionej. Tematyka literacka »Wiadomości« londyńskich z Zahorską i Terleckim okazała się chybiona i w kraju wywołała bardzo nieprzychylnie komentarze w łonie tamtejszej opozycji. Nad tym wszystkim warto by się wspólnie naradzić, zwłaszcza jeżeli zamierzamy operować na dłuższą metę”<sup>9</sup>.

Niezależnie od tego, czy w tamtym konkretnym czasie opinia Stempowskiego była słuszna, z pewnością powziął ją, mając na uwadze istnienie i rolę emigracji w dłuższej perspektywie. Stąd uzasadnione były płynące z różnych ośrodków wychodźczych (od Terleckiego jako prezesa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Nowaka-Jeziorańskiego i Free Europe, Giedroycia, wreszcie samego Stempowskiego) zabiegi, by pomoc stypendialna dla pisarzy była jak najszybciej uruchomiona (na marginesie – Stempowski z ramienia Komitetu Wolnej Europy też

<sup>9</sup> Tamże, s. 29.

ją otrzyma). W tej sprawie, bardzo delikatnej i priorytetowej zarazem, pojawiają się w korespondencji między Stempowskim a Giedroyciem, Giedroyciem a Nowakiem-Jeziorańskim liczne nieporozumienia. Dotyczyć one będą głównie warunków, trybu i zakresu udzielania tej pomocy<sup>10</sup>. Nieporozumienia – z grubsza rzecz ujmując – odnoszą się do

---

<sup>10</sup> Listy między Giedroyciem i Stempowskim poruszają te kwestie, począwszy od wskazania konkretnych osób i spraw po wypracowanie projektu ogólnej strategii wobec Free Europe i Nowaka-Jeziorańskiego. Trzeba dodać, że w świetle tych listów RWE i jej zespół nie cieszą się zaufaniem – szczególnie Giedroycia, który niewątpliwie chciał merytorycznie „panować” nad Nowakiem-Jeziorańskim (co okazało się niemożliwe). Na przykład w liście do Stempowskiego z 29 maja 1955 czytamy: „Słabym punktem jest Gombrowicz, który stracił posadę [...]. Jest to człowiek niezdolny do pracy zarobkowej i za parę miesięcy »spuchnie«. Miłosz jest mięczakiem, stale mającym kompleks »zdrady«. Mam teraz z nim niezmiernie ciężkie przeżycia. [...] Jeśli mu się mignie »bezpieczną« możliwością docierania do czytelnika w kraju, nie potrafimy go zahamować. Na tle nędzy pisarskiej na emigracji to są czołowe nazwiska i ich wylamanie może niezmiernie nadwyżyć morale emigracyjnej inteligencji. Niebezpieczeństwo to widzę od dawna, ale niestety moje możliwości materialne są żadne, a dobre słowo nie wystarcza za wydanie np. książki. Tym bardziej, że Amerykanie i rodacy pracujący z Amerykanami są nieprawdopodobnej głupoty i pełni oportunistów (tu myślę o Polakach). Namówić ich na kontrakcję nie sposób. Tak np. tłumaczę Nowakowi, że jeśli da raz na tydzień przez pięć minut brykać Gombrowiczowi w radio, to niezmiernie szybko stworzy on sobie grono słuchaczy rekrutujących się ze świata literackiego i jego wpływ destrukcyjny byłby ogromny. Trzeba wysyłać ważniejsze i ciekawsze książki do kraju, a ostatecznie ukazuje się ich trochę na Zachodzie. Robię tu, co mogę, ale to jest bardzo niewiele”. J. Giedroyc, J. Stempowski, *Listy 1946–1969*, dz. cyt., s. 294.

W liście do Giedroycia z 10 sierpnia 1955 Stempowski pisze: „Dziś po południu telefonował J.N. [Jan Nowak – V.W.M.] z Monachium. Mówił, że pewne moje sugestie stały się aktualne i że zaprasza do Monachium na wtorek 16 sierpnia Pana, Terleckiego i mnie. Przypuszczam, że chodzi o utworzenie funduszu wydawniczego z pomocą amerykańską, o czym kilkakrotnie pisałem do J.N. Sprawa ta jest tak ważna, że idę w przypuszczeniu, że Pana tam też zobaczę. Rzecz wymaga zastanowienia. Myślę, że dla Pana to nie jest niespodzianka i że ma Pan już jakiś przemyślany projekt takiego funduszu.

Wyobrażam sobie ten fundusz jako instytucję udzielającą pożyczek i zasiłków istniejącym już przedsięwzięciom wydawniczym, aby nie robić żadnej nowej administracji. Statut funduszu musiałby zabezpieczać wydawców od ingerencji amerykańskiej. Przypuszczam, że najlepiej byłoby, aby zarząd funduszu zbierał się raz na rok i przydzielał wydawcom kwoty *pro rata* ich dotychczasowej działalności wydawniczej. W ten sposób Pan byłby na pierwszym miejscu i nie byłoby żadnego stałego

zasadniczej kwestii: czy rzeczywiście najbardziej odpowiednią formą wsparcia pisarzy egzystujących na emigracji jest stałe stypendium, czy raczej ewentualny grant pod konkretne zamówienie na autorskie dzieło? Dla Giedroycia przystanie Amerykanów na formę grantu było sprawą zasadniczej wagi, wzmacniało bowiem jego pozycję jako redaktora periodycznego pisma i wydawcy Biblioteki Kultury, zapewniało przy tym i ciągłość wydawniczą, pozwalało planować sprawne funkcjonowanie „Kultury” w dłuższej perspektywie. Jeśli – mówiąc

---

personelu zajmującego się tymi sprawami w ciągu roku. W tym sensie pisałem do J.N.”. Tamże, s. 328.

Giedroyc 13 sierpnia 1955 odpowiada: „Jak rozumiem, ma ona [spotkanie–konferencja – V.W.M.] dotyczyć pomocy FE w wydawaniu książek, tak jak Pan sugerował w swojej notatce. Zupełnie się z Panem zgadzam, że na taką współpracę można pójść, ale jedynie w tym wypadku, jeśli FE nie będzie próbowała tą drogą nas od siebie uzależnić”. Tamże, s. 330. Kwestia powołania funduszu wydawniczego komplikuje się jednak – list Stempowskiego z 11 kwietnia 1956 (tamże, s. 367–368) oraz list z 18 kwietnia 1956 (s. 370).

Z kolei sprawę Kongresu Wolnej Kultury Polskiej podnosi Stempowski w liście do Giedroycia z 21 maja 1956, dając redaktorowi do zrozumienia, że jego strategia jest dla niego niejasna. Pisze bowiem tak: „Nie rozumiem dobrze Pańskiej taktyki kongresowej. Według ostatniego projektu Pańskiego wygląda to tak, jak gdyby chciał się Pan z organizatorami pokłócić i nie zawracać sobie tym więcej głowy. Stawia im Pan rodzaj ultimatum. *Brushing aside* – jak mówią Anglicy – wszystkie ich najwielebniejsze osoby, dodając jeszcze, że uważa Pan ich referaty za niepotrzebne lub szkodliwe. Nie wiem, czy jest Pan sprawiedliwy. Halecki jest na pewno niezłym prelegentem. Nie wiem tego o Lechoniu, ale przypuszczam, że po tylu latach milczenia wystąpiłby z czymś starannie napisanym i umajonym anegdotami. [...] Odwieść FE od tego pomysłu nie potrafimy, chodzi więc tylko o to, aby się od tego odczepić i nie brać w nim czynnego udziału, tj. aby nie skompromitować się przed czytelnikami krajowymi i propagandą warszawską”. Tamże, s. 377. Perypetiami dotyczącymi Kongresu zajmują się Beata Dorosz i Nina Taylor-Terlecka. Obie badaczki sięgają do archiwaliów, by bliżej poznać tę niesfinalizowaną inicjatywę: wkład RWE, powody braku porozumienia w łonie emigracji, ewentualne działania PRL-owskich służb specjalnych zainteresowanych storpedowaniem tej konkretnej inicjatywy i rozbięciem środowiska wychodźczego. Zob.: Nina Taylor-Terlecka, *Kongres, którego nie było. Od poczęcia (od urojenia) do poronienia, czyli opowieść o tym, jak marzenia poetów prysną w styku z realnym (nie tylko polskim) światem* (s. 119–132); Beata Dorosz, *Zagubiona idea. Wokół Kongresu Wolnej Kultury Polskiej* (s. 133–144), w: *Paryż – Londyn – Monachium – Nowy Jork. Powrześnieowa emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko polskiej*, pod red. Violetty Wejs-Milewskiej, Ewy Rogalewskiej, Białystok 2009.

słowami Stempowskiego – emigracja miała być „operacją prowadzoną na dłuższą metę” i owocną, co potwierdzać miały dzieła kultury odpowiadające linii wydawniczej pisma i oryginalne, czyli pisane również na zamówienie wydawcy, grant na konkretną książkę był słuszniejszy. Ale i forma stałego wspomagania pisarzy na pewno nie była czymś anachronicznym (przypomnijmy, że korzystał z niej z dużym powodzeniem choćby Gombrowicz), ani – jak mówił Nowak-Jeziorański przywołujący określenie Giedroycia – nie mogła być niczym „szkodliwym”, „nie psuła” przecież polskiej literatury. Przeciwnie, dzisiaj po wielu latach można już śmiało powiedzieć, że wspomaganie pisarzy emigracyjnych stałą dotacją, pozwoliło im utrzymać się na poziomie egzystencjalnego minimum, a co za tym idzie – na pewno także wspomogło ich wysiłki na polu kulturalnym i naukowym.

Kolejna propozycja współpracy z anteną RWE pojawia się w roku 1957; list do Stempowskiego pisze tym razem Roman Palester (oba panowie znają się dobrze; Stempowski w liście z roku 1955, pisząc do Palestra, czyni taką oto uwagę: „Myślę zresztą o Panu nie tylko z uczuciem szczerzej przyjaźni, ale także i olbrzymią troską. Wydawało mi się, że w tej monachijskiej fabryce jest Pan trochę jak Stradivarius, którym zamiast młotka wbija się gwoździe”. To ostatnie zdanie, to naturalnie aluzja do strategii i propagandy, jaką radio – zdaniem Stempowskiego – uprawiało, „wykorzystując” w tym celu szlachetny materiał ludzki).

Wcześniej jednak, to Herling-Grudziński przeżywający tuż po powrocie do Neapolu w roku 1955 głęboki kryzys duchowy i pisarski, w konsekwencji zdecydowany ograniczyć własną pracę publicystyczną lub przynajmniej zmienić nieco jej profil, zwraca uwagę Palestra na Stempowskiego właśnie jako na właściwą osobę, która mając recenzenckie doświadczenie wyniesione sprzed wojny, może podjąć się z powodzeniem pisanie regularnych omówień krytycznych w stałej audycji RWE. Prawdopodobnie to za namową Herlinga-Grudzińskiego 2 kwietnia Palester pisze do Stempowskiego: „[...] w najbliższym czasie puszczamy w ruch nową audycję pt.

»Wśród nowych książek«. Ten tytuł wyjaśnia Drogiemu Panu na pewno w sposób dostateczny, o co chodzi. Chcielibyśmy, aby to były po prostu felietony literackie – każdy poświęcony jakiejś nowej publikacji. Oczywiście zachodniej. A więc omawianie nowych powieści francuskich, angielskich czy włoskich – ale nie tylko powieści. Można też omawiać interesujące nowości z literatury naukowej, socjologicznej, zbiory esejów, publikacje filozoficzne itp.

Jednym słowem margines swobody jest raczej dość szeroki, a chodzi tylko o to, aby omawiana rzecz była nowością, jako publikacja. [...] Przy okazji będę wdzięczny, jeśli Pan zechce napisać mi, jakie tytuły rezerwuje Pan sobie do omówienia”<sup>11</sup>. Stempowski bez zwłoki już 7 kwietnia 1957 odpisuje Palestrowi, dziękując za zaproszenie do współpracy i z grubsza aprobując pomysł: „Dział ten wypełni dotkliwą lukę, dotąd bowiem żadne czasopismo emigracyjne nie posiada systematycznego działu recenzji. Najwięcej recenzji zawierają »Wiadomości«, ale i tam widać przypadkowość; brak przeglądu ogólnego literatury Zachodu, którym w kraju czytelnicy żywo się interesują. Nie wiem, jak Pan temu da rady, bo luka ta nie jest przypadkowa, ale wynika z jakichś osobliwości strukturalnych życia umysłowego emigrantów.

Przyrzekam Panu moją współpracę, ale i mnie trudno będzie zajmować się tym systematycznie. Czytam przeważnie książki stare: nowe są tylko dodatkiem do mojej zwykłej lektury. Nadto nowości czytam z pewnym opóźnieniem. Chciałbym więc przede wszystkim wyjaśnić, czy książki wydane w 1956 uchodzą jeszcze dla Pana za nowości”. I tu padają pierwsze propozycje: Camus, Dürrenmatt, Georges Friedmann. W odpowiedzi na propozycje eseisty, Palester pisze: „[...] z radością przyjmujemy i recenzję z Friedmanna i Dürrenmatta, którego sztuka ma w tej chwili powodzenie w Paryżu. Natomiast co do Camusa, to sytuacja wygląda tak, że omawialiśmy już [...]. Ale to nie przeszkadza

<sup>11</sup> Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).



w niczym – bo na pewno będzie miał Pan coś »ważkiego« do powiedzenia na temat *La Chute*<sup>12</sup>, zatem – »nie stawiamy tamy dobroczynności«... Tylko w tym przypadku warto by po prostu zahaczyć o książkę pod jakimś ogólnym pretekstem, »że wprowadzie już ją omawialiśmy, ale zawiera ona tyle materiału, że wracamy do niej«... itp. Zresztą Pan to na pewno lepiej zrobi niż my tu, na tym pustkowi intelektualnym Englischer Garten.

Czy ma Pan już powieść Nowakowskiego? Może coś o tym miałyby Pan ochotę? Ale oczywiście zostawiamy to do Pańskiej decyzji, tym bardziej że to byłby wyjątek od zasady omawiania tylko publikacji niepolskich<sup>13</sup>.

Dopiero pod koniec kwietnia Stempowski donosi Giedroyciowi o propozycji RWE i o ewentualnym pożytku z umowy, jaką zawarł z Palestrem – także dla „Kultury” („Jeśli się wezmę do czytania nowości, będę mógł pisać o nich nie tylko do radia, ale także dla »Kultury«, gdzie to zapewne będzie miało większe znaczenie. Od przyjezdnych słyszę, że takie rzeczy są bardzo poszukiwane w kraju, gdzie powstała wielka luka w znajomości literatur współczesnych zachodnich. O byle czym pisać szkoda czasu, wziąłbym się więc do najslawniejszych autorów [i tu lista propozycji rozszerza się] w rodzaju Hemingwaya, Camusa, Sartre’a, Faulknera, Wildera itp. Starabym się pisać o nich tak, aby po roku czy dwóch wyszedł stąd tom dający pewien przegląd ogólny literatury współczesnej<sup>14</sup>).

Stempowski prawdopodobnie nie napisał ani jednej recenzji do planowanego przez Palestra cyklu omówień wydawnictw zachodnich. Nie zachował się w archiwum radia żaden ślad takiego nagrania, podobnie i w korespondencji zarówno z Palestrem, jak i Nowakiem-Jeziorańskim brak potwierdzenia, że takie nagranie jest przygotowane czy było wyemitowane. Należy zatem przypuszczać, że dopiero

<sup>12</sup> *Upadek Alberta Camusa.*

<sup>13</sup> Listy Palestra do Stempowskiego (Biblioteka Narodowa).

<sup>14</sup> J. Giedroyc, J. Stempowski, *Listy 1946–1969*, dz. cyt., s. 436.

w roku 1961 Stempowski podejmuje się pisanie recenzji – a te są głównie omówieniami literatury krajowej. Na samym początku współpracy z RWE nie brakuje mu także entuzjazmu, pisze je niejako na zapas, by i Roman Palester mógł planować poszczególne emisje programu kulturalnego w nieco dłuższej perspektywie. W liście z 10 maja 1961 Stempowski zawiadamia Nowaka-Jeziorańskiego: „W załączeniu przesyłam pierwszy felieton Pawła Hostowca. Przed 30 czerwca przyślę dwa lub trzy felietony zapasowe, aby nie być przyciskany do muru terminami”<sup>15</sup>. Drugiego czerwca przesyła zgodnie z zapowiedzią recenzję utworu Stanisława Wygodzkiego *Koncert życzeń*, zamierza jeszcze dosłać recenzje z lektur: Andrzeja Walickiego *Osobowość a historia*, Kazimierza Brandysa *Romantyczność*, Marka Sadzewicza *Jedwabka i jej zalotnicy*. Chce recenzować także Teodora Parnickiego *Twarz księżycy*, ale ponieważ Parnickiego kwalifikowano wówczas jako pisarza emigracyjnego, tekst z powodów formalnych nie mieściłby się w ramach zamierzonego przez radio cyklu.

W tym samym czasie Nowak-Jeziorański namawia Stempowskiego, by pisał nie jedną a dwie recenzje miesięcznie. Stempowski wzbrania się, choć ostatecznie przyjmuje propozycję dyrektora RWE warunkowo: „Mogę się sprzykrzyć słuchaczom lub sprzykrzyć sobie to zajęcie, jak Grudziński”. I opowiada pewną historię obrazującą jego własny sceptycyzm wobec nazbyt intensywnego czytania literatury i opatrywania jej komentarzem krytycznym: „Świetna książka Henry’ego Hazlitta sprzed 40 lat *Anatomy of Criticism* napisana jest w dialogach, w których biorą udział: Elder, lat 50, profesor historii literatury, Middleton, lat 35, wydawca filozoficzno-literackiego miesięcznika, i Young, lat 25, recenzent. Tylko ludzie w wieku Younga mogą patrzeć bez trwogi na sypiącą się lawinę książek do recenzowania. W moim wieku brak już niezbędnego do

<sup>15</sup> List J. Stempowskiego do J. Nowaka-Jeziorańskiego, w: Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego (Ossolineum).

tego celu optymizmu. [Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła Panu, kochany Panie Janie, szczerze oddany Jerzy Stempowski]<sup>16</sup>.

W międzyczasie otrzymuje także propozycję recenzowania *History and Hope* – książki zbiorowej wydanej przez Konstantego A. Jeleńskiego<sup>17</sup>. Ta recenzja dla RWE powstała i pomieszczona została w zbiorze opracowanym przez Jerzego Timoszewicza<sup>18</sup>. Należy też zauważyć, że mimo trudnych początków pracy w RWE, w latach 60. było Stempowskiego na antenie radiowej jednak stosunkowo najwięcej: w ramach audycji „Na czerwonym indeksie” czytano *Doktora Żywago* w jego tłumaczeniu (nadano 7 obszernych fragmentów utworu), czytano również jego *Eseje dla Kassandry* i oczywiście systematycznie wówczas nadawano nadsyłane przezeń recenzje z lektury współczesnej literatury krajowej.

Jednak po zaledwie dwóch latach komentowania publikacji krajowych, Stempowski czuje się zmęczony i do pewnego stopnia także zniechęcony. Zdobywa się na szczerłość, w liście do Giedroycia z 29 maja 1963 mówi bowiem, że „Do najbliższego numeru [chodzi o „Kulturę”] nie już nie potrafię napisać. Od trzech miesięcy prawie zajęty byłem tłumaczeniem tekstów trzeciej klasy, ale wyjątkowo trudnych do przetłumaczenia. Robota ta wyjałowila mnie doszczętnie i znużyła tak, że muszę teraz chwilę odpocząć. Nie stać mnie nawet w tej chwili na napisanie miesięcznej recenzji dla RFE, która normalnie zajmuje mi jeden dzień czasu. To jest najrentowniejsze z moich zajęć. Szkoda, że Nowak to drukuje. Będę go prosił, żeby dał temu spokój, bo do radia pisze się inaczej niż do druku. Ja przynajmniej piszę inaczej, zaniedbując gramatykę i składnię, byle rzecz była płynna w mówieniu. Dzięki temu zajęciu przeglądam dużo nowości krajowych, co pozwala mi zachować jakiś minimalny

<sup>16</sup> Tamże.

<sup>17</sup> *History and Hope. Progress in Freedom. The Berlin Conference of 1960*, edited by K. A. Jeleński, London 1962.

<sup>18</sup> Jerzy Stempowski, *Felietony dla Radia Wolna Europa*, Warszawa 1995, s. 78-82.

kontakt z tym smutnym krajem i jego jeszcze smutniejszą literaturą”<sup>19</sup>. Do tej kwestii wrócimy za chwilę. Należy bowiem odnotować jeszcze jedno spostrzeżenie Stempowskiego – tym razem dotyczy ono jakości „smutnej” – jak o niej mówi – literatury krajowej. Namysł nad kondycją pisarza w PRL-u przychodzi wraz z przygotowaniem do dyskusji radiowej o najlepszej krajowej książce roku. Poproszony w roku 1963 przez Palestra i Terleckiego o wzięcie w niej udziału, pisze w liście do Palestra z dużą rezerwą o całym przedsięwzięciu: „Dostałem ostatnio list od pana Tymona – »Dobry Tymonie, daj nam trochę złota« – jak mówi Tymandra w *Tymonie Ateńczyku* – o projektowanej przez RFE audycji na temat najlepszej książki roku. [...] Byłby to dla mnie wielki zaszczyt dyskutować z Panem, ale czuję się do tego mało przygotowany. Ilekroć pytam przyjezdnych z kraju literatów, czy ukazały się w Polsce jakieś ciekawe książki, wszyscy odpowiadają zgodnie, że nic się ciekawego w ostatnich latach nie ukazało. [...] Jak wybrać w tym chaosie »najlepszą książkę«? Odpowiadam Tymonowi, że mógłbym chwalić jako najlepszą tę książkę roku, która nie ukazała się z powodu »braku papieru«. Słyszałem ostatnio, że młodym pisarzom nic w ogóle nie chcą drukować. Widziałem ich zrozpaczone listy. Nie wiem jednak, czy taka propozycja mieści się w ramach projektowanej audycji”<sup>20</sup>.

Udziału w audycji nie bierze, ale uwaga o najlepszej niewydanej książce ma swój ciąg dalszy: w kolejnym liście do Palestra i w felietonie „Papier i literatura”, który zostaje nadany w „Programie specjalnym” 23 lutego 1964, a także wątek cenzury i reglamentacji papieru – jak można sądzić – pojawi się w półgodzinnej dyskusji okrągłego stołu nadanej 27 stycznia 1964: „Oblicza kulturalne i cywilizacyjne Europy Środkowo-Wschodniej”, w której udział (poza Stempowskim) wzięli Witold Nowosad, Maria Czapska i Józef

<sup>19</sup> J. Giedroyc, J. Stempowski, *Listy 1946–1969*, dz. cyt., s. 235.

<sup>20</sup> List z 15 listopada 1963. Kolekcja Romana Palestra (AKP – BUW).

Czapski, a którą prowadził Roman Palester (nagranie niestety nie zachowało się).

To na temat cenzury i braku papieru bodaj najciekawsze sprawy, jakie Stempowski podjął w radiu. W liście do Palestra rzecz tę wstępnie tak analizuje: „Gomułka, któremu literatura nie jest potrzebna, wziął się do jej niszczenia *in nuce*. Ograniczenia produkcji dotkną w pierwszej linii młodych. Ostaną się starsi, z którymi Gomułka nie miał zresztą większych kłopotów. Skończy się dopływ nowych talentów, skończy się zmiana warty, a wreszcie i sama literatura. Stąd przerażenie i zrozpaczenie młodszych. Niektórzy wpadają w nastroje opozycyjne, i tych przywołuje się do porządku metodami policyjnymi. Od jednego słyszałem: »Co każą, to będę pisał. Nic mniejszego od całkowitej submisji tu nie wystarczy«. Ale i to już się skończyło, bo Gomułka nie chce literatury posłusznej, woli żadną.

Czytając debiutantów i najmłodszych, miałem wrażenie, że opanowanie ich i zaprzęgnięcie do reżimowego wozu zupełnie się nie udało. Młodzi nauczyli się pisać, porozumiewają się z czytelnikami na migi, półsłowami. Zaczęła się tworzyć jakaś nowa warstwa inteligencji, jak w czasach powstania styczniowego i po wojnie krymskiej w Rosji. [...] Było to dla mnie prawdziwą rewelacją, gdy czytając *Sny pod śniegiem* (Woroszyńskiego) zobaczyłem, że czytelnicy krajowi rozumieją znów aluzje i uniki Woroszyńskiego. Na to nie możemy oczywiście wskazywać palcem, ale w świetle tych procesów można zrozumieć obawy Gomułki, który chciałby zrobić z narodu rodzaj plastycznej masy, widzi zaś tworzenie się nowych grup oporu. Przy jego taktyce niewiele tylko pozostanie z literatury w roku przyszłym”<sup>21</sup>.

Systematyczna praca recenzencka trwa trzy lata, do roku 1966, później Stempowski pisze już znacznie rzadziej. Ostatecznie współpracę z rozgłośnią RWE przerywa śmierć komentatora. Zaraz po

<sup>21</sup> List Stempowskiego z 21 listopada 1963. Tamże.

śmierci, Giedroyc, myśląc o wydaniu książki z jego rozproszonymi tekstami, zwraca się do Nowaka-Jeziorańskiego z prośbą o nadsyłanie materiałów radiowych, które mogłyby, czy też miałyby wzbogacić projektowany tom *Od Berdyczowa do Rzymu* (Paryż 1971). Nowak-Jeziorański przesyła mu – jak sam pisze – kilka najbardziej interesujących listów Hostowca. Nie wiadomo, o jakie listy idzie. Te, które są przechowywane w Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego, obejmują okres 1959–1962; to pewne, że było ich znacznie więcej, znany mi zespół jest niewielki i raczej ma on charakter techniczno-kurtuazyjny; listy do Palestra z kolei obejmują lata 1955–1967 i w sporej części poza sprawami radiowymi dotyczą muzyki. Nie wiadomo też, czy z kimś jeszcze z radia utrzymywał Stempowski bliższy kontakt. Oczywiście musiał kontaktować się z redaktorami wydań, więc i z Tymonem Terleckim, choćby w sprawach planowania cyklicznych „dyskusji literackich”.

Nowak-Jeziorański proponuje Giedroyciowi także i recenzje Stempowskiego. Pisze: „Mamy cały stos recenzji Hostowca, choć nie zachował się, niestety, komplet. Jeżeli Pan sobie życzy – mogę je również wysłać. Są to wszystko recenzje z wydawnictw krajowych, pisane z właściwą autorowi niezwykłą kulturą”<sup>22</sup>. W kolejnym liście z 2 grudnia dodaje: „Przesyłam Panu w osobnym opakowaniu 49 felietonów Hostowca. W razie gdyby Pan chciał wykorzystać je w druku – proszę o łaskawe powołanie się w odnośniku, że były one nadane w naszym radio”<sup>23</sup>. Giedroyc dziękuje za „interesujące listy, jak i materiały”, ale jednak nie zamieszcza ich w tomie *Od Berdyczowa do Rzymu*.

Wracając do materiałów, należy ustalić ich obecny stan: Jerzy Timoszewicz wydał radiowe teksty Stempowskiego w tomie *Felie-*

<sup>22</sup> Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy 1952–1998*, wybór i opracowanie Dobrosława Platt, Wrocław 2002, s. 320. List z 7 listopada 1969.

<sup>23</sup> Tamże, s. 323.

*tony dla Radia Wolna Europa* (Warszawa 1995); w sumie jest ich tam czterdzieści. Nowak-Jeziorański pisze o czterdziestu dziełach jako o niepełnym zestawie. Moje poszukiwania w archiwum doprowadziły do ustalenia następującego ich stanu: w formie radiowego skryptu zachowało się siedem audycji nieujętych przez Timoszewicza: najciekawsza – jak sądzę – to „Papier i literatura” (1964) i recenzje: Ernesta Brylla *Studium* (1964), Witolda Wirpży *Na granicy* (1965), *Stary tramwaj*, Irzykowski (1965), Stanisława Dygata *Disneyland* (1965), Ryszarda Przybylskiego *Dostojewski i przeklęte problemy* (1966), Henryka Grynberga *Żydowska wojna* (1967) i Włodzimierza Odojewskiego *Zmierzch świata* (1967).

Poza tym na antenie nadawano omówienia *Notatnika niespiesznego przechodnia*, w „Panoramie” wspomniano uroczystość 50. rocznicy ogłoszenia niepodległości Ukrainy (prowadzili tę uroczystość Stempowski i ks. Mirosław Marusyn – audycja z 2 lutego 1969). Zachowała się także informacja o odbytej 9 maja 1966 roku dyskusji na temat moskiewskiego procesu Andrieja Siniawskiego i Julija Daniela, w której poza Hostowcem udział wzięli: Gustaw Herling-Grudziński, Józef Czapski i Aleksander Wat, a przewodniczył jej Kajetan Morawski (oczywiście i ta audycja nie zachowała się). Poza skryptami już uwzględnionymi przez Jerzego Timoszewicza (w archiwum jest ich obecnie około 30 – a więc mniej niż we wspomnianej publikacji Timoszewicza) zachowały się audycje poświęcone Stempowskiemu lub głosem lektora czytające jego słowa: w tym ostatnim przypadku chodzi o ankietę na temat twórczości Stefana Żeromskiego i kwestii ewentualnego sprowadzenia prochów Norwida do kraju. Recenzje „niespiesznego przechodnia” często czytał także Roman Palester.

Po wielu latach natomiast o Stempowskim i jego dziele mówił w formie miniwykładu Wojciech Karpiński (1986), w 1991 – Konrad W. Tatarowski przygotował 40-minutową audycję o eseistyce autora na podstawie publikacji *Od Berdyczowa do Rzymu*, a zaraz

po śmierci wytrwałego epistolografa, słowo o nim na antenie Wolnej Europy wygłosił Roman Palester i przywołany na wstępie Wacław Zbyszewski. Także Tymon Terlecki, którego wspomnienia obejmują również radiowy epizod Stempowskiego: „Cechowała Stempowskiego nieustanna czujność, nieograniczona chłonność, pasja, którą łacinnicy nazywają *novarum rerum studio*. Nigdy się nie spóźniał, ale też nie ulegał łatwo złudzeniom nowości. Kiedyś stanęliśmy do dyskusji o »końcu powieści«. Potraktowałem poważnie ten temat, powracający jak legendarny potwór z Loch Ness, ale Stempowski otrzeźwił mnie przytoczeniem z głowy kilku książek, które kilkanaście i kilkadziesiąt lat wcześniej wieściły zagładę gatunku powieściowego. Pisał o »antypowieści« bez świętego oburzenia i ciepłego zachwytu. Umiał przenikliwie spojrzeć na *Cmentarze Hłaski*”<sup>24</sup>.

Czy w świetle zgromadzonej wiedzy o aktywności Stempowskiego w RWE mamy prawo sądzić, że obcujemy z poboczną, peryferyjną aktywnością autora radiowych recenzji, jak sugeruje Jerzy Timoszewicz w publikacji z 1995 roku? Trudno o jednoznaczną odpowiedź. Jeśli bowiem weźmiemy pod uwagę epistolografię Stempowskiego, to rzeczywiście – publicystyka tego autora nie jest może aż tak objętościowo imponująca. Ale przecież chodzi tu także o inny tryb wypowiedzi: publiczny w przypadku publicystyki, eseistyki, komentarza krytycznego, recenzji itp., prywatny – jeśli idzie o listy. Prawdą jest jednak i to, że Stempowski był w swoich działaniach pisarskich rozproszony i wielowątkowy, co – jak sądzę – nie zawsze mu sprzyjało.

Możemy postawić i inne pytanie: jaką zatem wartość mają recenzje pisane dla RWE? Oczywiście są one różnej jakości i na pewno są nierówne. Tam, gdzie mowa jednak o sprawach i ludziach sprzed wojny, o pisarzach dwudziestolecia, doświadczenie wydaje się Stemp-

<sup>24</sup> T. Terlecki, *Pan Jerzy*, dz. cyt.



owskiemu szalenie pomocne, tu słowa przystają do rzeczy, przylegają dokładnie do materii opisu, czujemy łatwość i lekkość, z jaką autor pisze o bohaterach i ich dziełach. Kiedy jednak komentuje debiuty krajowe z lat 60., można odnieść wrażenie, że mimo dobrej woli przychodzi mu mówić o sprawach odległych, o świecie PRL-u, którego właściwie nie zna<sup>25</sup>, a z kolei znane mu terminy i pojęcia z zakresu krytyki literackiej nie są w stanie uchwycić absurdalnej istoty świata, który młoda literatura krajowa próbuje przedstawić, mimo cenzury. Właściwie jedynie przez tę krajową prozę próbuje niejako „dotknąć” i „posmakować” rzeczy odległych, ale jest to dotknięcie jak przez rękawiczkę, dość niepewne. Stąd – być może – obfitość cytatów z ocenianych utworów, prób omawiania samej ich formy, czasem bardzo celna puenta.

Inna rzecz, że pisał Stempowski radiowe recenzje pospiesznie, na zapas, sądzę także, że bez specjalnego przekonania co do ich wartości. Ponadto 10-minutowa wypowiedź radiowa wymaga pewnego stanu skupienia, dozowania napięcia, dość spieszego rytmu, konsekwencji wywodzenia i narastającej fali argumentów, a ten radiowy rytm w istocie do temperamentu Stempowskiego nie przylegał; jego opowieści bowiem to niespiesznie płynące fale, zakręty i wiry myśli, wielokrotne powroty, eseistyczna rozlewność, dygresyjność i subtelna aluzyjność, wreszcie – gawędziarstwo.

Roman Palester po śmierci Stempowskiego, w tekście wygłoszonym przed mikrofonem RWE w 1969 roku, o aktywności radiowej krytyka wypowiedział się zgoła inaczej. To głos pisarza radio-

<sup>25</sup> Wiedza Stempowskiego o kraju, zwłaszcza o środowisku kulturalnym i naukowym była imponująca (niewątpliwie za sprawą głównej informatorki – Marii Dąbrowskiej i spotkanych na Zachodzie „znajomych” z Warszawy), niewystarczająca jednak do tego, by z pełną swobodą komentować najnowszą literaturę powstającą nad Wisłą. O stosunku Stempowskiego do kraju pisze Małgorzata Szpakowska, *Jerzy Giedroyc i Jerzy Stempowski*, w: *Jerzy Giedroyc: Kultura, polityka, wiek XX. Debaty i rozprawy*, pod red. Andrzeja Mencwela, Andrzeja S. Kowalczyka, Leszka Szarugi, Zuzanny Grębeckiej, Warszawa 2009, s. 195-202.

wego, który jako redaktor audycji kulturalnych miał przez lata wgląd we wszystkie nadsyłane do RWE komentarze i recenzje. Na ich tle Stempowski niewątpliwie wyróżniał się i zapewne nie chodzi tu o „radiowe walory” pisarstwa autora *Pielgrzymy*, ale – ogólnie rzecz ujmując – o kulturę literacką, na którą był niezwykle uwrażliwiony także sam Palester, który wówczas powiedział: „[...] swoim talentem i szerokością horyzontów wzbogacał nasz program radiowy. W ciągu długich lat Jerzy Stempowski nadsyłał nam recenzje z beletrystyki krajowej. Były one ozdobą naszego programu kulturalnego. Oceniał dzisiejszą literaturę krajową bez uprzedzeń, ale i bez »taryfy ulgowej«. Analizował każdą książkę z przychylnością rzadką u polskich recenzentów, jedynie w końcowych puentach swoich felietonów formułował – zawsze w sposób nieco zawołowany – swój sąd osobisty, w niektórych wypadkach podbarwiony ironią, czasem nawet okrutny. Ale zawsze sprawiedliwy”<sup>26</sup>.

Należy na koniec stwierdzić, że „niespieszny przechodzień” wielu zamierzeń, nie tylko radiowych, sygnalizowanych w listach do przyjaciół i współpracowników nie zrealizował. I w jego przypadku los okazał się niezbyt łaskawy.

---

---

<sup>26</sup> Cykl: „Okno na Zachód”, nr 878 z 7 października 1969.

## Gość z innej planety – Józef Wittlin

[...] *ludziom z mojego pokolenia, które dojrzało przed rokiem 1914, niełatwo pogodzić się z brutalnością dzisiejszej sztuki.*

Józef Wittlin

„Ja to jestem mozaicysta”, „moja praca prawdopodobnie trwałaby setki lat”, „nikomu jej nie polecam” – zwierzał się ze swojego kompleksu perfekcjonisty w 1953 roku przed mikrofonem Radia Wolna Europa Józef Wittlin<sup>1</sup>. Nie byłoby to wyznanie zaskakujące – każdy pisarz, poeta czy tłumacz pracuje przecież w zgodzie z własnym rytmem serca – gdyby jednak nie fakt, że niespiesznie zmagający się z trudną materią przekładu *Odysei* twórca, zdecydował się na nawiązanie długoletniej współpracy z medium pospiesznym, nastawionym na współczesność, wychylonym ku przyszłości – z Polską Sekcją Wolnej Europy w Nowym Jorku i Monachium. Gdyby jeszcze miał tam Wittlin ewentualnie tylko czytać własne wiersze czy prezentować fragmenty dzieł, nad którymi pracował, co naturalnie także robił, można byłoby uznać, że była to decyzja w istocie zgodna z twórczym temperamentem autora *Orfeusza w piekle XX wieku*. Ale z Wittlinem jest inaczej.

---

<sup>1</sup> „Powstanie utworów poetyckich” – rozmowa z Janem Lechonem, Kazimierzem Wierzyńskim i Józefem Wittlinem, przeprowadzona przez Jerzego Rawicza. Audycja w cyklu „Głos Wolnych Pisarzy” (z 2 grudnia 1953). Archiwum RWE, w: Narodowe Archiwum Cyfrowe. Transkrypt wypowiedzi Wittlina (V.W.M.).

Ten nastawiony na sprawy wieczne autor, rygorysta klasyczny, poddający swoje piarstwo tamtym rytmom i miarom, podejmuje się stałej współpracy z RWE na prawach *freelance*, bierze na siebie ciężar obowiązków związanych z piarstwem radiowym, co znaczy, że zdaje sobie sprawę z faktu, iż rola autora wydania, stałego recenzenta, pomysłodawcy audycji o literaturze, uczestnika dyskusji okrągłego stołu<sup>2</sup> m.in. na tematy kulturalne, może być absorbująca. Ponadto trwa w tej profesji pisarz mniej więcej do 1974 roku, choć ostatnie kilka lat przed śmiercią charakteryzuje znacznie mniejsza częstotliwość programów przygotowanych przezeń do emisji<sup>3</sup>.

Z temperamentu piarskiego bliski Jerzemu Stempowskiemu, któremu poświęciłam poprzedni rozdział<sup>4</sup>, Wittlin udowodnił, że może systematycznie przygotowywać materiał do audycji (zawsze przecież cyklicznych), między którymi upływał co najmniej miesiąc; z czasem – kilka miesięcy. Jeśli tę długoletnią i systematyczną pracę dla radia zderzymy z takim oto spostrzeżeniem córki pisarza, Elżbiety Wittlin-Lipton, w związku ze specyfiką warsztatu piarskiego ojca i jego rytmem życia, która mówi: „Myślę, że trzeba powiedzieć o sumieniu artystycznym, a także o wymaganiach wobec samego siebie. Ojciec darł, niszczył rękopisy, zwykle był bardzo niezadowolony ze swojej pracy. Wstydził się, chował. Dlatego nigdy nie potrafił mnie nauczyć literatury, nigdy. Natomiast muzyki cudownie mnie uczył. To był człowiek niezwykle muzykalny. Może tajem-

---

<sup>2</sup> Zwraca na to uwagę przy okazji omawiania działalności emigracyjnej Wierzyńskiego (także współpracownika RWE) Maria Danilewicz Zielińska: „Praca radiowa wymagała częstych przyjazdów do nowojorskiego studia, opracowania skryptów na najrozmaitsze tematy, udziału w dyskusjach »okrągłego stołu«, w których partnerami byli starzy i nowi przyjaciele: Lechoń, Wittlin, Weintraub, Fryling”. Teżę, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Wrocław – Warszawa – Kraków 1992, s. 172-173.

<sup>3</sup> Z dużą regularnością do roku 1972; z czasem recenzje teatralne i komentarze kulturalne pisze Tadeusz Wittlin, który ostatecznie w połowie lat 70. zastąpi autora *Orfeusza w piekle XX wieku*.

<sup>4</sup> Zob. rozdział: *Jerzy Stempowski – niespieszny przechodzień w pospiesznym medium*.

nica polega na tym, że klasycyzm (i rygor) jest tutaj zmieszany z pasją. Nawet cisza w jego wierszach ma wyraźny sens. To, czego nie mówił, było dostrzegalne i na swój sposób ważne. W tym sensie był minimalistą [...]”<sup>5</sup> – to musimy przyznać, że decyzja autora *Soli ziemi* o pracy dla RWE jest jednak wyjątkowa. Z dzisiejszej perspektywy – przez wzgląd na pozostawiony materiał – również dla nas cenna.

Z jednej strony – przez niekończącą się potrzebę studiowania problemów, szlifowania słów, precyzowania myśli, pogłębiania sensów, był Wittlin daleki od warsztatu dziennikarskiego, gdzie liczy się przede wszystkim szybkie tempo pracy i wyrazistość, nawet ostrość publicystycznego głosu, z drugiej zaś – zapewne pragnął, na miarę możliwości emigranta oddalonego od kraju o tysiące mil, uczestniczyć w jego życiu kulturalnym, zwłaszcza z pobudek etycznych. A radio taką szansę przecież dawało. Nie tylko sumienie ekspresjonisty, ale i słuch muzyczny, był mu na pewno przydatny dla pełnego korzystania z tworzywa tego medium, gdzie m.in. idzie o ekonomię słów (brzmień, efektów specjalnych) w ścisłej korelacji z pauzą (ciszą), o rytm, wreszcie o odpowiedniość tonu. Wszystko to prawdopodobnie tłumaczy Wittlinowską decyzję o pracy w RWE. A – dodajmy – jest ona pozytywna. Podczas wojny zdecydowanie odmówił mówienia do Polski w obawie przed restrykcjami, jakie ze strony okupantów mogłyby spotkać słuchacza krajowego.

Samo radio także było autorowi *Orfeusza w piekle XX wieku* przychylnie, nie tak pospieszne jak dzisiaj, pisane a nie mówione, a jeśli mówione (np. dyskusje), to nigdy z emisją na żywo. Komfort uczestniczenia w programie wiązał się zatem z możliwością ponownego nagrania wypowiedzi, eliminacji zbędnych słów, „podciągnięcia” i wyostrzenia sensów, kondensacji narracyjnego przebiegu. Tamto radio również lubiło literaturę i literacki komentarz, bo czy-

<sup>5</sup> *Rygor i pasja. Rozmowa Wojciecha Ligęzy z Elżbietą Wittlin-Lipton (1999), Etapy Józefa Wittlina. W 115 rocznicę urodzin, 75 – wydania „Soli ziemi” i 35 – śmierci* (Konferencja Wittlinowska), Kraków 2011 (druk ulotny).

niło z szeroko pojmowanej kultury oręż walki o demokratyczne i zarazem polskie oblicze krajowej rzeczywistości politycznej (szczególnie w latach 50.; w okresie dominacji socu cel oddziaływania radiostacji był wyrazisty). Było to radio substytucjonalne<sup>6</sup>, tzn. takie, które symulowało rozgłośnień wewnątrz krajową i sformatowane tak, jak radio publiczne, tzn. z pełną gamą różnorodności programowych.

W takim medium właśnie mógł się czuć pisarz nie najgorzej. Inna kwestia to jego głos, który nie miał dobrej emisji, a mimo to niemal zawsze mówił Wittlin do mikrofonu. Audycje jego autorstwa czytał spiker tylko wówczas, kiedy sam pisarz był poza Nowym Jorkiem lub poza innymi studiami RWE w Europie, gdy nie mógł dokonać nagrania lub na wypadek, gdyby jego jakość była niezadowolająca. Dziś głos Wittlina słyszany z taśmy stanowi osobną wartość, jest echem dawnej Rzeczypospolitej i jej melicznych lwowskich osobliwości.

Wejście do studia Wolnej Europy nie było dlań doświadczeniem nowym, podobnie kontakt z publicystyką. Już przed wojną zajmowały go krótkie formy wypowiedzi, publicystyka, felietonistyka, krytyka i oczywiście radio. I nie jest w tym autor *Soli ziemi* wyjątkiem, o ile idzie o ten interesujący nas kontakt, należy bowiem do Rzeczypospolitej literackiej, która zawarła pakt z wówczas nowym, frapującym i zarazem przerażającym częścią autorów – wyznawców tradycyjnie pojmowanego pisarstwa i recepcji kultury – medium.

W przedmowie do *Orfeusza w piekle XX wieku*, zapoznając czytelnika z zawartością tomu, Wittlin pisze, że „Na Etapy złożyły się reportaże literackie posyłane do pism warszawskich, takich jak »Tygodnik Ilustrowany«, »Wiadomości Literackie«, »Gazeta Polska« oraz odczyty, wygłaszane przed mikrofonem Polskiego Radia”<sup>7</sup>. I dodaje: „[...] tytuł tej książki powstał w roku 1930, z oka-

<sup>6</sup> O specyfice programowej Wolnej Europy piszę w rozdziale *Paradoksy komunikacji: Radio Wolna Europa a kraj*.

<sup>7</sup> Józef Wittlin, *Orfeusz w piekle XX wieku. Pisma*, tu: *Przedmowa*, Paryż 1963, s. 13.

zji koncertu Jana Kiepurę w Filharmonii Warszawskiej. Ówczesny kierownik programowy zwrócił się do mnie z propozycją napisania i wygłoszenia przed mikrofonem czegoś, co poprzedziłoby transmisję koncertu i »wprowadzałoby radiosłuchaczy w odpowiedni nastrój«. Wyższe względy finansowe utrudniły odmowę<sup>8</sup>.

Najprawdopodobniej to jedyna wypowiedź Wittlina spoza radia (nie licząc epistolografii), dość enigmatycznie przywołująca to medium, a dla mnie ważna, pełniąca bowiem funkcję tropu naprowadzającego na audialną rzecz pisarza.

Inna, bardziej bezpośrednia wypowiedź pochodzi z listu skierowanego przez autora do Nowaka-Jeziorańskiego w grudniu 1971 – a więc po wielu latach praktykowania w studio RWE. Wittlin pisze w nim m.in.: „[...] RFE jest dla polskiego pisarza na emigracji jedynym bezpośrednim kontaktem z Polską, a jeśli o mnie chodzi, uważam, że kiedy przez przeszło dziesięć lat prowadziłem audycje poetyckie ze szczególnym uwzględnieniem pisarzy emigracyjnych (choć bez ich autoryzacji), przysłużyłem się zarówno im, jak radiosłuchaczom krajowym<sup>9</sup>. A że dorobek pisarza pod tym kątem nie był jak dotąd wnikliwie rozpoznany, niech świadczy, dziś także już historyczna, uwaga Marii Danilewicz Zielińskiej ze *Szkiców o literaturze emigracyjnej*, która „teksty licznych audycji radiowych” Wittlina określa jako „niewiadomą”<sup>10</sup>.

---

<sup>8</sup> Tamże, s. 14.

<sup>9</sup> Zob.: przypis 17.

<sup>10</sup> M. Danilewicz Zielińska, *Szkice...*, dz. cyt., s. 178. Nie tylko chodzi o poznanie dorobku radiowego Wittlina, ale także o ustalenie jego współpracy z RWE i zweryfikowanie pojawiających się w publikacjach nieścisłości.

Cytaty *Dziennika* Jana Lechonia, wg: Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 1-3, Warszawa 1992–1993.

Przed podjęciem współpracy z Komitetem Wolnej Europy Józef Wittlin pracował od 1946 jako tłumacz. Od 1 stycznia 1951 otrzymywał stypendium literackie Komitetu Wolnej Europy. Brak jest jednak informacji, z których wynikałoby, że przed uzyskaniem tego stypendium Józef Wittlin współpracował już z RWE (źródło: dokumenty RWE/RL z Archiwum Lechosława Gawlikowskiego w Monachium).

Czas zatem po latach, także po latach od wydania *Szkiców* Danilewicz Zielińskiej, na zapoznanie się z radiową spuścizną autora *Hymnów*. Od razu muszę przyznać, że zrekonstruowanie tej pracy dla rozgłośni nie należało do zadań łatwych, głównie przez brak bezpośrednich zapisów samego Wittlina tej sprawie poświęconych. Pożyteczne okazały się jednak „radiowe okruchy” pojawiające się

---

Notatka zamieszczona w kronice *Radio Free Europe i literatura polska* („Wiadomości” 1950, nr 30) nie wymienia Józefa Wittlina wśród pisarzy, których prace nadało już RWE podczas pierwszych 6 miesięcy swego istnienia, wymienia natomiast Tadeusza Wittlina, a także Jana Lechonia i Kazimierza Wierzyńskiego.

Pierwszy dyrektor Polskiej Sekcji RWE w Nowym Jorku Lesław Bodeński w wspomnieniach pt. *Jak powstało Radio Wolna Europa. Osobiste wspomnienie (1950–1951)*, s. 22, wymienia nazwisko Józefa Wittlina, Tadeusza Wittlina, Jana Lechonia oraz Kazimierza Wierzyńskiego wśród korespondentów Polskiej Sekcji. Ponieważ Bodeński był jej szefem od maja 1950 do sierpnia 1951, to wynikałoby, że Wittlin nawiązał współpracę z Polską Sekcją RWE pomiędzy grudniem 1950 i sierpniem 1951 (z ustaleń Lechosława Gawlikowskiego).

Jedną z stałych audycji programowych Głosu Wolnej Polski od roku 1952 były literackie dyskusje okrągłego stołu.

Pierwsza obszerna relacja z cyklu „Głos Wolnych Pisarzy” dotyczyła *Innego Świata* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Wittlin wówczas powiedział: „Zawsze odczuwam zażenowanie, gdy mam mówić i to publicznie o książkach, których tematem są udręczenia nie postaci zmyślonych, ale samego autora i jego towarzyszy. Chcąc jednak uwydatnić zalety tej książki – wiele zalet – pozwolę sobie przytoczyć powiedzenie jednego z największych autorzytetów w dziedzinie obozologii, a mianowicie Rousseta, autora dwóch poważnych dzieł: *Les jours de notre mort* i *L’univers concentrationnaire*. Powiada Rousset, że »zbyt głęboko sięgająca niedola budzi nie współczucie, lecz odrazę i nienawiść«. I rzeczywiście znamy sporo takich relacji turystów zwiedzających obozy koncentracyjne, których przejęły odrazą ofiary – oglądane już po wyzwoleniu. Książka Herlinga-Grudzińskiego przeczy takiemu twierdzeniu. Potrafił on sięgnąć niemal do samego dna niedoli ludzkiej, do dna poniżenia, a jednak wzbudził współczucie dla swych towarzyszy, nawet najbardziej upodlonych. Stało się tak dlatego, że książka Herlinga nie przygnębia czytelnika, jak przygnębia Dostojewski, że potrafił on własne i cudze cierpienie przedstawić z wielkim, niemal klasycznym umiarem i dystansem”. *O książce Herlinga-Grudzińskiego*, „Wiadomości” 1952, nr 30.

Pracę przy tworzeniu programu radiowego, w którym brał udział Wittlin wielokrotnie, wspomina w dzienniku Jan Lechoń. Zapisy Lechonia są o tyle ważne, że wskazują na audycje, które nie zachowały się w archiwum RWE ani w wersji dźwiękowej, ani w formie skrypty.



w korespondencji autora m.in. z Waławem Iwaniukiem<sup>11</sup> i z Nowakiem-Jeziorańskim, pewną rolę odegrały zapisy w korespondencji skamandrytów<sup>12</sup>, dziennik *Lechonia*, wreszcie archiwum Wolnej Europy (także archiwum Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku) i wyciągi z rejestrów Wolnej Europy u Hoovera, które swego czasu poczynił Lechosław Gawlikowski, wieloletni wicedyrektor RWE w Monachium, a który był uprzejmy się ze mną nimi podzielić.

Do zrekonstruowania tej pracy nadzwyczaj przydatne okazują się londyńskie „Wiadomości”, które systematycznie donosiły o różnych wydarzeniach kulturalnych na emigracji, również zza Atlantyku, wytwarzanych i ogłaszanych w nowojorskim studio Wolnej Europy. Współpraca „Wiadomości” z nowojorską, później i monachijską RWE, to zapewne efekt porozumienia, u podłoża którego leżała stała pomoc finansowa Komitetu Wolnej Europy dla emigracyjnego pisma. Komitet Wolnej Europy wspomagał w tym samym mniej więcej czasie także Wittlina, od 1 stycznia 1951 roku pisarz otrzymywał bowiem stypendium literackie Komitetu Wolnej Europy<sup>13</sup>.

Najprawdopodobniej jednak rozpoczyna pracę w RWE pomiędzy grudniem 1950 roku a sierpniem roku 1951; od 1952 uczestniczy w dyskusjach okrągłego stołu, najczęściej wymienia się opiniami z Lechoniem i Wierzyńskim. Jednak z najwcześniejszego okresu funkcjonowania Wolnej Europy w Nowym Jorku, a później w Monachium, zachowała się śladowa ilość nagrań, w tym oczywiście i nagrania Wittlina. Audycje w Nowym Jorku nagrywane były wówczas

---

<sup>11</sup> *Samotność słowa. Z listów do Waławego Iwaniuka. Józef Wittlin, Kazimierz Wierzyński, Aleksander Janta-Potczyński*, opracował i wstępem opatrzył Leszek M. Koźmiński, Lublin 1995.

<sup>12</sup> Zob.: Wojciech Ligęza, *Korespondencja skamandrytów z archiwum Jana Lechonia, w: Życie literackie drugiej emigracji niepodległościowej*, t. 1, pod red. Janusza Kryszaka, Rafała Moczkodana, Toruń 2001, s. 173-186.

<sup>13</sup> Dokumenty RWE/RL z Archiwum Lechosława Gawlikowskiego w Monachium.

na płytach winylowych, a nie na taśmie magnetofonowej, były nie-  
trwale i ponadto zajmowały dużą objętość, co z kolei zniechęcało do  
ich archiwizacji. Audycje z Nowego Jorku nagrane na takich płytach  
były przesyłane początkowo (tj. między 1950 a 1952 rokiem) do  
Frankfurtu nad Menem i stamtąd nadawane na Europę. Od czasu  
stworzenia w 1952 redakcji europejskiej RWE w Monachium, a więc  
także tam Głosu Wolnej Polski (późniejsza nazwa – Rozgłośnia Pol-  
ska RWE), program emitowano na falach krótkich przy pomocy  
anten wielkiej mocy ze stacji ulokowanych pod Lizboną. Audy-  
cje Rozgłośni Polskiej RWE z Monachium były więc przesyłane do  
Portugalii, a polski program z Nowego Jorku (w tym audycja „Głos  
Wolnych Pisarzy”) i audycje z innych biur terenowych RWE, nad-  
chodziły nagrane już na taśmach magnetofonowych, które póź-  
niej wykorzystywano do kolejnych emisji; taśmy zatem wielokrot-  
nie „zagrywano”, co np. tłumaczy dzisiejsze problemy z rekonstruk-  
cją radiowego dzieła interesującego nas twórcy. Pracownicy polscy  
w Lizbonie ponadto kontrolowali jakość nagrań, a w razie potrzeby  
powtarzali transmisję z Monachium (np. w przypadku silnych zakłó-  
ceń w odbiorze) i byli odpowiedzialni za całość emisji. Taka droga  
przesyłania materiału, z pewnością nie sprzyjała jego zachowaniu,  
ulegał więc rozproszeniu, często drobnym uszkodzeniom uniemożli-  
wiającym odtworzenie pełnego zapisu, niejednokrotnie również cał-  
kowitemu zniszczeniu<sup>14</sup>.

Nie zachowały się więc i audycje najstarsze – z lat 1950–1952 –  
Wittlina; o ich tematyce, formie i udziale w nich pisarza szczęśliwie  
donosi Jan Lechoń na kartach swojego dziennika<sup>15</sup>. Zachowało się  
natomiast kilka zapisów dźwiękowych audycji z lat 1952–1955 w Pol-  
skim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku (są to nagrania pły-  
towe, skopiowane na CD), pozostałe – ponad dwadzieścia – pocho-

---

<sup>14</sup> Podaję za Lechosławem Gawlikowskim (korespondencja z V.W.M.).

<sup>15</sup> Zob.: przypis 10.

dzi z lat 60. i 70., z których część to programy poświęcone Wittlinowi jako poecie, pisarzowi i eseiście, wykorzystujące we fragmentach wcześniejsze nagrania i ich emisje. W większości zachowanych – zarejestrowany został głos pisarza. Wymieniam tylko niektóre: fragment wieczoru autorskiego Wittlina (prawdopodobnie z 1953 roku), rozmowa z pisarzem o *Soli ziemi*, wspomnienie autora o Lechoni (obok głosów Wierzyńskiego i Kuncewiczowej); o „Powstaniu utworów poetyckich”; kolejna audycja przygotowana przez Lechonia, w której mówią Wittlin, Hemar, Ziemowit Karpiński o „Teatrze polskim na emigracji”, przemówienie poety wygłoszone z okazji świąt Bożego Narodzenia (1957), o Halinie Poświatowskiej, kolejne – z okazji jubileuszu Marii Dąbrowskiej, z obchodów 70. rocznicy urodzin Wierzyńskiego, w związku z Kongresem Kultury Polskiej w Warszawie zwołanym na 7 października 1966, z projektem sprowadzenia szczątków Norwida do kraju (1966), ponadto rozmowa Stefanii Kossowskiej z Wittlinem o Żeromskim, Kasprowiczu i Przybyszewskim (1967), wypowiedź poety w ramach cyklu „W pracowniach intelektualistów polskich na Zachodzie” (1961) i bardzo ciekawa dyskusja o „Poezji polskiej w dwudziestolecie niepodległości” (w rozmowie uczestniczą: Kazimierz Wierzyński, Stanisław Baliński, Michał Chmielowiec, Juliusz Sakowski). Pozostałe audycje rejestrują głos Wittlina (poeta czyta własne wiersze).

Ponadto zachowały się skrypty radiowe „Programu literackiego” w opracowaniu Wittlina (11<sup>16</sup> z lat 60. z cyklem „Książki tygodnia”, dwie audycje: „O antologii poezji hiszpańskiej Jana Winczakiewicza”; „O antologii poezji prowansalskiej Zofii Romanowiczowej” 1963); w cyklu „Program specjalny” („Krzyż” z 17 marca 1964; „Epitafium Wierzyńskiemu” – z 19 marca 1969; ankieta o Że-

---

<sup>16</sup> „Utwory staroprowansalskie z antologii Z. Romanowiczowej” – z 5 sierpnia 1964; „Szekspir z okazji 400-setnej rocznicy urodzin” – z 6 maja 1964; „Prezentacja utworów z antologii J. Winczakiewicza” – z 18 września 1964; „Poetom emigracyjnym: Bronisławowi Przyłuskiemu i o. Wacławowi Chabrowskiemu” – z 13 listopada 1964; „Poezji Eliota, MacNeice, Edith Sitwell” – z 20 marca 1965.

romskim z 11 października 1964; „O przeniesieniu prochów Norwida do kraju” z 27 listopada 1966) oraz zapis dyskusji o poezji dwudziestolecia międzywojennego z 25 września 1967. Wersję w formie zapisu tekstowego dopełniają przedruki w piśmie „Na Antenie” i w przypadku czterech ostatnich – o których była już mowa – zachowało się również nagranie dźwiękowe.

Trzeba w tym miejscu podkreślić i to, że zasoby archiwalne przechowują jedynie niewielką część pracy radiowej autora *Orfeusza w piekle XX wieku* (jeśli uwzględnimy czas jej trwania: od 1951 i niemal do końca życia). To wzmacnia tylko przeświadczenie o ulotności tego medium. Charakter pracy także uniemożliwia samej rozgłośni zadbanie o własne archiwum. Szczęśliwym trafem zachowało się jednak sporo recenzji teatralnych z lat 60. i 70. autora *Hymnów*.

Był też dla Nowaka-Jeziorańskiego Wittlin – pisarz ze znaczącym dorobkiem międzywojennym, pozycją i znajomościami w środowisku intelektualistów europejskich – ważnym komentatorem i publicystą zza oceanu, obok Wierzyńskiego i Lechonia. Świadczą o tym okrucy korespondencji (zachowało się zaledwie kilka listów, z większej ilości, co można domniemać po rozpoczętych wątkach). Namawiany do audycji jubileuszowych, do rozmaitych inicjatyw pozaantenowych, był ponadto uznany za człowieka o niepodważalnym moralnym autorytecie, za kogoś, kogo wypowiedzi będą przez zespół RWE odbierane z całą powagą i życzliwością<sup>17</sup>.

---

<sup>17</sup> Zachowane listy między Wittlinem a Nowakiem-Jeziorańskim (w zbiorach J. Nowaka-Jeziorańskiego w Ossolineum) świadczą o nieprzerwanej i raczej bezkonfliktowej współpracy. Ten drugi pisze w liście z 25 kwietnia 1962: „Pozwalam sobie przesłać w imieniu nas wszystkich zaproszenie na uroczystość 10-lecia naszej Rozgłośni. Odbędzie się ona w tym samym studio, w którym mieliśmy okazję przed dwoma laty złożyć Panu nasz hold jako wybitnemu Poeecie i Pisarzowi. Cieszylibyśmy się niezmiernie, gdybyśmy mogli znowu powitać Pana w tym dniu w naszym zespole. Gdyby to nie było możliwe, czy zechciałby Pan nadesłać nam kilka słów, które byłyby odczytane w czasie tej skromnej wewnętrznej uroczystości”.

W reakcji na propozycję Wittlin 3 maja 1962 przesyła pozdrowienia [sygn. 35/991/2]. 21 sierpnia 1963 Nowak-Jeziorański pisze do Wittlina: „Natychmiast zażądałem od

Kielanowskiego, aby pokazał Pańską odpowiedź z r. 1938. Czy zechciałby Pan swoje *post scriptum*, napisane po ćwierć wieku, nagrać w naszym studio nowojorskim?

Pańskie porównanie Komitetu Wolnej Europy z mecenatem króla Stasia – bardzo pochlebne dla naszej organizacji, ale obawiam się nieco, że nie wszyscy nasi słuchacze mogą mieć poczucie humoru niezbędne dla oceny tej aluzji we właściwej proporcji. Pokornie proszę zatem, aby tego zdania nie nagrywać” [sygn. 92/99/100]. Tadeusz Zawadzki 7 października 1966 r. pisze: „Bardzo dziękuję za łaskawe wzięcie udziału w naszych programach specjalnych w związku z rozpoczynającym się w Warszawie Kongresem Kultury Polskiej. Jestem przekonany, że cenna Pana wypowiedź wywrze swój wpływ na nastroje naszych słuchaczy, którzy będą wiedzieli, pod jakim kątem należy oceniać odbywający się Kongres. Liczymy się również z tym, że wypowiedzi wszystkich przedstawicieli życia intelektualnego emigracji oddziałają na postawę wielu uczestników Kongresu i mogą znaleźć wyraz w czasie jego obrad.

Szczególnie cenimy sobie fakt, że mimo krótkiego terminu zechciał Pan wziąć udział w naszym przedkongresowym programie” [sygn. 94/992/103].

Reaguję także bezzwłocznie na sytuację, mogące popsuć jego dobre relacje z dyrektorem radia i monachijską sekcją RWE. Nowak-Jeziorański pisze do Wittlina 9 grudnia 1971: „Jak wynika z listu p. Michała Pawlikowskiego do naszej Rozgłośni z dnia 23 listopada, jest Pan w posiadaniu jego odpisu. Nie wiem, dlaczego wiąże on Pana ze swoim oświadczeniem, że nie chce mieć nic wspólnego z audycjami naszego Radia, dopóki ja zajmuję stanowisko kierownika Polskiej Rozgłośni. W ciągu minionych dwudziestu lat przyzwyczaiałem się już do wszelkiego rodzaju oszczerstw, ataków i krzywdzących sądów. Nie sprawiają one na mnie większego wrażenia. Dotychczas przynajmniej wiedziałem, z jakiego tytułu byłem atakowany. W tym wypadku nie mam pojęcia, o co w ogóle chodzi. P. Pawlikowskiego nie znam, nigdy go w życiu nie spotkałem i nie miałem z nim żadnego konfliktu.

Wciąż z przyjemnością wspominamy wizytę Państwa w naszej Rozgłośni”. Odpowiedź Wittlina pojawia się w liście datowanym na 16 grudnia 1971: „[...] dziękuję za list i spieszę zapewnić Drogiego Pana, że również nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego p. M. Pawlikowski przesyła mi kopię swych listów, adresowanych do RFE. Zarówno tu, jak i w Monachium. Jego zachowanie wydaje mi się przesadną i dziwną manifestacją solidarności z pp. Mackiewiczem i Hemarem. Napisałem mu, że RFE jest dla polskiego pisarza na emigracji jedynym bezpośrednim kontaktem z Polską, a jeśli o mnie chodzi, uważam, że kiedy przez przeszło dziesięć lat prowadziłem audycje poetyckie ze szczególnym uwzględnieniem pisarzy emigracyjnych (choć bez ich autoryzacji), przysłużyłem się zarówno im, jak radiosłuchaczom krajowym. Nieraz starość płata przykre figle i tylko tak można chyba wytłumaczyć zachowanie p. Pawlikowskiego. Przykro mi, że nie wiadomo, dlaczego zostałem wpłątany w dwactwa starego i w gruncie rzeczy wartościowego pisarza”.

Ostatni zachowany list Nowaka-Jeziorańskiego z 21 kwietnia 1972 r. w pewnym sensie kwituje dorobek radiowy Wittlina:

„Drogi Panie Józefie,

W dniu naszego Święta Narodowego, 3 Maja, minie 20 lat od chwili, gdy Rozgłośnia Polska RWE rozpoczęła nadawanie całodziennych programów do Kraju.

Zachowanych w archiwum kilkadziesiąt recenzji Wittlina (i kilka publikowanych w piśmie „Na Antenie”) pozwala jednak na uchwycenie stylu, kody, spoiwa tematycznego w jego charakterystycznych ujęciach, na skonstatowanie względnie stałych wątków, stosunkowo często eksplorowanych przez twórcę, mimo że recenzje dotyczyły innego spektaklu, choć nie zawsze innego dramatu.

Przede wszystkim są to recenzje teatralne, choć zachowało się też kilka wypowiedzi (z niewiadomej ogólnej liczby) wykraczających poza gatunek recenzji teatralnej; to właściwie eseistycznie zabarwione sumy teatralne, w których pojawiają się przemyślenia na temat kondycji sztuki i człowieka w industrialnym świecie i wyraziście zarysowujących się napięcie pomiędzy twórczością tradycyjną (klasyczną) i awangardową, są one także miejscem stawiania pytań (tych z kategorii wiecznych) o trwałość wartości, ich etyczny wymiar, o nienaruszalność normy i związek estetycznych konkretyzacji z innymi transcendentaliami. Zajmuje Wittlina również współczesny katalog odbiorczej wrażliwości, zwłaszcza granice wolności ekspresji, wolności słowa; autor pyta o sens anomalii i prowokacji, które podniesione do rangi sztuki stają się problematycznym synonimem buntu i nowoczesności w sztuce drugiej połowy XX wieku.

Należy też pamiętać, że pisanie (i mówienie) komentarza do oglądanych spektakli jest w ogóle czynnością niełatwą (wypowiadał się

---

Rocznica ta przypada w momencie szczególnie dla nas trudnym. Pan, Drogi Panie Józefie, był z nami od samego początku, a nawet wcześniej, bo jeszcze w tych czasach, kiedy program ograniczał się do godziny czy dwóch, nadawanych z Nowego Jorku.

Jest Pan ostatnim żyjącym z Wielkiej Trójki – Wittlin, Lechoń, Wierzyński, którzy uświetniali nasze audycje swym piórem i żywym słowem. Gdyby Pan zechciał nagrać dla nas choćby kilka słów z tej okazji, byłyby one wysłuchane i przyjęte na pewno z wdzięcznością przez nasz zespół, gdy zbierze się on po południu 3 Maja dla uczczenia naszej rocznicy. Gdyby nagranie okazało się zbyt trudne lub uciążliwe – może zechciałby Pan kilka słów skierować w liście do naszego koleżeńskiego zespołu” [sygn. 99/99/1].

o tym niejednokrotnie i Tymon Terlecki<sup>18</sup>). Po pierwsze – mówić trzeba o fenomenie przemijającym, uchwytnym z natury w dość chimerycznym wrażeniu, w nietrwałym fantomie płynnego obrazu – bo o przedstawieniu (o spektaklu), czyli o niepowtarzalnym „wydarzeniu”. Po drugie – należy kierować swoje słowa głównie do słuchacza krajowego, który nie mógł zweryfikować opinii krytyka; nie oglądał przecież tych konkretnych przedstawień, o jakich Wittlin wypowiadał się przed mikrofonem RWE.

Mimo to, z utrwaleniem ulotnej materii spektaklu i własnych wrażeń radzi sobie komentator całkiem satysfakcjonująco. Niemal każda recenzja ogniskuje się bowiem wokół paru zasadniczych kwestii, czy może raczej „rozgrywa się” na paru poziomach krytycznej refleksji, na poziomach – dodajmy – które nie tylko są ze sobą mocno związane nicią głównego wątku, ale i wzajem się przenikają. A są to: ocena jakości przedstawienia, także wartości samego dramatu, i ocena relacji między tworzywem tekstu dramatycznego a jego udatną lub nie – aplikacją sceniczną (tu interesuje go: dobór zespołu aktorskiego, jakość scenicznego gry, oryginalność użycia rekwizytów i ogólne wrażenie z „uplastycznienia” sceny; tempo, klimat przedstawienia); pojawiają się w recenzjach ministreszczenia z nadatkiem literackim głównych wątków omawianego dramatu, interpretacja intrygi i perypetii, konteksty biograficzne związane z autorem sztuki, reżyserem, aktorami i konteksty kulturowe (np. w omówieniach znajdujemy okruchy genealogiczne, dygresje, powinowactwa oraz rozmaite komparatystyczne ujęcia problemu). Poza tym Wittlin swobodnie polemizuje z nowojorską krytyką, snuje analogie, przywołuje i porównuje ze sobą różne realizacje tego samego dramatu, robi krótkie wyprawy w przeszłość, chętnie także korzysta z zasobów przedwojennej polskiej tradycji teatralnej. Wszystkie te, przed momentem skatalogowane komentatorskie chwytły, spaja wyraźna platforma etyczna, z której ów cały wielowątkowy wywód recenzencki prowadzony jest

---

<sup>18</sup> Tymon Terlecki, *O teatrze – integralnie*, „Na Antenie” 1967, nr 53-54.

przez lata. Można powiedzieć w istocie, że jest to „Wittlinowska platforma etyczna”<sup>19</sup>.

Spektakle, jakie pisarz ogląda i o których mówi, nie są też przypadkowe. Trzeba wyraźnie podkreślić, że ich dobór jest z „recenzenckiego klucza” stałych zainteresowań: klasyczna tragedia, dramat dawny (tradycyjny) i awangardowy, teatr absurdu poszukujący nowoczesnego języka wypowiedzi. Należy również przy tym zaznaczyć, że autorowi *Soli ziemi* po pierwsze – dane było obserwowanie sztuki w dość szczególnym momencie, a idzie o lata 60., w których dokonywały się znaczące przełomy na polu teatralnej konwencji, ekspresji wyrazu, w ogóle – estetyki odbioru i wrażliwości widza; po wtóre – co ważne – było to dość szczególne miejsce, z którego obserwował kondycję teatru współczesnego, chodzi bowiem o najbardziej demokratyczny, eksperymentujący i zarazem ześlizgujący się w popkulturę Nowy Jork z jego 42. ulicą, adresem różnitości teatralnych (tj. teatrów impresaryjnych, stałych grup aktorskich oraz dobieranych do konkretnego przedstawienia zespołów wyko-

---

<sup>19</sup> Tymon Terlecki pisze o niej tak: „[...] każde jego słowo obciąża skrupuł sumienia i skrupuł intelektu... w naszej literaturze przedwojennej przypadła mu rola Kasandry i do dziś zachował apokaliptyczne widzenie człowieka..., połączenia Apokalipsy z humorem jest niepowtarzalną cechą Wittlina... Jest w nim greckość i ewangeliczność...”. Podaje za: Stefania Kossowska, *Gość z innej planety*, w: tejeż, *Galeria przodków*, Warszawa 1991, s. 125. Zob. także: Tymon Terlecki, *Józef Wittlin*, w: tegoż, *Spotkania ze swoimi*, Wrocław 1999, s. 75-81. Z kolei Kazimierz Wierzyński, analizując poezję Wittlina, zauważył: „Wittlin przyłączył się do eschatologów moralności, do rodziny ludzi urzeczonych dobrem i złem, do prądu, który przez wieki, od Dantego do Tołstoja, przenikał świat sztuki i szukał zrozumienia a nawet i zbawienia duszy rozdartej przez te dwa przeciwieństwa. Gdy nasza epoka zajęła się czym innym, gdy pochłonęła nas tajemnica konfliktu człowieka z człowiekiem, narodu z narodem, gdy oślepiła nas noc panująca w nas samych albo wypełniała nas radość czy przygniatał smutek, Wittlin pozostał u źródła spraw ludzkich, z którego jak ze [sic!] serca bije krew wszelkiego istnienia, krew dobra i krew zła. Mniej chodziło mu o środki zaradcze i sposoby lecznicze na niedolę człowieka, bardziej o ustawienie i przeniknięcie tych ostatecznych antynomii. Wierny swej pierwotnej idei, badał, jaka to zasada rozdziela człowieka na jasność i ciemność i bez wahania przyjął regułę podyktowaną mu przez jego wiedzę mistyczną. Była to reguła boska”. Kazimierz Wierzyński, *Wieczór poezji i prozy Józefa Wittlina*, „Wiadomości” 1955, nr 9.



nawczych, efemerycznych grup amatorskich i zawodowych, scen narodowych lub etnicznych, wielojęzycznych, a także gościnnie występujących teatrów europejskich).

Trzeba też dodać, że Wittlin przesyłał recenzje do studia RWE nawet z urlopu spędzanego w Europie, relacjonował wówczas letnie przedstawienia z Francji, Włoch, Hiszpanii i – jak zwykle – analizował, diagnozował, zachwycał się i zniesmaczał tym, co prezentowały teatry latem.

Tak więc i miejsce, i moment przełamywania się estetyk, z dzisiejszego punktu widzenia, w istocie poecie sprzyjały – miał o czym mówić, choć jego samego bardzo często dopadało poczucie dyskomfortu. Konfundowało go bowiem niejedno przedstawienie. Owe estetyczne „przełomy” paradoksalnie wpływały także na jakość powstających recenzji, bo sprzyjały, chcąc nie chcąc, uwyrażnieniu się komentatorskiego głosu. Wittlin nie ukrywał wszakże, co również charakteryzuje jego ocenę, że pragnął raczej obcować z kulturą wysoką, z dramatami „sprawdzonymi”, okrzepłymi w tradycji, z nazwiskami twórców gwarantujących wysoki poziom, miast być poddawany męczącemu eksperymentowi stosunkowo wówczas młodego teatru poszukującego.

Z upodobaniem wraca do Szekspira, ogląda kilkakrotnie w różnej reżyserii *Króla Lira*, *Komedię omyłek*, *Romea i Julię*, *Burzę* i Eurypidesa *Ifigenię w Aulidzie* oraz powstałe na gruncie mitologicznych opowieści współczesne ich warianty i imitacje (np. spektakl Jeana Giraudoux *Wojny trojańskiej nie będzie*, *Judyta*, Robinsona Jeffersa *Medea*). Pojawia się w recenzjach również Molier i rozmaite aktualizacje oraz adaptacje tematów *Don Kichota*, twórczości Lwa Tołstoja, Nikołaja Gogola (np. ogląda *Zapiski wariata*).

Recenzje teatralne stają się właściwie dobrą okazją do tego, by obeznany ze starożytnością i historią dramatu autor, mógł w ten sposób prowadzić swoją teatralną edukację na odległość. Tym należy tłumaczyć i wprowadzenia, i wtrącenia czy dygresje natury ogólnej lub dłuższe wypowiedzi mające charakter miniwykładów z este-

tyki i antropologii teatru. W dość swobodnie pomyślanym cyklu znajdują sobie właściwe miejsce oryginalne spostrzeżenia i przemyślenia autora *Soli ziemi*, jak to, np., że po „czysty” komizm, XX-wieczny teatr musi sięgać do wieku XIX, a nawet i wcześniej, co – zdaniem Wittlina – świadczy o zaniku oczyszczającej funkcji śmiechu, podobnie jak i tragiczna kumulacja katartyczna mija się z wrażliwością współczesnego widza.

O funkcji muzyki i ruchu wypowiada się po obejrzeniu baletu *Romeo i Julia*. Twierdzi wówczas, że samodzielne i uzasadnione istnienie muzyki zależy od roli, jaką spełnia ona w spektaklu. Przede wszystkim, nie powinna być ilustracją opowieści, winna za to dopowiadać do niej możliwe reakcje uczuciowe widza, interpretować dźwiękami emocje odbiorcy, otwierać na dotąd nieznanne odczucia rejestrów durowych lub mołowych, uwrażliwiać na warstwę meliczną, słowem – pogłębiać dźwiękową przestrzeń ducha. Zajmuje go także rola światła w spektaklu – i od tej strony daje się również poznać jako widz, który życzyłby sobie teatru awangardowego i mądrego zarazem oraz sztuki zachowującej powagę; liczy więc Wittlin na interesujące rozwiązania formalne, a jednocześnie – przywiązany jest do „sprawdzonych” nazwisk twórców dramatów i scenicznych realizacji.

Mówiąc inaczej – jak przystało na znawcę kultury wysokiej i człowieka obeznanego z teatrem również od kuchni – wypowiada się z dużą swobodą, z radością i empatią o tym co klasyczne, wzmocnione wielością interpretacji, odwołań i kontekstów zesencjonalizowanych w toposach, motywach, alegoriach, archetypach, wielkich gestach egzystencji z ich metafizyczną ekspiacją, a jednocześnie dzieli się tym, co w jego mniemaniu zostało mądrze w teatrze zaktualizowane.

Można by po tym wszystkim sądzić, że pominięto poeta w recenzjach dramat i teatr współczesny, skoro czuje się mocno przywiązany do tradycji klasycznej. Tak jednak nie jest – proporcjonalnie nawet więcej zachowanych omówień dotyczy właśnie teatru awangardowego i współczesnego dramatu. To prawdopodobnie efekt lustrzanego odbicia kondycji teatru amerykańskiego i europejskiego

w ogóle, a sumienność recenzencka zobowiązywała go zapewne do podążania za współczesnością. Nowy Jork – jak wiadomo – był wówczas wielką sceną artystycznego eksperymentu, nie tylko w teatrze.

Wittlin jednak ogląda spektakle jedynie niektórych autorów, zwłaszcza uznanych, bądź kontrowersyjnych reżyserów. Zachowały się recenzje ze spektakli Arthura Millera *Po upadku*, *Incydent w Vichy*, *Cena*, *Portret królowej*, Edwarda Albeego *Drobna Alicja*, Eugène Ionesco *Król umiera*, Bertolta Brechta *Galileo*, *Baal*, *Koło kredowe*, Jeana-Paula Sartre'a *Drzwi zamknięte*, Harolda Pintera *Powrót do domu*, *Przyjęcie na urodziny*, Samuela Becketta *Szczęśliwe dni*. Ogląda nawet kolejne realizacje widzia-nych już przedstawień i notuje wrażenia. Nie są one jednak budujące, poza nielicznymi wyjątkami.

Przede wszystkim teatr i literatura nowoczesna wprawia go w estetyczny dyskomfort; wielokrotnie będzie powtarzał, że sztuki te oswoiły odbiorcę z „dziwactwami i nieprawdopodobieństwami”<sup>20</sup>, że jedną ze zdobyczy nowoczesnego teatru jest właśnie to, że zmusza on widza do uczestniczenia w sprawach mających wyłącznie sens wizualny, tak jak malarstwo abstrakcyjne, mimo że potrzeba uchwycenia pełnego sensu jest trwała i to ona jedynie może uzasadnić rozmaite ekstrawagancje formalne. W jednej z recenzji pisze: „[...] teatr i literatura współczesna starają się nas oduczyć wszystkiego, cośmy przyjęli za normę i nie potrafimy wyrzec się etycznych i moralnych kanonów wypracowanych przez wieki kultury i cywilizacji historycznej i chrześcijańskiej”<sup>21</sup>. Stąd – jak nietrudno zgadnąć – częste utyskiwania w stylu: „doznawanie rozkoszy estetycznych stało się już anachronizmem”, zadziwia się, że jako widz przyjmuje jednak „tortury” takiego teatru z „masochistyczną cierpliwością”.

---

<sup>20</sup> Recenzja: Harold Pinter „Przyjęcie na urodziny” (skrypt z 20 grudnia 1967, nr 58395).

<sup>21</sup> Recenzja: Leon Lehman „Wiatr od Wschodu” (skrypt z 15 marca 1967, nr 56167).

Niezwykle krytyczny jest wobec wielu przedstawień teatru absurdu, w których mechanicznie powtarzane są zużyte chwytły i daje się odczuć braki uzasadnienia dla określonych scenicznych wyborów. Trudno mu przyjąć hiperbolizację zwyczajności, epatowanie nijakością życia, jego miałkością. Drażni go w teatrze posunięty do absurdu zabieg odarcia człowieka z jego intymności, co manifestuje się na scenie nadmiarem cielesności i seksualności, przesytem groteski i purnonsensu. Zastanawia go nadto, co i jak można jeszcze pokazać w teatrze, który konsekwentnie i nie zawsze zasadnie zaciera granice między życiem i iluzją?

Chciałby zatem autor *Orfeusza w piekle XX wieku* – dla przeciwwagi niejako – przeżywać w teatrze energetyczne i poruszające swoim dramatyzmem sceny, wsłuchiwać się w opowieści schodzące w głąb egzystencji, odsłaniające jej inne, metafizyczne wymiary i ukryte jądro, wywołujące i trwogę, i zachwyty; by ich „sceniczna kompozycja” urzekła widza nadzwyczajną prostotą.

Okruchy krytyki prospektywnej, które pojawiają się zwykle na marginesach głównego recenzenckiego wywodu, pozwalają uchwycić też i preferencje. Wittlin docenia eksperymenty, ale nie jest w stanie uwolnić się od drażniącej go konwencji nadmiaru, nerwowości i rozmaitych przerysowań (uwaga ta dotyczy tak samego dramatu, jak i przedstawienia), nieuprawnionych zabiegów związanych z waloryzowaniem języka ulicy i naporem publicystyki.

Nieukrywany sceptycyzm wobec wszelkich ekstrawagancji teatru lat 60. nie zniechęca go jednak do podjęcia rozważań pogłębionych i wykraczających poza teatr, mających charakter antropologiczny i socjologiczny. W efekcie – zapoznajemy się ze znaczącymi dla kultury amerykańskiej tamtego okresu zjawiskami, które pokazują przemiany obyczajowe i mentalne, jakie się wówczas dokonywały, zwłaszcza komentowany przez współczesną humanistykę „marsz młodości”.

Przed wszystkim więc teatr amerykański pełni funkcję sondy i szkła powiększającego, przez które emigrant z Europy, żyjący na

obrzeżach amerykańskiej popkultury i poza mięszem „amerykańskości”, postrzega Amerykę w mikroskali, ma możliwość wglądu w nią przez pryzmat rodziny; bo to wówczas w tradycyjnej rodzinie amerykańskiej zachodzą największe zmiany. Dostrzega też społeczne fluktuacje, które za chwilę staną się forpocztą pokoleniowego buntu młodzieży roku 1968, jej gestu niezgody na konsumpcjonizm, merkantylizm i tradycjonalizm, co spowoduje zamknięcie się dzieci kwiatów w świecie nowych wspólnot wyobrażonych, ich ucieczkę od wszelkiego rodzaju opresji z preferencją wolności „od” (nie „do”), wywoła potrzebę realizowania ekscentrycznego modelu życia i wolnej miłości, kreację katastroficznej wizji cywilizacji, aż po obsesję zagłady.

Przestrzeń tego zdekonstruowanego teatru i zarazem postmodernistycznego świata w esencji wypełniają: egzystencjalna pustka, nuda, pobrzmiwają w nim tony dehumanizacji, wytwarza się atmosfera dojrzewająca do buntu.

Z czasem oswaja się Wittlin z mniemaniem Fernanda Arrabala, że język nowoczesnego teatru aspiruje do totalności i przekraczania sprzeczności na zasadzie „kontrdykcji”, że jest ceremonią wywodzącą się zarówno ze świętokradztwa, jak i z sakralności, z erotyki i mistyki, z mordy i zarazem z egzaltacji życiem. Że jednoczą się w teatrze i wzajem przenikają humor, poezja, fascynacja i panika<sup>22</sup>. Mimo silnej persfazji Arrabala, nie będzie poeta bezkrytyczny wobec konkretnych rozwiązań scenicznych, a zawsze nimi zaciękwiony, co oczywiście jest, czy raczej być powinno, skłonnością intelektu każdego rasowego recenzenta, otwierającego się na dramatyczne i sceniczne *novum*.

Recenzje Wittlina czyta się dziś z dużą przyjemnością. Ujmują elegancją, nienarzucającą się erudycją ich autora i zarazem dbałością o słuchacza, któremu trzeba pewne treści przypomnieć, podpo-

---

<sup>22</sup> Z recenzji: Fernando Arrabal „Architekt i Cesarz Asyrii” (skrypt, b.d., nr 57853).

wiedzieć stosowne skojarzenia i dyskretnie je wyłożyć, wyprowadzić temat na szersze wody humanistyki, z uwzględnieniem własnych komentatorskich preferencji. Preferencje bowiem stanowią ich ramę, utrzymują Wittlinowski wywód w porządku hierarchicznym, a empatia do tego, co się robi, jak i do samego przedmiotu oglądu, nie pozwala autorowi kreować się, o co nietrudno przecież w pracy krytycznej. Dlatego – paradoksalnie poniekąd – recenzje, których podstawę stanowi najbardziej ulotny fenomen teatralnego przedstawienia, mają coś z trwałości i ponadczasowości. W tym, jak sądzę, należy także upatrywać ich niezaprzeczalnej wartości.

Sam Wittlin jednak czuł dyskomfort, albo co najmniej melancholię, kiedy jako recenzent, zapuszczał się w przepastne ostępy kultury nowoczesnej. Przy każdej okazji dawał do zrozumienia, że należy do innego świata, więcej – że należy do świata, który odchodzi i że wywodzi się z generacji o innej wrażliwości estetycznej oraz odmiennym ukształtowaniu etycznym. Że jest, możemy dzisiaj tak powiedzieć, jak napisała Stefania Kossowska, „gościem z innej planety”<sup>23</sup>, obserwatorem i egzulem, wprawdzie z empatią i troską obejmującym myślą i słowem współczesność, ale niemogącym uwolnić się od poczucia rosnącego dystansu wobec wytworów kultury nowoczesnej i ponowoczesnej, wobec rozpadu kanonu i postępującego leseferyzmu estetycznego.

---

<sup>23</sup> Stefania Kossowska zwróciła przede wszystkim uwagę na cechy charakterologiczne Wittlina, na typ „pisarskiej wrażliwości” rzadki w tzw. ponowoczesności: „Nie krzyczy. Nie przerywa innym. Gdy zadał pytanie, nie odpowiada na nie sam, tylko czeka na odpowiedź. Wysłuchuje jej do końca. Z zainteresowaniem: oko mu nie krzepnie z nudy ani nie błądzi po ścianach. Zadanych sobie pytań nie zbywa, tylko je traktuje serio. Nie wraca wciąż do przeszłości. Nie mówi wciąż o sobie. Nie używa słów ostatecznych. Bardziej go interesują zagadnienia niż plotki, sens rzeczy niż anegdota, co a nie kto. Pamięta, że się umówił, że obiecał, że powiedział, że usłyszał. Nie wie wszystkiego lepiej (wie wszystko bardzo dobrze). Nie ma zawsze racji (przeważnie ma). Jest łagodny i wyrozumiały. Patrzy na świat przyjaźnie. Dziwny, dziwny ten Józef Wittlin. Skąd się między nami znalazł?”. S. Kossowska, *Gość z innej planety*, dz. cyt., s. 124.

Posłużę się w tym miejscu (w kontekście sygnalizowanego przed chwilą „recepcyjnego” wyobcowania krytyka z tego, co ze sobą niesie teatr awangardowy) charakterystycznym przykładem recenzji (przytaczam jej obszerny fragment), w której Wittlin omawia przedstawienia teatralne roku 1966 w Ameryce i Europie, nie ukrywając własnego dysonansu poznawczego, wyraźnie określając też kulturowe miejsce, z którego mówi: „Niewesołe refleksje nasuwają się sprawozdawcy teatralnemu na początku nowego sezonu, gdy usiłuje podsumować wrażenia, odniesione w sezonie ubiegłym, zarówno w Nowym Jorku, jak i w niektórych teatrach zachodniej Europy. Tu i tam daje się zauważyć jakby obsesja zagłady, jaka ogarnęła współczesną twórczość dramatyczną. Niejednokrotnie mówiliśmy już o tym w naszych audycjach.

Szczególnie w utworach młodych i najmłodszych autorów panuje beznadziejność, beznadziejność doli człowieka na tym globie, z którego współczesna nauka pragnie na nas przy pomocy astronautyki wyprawić na inne globy. Ale póki znajdujemy się jeszcze na tej ziemi, gdzie od wieków teatr stara się pokazać nam, kim jesteśmy, czy to ośmieszając nas, czy to biadając nad nami – musimy przyjąć wszystko, czym teatr ten nas częstuje, choćbyśmy się krzywili z niesmakiem.

Groza, absurd, beznadziejność – oto motywy przewodnie utworów poważniejszych, o uniwersalnej nieraz problematyce. Często teatr uprawia tzw. eskapizm, czyli ucieczkę od aktualnej rzeczywistości. I nawet świątynie Melpomeny o dostojnych tradycjach usiłują wyrwać nas z przygnębienia, wznawiając stare sztuki, które kołyszą marzeniami o tzw. La Belle Époque, czyli o pięknych, lecz bezpowrotnie minionych czasach. [...]

[...] dzisiejsza poważna dramaturgia ma na ogół do wyboru dwie możliwości: albo ograniczyć się do celowo zwięzłych horyzontów i skupić się na jednym z wielu problemów życia, na przykład na moralności lub raczej niemoralności tzw. seksu, albo wyjść na szeroką arenę

i w scenicznym skrócie objąć całokształt kondycji człowieka w tzw. erze atomowej. [...]

Najodpowiedniejszą więc formą teatralnego wyrazu trapiących nas problemów stała się tragikomedia, a nawet tragifarsa. Groteskowa deformacja świata jest dzisiaj najpopularniejszą formą obcowania autora dramatycznego z publicznością. Teatr dramatyczny drugiej połowy naszego stulecia nie pociesza nas żadnym oczyszczeniem, natomiast stawia nas twarzą w twarz z beznadziejnością ziemskiego bytu. [...]

Faktem jest, niestety, że wszystko, co w najnowszych utworach scenicznych i beletrystycznych nie jest koszmarem, ohydą, upadkiem moralnym lub w najlepszym razie absurdem – zaczyna brzmieć fałszywie. Zwłaszcza gdy jest nadziane liryzmem czy sentymentalizmem. Ludzie, jakich poznajemy w dziełach najmłodszych autorów, mówią językiem okropnym, ale często bliskim prawdy i budzą więcej zaufania, pomimo całej groteskowej upiorności, niż tzw. bohaterowie pozytywni. Z pomocą bohaterów pozytywnych, chciał zbawić ludzkość nieświętej pamięci – socrealizm. Czyżby cnota i moralność były już wartościami nierealnymi? Czyżby tylko draństwo miało na scenie wydzwięk prawdy, a wszystko inne nadawało się jedynie do czytaneł dla dzieci, które i tak przestają już wierzyć w umoralniające bajki? Trudno nam na to odpowiedzieć. Ale ludziom z mojego pokolenia, które dojrzywało przed rokiem 1914, nie łatwo pogodzić się z brutalnością dzisiejszej sztuki. I nic na to nie poradzimy, że ludzka małość, głupota, nikczemność mają w literaturze obecnych czasów znamiona prawdopodobieństwa, podczas gdy wielkość, szlachetność i mądrość zaczynają te znamiona tracić. Młody dramatopisarz hiszpański, o którego »psychofarsie« pt. *Architekt i Cesarz Asyrii* mówiliśmy już tutaj, wyznaje: »Nieraz mówiłem sobie, że Dobroć i Czystość mogą być wynalazkiem policji i jej przynosić korzyść, ale nie mogę się powstrzymać od zabawy w dobroć i w jej rywalkę: złość«. A zatem – póki jeszcze można bawić się w dobroć i złość – nie jest z nami tak źle. Źle będzie dopiero wtedy, gdy mię-



dzy dobrocią a jej rywalką zatrą się wszelkie granice. Nie – jak chce Martin Esslin – uświadomienie nagiej prawdy ratuje człowieka od zagłady, lecz tęsknota do takich prawd, które potrafi on przeciwstawić beznadziejności. I w życiu, i na scenie”<sup>24</sup>.

Nawet odpowiadający na pytanie o tajemnicę własnego warsztatu pisarskiego sprawia Wittlin wrażenie przybysza z odległej przeszłości, człowieka przymuszonego do życia w egzystencjalno-zawodowym egzulu. Bo któż tak dzisiaj sumiennie pracuje nad dziełem? Zapewne nieliczni. „Trudno powiedzieć, czy ja jestem poetą, który pisze prozę, czy też prozaikiem, który pisze wiersze – mówi przed mikrofonem w 1953 roku. Ja pracuję nad wszystkim. Moje młodzieńcze wiersze były rzeczywiście dziełem tego, co nazywamy natchnieniem. Ale potem – troszkę się przeraziłem tego pisania przed siebie, jak gdyby w transie, i zacząłem pracować. I skutek był raczej niedobry. Bo potem wszedłem w to, co nazwałbym z czystym sumieniem poezją nieczystą. Nie chcę powiedzieć przez to, że poezja moja była brudna, ale na ogół te rzeczy, które potem napisałem, powstawały przeważnie z tytułu jakichś wydarzeń: czy jak mi się córka urodziła, czy to jakieś smutne wydarzenie dziejowe, czy też rocznice, nawet artykuł czy esej u mnie powstaje pod ciśnieniem pewnych sił, z których o ile jestem zdolny skorzystać, składają się i działają na powstanie wiersza. A więc kadencje – i często kadencja jest przed sensem, a sens potem służy kadencji, a nie na odwrót. Samo słowo, to, co Mallarmé powiedział – emancypacja słów gra u mnie wielką rolę, mimo właśnie tego, że jestem w swoim mniemaniu poetą nieczystym.

Poza tym, jeśli chodzi o metodę mojej pracy, nikomu jej nie polecam. Jest to metoda taka, która by setki lat wymagała do ukończenia dzieła. Ciągłe właściwie wracam do dawnych rzeczy, bo mi się to nigdy nie podoba, więc doszedłem niedawno do przekonania, że moje miejsce byłoby raczej w Rawennie, w wieku, powiedzmy, IX-X; jestem

---

<sup>24</sup> Recenzja (skrypt z 1 października 1967, nr 57967).

mozaicysta i pracuję tak, jak mozaicyści. Setki gotowych tabliczek, które potem albo wyrzucam, albo wkładam do całej kompozycji.

Przyznam się, że jest mi trudno kontrolować swoją pracę, mimo że nic innego nie robię, tylko ją kontroluję”<sup>25</sup>.

Józef Wittlin miał świadomość, że żyje w świecie kultury, która wyraźnie zmienia swój paradygmat. Być może, podobnie jak Alberto Savinio<sup>26</sup> uznał, że odczucie wszechświata zmieniło niejako swój kierunek – z „pionowego” na „poziomy”, co wywołało jego zdaniem dalekosiężne konsekwencje natury egzystencjalnej, estetycznej i etycznej. Istotą horyzontalnego nastroju odczuwania świata stał się bowiem pesymizm, natomiast wertykalnego – optymizm, który skłaniał niegdyś do uczuć podniosłych. Temu ruchowi „ku górze” wtórowała sztuka ufundowana na idei wzniosłości, piękna, harmonii i ścisłego związku z transcendentaliami, a więc taka, którą Wittlin cenił najbardziej.

W przestrzeni „negatywnej aksjologii” awangardowego teatru musiał się więc poeta czuć jak przybysz z innej planety, jak egzul, który próbuje ocalić pamiątki starych, dawno przebrzmiałych doznań i wzruszeń.

---

<sup>25</sup> „Powstanie utworów poetyckich” – rozmowa z Janem Lechoniem, Kazimierzem Wierzyńskim i Józefem Wittlinem, przeprowadzona przez Jerzego Rawicza. Audycja w cyklu „Głos Wolnych Pisarzy” (z 2 grudnia 1953). Archiwum RWE, w: Narodowe Archiwum Cyfrowe. Transkrypt wypowiedzi Wittlina (V.W.M.).

Także: Józef Wittlin, *Eseje rozproszone*, opracował Paweł Kądziela, Warszawa 1995.

<sup>26</sup> Alberto Savinio, *Wyjście z labiryntu. Szkice rozproszone z lat 1943–1952*, Warszawa 2001.

## Między literaturą a radiem. Przypadek Tadeusza Nowakowskiego

[...] *moja proza jest taka niewyśpana.*  
Tadeusz Nowakowski

„Co do łaskawie mi przez Drogiego Pana zaproponowanego zbiorku artykułów, ogarnęły mnie pewne wątpliwości – pisze w styczniu 1966 roku Tadeusz Nowakowski w liście do Juliusza Sakowskiego – czy wskazane jest odzwyczajenie czytelnika od przypuszczeń (być może niesłusznych), że w zasadzie ambicje moje ograniczają się do tzw. twórczości beletrystycznej, a publicystyka literacka jest produktem ubocznym...”. W innym miejscu tego samego listu dodaje: „Znając gusty naszej czytającej publiczności skłonny jestem do podejrzeń, że – mimo wszystko – wyżej ceni słabe opowiadania i noweleczki od błyskotliwych popisów z dziedziny publicystyki literackiej. Lepiej już tam coś opisać z wysokości siodła niż z nizin żurnalistycznego stołeczka”<sup>1</sup>. Ta wypowiedź wydaje się kluczowa dla zrozumienia sytuacji Nowakowskiego – pisarza i publicysty zarazem, więcej – dowodzi twórczej determinacji autora *Szopy za jaśminami*, zdradza kompleks, który właściwie sterował jego twórczym życiem i nie opuszczał go do końca. Wyobrażenie o tym,

---

<sup>1</sup> Z listu T. Nowakowskiego do J. Sakowskiego z 22 stycznia 1966 (Kolekcja Juliusza Sakowskiego, w: Archiwum Emigracji w Toruniu).

kim się pragnie zostać czy utrwalić w społecznej recepcji, a kim się staje mimo woli, także we własnym wyobrażeniu – to owa tytułowa rzecz o udręce „twórczego pomiędzy”, która stanie się przedmiotem mojego namysłu nad dziełem literackim i publicystycznym Nowakowskiego.

Przypadek Nowakowskiego wpisuje się w szerszy kontekst. Można bowiem z pewnością dowieść, że homogeniczność, czystość wypowiedzi gatunkowej, o którą tak pisarz zabiega, była wówczas (jest i dzisiaj) nie do obronienia. Udręka Nowakowskiego to piekło jego własnego wyobrażenia o istocie pisarstwa, także konsekwencja rozmaitych presji, w tym ciśnienia tradycji, której niewątpliwie ulegał i na którą się orientował.

Atmosfera dwudziestolecia międzywojennego, wybrzmiewający głos autorytetu tradycji literackiej zalecającej czystość *métier* i odrębność sztuk leżały zatem, jak się zdaje, u podstaw jego własnej mitologii twórczej. Z drugiej strony – okoliczności życia (ścisły „zawodowy” związek z publicystyką gazetową i radiową) i skłonność twórczego temperamentu oraz osobiste doświadczenia, wyprawały go raczej na polifoniczną agorę. A była to agora szczególnego momentu przesilenia: atmosfera lat 50. XX wieku, przesycona pamięcią o wojennym porażeniu i piekle obozów koncentracyjnych, których świadectwo domagało się rezonansu i nieustannej dbałości o właściwie pojmowaną czystość tonu. Tym razem chodziłoby o czystość narracji w ramach stylistyki dokumentu, powodowaną ciężarem gatunkowym spraw, o których publicznie się mówi na łamach prasy, przed mikrofonem RWE, wreszcie – w formie „przetworzonej”, zbeletryzowanej.

Na początek kilka przypomnień, ze szczególnym uwzględnieniem kontekstu radiowego, bo on wydaje mi się tu najbardziej przydatny. Wejście Nowakowskiego do kultury polskiej emigracji jest bowiem modelowe (okres przedwojenny pomijam, co oczywiście nie znaczy, że nie jest on ważny dla procesu formowania się twórcy; raczej chodzi o szczupłość tej wczesnej spuścizny). Pozo-

stający po wojnie na Zachodzie Nowakowski niemal równocześnie i przemiennie publikuje zarówno beletryzowane wspomnienia sięgające do przedwojennych i wojennych przeżyć własnych, jak i z powodzeniem uprawia publicystykę. I już wtedy na jego beletrystkę oddziałuje silnie dokument. Opowiadania, które z czasem złożą się w tomy prozy, publikowane są najpierw (w latach 1946–1947) na łamach „Orła Białego”, „Polski Walczącej”, „Tygodnika Polskiego”, „Wiadomości”, „Kultury”. Wejdą one m.in. w skład *Szopy za jaśminami* (Światpol 1948), a niejako rozwinięciem struktury beletrystycznej wspartej na fundamencie dokumentu biograficznego, stanie się *Obóz wszystkich świętych* (powieść, Paryż – Libella 1957). Oba tomy stanowią jednakże swoisty dla pisarstwa Nowakowskiego model narracji „reportażowej” czy też dokumentalnej.

Z drugiej strony – wczesne próby literackie (scenariusze przeznaczone do wystawienia na scenie teatralnej), wodewile, jednoaktówki zdradzają umiejętność dość zręcznego posługiwania się dialogiem, emotywną, rozhuśtaną skalą napięć. I w sposób naturalny niejako prowadzą autora do radia. W radiu właśnie (najpierw BBC 1950–1952, a później od 1952 roku w Monachium) Nowakowski spina te wypowiedzi o różnej stopniowości przetworzenia estetycznego i komplikacji artystycznej w pewną całość, nadając im swoisty rys identyfikacyjny, stając się dla rozgłośni prawdziwym radiowym omnibusem. O intensywności pracy w radiu świadczą wypowiedzi samego Nowakowskiego, a także przechowywane w archiwum RWE tysiące audycji zarówno jego autorstwa, współautorstwa, jak i powstałe pod jego redakcją w ramach programów cyklicznych. Piszę o aktywności radiowej Nowakowskiego w rozdziale mojej książki *Radio Wolna Europa na emigracyjnych szlakach pisarzy. Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski, Roman Palester, Czesław Straszewicz, Tymon Terlecki* (Kraków 2007), w tym miejscu ograniczę się jedynie do niezbędnych przywołań.

Trzeba też przyznać, że warsztat radiowy Olsztyńskiego (Nowakowskiego) jest nie tylko rozległy, ale i wielowątkowy – przygotowywał komentarze polityczne i kulturalne, redagował wielotematyczny magazyn pt. „Panorama dnia”, pisał oryginalne słuchowiska i cykle audycji historycznych oraz literackich, tworzył beletrizowany dokument historyczny, poza tym przeprowadzał wywiady, występował w roli reportera procesów frankfurckich, a w latach 80. był stałym „reporterem papieża”, towarzyszył niemal wszystkim, poza Polską, pielgrzymkom Jana Pawła II po świecie. Doczekały się owe pielgrzymki rejestracji w postaci książkowej, wydań w osobnych tomach i w nieco zmienionej formule. Są niewątpliwie bliższe literaturze, ale zawsze konwenują z reportażem i dokumentem<sup>2</sup>. I być może właśnie ta praca dla komentatorów literatury i zwolenników tradycyjnej genologii nie przedstawia specjalnej wartości<sup>3</sup>, a także, jak skłonni są mniemać, również za samym autorem, oddalała Nowakowskiego–pisarza od klasycznie pojmowanego pisarstwa fikcjonalnego. Przyjęto jak dotąd ze szczególnym zainteresowaniem właściwie jedynie dwie jego książki, pozycje najwcześniejsze; uznano je za wartościowe i bezsprzecznie kreatywne, chodzi o: *Szopę za jaśminami* oraz *Obóz wszystkich świętych*. Analizowane są także raczej w izolacji od dziennikarsko-radiowej pracy autora.

Więcej – sam Nowakowski przecierał szlak dla takiego traktowania własnej twórczości, co widać wyraźnie w korespondencji z Juliuszem Sakowskim. Za tę „właściwą” brał powieści (tak, jak dwie wcześniej wymienione); reszta – to publicystyka, działalność „lite-

<sup>2</sup> Rys wielowątkowej aktywności Nowakowskiego pojawia się w publikacjach: Adam Tomaszewski, *Ulubieniec muz wszelkich. Tadeusz Nowakowski (1917–1996)*, oraz Jadwiga Maurer, *Tadeusz*, „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 1998, z. 1, s. 176–183, 183–185.

<sup>3</sup> Świadczy o tym choćby zainteresowanie pozycjami beletrystycznymi autora (ilość omówień). Zob. hasło: „Tadeusz Nowakowski”, w: *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik biobibliograficzny*, opracował zespół pod red. Jadwigi Czachowskiej, Alicji Szałagan, t. 6, N-P, Warszawa 1999, s. 96–99.



*Tadeusz Nowakowski („Tadeusz Olsztyński”)*

rata”, nie pisarza, zatem niespecjalnie warta uwagi. Nowakowski, a później i jego komentatorzy wpadli w sidła tej supozycji<sup>4</sup>.

Chciał Nowakowski odciąć się od warsztatu publicysty, kiedy w zamyśle miał prozę kreacyjną, a mimo to zostawiał ślady zdradzające ów reportersko-felietonistyczny oddech. Prawdopodobnie i krytycy utwierdzali go w przeświadczeniu, że ważne dla kultury (literatury) są utwory „czyste”, stąd zapewne, m.in., uznawali za istotną literacko (i artystycznie) głównie *Szopę za jaśminami* oraz *Obóz wszystkich świętych*; z rzadka zajmowali się stosunkowo późnymi utworami (np. *Nie umiera się w Miami*). Tropy reportersko-publicystyczne, a nawet „bazę radiową” czy prowadzące do niej aluzje, skłonni byli albo przemilczać, albo dostrzegając je, raczej deprecjonować, uznając zapewne pisarską wypowiedź jako „niepełnoprawną”.

Zarówno jedno, jak i drugie stanowisko jest moim zdaniem dla autora krzywdzące. Nieostrzeżenie bowiem wpływu publicystyki (także radiowej) na tzw. twórczość właściwą, na dodatek z pominięciem całej, możliwej komplikacji tego związku, schematyzuje jej recepcję. Maria Danilewicz Zielińska niewątpliwie przyczyniła się również do takiego dość standardowego czytania dzieła Nowakowskiego, choć i w jej omówieniach pojawiają się konstatacje waloryzujące publicystyczną jego część, skoro pisała, że: „Po *Synu zadźu-*

<sup>4</sup> Nietrudno zauważyć, że komentatorzy twórczości pisarza interesowali się głównie beletrystyką. *Obóz wszystkich świętych* doczekał się szeregu omówień na emigracji i w kraju (co najmniej kilkudziesięciu), już znacznie mniej *Aleja dobrych znajomych*, *Happy-End*, nie mówiąc o innych utworach. Większe zainteresowanie wzbudziły reportaże z pielgrzymek papieskich, ale głównie ze względu na nadzwyczajność sytuacji i osobę samego Jana Pawła II, mniej – na osobę autora i tworzywo reportażu. Już sama statystyka tych publikacji skłania do sądu o podrzędnym traktowaniu publicystyki, o radiowej nie wspominając. O aktywności radiowej Nowakowskiego pisali głównie inni radiowcy (etatowi i freelancerzy), m.in. Leopold Kielański, Waław Zbyszewski, a ostatnio Konrad W. Tatarowski (m.in. przeprowadził wywiad z pisarzem–radiowcem: *Pan Tadeusz przy mikrofonie*, „Tygiel Kultury” 1996, nr 4).



*mionych* Nowakowski podjął próbę zwekslowania w kierunku problematyki krajowej, znanej mu dobrze z pracy w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Świadczy o tym powieść *Happy end* (»Biblioteka Kultury«, 1970) i powieść–reportaż z rzymskich uroczystości z okazji beatyfikacji o. Maksymiliana Kolbego *Byle do wiosny* (1974), dająca szerokie możliwości powrotu do tematyki obozowej i okupacyjnej w interpretacji »krajowców« i »emigrantów«. Obok znajomości obecnej sytuacji Kraju i swobodnego posługiwania się neopolszczyzną PRL-owską występuje w nich specyficzne zaostrenie humoru związane z przypominającą kalambury Adolfa Nowaczyńskiego skłonnością do gier słownych, zabawnych w małych dawkach, męczących w nadmiarze. Zawodowa praktyka radiowa, wymagająca kondensacji efektów w żywym słowie, szkodzi, jak się zdaje, słowu pisanemu. Dobry tekst radiowy słyszany z głośnika traci w czytaniu. [...] Fakt, że bez szkody dla zrozumienia całości wypadł z drukowanego tomu *Byle do wiosny* jeden z rozdziałów, drukowany poprzednio w »Wiadomościach«, zdaje się potwierdzać przypuszczenie, że właściwą niewątpliwemu talentowi Nowakowskiego formą jest nowela czy opowiadanie, reportaż, szkic biograficzny czy »laudacja«<sup>5</sup>.

W uwagach Danilewicz Zielińskiej pojawiają się wprawdzie rozmaite ujęcia tego związku, nawet związku z radiem, ale nie wychodzą one poza ramę dość powierzchownych asocjacji i nadto dowodzą, że jej ogląd dokonuje się mimo wszystko z przyczółka tradycyjnie pojmowanej genologii. Podobnie wybrzmiewa kolejny *passus*, tym razem o reportażach; muszę jednak zaznaczyć, że skreślony jest z większą sympatią dla publicystycznego i reporterskiego dzieła Nowakowskiego: „Od 1979 roku autor towarzyszy Papieżowi jako akredytowany w Watykanie reporter Radia Wolna Europa we wszystkich pielgrzymkach – z wymownym wyjątkiem PRL, co jed-

<sup>5</sup> Maria Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Wrocław – Warszawa – Kraków 1992, s. 187.

nak zręcznie potrafi uzupełnić »z drugiej ręki«. Aby w pełni docenić wartość reportaży, uzmysłowić sobie trzeba, że schemat pielgrzymek powtarza się z małymi zmianami, a do reakcji rozentuzjuszowanych tłumów można przywyknąć, obejrzawszy je kilkanaście razy w telewizji. Nowakowski potrafi odcedzić podobieństwa i wyłuskać to, co jest w recepcji danego kraju najistotniejsze; mogłam to ocenić na przykładzie Portugalii. Z książek Nowakowskiego wyłania się obraz tych krajów, których mieszkańcy mogą manifestować swoje uczucia, choćby nawet nie sprzyjały temu rządy [...]. Mimo hagiograficznego podejścia do osoby Jana Pawła II i jego charyzmatu, Nowakowski potrafi pełnić rolę *advocatus diaboli* i dać wyraz swoim wątpliwościom [...]. W reportażach wyczuwa się właściwy relacjom przed mikrofonem pośpiech, niemal rywalizujący z dawnymi sprawozdaniami Wojciecha Trojanowskiego. Na podkreślenie zasługuje – nie waham się przed nazwaniem tego po imieniu – ofiarność Nowakowskiego, który – odsuwając na drugi plan własną twórczość – wkłada cały wysiłek twórczy, na jaki go stać, w pozornie dziennikarską robotę”<sup>6</sup>.

Oczywiście osobiście wybrzmiewa ostatnie zdanie z określeniem „pozornie dziennikarskiej roboty”... Potwierdza ono, że Danilewicz Zielińska, podobnie jak inni, pomija nie tyle kontekst, w jakim twórczość Nowakowskiego wybrzmiewała – i nie chodzi tu jedynie o trop biograficzny (praca dla prasy i w radiu) – ile pomija rewolucyjne zmiany, jakie zaszły w kulturze XX wieku, skutkujące nowymi przyzwyczajeniami współczesnego odbiorcy. Te zmiany nas dzisiaj dotyczą: coraz bardziej powieść zastępują rozmaite formy audialne i audiowizualne lub raczej z nią udanie konkurują. Ale nie tylko to. Heterogeniczna staje się sama narracja, która – jak w przypadku Nowakowskiego – jest swoistą sumą rozmaitych zawodowych nawyków autora, w tym radiowych. Zarówno świadomych („podrzucanych” w aluzjach), jak i nieświadomych, ale niespecjalnie trudnych

<sup>6</sup> Tamże, s. 411.

do wytropienia dla uważnego czytelnika i słuchacza/czytelnika jego publicystyki pomieszczonej w prasie i ogłaszanej w Wolnej Europie. I tak, być może paradoksalnie, w polifonicznie i heterogenicznie pojmowanej kulturze komunikacyjnej – Nowakowski wcale nie należy do „przeszłości”.

Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do wspomnianych, najwcześniejszych utworów (*Szopa za jaśminami*, *Obóz wszystkich świętych*). Oba – czemu nie sposób zaprzeczyć – właśnie wyrastają z „wprawek” publicystycznych, z narzucającego się kontekstu świadectwa. Można powiedzieć więcej, ujmując rzecz z drugiej strony, co równie ważne dla naszych rozważań: przeżycia Nowakowskiego – więźnia kacetów i obozów niemieckich, rozeznanego w kondycji powojennego dipisa – znajdowały przedłużenie właśnie w jego publicystyce dziennikarsko-radiowej. Także w komentarzach krytycznych do literatury, gdzie tematem stawały się przetworzone dokumenty z lat wojny. Jako krytyk literacki (występujący przed mikrofonem) zawsze w tych momentach stawał się wyczulony na fałsz, na nieuprawnioną pisarską „szarżę”, na braki, niedomagania fabuły, które osłabiały wiarygodność narracji. Był nieufny wobec opowieści lekceważącej zazwyczaj to, co dla reportera czy dziennikarza bywa bardzo ważne – prawda przedstawienia leżąca m.in. w odpowiedniości, zgodności użycia narzędzi wobec powagi tematu; prawda w stosunku do tonu staje się osiągalna dzięki uwadze i wiedzy piszącego. Tu właśnie – w komentarzach krytycznych – doświadczenie własne, zmysł obserwacji i warsztat reportersko-dziennikarski stają się Nowakowskiemu bezsprzecznie pomocne. W tych przypadkach również Nowakowski–prześmiewca, jakiego znamy z publicystyki radiowej (choćby z „Panoramy dnia”), zawsze jest poważny i takiej samej powagi wymaga od autorów, którzy mierzą się z materiałem dramatycznego, często też i tragicznego dokumentu.

Kolejna książka wydana w dwa lata po *Obozie wszystkich świętych* – *Syn zadżumionych*, rzadziej wspominana, a pozostająca w kręgu

rozliczeń wojennych, stawiająca pytanie o świadomość uczestniczenia w nazistowskim projekcie państwowym, o narracji silnie zbeletryzowanej, coraz intensywniej łączy się z warsztatem i nawykiem publicystycznym, z pracą przed mikrofonem wymagającą codziennej kwerendy prasowej, rozeznania w nastrojach współczesnych Niemiec i Europy, także Polski, ponadto znajomości literatury i kultury obszaru niemieckojęzycznego. Przedłużeniem tej problematyki będą cykle reportaży z procesu frankfurckiego z lat 60., realizowanie programów w RWE na temat niemiecko-polsko-żydowskich stosunków po Holokauście i – o Holokauście. Podobnie kolejne pozycje, różne ze względu na obraną strategię narracji, inną genealogię: *Saga rodu Radziwiłłów* (powstała w latach 60.), *Aleja dobrych znajomych* (Londyn, Polska Fundacja Kulturalna 1968) czy *Niestworzone rzeczy* (zbiór opowiadań, Londyn, Polska Fundacja Kulturalna 1968), *Wiza do Hrubieszowa* (powieść, Londyn, Polska Fundacja Kulturalna 1975), interesujący szczególnie krytykę emigracyjną z powodów pozaliterackich *Happy-End* (powieść, Paryż, Instytut Literacki 1970)<sup>7</sup>, *Nie umiera się w Miami* (Londyn, Polska Fundacja Kulturalna 1991), ujawniają ściśle związki z poetyką radiową, z dokumentem i felietonistycznym nawykiem komentatorskim. A przecież sam Nowakowski chciał, by tylko zbiory, np. *Aleja dobrych znajomych* czy reportaże z pielgrzymek papieża (*Reporter Papieża*, Londyn 1980, *W bagażniku Jego Świątobliwości*, 1981, *Volo Papale*, 1983, *Na skrzydłach nadziei*, 1984, *Boeing świętego Piotra*, 1986; osobne

<sup>7</sup> Na uwikłanie w inne teksty tej powieści (na jej paraboliczność, narrację „z drugiej ręki” i wpływ pracy w RWE oraz jej rys postmodernistyczny) zwraca uwagę Kazimierz Adamczyk w artykule: „Happy-end” – historia z drugiej ręki, „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 2007, z. 1 (9), s. 121-128. Autor intuicyjnie zmierza w stronę mojego rozpoznania w kontekście pracy Nowakowskiego w Wolnej Europie. Nie chodzi oczywiście o wiązanie tej powieści z kontekstem radiowym w sensie dosłownym, ale o „radiową sygnaturę” powieściowego głosu narratora. Kluczem interpretacyjnym jest owa poznawcza „pośredniość” krajowej rzeczywistości oraz moderowanie „pomiędzy” – tj. między różnymi estetykami, strategiami narracyjnymi i retorycznymi, językami warsztatów.

wydanie reportaży z Polski – Nowakowski nie był do kraju wpuszczony, powstały one na podstawie śledzenia prasy i z relacji telewizyjnych: *Osiem dni w Ojczyźnie*, Kraków 1985 – wydanie drugoobiegowe) i ewentualnie *Happy-End* bardziej lub mniej ściśle narzucały kontekst dziennikarsko-radiowy.

Powinowactwa – być może wbrew woli samego autora – znajdujemy jednakże we wszystkich tekstach wymienionych przed chwilą i ogłoszonych drukiem z materiałem radiowym zdeponowanym w archiwum RWE. Powinowactwa między tylko ogłoszonymi utworami są równie wyraźne. Co na nie wskazuje? Chciałoby się rzec: prawie wszystko. Bo to nie jest tylko kwestia stylu autora, dość przecież wyrazistego, sarkastycznej i przekornej, paradoksalnej czy „prześmiewczej” tonacji, za którą bezspornie kryje się erudycja i zmysł analityczny, nieustępliwość w osądach, ale i kapryśność; na poziomie poetyki – dynamika i rytm narracji, wyraźna lekkość, ale i zbytnia pośpieszność w zmierzaniu do puenty, czasem nieuprawniony skrót, esencjonalność, słowem – wyraziste *parole*. To także emotywna i emfatyczna narracja, dygresyjność reporterska, sięganie po analogie wiodące ku konfrontacji w kontekście współczesnym lub historycznym, ślady autentyku: topografia miejsc akcji i wywołanych postaci, usytuowanie bohatera, którym często jest dziennikarz, reporter, radiowiec, człowiek o kondycji emigranta politycznego, niepokodzony ze sobą obieżyświat, ktoś głęboko zraniony, przepracowujący wojenną traumę i zaniepokojony o sens pracy w ulotnym radiowym medium.

To wszystko można „wyczytać” z publikowanych tomów Nowakowskiego i potwierdzić w archiwaliach radiowych Olsztyńskiego. Radiowe dzieło poszerzone niejako o aspekt audialny wzbogaca i wiąże tzw. prozę Nowakowskiego w całą i wyrazistą wypowiedź. Rzecz jasna, niewolnioną od potknięć, uchybień i skazy pośpieszności, od powtórzeń. To cena, jaką płaci autor, który nie może czy nie umie, a może nie chce zrezygnować z publicystyki, bo życie go

po prostu interesuje, terażniejszość domaga się komentarza; to autor, któremu wydaje się, że społeczna funkcja literatury i publicystyki jest czymś oczywistym, podstawowym i niezbywalnym. Takie przekonanie rodzi się prawdopodobnie na szczególnym gruncie: na gruncie przedwojennej edukacji, przeżycia wojennego, decyzji o emigracji politycznej i zobowiązań wobec kraju, wynikających z pracy w Wolnej Europie, która – m.in. dzięki Nowakowskiemu – realizowała swój projekt polityki historycznej i strategii przebijania się przez żelazną kurtynę ze słowem przypominającym, zasiewającym wątpliwości, przymuszającym do namysłu.

Dzisiaj jest nam o wiele łatwiej dostrzec cechy całej spuścizny Nowakowskiego i docenić owo „pomiędzy”, na które zwracam tu szczególną uwagę. Może dlatego, że dzisiaj więcej się „słucha” i „ogłada”, niż czyta, wobec tego i wartość przekazów audialnych i audiowizualnych ma szansę na obiektywniejszą ocenę ze strony profesjonalnych komentatorów, z kolei dziś i sami autorzy nie traktują pracy w mediach jako zbędnego balastu.

Historycy literatury chętnie zdają się powtarzać za innymi, że Nowakowskiego zniszczyło radio, bo nie pozwoliło mu na skupienie; zarzucają mu głównie nadmierne rozproszenie. Skłonni są myśleć – chyba dość anachronicznie – że można być albo pisarzem, albo literatem: publicystą, komentatorem wykonującym określone i konkretne zlecenia z zewnątrz. Anna Frajlích przy okazji rozważań na temat poezji Bronisława Przyłuskiego, we wstępie do tomu jego wierszy podąża tym właśnie tropem. Badaczka, utrwalając niewątpliwie stereotyp o negatywnej roli radia, pisze, że: „Przydałoby się zapewne (padają te słowa w kontekście uwag o szczupłej reprezentacji poezji Przyłuskiego) i studium o zgubnym wpływie pracy w RWE na twórczość pisarzy emigracyjnych, którzy wyrobnictwem radiowym musieli zarabiać na życie”<sup>8</sup>. Uwaga Frajlích korespon-

---

<sup>8</sup> Anna Frajlích, wstęp do: Bronisław Przyłuski, *Wiersze zebrane*, Kraków 2003, s. 8-9.

duje z wcześniejszym – z roku 1980 – (kto wie, czy nie z inspirującym ją do takiego sądu) stwierdzeniem Tymona Terleckiego, który wprawdzie zauważył owo „wyrobnictwo” pisarza (każdego pisarza) w RWE (miał Terlecki zapewne na uwadze przede wszystkim szczególnie po 1945 roku sytuację emigracyjną twórców), ale skłonny był widzieć w tej pracy wartości niezbywalne. Pisał, że wprawdzie „Z przymusu życiowego znaczna liczba pisarzy emigracyjnych oddawała latami i ciągle oddaje radiu niebiałą, czasem przeważającą część swojej inwencji i energii. Jest to nieraz produkcja czysto wyrobnicza, a nadto nietrwała, przemijająca, po określeniu niewidzialnej smugi w eterze przepadająca bez śladu w pustce międzyplanetarnej. Jest sporo słuszności w tym, że pasożytuje ona na twórczości właściwej, niezarobkowej, że pozbawia wiele soków żywotnych. A z punktu widzenia historii zbiorowej nie jest ona bynajmniej obojętna”<sup>9</sup>. Terlecki bowiem ceni publicystykę. Więcej – uważa nawet, że publicystyczna aktywność twórcy nie pomniejsza jego roli, przeciwnie – pozwala mu rozszerzać pole dyskursu, daje szansę na uczestniczenie serio w społecznym życiu, włączyć się w nie w sposób najbardziej bezpośredni. Oczywiście autor *Spotkań ze swoimi* nie mógł zresztą myśleć inaczej – sam przecież aktywnie współtworzył i wzbogacał publicystką XX-wieczną myśl polityczną, społeczną i artystyczną; twierdził także, że felietonistyka i publicystyka należą do krwiobiegu nowoczesności i choćby z tej racji winny być przez samych pisarzy traktowane poważnie.

W świetle dzisiejszych przemian na polu kultury, sąd Anny Frajlich nie wydaje się zatem możliwy do utrzymania, albo – osłabiając wydzźwięk wstępnego rozpoznania – jest co najmniej dyskusyjny. Wielu wybitnych pisarzy wypowiadało się przecież w trybie publicystycznym, reporterskim, a ponadto – po dwu światowych wojnach dokument stał się niezaprzeczalnie, pod względem artystycz-

<sup>9</sup> Tymon Terlecki, *Archiwum literatury emigracyjnej*, „Pamiętnik Literacki” (Londyn) 1980, t. 3, s. 10.

nym i społecznym, zjawiskiem ważnym. Samo życie bowiem z całą mocą i gwałtownością wdarło się do ludzkiego mikroświata i zaranżowało nadzwyczajnie jego przestrzeń. Tego faktu nie sposób przecież pominąć, ani zlekceważyć.

Nowakowski hołdujący wrażliwości estetycznej lat 30. XX wieku, odrzucającej neonaturalizm jako projekt estetyczny mało ambitny, bo osadzonej w mimikrze na rzecz kreacji, przetworzenia, esencjonalizowania, także nie docenia swojego radiowego i reporterskiego dzieła. Chce również, by jego tzw. powieści wychodziły dalece poza tworzywo dziennikarskie i audialne, co oczywiście udało się znacznie bardziej Herlingowi-Grudzińskiemu.

Co osiągnął? Osiągnął ów etap „pomiędzy”, wyraził się w pełni w formie heterogenicznej, momentami raptularzowej, może i sylwicznej. Jest równocześnie – jeśli myślimy w kategoriach autobiograficznych i autotematycznych – właśnie pisarzem w dzisiejszym rozumieniu. „Pomiędzy” staje się także – jak sądzę – jego autorską sygnaturą, której towarzyszy w konkretnych realizacjach w równym stopniu poszerzone spektrum możliwości i ryzyko. Najbardziej niepokoiło samego Nowakowskiego ryzyko, o którym mówił tak: „Niewątpliwie wielkie jest ryzyko, kiedy człowiek pracuje w tej samej materii, to znaczy w słowie. Tym samym słowem przemawia do słuchacza w Polsce, używa go na co dzień w kolokwialnej wersji, a potem wieczorem siada się przy biurku i próbuje coś napisać. Język radiowy nie może być językiem barokowym, nie może się odznaczać smaczkami, żadnymi girlandami słownymi. Musi być prosty, przystępny – a proza artystyczna ma swoje wymagania, swoje poetyki, swoją tradycję. Więc to przedstawienie się jest nie raz trudne, ale możliwe. Kompensuje się w ten sposób pracę w radiu, jest to plus nadzwyczajny. [I dodaje:] [...] praca w radiu to jest heroiczny wysiłek przypominający czerpanie oceanu łyżeczką od herbaty, dlatego że już po kilku tygodniach słuchacz przeważnie nie pamięta, co słyszał, albo wydaje mu się, że coś słyszał. [...] Najgorzej odbita ulotka ma większe szanse przetrwania i podróżowania





*Nagranie w studio RWE w Monachium. Od lewej: Janusz Slaski („Jan Zaleski”), wówczas współpracownik Głosu Ameryki w Monachium, Tadeusz Nowakowski („Tadeusz Olsztyński”). Wywiad z polskim bokserem wagi piórkowej, Henrykiem Tyczyńskim, który pozostał na Zachodzie, lata 50.*



*Nagranie w studio RWE w Monachium. Pierwszy od prawej: Tadeusz Nowakowski („Tadeusz Olsztyński”), prawdopodobnie lato 1969*

tak, jak pchły podróżują w kudłach psa. Łatwiej się przemycić do nieśmiertelności przez małą broszurkę odbitą na powielaczu aniżeli słowem mówionym, które znika po prostu, wysycha w eterze”<sup>10</sup>.

Z tym problemem przychodzi się mierzyć i komentatorom literatury, szerzej – kultury. Jeszcze raz wypada wypowiedzieć uwagę zasygnalizowaną na wstępie: czy rzeczywiście nie jest tak, że brak zainteresowania twórczością audialną nie wynika przede wszystkim z faktu, że materiał do analizy jest trudno dostępny? Przyzwyczajenia literaturoznawców są także niełatwe do przezwyciężenia, a język opisu sprawia duży kłopot, jest wciąż w fazie tworzenia się. Co najmniej od czasu, kiedy powstało radio.

Nie bez winy są sami pisarze i publicyści emigracyjni, nadający swego czasu ton lekceważenia m.in. pracy radiowej, któremu uległ i Nowakowski. Na początku lat 50. w londyńskim „Życiu” pojawiła się złośliwa uwaga<sup>11</sup> redakcyjna na temat odpływu zdolnych pisarzy i publicystów do nowo powstającej rozgłośni: „Dziennikarstwo, zarówno gazetowe, jak i radiowe, zabija twórczość, wyjaławia talent, paraliżuje zdolność pisarską. [...] Chlubna jest działalność Redakcji Wolnej Europy, ale machina ta wyssała jak upiór wszystkie siły twórcze z takich pisarzy, jak Zofia Kossak, Tadeusz Nowakowski, Gustaw Herling-Grudziński. Zniszczyła również teatr polski w Londynie, zabierając Wacława Radulskiego do Monachium i biorąc w pacht talent Leopolda Kielanowskiego”<sup>12</sup>.

Ale z czasem pojawiają się i głosy odmienne. Komunikacja z odbiorcą za pomocą prasowego i radiowego medium (także medium audiowizualnego – telewizji) staje się coraz bardziej doceniana w latach 70. Rośnie prestiż publicystyki, również w środowisku najbardziej zachowawczych pisarzy. Formy gatunkowe publicz-

<sup>10</sup> Wywiad z K. W. Tatarowskim, w: tegoż, *Literatura i pisarze w programie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa*, Kraków 2005 (z płyty CD).

<sup>11</sup> A to nie jedyny przypadek; Zygmunt Nowakowski także nie ukrywał irytacji – ale z czasem i on zasilił zespół współpracowników Wolnej Europy.

<sup>12</sup> „Życie” (Londyn) 1953, nr 5.

styki zyskują swoją odrębność, stają się zauważone jako specyficzna sztuka słowa (także w swej audialnej odmianie). Włodzimierz Odojewski dla przykładu podkreśla trudną sztukę felietonu i waloryzuje pracę parających się tym gatunkiem autorów. Twierdzi nawet, że pisanie dobrego felietonu, regularnie z tygodnia na tydzień bywa trudniejsze, niż pisanie prozy fikcjonalnej lub wiersza. Tylko nielicznym publicystom udaje się sprostać temu niełatwemu zadaniu<sup>13</sup>.

Nowakowski nie był przekonany co do wartości własnego radiowego i publicystycznego dzieła; swoją pracę w RWE traktował po macoszemu. Pisał do Sakowskiego z sarkazmem, że RWE to: „Moja Kołyma powiększona o Oświęcim”<sup>14</sup>, „[...] wypisuję do radia tygodniowo 90 minut tekstu czyli broszurę” – powie w 1974 roku<sup>15</sup>. Z drugiej strony zabiegał przecież o głoszenie w tomach zwartych publicystyki, reportaży (np. *Aleja dobrych znajomych*, dokumentacja z pielgrzymek papieża), nie do końca zatem skłonny był poddać się presji tradycyjnej genologii literackiej, intuicyjnie być może i czuł nadchodzącą zmianę nastawienia do felietonistyki, dostrzegając wyraźnie zaznaczającą się na rynku zachodnioeuropejskim modę na biografistykę, dokument, literaturę faktu (stąd być może i *Saga rodu Radziwiłłów*). I być może także intuicyjnie podążał tą drogą, powstrzymywany co jakiś czas pragnieniem sprawdzenia się w „czystej” literaturze, cokolwiek to znaczy...

W tym wahadłowym ruchu literacko-publicystycznej aktywności Nowakowskiego dopatrywałabym się często wypalającej i zniechęcającej autora udręki „pomiędzy”. Zapewne odczuwał dyskomfort, kiedy rozważał składniki własnego warsztatu, kiedy zdawał sobie

<sup>13</sup> Zob.: Włodzimierz Odojewski, *Pochwała felietonu*, „Na Antenie” 1973, nr 129, s. 26.

<sup>14</sup> Z listu T. Nowakowskiego do J. Sakowskiego z 22 stycznia 1966 (Kolekcja Juliusza Sakowskiego, w: Archiwum Emigracji w Toruniu).

<sup>15</sup> Z listu do Sakowskiego (Boże Narodzenie 1974), tamże.



*Poranna konferencja redakcyjna Rozgłośni Polskiej RWE w Monachium.  
Od lewej: Leszek Meyer, Lech Wierczyński, Ignacy Klibański, Paweł Zaremba,  
Aleksandra Stypułkowska („Jadwiga Mieczkowska”)  
i Tadeusz Nowakowski („Tadeusz Olsztyński”),  
koniec lat 60.*

coraz wyraźniej sprawę ze swoich skłonności do dokumentu niż do fikcji. Prawdopodobnie im bardziej pragnął realizować się w tworzywieniu fikcji właśnie, tym udatniejsze były wypowiedzi „pośrednie” – paraliterackie. To zresztą nie jedyny paradoks, z jakim mamy do czynienia.

Tadeusz Nowakowski jest bowiem przykładem pisarza radiowego i pisarza w radiu – ze wszystkimi konsekwencjami z tego faktu płynącymi. Dręczyła go obawa o trwałość jego autorskiego dzieła; mówi Konradowi W. Tatarowskiemu, że przecież (powtórzę ten *passus* raz jeszcze) „Łatwiej się przemycić do nieśmiertelności przez małą broszurkę odbitą na powielaczu aniżeli słowem mówionym, które znika po prostu, wysycha w eterze”<sup>16</sup>, a wraca do tej kwestii w powieści *Nie umiera się w Miami* napisanej w 1991 roku – eksperymentującej z formą, otwartej, aluzyjnej, autotematycznej, w której pisze o tym, jak „robi się” powieść, gdzie sumuje doświadczenia pisarskie i reporterskie – włącznie z podróżami w odległe zakątki świata, gdy podążał za pielgrzymującym papieżem. Byłyby one jednak mało prawdopodobne, gdyby pisarz nie był pracownikiem Wolnej Europy.

Z drugiej strony – to właśnie praca w Rozgłośni Polskiej RWE – zdecydowała o konsekwentnym przemilczeniu twórcy w PRL-u, najprawdopodobniej uniemożliwiła również publikację w okresie odwilży *Obozu wszystkich świętych*.

---

<sup>16</sup> K. W. Tatarowski, *Literatura i pisarze...*, dz. cyt.

## Za mało zaangażowania, za mało oporu. *Dziennik* Jana Józefa Szczepańskiego

*Móc być odmiennego zdania – oto największy i najtrudniejszy do uzyskania przywilej. A w nim przecież mieści się cała istota postępu. Realizowanie sztywnej formuły za wszelką cenę jest najzgubniejszym i najmniej humanistycznym szaleństwem.*

Jan Józef Szczepański

„Myślę, że warto pomóc socjalizmowi tam, gdzie są szanse przyspieszenia jego humanistycznej ewolucji – pisze Szczepański 6 stycznia 1955 roku. Należy tylko uświadomić sobie, że ta ewolucja jest właśnie (przynajmniej w części) wynikiem oporu”<sup>1</sup>. To interesujący zapis, szczególnie w kontekście zbliżającej się i coraz wyraźniej odczuwanej odwilży. Interesujący także dlatego, że niejednoznaczny i paradoksalny zarazem. Z jednej strony młody publicysta i pisarz odzyskuje nadzieję na to, że humanizowanie komunizmu w jego stalinowskim wariacie, jaki poznał i jakiego doświadczył, jest możliwe, z drugiej zaś – zastrzega, że projekt ten ma szansę ograniczonego powodzenia właśnie dzięki społecznemu oporowi, a więc w gruncie rzeczy – dzięki niesławnemu i kompromitowanemu po wojnie „reakcjonizmowi”.

Krytyka pierwszych lat powojennych, mimo dość łagodnego tonu, jest w dzienniku niemal totalna. Szczepańskiemu idzie głównie o tempo tych zmian, ich charakter oraz zakres, i przede wszystkim

---

<sup>1</sup> Jan J. Szczepański, *Dziennik 1945–1956*, t. 1, Kraków 2009, s. 447 (zapis z 6 stycznia 1955). Wszystkie kolejne cytaty pochodzą z tego samego wydania (opatrzone skrótem *D.*).

– o sposób, w jaki się je do życia publicznego wprowadza. Osądza praktykę dyskusji ograniczonej cenzurą i podkreśla fakt, że gwarantem humanistycznej ewolucji okazał się ów po wielokroć kompromitowany przez władze społeczny opór przed permanentną stalinowską z duch rewolucją.

To zresztą nie jedyna sprzeczność, z jaką przyjdzie się zmagać autorowi *Dziennika* w pierwszych latach po wojnie, w okresie dla niego samego niezwykle trudnym, być może nawet najtrudniejszym.

Oczywiście dziennik rejestruje rozmaite nastroje jego autora, dokumentuje także sytuacje, zdarzenia, osoby, z którymi spotkania wpływały na życie młodego człowieka, jakim wówczas był Szczepański. Fluktuacja zmian i dynamika wydarzeń budziła zarówno jego nadzieję, jak i poczucie niepewności, a niezatarte w pamięci doświadczenie gorzkiego smaku marginalizacji i nieważności nadal były silne, może nawet w kontekście zachodzących zmian odwilżowych – i bardziej uświadomione. Już 12 czerwca tego samego roku natrafiamy bodaj na najoptimistyczniejszy w całym pierwszym tomie diariusza zapis, kiedy to „coś drgnęło” w sprawach, które wówczas Szczepańskiego najbardziej obchodzą: a idzie mu o to, by pisać na serio i na serio publikować, komunikować się z czytelnikiem, traktując go z całą powagą, co znaczy – czuć się odpowiedzialnym za słowo i to niezależnie od okoliczności zewnętrznych, które zwykle nie sprzyjały.

„Przyjechałem z W-wy – czytamy w *Dzienniku*. Co tu dużo gadać: byt określa świadomość. Dawniej te wyjazdy przygnębiały mnie zawsze. Nigdzie tak jak w Warszawie nie czułem się zbyt cenny, odstawiony na boczny tor, wyłączony z życia. Teraz, kiedy wszędzie pytają mnie, kiedy następna książka, kiedy w wydawnictwach nie jestem uciążliwym petentem, a przeciwnie – autorem, którego się prosi o współpracę, wszystko wygląda inaczej. Czuję się w siodle – po tylu latach. Najzupełniej zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństw tego nastroju, ale cóż na to poradzę?” (*D.*, s. 520).

Zaczyna się zatem lepszy okres, sprzyjający wreszcie pracy twórczej i publicystycznej – i to Szczepański niewątpliwie przeczuwa, nie myląc się zresztą specjalnie. Trzeba zaznaczyć jednak, że przywołane dotąd i przywoływane przeze mnie w dalszej części zapisy dziennika, najdobitniej ilustrować będą sytuację duchową pisarza między rokiem 1945 a 1956, bo jego pierwszy tom obejmuje ten okres, z wielu powodów interesujący i jak dotąd niedostatecznie zapoznany z podobnych intymnych zapisów i raptularzowych komentarzy czy epistolografii innych autorów krajowych. Mniemam na marginesie, że także materiały z prywatnych archiwów innych twórców doczekają się publikacji, co niewątpliwie pozwoliłoby z perspektywy intymności i konfesji wzbogacić naszą wiedzę o tym czasie w kontekście psychospołecznych mechanizmów marginalizowania i wykluczania<sup>2</sup>.

Autobiografizm każdego dziennika – podstawowa dlań kategoria zresztą<sup>3</sup> – staje się znakomitym tropem (również w przypadku Szczepańskiego – owocnym), którym warto podążać w celu poznania intymnego dramatu młodego człowieka i twórcy w okresie szcze-

<sup>2</sup> Nie zajmuję się w tym rozdziale pisarstwem Szczepańskiego, historią publikacji, recepcji i krytycznymi omówieniami, których ilość jest oczywiście imponująca (znaczące obszernie studium o twórczości z zamieszczoną bogatą bibliografią wydał Andrzej Sulikowski, *„Nie można świata zostawić w spokoju”. O twórczości Jana Józefa Szczepańskiego*, Lublin 1992). Dziennik pisarza interesuje mnie głównie ze względu na lata 1945–1956 i w kontekście podjętych w mojej książce rozważań. Także dlatego, że pisarz (określając dość umownie rzecz bardziej złożoną) należy do konserwatywnego środowiska „Tygodnika Powszechnego”; z pewnością też cały dziennik Szczepańskiego stanie się w przyszłości świetnym suplementem i komentarzem do jego literackiego dzieła.

<sup>3</sup> Zob.: Józef Olejniczak, *Dziennik*, w: *Leksykon szkolny. Gatunki paraliterackie, publicystyczne i użytkowe*, pod red. Marka Pytasza, Gorzów Wielkopolski 1993; Kazimierz Adamecyk, *Dziennik jako wyzwanie*, Kraków 1994; Małgorzata Czermińska, *Autobiograficzny trójkąt. Świadectwo, wyznanie i wyzwanie*, Kraków 1998; tejsze, *Sprawy publiczne w pismach intymnych*, w: *Literatura i władza*, Warszawa 1996; Michał Głowiński, *Narracje literackie i nieliterackie. Prace wybrane*, t. 2, Kraków 1997; Bronisław Gołębiowski, *Pamiętnikarstwo i literatura. Szkice z socjologii kultury*, Warszawa 1973; Paweł Rodak, *Prawda w dzienniku osobistym*, „Teksty Drugie” 2009, nr 4, s. 23–38.



gólnym, bo – zaraz po wojnie. Regularna wojna już się skończyła i „wyszło się z lasu” (*casus* pisarza), a na skutek inżynierii społecznej, rozmaitych nacisków i presji władzy oraz zmian wprowadzanych poprzez instytucje i polityczno-kulturalny establishment, coraz wyraźniej poczęła się konkretyzować nowa rzeczywistość. W niej też coraz wyraźniej zaznaczać będą swoją obecność inne hierarchie wartości, i było Szczepańskiemu wiadome, że tzw. zmiana paradygmatu kultury jest raczej nieunikniona.

Pytanie: jak miała być głęboka i w istocie jaki miał być ostateczny jej cel? O tych sprawach dziennik Szczepańskiego jednakże dziwnie milczy, choć jeśli się go czyta wnikliwie, dostrzec można enigmatyczne napomknienia, niejako mimochodem, na marginesie sygnalizujące niepokój autora o wyłaniający się z wojennego chaosu kształt współczesności „zorganizowanej” i „przewidywalnej”.

A zatem co go wstrzymuje od zapisu niejako „wprost”? Autocenzura, obawa przed dostaniem się zapisków w niepowołane ręce? Możliwe – stąd zapewne uchylenie się przed konsekwentnym recenzowaniem współczesności. Albo – celowa strategia, na którą wskazuje zapis z pierwszej strony, by ograniczyć się w dzienniku do najbardziej intymnych doznań i rejestracji czegoś na kształt biografii wewnętrznej, pozostawiwszy niejako „poza” dokumentalną sferą plany odleglejsze, dla życia zapewne niemające peryferyjnego znaczenia, ale dla twórczości – być może tak.

Może Szczepański podąża tropem strategii pamiętnika Stanisława Brzozowskiego, co również byłoby niesprzeczne z moimi wcześniejszymi supozycjami?

Przypadek Szczepańskiego jest interesujący również dlatego, że autor *Butów* z AK-owską przeszłością i leśnym epizodem, jako młody człowiek (rocznik 1919), mimo oporów, wkracza do świata cywilnego i przede wszystkim chce w nim żyć jak cywil właśnie. Pragnie nadto urządzić swoje życie tak, by było maksymalnie wartościowe i twórcze – ta kwestia podczas lektury dziennika wybija się zresztą na plan pierwszy.

Jakież to więc ma być życie? Przede wszystkim sensowne, co znaczy: pełne powagi, „czujne” etycznie, aktywne i maksymalnie praktyczne – skupione na cierpliwym budowaniu wielowymiarowego nonkonformistycznego azylu, w czasie skrajnie dla takiej postawy nieprzychylnym.

Szczepański nie zamierza odcinać się od świata czy lekceważyć rzeczywistości i faktów zapoznanych dzięki prostej naoczności, nie ma w jego zamyśle również miejsca na postawę nihilistyczną, o którą w tamtych, tużpowojennych warunkach wcale nie było trudno. Sinusoida emocji nie wychyla się też nadmiernie i w drugą stronę – trudno bowiem mu afirmować, jak chciałaby władza, to wszystko, co go spotyka każdego dnia w powojennym Krakowie, Kasince, Wrocławiu, Warszawie.

Pisarz uznał zapewne, że skoro przeżył wojnę, to po to, by coś w życiu jeszcze istotnego i sensownego zrobić; pragnie więc uczestniczyć w powojennej rzeczywistości (wyraźnie nie chce być ani outsiderem, ani banitą), ale na warunkach, które nie będą sprzeczne z jego etyczną wrażliwością, mimo licznych frustracji, zrodzonych z ambicji młodości, które zderzały się z twardą rzeczywistością, frustracji – z czasem duchowo przepracowanych i stopniowo wyciszanych. Stanowiąc będą one także treść doświadczenia, którego dalekie echa zdecydują o pisarskiej przyszłości oraz działalności publicznej Szczepańskiego jako intelektualisty. Należy również podkreślić w tym miejscu godną podziwu cierpliwość, z jaką młody człowiek znosi niewygody codzienności, przyjął do wiadomości absurdu decyzyjne i organizacyjne, jak bardzo chce je zrozumieć i wytłumaczyć, i jak nastawiony jest do świata refleksyjnie oraz kontemplacyjnie, także empatycznie.

Wszystkie te cechy są istotne, świadczą bowiem o osobności Szczepańskiego, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę młody wiek spisującego wrażenia i doznania autora, wiek, w którym nie kontemplację, a niecierpliwość, ekspresyjną emocjonalność, ruchliwość, skłonność do ryzyka, zwyklibyśmy uznać za normę.

A może ów spokój i potrzebę zagospodarowania czasu w sposób wyrozumowany należy potraktować jako próbę uchwycenia równowagi po traumatycznych przeżyciach wojennych w szeregach Armii Krajowej? Próbę nadania własnemu życiu sensu i to wbrew czasom, stworzenia własnej intymnej przestrzeni, swoistego azylu w mieliznach rzeczywistości PRL-u, o którym skądinąd wiedział, że wdziera się bezlitośnie, nachalnie, głośno, indoktrynująco? A więc – spróbować żyć we własnym rytmie, wedle własnych preferencji?

Jakie są w istocie te pierwsze powojenne lata? Przede wszystkim – w odczuciu autora – wydają się okresem konsekwentnego i systematycznego ograniczania wolności. Przestrzeń życia po wojennej hekatombie zarówno w makro-, jak i mikroskali miast rozszerzać się (jak można by się spodziewać, szczególnie jeśli się jest człowiekiem młodym jak Szczepański wówczas), poczyna się jednak gwałtownie zwężać i niesatysfakcjonująco dlań ograniczać z czasem do szczeliny względnej swobody, a właściwie – patrząc na to z drugiej strony – zamyka się w ciasnej prywatności, chronionej jako ostatni bastion osobności i tak oswojonego azylu. Ale i utrzymanie prywatności wymaga od autora wysiłku niewspółmiernego do efektów, jakie udaje mu się osiągać; nie chodzi mi w tej chwili rzecz jasna o wgląd w całą autorską biografię, idzie jedynie o lata obejmujące ten pierwszy tom *Dziennika*, a więc o czasy terroru pierwszego 10-lecia, kiedy polityczno-kulturowy model sowiecki miał wszelkie szanse powodzenia.

Jak zatem buduje Szczepański ów azyl w mieliznach rzeczywistości? Dlaczego ten jego sposób może być tak interesujący i różny od strategii życiowych Stefana Kisielewskiego czy Leopolda Tyrmanda?

Istotę osobnego miejsca Szczepańskiego na mapie powojennych postaw nonkonformistycznych stanowi miara osobistego wkładu autora w to, by nie odnosić się do nowo powstającego świata z uprzedzeniem, odrzucić łatwo narzucające się uogólnienia i myślowe klisze,

by wreszcie dać sobie szansę na ewentualne zrozumienie (na ile to możliwe) polityczno-społecznego eksperymentu, jakim był komunizm w płaszczyźnie idei i w sferze praktycznej. Nie było zresztą jasne wówczas także i dla niego jako prowadzącego ów raptularz, na ile zmian i o jakim ciężarze gatunkowym skłonny byłby w istocie przystać. Zapewne też powojenny brak stabilizacji i ewidentny chaos codzienności, odbiera jako coś lepszego od regularnego wojennego oporu. Stąd i cierpliwość, zapewne zgoda na eksperyment, a wszystko to niejako podporządkowane oczekiwaniu na nadejście lepszych czasów.

Gdyby jednak chodziło tylko o czas, a nie o coraz bardziej przesuwającą się granicę kompromisu i z każdym dniem intensywniej odczuwanej presji na rzecz czynienia rozmaitych ustępstw, Szczepański byłby się może i podporządkował „zmianie”?

Wróćmy jednak do samego raptularza. Intencja tego dziennika wyrażona dobitnie pod datą 25 czerwca 1945 roku zdradza to, co – jak się z czasem okaże – stanie się w istocie treścią życia pisarza rozpisaną na incydenty, wydarzenia, epizody. Ponadto psychologizowanie ze skutkiem autodiagnostycznym i autoterapeutycznym pozwoli Szczepańskiemu zidentyfikować własne pisarskie kompleksy.

Zanalizowane w ten sposób skłonności temperamentu i charakteru, poza samoleczeniem niewątpliwie poprawiają warsztat – szlifują pióro, a metarefleksja tłumaczy zawilości zarówno samego procesu twórczego (a jest takich odniesień w dzienniku wiele), jak i konkretne praktycznożyciowe wybory debiutującego podówczas autora. Dwudziestosześcioletni człowiek, wyrosły w atmosferze końca lat 30. przedwojennej Polski, gdzie splatały się ze sobą i wzajem przenikały rozmaite koncepcje i style myślenia (m.in. z jednej strony aktywizm, humanizm, zaangażowanie społeczne, kracjonizm i neonaturalizm, z drugiej zaś – modernizm z jego manierycznością, kapryśnością i mgławicowością, ucieczką od konkretności), pisze: „Ten pamiętnik ma cel odpowiedzialny i trudny. Ma mnie wyleczyć i wychować. Nie będzie dla mnie rozrywką ani przyjemnością. Będzie obowiązkiem, przeważnie przykrym i uciążliwym.

Piszę go dlatego, żeby moim postanowieniom nadać cechy odpowiedzialności, żeby nie mogły się rozleźć, rozpląnąć we mgłę bezpłodnej chandry, jak tyle razy poprzednio. Poza tym samo pisanie wymaga aktu woli, który musi mi wejść w codzienny zwyczaj. Będę się starał pisać jasno, zwięźle, porządnie, bez ozdobników, bez zbytecznych efektów słownych, smętnej ironii, paradoksalnych i cynicznych dowcipów, bez niedomówień i mgławicowych domyślników o charakterze metafizycznym, jednym słowem bez wszystkiego tego, co moim zdaniem nadawało dotychczas pisaniu *charme* intelektualnego pesymizmu, a w gruncie rzeczy było usprawiedliwieniem i ozdobą własnej słabości.

Czy można samego siebie zmienić?

Zobaczą. Dotychczas zdawało mi się czasami, że to i owo ulepszyłem w sobie albo przewyciężyłem. Jak wiele w tym jest jednak mojej zasługi? Ostatecznie każda moja »nota« ma śliski bardzo brzeg, z którego bardzo łatwo się zesunąć [podkreśl. V.W.M.]. Jeżeli utrzymuję się na jakimś poziomie, to głównie przez brak śmiałości (zarówno w złym, jak i dobrym), przez rutynę dobrego wychowania, niechęć do decyzji (zarówno w złym, jak i w dobrym), przez miękkość, która powstrzymuje mnie od robienia przykrości innym, często i wtedy, kiedy to jest konieczne. W sumie wyposażony jestem w zbiór cech obojnaczych, nieokreślonych, które czynią ze mnie dosyć przeciętnego poczciwca, potrafiącego dzięki pewnej inteligencji nadać sobie pozory charakteru. [...] Czy to [pisanie dziennika – V.W.M.] ma sens? [...] Świadomość konieczności stałego ruchu wzwyz wydaje mi się zupełnym usprawiedliwieniem, może nawet gwarancją istotnej potrzeby tego ruchu.

Niech to będzie wynik pewnej tradycji umysłowej, niech sobie będzie przejawem ambicji, niech sobie będzie czym chce” (*D.*, s. 6-9).

Szczepański zamyśla więc swój dziennik dość precyzyjnie, nie zastrzega, że ma dotyczyć głównie spraw pisarskich, choć tak się stanie, chce także, by był on na ile to możliwe raptularzem współ-

czesności, swoistym świadkiem zmagania z jej materią. Ale czy poza dylematami pisarskimi, o których w nim mowa, pojawiają się i inne kwestie? Wydaje się, że niespecjalnie. Przede wszystkim, jeśli szukamy w raptularzu mięszu życia: weryzmu codzienności, będziemy raczej nieusatysfakcjonowani; w tej perspektywie możliwego czytania jest jednak *Dziennik* efektem „wstrzymanego oddechu”, wypowiedzią niepełną, szczególnie wobec oczekiwań późnego czytelnika, także – jak się mogę domyślać – niepełną wobec naporu tamtej rzeczywistości, która nie mogła przecież nie irytować pisarza – co również wnioskuje pośrednio. Musiała rodzić krytykę i intelektualnie prowokować, a jednak o tym – niewiele. Na usprawiedliwienie autorskiej strategii wypada jednak powtórzyć, że *Dziennik 1945–1956* pisany był w czasach najpodlejszych, także najniebezpieczniejszych, szczególnie dla kogoś, kto był żołnierzem AK.

Jeśli to wszystko weźmiemy pod uwagę, jeśli przyjmujemy wszystkie zastrzeżenia, przygoda z dziennikiem autora *Butów*, jego uważna, niespieszna lektura, daje owoce. Moja próba jego czytania jest oczywiście jedną z możliwych i realizuje się pod kątem pewnej szansy, jaką niewątpliwie zapisy te dają, a dają możliwość zapoznania się z racjami twórców zepchniętych na boczny tor, marginalizowanych czy wykluczonych (niemarksistów, przedstawicieli środowisk katolickich i konserwatywnych), których głosy zasilają oficjalny obieg dopiero po dwudziestu latach od odzyskania niepodległości w 1989 roku, jak głos Szczepańskiego właśnie. Mimo że zapoznajemy się z nimi stosunkowo późno – są interesujące. Są przede wszystkim narracją „drugiej strony”, której niezaprzeczalną wartość stanowi możliwość dopełnienia i dopowiedzenia tego, czego zaraz po 1956 roku nie można było powiedzieć oficjalnie, oczywiście z powodów cenzuralnych i zwyczajowych (prawo do publicznej krytyki systemu ograniczono wówczas głównie do środowiska rewizjonistów).

Szczepański zaczyna swój intymny zamysł pisania od wspomnianej już deklaracji „wewnętrzznego przepracowania” przeszłości oku-

pacyjnej („Muszę tu coś wymyślić – pisze 7 lipca 1945 – żeby znaleźć jakiś substytut, żeby wypróżnić się z tego nieznośnego iltu i wreszcie poczuć się znowu świeżym” [D., s. 17]) z nadzieją, że niejako tak odnowiony stanie naprzeciw rzeczywistości i wówczas zobaczy ją z całą wyrazistością i plastycznością. To zadanie służyć ma zarówno pisarskiemu projektowi, jak i samemu życiu, temu celowi podporządkowany jest również wyjazd do Wrocławia i udział w zabezpieczeniu gmachów miejskich instytucji na potrzeby życia kulturalnego – gest znaczący, świadczący bowiem o potrzebie bycia pożytecznym i aktywnym. Jest w nim nadzieja i zarazem krytycyzm, sarkazm rodzący się z niezłej orientacji z sytuacji geopolitycznej oraz stosunkowa otwartość i bezpośredniość formułowania sądów.

Zadziwiający i zarazem godny podziwu jest dystans, z jakim Szczepański obserwuje to miasto i jego mieszkańców: pozostałych w mieście Niemców, przybyłych z głębi Polski poszukiwaczy dóbr i przygód, także rzuconych w obcy świat osadników i repatriantów z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. Interesuje go mechanizm psychologicznego odreagowywania traumy, wzmacniany i rezonowany przez cyniczną propagandę zwycięzców. Obcy jest mu wówczas także „kompleks okupanta”, „prawdziwego władarza”, co „bierze w posiadanie, powraca macierzy jej dziedzictwo” – jak pisze, a co w postaci hasłowych klisz eksploatuje władza, widząc w tym sposób na osiągnięcie pragmatycznego celu – wywołanie społecznego impulsu integracyjnego. Oglądowi powojennego Wrocławia towarzyszy niewymuszona empatia, która jednocześnie wcale nie przyczynia się do rozbudzania i konserwowania złudzeń. Przeciwnie – wyostrza spojrzenie młodego Szczepańskiego i uniewrażliwia zarazem na treści, które społeczeństwu sączy coraz bardziej nachalna propaganda.

Ponadto ów mechanizm odreagowywania traumy nie jest mu obcy, rozpoznany też fenomen kompleksu paradoksalnego zwycięstwa w wojnie, konfundujące przesunięcie granic i polityczny cynizm sprzymierzonych; 14 lipca 1945 notuje: „Kiedy patrzę na to

wszystko, mam wrażenie, że widzę cały mechanizm na wylot. Tyle czasu było się murzynem, że nietrudno zgadnąć, co murzyn myśli i czuje. I z drugiej strony, mimo woli sympatyzuje się z murzynem. Mimo woli, bo przecież pamięta się łapanki, obławy, Oświęcim, Montelupi i wszystko. Ale teraz się widzi ludzi głodnych. Ci wszyscy schludni, pozbawieni wdzięku i polotu Niemcy krążą wokół nas z ciepłymi uśmiechami, czekając na szczęśliwy zbieg okoliczności, którego efektem będzie kawałek chleba, parę deko słoniny. Za chleb, za odrobinę tłuszczu oddają radia, buty, ubrania, aparaty fotograficzne. [...] Jeszcze w dodatku świadomość, że my w tym procesie jesteśmy czynnikiem drugorzędym, że nie decydujemy o niczym, że »dzierżawimy« ten kawałek zwycięstwa, pogłębia poczucie, że jest się przygodnym widzem, turystą.

Bolszewicy wyrzucili Polaków z Lignicy [Legnicy]. W gazetach dla berlińczyków chwalą się, że powstrzymali polską akcję wysiedleńczą, we wszystkich kwestiach spornych interweniują na korzyść Niemców. To są fakty. Są dobrodziejami wszystkich. Nam dają Wrocław i Gdańsk, Ukraińcom Lwów, Litwinom Wilno, Niemcom nadzieję na wspaniałe odegranie się naszym kosztem. Sami rabują i gwałcą z czystym sumieniem, ostentacyjnie, bo przecież nie zależy im na opinii »dobrze wychowanych«, skoro mają wszystkie asy w ręku. [...]

U nas to wygląda mniej wspaniale. Tysiące »prawych włodarzy« w wyszarżanych ubrankach z trwożliwymi minami snuje się po zwaliskach zasobnych, mieszczańskich kamienic, napychając chyłkiem swoje »szabrownicze« tobołki.

Są i tacy, którzy nie pojmują jeszcze ducha miejsca i czasu, błędą obdarci i głodni po obcym mieście w poszukiwaniu władz, które nakarmią ich, ubiorą i osadzą chwalebnie na »ziemi praojców« (D., s. 17-18).

Czuje także we Wrocławiu wyraźniej swoją inność kulturową, swoisty atawizm w przynależności do odrębnego krajobrazu, w upodobaniu do dworców, starych drzew i innych atrybutów „polskiego” pleneru, wreszcie do – koni i tego wszystkiego, co być może stanowi



o istocie patriotyzmu codzienności i wpływa na kształt oraz jakość stylu życia, tworzącego etos rodzimości w ścisłym związku z tradycją.

I kilka stron dalej – diametralnie różny obraz: Polska centralna – Stare Miasto w Warszawie po wojnie (a właściwie jego ruiny) utrwalone 30 września 1945: „Poszedłem tam wieczorem, właściwie późnym popołudniem. Z odpustowego, niezdrowego ruchu śródmieścia wszedłem nagle w coś, co nie jest nawet szczątkiem ludzkiej osady. To jest jakiś fragment nieznanego krajobrazu, widok dzikiej kotliny górskiej, nietkniętej stopą człowieka. Błądziłem nigdy niewidzianymi wąwozami i przełęczami, zupełnie samotny pod rozległym, wieczornym niebem.

Wróciwszy na Krakowskie Przedmieście, zrozumiałem nagle, jak straszliwym wrogiem człowieka jest maszyna. [...] Ludzie obcujący z maszyną stają się okrutni, chciwi, wulgarni i niebezpieczni” (*D.*, s. 33-34).

Przestrzeń topograficznych peregrynacji staje się w *Dzienniku* pełna, horyzontalnie to Kraków – Kasinka, wertykalnie – górskie wspinaczki, niezbędne dla ćwiczenia woli, hartu ducha, utrzymania napięcia ciała i umysłu. Duchowa aktywność i potrzeba wejścia w normalność, realizuje się w planach o podjęciu studiów orientalistycznych, w pierwszych pisarskich i publicystycznych próbach ogłaszanych z pewnym powodzeniem m.in. w „Tygodniku Powszechnym”. Szczepański tęskni do miłości i stabilizacji, świadczą o tym okruchy rozważań filozoficzno-teologicznych, które tu i ówdzie znajdujemy w dzienniku. W okresie odwilży natomiast pojawiają się uwagi, z których wnioskować można, że interesował go czasowy pobyt za granicą, głównie dla celów poglądowych i porównawczych – jak wówczas zastrzegał. O emigracji bowiem Szczepański w tych ciężkich, pierwszych latach dziwnej i zarazem trwożnej niepodległości prawdopodobnie nie myślał, a przynajmniej – w intymnych zapisach nie ma o tym śladu.

Ponadto niezwykle istotne są i peregrynacje w przeszłość, w jej głąb z pragnieniem przepracowania własnej psychiki i odrzucenia militarnych atawizmów, męczącego ilu dyletanctwa, owej gorzkiej konsekwencji okresu partyzanckiego. W niecały rok od „wyjścia z lasu”, 21 grudnia 1945 poddaje analizie swoją aktualną psychiczną i intelektualną kondycję: „Z lasu wyszedłem w stanie wtórnej dziewicości umysłowej. Pozbawiony całego »dorobku« literackiego, nieprawdopodobnie zaniedbany pod względem wprawy w myśleniu, przejezdony aż do mdłości »niedźwiedzim mięsem«” (*D.*, s. 40). Ale wie też, że (co po kilku latach również potwierdzi) te „kawałki z lasu” mogą być zarówno esencją, jak i osnową usprawiedliwiająca całe jego pisarstwo. Uświadamia sobie coraz bardziej i to, że mogą być one materią niezwykle trudną do ogarnięcia, wyzwaniem ponad jego możliwości, co więcej – wyzwaniem, wobec którego wydaje się bezradny i bezsłowny: „To, co piszę teraz, te kawałki z lasu – czytamy notę z 11 listopada 1945 – to mogłaby być rzecz dobra. Ale jak tylko zaczynam układać zdania, tracę smak prawdy. Nie tej prawdy historycznej, ale tej ważniejszej – psychologicznej czy artystycznej, bo ja wiem? Zapominam, jak pachniały sosny, jak skwierczał piach pod nogą, jak smakowała utajona wolność, wesołe chamstwo i naiwna odwaga” (*D.*, s. 39).

Czy ten cały zamysł życia, swoisty obmyślany i korygowany na bieżąco jego projekt jest ponad możliwości Szczepańskiego i jego kreatywnej potencji? Zapewne nie – jeśli brać pod uwagę jedynie ambicje bez uwzględnienia kontekstu historycznego i warunków, w jakich przychodziło mu je realizować. Okoliczności powojennej Polski z przyczyn, które za moment będą wywierały przełożony wpływ na jego zawodowe życie, zadziałają hamująco. Kiedy pisarstwo uzna za sedno swojej egzystencji (ma już za sobą wojenny debiut w wydawnictwach podziemnych), a jest to rok 1945 – wówczas pojawi się kwestia fundamentalna – problem zaangażowania zgodnego z osobistym wyobrażeniem mimo naporu rzeczywistości, kanalizującego tę aktywność i zarazem wyhamowującego ją wsku-

tek politycznej niepoprawności autora. Istotną rolę odgrywało tu przynależenie Szczepańskiego do środowiska konserwatywnego oraz skłonność do samodzielnego i uczciwego myślenia, również przeszłość okupacyjna.

Piętnastego października 1945 roku rejestruje ingerencję cenzury, której ostrze wymierzone jest w publicystykę polityczną. Wcześniej jednak, 15 sierpnia Szczepański pisze: „Próbuję dzisiaj napisać artykuł polityczny. Natchnął mnie tą myślą Maritain i jego wizja przyszłej, chrześcijańskiej Europy uwolnionej od totalitaryzmów” (*D.*, s. 24).

W październiku (wiedząc, że artykuł z powodu ingerencji cenzury nie ukazał się) wraca do sprawy; towarzyszy jej tym razem znacznie bardziej pogłębiona refleksja: „Propaganda przeciw polityce, jako dominującej funkcji społecznej, przeciw rządomanii, przeciw nowemu cezaryzmowi i bałwochwaltwu. Sprawa bardzo trudna, wymagająca monumentalnego talentu. Skąd wziąć talent?

Trzeba będzie te rzeczy robić. Dziś poczułem to bardzo wyraźnie. Trzeba będzie bardzo dużo odwagi, dużo siły, dużo pracy. Dużo talentu.

Bo tu nie wystarczy felieton. Nikt jeszcze nic poważnego felietonem nie zdziałał. A ja właśnie w tym kierunku muszę działać. Trudna sprawa walczyć z najmocniejszym, z najautorytatywniejszym, najlepiej uzbrojonym kłamstwem. Nie można tu liczyć na żadnych sojuszników, bo trzeba wystąpić i przeciw owym kłamstwom najbardziej sercu miłym. Ta propaganda to będzie cięcie gałęzi, na której się siedzi” (*D.*, s. 36).

Szczepański wyraźnie ustawia się w roli sędziego, który chce sprawiedliwie wymierzać razy światu; zakłada zatem, że nonkonformistyczne widzenie bez złudzeń pozbawić go może oparcia z każdej strony. Znamienna w tym kontekście uwaga „trzeba wystąpić i przeciw owym kłamstwom sercu miłym” tłumaczy jego późniejsze niepokoje i wybór – aktywność mimo wszystko i w granicach przez siebie zakreślonych. Stoi za tą decyzją także akceptacja pewnych

zmian społecznych, jakie niosą ze sobą lubelskie władze. Idzie mu o rudymenarną sprawiedliwość, o bardziej demokratyczny podział dóbr (m.in. o reformę rolną, edukacyjną oraz społeczny i egalitarny wymiar dostępu do kultury), co z kolei każe mu patrzeć na środowiska konserwatywne (np. „Tygodnika Powszechnego”) z pewnym zniecierpliwieniem, może nawet i z bardziej lub mniej skrywaną niechęcią, zwłaszcza gdy ich przedstawiciele opierając się temu, co jego zdaniem oczywiste, konserwują przedwojenne zachowania; przypominają wymarłą klasę – świat zwietrzałych zrytualizowanych wartości mieszczańskich.

Niewątpliwie lata 1945–1947 będą okresem kontynuowania i zarazem domykania osobistego życia, wyrabiania nawyku przenikliwego i bezkompromisowego pisarskiego patrzenia na materię rzeczywistości, analizy jej symptomów, a przede wszystkim chwytnia równowagi, kojenia ran, opanowywania nastrojów historycznych, dyskretnego i powściągliwego uczestniczenia w przyjemnościach płynących z codzienności, obcowania zarówno z naturą, jak i ze światem kultury. Ten czas wypełnia pasmo rozmów, koncertów, wypraw do kina i na wystawy malarstwa. Zapisy dziennika z tego okresu dokumentują bowiem stan wewnętrznego skupienia autora, życia prowadzonego z namysłem, wprawdzie wąskiego, ograniczonego, ale za to intensywnego, głębokiego.

Wszystkie powyższe uwagi świadczą o tym, że zwyczajna życie i młodość, co wcale nie znaczy, że Szczepański nie dostrzega także jego grozy; to życie ma mimo wszelkich ograniczeń niepodważalną wartość, jest dlań w latach 1945–1947 jeszcze autentyczne i w pewnym tylko stopniu uregulowane – dlatego też odznacza się ekspresyjnością, indywidualną sygnaturą temperamentu i cechuje je żywioł młodości. Przy tym Szczepański wchodzi w nie także jak dokumentalista i moralista zarazem.

Dopiero zapis z 3 maja 1946 jest znamienny i otrzeźwiający, sygnalizuje nadciąganie złych czasów – to również dowód na pewną trwał-

szą zmianę w odbiorze rzeczywistości. Jednak wyraźny przełom wobec tego, co gotuje „nowe” (chodzi o wypowiedzi wprost), pojawi się w dzienniku dopiero w 1948 roku. Szczepański nie będzie już miał wówczas wątpliwości co do tego, jak brutalnymi metodami kieruje się władza dla osiągnięcia strategicznych celów. Ale 3 maja 1946 roku powoli pozbawia go złudzeń: treść raptularzowego zapisu stanowią uliczne zamieszki, a analizie podda autor własne osłupienie i zadziwienie tym, co zobaczy; wszak – jak mniemał – demonstracja młodzieży była próbą uczczenia Konstytucji 3 Maja. Jednak to, jak tłumiono pochód, przywiodło na myśl wspomnienie z atmosfery niemieckiej okupacji, nadal – w rok od zakończenia wojny – żywej. „U wylotu Karmelickiej kłębił się wielki tłum – czytamy w *Dzienniku*. – [...] Nagle wszyscy ci ludzie (przeważnie młodzież akademicka) zaczęli biec na ulicę Szewską. Uciekali przed czymś, ale widać było, że niebezpieczeństwo nie jest bardzo serio, bo wszyscy mieli miny raczej rozbawione, jak sztubacy, którym udało się spletać figla. Dopiero po chwili zauważyliśmy wielkie, wojskowe auta. Tłum zebrał się zresztą zaraz znowu. Znowu okrzyki [...], a potem nagle strzały.

I wtedy u wylotu ulicy zatrzymał się mały samochód osobowy, z którego wyskoczył oficer UB i zaczął strzelać z parabellum na wszystkie strony w bezbronnych, przerażonych gapiów.

To mnie ruszyło. Wyszedłem na ulicę w momencie, kiedy nadjechała ciężarówka z ciężkim, sprzężonym ckm-em sowieckim. Jedna, druga seria. [...]

Poszedłem na Planty [...]. Na chodniku kałuże krwi, sprzedawca wody sodowej z narożnej budki ustawił się jak wartownik koło tych plam i patetycznym głosem powtarzał: »Ludzie, nie depczcie, to święta krew«.

Emfaza tego ostrzeżenia wydała mi się irytująca i przejmująca zarazem, może właśnie przejmująca dlatego, że ten człowiek naprawdę ją przeżywał.

[...] Widziałem auta z »bezpieką« przejeżdżające tuż, tuż, napchane mnóstwem mundurowych i cywilów, uzbrojonych w pepesze

i nagany. Okropne, zwierzęce mordy. Lufy skierowane na chodniki i bramy. Zupełnie niemiecka rutyna. Wóz hamuje w miejscu na czterech kołach i ci już skaczą, jak kordon, już nagonka.

Na ulicy Szczepańskiej wyciągali ludzi z bram i ładowali na budy. Prawidłowa »łapanka«. W trakcie tego wszystkiego odrodził się znany z okupacji duch solidarności – spontaniczne porozumienie wszystkich ze wszystkimi. W przelocie udzielane ostrzeżenia, pełne oburzenia komentarze” (*D.*, s. 62-63).

Jak zatem realizować program ograniczonego zaangażowania, zgodnego z własnym etosem, z potrzebą zachowania indywidualnego rysu osoby, rytmu, charakteru życia w warunkach niesprzyjających, jak ocalić osobność wobec coraz bardziej zacieśniających się kleszczy systemu totalnego? Najpierw oczekiwanie sprzyjające lenistwu, jak będzie podkreślał w wielu miejscach *Dziennika*, czekanie na druk *Butów* w „Tygodniku Powszechnym”, na odpowiedź w sprawie zatrudnienia w „Głosie Anglii” i towarzyszące temu zaniepokojenie, czy w tak trudnych warunkach przy braku stabilizacji i oparcia, będzie można utrzymać „jakie takie morale”. Prowizorium życia, gorzka świadomość bycia na początku własnej drogi (także zawodowej) z jednoczesną wiedzą potwierdzaną każdego dnia o coraz mocniej domykających się ramach systemu, to doświadczenia męczącej go codzienności. Z jednej strony świadomość nadciągania złych czasów, jakaś ich przejściowość połączona z postawą programowej antypaństwowości (państwowość – zdaniem autora – zostaje po wojnie zdewaluowana poprzez przerost i sztywność formy, wytrącenie tego, co istotowe i znaczące – tj. z miększu wypełniającej ją wspólnoty), z drugiej zaś – ciekawość, chęć uczestniczenia, niezgoda na marginalizację, to dylematy przed jakimi staje Szczepański.

W *Dzienniku* pod datą 11 września 1948 roku możemy przeczytać, że: „[...] normalnie i jak kiedyś układa [się – V.W.M.] plany na przyszłość, to jest to tylko niepojęty objaw adaptacji. Nigdy chyba od zakończenia wojny nie czułem tak wyraźnie jak teraz, że okres ten

jest przejściowy i że znowu czekają nas rzeczy gwałtowne i dziwne, których nie potrafimy obłaskawić wyobraźnią. Ku własnemu memu zdumieniu ciekawość, jaką odczuwam, jest silniejsza niż niechęć i strach. Wiem, że kiedyś postawa ta wyda mi się zuchwała i naiwna, ale petryfikacja obecnego stanu grozi utrwaleniem się tak niemożliwej ciasnoty, że przyszyłoby się udusić prędzej czy później” (*D.*, s. 191). Ale kilka wierszy dalej uwaga o charakterze profetycznym (2 października 1948): „To prawdopodobnie ostatnia już »normalna« jesień przed katastrofą. Znow idą czasy, w których trzeba będzie w jakiś sposób wyrósć [sic!] ponad siebie i borykać się z sytuacjami, do których człowiek nie ma chyba obowiązku dorastać. Nie czuję się wcale mocny i nie jestem już sam. [...]”

Dlaczego człowiek nie ma prawa być po prostu pisarzem, choćby kiepskim? Gdybym był sam, potrafiłbym może zagrać tę komedię i na przykład zagrzebać się w Kasince, żeby o suchych ziemniakach »wykuwać« moją »przyszłość pisarską«. To byłby przynajmniej gest protestu w duchu wielkiej tradycji” (*D.*, s. 192-193).

Budowanie azylu z uporem – częściowe choćby próby – odgrodzenia się od „nudziarstwa” celebrowanego komunizmu, od rzeczywistości, którą polityka wykrzywiała w karykaturę i gdzie zatriumfował pozór, i jednocześnie potrzeba dania świadectwa własnemu niezarliwemu antykomunizmowi – to ważne treści zmagają Szczepańskiego jako obywatela i twórcy. Ochrona imponderabiliów, opór przed uniformizacją – to w istocie również walka o osobistą godność i pisarską osobność.

Intelligenckie dziedzictwo dwudziestolecia międzywojennego, bogactwo postaw, tradycja tamtego dyskursu towarzyszy formułowaniu uwag o możliwej (i pożądanej) formie zaangażowania we współczesność, z czym oczywiście wiążą się i ograniczenia. One z kolei przychodzą z duchem czasów pogardzających szlachetnymi drobiazgami: „Kiedy odejmuje się jednostce prawo i możliwość walki – konstatuje Szczepański 9 sierpnia 1950 roku – nie pozostaje nic innego jak beznadziejny na pozór, pasywny obstrukcjonizm. Ale

wyduje mi się, że w tym leży najmniej smakowity heroizm naszych czasów, żeby chociaż w ten sposób manifestować ważność metod. Żeby bezimiennie przekazać następnym ludziom już nie tradycję (to za wiele), ale znak, dowód, iż nawet nieskuteczna postawa, postawa nie dająca żadnych korzyści była ochraniać i przekazywana jako żelazna porcja na ów tragiczny moment, w którym wyjdzie na jaw, że cel wcale nie uświęca środków” (*D.*, s. 250).

Z drugiej strony odczuwa autor jałowość życia, własną bezużyteczność i bezsilność wynikającą z przekonania o braku umysłowości kontradykcyjnej, zdolnej do zaangażowanego sporu z marksistami, jaki w tym samym czasie prowadzi choćby Stefan Kisielewski (skądinąd z powodów cenzuralnych, ograniczonego), i do podobnie twardej polemiki. Ale do tego potrzebna jest żarliwość, zwłaszcza kiedy współczesność nie jest żadnym chwilowym letargiem, przeciwnie – domaga się ostrej reakcji na „wykwit” zła i dobra o rzadko spotykanych miarach. Ale tej żarliwości właśnie mu brak; wprawdzie czuje, że powinien patrzeć na świat „szerzej” i poddawać krytyce wszystko to, co niezgodne z jego własnym przekonaniem, ale do tego potrzebna jest – jak wielokrotnie podkreśla pisarz – atmosfera „względnej szczerości”, która – i to wie także – nie jest możliwa zwłaszcza od roku 1950. Dylematy inteligenta z przedwojennym rodowodem prowadzą go do przyjęcia, choć nie bez zastrzeżeń, niektórych propozycji marksizmu. Trzynastego marca 1950 roku notuje bowiem: „Wczoraj przeczytałem artykuł Horodyńskiego w »Dziś i Jutro«, który otworzył mi oczy na zasadniczą obłudę mojego stanowiska wobec tzw. nowej rzeczywistości. Ekonomicznie i społecznie marksizm jest nie tylko słuszny, ale i konieczny. Sam artykuł nie jest zresztą wolny od obłudę” (*D.*, s. 235). W uwagach z 18 grudnia 1950 roku pojawia się gorzkie przekonanie o przynależności do pokolenia, które ma być podglebiem dla ukonstytuowania się nowych czasów. Jest tu przewrotnie na gruncie intelektualnym przeprowadzony wywód, ujawniający cały dramat człowieka, który pragnie zrozumieć ducha nowoczesności i zarazem przezwyciężyć w sobie coraz silniejszy opór, wynikający z czystej prak-



tyki systemu, brutalnie i głęboko przekształcającego rzeczywistość i niszczącego po drodze także to, co dobre: „[...] coraz jaśniej widzę, że ta strona ma więcej do dania nowemu światu, który wyłoni się kiedyś, po nie wiadomo jakich bólach. I jeszcze – że ten dzisiejszy prymityw i brutalność są w pewnym sensie potrzebne, a w każdym razie nieuniknione. One organizują i dynamizują całą machinę, a machina musi mieć rozpęd i ten okropny ciężar, żeby przeorać dostatecznie głęboko pole historii. Oczywiście owo »więcej do dania« jest dopiero w potencji. I to jest rzecz najtragiczniejsza. My nie będziemy oglądać prawdziwych plonów. Trzeba jednak zdecydować się na trwanie przy wartościach, które dziś niszczy potworny i potrzebny traktor. Trzeba umocnić się w trudnej wierze, że wartości te muszą być przechowane na potem, i widząc konieczność, nie godzić się mimo to na metody. I jeszcze nie godzić się na pychę materializmu” (*D.*, s. 262). Na marginesie – do wyraźniejszej artykulacji sprzeciwu wobec socrealizmu i zapoznanej wersji sowieckiego marksizmu przyczynia się *Nie Miłosza*, co potwierdza zapis w *Dzienniku* z 1951 roku<sup>4</sup>.

Tonacja *Dziennika* w kolejnych latach zmienia się. Mniej już w nim dywagacji o sensie marksizmu, jego ewentualnej przydatności, a coraz więcej o strategii oporu. Znamienna w tym kontekście jest uwaga z 24 czerwca 1954: „U komunistów wprowadzie cel wyraźnie uświęca środki, ale istnieje i jest to cel typowo idealistyczny. Przeciwnicy komunizmu sądzą naiwnie, że zwalczą przeciwnika jego własną bronią, jeśli też będą używać środków gwałtownych, wybieranych pod kątem widzenia jedynie skuteczności. Tymczasem w braku celu zostają wyłącznie przy środkach. Stąd w rozgrywce, jaka się toczy, jakiś głębszy, moralny sens jest jednak po stronie komunistów” (*D.*, s. 417-418).

<sup>4</sup> Szczepański tuje: „W paryskiej »Kulturze« Miłosz zamieścił artykuł pt. *Nie*, który jest lapidarną krystalizacją tych wszystkich niejasnych sprzeciwów wobec socrealizmu, jakie odczuwam, nie umiając wyrazić ich z dostateczną siłą” (*D.*, 10 lipca 1951, s. 228).

Obserwacja rzeczywistości, podgląd prowincji każe mu skonstatować jednak co innego. Urastająca do absurdu sztuczność oficjalnego stylu bycia, szczególnie obowiązująca w najwyższych rejestrach „obywatelskiej świadomości”, skonfrontowana z mięszmem rzeczywistości, z nagą prawdą życia peryferyjnego i jego spontaniczną, organiczną niemal religijnością, trwaniem przy swoich ciasnych, tradycyjnych sprawach, onieśmiela i zarazem zadziwia pisarza. Szczepański czuje, że już w jakimś stopniu został „uwiedziony” przez marksistowskie sofizmaty i niebezpiecznie zerwał więzi z prostymi prawdami egzystencji, bo jak się wydaje oswoił się z fałszem. Więcej – że jako inteligent czuje się bezradny, zawstydzony, niezdolny do prostoty ekspresji i odbioru świata nie „półgębkiem”, lecz pełną piersią, tak jak to czynią „ludzie prości” – adresat owych radykalnych przemian kulturowych.

Zapis z 19 czerwca 1954 poprzedza obserwację spontanicznych zachowań ludzkiego żywiołu (np. energetycznego śpiewu pieśni religijnych – *D.*, s. 412) i jednocześnie jest znaczącą autoanalizą perfidii marksistowskich sofizmatów, które poprzez wmówienie i codzienną indoktrynację grożą umysłowości inteligenta; innych przykładów w dzienniku jest całkiem sporo – życie z nową władzą traktowane jest przez tzw. lud jak „gniot”, jako coś zewnętrznego, uprzykrzającego codzienność, hamującego naturalną potencję, witalizm i radość: „Oto egzotyka rzeczywistości, egzotyka tworzenia pracowitym nawarstwianiem kłamstwa, tworzenia fikcyjnych mitów o »klasie panującej«, o robotniku z propagandowego afisza i powieści produkcyjnej. Człowiek trzeźwy broni się przed tymi mitami, nie wierzy w nie, ale okazuje się, że im mimowolnie ulega, zapominając, jak wygląda oryginał. A później zobaczenie rzeczy prawdziwej w całej jej zwykłości jest nieprawdopodobnym odkryciem” (*D.*, s. 413).

Inny przykład, kiedy „reakcjonizm” jako typ postawy światopoglądowej kompromitowanej przez marksistów na próbę wystawia nie

kto inny, jak trzeźwy „tubylec” (góral) związany organicznie z ziemią i tradycyjnymi czynnościami przenoszonymi przez pokolenia.

Tym razem góral sprzedający ser (gdzieś w drodze między kolejnymi wspinaczkami pisarza) mówi coś, co znacząco wzbogaca autorską optykę, nadto wprowadza do monologu narracyjnego Szczepańskiego inne głosy – głosy innych wspólnot i środowisk: „Sprzedając nam bundz – notuje autor – odkroił kawałeczek i schował do woreczka, »bo to z mojej baczki«. Rozgadał się z nami i psioczył na stosunki, ale pocieszył się, że »oni się miną, bo oni som ptoki, a my pnioki«. Zastrzelił mnie tym, bo to jakby motto do moich *Portek Odyssa*. Motto bardzo niepokojące w swoim bezkompromisowym konserwatyzmie. Nie zdawałem sobie sprawy, że czemuś takiemu dają wyraz. Oczywiście mam sentyment do »pnioków«, ale racja nie jest po ich stronie. Racja powstaje dopiero z konfliktu i my jej jeszcze nie widzimy. Irytujące jest tylko to, że zasługę z całego procesu mają jednak wyłącznie »ptoki»” (*D.*, s. 425).

A i owoc owego konfliktu pojmowanego jako dziejowa konieczność – nowych klas społeczeństwa bezklasowego – nie zachwyca. Okazuje się bowiem, że to, co miała przeorać modernizacja, przetrwało mimo wszystko w karykaturalnym, snobistycznym wariacie w przedstawicielach inteligencji „z awansu”. Tę nową inteligencję, w głównej mierze techniczną, cechuje pretensjonalność, śmieszność pozy wielkowiejskiej, naiwność objawiająca się w niekłamanej szczerości wypełniania z emfazą elementarza inteligenckiej kultury. Abecadła, które z kolei dla wychowanych na nim od pokoleń jest po prostu zbiorem treści banalnych i bałamutnych. Paradoksalnie bowiem im silniej rugowano z życia społecznego etos mieszczański, pisze Szczepański, tym intensywniej zaszczepiał się on w środowisku beneficjentów z awansu, który umożliwił komunizm. To na marginesie jednak nie jedyna sprzeczność; *Dziennik* znakomicie egzemplifikuje mijanie się teorii z praktyką codzienności, bezlitośnie zresztą demskując zwłaszcza ową praktykę.

Lata 50. upływają Szczepańskiemu na konstataowaniu współczesności i analizowaniu jej symptomów. Ten stan trwa mniej więcej do roku 1955. To, co wówczas go intryguje, w istocie dotyczy kwestii: na ile można usprawiedliwić marksizm jako światopogląd i jako praktykę dnia codziennego, co jednocześnie nie przeszkadza mu podkreślać, jak bardzo jest jednowymiarowa i ograniczona sama doktryna w teorii. Ten rodzaj racjonalizmu kreującego wykalkulowany byt sprawia, że nie ma w nim miejsca na przygodę ducha – jego treścią, staje się trwożna nuda i substytutywność, nie mieszczą się w nim przede wszystkim sprawy, wokół których warto by organizować życie – konkluduje pisarz.

Szczepański będzie wielokrotnie także powtarzał, że religie, idee, wielkie metafizyczne narracje mają jedną niepodważalną zaletę – dają szansę na poryw duszy, tym samym czyniąc sensownym akt poświęcenia; jedynie marksizm jako zamknięta doktryna takiej szansy nie daje. Wszystko to utwierdza go z czasem w przekonaniu, że racja jest po jego stronie.

Kontemplujący świat pisarz, poszukując jego ukrytego sensu zdaje się mieć gorzką świadomość tego, że z jednej strony nie może poddać się presji *novum* i autentycznie, z żarliwością jakiej wymagają komuniści zaangażować się, z drugiej zaś – nie stać go na aktywny opór. Zapewne za wiele towarzyszy temu niepewności, może za mało i odwagi, by podjąć ryzyko osobności? Stan ten stwarza poczucie jakiegoś unieruchomienia, skostnienia, czemu towarzyszy nadto bolesne doznanie zawężenia perspektywy i męczące ograniczenie.

Życie jest więc dlań jak „mielizna” – to zapadanie się i chwilowe wznoszenie z pełnym poczuciem izolacji – izolacji pogłębianej wskutek utraty wiary i religijności; to również jakaś forma bezdomności.

Wszystkie trudne do wysłowienia doznania i emocje wypełniają egzul autora dziennikowych zapisów. Jeśli dodamy do tego jeszcze świadomość, że establishment kulturalny, a nawet pisarze rówieśnicy Szczepańskiego mogą wyjeżdżać za granicę i korzystać ze

swojej uprzywilejowanej pozycji, jaką daje udział w socu – to przyszłość jego samego z perspektywy lat 50. nie wygląda zachęcająco. Szczepańskiemu – wahającemu się, niszowemu ideowo, wypieranemu z życia, niewiele lub zgoła nic nie zostaje. Oczywiście – zostaje egzystowanie na marginesie i obrzeżach; ma ono jednak charakter wyobcowujący. Wszelkie wahania i wątpliwości bowiem z perspektywy władzy uznawane są za przejaw zdrady i automatycznie skazują na jakąś postać banicji. Na rodzaj psychospołecznego wygnania, porównywalnego z emigracją pełną, powiazaną z geograficznym oddaleniem i radykalną zmianą życia prywatnego.

Wreszcie rok 1955 (w związku z publikacją w „Nowej Kulturze” 1955, nr 34 *Poematu dla dorosłych* Ważyka) przynosi pewną zmianę. Szczepański czuje powiew świeżego powietrza. Ostry przebieg spotkania, którego kanwę stanowił utwór Ważyka, a w którym to udział wzięli pisarze i establishment, wart jest odnotowania. Uwaga zapisana już 4 października ma bowiem rys profetyczny: „Jak ludzie raz powąchają swobody, zaczynają smakować w odwadze czy choćby się na nią snobować. Wtedy można się z nimi uporać tylko administracyjnie, ale tego w dzisiejszej sytuacji nie da się zrobić. I oto fronda wyrasta z samej partii, zjawiska przybierają charakter spontaniczny, ludzie zaczynają przywiązywać wagę do swoich sądów i swojej godności. Niewątpliwie jesteśmy świadkami rodzącego się przewrotu” (*D.*, s. 573).

Są i tego niebagatelne konsekwencje: 10-lecia PRL-u nie udaje się „godnie” uczcić. Artyści już nie chcą upubliczniać prac w socrealistycznym duchu, ale jeszcze nie wiedzą na co mogą sobie w istocie pozwolić. Dlatego zapewne 21 października 1955 roku Szczepański napisze, że: „Polska jest obszernym polem walki, pełnym niezwykle skomplikowanych frontów, gdzie po cichu i często prawie niewidocznie wojuje się już nie tyle o ideologie, ile o podstawowe przywileje ludzkiego umysłu, takie jak choćby prawo do samodzielnego myślenia” (*D.*, s. 576-577).

*Casus* kolejny: dyskusja wokół *Obrony Grenady* Kazimierza Brandysa wyraźnie irytuje. Ale nie tylko. Nietrudno nie dostrzec, że Szczepański z coraz większą intensywnością i konsekwencją osądza pierwsze 10-lecie PRL-u oraz udział w nim „wściekłych” marksistów, a z pewnością pisze o tym z większą niż dotąd otwartością i jednoznacznością. Jego diagnoza nie pozostawia bowiem wątpliwości co do udziału większości pisarzy z ZLP w socrealistycznym projekcie estetycznym, słowem – konstatuje fakt, jak „wściekli” przemieniają się w marksistów „potulnych”: „Odwilżowi marksieści – pisze Szczepański 6 lutego 1956 – zachłystują się tym, robią z tego sztandar odwagi. Lem też dał się nabrać. Dla mnie to jest zakłamanie tak zwielokrotnione i tak nawarstwione, że staje się autonomicznym światem, niewiele mającym wspólnego z doświadczalną rzeczywistością. Może to jest specyficzna postać talentu – umieć stwarzać tego rodzaju moralne fikcje. Tchórzostwo, karierowiczostwo, cynizm – wszystko to przedstawione zostaje jako »czysta ofiara« na ołtarzu religii. Tępota eksploatujących kulturę »czynników«, ta chytra tępota wyposażona została w cechy jakiejś udrumantyzowanej wielkości. Z płaskiej farsy robi się klasycyzującą tragedię. Majestatyczne fałdy, załamane dłonie, kamienne oczy. Wazelinarz włazi na cokół” (*D.*, s. 593).

Z kolei tajny raport Chruszczowa rodzi pytania: dlaczego teraz został ujawniony? Dlaczego Chruszczow właśnie (specjalista od deportacji) a nie kto inny – zastanawia się Szczepański – i jaka jest stawka tej rozgrywki, jakie personalne „kombinacje” za tym stoją? Odpowiedź pojawia się stosunkowo szybko, bo już 26 marca pisarz notuje: „To, co się dzieje w Rosji, wygląda na samozatrucie kłamstwem. Owo »wielkie oczyszczenie« budzi co najmniej podejrzliwość. Ci sami ludzie, ten sam Chruszczow, który deportował miliony Polaków. I zło nie jest piętnowane jako zło, ale jako błąd. Równocześnie w »szczerych« wypowiedziach prasy nadal czuje się staranną reżyserię. Całą pomysłowość wkłada się w naznaczenie linii podziału między dezaprobatą partyjną a dezaprobatą i oburzeniem tych wszyst-

kich, dla których zawsze zbrodnia była tylko zbrodnią. Jedyne partie ma rację w swojej krytyce i ma prawo do krytyki. Inni są reakcjonistami, zacierającymi oblesnie ręce i lubującymi się swoją *Schadenfreude*. Kreuje się wielki dramat sumienia, ale bez udziału sumienia. Bo »sumienie partyjne« jest nadal narzędziem taktyki” (*D.*, s. 606).

Niniejszą konstatację potwierdzają znacznie późniejsze spostrzeżenia już z polskiego podwórka: poznański Czerwiec, dojście Gomułki do władzy, powstanie węgierskie (zaledwie kilka zapisów, ale zarazem i parę celnych uwag). Nadal z dużą rezerwą odnosi się pisarz do rzeczywistych intencji władzy. Drugiego lipca 1956 pisze: „Charakterystyczne są oficjalne wypowiedzi. W pierwszej chwili mówiło się o »tragicznej pomyłce« wykorzystanej przez »prowokatorów«. Teraz już tylko »prowokatorzy«, »faszystowscy bojówkarze« i »męty«. A Moskwa oświadcza wprost, że za amerykańskie dolary. Prasa otrzymała cichy nakaz wstrzymania krytycznych artykułów. Będziemy mieli nową sielankę pod żelazną pokrywą” (*D.*, s. 626). Dalej (8 lipca) czytamy: „W prasie wciąż »oburzone głosy« robotników na Poznań, »spontaniczne« potępienia i czyny produkcyjne. Ten ustrój nie jest zdolny patrzeć prawdzie w twarz, bo ma fałsz u korzenia. Myśl, że właśnie tamto było prawdziwym głosem klasy robotniczej, jest niedopuszczalna i konsekwentnie nie dopuszczana, bo burzy całą teorię. Więc dla teorii stwarza się rzeczywistość zastępczą” (*D.*, s. 627).

W tym samym duchu wybrzmiewają uwagi wcześniejsze, konsekwentnie i bezlitośnie demaskujące fałsz życia elit – 9 kwietnia 1956 Szczepański notuje: „Artykuł Machejka w ostatnim »Życiu« demaskuje mentalność uczciwego partyjniaka. Nie twierdzi, że nie słyszał o łagrach, deportacjach i reżyserowanych procesach, myślał jednak, że to konieczne, więc »podporządkowywał się dyscyplinie«. Powodem »trzęsienia ziemi« nie są fakty, tylko ujawnienie ich zbędności” (*D.*, s. 609). Trzynastego kwietnia 1956: „Byłem u Lema. Powiedział: – Rok temu ty byłeś na tych samych pozycjach co teraz, a ja byłem bardzo czerwony. Dziś jesteśmy na tych samych pozycjach. Wszystko dzięki zręcznej polityce KC. Zrobili wreszcie front narodowy.

To jest prawda. Dziś można już gadać z prawie każdym. Przede wszystkim wyszła na jaw cała pustka wszelkich sofizmatów, mających uzasadnić rzekomą celowość »gniotu«. Kategorie etycznego wartościowania niezmiernie się uprościły. Dziś nikt nie wstydzi się mówić o prawdzie” (*D.*, s. 611).

Mielizny rzeczywistości zdają się nie mieć dna, bowiem 22 kwietnia 1956 zapisuje i to: „*Clou* wszystkiego było przemówienie Grzegorza Lasoty, w którym stwierdził, że gadanie o »przełomie« i »wstrząsach« partyjnego sumienia jest mydleniem oczu. »Wszyscy wiedzieliśmy doskonale o łagrach, sfabrykowanych procesach, deportacjach itd. Niech Kruczkowski nie udaje niewiniątka. Któż jak nie on pisał w [19]37 roku w »Wiadomościach Literackich« o procesach moskiewskich? To wtedy wiedział, a później nie wiedział? Jak to możliwe? Wiedzieliśmy, ale równocześnie budowaliśmy socjalizm. I dlatego z całą świadomością musieliśmy kłamać” (*D.*, s. 615).

Naturalną konsekwencją wcześniejszych spostrzeżeń będzie więc i ta konstatacja, wyraz skrajnego sceptycyzmu (z 23 kwietnia 1956): „W ciągu tych paru tygodni, które upłynęły od warszawskiej awantury, »bunt« został oswojony i niejako »upaństwowiony« czy »upartyjniony«. Kombinatorzy i wazelinarze wiedzą już dokładnie, jakich zuchwałych słów można używać bezpiecznie i jakimi parawanikami się zasłaniać. To wszystko już idzie bez ognia. Wykrzykują na KC i na Bezpiekę, a wszystko grzecznie i »po linii«. Przede wszystkim zaś załatwiają swoje drobne porachunki. Temu nie wydali, tamtemu odrzucili. [...] Bardzo żałosne” (*D.*, s. 620).

Zresztą dobrego zdania o warszawskim środowisku ZLP nie miał Szczepański i wcześniej, wystarczy przypomnieć jego inne uwagi<sup>5</sup>,

<sup>5</sup> Zob. o środowiskach twórczych w PRL-u m.in.: Krzysztof Woźniakowski, *Między ubezwłasnowolnieniem a opozycją. Związek Literatów Polskich w latach 1949–1959*, Kraków 1990; Joanna Bikont, Joanna Szczęsna, *Lawina i kamienie. Pisarze wobec komunizmu*, Warszawa 2006; Andrzej Krajewski, *Między współpracą a oporem. Twórcy kultury wobec systemu politycznego PRL (1975–1980)*, Poznań 2004;



choćby tę z 31 października 1954: „Widziałem w stołowie literatów trochę tej osobiwej »elity«, która reprezentuje rzeczywistość oficjalnie, nie biorąc w niej żadnego udziału i żyjąc w jakimś luksusowym getcie, gdzie przemyślnie skonstruowane pozory swobody zastępują izolacyjne materace. Dyskutuje się tu głośno o artykułach z paryskiej »Kultury«, z ironią wypowiada się frazesy, które potem ciekną spod piór bez żadnej żenady. Magdalena Samozwaniec przechwalała się, że zjadła ostatnio obiad za 1 000 zł. Koźniewski, który do niedawna nie poznawał mnie, teraz ścisnął mi kordialnie dłoń (recenzja w »Nowej Kulturze«). Wszystko to jest podobno zwyczajne i normalne w tym środowisku” (*D.*, s. 436).

Wcześniej – 8 października 1954: „Życie u nas przypomina coraz bardziej wegetowanie gąsienic, sparaliżowanych ukłuciem osy. Żyje się. Z własnych myśli, z własnych pragnień nie robi się użytku, bo nie ma jak.

Wczoraj i dziś byłem na dwóch zebraniach sekcji Związku. Jałowiżna tych zebrań przekracza wszystko, co można wyrazić. Jesteśmy już wszyscy wysterylizowani. Nikt nawet nie sili się, żeby mrużyć oko na slogany. Nowa kultura zaczyna ustalać się w jakimś doskonałym konwencjonalizmie, który może trwać wiekami, jak styl Bizancjum. Ale jednak nie chce się w to wierzyć” (*D.*, s. 376).

Odwilż była niewątpliwie momentem działającym ożywczo na środowiskowe elity, szczególnie jeśli porównamy odczucia Szczepańskiego z wczesnych lat 50. z późniejszymi. Wyrażna jest jednak

---

Andrzej Werner, *Wina niewinnych i niewinność winnych. Rzut oka na związki polityki z literaturą i literatury z polityką w PRL*, w: *Sporne postaci polskiej literatury współczesnej*, pod red. Aliny Brodzkiej, Warszawa 1994; Andrzej Walicki, *Zniewolony umysł po latach*, Warszawa 1993; *Artyści a Służba Bezpieczeństwa. Aparat bezpieczeństwa wobec środowisk twórczych. Materiały konferencyjne*, pod red. Roberta Klementowskiego, Sebastiana Ligarskiego, Wrocław 2008, tu szczególnie trzy artykuły: Jacek Łukasiewicz, *Twórca w systemie komunistycznym*, s. 13-24; Konrad Rokicki, *Kształtowanie się opozycji w środowiskach literackich w latach 1956–1968*, s. 25-42; Andrzej Zawada, *Pisarz w PRL czy pisarz PRL? Uwagi na marginesach biografii Jarosława Iwaszkiewicza*, s. 43-50.

pewna stałość zachowań konformistycznych, a przy tym lepiej może być rozumiane pisarskie „outsiderstwo” autora *Butów*, mimo zaangażowania we wszystko to, co na nowym gruncie społecznym przynosi system, z zastrzeżeniami przeciw. Wejdźmy jeszcze głębiej w okres stalinizmu – nota z 1 czerwca 1953: „Na sekcji prozy w Związku występowałem dziś jako jedyny nie-marksista. Już od czasu procesu krakowskiego czuję w Związku rodzaj uprzejmego bojkotu. Ten chłód pogłębia się z każdym tygodniem. Człowiek siedzi na zebraniach jak zaraźliwie chory – naokoło pustka, oczy odwracają się z zakłopotaniem” (*D.*, s. 347). Ale dwa lata wcześniej – 13 października 1950 – formułuje zastrzeżenia wobec swoich środowiskowych sprzymierzeńców, wypominając im brak odwagi, by wyraziście formułowali sądy, nie skrywali się pod zgrabnymi i nie mówiącymi nic sofizmatami: „Wreszcie wczoraj byłem na walnym zebraniu oddz.[iału] Zw.[iązku] Literatów, na którym przemawiał Putrament. Stawiał różne konkretne propozycje, widać było, że jest bardzo żywo zainteresowany przewyciężeniem literackiego impasu.

W dyskusji zabierali głos Kwiatkowski, Zagórski, Flukowski, Wirski i inni. Omijając starannie istotne kwestie, czepiali się drobiazgowo, wysuwali własne urazy. Skończyło się na tym, że Polewka (z głębą obwiązaną szalikiem) wyjechał ze wszystkimi gazeciarskimi sloganami o walce klas, rozkładzie burżuazji i agresywności Zachodu. Putrament, zniechęcony plotkarskim charakterem innych wypowiedzi, przypieczętował to jeszcze paru bojowymi okrzykami. Mimo wszystko jego postawa budziła bez porównania więcej szacunku niż wywijasy układnych »opozycjonistów« czy też »wazelińskie« potakiwania takich pajaców jak Otwinowski. Widać było, że wierzy, że wie, o co mu chodzi, i że żarliwie pragnie osiągnięcia swoich celów. Poza tym jest w tym wszystkim sporo racji. Czuję, że muszę się nauczyć patrzeć na świat szerzej i podejmować uczciwie sprawy sprzeczne z moim osobistym interesem. Żebyż tylko można to było robić w czystym powietrzu szczerości. Ale o tym nie można nawet marzyć” (*D.*, s. 255-256).

I kolejny trafiający w istotę rzeczy obraz, interesujący jako rejestracja autentycznego zdarzenia rozgrywającego się w warunkach pełnej kontroli dyskusji. Chodzi o perswazję na rzecz socrealizmu odwzorowywanego na literaturze radzieckiej, o persfazję niepozabawioną wszakże swoistego humoru sytuacyjnego. Po spotkaniu w sekcji prozy oddziału krakowskiego Związku Pisarzy (28 listopada 1951) w *Dzienniku* Szczepański zapisuje: „W dyskusji nikt nie chciał zabrać głosu – wreszcie Kurczab zaczął głądzić, że powinniśmy wnikać w rzeczywistość i zbliżyć się do robotnika i chłopca. W trakcie tego wszedł na salę Skoneczny, mocno zalany. Siadł sobie w kącie, a kiedy Kurczab skończył, podszedł do stołu i powiedział: »Ty, Kurczab, po co ty się wygłupiasz? Co ty pleciesz za bzdury? To są wszystko idiotyzmy. Co ty wiesz o rzeczywistości? W sanacyjnej Polsce mieliśmy kontakt z rzeczywistością. Teraz co? Czy tobie robotnik albo chłop coś powie? Przecież my siedzimy w getcie. W getcie bez pieniędzy. Ja sam jestem chłop, a dzisiaj nie dogadam się z chłopem. Nie rozumiem go. Co wy wypisujecie w tych waszych piśmiślach? O skupie ziemniaków, o skupie zboża! Idźcie z tym do chłopca».

Wpadł w wenę i zaczął wszystkich po kolei rozrabiać. Otwinowskiego, że oportunistą i lizus, krytyków z »Życia«, że gówniarze, którzy tylko nauczyli się formułek. »Myślicie, że się boję?«, mówił. »Niech mnie wyrzucą z partii. Sram na to. Będę sobie kozę doil i wszystko mam gdzieś«. Gadał tak przeszło godzinę, a na zakończenie, bijąc pięścią w stół, krzyczał: »Kochani, ja was proszę, ja was błagam, piszcie prawdę!«.

Oczywiście na trzeźwo nie powiedziałby tego wszystkiego, ale myślę, że po pijanemu wielu marksistów mogłoby wystąpić podobnie” (*D.*, s. 298-299).

## Korowody z cenzurą

Słowo „czekanie” należy w dzienniku Szczepańskiego do kluczowych, ono bowiem staje się w nim osnową, na której autor tka swoją raptularzową opowieść. Czekać, jeśli się jest człowiekiem młodym, może i nie jest niczym szczególnym – perspektywa życia jest przecież zachęcająca, potencjalnie też autor ma czas na zrealizowanie własnych pomysłów i zdefiniowanie osobnej twórczej drogi. Staje się jednak groźne, jeśli przeradza się w męczące poczucie niemożności, której źródła leżą nie tylko w osobistych skłonnościach czy psychicznych kompleksach, ale i wynikają z zewnętrznych presji, ograniczeń, restrykcji, wszechwładztwa polityki, która bezlitośnie wdziera się w prywatność i organizuje życie nie na miarę potrzeb indywiduum. W efekcie owo niekończące się czekanie rodzi zniecierpliwienie i prowokuje decyzje, które wystawiają całe jestestwo podmiotu na groźbę nudy i poczucia nieważności, na dramat życia poniżej własnych możliwości i pisarskich aspiracji. Dnia 17 stycznia 1947 roku pisze Szczepański: „Czasem zdaje mi się, że przyjdzie taki moment, że nie będę już umiał na nic czekać i wtedy zadowolę się byle czym. Przyjmę pierwszą lepszą głupią posadę, ożenię się z pierwszą lepszą panną i będę się interesował tylko konkretnymi potrzebami życiowymi. Może to właśnie będzie moment dojrzałości. Łapię się teraz ciągle na tym, że spotykając ludzi, na których mi zależy, mam ochotę ich prosić: poczekajcie i wy, ja jeszcze potrafię coś zrobić, być kimś, kogo warto znać. Jeszcze trochę cierpliwości” (*D.*, s. 99). I dalej – 1 lutego 1948 roku – dopowiada niejako: „Czuję teraz wyraźniej niż kiedykolwiek, że wszystko, co mi się przytrafia, to prowizorium” (*D.*, s. 173).

Życie to pisanie – zdaje się myśleć Szczepański i robi wiele w tym kierunku, by pisarstwo stało się zasadniczym zrębem jego egzystencjalnej aktywności. Analizuje własne skłonności, przez ludzi i krakowskie instytucje stara się być jak najbliżej nawet doraźnych

i mało satysfakcjonujących zajęć, które mogą go jednak związać z zawodem.

Fragmety dziennika również składają się z uwag o potrzebie wykształcenia własnego stylu narracji, korektury „letniości” czy powierzchowności wyводу (1 maja 1950): „Powołanie pisarskie to chyba raczej paszport na trudno dostępny spektakl, z którego trzeba robić recenzję, żeby ludzi zachęcić do wysiłku dostania się na niego. Jeżeli nawet je mam, nie wiem jeszcze, gdzie idzie ta sztuka!” (*D.*, s. 240).

Nie stroni pisarz od zachowań konformistycznych, mają być one kosztem (ale dopuszczalnym) tego, by móc komunikować się z jak najszerszym kręgiem czytającej publiczności. Tym kosztem ma być zatem świadome unikanie tematów niecenzuralnych, a zyskiem – próba publicznej wypowiedzi o charakterze interwencyjnym. Do strategii „wyczekiwania” należy więc dodać taktykę „omijania” tematów niecenzuralnych (mniej więcej chodzi o okres 1946–1950). Autokorekta (wskutek niesatysfakcjonujących efektów) pojawia się wraz z postanowieniem 29 maja 1951: „Pisanie »pod cenzurę«, choćby się było nie wiem jak pozytywnie ustosunkowanym do rzeczywistości, może dać w efekcie tylko kłamstwo – w najlepszym razie stylizowane półprawdy. Pisarz godzący się na to nie jest wart nawet wątpliwego zaszczytu, jakim jest miano pisarza. Tylko literatura powstająca w warunkach zupełnej wewnętrznej niezależności może dać artystyczne świadectwo swojej epoce, może kusić się o wyciągnięcie wniosków z jej ludzkich doświadczeń. Nie wyobrażam sobie innego rejestrowania pozytywów tej epoki, jak tylko w kontekście jej minusów. Cała »mobilizująca« blaga, już teraz pozbawiona jakiegokolwiek siły, w przyszłości będzie kupą jałowych plew.

Rzeczywistym zobowiązaniem pisarza wobec terażniejszości jest obiektywna ocena. I trzeba się tu zdobyć na decyzję pisania tak, jakby się pisało bez żadnych politycznych nacisków. Zdaje mi się, że podjąłem nareszcie szczerze tę decyzję. Widzę teraz, że dotychczas nie wykorzystałem mojej szansy człowieka piszącego »do szuflady«.

Mimo wszystko unikałem tematów »niecenzuralnych«. Będę próbował nie unikać ich nadal. To jest już program i postawa. To jest użyteczność istotniejsza niż ta doraźno-propagandowa” (*D.*, s. 282).

Pojawia się również niezwykle ważna uwaga o dewastacyjnym charakterze autocenzury (rujnującej kreatywność) i niszczyielskim konformizmie nawet w dobrej wierze i ze szlachetnych pobudek ratowania tego, co najcenniejsze. Ciekawe, że im bardziej socrealizm totalizuje życie literackie, tym bardziej Szczepański znajduje w sobie siły, by dać mu odpór. To automatycznie skazuje go na marginalizację i wypchnięcie z literatury (21 sierpnia 1952): „Zdaje mi się, że przełamałem już tę podświadomą ostrożność, która kazała mi się w pewnym stopniu liczyć jeśli nie z samym cenzorem, to z czymś daleko mniej uchwytnym, niemal freudowskim. Obecny system powołał w samym sercu człowieka urząd cenzora. Teraz nie będę już sam siebie oskarżał obłudnie o wsteczność. Ocenianie życia miernikiem praktycznego i taktycznego realizmu równa się niedocenianiu powag życia” (*D.*, s. 321).

Po dwu latach mówi już wprost o własnej bezdomności (również pisarskiej) i tych twórców, podobnych do niego, którzy w warunkach zalecanego socu i „nowej wiary” mają za mało tej wiary, by funkcjonować zarówno wewnątrz mainstreamowego nurtu kultury, jak i za dużo, by być poza nim; cóż zatem pozostaje? Pozostaje męczące „pomiędzy” inteligenta, którego umysł nie jest skłonny przyjąć nie tylko marksizmu w jego praktycznościowej wersji, ale także i chrześcijaństwa bez zastrzeżeń, szczególnie w kontekście ekspansji historiozofii progresu. „[...] uświadomiłem sobie smutną, zawstydzoną bezdomność tych wszystkich (i swoją też), którzy nie przyjmując marksizmu, za mało mają prostoty, aby oprzeć się na nieprawdopodobieństwach tradycyjnej wiary. Piękny mit Chrystusa tak naiwnie brzmi w zestawieniu z chytrym, przyziemnym mitem materializmu dziejowego” – pisze 21 stycznia 1954 (*D.*, s. 391).

Z czasem mniej i najmniej udane realizacje literackie zespala bolesne doświadczenie alienacji i niespełnienia, porusza do głębi.

Jeśli się jednak czyta *Dziennik* pisarza z lat 50., należy także brać pod uwagę konkretny moment historyczny, kontekst, w jakim słowa Szczepańskiego padają, co niewątpliwie staje się pomocne w rozumieniu jego ówczesnych odczuć i intencji. Chodzi Szczepańskiemu o poczucie dyskomfortu wynikającego głównie z nachalnej modernizacji nieliczącej się z kosztami, mającego źródło w fałszu organizacyjnym zbiorowego życia i ideologizacji w kulturze, która miała pełnić rolę propagandowej dźwigni owej modernizacji orientującej się na zmianę. A mimo to, choć z dużym trudem, Szczepańskiemu udaje się zachować czystość myśli. Dnia 13 marca 1954 roku notuje w dzienniku: „Trzeba geniuszu na to, żeby wyrażać zwykle prawdy. I trzeba geniuszu, żeby samotność była płodna. Ale można poświęcić się przechowywaniu tradycji. I na to nie potrzeba geniuszu, tylko wierność zwykłym prawdom. Uczciwości w ich wyborze. Na to, by geniusz miał grunt pod nogami. Tysiące bezimiennych miłośników surowej prawdy musi nieustannie czuwać, aby nie pożarła jej rdza pozorów” (*D.*, s. 400). „I tworzenie, zwłaszcza pisanie, jest rozpaczliwym wysiłkiem dotarcia do czegoś stałego, na czym można się oprzeć przeciwko mijaniu, przeciwko pozorom, przeciwko nieważności wszelkich własnych poczynań” – zapisuje Szczepański 20 września 1954 (*D.*, s. 429). „Pisanie jest najtrudniejszą rzeczą pod słońcem. Ta niesamowita pokusa, żeby zawsze obejść łatwiejszą drogą, żeby zrezygnować z wyrażania rzeczy niewyraźnych. A przecież w świecie ludzkich przeżyć wszystko, na dobrą sprawę, jest niewyraźalne!

Trzeba biedzić się w magazynie zastępczych symboli, przybliżeń, podobieństw i stale strzec się, żeby nie użyć falsyfikatu. A najgorsza sprawa, że to nie ogranicza się wcale do samego pisania. Trzeba jeszcze ponadto przeżyć – przeżyć na zawołanie, dokonać całego tego wysiłku, jakim jest wyprowadzenie elementarnego uczucia z załączka i puszczenie go, niby pnącej rośliny po drabinie z urojonych faktów. [...]

Wracając do przeżywania, to wymaga ono wysiłku, nawet kiedy rozwija się »prywatnie« i naturalnie, bez pisarskich celów” – kon-

statuje autor dowodząc, że zupełnie nie mieści się z własną estetyką w latach 50. (*D.*, s. 570-571).

Kryzys nie mija, a nawet pogłębia się jeszcze mimo oznak odwilży (23 sierpnia 1955): „To, co robię z zakresu »pisarstwa«, właśnie wisi w pustce. Piszę same rzeczy niecenzuralne, ale nie łączę z tym nawet awanturniczych ambicji, żeby wydać gdzieś za granicą, żeby tym walczyć. Bo prawdę powiedziawszy, to nie jest żaden konkretny program walki. To jest kręcenie nosem. Ci, którzy decydują się na obłudę, żeby pomóc przynajmniej temu, co w rzeczywistości wydaje im się cenne i z widokami na przyszłość, mają przynajmniej szanse czuć użyteczność swojej pracy. Moja praca jest zupełnie nielogiczna. Nie umiem inaczej – ale czy ten mus pisania oznacza jakąś misję? Niestety, coraz bardziej w to wątpię” (*D.*, s. 564).

W kilka miesięcy później dopowiada (15 grudnia 1955): „Zaczynam w ogóle żywić całkiem zasadnicze wątpliwości co do mojego pisania. Mimo że rozumiem to dobrze i zawsze się przeciw temu zastrzegałem – wchodzę w fazę »zawodowstwa«. W praktyce żyję z pióra i dążę do tego, żeby z niego wyłącznie żyć. Kiedyś nie mogąc spać w nocy, powiedziałem sobie, że jeżeli nie zdobędę się na trud wypowiedzenia jakiejś mojej, istotnej prawdy – to szkoda się bawić i nawet więcej: to wstyd i hańba pisać. Gdzież ta moja istotna prawda?

W tej chwili polega ona na tym, że w nic naprawdę nie wierzę, że jestem bezradny, zbłąkany, słaby i nawet niezdolny do sformułowania ważnych pytań. Chętnie zrezygnowałbym z wszelkiego *au courant*, z politycznej intuicji i nawet z uroków dobrze opanowanego rzemiosła, gdybym miał wewnętrzną pewność, że jest we mnie coś, co może być moją daniną, co może się ludziom przydać – jeśli nie dziś, to choćby za dwadzieścia lat. Ale tej pewności mi brak. Jakież są moje problemy? Pokusa metafizycznego ujmowania życia, hamowana tchórzliwie rozsądkiem człowieka »trzeźwego«. Żaloszna rozterka każdego średnio czytanego głuptasa” (*D.*, s. 585). Nadto dodaje: „Marnuję masę czasu, a to, co wydobywam z siebie, to są zaledwie znaki umowne uczuć i myśli. Żadnej pasji, żadnego



wzruszenia. Powiniennem jakoś wleźć znowu w życie, zaangażować się w coś, na czym pisanie mogłoby się pożywić” (*D.*, s. 586).

Dzięki zelzeniu cenzury, szczęśliwemu zwrotowi w wielu sprawach osobistych i zawodowych w związku z nastającą odwilżą, udaje się Szczepańskiemu odnaleźć istotę własnego powołania, a właściwie powrócić do początków, do intuicyjnie rozpoznanego celu i sensu, by być pisarzem świadectwa – stąd powrót do kontynuowania *Butów*. Być może po raz pierwszy tak intensywnie i zdecydowanie udaje mu się wyrazić potrzebę dania świadectwa trudnej prawdy o Armii Krajowej i w tym rozpoznać sens własnego życia. Pod datą 4 marca 1956 roku czytamy bowiem: „Teraz po jedenastu latach odkrywa się krzywdę wyrządzoną tym, którzy »zgrzeszyli« walką z okupantem. Aż dziwnie, jak człowiek przywykł do krzywdy. Ona się już prawie zabiłiżniła, ale to jest taka blizna, która jeśli nawet nie boli, to unie-możliwia na zawsze szczery udział w tym, co po jej drugiej stronie powstaje i rośnie. Dziś odczułem to bardzo wyraźnie. Nie tylko moje pojmowanie sensu życia zamyka mi drogę do »nowej rzeczywistości«. Może jeszcze istotniejszą, chociaż nie dostrzeganą już przeskodą jest tamten dawny uraz. To jest wielki temat. I jeżeli obowiązek pisarza wobec jego czasu ma zostać spełniony (po co obwijać w bawełnę – jeżeli ja chcę spełnić mój obowiązek), to powinna zostać napisana o tym książka. Ja powiniennem ją napisać” (*D.*, s. 602).

Ale gdy przychodzi okres względnej stabilizacji i pierwszych sukcesów, dopada Szczepańskiego szczerza do bólu myśl, świadcząca pośrednio i o tym, że konsekwentnie wypełnia postanowienie, którego intencję skonkretyzował w pierwszym dziennikowym zapisie, by nie być wobec siebie nieszczerym (21 listopada 1956): „Sytuacja psychiczna po sukcesach Gomułki teraz lepsza, ale jakoś nadal trudno patrzeć z daleką perspektywą. Wytworzył się pewien nawyk leniwego wyczekiwania. Nic mi nie idzie. [...] I oprócz wszystkiego poczucie własnej obłudy. Tak się człowiek robi szanowany, szlachetny, a w środku ciepła herbatka. Nie chce się myśleć o rzeczach

naprawdę ważnych. O Bogu. Jakoś wykręcić się przyzwoitością. Ani zerwać, ani związać. Ani tu napisać. Zajrzeć do siebie, co tam właściwie jest – nie chce się. I lenistwo, i strach” (*D.*, s. 656).

*Dziennik* z lat 1945–1956 Jana Józefa Szczepańskiego jest rzeczywiście dramatycznym, a w wielu miejscach przygnębiającym świadectwem życia pisarza w pierwszym 10-leciu powojennej Polski. Dramat tego życia ma wiele wymiarów, od ideowego, religijnego, politycznego, obywatelskiego po osobisty – i pisarski. Każdy z wymienionych ma swoje zakorzenie w kolejnym, w ten sposób powstaje sieć zależności, w którą autor dziennika zaplątuje się raz z nadzieją, że to konieczne jak inicjacja, by wejść w dojrzałość, innym razem – bez złudzeń co do rzeczywistych duchowych walorów wzrostu w warunkach skrajnie nieprzychylnych dla heroizmu w duchu personalistycznym.

Szczepański inaczej niż Stefan Kisielewski czy też Roman Palester stara się zagospodarować swój świat. Oczywiście jest znacznie od nich młodszy, ma za sobą przeszłość w AK, zdecydował się na ujawnienie i w związku z tym towarzyszy mu z pewnością ciągły lęk o to, czy uda mu się żyć w zgodzie ze sobą i życie to właściwie wykorzystać. Włącza się w odbudowę, wykazuje aktywność, ale czyni to z poczucia, że zwrot modernizacyjny jest konieczny, a propozycje marksistów mają uzasadnienie, zwłaszcza jeśli dotyczą reformy rolnej, edukacji i demokratyzacji kultury. Ufa im na początku z zawstydzenia, z poczucia winy, że należy do tej inteligencji, która konserwując tradycję zamykała się na zmiany, z egoizmu zainteresowana była utrwalaniem *status quo*. Przygląda się więc światu z ciekawością i empatią oraz z rosnącym zaniepokojeniem: coraz mniej swobody (enigmatyczne wspomnienia o przesłuchaniach na UB), coraz trudniej ogłosić coś sensownego, bo cenzura nie dopuszcza, konstatuje coraz bardziej niepokojący go stan ducha i coraz trudniejszą do utrzymania suwerenność sądu.

Stwarza się tak mechanizm, który sprawia, że jeśli nie chce się w coś wierzyć, to się po prostu nie wierzy, jeśli się nie chce czegoś widzieć, to się nie widzi, a jeśli nie chce się czegoś uświadomo-

mić sobie, to także się nie uświadamia. Szczepański broni się przed owym mechanizmem wypierania tego co niewygodne, stara się być otwarty i zarazem krytyczny. Rozumiejąc niektóre cele marksistów nie jest skłonny nie dostrzegać sposobu ich realizacji. I właśnie ten rozdźwięk między sferą idei a praktyką, pozala mu być czujnym i nie poddawać się sofizmatom nowej wiary. Przy tym jednak za mało w nim zaangażowania, by wejść w nowe, za dużo – by emigrować wewnątrz. Życie w PRL-u odczuwa coraz bardziej jako „gniot”, który zmusza do zacieśnienia kręgu własnej prywatności, a którego treść wypełnia w istocie samo czekanie na... zmianę, oczekiwanie na jakieś rozstrzygające przesilenie.

Takie psychofizyczne znieruchomienie zapewne trwałoby długo, gdyby nie Październik 1956. Uratował Szczepańskiego jako twórcę i człowieka (zapewne także przed UB) i pozwolił mieć nadzieję, że pisarstwo może mieć sens nawet w warunkach cenzury. Podobnie myślał Stefan Kisielewski, dla którego czasy przedłużającego się terroru były równie niebezpieczne i wyczerpujące.

Szczepański czuł się więc przez pierwsze 10-lecie PRL-u jakby był wysiedlony, przeniesiony w obce miejsce, jakby był wygnany. Określał tę egzystencjalną, psychospołeczną i zawodową sytuację jako *dépayssé*. Znieruchomienie, skonfundowanie, zagubienie pisarza było bliskie doznaniom „rzeczywistych” emigrantów, o których trudnym życiu dochodziły go pewne słuchy.

Zapisy *Dziennika* pozwalają sądzić, że można być emigrantem, będąc jednocześnie „u siebie”. Szczepański był bowiem u siebie – miał jednak poczucie, jakby był przeniesiony do innego świata, w którym prawie nic do niego nie należy, nic też od niego nie zależy, poza może bardzo ciasnym kręgiem prywatności. Nie chciał również emigrować, więcej – uważał, że nie ma dokąd, mimo że tu – w kraju – z własnych myśli i pragnień nie można było zrobić użytku, bo nie było jak.

## W pułapce „kontradykcyjności”. Stefan Kisielewski wobec polskich powinności

*Zmarnowali mi życie, cholera, bo talent publicystyczny musi być konsumowany w swojej epoce: publicysta post factum to rzecz nic nie warta!*

Stefan Kisielewski

W dzienniku Stefana Kisielewskiego pod datą 27 maja 1975 czytamy: „Tylko jedną rzecz mógłbym robić »brylantowo«, na poziomie światowym: publicystykę, aktualną felietonistykę, komentarze polityczno-polemiczne. I tego właśnie robić nie mogę – cóż za pech. Ukazują się żałosne szczątki moich felietonów (pisanych już z cenzurą wewnętrzną!), cenzura tnie jak zwariowana. Jedyna mała satysfakcja, że ukazał się mój artykuł w paryskiej »Kulturze« – bez nazwiska i z opóźnieniem, ale zawsze. Za to Amerykanie uniemożliwili mi »debiut światowy«. Z kolei likwidują »Wolną Europę«. Niszczą to, co sami latami budowali. Nieprawdopodobni idioci. I my idioci – żeśmy im wierzyli. I w ogóle jesteście idioci – co już powiedział nieboszczyk Piłsudski. Idioci nad Wisłą – to dopiero! A więc po partyjnemu: krytyka i samokrytyka!”<sup>1</sup>.

O tym, jak wymowa tego dziennikowego zapisu z połowy lat 70. różni się nie tylko tonem od oficjalnej felietonistyki Kisielewskiego z lat 50., ogłaszanej na łamach „Tygodnika Powszechnego”, ale i po-

---

<sup>1</sup> Stefan Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1996, s. 846. Wszystkie cytaty zamieszczone w tym rozdziale pochodzą z niniejszego wydania dziennika, podane dalej z użyciem następującego skrót: *D*.

głędami autora na emigrację oraz rolę, jaką spodziewał się odegrać w środowisku wychodźczym (projektował ją tuż po wojnie, a skonkretyzował w czasie odwilży), jak różni się ów zapis od treści wynikających z poufnych kontaktów (np. w świetle zaszyfrowanych listów do Jerzego Giedroycia) i poodwilżowych spotkań z Polakami w Londynie, paryskiej „Kulturze”, z monachijskimi publicystami Radia Wolna Europa – świadczy m.in. bogata korespondencja prowadzona między Giedroyciem a Andrzejem Bobkowskim, Juliuszem Mieroszewskim, Czesławem Miłószem czy Konstantym A. Jeleńskim.

Kisielewski pojawia się w niej stosunkowo często, jego felietony zarówno ogłaszane w prasie krajowej, jak i na Zachodzie, są tam odnotowywane, niektóre szeroko komentowane. Więcej – można zaryzykować twierdzenie, że był Kisielewski dla emigracji czymś w rodzaju języczka u wagi, osobą niezbędną, bo parającą się w kraju publicystyką, zmagającą się zatem w praktyce z machiną cenzury i zarazem kimś, kto „opukuje” szklany sufit i penetruje szczeliny względnej swobody domykającego się szczelnie systemu wewnątrz-krajowego przepływu informacji. Jednocześnie także, co bodaj najistotniejsze, Kisielewski był osobą budzącą zaufanie emigracji – choć oczywiście nie bez zastrzeżeń przyjmowano na Zachodzie jego rozmaite wypowiedzi, zwłaszcza jeśli dotyczyły samego wychodźstwa. Z wieloma poglądami felietonisty emigracja polemizowała, a jego decyzję o wejściu na scenę krajowej polityki wraz z odwilżą przyjmowała nie tylko ze sceptycyzmem, ale i sporym zaciekawieniem.

Dlaczego uważnie go czytano zarówno w kraju, jak i na emigracji? Co Kisielewski zdołał zachować w opresywnym systemie wczesnego PRL-u, a później – w okresie gierkowskiego „bezformia”? Jak udało się publiczście utrwalić w społecznym odbiorze wyobrażenie o sobie jako opozycjoniście, konserwatywnym „rewolucjoniście”, nawet burzycielu<sup>2</sup> i zarazem twierdzić nie bez autoironii, że jest drugim

<sup>2</sup> Owo burzycielstwo miało także posmak dość komiczny. O jednym z takich przypadków Gustaw Herling-Grudziński pisze przy okazji wydania *Sprzysiężenia*: „Z »Kuźnicy« dowiedziałem się, że Kisielewski okazał się »nieoczekiwanym sojusz-

Michnikiem, mimo że ktoś, kto otrzymał mieszkanie w Warszawie od Cyrankiewicza i zasiadał swego czasu w ławach sejmowych z ramienia koła Znak, niespecjalnie nadaje się na modelowego oponenta systemu? Wszystko to prawda, ale prawdą jest i to, że bez Kisielewskiego publicystyka emigracyjna straciłaby ważny punkt odniesienia i orientację, z pewnością też wiedłaby bez sporu, podobnie krajowa. Jednak niski nakład „Tygodnika Powszechnego” nie pozostawia złudzeń co do koncesjonowanego, a więc w praktyce ograniczonego charakteru propagowanych przez publicystę treści. Kisielewski znany był w kraju raczej wąskiemu gronu odbiorców, ponadto od początku byli to czytelnicy nastawieni do marksizmu niechętnie i zapoznani z destrukcyjną naturą systemu, nieźle na ogół zorientowani w bieżących sprawach i wykształceni. I na odwrót – Kisielewski, pozbawiony rzeczywistego intelektualnego oponenta, jakim było wychodźstwo, nie wytrwałby zapewne w swojej pasji publicystycznej i polemicznej tak długo. To dzisiaj również widać coraz wyraźniej. Sam to zresztą autor przyznawał po latach, choćby w felietonie z 1984 roku – *Rozkosze bezsilności*<sup>3</sup>.

W czym tkwi tajemnica znaczenia felietonistyki Kisielewskiego nawet po latach, mimo że – jak pisał autor przewrotnie – publicz-

---

nikiem«, a jego książka jest dowodem dużej »odwagi intelektualnej«. Trudno o bardziej jaskrawy przykład ordynarnego zakłamania krajowych *left-intellectuals*. Póki Kisielewski pisywał swoje felietony w »Tygodniku Powszechnym«, w którym był naprawdę odważny, »Kućnica« nie ustępowała w szarpaniu i wyszydzeniu go. Ale gdy tylko opisał kilka scenek w burdelach – wyszło zaraz na jaw, że jest i »odważny intelektualnie«, i »sojusznik«. Ach, mój Boże, gdzie też ta biedna »Kućnica« szukać musi w Polsce sojuszników!...”. Gustaw Herling-Grudziński, *Studium kliniczne Kisielewskiego*, w: tegoż, *Recenzje, szkice, rozprawy literackie 1947–1956*, pisma t. 2, Kraków 2010, s. 79-81.

<sup>3</sup> Stefan Kisielewski, *Lata połączane, lata szare. Wybór felietonów z lat 1945–1987*, Kraków 1989, s. 671-674. Kolejne cytaty z niniejszej publikacji, podane dalej z użyciem skrótu *L*.

styka *post factum* nie jest warta?<sup>4</sup> Na czym polega jej aktualność?

Niewątpliwie na ową atrakcyjność składa się wiele: autentyczna pasja polemiczna Kisielewskiego, „kontrydykcyjność” – jak sam mawiał, „kontrydykcyjność” żywiąca się niezgodą na to, co funduje „nowe” – czyli komunizm i konsekwentne trwanie w tej postawie; poza tym wyrazistość stylu myślenia i precyzja prowadzenia wywodu, pozwalająca czytelnikowi czerpać przyjemność z lektury.

<sup>4</sup> Publicystyka i pisarstwo Kisielewskiego doczekało się wielu omówień, najmniej – co zrozumiałe – w czasach PRL-u, ale pomiędzy 1980 a 1981 rokiem i po 1989 roku obserwujemy znaczący przyrost krytyki. Stale autorem interesowała się emigracja. Wiedzę o Kisielu zasila kilka tomów zwartych, także wydanych już w latach 90. oraz ostatnio. Między innymi: Florian Dąbrowski, *Stefan Kisielewski*, Poznań 1995; *Kisiel – Wprost. 10 nagród Kisielu*, Poznań – Warszawa 1999; Iwona Hoffman, *Dwugłós o Peerelu. Dzienniki Stefana Kisielewskiego i Mariana Brandysa*, Lublin 2000; *Kisiel (wywiady Joanny Pruszyńskiej)*, Warszawa 1997; Mariusz Urbanek, *Kisiel*, Wrocław 1997; Jerzy Waldorff, *Słowo o Kisielu*, Warszawa 1995; Adam Wiatr, *Stefan Kisielewski jako krytyk muzyczny*, Wrocław 2006; Monika Wiszniowska, *Stańczyk Polski Ludowej. Rzecz o Stefanie Kisielewskim*, Katowice – Warszawa 2004; Michał Szyszka, *Droga klerka. Filozofia sztuki Stefana Kisielewskiego*, Kraków 2010; *Stefan Kisielewski. Kisiel 1911–1991–2011*, pod red. Marka Jabłonowskiego, Rafała Habielskiego, Warszawa 2011; artykuły: Witold Bereś, Jerzy Skoczylas, *Kisielistyka czyli przepis na felieton doskonaly*, „Gazeta Wyborcza” 1997, nr 252; Bohdan Brodziński, *Kisiel w Londynie*, „Kultura” 1976, nr 1; M. Broński [właśc. Wojciech Skalamowski], *O felietonach Kisielu*, „Kultura” 1973, nr 3; Tomasz Burek, *Zanim dzieła zebrane ukażą się w Warszawie... czyli przymiarka Stefana Kisielewskiego do historii*, „Zapis” 1979; Maria Danilewiczowa, *Kisiel*, „Wiadomości” (Londyn) 1960, nr 26; Wojciech Karpiński, *Kisielizm jako duchowa forma życia*, w: tegoż, *Prywatna historia wolności*, Warszawa 1997; Piotr Linek, *Kisielewskiego sztuka felietonu*, w: *Publicystyka – literatura*, pod red. Haliny Ludorowskiej, Lecha Ludorowskiego, Lublin 2002; Czesław Miłosz, *Same pochwały*, „Kultura” 1960, nr 3; Janina Katz-Hewetson, *A Kisiel został tak jak był Kisielem*, „Kultura” (Paryż) 1980, nr 7-8; Zdzisław Najder (Socjusz), *Polskie kwadratury koła*, „Kultura” (Paryż) 1980, nr 6; Andrzej Nowak, *Kisiel – środek na pamięć*, „Arcana” 1997, nr 1; Zofia Starowiejska-Morstinowa, *Paradoksy Kisielu*, „Tygodnik Powszechny” 1960, nr 6; Henryk Tronowicz, *Modele do portretu Stefana Kisielewskiego*, „Rzeczpospolita” 1992, nr 227; Mariusz Urbanek, *Kisiel bez Peerelu*, „Polityka” 1977, nr 36; tegoż, *Kisiel i Tyrmand*, „Przegląd Tygodniowy” 1991, nr 41; Leszek Szaruga, *Pisarz, którego nie ma*, w: *Literatura źle obecna. Rekonesans*, Londyn 1984; Jerzy Zychowicz, *Zniewolony Kisiel*, „Wiadomości Kulturalne” 1997, nr 2.

I bodaj najważniejsze: szczerłość i zawodowa uczciwość, którą stanowi współgranie poglądów autora, jego gestów i postawy ze słownym dziełem. Kisielewski bowiem, jak mało kto wówczas, dbał o honor słowa pisanego, był przy tym autorem poważnym (mimo przekory) i uważnym, a jego pisarsko-publicystyczne terytorium wyznaczały sprawy istotne, w swoim czasie paląco aktualne, dziś – interesujące poznawczo. Należy także podkreślić, że propozycja Kisielewskiego była – zarówno w pierwszych latach po wojnie, jak i później – poważną reakcją na głód informacji, jaki odczuwał odcięty od mediów zachodnich odbiorca krajowy.

Felietonista tworzył swój pisarsko-muzyczny mikroświat, bo i o tym należy pamiętać, skutecznie zachęcony przez Czesława Miłosza i był też przez poetę zaprotegowany Jerzemu Turowiczowi. Zaraz po wojnie liczył również na powodzenie swojej „misji”, jaką miała być publicystyka zaangażowana, wytwarzająca wokół siebie (i „Tygodnika Powszechnego”) przestrzeń wartości konserwatywnych – wówczas alternatywnych, chodziło także o ich podtrzymanie w otoczeniu niesprzyjającym pluralizmowi poglądów i postaw. Kisielewski posiadał też (co z pewnością mu bardzo pomagało) rzadką umiejętność idealnego niemal łączenia przysłowiowej wody z ogniem, a więc – sceptycyzmu z aktywnością, a nawet z polemiczną żarliwością.

Przestrzeń możliwej wolności i aktywności, którą miał na myśli autor *Widzianego z góry* i pojmował ją w duchu personalizmu, miast rozszerzać się dzięki zdobytym umiejętnościom, wiedzy i doświadczeniu, kurczyła się z każdym kolejnym miesiącem po 1945 roku. To, że sprawy idą właśnie w niedobrym kierunku, nie dziwiło Kisielewskiego tak bardzo, nie spodziewał się jednak zapewne tak silnej polaryzacji światopoglądowej, a ze strony swoich ideowych oponentów – brutalizacji języka dyskursu. Nie do przyjęcia również dla miłośnika Irzykowskiego była monopolizacja tego dyskursu i przejawy bezwzględного podporządkowania się marskistów fetyszowi doktryny. Dziwiła i irytowała ich postawa intelektualnej kapituła-



cji, objawiająca się przyjęciem sowieckiego, opresywnego z ducha modelu funkcjonowania mediów.

Dopiero z perspektywy czasu – choć wiele symptomów zapowiadało taki przebieg pisarskiego żywota Kisielewskiego znacznie wcześniej (od względnej swobody po cenzuralne restrykcje) – widać wyraźnie ów fetysz doktryny i stojące za nim racje polityczne wynikające z pojałtańskiego podziału wpływów, racje, które w praktyce uniemożliwiły mu zamieszkanie we własnym mikroświecie bez skazy renegactwa, ograniczały bowiem radykalnie możliwość uprawiania z intencji ucziwej publicystyki<sup>5</sup>.

Ale – jak każdy przecież człowiek – miał prawo sądzić i Kisielewski, że wszystko jest w życiu możliwe, nawet w państwie totalitarnym i autorytarnym, w gospodarce planowej i odgórnie dyrygowanej. Zwłaszcza po październiku 1956<sup>6</sup>. Jak dalece był w błędzie,

<sup>5</sup> Obszerny przegląd dorobku publicystycznego autora znajdujemy w podrozdziale książki Michała Szyszki, *Publicystyka Kisielewskiego i kolejne rozdziały*, w: tegoż, *Droga klerka. Filozofia sztuki Stefana Kisielewskiego*, Kraków 2010, s. 141-269.

<sup>6</sup> Zob.: Rafał Wardzyński, *Na forum Zjazdów Delegatów ZLP w latach 1956–1967*, w: *Stefan Kisielewski. Kisiel 1911–1991–2011*, dz. cyt., s. 223-260. „Wczoraj był w Związku odczyt Kisielewskiego o Irzykowskim – notuje w *Dzienniku 1945–1956*, t. 1, Kraków 2009, Jan Józef Szczepański. – Kisiel przede wszystkim referował polemiki Irzykowskiego, a najobszerniej jego kontrowersje z marksistami. Już sam temat i prelegent to było coś znamiennego dla obecnych »odwilżowych« nastrojów, ale dyskusja po odczycie przypominała czasy »liberalizmu« z lat 46–47. [...] Kisiel stwierdził, że każda doktryna »zanieczyszcza« wykonanie i że nie można utrzymywać, jakoby była bezbłędna, pod pretekstem, że jest tylko źle stosowana. Nawoływał do dyskusji o zasadach, której marksisiści nie dopuszczają z reguły” (tamże, s. 447-448). Po wystąpieniu Kisielewskiego na zebraniu partyjnym Związku Literatów z 20 kwietnia 1956 notuje: „Kisiel, który mówił trzeci, wypadł po nim [po Pytlakowskim] bardzo błado. Jego opozycyjność przestała już robić wrażenie. Niepotrzebnie wplątał się w wyjaśnienie, kto on zacz i dlaczego, mimo że jest spirytualistą, nie jest wrogiem. Przez chwilę zanosiło się na to, że i jemu przerwa. Gdzieś w kącie zaczęto tupać. Na szczęście podparł się dowiecipem i skończył dość gładko, wzywając władze do umożliwienia niemarksistom stworzenia własnej trybuny” (tamże, s. 613-614). A po VII Zjeździe Delegatów ZLP (29 listopada – 2 grudnia 1956) Szczepański pisze: „Charakteryzując zjazd w najkrótszych słowach, można powiedzieć, że linię agitacji

wiemy to dzisiaj lepiej. Wówczas jednak ta wiara i nawet pewna naiwność pozwalały usprawiedliwić czy wytłumaczyć powody, dla których z publicysty przedzierzgnął się w polityka i dla realizacji jakich własnych projektów była mu potrzebna emigracja polityczna, z którą pozostawał przez wiele lat w ideowym sporze i z którą mimo tych spięć współpracował, był także w stałym kontakcie i nie tylko korespondencyjnym, od której wreszcie w najtrudniejszych latach otrzymywał materialne wsparcie.

Nikt z kraju bardziej niż Kisielewski nie decydował się na tak częste wyprawy w miejsca zakazane: do Maisons-Laffitte, polskiego Londynu, wreszcie do monachijskiej Wolnej Europy. Będąc posłem na Sejm PRL-u, był w pewnym stopniu chroniony, zapewne także łatwiej mógł uzyskać zgodę na wyjazd i częściej otrzymywać paszport. Jednak wszystko to, co można by uznać za ułatwienie w kontaktach z zagranicą, zwłaszcza w okresie poselskim, w równym stopniu obciążało go. Spotykał się więc Kisielewski z tych i innych powodów z atakami zarówno w kraju, jak i z dezaprobatą środowiska emigracyjnego.

To oczywiście, że ryzykował. Wypada przywołać dość spektakularną dyskusję, do której się niewątpliwie Kisiel jako polityk i publicysta przyczynił. Nie chodzi też o zanalizowanie jego skuteczności, ale o odwagę kanalizowania owej dyskusji między krajem a emigracją<sup>7</sup>. Jan Nowak-Jeziorański w *Polsce z oddali*, jak na panoramiczny charakter tej książki, poświęca Kisielowi nawet sporo miejsca. Pomijając referowaną przez dyrektora RWE szczegółową sporną kwestię między Kisielewskim a nim dotyczącą reformy polskiej wsi, warto w tym miejscu zwrócić uwagę na stały zestaw argumentów, jakimi posługiwał się Kisielewski w polemikach z emigra-

---

antysowieckiej reprezentowali byli staliniści z Woroszylskim na czele, zaś linię racji stanu katolicy (Kisiel, Zawieyski) w sojuszu z »niesplamionymi« pięknoduchami jak Sandauer» (tamże, s. 660).

<sup>7</sup> Zob.: Rafał Habielski, *Kusy, Łysy i Książę*, w: *Stefan Kisielewski. Kisiel 1911–1991–2011*, dz. cyt., s. 165–192.

cją polityczną. Rola wychodźstwa i jej ewentualny wpływ na legalną opozycję w kraju (za reprezentanta takiej uważał się on sam, wówczas poseł na Sejm PRL-u z ramienia koła Znak) i na odwrót – wpływ oponentów wewnątrz krajowych na kształtowanie się opinii wychodźstwa, to były główne tematy gorących rozmów, toczonych z udziałem publicysty przez lata.

Nowak-Jeziorański pisze o spotkaniu ze Stanisławem Stomą na Zachodzie i o odbytej z nim rozmowie<sup>8</sup>, na którą w kilka miesięcy później zareagował artykułem Stefan Kisiewski. Felietonista wystrzelił z Grubej Berty, a celem byli emigranci: chodziło o felieton *Kółka rolnicze, Wolna Europa, żółądek pusty – żółądek pełny*<sup>9</sup>. Dyrektor RWE wyjaśnia także, że w przeciwieństwie do prasy partyjnej Kisielewski, jako autor artykułu w stosunku do emigracji zachowywał się godnie, przede wszystkim nie używał inwektyw. Emigracja więc nie była „perfidnym wrogiem”, „zdrajcą”, „agenciakiem”, „zapłutym karłem reakcji”. Pisał bowiem dość niewinnie Kisielewski, co przytacza Nowak-Jeziorański, „że redaktorzy Wolnej Europy, ludzie pewnie i sympatyczni, pewno i dobrej woli, ale oderwani od spraw polskich, niewiele rozumiejący a przez to nieświadomie wprowadzający często w błąd naszą opinię, a zwłaszcza bezkrytyczną opinię wsi. Za tak »ulgowe« potraktowanie zespołu »wrogiej szczekaczki« zganiony został Kisiel bardzo surowo przez »Politykę«, choć przemawiał do nas dosyć mocnym językiem – dodaje Nowak-Jeziorański. [...]

Pojedynek z Kisielem toczył się przez kilka następnych lat [...]. Było to starcie się dwóch orientacji ludzi wychodzących z tych samych podstawowych założeń. Z czasem dyskusja przeniosła się na łamy paryskiej »Kultury«. W marcu 1962 roku Kisiel w *Liście do redaktora »Kultury«* zaatakował zarówno Wolną Europę, jak

<sup>8</sup> Zob.: Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański), *Polska z oddali. Wojna w eterze – wspomnienia*, t. 2, 1956–1976, Londyn 1988, s. 171.

<sup>9</sup> „Tygodnik Powszechny” 20 IX 1959.

i czołowego publicystę pisma, Juliusza Mieroszewskiego, a ja odpowiedziałem w następnym numerze<sup>10</sup>. W tym czasie spotkaliśmy się po raz pierwszy w Paryżu i usiłowaliśmy się wzajemnie przekonywać. Kisielowi nie wystarczała jednak rozmowa ze mną. Chciał przyjechać do Monachium i rozmawiać z zespołem. [...]

Doszło więc do bardzo zasadniczej dyskusji w domu na Gentsstrasse, czyli na Gęsiej, jak żartobliwie nazywaliśmy naszą ulicę. Siła złego na jednego, bo aż dziesięciu redaktorów przeciwko Kisielewskiemu: T. Zawadzki-Żenczykowski, W. Trościanko, A. Stypułkowska, ks. T. Kirschke, J. Szyszko-Bohusz, T. Celt, T. Nowakowski, R. Palester, C. Szulczewski [również Nowak-Jeziorański – V.W.M.]. Co najmniej kilku znał Kisiel sprzed wojny i z czasów okupacji. Przebieg dyskusji odnotowaliśmy na gorąco i odczekawszy parę miesięcy, nadaliśmy przez radio w formie dwugłosu jako *Dialog z przeciwnikiem*, choć trudno było w Kisielu dopatrywać się przeciwnika<sup>11</sup>.

Kisielewski jawi się w tym sporze jako zwolennik realpolityki i właściwie jako przedstawiciel establishmentu (wówczas poseł Znak). Sankcjonuje bowiem *status quo* PRL-u w ramach struktury krajów podległych rosyjskiej hegemonii i własne postulaty ogranicza do kilku kwestii, w jego mniemaniu, istotnych. Koniecznym jest dość zresztą ograniczony projekt polskiej modernizacji, postuluje ustabilizowanie pozytywnych efektów wynikających z istniejącego już podziału pracy i podejmowanych działań naprawczych, urealnających gospodarkę w ramach istniejącego i nienaruszalnego (jak sądził) systemu. Ale jest też w swych wywodach i mniemaniach paradoksalny – jeśli weźmiemy pod uwagę jego osobiste tużpowojenne doświadczenia i cały okres stalinizmu (do czego jeszcze przyjdzie nam powrócić).

<sup>10</sup> „Kultura” 1962, nr 3-4/173-174.

<sup>11</sup> J. Nowak (Z. Jeziorański), *Polska z oddali...*, dz. cyt., s. 171-172.

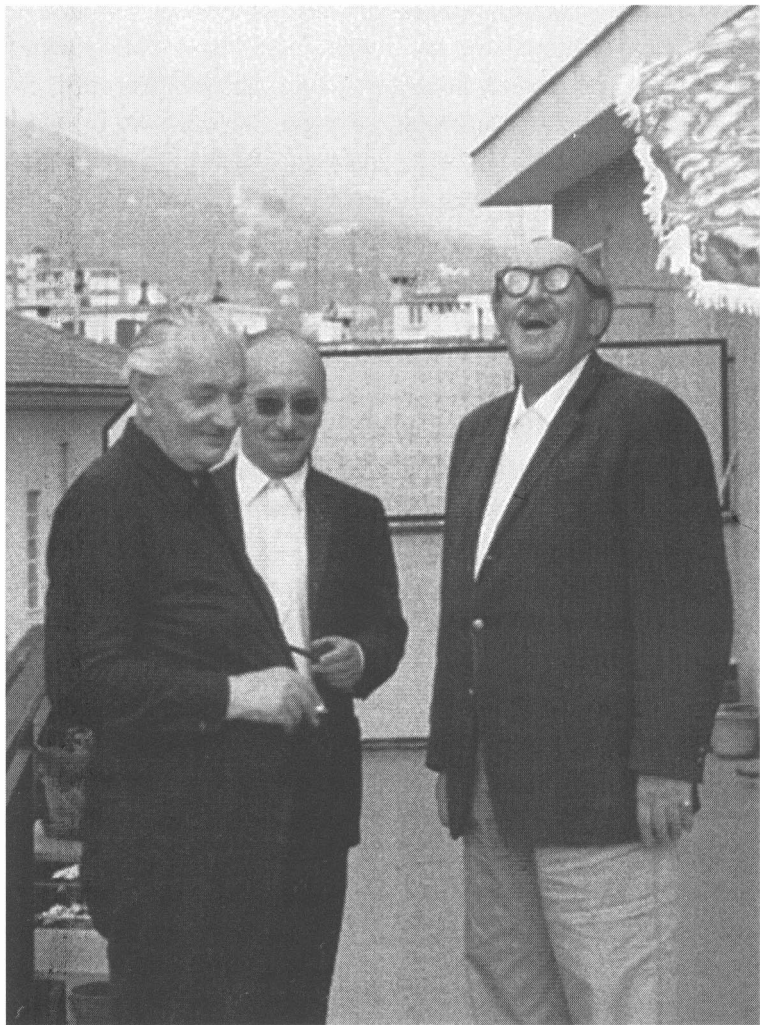
W monachijskiej rozmowie padają argumenty Kisielewskiego, także i dziś prowokujące do namysłu i budzące zdziwienie, wówczas zupełnie niezrozumiałe dla emigracji, nawet dla Romana Palestra, który przecież między 1945 a 1948 rokiem należał do szczególnie aktywnych postaci powojennej inteligencji artystycznej, z dobrą wolą angażującej się w życie kulturalne i naukowe. Argumenty niezrozumiałe zwłaszcza po 1957 roku, kiedy to odchodzenie władzy od postulatów odwilży stawało się faktem. W siedzibie RWE Kisielewski mówi jednak:

„– Punkty styczne muszą istnieć nawet między przeciwnikami, jeśli obie strony mają na oku dobro publiczne. Podniesienie produkcji, uprzemysłowienie leży w naszym żywotnym interesie. Wasze radio samym faktem swojego istnienia, niezależnie od treści audycji, podtrzymuje stan tymczasowości i wyczekiwania. Atakując system rozgrzeszacie ludzi, którzy po prostu źle pracują. Wasze audycje podtrzymując niezadowolone, gaszą entuzjazm, pogłębiają marazm i apatię. Prowadzą do nihilizmu wśród młodego pokolenia.

Nowak-Jeziorański: – Pan szuka przyczyny marazmu i niskiej wydajności pracy w audycjach Wolnej Europy, a my twierdzimy, że ludzie pracują źle, bo ustrój nie umie stworzyć właściwego systemu bodźców ekonomicznych i psychicznych. Polacy żyjący w innych warunkach ustrojowych cieszą się opinią dobrych pracowników. Źródłem frustracji i apatii jest nastrój beznadziejności – brak wiary w możliwość zmian i reform. Nastroje takie pogłębiłyby się jeszcze bardziej, gdyby Wolna Europa zamilkła. Dlaczego w krajach demokratycznych nikt nie widzi w opozycji czynnika przeszkadzającego w budowie bazy gospodarczej?”<sup>12</sup>.

Główne zarzuty sprowadza Kisielewski właściwie do paru kwestii – oczywiście nie twierdzą, że nieistotnych, jednak z powierzchni zjawisk, idzie mu bowiem o „gaszenie entuzjazmu”, rodzenie „nihilizmu” i szerzenie apatii, a pomija felietonista rzeczywistą frustrację i bier-

<sup>12</sup> Tamże, s. 174.



*Od lewej: Gustaw Herling-Grudziński, Roman Palester, Adam Ciołkosz,  
Neapol, ok. 1970*

ność społeczną, wynikającą ze złego funkcjonowania systemu gospodarczego, o czym mówił Nowak-Jeziorański i co w swojej wypowiedzi podkreślał. Trudno także uwierzyć, że jako bezpośredni „konsument” scentralizowanego systemu gospodarki nakazowo-rozdzielczej nie dostrzegał też źródeł i istoty problemu, a symptomy kryzysu brał za jego przyczynę. Znajdziemy zresztą sporo dowodów we wcześniejszych i późniejszych wypowiedziach publicysty na potwierdzenie, że jednak zdawał sobie z tego sprawę (choćby późniejsza polemika z Juliuszem Mieroszewskim). A jednak skłonny był przystać na minimalny plan „usprawniania” i „udrażniania” gospodarki w praktyce, w ramach realnego socjalizmu, do pewnego więc czasu mimo kosztów akceptował system.

Czyżby stały za tym ambicje polityczne Kisielewskiego, a właściwie pewna zgoda na przemilczanie, by nie wypaść z roli, jaką na siebie przyjął w PRL-owskim Sejmie? Czy naprawdę wierzył, że bez żadnych nacisków z zewnątrz możliwa była odnowa społeczna i zarazem samoistna przemiana establishmentu i jego dobrowolna korektura? Czy poważnie zakładał Kisielewski współpracę politycznej nomenklatury ze społeczeństwem (z kołem „opozycyjnym” Znaku, ze środowiskiem „Tygodnika Powszechnego”, szerzej z Kościołem)? A może presja działania, ów wewnętrzny imperatyw Kisielewskiego–publicysty brał się z niedawnego i bardzo świeżego doświadczenia wykluczenia i poczucia marginalizacji wskutek zamknięcia „Tygodnika Powszechnego”<sup>13</sup> i pozbawienia go tym samym pracy felietonistycznej, którą nie tylko lubił, ale i traktował, jak mało kto w kraju, z całą powagą? Może jednak takie poglądy wynikały z pewnego oszołomienia awansem, były skutkiem kompromisu; poza tym skąd ta niechęć do emigracji i argumentacja, którą nie pogardziłaby PRL-owska propaganda? Na dodatek stygmatyzując wychodźstwo, podważając jego status, posługiwał się meta-

<sup>13</sup> Kisielewski pisał również po 1945 roku do „Tygodnika Warszawskiego”, „Dziś i Jutra”, „Twórczości” i „Znaku”.

foryką zbliżoną do tej, jakiej używano wobec niego i jego formacji w kraju całkiem niedawno jeszcze?

Być może gruntował jego przekonanie o nieodwracalności procesów politycznych w powojennej Europie i Czesław Miłosz, z którym Kisielewski pozostawał w dyskretnym kontakcie; płaszczyzną dla obu wspólną, niepodlegającą dyskusji było przekonanie o potrzebach modernizacyjnych Polski powojennej. Sprawa rzeczywiście ważna zarówno z perspektywy wrażliwości lewicowej Miłosza, zgodna z atmosferą czasu i presją samego systemu, jak i z pozycji ideowej Kisielewskiego – konserwatysty–modernizatora oraz integrysty.

Kisielewski Nowakowi-Jeziorańskiemu dopowiada jeszcze i to: „– Stawiacie na opozycję społeczeństwa. Zapominacie, że opozycję można robić tylko na miejscu w Polsce. Sama znajomość faktów nie wystarcza. Komentując sytuację w Polsce popełniamie masę szkolnych błędów. Mogą to robić tylko ludzie na miejscu, na podstawie obserwacji i znajomości nastrojów. Kibice zagraniczni nie powinni nam udzielać rad.

Nowak-Jeziorański: – My nie chcemy udzielać żadnych rad, ale jesteśmy częścią narodu i mamy prawo do własnego punktu widzenia. Ma pan jednak rację. Głos krytyki, opozycji powinien rozlegać się w Polsce. Niestety nie rozlega się, bo opozycja nie ma prawa zrzeszania się ani zabierania głosu. Nasze radio jest surogatem takiego głosu opozycji. Lepszy chyba surogat choćby niedoskonały, aniżeli całkowity monopol środków informacji w rękach partii. Pan twierdzi, że nie mamy żadnej wizji przyszłości. My wierzymy, że wciąż istnieje szansa realizacji postulatów »na dzisiaj«. Na dalszą przyszłość nie wyrzekniemy się nigdy celu maksymalnego: niepodległości i demokracji, choć nie da się przewidzieć, kiedy to stanie się możliwe. Pan uważa, że mamy najlepsze intencje, ale nasza działalność jest szkodliwa, bo podtrzymujemy ludzi w przekonaniu, że stan obecny jest tymczasowy. Szczerość za szczerość. Z naszego punktu widzenia szkodliwe jest propagowanie akceptacji obecnego stanu



rzeczy, bo demobilizuje opór społeczny, który jest jedyną dźwignią przemiany. Zwłaszcza jeśli taka akceptacja jest lansowana przez ludzi uczciwych, którym społeczeństwo wierzy, bo wie, że mówią z pozycji patriotycznych i niezależnych.

Kisiel: – Nacisk społeczny oznacza w praktyce bojkot grupy rządzącej. Jeżeli wszyscy ludzie zdolni i mądrzy będą stosowali taki ostracyzm, to będziemy rządzeni jeszcze gorzej niż teraz, bo pozostaną u steru sami idioci”<sup>14</sup>.

Emigrantów nazywa Kisielewski „kibicami zagranicznymi”, nie wspomnę i o innych, znacznie mniej eleganckich, określeniach. Pada także zawsze zarzut, wielokrotnie do znudzenia powtarzany i przez krajowych nomenklaturowych komentatorów, z definicji negatywnie ustosunkowanych do środowiska „Kultury”, polskiego Londynu czy RWE, że emigracja nie rozumie kraju, wobec tego nie powinna recenzować, a już na pewno nie żyjąc jego dniem codziennym, nie ma legitymizacji do pełnienia roli surogatu wewnętrznej opozycji. Właściwie powinna przestać istnieć w dotychczasowym politycznym kształcie, a byłoby najlepiej, gdyby powróciła do kraju i „roztopiła się” w społecznej masie, w granicach wyznaczonych przez PRL.

Na marginesie – warto postawić i inne pytanie: jak w istocie poradził sobie Kisielewski z pozostaniem na Zachodzie Miłosza w 1951 roku i dołączeniem poety na prawach osobności do emigracyjnej diaspory, jak odebrał *Nie, Zniewolony umysł czy Zdobycie władzy?* Wiemy o tym więcej z późniejszych zapisów publicysty, najciekawsze byłyby jednak te najwcześniejsze, najświeższe, najbliższe zdarzeniom<sup>15</sup>.

<sup>14</sup> J. Nowak (Z. Jeziorański), *Polska z oddali...*, dz. cyt., s. 175-176.

<sup>15</sup> W wystąpieniu na VII Walnym Zjeździe Związku Literatów Polskich, 30 listopada 1956 roku, Kisielewski uznał, że pierwszą osobą, która dokonała wiwisekcji literatury polskiej czasu stalinizmu, był Miłosz i jego *Zniewolony umysł*. Nadto stwierdził, że za dzieło to Miłoszowi należy się honorowe członkostwo ZLP. Podają za: R. Wardzyński, *Na forum Zjazdów Delegatów ZLP w latach 1956–1967*, dz. cyt., s. 228.

Pewne informacje w formie raczej szczątkowej znajdujemy m.in. w liście Jerzego Giedroycia do Andrzeja Bobkowskiego z 20 czerwca 1953: „Że dokument jest prawdziwy [chodzi o *Zniewolony umysł* – V.W.M.], mam dowody we wrażeniu, jakie ta książka wywołuje w Kraju. M.in. od Stefana Kisielewskiego...”. Inna uwaga, rzucająca światło na tę sprawę, dotyczy stosunku Kisielewskiego do politycznego wychodźstwa: „Ale taki stosunek [negatywny do emigracji politycznej – V.W.M.] – pisze Giedroyc – mają wszyscy w kraju. Tenże Kisielewski, który mi przysłał młodą dziewczynę, która tu była na wstęпах muzycznych (jest on moim przyjacielem od wieków) podkreślał wraz z emisariuszką, jak gardzi emigracją i jaki mi sprawia zaszczyt uważając mnie za »chlubny wyjątek«”<sup>16</sup>.

Inny przykład, równie interesujący: tym razem chodzi o relację Leopolda Tyrmanda z rozmowy, jaką przeprowadził z Kisielewskim w 1954 roku (tych rozmów, ze względu na zażyłość, było zresztą znacznie więcej). Dzięki niej jednak – jeśli założymy, że Tyrmand referuje wiernie jej przebieg – zapoznajemy się ze strategią uczestniczenia Kisielewskiego w życiu publicznym PRL-u, strategią – chciałoby się powiedzieć – ketmanu. Nie jest wykluczone, że po zamknięciu „Tygodnika Powszechnego”, *Zniewolony umysł* Miłosza stał się dlań recepturą na trudne czasy, które nadeszły. Jego stanowisko wyrażone w dyskusji z autorem *Dziennika* ma charakter dyskrecjonalny, ale czy jest koncepcyjnie różne od publicznej (oficjalnej) realizacji, z jaką zapoznaje nas Kisielewski, począwszy od jesieni 1945 roku do czasu zamknięcia „Tygodnika Powszechnego” oraz na przełomie lat 50. i 60.? Mam tu na myśli jego publikacje i wystąpienia po październiku 1956 przed wychodźczym audytorium, osobną wagę przykładam do korespondencji, którą felietonista prowadził z przedstawicielami emigracji.

<sup>16</sup> Jerzy Giedroyc, Andrzej Bobkowski, *Listy 1946–1961*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Jan Zieliński, Warszawa 1997, s. 238–239.

Tyrmand przywołuje w *Dzienniku 1954* przebieg tej rozmowy następująco:

„Kisiel: [...] ja dzielę moje życie po wojnie na dwie części. Pierwsza – do upadku »Tygodnika Powszechnego« – wypełniona pisarstwem, polityką, ideologią, została właśnie definitywnie zakończona. Druga – po upadku – kiedy już niczego więcej nie napiszę i nie opublikuję. Tu jest już tylko miejsce na muzykę. Że zaś w komunizmie, jeśli myślisz bezkompromisowo, nawet zwykle zarobkowanie na życie jest kolaboracją, przeto będę kolaborował. Z tym, że w muzyce problem ten traci na ostrości, zmienia tonację, przechodzi w inną sferę pojęć...

Ja [Tyrmand – V.W.M.]: To ty, a ja? I dla mnie wraz z upadkiem »Tygodnika« skończył się okres życia pełen powagi i znaczeń. Ja nie mam muzyki<sup>17</sup> i kolaboracja w moim zawodzie to sprawa konfliktu sumienia z resztą władz umysłowych. Nawet cynizm, o ile byłbym cynikiem, mało pomaga. Komuniści płacą swoim za lichotę i tandetę, jaką produkuje brak istotnego zaangażowania, wewnętrznego poparcia, czyli cynizm. Dlaczego mają za to samo płacić przeciwnikom?

Kisiel: Trudno, musisz. Musisz wypracować w sobie wiarę w doniosłość rekompensaty. Wartości ideowe – mydło, co się liczy, to dobrobyt i wewnętrzna wolność jako wolny wybór, wartość sama w sobie, zdobywanie opornych pieniędzy we wrogim otoczeniu, niezawisłość przy pomocy pseudonimów, anonimowej sprzedaży tego, czego u nikogo innego nie można kupić, czyli w jakimś sensie twoje nad komunistami zwycięstwo. Co to sumienie? Zbyteczny balast, liczy się tylko, gdy można je narzucić innym, propagować, rozgłosić jako osiągnięcie i tytuł do chwały. Inaczej męczy jak odcisk na pięcie. Zresztą to, co mówię, nie ma nic wspólnego z cynizmem, zaś wszystko z prawidłowym rozeznaniem koniunktur, czyli jest wysiłkiem mózgu, a nie rozstrajaniem i tak zdezelowanego sumienia. Są

<sup>17</sup> Jak wiadomo, jazz był wówczas także objęty cenzurą.

jeszcze dziedziny życia, w których spotkać się można z marksistami we wspólnej ocenie moralnej zjawisk. Musisz sobie coś takiego znaleźć, uruchomić zdolności i otrzymać należną zapłatę”<sup>18</sup>.

Odpowiedź Tyrmanda uderza w nerw rzeczy, kwestionuje sens działania *pro publico bono*. To oczywiste, że autor *Złego* podkreśla skrajnie trudne warunki pracy „w zawodzie”, jednak najbardziej niepokoi go niepewność co do rzeczywistych jej efektów. Trzeba pamiętać, że chodzi o rok 1954 – a więc jeszcze czas głębokiego stalinizmu. Tyrmand rzeczowo i nie bez racji odpowiada Kisielowi: „Myślałem o tym. Cywilizacyjny niż w tym kraju, alkoholizm, zbrodnia, stępienie człowieczeństwa, chuligaństwo. Poszedłbym na takie kampanie, ale co z parszywą polaryzacją wszystkiego, jaką narzucają marksiści, nie my? Te brednie o frontach ludowych, narodowych, sojuszach i pomagierach to bariera nie do przebycia. Komuniści, wiesz dobrze, najbardziej nienawidzą sprzymierzeńców, czyli tych, którzy się tylko trochę różnią od nich zdaniem, którzy mają taką samą rację, tylko trochę inną. Właśnie to »trochę inaczej« stwarza sytuacje nie do rozwiązania, w których i bilard, i pomidory są albo »ich«, albo »nasze«, kapitalistyczne lub komunistyczne, złe i dobre, zaś natura pomidora, czy prawda o pomidorze, zawsze pozostanie nieważna. Jako sojusznik w walce z cywilizacyjnym niżem zawsze go będę widział trochę inaczej i w innej perspektywie niż komuniści, co zawsze przesądzi o mojej klęsce i nieprzydatności”<sup>19</sup>.

Trudno nie przyznać racji Tyrmandowi. Poza potwierdzeniem oczywistego związku publicystyki ze sferą etyki, związku który zobowiązuje do poszanowania słowa, autor *Złego* przypomina nam o czymś innym, równie istotnym. Przybliży bowiem atmosferę mrocznych lat stalinizmu, kiedy bodaj każde w miarę sensowne działanie nie mogo mieć żadnych szans, jeśli nie sterowano nim odgórnie, a krytyka nie padała z właściwej, tj. marksistowskiej strony. Brutalność,

<sup>18</sup> Leopold Tyrmand, *Dziennik 1954*, Warszawa 1989, s. 112-113.

<sup>19</sup> Tamże.

z jaką toczono były wówczas spory w powiązaniu z codzienną praktyką wykluczania, ośmieszania i stygmatyzowania, to doświadczenie publicysty, który może i chce się włączyć aktywnie w życie, jednak nie za każdą cenę.

„Kolaborację” nie do przyjęcia dla Tyrmanda Kisielewski próbuje, jak wiemy, zastosować w praktyce. Po latach prób włączania się w życie publiczne na własnych warunkach, w 1983 roku (w okresie stanu wojennego) zastanawia się jednak, czy słuszne jest dokonywanie wyboru między prawdą a takim czy innym interesem publicznym, jeśli chce się być znaczącym publicystą i czy rzeczywiście najprostszym dozwolonym sposobem uchylenia się od dyskomfortu takiego wyboru byłoby milczenie? W *Bezsilności publicystyki* (w tekście ogłoszonym w 1983 roku w paryskiej „Kulturze”) konstatuje: „[...] ludzie zawodowo piszący po gazetach podzielili się u nas na dwie kategorie: tych, co bez względu na cenę chcą popierać aktualne państwo (jego władzę?!), i tych, co również bez względu na cenę chcą wypowiedzieć całą prawdę, a nie mogąc tego realizować, zamilkli. [...] Niewątpliwie, istnienie państwa w naszych warunkach wymaga nierzadko przemilczenia, czasem nawet zaparcia się pewnych prawd, zaś mówienie wszystkiego nie sprzyja (o tym przynajmniej jesteśmy wciąż zapewniani) stabilizacji tego, aktualnie możliwego państwa. Czyżby więc prawda była luksusem, którego *pro publico bono* należy się wyrzec? [...] Można jednak chyba sądzić, a przynajmniej postawić optymistyczną hipotezę, że czasem jakaś postać czy forma prawdy da się pogodzić z owym »publicznym interesem«, a w każdym razie da się wypowiedzieć. Może nazbyt okrutnie sformułowana alternatywa wyboru ma gdzieś jakieś luki czy choćby łagodniejsze kanty? Ha, cóż, trzeba spróbować”<sup>20</sup>.

Nietrudno dostrzec tę organizującą myślenie Kisielewskiego zasadę, zarzucającą niejako pomost przez powojenne kryzysy, poczynawszy od roku 1945, kiedy towarzyszyła mu świadomość działania w ograni-

<sup>20</sup> „Kultura” 1983, nr 1-2/424-425, s. 116.

czeniu, w obłączonej twierdzy krakowskiego pisma, jak i po zamknięciu „Tygodnika” oraz w marginalizowanym przez władzę kole Znak: szukać mimo wszystko wspólnej płaszczyzny działania. Za wszelką cenę nie stać się outsiderem, renegatem, emigrantem.

Dla tego strategicznego planu Kisielewski jest skłonny wiele poświęcić, ale czy tę daninę chcą przyjąć władze PRL-u? Czy nie za pochopnie na początku lat 50. chce rezygnować z surogatu, jaki proponuje emigracyjna agora, aby później z utworzonych na Zachodzie instytucji polskiej myśli politycznej i kulturalnej skwapliwie korzystać? Zrozumiały, by rzec profetyczny nawet, sceptycyzm Tyrmanda, a i doświadczenia samego Kisielewskiego z połowy lat 60. dowodzą, że raczej felietonisty są wysoce problematyczne, obarczone sporym błędem, być może – jak sam powie – usprawiedliwia je jednak organiczna potrzeba poprawiania czy ulepszania systemu mimo wszystko. Korekta również przychodzi niebawem, a *Dzienniki* stają się tego wymownym dowodem, interesującym dla nas z rozmaitych zresztą powodów.

Choćby ten zapis z 18 kwietnia 1974 roku: „Kraj niedemokratyczny, z fochami i fumami, gdzie każdy chce przewodzić innymi, a wszyscy razem są prymitywni i biedni. Cóż za system kretyński i demoralizujący ludzi – bo nieszczęście ludzi nie czyni sympatyczniejszymi, przeciwnie! Jakżeż tu wszystko nielogiczne, niewygodne, absurdalne, a ludzie zdają się już wcale nie dostrzegać, jakby im z tym było dobrze – choć jest bardzo źle, co dopiero stamtąd [z zagranicy – V.W.M.] widać. Do tego monotonia życia, ubóstwo kulturalne, potwornie idiotyczna prasa i radio, zresztą wszędzie ów absurdalny, nie wspólnego z rzeczywistością nie mający, żargon partyjny, mieszanina abstrakcyjnej doktryny z konsekwentnym cwaniactwem oszustów – wszystko to jest niesamowite” (*D.*, s. 795).

Niestety – jedno się tylko nie zmienia (co wynika z przytoczonych wypowiedzi i zapisów, które dzieli niemal dwadzieścia lat): felietonista powtarzać będzie, że rządzą narodami, państwami, społeczeństwami idioci; owi idioci to nie tylko polskie rządy („dyktatura

ciemniaków”), to także Amerykanie, którzy chcą zamknąć Wolną Europę, bez której z kolei Kisielewski nie wyobraża już sobie dalszego życia. Surogat opozycyjności zostanie jednak po latach doceńiony. Emigracja i jej działalność – także.

Nowak-Jeziorański, piszący pod koniec lat 80. książkę o RWE, obejmuje w niej Kisielewskiego ciepłym wspomnieniem; nie omieszka także podkreślić roli wychodźczego forum w życiu niepokornego felietonisty: „W trzy lata za ledwie po spotkaniu z Kisielewskim w Monachium protestowaliśmy głośno, gdy za niezależność sądu i odwagę Kisiel wyrzucony został z Sejmu. A wiedzieliśmy, że swoje poselskie obowiązki traktował bardzo poważnie. W czasie późniejszych zajęć marcowych miał odwagę publicznie wykrzyknąć, że władza w Polsce znalazła się w rękach ciemniaków. Został za to pobity w ciemnym zaułku przez nasłanych zbiorów. Zapomina się dziś o tym, że na długie lata przed powstaniem KOR-u Kisiel był tym, który przykładem własnej odwagi przebił barierę strachu. Dziś to nie sztuka, ale wtedy nie można było się zgubić wśród tysięcy ludzi równie odważnych. Kisielewski wychylał się sam. Zachowywał się tak, jakby bezpieka w ogóle nie istniała. Ogłaszał artykuły w »Kulturze« pod własnym nazwiskiem, udzielał wywiadów prasie zagranicznej. Nadaliśmy *in extenso* jego artykuł w prasie wiedeńskiej: *Polska potrzebuje reklamy*. Podnieśliśmy krzyk, gdy władze odmawiały mu przez kilka lat paszportu, zakazywały nie tylko publikacji jego felietonów, ale także wykonywania jego utworów muzycznych. Ten mistrz szyderstwa umie kpić z innych, lecz nigdy nie obraża nawet najgorszych wrogów. Kpina i żart to zasłona. Ukrywa się pod nią Kisiel prawdziwy, jak Stańczyk na obrazie Matejki, posepnie zatroskany o losy swego kraju. W całym powojennym okresie Kisielewski stał się fenomenem, jedynym i niepowtarzalnym”<sup>21</sup>.

<sup>21</sup> J. Nowak (Z. Jeziorański), *Polska z oddali...*, dz. cyt., s. 177.

Wszystko to prawda, jednak osobiste koszty felietonisty będą nie do powetowania. Nie da się poprawić także scenariusza osobistego życia i nadrobić towarzysko oraz intelektualnie wielu lat izolacji od przyjaciół osiadłych w krajach po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Bo przecież dość częste jak na warunki PRL-u wypadły Kisielewskiego na Zachód nie do końca zrekompensują oddalenie autora od lektur, które przeczytane zbyt późno, nie poprawiają nastroju, przeciwnie – bywają źródłem goryczy niedopoznania i niespełnienia, przychodzą bowiem nie we właściwym momencie, a może i przychodzą nawet po czasie.

### *Nie rozumiem!*, czyli zaraz po wojnie

Ale wróćmy do początku – czyli do jesieni 1945 roku. Trzeba było odwagi, a i niemałej cierpliwości, by publicznie zadawać wówczas, a także i później te same pytania, przecierać oczy w aktorским geście zdziwienia, obserwować nie po myśli felietonisty zmieniającą się rzeczywistość i pisać o absurdach rządów komunistów tak długo, jak to możliwe, mimo cenzury. W felietonie *Nie rozumiem!* z września 1945 roku widzimy, jak konstytuuje się osobność publicysty i jego intelektualna niezależność. Esencję owej „Kisielowej osobności” stanowi głównie zdrowa nieufność jako manifestacja obywatelskiego zaangażowania, wejście w życie z potencjałem intelektualnym, inteligencją, doświadczeniem, ciekawością konkretności i skupieniem. Konkretność bowiem staje tu naprzeciw marksistowskich sofizmatów, doktrynalnych uroszczeń, wszelkich pospiesznych intelektualnych redukcji.

W felietonie *Nie rozumiem!*, jednym z najwcześniejszych, mamy do czynienia z wieloma później wyrażonymi ukonstytuowanymi cechami autorskiego stylu, przekraczającymi ramy standardowej publicystyki: z obrazkiem, rodzajową scenką, załączkiem opowiadania; tu również ujawnia się wykraczający poza publicystykę zamysł



pisarski oraz ukryty pod formą powiastki „drugi krąg czytania” – intencja, porozumienie z czytelnikiem poprzez aluzje. Mamy zatem do czynienia z felietonem wyposażonym w literacki naddatek: „Dnia 1 września idąc sobie spokojnie przez most Dębnicki, byłem świadkiem dziwnego zdarzenia – czytamy w felietonie. Oto tłum ludzi deptając się wzajemnie i tratując rzucił się nad rzekę, gdzie spadała chmura ulotek zrzuconych z samolotu. Za chwilę drugi samolot obniżył się i znowu sypnął ulotkami – wtedy podniecenie publiczności doszło do szczytu – widziałem starego, przed chwilą pochyłonego i steranego życiem obywatela, który teraz pędził jak jeleń, a przybyszy za późno wydierał ulotkę z ręki jakiemuś chłopcu. I ja również nie oparłem się psychozie: skoczyłem w tłum, skopano mnie i o mało nie przewrócono, lecz wreszcie schwytałem upragnioną ulotkę. Czytam chciwie: 6. rocznica wybuchu wojny. Dzień Lotnictwa, Obywatele! – itd. Bardzo pięknie, ale – skąd to podejrzenie? – czyż rzeczywiście obywatele tak interesują się lotnictwem? Rozglądam się naokoło: na wszystkich twarzach maluje się zawód – ten i ów rzuca ulotkę z gniewem lub z wyrazem rozczarowania. A więc nie interesują się lotnictwem. Ale o co im chodzi? Czego się spodziewali? [...] Obywatele, czego chcecie?” (*L.*, 1945, s. 11).

Dzięki temu zapisowi można uchwycić atmosferę początku, aurę chwili. Moment, kiedy oczekiwanie, zawieszenie niejako w antrakcie, stawało się esencją tużpowojennego społecznego doświadczenia. Towarzyszyły tym stanom rozmaite emocje, wszystkie jednak negatywne: niechęć, zniecierpliwienie, zawód, także bezsłowna niemoc, irytacja. Jedynie ironia zawarta w autorskich pytaniach: „ale o co im chodzi?”, „czego się spodziewali?”, „obywatele, czego chcecie?”, zdradza pozycję mówiącego jako tego, który będąc wewnątrz tego świata, jednocześnie próbuje stać się jego osobliwym tłumaczem. Deficyt agory, ma więc uzasadnić jego własne miejsce jako felietonisty i wagę takiej alternatywnej i kontrydycyjnej publicystyki.

Jednocześnie ustawia się Kisielewski w roli interpretatora, tego który moderuje i transmituje społeczne potrzeby, niemożliwe do wypowiedzenia w inny sposób, zwłaszcza w tak opresywnych warunkach. Przyjmuje zatem na siebie wszystkie te obowiązki, mimo ograniczeń, zapewne i z przekonania, że nie można utrzymać w nieskończoność stanu „cenzury wojennej”, skądinąd uzasadnionej w czasie jej trwania, ale po wojnie – nie, również i z przyzwyczajenia do polemiki prasowej, która w międzywojniu była zjawiskiem naturalnym. Z mniemania, że publicystyka winna być w równym stopniu dostarczycielką informacji, jak i opinii, z potrzeby sięgania do dobrych wzorów międzywojnia. Dlatego z jednej strony chce być jako publicysta reprezentantem społeczeństwa (pytanie tylko: głosem jakich grup społecznych dokładnie?), mówić w jego imieniu, z drugiej zaś strony – ścierać się w sporze z dominującą doktryną, której głosiciele nie przeważają ani liczebnością, ani siłą perswazji czy argumentacyjną atrakcyjnością. Oni działają inaczej. Zapewniają sobie przewagę, administracyjnie ograniczając swobodę wypowiedzi politycznym oponentom.

Chciałby się więc tuż po wojnie Kisielewski ustawić w pozycji „oficjalnego korektora” i demaskatora systemu, który kształtował się na jego oczach. Korzysta więc z prasowego forum na tyle, na ile jest to możliwe. I trzeba przyznać, że celnie identyfikuje słabe miejsca marksistowskiej sofistyki, która grzęźnie w dogmatach i jest intelektualnie niewydajna, również wtedy, kiedy stereotypizuje rzeczywistość. Kisielewski spektakularnie rozprawia się z mantrą Jerzego Borejszy o tzw. zgubnej roli „reakcji” i jej hamującym wpływie na modernizację i gdy demaskuje iluzoryczność publicystyki, upatrując jej słabości w braku ścisłego związku z rzeczywistością, z prawdą prostej naoczności i ze zwyczajną uczciwością wobec narzucających się fenomenów życia.

W *Wojnie szeptem* (L., s. 16-19) – poza trafnością obserwacji realiów jesieni 1945 – coraz wyraźniej zaznacza się rola Kisielewskiego

jako publicyści w zacieśniającym się polu publicznej debaty. Oczywiście spod prześmiewczej i z pozoru lekkiej tonacji tekstu wyłania się groźny problem cenzury i nie mniej groźny – autocenzury: „Przeczytałem w »Dzienniku Polskim«, że w Gdańsku aresztowano 13 osób za uprawianie »szeptanej propagandy«; trzy z tych osób skazano na karę 3, 6 i 10 lat więzienia. Wiadomość ta napędziła mi potężnego straszka, który usiadł na moim kołnierzu i dotąd tam siedzi. Jak wiadomo, na złodzieju czapka gore: jeśli tyle dają za propagandę szeptaną, to ileż mogą dać za propagandę gadaną, krzyczaną, ba – zgoła ryczaną. A taką właśnie uprawiam na lewo i prawo: nie mogę się powstrzymać od wrzaskliwych kłótni politycznych – ostatnio nawet bardzo głośno nawymyślałem pewnemu przyjacielowi, którego dziwne losów zrządzenie wyniosło na stanowisko dyrektora departamentu (kiedy to ja zostanę ministrem?). Przyjaciel znacząco spoglądał na otwarte okno, lecz ja się nie przejmowałem – wolność Tomku w swoim domku! Ale teraz – licho wie – trzeba by nałożyć sobie na ozór moderator. Tylko że – co dalej robić? – przejść na szept? – nie! – tego nie zniosę. Struny głosowe mam już nastawione na wrzask – to się zmienić nie da!”

Inny – równie ciekawy przykład: „Mam znajomego robotnika – czytamy w felietonie *Prasa*. – Spotkałem go wczoraj i pytam: – czy obywatel słyszał, że to i tamto, i owo? – A obywatel skąd to wie? – pyta. – Prasa pisała – mówię. Spojrzał na mnie, jak na chorego. – Prasa? Toż prasa nigdy nie pisze prawdy!

Przekonanie, że prasa nie pisze prawdy, jest – okazuje się – w szerokich warstwach polskiego społeczeństwa głęboko zakorzenione. Złożyło się na to, jak mi ktoś wytłumaczył, wiele lat prasowego zakłamania, które hulało po naszym kraju. Lecz dzisiaj, w demokratycznej Polsce, czyż możliwe, żeby prasa w dalszym ciągu nie pisała prawdy?! [...] Postanowiłem jednak zaradzić złemu. Mam w Krakowie znajomego redaktora (proszę się tylko nie domyślać). Idę do niego i pytam: – Redaktorze, czy to prawda, że prasa nie pisze prawdy? – Redaktor spojrział na mnie dziwnie. – Jakiej prawdy? –

pyta. No tej, o której podobno wszystkie wróble ćwierkają. – No to po cóż o niej pisać – mówi – i tak, skoro nawet wróble o niej wiedzą, to ludzie na pewno też” (*L., Prasa*, 1945, s. 13-14).

Kisielewski podkreśla tu rozbieżność pomiędzy językiem oficjalnym a prywatną rozmową, czym potwierdza istnienie dwu kanałów przepływu informacji: oficjalnego i nieoficjalnego, ze wskazaniem na nieoficjalny jako bardziej wiarygodny. Autentyczny „bój” toczyć się więc będzie dla niego o prawdę – o podstawową sankcję publicystyki i raczej rzeczowego i uczciwego dziennikarstwa.

W *Sprawach trudnych* np. wyznaje swój rzekomy grzech naiwności; tu figura głupca czy też rola poczciwego idioty pozwala mu sformułować z pozoru naiwne pytanie: „Nigdy nie byłem zbyt rozgarnięty – zawsze sporo czasu upłynęło, zanim rozgryzłem jakieś nowe pojęcie. Przy tym mam skłonność do naiwności, do brania wszystkiego nazbyt serio. Ta właściwość utrudnia mi życie, zwłaszcza dziś. Bo – muszę przyznać – w nowej rzeczywistości orientuję się dość słabo; niektórych terminów, zwrotów, i hasel głoszonych obecnie – nie rozumiem zgoła! I w dodatku peszy mnie bardzo, że – jakoś wszyscy je rozumieją; nikt się nie dziwi, nikt się o nic nie pyta – tylko ja. [I pyta wprost – V.W.M.] Czyżbym naprawdę był taki tępy?” (*L.*, 1946, s. 25).

Poza naiwności, na początku dość jeszcze delikatnie zarysowująca się w ramach strategii powziętej pod wpływem dyskomfortowych okoliczności, niemożność mówienia pełnym głosem, zyskuje z czasem na wyrazistości i wzmocnieniu. Staje się też przesłoną i pewną formą gry, także z cenzurą, gry niepozabawionej wszakże powagi (a chodzi o lata 1945–1948). Kisielewski bowiem znakomicie utrafia w klimat czasu, a pozorna lekkość tonu tylko zachęca do lektury<sup>22</sup>.

<sup>22</sup> Zob.: Mirosław Ryszkiewicz, *Felietony Kisielewskiego w okowach cenzury PRL*, w: *Poetyka i pragmatyka gatunków prasowych*, pod red. Kazimierza Wolnego-Zmorszyńskiego, Rzeszów 1999; tegoż, *Mowa ezopowa w felietonach Kisielewskiego*, „Pamiętnik Literacki” 2002, nr 1; tegoż, *Pisarstwo Stefana Kisielewskiego w okowach*

Chodzi mu jako felietoniście o swobodę myśli i wymiany poglądów, o różnorodność, którą traktuje jako bogactwo. Przyświeca mu przy tym intencja maksymalistyczna, by opisywać i komentować rzeczywistość w całym jej skomplikowaniu, stąd i próby podjęcia dyskusji z przedstawicielami środowiska „Kuźnicy” czy „Odrodzenia”, oczywiście na miarę warunków, jakie daje powojenny PRL. Trzeba też wyraźnie podkreślić, że ma Kisielewski odwagę, by ostro formułować sądy, z lekkością i dowcipem zbijać argumenty marksistów, pozostając przy tym w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem i przekonaniami konserwatywnymi. Poza wszystkim jednak przenikliwie, jak się z czasem okaże, Kisielewski odczyta intencje propagatorów „nowej wiary”, świadom przy tym własnych ograniczeń i ograniczeń miejsca, z jakiego mówi. Za kilka lat będzie jednak wspominał z rozrzewnieniem, że był to najbardziej płodny okres dla skłonności umysłu do kontrydykcji, kiedy najlepsze myśli przychodziły mu do głowy przy krytyce myśli cudzych<sup>23</sup>.

W takim duchu pomyślany jest felieton, którego treść koresponduje z tym, na co zwracał Kisielewskiemu uwagę Tyrmand: nie jest ważne co się mówi i czy mówi się słusznie, ale najważniejsze jest to, kim się jest – zwolennikiem czy przeciwnikiem ideologii? Nie o kwalifikacje więc chodzi, ale o osiągnięcie efektu pozycjonowania oponenta ideowego, który zapędzony w kąt winien przestać upubliczniać swoje „słuszne” poglądy. Na uwagę zasługuje tu zwłaszcza precyzja wywodu, dozowanie argumentów, intelektualna odwaga, z jaką autor ośmiesza schematyzm dialektyki propagatorów marksizmu w kulturze: „Jan Kott – czytamy w felietonie *Kott – wieczny rewolucjonista* – wystąpił w »Odrodzeniu« (nr 37) z atakiem na publicystów »letnich« i »nijakich«, którzy chcą »zamazywać różnice ideologiczne«, a »każdy zdecydowany i stanowczy pro-

---

*systemu (komunikacyjnego)*, w: *Polacy i Węgrzy w Europie. Język, literatura, kultura – paralele i kontakty*, pod red. László K. Nagy’ego, Debrecen 2001.

<sup>23</sup> Zob.: S. Kisielewski, *Dzienniki*, dz. cyt., tu: *Moje zygzaki czyli kronika ideologiczna*, 1965.

gram literacki« uważają za »zamach na literaturę«. Kott zarzuca im oportunizm, brak bojowości, twierdzi, cytując *Ewangelię*, że nie są oni »ani zimni, ani gorący, jeno letni«, proponuje im wreszcie założenie nowego pisma literackiego »Letnia woda« (nb. podobno propozycja ta została przyjęta – zainteresowani proszą tylko o pozwolenie i przydział papieru). Ma tutaj Kott oczywiście na myśli tych wszystkich publicystów, co nie podzielają mocno dziś lansowanych teorii literackich, wywodzących się z marksizmu, teorii, które wciąż kładą w nasze oporne uszy Jastrun, Kott, Żółkiewski i inni. Jak z tego widać, ci, co się sprzeciwiają, są według Kotta »letni« i oportunistyczni, ci zaś, co głoszą prawdy popierane, mile widziane i pożądane – są rewolucyjni i bojowi. Trochę to dziwne – czy Kott »udaje Greka«, czy też działa w dobrej wierze i po prostu – łudzi się co do swojego stanowiska w naszym, pozbawionym papieru, życiu literackim. Chyba raczej to drugie, choć trudno jest uwierzyć, aby ktoś będąc w menażerii nie zobaczył słonia, aby nie dojrzał rażącej dysproporcji pomiędzy prawami i względami, jakimi, w naszej oficjalnej prasie literackiej i jej ośrodkach dyspozycyjnych, obdarza się publicystów typu Kotta. Cóż mi to za rewolucjonista, któremu nie potrzeba – odwagi, obrazoburca – mile widziany, świętokradca – legalny i uświęcony, polemista, który w każdej polemice ma na zakończenie nieodparty i miażdżący epitet – po prostu nazwie przeciwnika »reakcjonistą«. [...] Epitet miast argumentu, zatykanie gęby przeciwnikowi miast dyskusji, uporeczywe wmawianie, że istnieją tylko dwa stanowiska, z których drugie musi być potępione – oto cechy mentalności publicystów typu Kott – Jastrun, publicystów, którzy reprezentują nieznaną dotąd na naszym terenie ciasnotę i jednopłaszczyznowość myślenia, czyniącą z każdej ich wypowiedzi na każdy temat demonstrację tego samego, niezbyt urozmaiconego ani oryginalnego schematu pojęciowo-dialektycznego. Pozorna jasność tego schematu ma być wystarczającą rekompensatą za jego pustkę duchową i nudę. Ale pocieszmy się: dlaczego dzwoni głośny? – bo próżny. Kott, który wziął na siebie »bojową« rolę herolda idei

dobrze widzianych, myli się sądząc, że przewodzi naszemu nurtowi intelektualnemu. W istocie nurt ten omija go, pozostawiając go na brzegu jak hałaśliwą marionetkę, poruszającą się tylko parę kroczków naprzód lub w tył – na druciku” (L., 1945, s. 14-16).

Ten stosunkowo krótki okres do zamknięcia „Tygodnika Powszechnego”, nawet z zaciskającą się z całą mocą pętlą cenzury od 1949 roku, umożliwił jednak felietoniście na publiczne wypowiedzenie tego, co najważniejsze, zwłaszcza w kontekście deficytu publicznej debaty i na postawienie pytań istotnych dla rozumienia PRL-u. Ponadto Kisielewski zdążył poprowadzić wzorcowe polemiki z lewicowymi progresistami, a co najważniejsze – udało mu się dość zasadnicze zakreślenie ram tego sporu, przeniesionego głównie w obszary polityki gospodarczej i kulturalnej<sup>24</sup>.

Wszystko, co wydarza się w publicystyce później, jest w istocie odbiciem tego, o czym mówił Kisielewski do roku 1953. Różnicę stanowić będzie pewna zmiana tonacji, napięcia retorycznego i erystycznego; korektury wcześniejszych rozpoznań i kontynuacje przyjętych oraz uznanych za owocne strategii perswazji – choćby konsekwentna postawa usytuowania się felietonisty „wobec” i „pomiędzy”: ludźmi, sprawami i ideami (ideologiami). Ale mimo tych różnic dostrzegalna też będzie w ich obrębie pewna prawidłowość, dość wyraźna fluktuacja poglądów autora *Dzienników* dojrzewającego do decyzji o wydzwieku radykalnym.

<sup>24</sup> Co do polityki kulturalnej, musiał się Kisielewski mierzyć z tezami propagującymi socrealizm, np.: *Sztuka w walce o socjalizm* (wybór referatów i przemówień ministra Sokorskiego, 1950), Melania Kierczyńska, *Spór o realizm*, Warszawa 1951; Jerzy Putrament, *Na literackim froncie*, Warszawa 1953; Henryk Markiewicz, *Krytyka literacka w walce o realizm socjalistyczny 1944–1954*, Warszawa 1955. Ponadto, np.: Wojciech Tomasik, *Inżynieria dusz. Literatura realizmu socjalistycznego w planie „propagandy monumentalnej”*, Wrocław 1999; Mariusz Zawodniak, *Zaraz po wojnie, a nawet przed... O przygotowaniach do socrealizmu*, „Teksty Drugie” 2000, nr 1-2; tegoż, *Literatura w stanie oskarżenia. Rola krytyki w życiu literackim socrealizmu*, Warszawa 1999.

W 1953 roku zamknięcie „Tygodnika Powszechnego” skazało felietonistę na milczenie, wcześniej – w 1949 roku za niewłaściwy stosunek do dyrektyw estetycznych w muzyce zalecających socrealizm – przeżył boleśnie usunięcie go z etatu wykładowcy Akademii Muzycznej w Krakowie<sup>25</sup>. Potrzebował więc – jak i wielu innych inteligentów pozostających w tamtym czasie bez pracy – wsparcia, i takie też z emigracji systematycznie otrzymywał<sup>26</sup>.

Emigracja jako taka, przyjaciele na emigracji i w kraju jako temat pojawiają się sygnalnie w dyskrecyjnym obiegu, na który znajdujemy dowody piśmienne także co najmniej od roku 1953. Świadczyć może o tym korespondencja przebywającego na Zachodzie od 1951 roku Miłosza z Jerzym Giedroyciem, z której wynika jednoznacznie, że o Kisielewskim pamiętano i dbano o poprawę jego nieciekawej wówczas sytuacji bytowej. Trzeba w tym miejscu wspomnieć o paczkach, które przychodziły doń przez dwa lata, a które wysyłała Aniela Mieczysławska z domu Lilpop, przebywająca po wojnie w USA. Ona starała się o różnego rodzaju wsparcie, zarówno dla znajomych jak i przyjaciół rozproszonych po świecie, i po wojnie mieszkających w kraju. Na tej liście znalazł się więc i Kisielewski.

<sup>25</sup> Zob.: Michał Szyszka, *Droga klerka. Filozofia sztuki Stefana Kisielewskiego*, dz. cyt.

<sup>26</sup> W rozmowie przeprowadzonej przez Piotra Gabryela z Kisielewskim w 1990 roku, autor *Widzianego z góry* o doświadczeniu pozostawania bez środków do życia powiedział: „Wiele razy przez wiele lat, ale za każdym razem ratowała mnie muzyka. Ona jest apolityczna, nie zna granic i zamiast dzielić – łączy. Przed wojną przez kilka miesięcy muzyka pomagała mi przetrwać najgorsze chwile, gdy doszło do tego, że zmuszony byłem skorzystać z zasiłku. No, ale wtedy to była inna sytuacja, byłem jeszcze przy rodzicach, więc głód mi w oczy nie zaglądał.. W czasie okupacji też przez długi czas utrzymywałem się, przygrywając do kotleta. A po wojnie? Cóż, wiadomo. Komuniści mnie nie kochali, nie raz, nie dwa byłem bez pracy i wtedy też – gdy napisałem coś pod pseudonimem o muzyce, gdy coś skomponowałem – udawało mi się to »sprzedać« i jakoś związać koniec z końcem”. *Bezrobocie anormalne, w: Stefan Kisielewski, Abecadło Kisiela, Testament Kisiela. Ze Stefanem Kisielewskim rozmawia Piotr Gabryel*, wstęp Tomasz Wołek, Piotr Gabryel, posłowie Mariusz Urbanek, Warszawa 2011, s. 202.



Na pewno pomógł Kisielewskiemu też, poza wsparciem materialnym i duchowy kontakt z Zachodem. Wzmocnił go w poczuciu, równie ważnym jak materialna pomoc, że nie jest pozostawiony samemu sobie, że jest, mówiąc być może z pewną przesadą, przedstawicielem „krajowych niezłomnych”, ideowych oponentów, twórców marginalizowanych i zmuszanych do wewnętrznej emigracji. Wykluczanych z oficjalnego dyskursu i z tej choćby racji zasługujących na wsparcie. Na marginesie należy dodać, że w korespondencji między Giedroyciem i Nowakiem-Jeziorańskim pojawiają się również wzmianki o Kisielewskim, niewątpliwie ciekawe i wzbogacające profil felietonisty „Tygodnika”. Przybliżają np. stan jego ducha, stosunek do kolegów po fachu robiących karierę w PRL-u w tym samym czasie, w którym on przeżywał głęboki kryzys zawodowy.

Dla przykładu – 4 marca 1955 roku Giedroyc pisze do Nowaka-Jeziorańskiego, cytując fragment z listu Kisiela: „Zaskoczony jestem jego [Kisielewskiego – V.W.M.] stosunkiem do Panufnika. Pisze mianowicie: »Wspomina Pani [zwrot konspiracyjny kamuflujący adresata i autora jednocześnie – V.W.M.] o Andrzejku [Panufniku – V.W.M.]. Muszę powiedzieć, że nie mogę myśleć o nim bez gniewu: powinny być przecież granice kameleonowości – bezczelności też (że już nie wspomnę o braku organu szczątkowego w postaci mózgu – to ostatecznie nie jego wina). Postać nieciekawa, choć artysta (a może właśnie dlatego?! – *vide* Krasiński o »strumieniu piękności«). Nie bardzo rozumiem”<sup>27</sup>.

Nowak-Jeziorański, odpowiadając 7 marca 1955 Giedroyciowi, najprawdopodobniej jako pierwszy postawę Kisiela kwalifikuje jako „emigrację wewnętrzną”<sup>28</sup>: „Dochodzą mnie różne głosy z Kraju, które potwierdzają negatywną opinię Kisielewskiego o Panufniku. Wydaje mi się, że rozumiem reakcję Kisielewskiego. Wyrzekł

<sup>27</sup> Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy 1952–1998*, wybór, opracowanie i wstęp Dobrosława Platt, Wrocław 2002, s. 63.

<sup>28</sup> Tamże, s. 65.

się całkowicie publicystyki, pisuje tylko »do poduszki«, poszedł na wewnętrzną emigrację, co dla każdego dynamicznego pisarza musi być wielką ofiarą. Panufnik – póki był w kraju – poszedł w przeciwnym kierunku: składał na prawo i lewo propagandowe oświadczenia i występował w roli czołowego artysty reżymu. Obecnie Panufnik jest oklaskiwany na Zachodzie, a Kisielewski, który pozostał w Kraju – cierpi dalej w milczeniu. Wywołuje to oczywiście ludzkie uczucie złości”<sup>29</sup>.

Nie może zatem dziwić, że odwilż 1956 przyjmować będzie Kisielewski z ogromną ulgą i być może także przeceni jej znaczenie, zwłaszcza na początku. Zachłystuje się propozycjami, jakie wówczas otrzymuje, a tę – być może zadziwiającą nas dzisiaj najbardziej – radykalną, związaną z przedzierzgnięciem się z publicysty w czynnego polityka, traktuje prawdopodobnie najpoważniej.

Dlaczego? Wspomniałam o frustracji wykluczenia. Nie do końca jednak frustracja tłumaczy tę radykalną decyzję wejścia Kisielewskiego w świat polityki w roli oponenta władzy, tym bardziej że tak świetnie wyczuwał on nie tylko tużpowojenne nastroje. Miał przecież sporą wiedzę (świadczą o tym choćby publikowane artykuły) o markowanym przez władze „sporze” o pryncypia. Sygnalizował w felietonach informacje o nierównych prawach stron do prowadzenia dyskusji ideowej w latach 1945–1948, zwłaszcza że pisał wówczas o koniecznych zgodach na uruchomienie każdego nowego tytułu i reglamentacji papieru, o koncesjach. Podkreślał też najczęściej jednostronne ustępstwa mocodawców i mentorów „Tygodnika Powszechnego” wobec centralizujących rynek prasy marksistów. Był więc w pełni świadom gry, jaką prowadzili komuniści. Znał cenzurę z autopsji, zmieniała ona nie tylko powojenną publicystykę w sposób bezpośredni poprzez prewencyjne skreślenia, jej działania były także wyrafinowane, niewidoczne: dotyczyły określania nakładu pisma, wymiany zespołu redakcyjnego itp.

---

<sup>29</sup> Tamże.

Wspomniane ograniczenia, a z czasem wyraźne restrykcje, docelowo miały zmniejszyć – by nie powiedzieć – zmarginalizować znaczenie „Tygodnika Powszechnego” i innych tytułów, które po wojnie, mimo niesprzyjającej atmosfery, podjęły jednak próbę odbudowy pluralistycznej potencji rynku medialnego.

Powraca zatem pytanie – dlaczego Kisielewski tak zaryzykował? Nie sposób wyjaśnić do końca tej decyzji, ale można wskazać inną przesłankę, jaka pojawia się w rozmowie felietonisty z Leopoldem Tyrmandem. Kolaboracja, tak nazywa przecież Kisielewski współpracę z władzą, zagospodarowywanie wspólnej przestrzeni możliwego porozumienia, wejście w obszar oryginalnych usług i wymagań, wykraczających poza możliwości gorliwych wykonawców systemu – to jego sposób na pożyteczne życie w PRL-u. To rodzaj ketmanu opisanego przez Miłosza, jakiś wariant tej postawy, może mniej cyniczny. Usprawiedliwiony przede wszystkim rosnącym ograniczeniem pól aktywności, wynikającym rzecz jasna z rozwoju monopartii. Ponadto Kisielewski przystępuje do tej roli z czystymi intencjami i nie musi też w sobie niczego „przepracowywać” i z niczego się tłumaczyć. Zawsze występuje z pozycji konserwatywnych – zarówno wtedy, gdy publikuje po wojnie, jak i po roku 1956. Wychodzi z założenia, że nie należy ułatwiać komunistom pracy, a tym byłoby porzucenie pola ideowego sporu i niewłączenie się w dyskurs (także estetyczny), co byłoby równoznaczne z rezygnacją z publikowania w kraju, mimo cenzury i z funkcjonowania w oficjalnym obiegu. Podobnie sądził i Roman Palester, dla którego z kolei odbudowa instytucji muzycznych nie miała partyjnej czy ideologicznej barwy, do czasu oczywiście.

Świadomość niemożności spełnienia się w roli rasowego felietonisty po styczniowym zjeździe szczecińskim 1949 roku stanowi istotę przesłania Kisielewskiego w *Pożegnaniu z felietonem*. Interesującego, mowa w nim o frustracji, o męczącej kakofonii i zapętleniu; tu autor również

wyjawia powody, dla których pisanie uważał do niedawna za ważne i mające sens: „W młodości (tj. w 1945 roku – O Roku UFF!) inne co prawda hodowałem w duszy marzenia. Śniła mi się kariera kieszonkowego Rejtana i zmotoryzowanego Stańczyka, chciałem za pomocą błaznowania robić wielką politykę. O jerum, jerum, jerum! Widać polityk ze mnie, jak z koziej... głowy trąba, bo oto zostało mi tylko – błazeństwo. I to – kiepskie. Nikt się już nawet na mnie, poza Borejszą, nie oburza. Zramolał stary Kisiel ze szczętem – mówią – zlął na psy, jak Gałczyński; *Zielonej Gęsi* czytać już nie można, *Pod włos* jeszcze można – ale po co?! Zamienić tekę Rejtana na tekę Sancho Pansy – o, panowie, trzymajcie mnie, bo upadnę! Ten ból jest ponad siły, niewypowiedziany – zaprowadźcież mnie w miejsce ciche a ustronne. Chcę być sam” (L., *Pożegnanie z felietonem*, 1949, s. 86).

Z punktu widzenia naszych rozważań felieton kończą ważne słowa. Określa się w nim autor jako „opozycjonista” i liberał. Okrzyk: „Niech żyje liberalizm! Niech żyje ten, kto umarł!”, który wybrzmiał w okolicach Wielkanocy, dowodzi trafnej analizy sytuacji, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę dyrektywy zjazdu szczecińskiego, a w kontekście ustaleń co do rozwoju muzyki – łagowskiego. Zjazdy te potwierdziły to wszystko, czego symptomy pojawiły się w dyskusjach marksistów znacznie wcześniej, tj. zaraz po wojnie. Felieton profetycznie, acz przewrotnie zapowiada rzeczywistość choć na szczęście czasową „śmierć publicysty”. Przewiduje konsekwencję zamknięcia „Tygodnika Powszechnego”, funkcjonującego w dotychczasowym kształcie i zarazem powrót Kisielewskiego wraz z odwilżą do publicznej aktywności.

Do 1953 roku udaje się, z coraz większym trudem zresztą autorowi, realizować program względnej niezależności i osobności, a 5-lecie krakowskiego pisma daje nadto asumpt do refleksji natury ogólniejszej. Bezdyskusyjna była wówczas oryginalność tego pisma, szczególnie na tle krajowego rynku prasy, i osobność felietonisty, niejako zrzucającego z każdym kolejnym felietonem, błazeńską maskę.

Tak właśnie można potraktować jego słowa z felietonu z 1950 roku *Refleksje pojubileuszowe*: „Jest wokół nas wiele zastarzałych nałogów, stwardniałych zrostów psychicznych, nie przewietrzonych nastrojów. Z jednej strony wywodzą się one z pozostałości ciasnego, partykularnego a zajadłego, nietolerancyjnego a nierzadko obłudnego lub szowinistycznego i brutalnie apodyktycznego »konformizmu«, z drugiej strony – z nawyczek taniego »libertyńskiego«, a w istocie z oziębłości serca i nieruchawości umysłu płynącego sceptycyzmu i indyferentyzmu, czasem zgoła cynizmu. Między tą Scyllą a Charybdą przychodzi płynąć, przezwyciężając w dodatku oporność prądu; oporność ta to tradycyjny polski antyintelektualizm, brak potrzeby integralnego, koncentrycznego światopoglądu, brak zrozumienia dla emocji filozoficznych, brak zajadłości w walkach umysłowych, brak, na który tak się uskarżał Irzykowski, którym tak pogardzał Brzozowski. Katolicyzm był zewnętrznym, płytkim, formalnym, lecz trzymał się, bo takiż sam okazywał się atakujący go sceptycyzm. [...]

Jak układa się paradoksalna na pozór współpraca pomiędzy liberalnym »wolnym strzelcem« a katolickimi inkwizytorami?” (*L., Refleksje pojubileuszowe*, 1950, s. 99-101).

Odpowiedź Kisielewskiego nie zaskakuje: nie do uniknięcia są konflikty z „konformistycznym” skrzydłem pisma, największą jednak wartość stanowią: tolerancja, pewien luz i oddech środowiska, szeroki i interesujący wachlarz nietuzinkowych współpracowników „Tygodnika Powszechnego”. Wszystkie te atuty pozwalają mu ostatecznie realizować ze sporą konsekwencją koncepcję osobności, jednocześnie narażając na permanentne ataki, do których (o paradoksie) po latach będzie tęsknił, teraz – raczej go drażniące. Ataki te, przyczyniwszy się wprawdzie do zamieszania wokół osoby felietonisty, niewątpliwie dodawały mu i splendoru; był rozpoznawalny i znany.

W 1952 roku Kisiel pisze: „Zarzucają mi [...], że działam na czytelników moich felietonów rozkładowo, że propaguję zgniliznę w postaci pesymizmu, cynizmu czy zgoła jakiegoś niby egzystencjalizmu, że z niniejszej rubryki wieje sceptycyzm i ironia wobec wszel-

kich pozytywnych rzeczy i spraw tego świata, że zajeżdża to o milę »drobnomieszczańskim« czy »mieszczańskim« indyferentyzmem, że brak mi jakiegokolwiek ideowości, że cuchnę starym trupem [...], że w ogóle brudzę swoją postawą świetlane ramy »Tygodnika«, a także deprawuję młodzież tudzież co bardziej do zgnilizny skłonnych dorosłych, że nie mam w istocie światopoglądu, lecz tylko migotliwość i giętkość intelektualną, za pomocą której wcielam się w rozmaite postawy i zabarwienia psychiczne, działając na nie, mimo pozorów, szkodliwie, rozkładowo, że, słowem, istna ze mnie bakteria, mikrob, robak trumienny i w ogóle glista [...]” (*L., Rozkładowość (felieton o działalności własnej)*, 1952, s. 147).

Jak postrzega siebie? „Uważam się – powiada – za osobnika pozytywnego i posiadającego światopogląd [...]” (*L., Rozkładowość...*, s. 147). Światopogląd – dopowiedzmy nadto – osiągniany w procesie osobistego wzrostu, wynikły ze świadomości i poczucia dysponowania własnym stylem nie do podrobienia, charakteryzującym się swoistym rytmem myśli, temperaturą odczuć i uczuć. „Zawsze skłonny jestem – pisze dalej Kisielewski – bardziej ufać temu, kto będąc przekonany nie potrafi tego uargumentować, niż takiemu, co ma na podporządku arsenał precyzyjnych argumentów. Ten pierwszy dostaje dreszczy, wykręca głowę, czerwienieje, bełkocze, rzezi (przykład Antoni Gołubiew), zatem męczy się – a więc jest w ruchu; ten drugi natomiast zalatuje bezruchem, śmiercią, to nie człowiek, to preparat w formalinie, to duchowy umrzyk”. Dalsza część wypowiedzi zdradza intelektualne upodobania Kisielewskiego: „[...] przekonanywa mnie światopogląd kotłujący się wewnątrz człowieka, zawiślany, rozmigotany, różnopłaszczyznowy, przeczący sam sobie, czasem wstydlivy, nieskory do pokazania się światu w stroju z gołych, choćby bardzo jasnych słów [...]” (*L., Rozkładowość...*, s. 149).

Można w tym miejscu zaryzykować konkluzję: przede wszystkim interesuje Kisielewskiego żywy człowiek, zmienny świat, sam miąższ życia, nieprzewidywalność, ale i byłaby to jedynie część prawdy, gdybyśmy na tym poprzestali.

Dąży bowiem Kisiel jako felietonista nie tyle do wiernego opisu ludzkiego świata, ile do jego zmiany; chciałby ostatecznie być publicystą „interwencyjnym”, swego rodzaju językowym „performerem”, który istotnie wpływa myślą i słowem na rzeczywistość, aranżuje wybory i postawy, porusza i inspiruje. I w tym pragnieniu odnajdujemy też symptomy na potwierdzenie, że w istocie ze wszystkich ról, jakie miał Kisielewski szansę odgrywać w życiu, rola publicysty „zaangażowanego” była dlań najważniejsza. Pisarstwo jednak to co innego, ono wymagało odeń większej cierpliwości i innego rodzaju profetyzmu, a zwłaszcza po stronie wymagań warsztatu – skrycia się autora u podstaw przedstawionego świata, dbałość o to by powieść nie „ześliznęła się” w publicystykę, a historia nie została zbyt pośpiesznie opowiedziana<sup>30</sup>.

Autor felietonów w połowie lat 50. niebezpiecznie zmierzał także do polityki. Ale czy miał szansę stać się autentycznym politykiem w nieautentycznym systemie, tolerującym jedynie kadłubową opozycję – jak mawiał – „Jego Królewskiej Mości”? Cóż, z pewnością miał wówczas prawo tak myśleć, zwłaszcza w kontekście pierwszych oznak odwilży.

### Publicysta czy polityk? Ile potrwa odwilż

„Znowu wydajemy »Tygodnik Powszechny« i to ten stary, reakcyjny, czyli po nowemu postępowy, a nie ten drugi, postępowy, czyli właśnie reakcyjny. Bo świat się przekreślił [...]. Wszystko się w Pol-

<sup>30</sup> Niewątpliwie najbardziej wyrazistym znakiem pisarstwa Tomasza Stalińskiego jest realizm. Zob.: Konrad W. Tatarowski, *Realizm – ale jaki? Uwagi o pisarstwie Tomasza Stalińskiego*, w: *Stefan Kisielewski. Kisiel 1911–1991–2011*, dz. cyt., s. 135–164; Paulina Orłowska, Jan Tomkowski, *Zawsze w Warszawie. O powieściach krajowych*, w: *Stefan Kisielewski. Kisiel 1911–1991–2011*, dz. cyt., s. 107–134.

se zmieniło i pomieszało, posłuchajcie tylko: ci, co siedzieli w ciupie, siedzą w ministerstwie, ci, co siedzieli w ministerstwie (bezpieczeństwa), siedzą w ciupie [...]”<sup>31</sup> – pisze Kisielewski w święta Bożego Narodzenia.

Karuzela zmian politycznych musiała nim wstrząsnąć. Co do ewentualnej ich trwałości, trudno było publiczście wówczas wyrokować – to zrozumiałe. Utwierdza się jednak w przekonaniu, że potrzeba reakcji społecznej po doświadczeniu powojennego 10-lecia była autentyczna i usprawiedliwiona, zrozumiała zwłaszcza po okresie twardego i krwawego stalinizmu. Jak pisze: „Tak więc absolutnie wierzę w autentyczność przemiany w Polsce (to znaczy – w autentyczność impulsu), choć absolutnie nie wiem, co będzie dalej i jak się cała rzecz może obrócić [...]” (*L., Nowy rok bieży*, 1957, s. 168).

Nie będąc do końca przekonanym, przekonać próbuje jednak emigrację, ustawiając siebie w roli tłumacza, pośrednika zmian, rezo-nera odnowy, tym razem rzecznika spraw polskich, wychodzącego z mediacją na zewnątrz poza granice kraju. To bardzo niewygodna rola – jak się później okaże, mimo że Kisiel ma odwagę powiedzieć i to: „Ale czasem, w chwili zwątpienia, i mnie nachodzi podejrzenie, czy to aby nie lipa” (*L., Nowy rok bieży*, 1957, s. 168).

Pisze jednakże do Giedroycia w liście z września 1956: „Sytuacja w Polsce? Podobno nie wierzycie w »odwilż« – ale nie macie racji.

<sup>31</sup> *Remanent świąteczny czyli świat na nogach (felieton z makiem, pieprzem i wazeliną), Lata pozłacane...*, 1956, s. 159. A jeszcze 3 lata wcześniej pisał do Giedroycia; list nie zachował się, pojawia się jedynie jego wzmianka w korespondencji z Juliuszem Mieroszewskim: „[...] miałem informacje od Kisielewskiego (to poufne), że reżim wznawia »Tygodnik Powszechny«, ale z redakcją społecznych katolików, to jest »Słowa Powszechnego« z całkowitym wyeliminowaniem nie tylko dawnej redakcji, ale wpływów biskupich. I rzeczywiście dziś dostałem »T.P.« do złudzenia zrobiony na stary (zresztą w tej samej drukarni), z datą 12 lipca. Nie ma wytłumaczenia przerwy, numer wygląda tak, jakby w ogóle przerwy nie było. Jest on równie jałowy i nudny, jak prawdziwy »Tygodnik«”. Jerzy Giedroyc, Juliusz Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, cz. 1, wybrał i wstępem poprzedził Krzysztof Pomian, przypisami i indeksami opatrzyli Jacek Krawczyk, Krzysztof Pomian, szkicem o Mieroszewskich i Mieroszewskim uzupełnił Piotr Wandycz, Warszawa 1999, s. 296.



Odwilż to bardzo głęboki i długofalowy proces, zapoczątkowany w Rosji, którego konsekwencje mogą być nieobliczalne. Dotychczasowe rezultaty już są ogromne: wypuszczenie ludzi z więzień, zaprzestanie prześladowań za »pochodzenie klasowe«, złamanie wszechwładzy UB, reforma sądownictwa, likwidacja terroru »personalnych« w instytucjach, przyznanie pewnych uprawnień sejmowi, złagodzenie nacisku na przedsiębiorstwa prywatne, wielkie luzy w kulturze – to są rzeczy dla narodu doniosłe. Oczywiście – nie oznaczają one likwidacji totalizmu – to sprawa na dziesiątki lat, a pokolenie działaczy wychowanych na totalizmie nie chce ustąpić z placu ani w Rosji, ani w Polsce. Ale odwilż to zjawisko głębokie”<sup>32</sup>.

Argumentacja przekonywająca w każdych warunkach. Dodatkowo, dla konserwatysty myślenie o ewolucyjnym charakterze zjawisk społecznych i gospodarczych jest czymś oczywistym i niespecjalnie dziwi. Ale refleksja o zasadach zmian po wschodniej stronie żelaznej kurtyny, przychodzi dopiero po pewnym czasie. Kisiel odkryje w latach 60. paradoksalną zależność: tylko rezygnacja z poprawiania systemu realnego socjalizmu prowadzić może do jego rzeczywistej liberalizacji. Ta właśnie kwestia będzie źródłem dość ostrego sporu między nim a Juliuszem Mieroszewskim, głównym publicystą politycznym „Kultury”<sup>33</sup>.

Po ponad 30 latach życia w realnym PRL-u, wzbogacony o doświadczenie paru przełomów i przesileń politycznych, posiadając głębokie rozeznanie w mechanizmie rujnującej publicystykę cenzury, powie w roku 1980 Kisielewski: „Przeżyłem już w Polsce Ludowej parę tak zwanych prasowych »odwilży« i wiem mniej więcej, jak się wtedy zachowywać, czyli »ustawiać«. Przede wszystkim trzeba prędko i dużo mówić, aby zdążyć wygadać to, co się ma na sercu, zanim będzie za późno. Oczywiście, nie jest wcale pewne,

<sup>32</sup> J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy...*, dz. cyt., cz. 1, s. 19.

<sup>33</sup> Zob. więcej: R. Habielski, *Kusy, Łysy i Książe*, dz. cyt., s. 164-192.

czy i tak się uda, bo cenzura nic sobie nie robi z powszechnego potępienia swej działalności i dalej uważa się za państwo w państwie. Na przykład: pan Mieczysław Rakowski popolemizował w telewizji z moim felietonem *O słowach bez adresu i o spokoju* («Tygodnik Powszechny» 28 IX). Bardzo lubię reklamę telewizyjną, a od roku 1968, kiedy to pod adresem moim i Jasienicy padały z małego ekranu przeróżne zawołania, nastąpiła niestety w tej dziedzinie głucha próżnia, czyli telewizyjny trup, grób, ciemna mogiła. Ucieszyłem się więc, zwłaszcza że Redaktor Rakowski polemizował kurtuazyjnie, jednakże w jego wypowiedzi był jeden mankament: on myślał, że polemizuje z moją wypowiedzią. Tymczasem ja owego felietonu nie napisałem. NAPISANY ZOSTAŁ PRZEZ CENZORA. Moja wypowiedź na poruszony przez Rakowskiego temat liczyła sobie bowiem 176 wierszy, cenzor skreślił lub zmienił 86, czyli niemal połowę. To nie ja się zatem ustawiłem, to cenzor mnie ustawił, a Mieczysław Rakowski uderzył w tak ustawioną atrapę, sądząc, że uderza we mnie. W ten sposób cenzor zrobił tzw. balona (niektórzy mówią »wała korbowego«) zarówno z p. Rakowskiego, jak i z milionów telewidzów. Czy znowu ujdzie mu to na sucho?» (*L., Odwilżowe remanenty tudzież wesolków zabawy*, 1980, s. 605)<sup>34</sup>.

Wróćmy jednak do odwilży 1956. Przeprowadza wówczas Kisielewski analizę postaw niedawnych gorliwych wyznawców systemu. Ich ideowa wolta budzi jego najszczerze zdziwienie. Co bodaj cenniejsze, pisze o tym w czasie słabiej funkcjonującej cenzury; mamy więc dzięki temu szansę obcować z autentycznym nastrojem publicysty i jego najmniej ocenzurowaną wypowiedzią. Słowem – nie może Kisielewski tak łatwo jak inni przejść do porządku nad tym, co się wydarzyło, gdy wspomniani „inni” „beztrosko pobiegli naprzód”, choć skądinąd wiadomo, że on sam będzie w tym samym czasie pro-

<sup>34</sup> Zob.: Marta Fik, *Cenzor jako współautor*, w: *Literatura i władza*, Warszawa 1996.

klamował „literacką amnestię”, a zatem nie zechce być sędzią gorliwych wykonawców estetyki socrealistycznej, kolegów po piórze, nie będzie zainteresowany ich rozliczeniem i publicznym wyjawieniem powodów ich nagłej konwersji. W każdym razie z takim apelem nie wystąpi publicznie. Zwraca na ten fakt uwagę Rafał Wardzyński<sup>35</sup>, rekonstruujący odwilżowe dyskusje na forum ZLP i na rolę, jaką odegrał w nich Kisielewski. A może autor *Widzianego z góry* nie chciał stawiać w sytuacji skrajnie niewygodnej marksistów i eks-stalinistów, bo planował z nimi współpracę? Może to cena, jaką brał pod uwagę i uznał, że jest do przyjęcia, jeśli miał szansę wystąpić w zgoła innej roli – w roli polityka? Może więc był to kompromis wykalkulowany, który nie przeszkadzał mu jednak nadal się dziwić i pisać o absurdach?

„Do jakichże ekwilibrystycznych, rozpaczliwie śmiałych wysiłków – pisze w felietonie z 1957 roku *Kraj wielkiej przygody* – zdolny był umysł, któremu kazano udowodnić, że dwa razy dwa jest pięć albo że słońce świeci u nas w nocy. Jakież rozbudowane i uporządkowane, monolityczne systemy intelektualne powstawały »na bazie« zwykłego, wymuszonego siłą czy tylko zasugerowanego cieniem cienia przestachu a nawet łagodniejszymi perswazjami – głupstwa. Ileż patetycznych wysiłków moralnych włożono, aby całą rzecz uzasadnić i uprawdopodobnić przed sobą samym, iluż najporządniejszych ludzi robiło najidiotyczniejsze i najpotworniejsze rzeczy w najlepszej wierze, jakże nowe i trudne krainy z pogranicza intelektu i moralności odkryto mimochodem, pod jakimże frapującym znakiem zapytania postawiono wszystkie »niezlomne i nieugięte« prawa logiki i nauki: wszakże odrobina lęku a nawet nie lęku, tylko jakiejś dziwnej niepewności czy zwątpienia wystarczyła, aby najuczciwsi profesorowie z najbardziej siwymi brodami, z najnieśmiertelniejszą powagą głosili wszem wobec najzabawniejsze

<sup>35</sup> Zob.: R. Wardzyński, *Na forum Zjazdów Delegatów ZLP w latach 1956–1967*, dz. cyt., s. 223-260.

brednie, czyniąc to w dodatku z największym namaszczeniem i ze szczerym poczuciem własnej ważności i dobrze spełnionego obowiązku. [...]

Jest parę słynnych w świecie książek o problemach »czasów perfidii«, książek takich, jak *Rok 1984* i *Ferma zwierząt*<sup>36</sup> Orwella, jak *Ciemność w południe* Koestlera i nasz *Zniewolony umysł* Miłosza. Ze wszystkich tych książek najgłębsza okazała się, sędzę, powieść Koestlera. Dlaczego? Bo jego potworny prokurator Gletkin jest intelektualnie i, co ważniejsze, moralnie przekonujący – ani na chwilę nie mamy wątpliwości, że swoje straszliwe śledztwo prowadzi on z pobudek ideowych, w dobrej wierze. Wczytując się w tę książkę doznałem w pewnej chwili przejmującego wrażenia, że Gletkin ma nieodpartą, ideową i intelektualną rację i że gdybym był podsądnym, od młodości przekonany marksistą Rubaszowem, a nie miał odtrutki w postaci światopoglądu spirytualistycznego, dałbym się również przekonać, oskarżyłbym się sam o nie popełnione zbrodnie i zginąłbym w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku społecznego. Irracjonalizm ratuje czasem przed obłędem, powodowanym przez czysty racjonalizm. [...] Może zasady jakiejś absolutnej oceny moralnej szukać należy jedynie w intencjach? Gdy dzisiaj masa ludzi wczoraj jeszcze służących kłamstwu mówi bardzo precyzyjnie całą prawdę, bynajmniej mnie to nie cieszy. Dowodzi to bowiem, że oni tę prawdę znali dokładnie cały czas, że po prostu działali świadomie w złej wierze. Znacznie bliżsi mi są ci, co milczą, co przeżywają dramat załamania czy komedię dezorientacji, co nie mogą się zdobyć bez wewnętrznej pracy nad nazwanie czarnym tego, co wczoraj nazywali białym. Nie wierzę nie tylko w moralną, ale i intelektualną wartość ludzi w nic wewnętrznie nie zaangażowanych, nie umiejących się zaangażować” (*L.*, s. 164-166).

Znaczące w perspektywie późniejszych działań publicznych (dziennikarskich, pisarskich i politycznych) mogą być uwagi Kisie-

<sup>36</sup> Chodzi o *Folwark zwierzęcy*.

lewskiego o istocie zaangażowania publicystów w socrealizm i komunizm. To kwestia kluczowa, także podnoszona w publicystyce emigracyjnej. „Słyszałem niedawno dyskusję na temat właśnie klanu ludzi – czytamy w felietonie *Wrocław – Londyn – Okocim. Panu Ministrowi Adamowi Rapackiemu* – którzy z istoty swego zawodu nie powinni rzekomo nigdy się angażować. Chodziło o dziennikarzy. Ktoś atakował niektórych dziennikarzy warszawskich, że piszą po gazetach czy mówią przez radio rzeczy akurat przeciwne, niż mówili pół roku temu, i twierdził, że w imię moralności publicznej winni być zluźowani przez innych. Ktoś drugi bronił ich dowcipnie a cynicznie. Twierdził, że po pierwsze w Polsce centralne funkcje publiczne niezależnie od panującego »etapu« politycznego spełniać muszą zawsze ludzie, którzy... mają mieszkania w Warszawie, bo trudniej o mieszkanie niż o zmianę poglądów, po drugie zaś, że zawód dziennikarza nie jest ideowo-merytoryczny lecz techniczny: dziennikarz transmituje każde poglądy, podobnie jak zawodowy dyplomata realizuje każdorazowo różną politykę różnych ministrów spraw zagranicznych”<sup>37</sup>.

Ostatnie zdanie jest tu szczególnie wymowne, chodzi bowiem o kluczową sprawę dotyczącą dziennikarskiej profesji. Kim jest dziennikarz, w czym zawiera się jego społeczna rola? Czy ma prawo do własnych poglądów, czy tylko do ich prezentacji? Czy ideowe konwersje w tym z ducha publicznym zawodzie są znakiem skrajnego cynizmu, czy może zwykłego serwilizmu? Kogo dziennikarz reprezentuje i w czym imieniu występuje w przestrzeni publicznej agory?

Oczywiście wówczas, gdy Kisielewski stawia ten problem, konflikt jest oczywisty i narzuca się samoistnie. Gdzie w istocie przebiega granica zawodowego „musu” i sumienia? Zapewne tak należałoby postawić pytanie, bo sam Kisielewski jest przekonany, że

---

<sup>37</sup> Zob.: R. Wardzyński, *Na forum Zjazdów Delegatów ZLP w latach 1956–1967*, dz. cyt., s. 166.

taka granica być musi, bo w tym zawodzie, jak w każdym innym, wymagana jest elementarna uczciwość, zgodność z samym sobą i sumieniem. Jeśli będąc publicystą „pracuje się w słowie”, a tak przecież jest, należy stać na straży „honoru słowa”, bo ono zobowiązuje. Doświadczenia własne i obserwacje środowiska, zwłaszcza po latach, pozbawiają go jednak wszelkich złudzeń i napawają goryczą.

Po restrykcjach 1968 roku notuje w dzienniku pod datą 14 czerwca 1968: „Korespondent »Trybuny Ludu« w Bonn, zwolniony z pracy Artur Kowalski, odmówił powrotu. Oczywiście nazywają go niktzemnikiem i zdrajcą, co mnie śmieszy, bo niby dłaczego człowiek nie ma mieszkać, gdzie chce. Tylko jedna rzecz: ten Kowalski do ostatniej chwili pisywał bzdury i kłamstwa, jakie mu kazali. I pisałby dalej, gdyby go nie wezwano do powrotu. A więc nikt nie szanuje honoru słowa pisanego, każdy z lekkim sercem podejmuje się ogłupiania społeczeństwa (Męclewscy, Kąkole, Podkowińscy etc.), Żydzi, nie-Żydzi, a po prostu świnie” (*D.*, s. 26)<sup>38</sup>.

Kisielewski – szczególnie po odwilży 1956 staje przed dylematem: chciałby uczciwie uprawiać zawód publicysty politycznego, z drugiej zaś strony – rozważa zajęcie się „na serio” polityką. Wątpliwości okazują się tym bardziej zasadne, jeśli weźmiemy pod uwagę jego późniejsze wynurzenia z 1957 roku. Kisielewski zdaje się dobrze wiedzieć, czym jest polityka i jakich wymaga kompromisów, wie też, że jest to zajęcie sprzeczne z jego własnym temperamentem. Znowu chodzi tu o ewentualny konflikt, który wypada rozważyć: konflikt między działaniem a słowem, intencją czynu a nieskrytością myśli.

„Od dwunastu lat nie piszę tego, co myślę. W najlepszym przypadku piszę niezupełnie to, co myślę: przykrywam i przystosowuję do celów politycznych, pamiętając o zaleceniach Talleyranda, że mowa służy do ukrycia myśli. Polityk mówi zatem nie po to, aby

<sup>38</sup> Wątek wielokrotnie podnoszony przez emigrację. Zob. rozdział: *Intelektualiści znad Wisły w komentarzach Radia Wolna Europa*.

obnażyć przed słuchaczami swoje wnętrze, ale po to, aby osiągnąć coś konkretnego. [...]

Co prawda, niżej podpisany nie potrafi jeszcze dotąd skryształizować swoich zamiarów: czy chce być kieszonkowym Talleyrandem, który mówi tylko to, co sobie postanowił, aby osiągnąć rzeczy konkretne, czy też wybiera Reytanowe, demonstracyjne mówienie całej prawdy, bez względu na negatywny lub pozytywny tego rezultat. [...] Próbuję ratować swą twarz człowieka prawdomównego przy mrużając lewe oko, lecz w dzisiejszych czasach nie ma warunków, aby ktoś takie przymrużenie dojrzał. W rezultacie nie wiadomo, kim się właściwie jest: Talleyrandem czy Reytanem, pozytywistą czy opozycjonistą, chcącym jedynie działać politykiem czy chcącym jedynie dawać świadectwo gryzpiórkem” (*L.*, s. 180).

Tonacja tej wypowiedzi jest raczej minorowa. Konflikty racji i postaw – zdają się nieprzekraczalne. Ale i więcej – za osobistą klęskę, klęskę przekonań i władzy intelektu skłonny jest uznać poglądy, jakie dotychczas były mu bliskie i orientowały na współczesność: liberalizm, idea Polski jako kraju pomostowego, deizm i klerkizm jako antynomie postaw inteligenckich, projekt wielostronnego „bufetu kulturalnego”.

Swoją nową, poodwilżową pozycję próbuje Kisielewski określić w felietonie z 1957 roku – *O Rejtanie, opozycji, polityce i publicystyce*. Autor jest tu oczywiście publicystą i strategiem. Ustawia się w tej przemiennej roli i zarazem wie, że spektakl, w którym zdecydował się uczestniczyć, dopiero się zaczął, a finału niepodobna przewidzieć. Występuje jako rzecznik spraw „beznadziejnych”, jako opozycyjny parlamentarzysta Znak i zarazem jako publicysta spalający się w sprzecznościach różnych kompetencji i rytmów życia. Ów konflikt ról wybrzmiewa, zwłaszcza w następującej wypowiedzi: „Zmiana – zauważa Kisielewski – jest dość zasadnicza z publicysty na polityka, z gadacza na milczka (jeśli potrafię), z człowieka pogodnego na człowieka zatroskanego, którego uporeczywie kąsa – jak mówi Kochanowski – »mól zakryty« i któremu wobec tego »nie

idzie w smak obiad obfity«. Polityka to sztuka załatwiania spraw konkretnych, sztuka porównywania jednego prawdopodobnego konkretnego z drugim prawdopodobnym konkretem, sztuka poruszania się i robienia czegoś w okolicznościach danych, zastanych, na które ma się wpływ minimalny. Bardzo to trapiące i nieefektywne rzemiosło w porównaniu z publicystyką, która sama stwarza sobie założenia, konstruuje i postuluje okoliczności, jakich pragnie, mówi o tym, co powinno być, podczas gdy polityk skazany jest tylko i wyłącznie na to, co może być. W dodatku publicysta może (a przynajmniej stara się) mówić prawdę, podczas gdy polityk, chcąc w minimalny sposób wpłynąć na bieg wydarzeń, stara się w ogóle nic nie mówić (przynajmniej publicznie), bo to jego sprawie nic nie pomoże, a za to może szkodzić. [...] Pierwszy to pracowita, ale mało widoczna, po ziemi pełzająca mrówka, drugi to efektowny, kolorowy, z najpiękniejszych kwiatów spijający miodek – motyl. Staralem się więc jak mogę upodobnić do mrówki [...] »Zamienił stryjek siekierkę na kijek« – tak by się wydawało; a jednak mrówka, mimo pozorów przyziemności, to w istocie stwór godniejszy, bo mniej efekciarski i mniej pasożytniczy. A więc – żegnajcie motyle, żegnaj publicystyko!» (*L., O Rejtanie...*, s. 173-174).

Ograniczenie działalności publicystycznej na rzecz parlamentarnej – to poważny koszt, z jakim się Kisielewski chyba do końca nie liczył, kiedy decydował się na ten krok<sup>39</sup>. Jego późniejsze publikacje zdradzają coraz większą niezręczność sytuacji, w jakiej się znalazł, czuł się głęboko skonfundowany, gdy myślał o sobie, swoim wizerunku i złudzeniach, które towarzyszyły mu jeszcze po Październiku. Niełatwo też mu było odnaleźć właściwą podstawę balansu, by utrzymać się jak klerk „wobec i pomiędzy” ideami i konkretnymi ludźmi. W praktyce zaczął się więc – mimo woli – okres „peł-

<sup>39</sup> Interesująco okres uprawiania polityki i jej efektywność przybliżył szkic: Marek Jabłonowski, „Epizod” na Wiejskiej (1957–1965), w: *Stefan Kisielewski. Kisiel 1911–1991–2011*, dz. cyt., s. 193-222.



zania milczkiem”, „kąsania w odpowiednim momencie odpowiedniej łydki”, zasiadania w Komisji Budżetowej Sejmu (na uniwersytecie polskiego dziadostwa – jak pisze), gdzie spływają kanałami wszystkie problemy do wspólnego „Jeziora Niemożności”. Stał – jak sądził Kisielewski – po stronie „zdrowego rozsądku” i... poniósł klęskę. Nowa rola zaczęła coraz bardziej uwierać, a potrzeba pisanie i publicznej polemiki wraz z nasilającą się beznadzieją zasiadania w Sejmie – wzmagala się.

W latach 60. Kisielewski widzi też płonność swoich zabiegów politycznych i śmieszność swojej osobliwej – jak z lunaparku – opozycyjności, która może i była autentyczna, ale nie została potraktowana przez innych poważnie. „Ostatnio wciąż na wielu zebraniach, posiedzeniach, naradach – pisze Kisielewski – staje się przyczyną zgorszenia tylko dlatego, że pomny dialektycznych nauk, staram się zakłócić jedynomyślność, wprowadzając element konfliktu i sprzeciwu, oferując możliwość dyskusyjnej alternatywy, i to oferując ją po niedrogiej cenie, bo na własny koszt. Gorszą się tym jedni i drudzy: ci, co są »za«, gorszą się samym sprzeciwem, ci, co są »przeciw«, gorszą się, że ktoś ich niepotrzebnie dekonspiruje, że to prowokacja. [...] Skutek jednak okazuje się wspólny: narastający z obu stron bojkot.

Sytuacja ta grozi odebraniem mi chleba, którym żyję od lat osiemnastu, grozi utratą fachu, który tak sobie przemyślnie i pracowicie w Polsce Ludowej majsterkowałem. Fach ten polegał na efektownym wrzucaniu do beczki z benzyną nie zapalanej zapałki ku nieszkodliwej trwodze otoczenia, na dopowiadaniu rzeczy domyślanych i stawianiu znanych wszystkim kropek nad »i«, na teatralizowaniu konfliktów ideologicznych czy intelektualnych przez monopolizowanie ich w rękę czy w gardzieli legalnej i uznanej, bo trochę komicznej »opozycji Jego Królewskiej Mości«. [...] Przez cały zaś czas moich walk z różnorakimi przeciwnikami nie przestawałem

być organiczną częścią naszej rzeczywistości, zrośnięty z nią, jak odcisk zrośnięty jest ze schodzoną stopą” (*L.*, s. 279-280)<sup>40</sup>.

Odkrywa też prawdę – kwestionującą jego dotychczasowe wybory: „Najgorsza rzecz, że słowo publicystyczne nie ma najmniejszego znaczenia w polityce – a polityka to jedno z moich najuлюбieńszych »hobby« [...]. To znaczy owszem, słowa oddziałują w polityce, lecz nie swą treścią, powiązaniem, logiką, tylko czymś, co jest w nich umownie muzycznego, poza myślową zawartością, bardzo często przeciwko niej. A także słowa odwracają uwagę: fakt, że się mówi, powoduje z drugiej strony fakt, że się słucha, a kto słucha, ten jest zajęty i nic w danym momencie innego nie robi, ten zaś, co mówi, odwraca tymczasem ludzką uwagę od rzeczy, które robi. Nie straciła bowiem i nie straci aktualności klasyczna formuła Talleyranda, że mowa służy do ukrycia myśli” [*L.*, s. 258]<sup>41</sup>. W innym miejscu pisze: „Płaczę się na próżno z moimi tezami dyskusyjnymi, nikomu absolutnie do niczego niepotrzebny. Myślę, że gdybym nawet, śladem Lutra, przybił owe tezy do drzwi kościoła, też by się tym nikt nie przejął. Upadła już w narodzie wiara, że dyskusyjny nonkonformizm działa cuda. Trzeźwość panuje absolutna i cwaniacka – tylko ja jeden, okazuje się, byłem naprawdę ideologicznie pijany, toteż ja jeden mam prawdziwego kaca. O naiwności! (ideolo, ideolo!)” (*L.*, s. 276)<sup>42</sup>.

Kryzys miejsca, jakie Kisielewski jako parlamentarzysta zajmuje, i roli, w jakiej w konsekwencji występuje, nasila się wraz z rozpoznaniem mechanizmów rządzących Sejmem PRL-u. W 1966 roku, po zakończeniu drugiej kadencji Sejmu analizuje coraz trudniejszą do zniesienia sytuację owego bycia „pomiędzy”. Pomiędzy sprzecznymi żywiołami: publicystyką a polityką. Stawia wówczas pytanie: „Na czym polega moja plajta? Na tym, że rozminąłem się z powołaniem,

<sup>40</sup> *Sprzeczność wybawieniem czyli podaż alternatywy, Lata połączane...*, 1963.

<sup>41</sup> *Słowa, słowa, słowa*, 1962.

<sup>42</sup> *Upalny kacz czyli wiek klęski*, 1963.

chciałem być politykiem, działaczem społecznym, ekonomicznym, przywódcą bardziej, robić coś konkretnego, a zostałem się literacina i muzykiem. Chciałem być publicystą politycznym jak Walter Lippman, który co tydzień pisze wszystko, co myśli, i cały świat polityczny to czyta, a stałem się partykularnym felietonistą, czyli człowiekiem uwięzionym w pewnej zastępczej, symboliczno-aluzyjnej formie. I nie tylko ja tak splątawałem, stało się to udziałem całej grupy, całej formacji pokoleniowej nawet” (*L.*, s. 357)<sup>43</sup>.

W świetle tej ostatniej wypowiedzi, pomijając jej ironiczną tonację, nietrudno nie dostrzec intencji: Kisielewskiego interesował zawsze projekt skrojony maksymalistycznie, mimo kompromisów, na jakie się przecież z pełną świadomością możliwych strat decydował. Długo też wytrwał w „politycznym fachu”, ale i miraże spraw niemożliwych, niczym niepotwierdzona wiara w sens legalnej działalności politycznej w warunkach PRL-u, zabrały mu jednak sporo czasu.

Mimo ograniczeń nie rozstał się z polityką jako strategią dochodzenia do celów, rozstał się przede wszystkim z oficjalną i niepoważnie traktowaną w warunkach realnego PRL-u opozycją i opozycyjnością. Czekwały go jednak gorsze czasy – zakaz publikacji (1968–1971). Okazało się też, że nie tylko nie może być politykiem lub publicystą politycznym, bo z takim dylematem miał wcześniej do czynienia, ale nie może być tylko publicystą. Odkrywał też powoli banicję jako substytut prawdziwego życia – i to do tego stopnia, że pierwsze zapowiedzi o możliwym powrocie jego felietonu na łamy „Tygodnika” przyjął z mieszanymi uczuciami. Pod datą 14 lutego 1969 napisał: „Mam co do tej sprawy mieszane uczucia i nawet wytrąciła mnie ona z równowagi. Nie bardzo lubię »Tygodnik« z jego reformatorskimi maniami i ze zdezorientowanym Jerzym [Turowiczem], nie wiem też, co pisać, bo felietony już mi zjeżdżały, cenzura nic nie puszcza, a na samych recenzjach literackich jechać trudno. W grun-

<sup>43</sup> *Nie świąteczne Świąta czyli życie na niby*, 1966.

cie rzeczy pewno się zdemoralizowałem pisaniem »dla siebie«, robiłem, co mi się podoba, i braniem forsy za nic. Trzeba się więc przełamać, trzeba wejść z powrotem w życie, a »dzieło« kontynuować swoją drogą. Mieć dwie twarze, podwójne życie, to w końcu jest dobre, nie można się za bardzo nudzić, bo człowiek uśnie czy zgaśnie. A swoją drogą nie chce mi się do tego »Tygodnika« pisać rzeczy »umownych« przy cenzurze, czyhającej na każde słowo. Och, jakże mi się tego nie chce!” (D., s. 345). A 20 marca 1971: „U mnie lokalna sensacja: ukazują się felietony, zamieścili mi też artykuł o Mackiewiczu [Józefie – V.W.M.]” (D., s. 563).

Te gorsze czasy sygnalizują dwie kolejne noty, które dzieli okres trzech lat; jedna to oficjalny zapis felietonistyczny, zapowiadający „plajtę na polu publicystycznym”, i drugi – dziennikowy, w którym stawia pytanie o skuteczność zewnętrznych strategii politycznych wobec PRL-u i komunizmu. W felietonie *O sobie płacziwie* pisze Kisielewski w 1972: „[...] dwudziesty ósmy już rok skazany jestem na tematy drugorzędne i aluzyjne, zastępcze, od szeregu lat w dodatku już się ze mną w polskiej prasie nie dyskutuje, odmawiają mi ożywczej (»regeneracyjnej«, jak to się dziś mówi) strawy polemicznej. W ten sposób następuje kryzys formy felietonowej: forma ta więdnie, nikt się już jej żądła nie boi, nauczyli się aluzji nie rozumieć, bimbać i przechodzić obok, czemu sprzyja fakt, że »Tygodnik Powszechny« jest pismem specjalnym, mało dostępnym i przez pewne tylko kręgi czytany, pismem, którego nie sposób kupić »z wolnej ręki«. W ten sposób ostrze niniejszych strzał się stępiło, nie ma możliwości walczenia, nie ma obrazoburstwa i obraźliwości, na kogóż tu wymyślać [...]?” (L., *O sobie płacziwie*, s. 416).

A w dzienniku trzy lata wcześniej (7 lutego 1969) notuje: „Czy starać się, aby w Polsce było lepiej, czy też przyjdzie skończyć na dewizie »im gorzej, tym lepiej«? Z nałogu jestem poprawiaczem i to w każdych warunkach, z drugiej strony zaczyna mnie już ogarniać beznadzieja wobec buty komunistów i zajadłości, z jaką przerabiają oni wszelkie pojęcia na bzdurę” (D., s. 339).

Zostaje ostatecznie jednak „politykiem gadającym”, jak Giedroyc<sup>44</sup>. Co za ironia, wcześniej to redaktor „Kultury” był nie kim innym, jak owym „gadającym” strategiem, który działa pozornie i z celem nakierowanym w próżnię. Ponadto Kisielewski – publikuje u Giedroycia, mówi do kraju ze studia RWE, spotyka się na Zachodzie ze środowiskami emigracji niepodległościowej.

Realizuje jednak swój projekt publicysty politycznego – i to dość paradoksalnie. Z zagranicy mówi do kraju, mówi o „naszej” propagandzie (tzn. krajowej) i o „waszej” rozgłośni, o RWE. Mentalnie Kisielewski zawsze więc będzie Polakiem z kraju, a deprecjonowana niedgryś wychylona ku opozycji w kraju aktywność Giedroycia z czasem stanie się jego własną taktyką. Miraż o kraju dysydenckiego oporu w świetle tej nowej strategii już nie będzie dlań działaniem „w próżnię”.

Kisielewski dodajmy, jako jedyny pisarz z PRL-u (3 marca 1982 roku, a więc w stanie wojennym) udzielający wywiadu Maciejowi Morawskiemu, na jego pytanie, czy nie obawia się, że zaszkodzi sobie w kraju swoją oficjalną obecnością w RWE, odpowiada słowami: „[...] w samym pytaniu zawiera się – przepraszam bardzo, ale... podejrzenie, że Pan ulega również propagandzie totalistycznej. To znaczy sądząc, że nie jest ważne, co się mówi i kto mówi, tylko gdzie się mówi. Ja uważam, że dla mnie jest najważniejsze dotrzeć do mojego odbiorcy, słuchacza krajowego. Słuchacz jest najważniejszy i każdy kto decyduje się podać mój tekst w całości, bez cenzury, jest moim sojusznikiem. [...] W tej chwili, jeżeli ktoś całość moich poglądów zgadza się przedstawić, to oczywiście jest mi brat i swat. Ja odpowiadam za to, co mówię, no a za całość Wolnej Europy przecież nie odpowiadam. Zwłaszcza że będąc 10 miesięcy za granicą,

<sup>44</sup> Giedroyc w *Autobiografii na cztery ręce* wspomina: „Pamiętam pogardliwe oceny Kisiela: »Ja jestem politykiem, a pan jest tylko kibicem, który zajmuje się literaturą i takim sobie gadaniem. Ale politykę robimy my«”. Jerzy Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, opracował i posłowiem opatrzył Krzysztof Pomian, Warszawa 1996, s. 194.

nie miałem okazji słuchać tej stacji. A niezależnie od tego muszę powiedzieć, że nasza propaganda przeciwko waszej Rozgłośni, bardzo ostra, moim zdaniem jest błędem propagandowym, jest nieprawdziwa, jest pozahistoryczna<sup>45</sup>.

Za zawodowymi perturbacjami Kisielewskiego z okresu działalności w kole Znak, skrywa się poważny kłopot, który dotyczy samego sedna dziennikarskiej profesji: jak pogodzić dziennikarstwo z zaangażowaniem politycznym, jak być politykiem, który jednak uświadomił sobie potrzebę pisania? Korekta, a zarazem suma tych dylematów, wybrzmiewa ostatecznie w artykule piśnianym w stanie wojennym z przeznaczeniem do publikacji w „Tygodniku Powszechnym”, ale zdjętym przez cenzurę w całości i na skutek tego ogłoszonym przezeń u Giedroycia w 1-2 numerze „Kultury” z 1983 roku – *Bezsilność publicystyki*. Wydzwięk tego tekstu jest gorzki: w porządku emocji – wyraźny pesymizm i autotematyzm, na poziomie racji ideowych – świadectwo korektury zarówno strategii, jak i cząstkowych celów, przyznanie się do chybionych prognoz i nieskutecznych koncepcji, również i nuta pożegnania – zapowiedzi przejścia niejako do „zajęć prywatnych”. Kisielewski pisze w nim tak: „Wróciwszy do kraju po rocznej nieobecności, w zupełnie zmienionej sytuacji, zadaję sobie pytanie: czy będzie tu możliwa publicystyka polityczna? Podkreślam: publicystyka, nie zaś pisanie felietonów, o które nagabują mnie czytelnicy. Epoka felietonu się dla mnie po 36 latach skończyła. Swoje odsłużyłem, nie potrafiłbym już gimnastykować się między cenzurą a autocenzurą, przeżywać swoje myśli poprzez aluzje i metafory, kontentować się pół- i ćwierćprawdami, chwytanymi zresztą przez co bystrzejszych czytelników, dobrze rozumiejących funkcjonowanie zasady *pars pro toto*. Owszem, felieton spełnił swą rolę, zwłaszcza pocieszając i wy-

<sup>45</sup> Konrad W. Tatarowski, *Literatura i pisarze w programie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa*, Kraków 2005, s. 178-179.

swobadzając psychicznie niektórych w mrocznym okresie stalinowskim, nie sędzę jednak, aby dzisiejsze ciężko obolałe społeczeństwo oczekiwało akurat felietonowej pociechy<sup>46</sup>.

Jako czynny polityk – ponosi Kisielewski klęskę. Czy jako publicysta polityczny także? Jeśli wziąć pod uwagę to, jak sobie wyobrażał swoją rolę w przestrzeni publicznej – z pewnością tak, zwłaszcza w kontekście następującej wypowiedzi: „W moim pojęciu publicysta to człowiek stale pisujący o polityce we własnym tylko imieniu i na własny rachunek, to swego rodzaju kibic–ekspert, mający pełne prawo do koncepcji indywidualnych a także do snucia hipotez dyskusyjnych, do głośnego myślenia, atakowania publicznych mocarzy, także i zbijania tez własnych i zmiany głoszonych poglądów w miarę rozwoju sytuacji. Celem jego pisania jest wpływanie, według nakazów własnego sumienia i rozumu na czytelników, społeczeństwo, naród, a także (czasem przede wszystkim) na środowiska polityczne i ludzi sprawujących władzę. Warunkiem takiego pisania oczywiście jest jego nieprzerwana, długa trwałość, szeroka dostępność, a przede wszystkim pełna swoboda najostrzejszych nawet wypowiedzi. Zaś sprawdzianem, świadectwem użyteczności tego pisania będzie echo w opinii społecznej i historyczna skuteczność, a przynajmniej sprawdzalność pokwitowania *post factum*”<sup>47</sup>.

Ostatnie zdanie daje jednak do myślenia i wstrzymuje przed łatwą generalizacją. O ile celność prognoz w sporej części może być dziś zweryfikowana pozytywnie, o tyle echa ze strony opinii społecznej, jakiś szczególny rezonans odbiorczy, o jakim myśli Kisielewski, już chyba niespecjalnie. Niestety.

<sup>46</sup> Stefan Kisielewski, *Bezsilność publicystyki*, „Kultura” (Paryż) 1983, nr 1-2, s. 116.

<sup>47</sup> Tamże, s. 117.

## Przeciwnik i mediator?

„Nasze istotne narodowe życie umysłowe jest tajne, nie dopowiedziane, a toczy się między niewielu ludźmi, rozsianymi po całym globie. Dziwaczne to – jak wszystko, co dotyczy Polski” (*D.*, s. 374). A w zapisie z 14 czerwca 1968 znajdujemy egzemplifikację tej ogólnej uwagi: „Rozmawiając z nim [mężem Marii Kuncewiczowej – V.W.M.] zdałem sobie sprawę, jak bardzo mnie skrzywdzili komuchy, nie puszczając od siedmiu lat za granicę: chciałbym tam pojechać, aby porozmawiać jeszcze z paroma starymi ludźmi – nim wymrą. Już Zaremba [Zygmunt Zaremba (1895–1967), działacz PPS – V.W.M.] mi uciekł... Ale komu to tłumaczyć?” (*D.*, s. 25).

Te dość sentymentalne, jak na temperament Kisielewskiego, zwierzenia, potwierdzają jedynie, jak bardzo ograniczający charakter miało życie w PRL-u, nawet dla kogoś takiego jak autor *Widzianego z góry*, człowiek niewątpliwie uprzywilejowany w okresie politycznego „romansu” z władzą. Można więc zaryzykować twierdzenie, że egzystowanie poniżej własnych możliwości nie miało wówczas charakteru precedensowego, ale właściwie stanowiło normę. Warto też o tym pamiętać, zwłaszcza dzisiaj, kiedy rodzi się fascynacja gadżetami z tamtej epoki i kiedy dość chętnie w żartobliwy sposób kwitujemy powojenne 50-lecie, zapominając o dramatach ludzi, których totalitaryzm i autorytaryzm władzy zniszczył. Wystarczy w tym miejscu przypomnieć jej główne przewiny: podzielenie rodzin i *casus* powojennej emigracji, wypchnięcie niepokodzonych z systemem poza Polskę, również z przyczyn ekonomicznych, tragiczne w skutkach starcia z obywatelami w okresach społecznych przesileń, skryte mordy i więzienne odosobnienie działaczy państwa podziemnego. Wszystko to przeciwz inna, ciemna strona tamtej Polski.

Odkąd to było możliwe, a więc w praktyce – choć krótko – od odwilży, Kisielewski zwraca się jednocześnie do odbiorcy krajowego



i emigracyjnego jako ten, który nie tylko „gada”, ale i uprawia politykę. Emigracja zatem jako temat i jako problem, w sposób naturalny staje się nieskrywanym, istotnym punktem odniesienia jego pisarstwa politycznego i określonych, również kontrowersyjnych działań pozasłownych, jak też podmiotem pewnego projektu ideowego tyleż interesującego jeśli idzie o spostrzeżenia, co naiwne. Zwłaszcza w kontekście doświadczeń ze stalinizmem i osobistych przejść w czasie, gdy był publicystą „Tygodnika Powszechnego”, nim pismo w kształcie tużpowojennym zostało spacyfikowane, a później, gdy on sam pozostawał bez stałej pracy. Kisielewski szczerze jednak interesował się politycznym i kulturalnym życiem poza Polską, bo naturalnie interesował się swoimi przyjaciółmi i znajomymi, którzy zostali na Zachodzie, a z którymi poprzez metrykalne przyleganie i pulę podobnych pokoleniowych przeżyć, łączyło go bardzo wiele. I na odwrót – dla emigracji głos Kisielewskiego, jako tego, który mówi z kraju, z wnętrza systemu, kto jest – mimo rozlicznych zastrzeżeń – osobą godną zaufania, jest równie ważny. Poza tym nie kto inny, jak m.in. Giedroyc i Nowak-Jeziorański wspierali felietonistę paczkami w okresie, kiedy pozostawał bez środków do życia, a takich gestów się nie zapomina, one zespalają i zobowiązują obie strony, zwłaszcza tę obdarowaną. Zażyłość – jak się zdaje – w kontaktach Kisielewskiego z emigracją odgrywać musiała rolę znaczącą, jeśli nie najważniejszą, w momentach kryzysowych również pozwalającą przetrwać przyjaźniom i nie zniszczyć zaufania.

Pogląd, jaki konstytuuje się w krajowej publicystyce autora *Abecadła* wobec celów i strategii emigracji, a który – paradoksalnie zresztą – szczególnie pod koniec lat 50. współgrać zaczyna z głosem oficjalnej propagandy PRL-u, jest równie ciekawy, choć najbardziej interesujące zdaje się usytuowanie towarzysko-„polityczne” Kisielewskiego wewnątrz samej emigracji. Rzecz jasna, wracając do owego niechcianego z pewnością „współgrania” jego głosu z głosem władzy, należy wyraźnie podkreślić, że inne cele przyświecały Kisielewskiemu, kiedy pisał o potrzebie porozumienia, gdy podkre-

ślał wagę pomostowego charakteru wychodźstwa, inne też stały za tymi koncepcjami i działaniami publicysty intencje.

Emigracja jako fenomen – była dla Kisielewskiego rzeczywistym i żywym problemem; nie odmawia też jej autor racji bytu, uznając wszystkie konsekwencje fatalnego splotu okoliczności egzystencjalnych, moralnych, geopolitycznych, ideowych, na jakich była ufundowana społeczność wychodźcza. Widział w jej istnieniu i losie zarówno dramat Polski, jak i dramat osobisty – dramat człowieka, który – zwłaszcza w zwrotnych momentach swojego życia – odczuwał wokół siebie pustkę i dojmujący brak przyjaciół, a to z pewnością mogło mieć charakter wyobcowujący. Oni – przyjaciele i znajomi pozostają po drugiej stronie żelaznej kurtyny, ale są niedostępni, choć w okolicznościach sprzyjających – ten dostęp mógł być możliwy dla kogoś takiego jak Kisielewski, choć w praktyce – reglamentowany.

Natomiast rola, w jakiej się publicysta-polityk sam obsadził, budziła nierzadko i zdziwienie, i opór emigracji, zwłaszcza że same fakty zaczęły przeczyć odwilży 1956, z którą on sam wiązał duże nadzieje. Te nadzieje, a z czasem i przekonanie, że liberalizacja komunizmu jest możliwa, przyjmowano wprawdzie w „Kulturze”, polskim Londynie i Monachium i ze zrozumieniem (w początkowym okresie zwłaszcza w „Kulturze”), ale upór felietonisty co do realizacji własnej misji, by na poziomie politycznym nawiązać współpracę, gdy w kraju wszystko zmierzało w kierunku przeciwnym, już dziwił, nierzadko irytował.

Nawet wówczas, gdy na horyzoncie widać było zbliżający się „przymrozek” po październikowych politycznych roztopach, i kiedy dostrzegł ten fakt Giedroyc, Kisielewski wydawał się pewny swego. Rola parlamentarnego polityka z koła Znak zapewne go do tego „upaństwowego” optymizmu obligowała, ale oczywiście tego optymizmu nie tłumaczyła. Kisielewski nim wybierze się w pierwszą podróż na Zachód, a więc m.in. do „Kultury” określi swoje stanowisko i swoją misję dość osobliwe, jeśli zważyć, że wybiera się z nią do środowisk, które na Zachodzie zatrzymują istotne racje świato-

poglądowe. Jednocześnie chce być tam odbierany jako Polak z kraju – „realista”, ktoś kto jest przekonany, że prawdziwą politykę można robić tylko od wewnątrz, ponieważ przemawiają za tym głównie realia, których Polacy z kraju nie muszą sobie tłumaczyć, także dlatego, że na Wschodzie (w Związku Radzieckim) nie są możliwe żadne znaczące zmiany. Taka z kolei supozycja irytowała emigrantów, bo przecież nie co innego, jak rekonstrukcja europejskiej mapy politycznej była ich celem, a w jego konsekwencji – powrót do domu.

Swoją irytację na komiwojażerkę Kisielewskiego wyraził wprost Andrzej Bobkowski. W listach do Giedroycia znajdujemy potwierdzenie jego nieustępliwych i ostrych (i bardzo przy tym smakowitych) sądów o Październiku, które przy okazji odnosiły się krytycznie do celu, z jakim wyruszył na Zachód felietonista „Tygodnika Powszechnego” i zarazem już wtedy parlamentarzysta Znak. Bobkowski 9 stycznia 1958 (a wiec wtedy, kiedy już było wiadomo, że autentyczna liberalizacja nie jest w Polsce możliwa) napisał do redaktora „Kultury”: „Mówię Panu, babci sranie, a nie rok, ten 57. Byłem zadowolony, że się skończył. Zupełnie się nie zgadzam z Pana oceną sytuacji. Dodałbym tylko, że może cały, najgrubszy kawał w tym za... interesie tkwi w zupełnie dziwacznej sytuacji. Kraj jest dziś domem obłąkanych, rządzonym przez kilka tysięcy obłąkanych ideologicznie, w którym pozostałe 27 milionów ludzi zdrowych stara się sobie wmówić, że jednak NIE ŻYJĄ w Tworkach. I stąd rodzi się ogromny kompleks, który prowadzi do absolutnych nieporozumień i wewnątrz, i na zewnątrz. Bo do tego dodaje się »Polskę«, »dla Polski«, znowu Polska i jej »racja stanu« jest szlabanem, doniczką w łeb dla grupki partyjniaków. I ludzie dają się na te kombinacje »Polska« brać – exemplum katolicy i zupełnie kretyński odczyt Kisielewskiego w Londynie na temat »Zadania emigracji«. Posyłajcie paczki<sup>48</sup>, popierajcie »rację stanu«, pomagajcie – to wasze zada-

<sup>48</sup> Paczki otrzymywał sam Kisielewski, świadczą o tym listy Giedroycia i Nowaka-Jeziorańskiego. Dnia 4 marca 1955 Giedroyc pisze: „Dostałem list od Kisielewskiego, który pisze »za wszelkie paczki będę wdzięczny (wełna w motkach, materiały,

nie”<sup>49</sup>. A w chwilę później – 21 stycznia dopisał: „Ludzie rwą za granicę, bo chcą choćby na chwilę wyjechać z Tworek ideologicznych. Natomiast najgorsze jest to, że nawet za granicą, tak jak Kisielewski, starają się sobie i innym wmawiać, że to NIE są Tworki”<sup>50</sup>.

Kisielewskiego kwituje w paru wierszach kolejnego listu, nim ledwie rozpocznie on swoją misję. Dezawuuje jego pomysły, odrzuca argumenty, właściwie kwestionuje całość tego karkołomnego projektu: „Ten Pański Kisiel [a przecież i Bobkowskiego znajomy od lat 40. – V.W.M.] zupełnie bokami robi – jego felietony z Londynu rozpaczliwe. Robi wrażenie dosyć już rosyjskiego zjawiska. I te kłapy na oczach. Razem z tymi swoimi malutkimi prawdami robi wrażenie akrobaty umieszczonego na drążku pod dachem rynku i bojącego się, żeby ktoś nie krzyknął, nie przestraszył go, bo wtedy runąłby głową o ziemię. Zresztą to przebija od nich wszystkich”<sup>51</sup>.

A jednak po 1956 roku – wbrew temu co myślał Bobkowski – publicysta uważał zapewne, że kolaboruje z władzą na własnych warunkach. Tu warto znowuż przywołać rozmowę, jaką odbył w 1954 roku z Tyrmandem: mówił wówczas – przypomnijmy – o znalezieniu w obiegu publicznym takiego miejsca dla siebie, którego inni przez deficyt predyspozycji zająć nie mogą. I rzeczywiście – miał w pewnym stopniu rację, bo mógł być władzy potrzebny do realizacji jej własnych celów. Miał przecież Kisielewski świetną biografię, był więc wiarygodny jako moderator w kontaktach emigracji z

---

skóra, także i kawa) – oprócz lekarstw«” (s. 63). Po roku (28 marca 1956) Nowak-Jeziorański pisze: „Obecnie »odwilż« w Kraju przyniosła radykalną poprawę położenia materialnego takich ludzi, jak Kisielewski. Fundusze nasze na ten cel są wciąż te same, a mamy w tej chwili gwałtowne zapotrzebowania ze strony byłych więźniów, powracających z Rosji. Położenie niektórych z nich jest wręcz tragiczne. Czy nie zgodziłby się Pan zatem, abyśmy na pewien czas wykreślili z listy odbiorców paczek Dąbrowską, Kisielewskiego i kilka innych osób? Jak wiadomo z prasy, Dąbrowska w tej chwili nie może narzekać na niedostatek finansowy, podczas gdy niektóre przykłady nędzy ze strony naszych podopiecznych są wręcz wstrząsające” (s. 119).

<sup>49</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946-1961*, dz. cyt. s. 501.

<sup>50</sup> Tamże, s. 506.

<sup>51</sup> Tamże, s. 508 (list z 21 lutego 1958).

krajem, reprezentujący przy tym opcję katolicko-konserwatywną, a to mogło się wielu podobać, zwłaszcza w Londynie. Przypomnijmy tylko z biografii Kisielewskiego to, co było atutem i odnosiło się zwłaszcza do okresu powojennego: wiarygodność publicysty<sup>52</sup> wsparta współpracą z „Tygodnikiem Powszechnym”, jego atrakcyjność wynikająca m.in. z kontrydycyjności i powagi sporu o pryncypia konserwatywne, incydent z usunięciem z Akademii Muzycznej i krakowskiego pisma, dyskretne związki z emigracją jeszcze przed odwilżą (wspomniane paczki). Mógł więc siebie autor felietonów bez specjalnego ryzyka obsadzić w roli emisariusza „polskiej sprawy”, a przy tym na Zachodzie mieć poczucie własnej i zarazem narodowej supremacji, którą Bobkowski – niespecjalnie słusznie – zdyskredytował i ośmieszył. Wierzył Kisielewski, że wskutek bolesnego doświadczenia stalinizmu Polska może być niezbędna Europie jako tłumacz tego zjawiska.

W 1957 roku, jeszcze przed swoim pierwszym wyjazdem na Zachód pisał: „Wiemy o świecie więcej, przeżyliśmy więcej, rozumiemy więcej – gorzko, ale więcej. Zapóźnieni technicznie i materialnie wyprzedziliśmy innych w dokopywaniu się do mięszu moralnego tej niesłychanej epoki: bytujący w ramach świetnie zorganizowanego życia społecznego, pewni jednoznaczności i ładu moralnego tego swojego życia i swojej techniki ludzie Zachodu, to przy nas dzieci, bawiące się w piasku, nieświadome burz i huraganów, szalejących na świecie. Nie wiem, czy to kogoś pociesza – mnie bardzo. Czuję się jednym z uczestników Wielkiej Przygody Naszych Czasów i zafascynowany spaceruję po wertepach ulic najbardziej opuszczo-

<sup>52</sup> Okazuje się, że materiały Służby Bezpieczeństwa zbierane na Kisielewskiego od zakończenia wojny dowodzą uczciwości publicysty, choć jednocześnie pokazują skomplikowaną relację z „Tygodnikiem Powszechnym” i ZLP. Zob.: Roman Graczyk, *Z „Tygodnikiem Powszechnym” związki bliskie i trudne*, Rafał Wardzyński, *Na forum Zjazdów Delegatów ZLP w latach 1956–1967*, Tomasz Gackowski, *W świetle służby bezpieczeństwa*, w: *Stefan Kisielewski. Kisiel 1911–1991–2011*, dz. cyt., s. 81-106, 223-260, 261-298.

nych, obdrapanych i brzydkich miast polskich” (*L., Kraj wielkiej przygody*, 1957, s. 166-167).

Entuzjastycznie zarysowany „program polityczny”, którego podstawę stanowić miała współpraca z emigracją, choć właściwie nie do końca było jasne, na czym miała ona polegać, ale i tak był to zamysł skrojony radykalnie choćby przez supozycje w stylu „dogadać się”, „mediować”, czy przez fantazjowanie o „polskim uniwersum” itp., skażony był pewną dezynwolturą. Płomienny zapał i deklaracje wybrzmiewające z łam „Tygodnika Powszechnego” miały być przede wszystkim otwarciem, czy też „nowym otwarciem” na wychodźstwo. Wyraźnie też określił w nim Kisielewski swoją pozycję i podkreślił ową mediacyjną funkcję; nazwał się „dyplomata–amatorem”, „agentem polskim”, nie „komunistycznym”, ale „prywatnym, indywidualnym”, słowem – człowiekiem dobrej woli. „Próbuję – pisał w felietonie z 1957 roku – wzbudzić zaufanie: gadam za granicą, co mi się podoba, piję wódkę, tłumaczę, macham rękami. To przekonywa ludzi łatwiej niż jakakolwiek uroczysta a nieszczerza rozmowa dyplomatyczna”<sup>53</sup>. Natomiast rolę emigracji skonkretyzował m.in. w szkicu *Wrocław – Londyn – Okocim* następująco: „Emigracja, owa wielomilionowa rzesza Polaków [...] powinna być naszym ramieniem, naszym przedłużeniem, naszym pomostem w świat. Nie umiano z tą Emigracją postępować, nie umiano do niej mówić i dziś jest ona bardziej niż kiedykolwiek odcięta od kraju. A przecież jeśli Polski nie stać na to, aby przygarnąć wszystkich swoich rozsianych po świecie synów, to przecież mogłoby powstać wielkie polskie Uniwersum, rozciągnięte po wszystkich lądach i morzach świata. Jak dotąd ze zdumiewającą lekkomyślnością robiliśmy światu prezent z potężnego ładunku polskości, zrażaliśmy Emigrację wysyłając ludzi nieodpowiednich, zrażaliśmy ją oddaleniem psy-

<sup>53</sup> *Wrocław – Londyn – Okocim, Lata pozłacane...*, 1957, s. 181-182.

chicznym i bezsensownymi, często wręcz szkodliwymi publikacjami (Arski, Mitzner, Florczak i wielu innych)” (*L.*, s. 182)<sup>54</sup>.

Stawał się więc Kisielewski zakładnikiem własnej *idée fixe*, czy na pewno własnej? „Dyplomata–amator” rzeczywiście skorzystał z owego ramienia i pomostu, ale inaczej, niż planował. Przedłużeniem jego polityki stała się bowiem w dekadę później emigracyjna agora. Miast „przyciągnąć” emigrację do kraju, sam zaczął przemawiać do Polski z instytucji umocowanych po drugiej stronie żelaznej kurtyny i korzystać z narzędzi przez nie wytworzonych; publikacje w „Kulturze”, u Pallotynów we Francji, w Londynie, a w latach 80. w nowych tytułach powołanych do życia przez emigrację solidarnościową, przed mikrofonem RWE, są przecież tego wymownym dowodem.

Nim to jednak nastąpi, Giedroyc zdaje się wierzyć w to, że współpraca z Kisielewskim otworzy przed pismem nowe perspektywy, choć z drugiej strony – obawiał się środowiska konserwatystów. Obawiał się, choć przed wojną w „Polityce”<sup>55</sup> publikowali i konserwatyści, i liberałowie; na emigracji jednak twarzą linii politycznej „Kultury” był Juliusz Mieroszewski. Strategia Giedroycia była nie do końca jasna, pewne to jednak, że chciał uczestniczyć w życiu politycznym kraju, a właściwie nawet je projektować. I Kisielewski mógł być mu w tym wówczas przydatny.

Nim się jednak redaktor „Kultury” rozczaruje zarówno do rewizjonistów, jak i konserwatystów z Krakowa, jeszcze na fali entuzjazmu, bo z początkiem roku 1957 donosi Stempowskiemu o planach m.in. wobec Kisielewskiego: „W tej chwili organizuję ofensywę na pisarzy krajowych. [...] Zaproponowałem paru wybitniejszym pisarzom w kraju artykuły czy eseje [...]. Obecnie pro-

<sup>54</sup> Tamże.

<sup>55</sup> Zob.: Rafał Habielski, *Dokąd nam iść wypada. Jerzy Giedroyc – od „Buntu Młodych” do „Kultury”*, Warszawa 2007.

ponują Kisielewskiemu stały felieton do »Kultury«, płacąc mu 20 tys. frs<sup>56</sup>.

Jak wiemy, ten pomysł wydawniczy nie miał szans powodzenia, wówczas dla Kisielewskiego również mógłby być raczej niewygodny, był publicysta reprezentantem opozycji w Sejmie, więc publikowanie na emigracji zaraz po 1956, mogłoby go skonfliktować zarówno z partyjnym establishmentem, jak i członkami koła Znak, stałby się też niewiarygodny w oczach emigracji jako ten, który opowiada się za polityką robioną w kraju, a jednocześnie z powodów „niejasnych” publikuje za granicą. Byłoby to przecież przyznanie się w ten sposób do omijania cenzury i zarazem – potwierdzenie na jej istnienie, mimo odwilży.

Ale w pierwszym roku po Październiku wszystko zdaje się być jeszcze możliwe. Giedroyc Bobkowskiego informuje: „Na święta [wielkanocne – V.W.M.] zjeżdża do nas Stefan Kisielewski, z czego się bardzo cieszę, a zaraz potem prawie cała redakcja »Tygodnika Powszechnego«, co jest już znacznie mniej przyjemne, gdyż bez sensu przegrywają wszystkie atuty, jakie mieli! Chcę się z nimi bardzo kłócić<sup>57</sup>. Dziesiątego maja dopowiada: „Przyjechał Kisiel. Zrobiliśmy mu odczyt dla Francuzów, który był ogromnym sukcesem. Teraz montuję mu odczyt w Londynie w redakcji »Merkurium-sza«<sup>58</sup>. I kontynuuje ten wątek w liście z 22 czerwca 1957: „Inteligenci [środowisko „Tygodnika Powszechnego” – V.W.M.] nafaszerowani sztancami, bez wyobraźni politycznej, którzy idą ścieżkami Dmowskiego nie zastanawiając się zupełnie, że sytuacja zmieniła się przecież gruntownie. Ogólne wrażenie wszystkich rozmów, że im się właściwie nie chce: ani pracować, ani myśleć. Czekają, aż ktoś za nich wszystko zrobi, aż im »ktoś« wszystko przyniesie do

<sup>56</sup> Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946–1969*, cz. 1, Warszawa 1998, s. 445 (list z 9 stycznia 1957).

<sup>57</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946–1961*, dz. cyt., s. 452 (list z 12 kwietnia 1957).

<sup>58</sup> Tamże, s. 457.



łóżka. No i prowincjonalizm”<sup>59</sup>. Bobkowskiego reakcję przywoływałam nieco wcześniej, nie był – jak wiadomo – tymi pomysłami Giedroycia zachwycony.

Z każdym kolejnym rokiem było już tylko gorzej. Gęstniejącą atmosferę wokół Kisielewskiego zdradza korespondencja Giedroycia z Mieroszewskim, Miłoszem, Bobkowskim, Stempowskim, Nowakiem-Jeziorańskim. Przywołałam jedynie kilka fragmentów z kolejnych listów dla jej zrekonstruowania, ale nie po to, by rozstrzygać, kto miał rację w sporze o polityczne pryncypia, nie jest to zresztą łatwe. Trzydziestego września 1958 Giedroyc wyraźnie poirytowany donosi Bobkowskiemu: „Z kraju... Tu trzeba by napisać książkę. [...], a tymczasem tylko notuję, że z »Tygodnikiem Powszechnym« nie jest dobrze. Kisiel wszedł w polemikę z Mieroszewskim, co byłoby rzeczą normalną, ale przy bronieniu ich polityki »realistycznej« przysłał mi list do redakcji, który ogłoszę w numerze listopadowym, w obronie... Piaseckiego, że przyzwoity, że dobry Polak, że świństwem jest oskarżać go [o] agenturalność etc. w tym tonie. Oczy przecierałam. Ta grupa stała się zupełnie ozonowa. To bardzo niedobrze, gdyż na odcinku katolickim jest sytuacja katastrofalna”<sup>60</sup>.

W dwa lata później sprawy z Kisielewskim znów pojawiają się w korespondencji. Bobkowski zaciekawiony losami felietonisty dopytuje Giedroycia: „Czy »Kisiel« Kisielewski grasował znowu na Zachodzie? Był u Pana? Zapowiadał (i usprawiedliwiał) w »Tygodniku Powszechnym« ten swój przyjazd. Jakby trochę w piętękę gonił”<sup>61</sup>. Odpowiada Giedroyc 6 stycznia 1961: „Kisiel był rzeczywiście. Nic się nie zmienił. Takie klepanie za Panią Matką, tj. Piaseckim, pacierza. Oni są wszyscy z niego, mimo że to doprowadza ich do furii. Ale lubię Kisielewskiego, bo ten jest przynajmniej konse-

<sup>59</sup> Tamże, s. 462.

<sup>60</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946–1961*, dz. cyt., s. 551.

<sup>61</sup> Tamże, s. 672 (list z 4 grudnia 1960).

kwentny i głosząc program leżenia plackiem daje swoje skonfiskowane opowiadania do druku. Jest teraz w Moskwie, gdzie zabawi z 6 tygodni. Bardzo jestem ciekaw jego wrażeń”<sup>62</sup>.

Sygnaly pewnego przesilenia, a właściwie konfliktu redaktora „Kultury” z Kisielewskim, odżywiają w korespondencji redaktora z Miłoszem. Już po roku – 31 marca 1962 donosi poecie o dziwnym zachowaniu i równie dziwnych rozmowach z gościem w Mainsons Laffitte: „Jest tu Kisiel. Zachowuje się dziwnie. W każdym razie robi z wielkim wysiłkiem propagandę swojej linii i nie bardzo ukrywa, że robi to z błogosławieństwem »czynników miarodajnych«. M.in. przekazał mi zaproszenie płk. Elstera, ubeka i wicem[inistra] spr[aw] wewn[ętrznych], bym przyjechał na parę miesięcy do kraju. Nawet z obietnicami sfinansowania. Dotyczy to Mieroszewskiego i mnie. I powraca do tej sprawy z oślim uporem. Naszą reakcję w »K[ulturze]« pokwitował tym razem krótkim listem do redakcji z połajankami i wymysleniami. Drukuję to lojalnie, ale nie mam ochoty kontynuować polemiki. To wszystko nie przeszkadza, że mieszka u nas i ma tu w pierwszych dniach kwietnia przyjechać jego żona. Personalnie nasze stosunki są nadal doskonałe. Dziwny chłopiec”<sup>63</sup>. A 11 kwietnia 1962 dodaje: „Kisiel jest jednak coraz bardziej zaślepiiony i właściwie nie można z nim dyskutować. »Ja jestem polityk, a Pan jest nieodpowiedzialny amator i do tego odezwany od kraju. Potem zafascynowanie liczbą. Zupełnie jak Nowak z Free Europe. I ta sama zdrowa pogarda dla inteligencji. »Ile ludzi czyta ‘Kulturę’? 10, no 20 tysięcy, a Polaków jest 30 milionów«”<sup>64</sup>. Także: „Siedzi tu Kisiel, z którym mam masę zabawy i kłótni. [...]

<sup>62</sup> Tamże, s. 676.

<sup>63</sup> Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz, *Listy 1952–1963*, opracował i wstępem opatrzył Marek Kornat, Warszawa 2008, s. 600.

Chodzi o publikację w: „Kultura” 1962, nr 3; tekst Kisielewskiego napisany w Warszawie, datowany na 4 stycznia 1962. Polemika z: J. Mieroszewski, *Oni i my*, „Kultura” 1961, nr 12.

<sup>64</sup> Tamże, s. 616.

Kisiel się zaczyna w swoich poglądach, ale jednocześnie opowiada fantastyczne rzeczy ze swego pobytu w Sowietach. Zapewne Pana ubawi fakt, że »Kultura« jest znana i pilnie dyskutowana. Dostają ją z Polski własnymi chodami. To zresztą Kisielewskiego całkowicie nie przekonywuje. Kisiel zresztą jest rozbrajający, gdyż najeżdżając na szkodliwość mojej akcji i bezsens drukowania tu autorów krajowych, sam jednym tchem zaproponował mi wydanie swojej książki na temat kultury masowej, która jego zdaniem nie może się w kraju ukazać”<sup>65</sup>.

W kontaktach Kisielewskiego z wychodźstwem dochodziło do rozmaitych spięć, o podobnych, a może i większych reperkusjach niż ze Straszewiczem i Gombrowiczem (z Gombrowiczem spierał się Kisielewski od przedwojnia)<sup>66</sup>. RWE w tej polemice o pryncypia zajmowało osobne miejsce, wspomniałam już o tym. Spory z RWE nie zaszkodziły też Kisielewskiemu – ze strony Nowaka-Jeziorańskiego<sup>67</sup>, mógł zawsze liczyć na wsparcie. Nie tylko na antenie mówiono o restrykcjach, jakie na felietonistę spadały w końcówce lat 60., ogłaszano jego wystąpienia w ZLP, wspomniano publikacje ukazujące się na Zachodzie, omawiano jego powieści, nawet je nagradzano. Mógł też Kisielewski swobodnie wypowiadać się przed mikrofonem, co jakiś czas zaglądał do Monachium przy okazji podróży do Francji.

<sup>65</sup> Tamże, s. 624.

<sup>66</sup> Gombrowicz poirytowany recenzjami Kisielewskiego wypomina mu w *Dzienniku 1957–1961*, Kraków 1988: „Ja wprawdzie twierdzę, że stąd, z Ameryki, o wiele lepiej widzę Polskę niż p. Kisiel, który w niej tkwi, wsadzony w nią jak kartofel w worek... którego dialektyka myszką trąci, który myśli frazeologią zaczerpniętą z polskiej literatury, który poza tym jest niezrównoważony, prowincjonalnie niezrównoważony, wijący się w polskim poczuciu niższości, aby za chwilę wywyższyć się polską »a jednak« megalomanią (»Konflikt dwóch koncepcji, animujący miliony ludzi w Europie i kierujący powszechne zainteresowanie ku Polsce«). Tak, ja na pewno lepiej to widzę stąd, ze świata, i trzeźwiej, swobodniej o tym myślę” (s. 74). Cały zresztą zapis z piątku w tym kontekście jest interesujący. Tamże, s. 70-74.

<sup>67</sup> Zob. J. Nowak-Jeziorański, J. Giedroyc, *Listy 1952–1998*, dz. cyt. s. 256.

Korzystał zatem jako publicysta ze swojego kontrydykcyjnego talentu, ale był w sytuacji paradoksalnej – w gorących sporach z emigracją stawał się jej „przeciwnikiem”, a zarazem jego rola jako oponenta ideowego, nie pozbawiała go funkcji mediatora czy też tłumacza spraw polsko-polskich<sup>68</sup>. Wprawdzie, jak się zdaje tylko Konstanty A. Jeleński i Nowak-Jeziorański nazwali Kisielewskiego „przeciwnikiem”. Zarówno Jeleński jak i Nowak używali tego określenia z dystansującym cudzysłowem i w odniesieniu do konkretnej sprawy. Wywołał ją *Mój testament* Kisielewskiego opublikowany w „Kulturze” (1962, nr 6), na który zresztą w numerze 7-8 „Kultury” pojawiła się odpowiedź *Oprotestujemy testament Kisielewskiego* (czego z kolei echem był artykuł Kisielewskiego *O pisaniu prawdy i o śmierci liberalizmu* – „Tygodnik Powszechny” z 8 maja 1962) i Mieroszewskiego *Wybór* („Kultura” 1962, nr 7-8).

W świetle tej wymiany opinii między „Kulturą” a Kisielewskim, widać wyraźnie ograniczenia autora *Abecadła* – i jego roli jako publikującego polityka i posła na Sejm PRL-u. Z drugiej zaś strony – trudno nie wspomnieć o rażącej naiwności Kisielewskiego, któremu zdawało się, że jako poseł z ramienia koła Znak może wiele zdziałać i w tych działaniach być samodzielnym oraz nie zostać, jak inni, przez PRL-owski establishment potraktowany instrumentalnie. Zwłaszcza groźna była możliwość wykorzystania wszystkich pozakrajowych kontaktów i manipulacja – bądź co bądź – szczerymi intencjami felietonisty.

Tę skomplikowaną sytuację Kisielewskiego<sup>69</sup> próbowali jednak zinterpretować współpracownicy Giedroycia i dla własnych

<sup>68</sup> Powiedzieć należy, że emigracja miała do Kisielewskiego zaufanie. Jan Józef Szczepański w dzienniku pod datą 25 lutego 1956 notuje: „Dziś spotkałem Kisiela. Widział się z jakimś działaczem emigracyjnym, który przyjechał tu na tydzień zobaczyć, jak to wygląda. Charakterystyczne, że przyjechał za wiedzą rządu, ale w tajemnicy przed emigracją, bo każdy, kto tu przyjeżdża, »kończy« się tam i jest uważany za agenta”. J. J. Szczepański, *Dziennik 1945–1956*, dz. cyt., t. 1, s. 598-599.

<sup>69</sup> Konflikty i współpracę Kisielewskiego z „Kulturą” poddaje analizie Rafał Habielski w artykule *Kusy, Łysy i Książę*, dz. cyt., s. 165-192.

potrzeb ją ocenić, dzieląc się przemyśleniami w poufnej korespondencji. Kisielewski postawił się w roli, której z natury rzeczy nie mógł sprostać, jeśli myśleć o niej racjonalnie – dlaczego? Uległ bezsprzecznie własnym fantazjom, mirażom wyobraźni, poczuł się zbyt pewnie, uwierzył, że może być tym, który spina dwa odległe krańce polskiego żywiołu.

Nie można jednocześnie przez to powiedzieć, że nie był jako publicysta dla emigracji cennym informatorem, była już o tym mowa. Wagę Kisielewskiego poświadcza choćby emigracyjna epistolografia, w której przywoływany jest stosunkowo często jako bohater pewnych działań, krajowy mentor i zarazem prześmiewca, postać anegdotyczna, serdeczny przyjaciel.

Zainteresowanie Kisielem również wcale nie słabnie z upływem lat. Funkcja polityczna, zwłaszcza na początku, ułatwiała mu też kontakt ze środowiskiem emigracyjnym, a z pewnością umożliwiały same wyjazdy. W roku 1960 podróżował po Europie: w czerwcu był uczestnikiem Kongresu Wolności Kultury w związku z 10. rocznicą jego powstania, jesienią brał udział w seminarium Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków w Kopenhadze (obok Miłosza i Błońskiego). Zapamiętany został także ze swojego pobytu we Francji i Monachium. Podróżował i później, choć po dłuższej przerwie, wymuszonej brakiem zgody na otrzymanie paszportu.

Nieporozumienia i polaryzacja stanowisk w latach 60. i 70. nie powinny dziwić. Tak zapewne być musiało, skoro ani redaktor „Kultury” nie miał pełnej wiedzy o kraju, ani Kisielewski, któremu z kolei zdawało się, że wie lepiej, więcej i że jako „wtajemniczony” przez codzienne obcowanie z systemem realnego socjalizmu, może być dostarczycielem ważnych informacji (tak też było), może wpływać przy tym na orientację polityczną paryskiej „Kultury” zgodnie z własnym mniemaniem, podobnie – na polski Londyn czy Monachium.

Ma sporo racji Kisielewski, gdy pisze o zupełnie nieracjonalnym wyobrażeniu „nowych” Polaków, którzy – jak twierdzi – niczym

nie przypominają pokoleń wcześniejszych, nie mieszczą się bowiem w romantycznym paradygmacie, który utrwalił się po drugiej stronie żelaznej kurtyny jako model życzeniowy. W 1975 roku, w felietonie *Tajemnice nowych Polaków* podejmuje próbę reinterpretacji tego paradygmatu, tworząc obraz współczesnego obywatela znad Wisły, obraz, który w istocie stał się jego karykaturą, propozycją *à rebours*: „Słowo »Polak« wydaje im się symbolem pewnego pojęcia stałego, tymczasem wszystko płynie i przemienia się, Polska i Polacy również. [...] Nie widzę, żeby się tak bardzo palili do wojaczki, konika, do lasu czy powstania, raczej mają brzuchy od siedzenia przy telewizji, a brzuch, jak wiadomo, bardzo na koniu przeszkadza. Czy są warcholscy i skłonni do awantury? Hm. Raczej rzadko i w bardzo ograniczonym zakresie, poważnie po wódce, bo alkoholicy to oni są na pewno. Nie widzę też specjalnego indywidualizmu i skłonności do różnorodnych poglądów – wręcz przeciwnie, zresztą do różnorodnych poglądów nikt tu nadmiernej wagi nie przywiązuje. Ceni się raczej taktykę i intrygi taktyczno-personalne – stąd liczne anonimy i »rozróby« w miejscu pracy. Pyskaci, lekkomyślni? Ej, chyba nie, chyba też raczej podskakują tylko przy wódce – normalni tacy więcej ostrożni, realisci (»mały realizm«, jak to pisano niegdyś w nieboszczce »Kuźnicy«). Trochę cynicy, na pewno kompleksiarze i w związku z tym samochwały. Lubią wyjeżdżać za granicę, a tam zachowują się całkiem inaczej – też dowód »kompleksów«. Religijni? Pozornie, powierzchownie, w praktycznym życiu zasad religii nie stosują. Przywiązani do tradycji, owszem, ale do tej najbardziej zewnętrznej, obrzędowej, świątecznej materialnej. A jak z »wazeliną«, z »podlizywaniem«? Długo by mówić. Także o problemach solidarności czy odwagi cywilnej. Całe epeje przemian i stare, szlachecko-inteligenckie powstańcze klisze nic tu nie pomogą, niczego nie wyjaśnią”<sup>70</sup>.

<sup>70</sup> *Tajemnice nowych Polaków*, 1975 (L., s. 514).

Mówił Kisielewski rzeczy niewygodne, zwracał uwagę na zmiany o charakterze mentalnym i kulturowym, jakie dokonywały się w PRL-u, bo były przez emigrację drażniąco bagatelizowane; był też niedostatecznie słuchany, czasem traktowany protekcyjnie, z przymrożeniem oka jako nieszkodliwy „wariat” i happener. Mylił się jednak co do roli, jaką chciał odegrać w życiu publicznym, choć dzisiaj usprawiedliwiają tę aktywność i niebezpieczne związki z establishmentem – powieści, które napisał. Szczególnie *Widziane z góry*<sup>71</sup>. I nie chodzi tu wcale o ich wartość artystyczną, ta jest wątpliwa – ważny jest ich niezaprzeczalny walor poznawczy i dokumentacyjny. Bez emigracji uwiłdłby też polemiczny talent Kisielewskiego, a wraz z tym – on sam.

### „Kontrydykcyjność” i emigracyjność

Pytanie, jak długo można żyć i pisać bez społecznego odzewu? Wokół jakich spraw zorganizować swoje życie, jeśli potrzeba aktywności zawodowej jest jeszcze bardzo silna, a z przyczyn zewnętrznych możliwości raczej skromne? Jak żyć w smutnym, szarym i „zimnym” PRL-u bez szans na wyjazd za granicę? Te i inne pytania skreślone w tonacji minorowej dowodzą, jak pesymistycznie widział swoją przyszłość Kisielewski i zarazem oglądając się wstecz – jak równie pesymistycznie oceniał dotychczasowe życie.

<sup>71</sup> Wydanie pierwsze: *Widziane z góry*, Paryż 1967. Wydaje w Paryżu: *Cienie w pieczarze*, 1971; *Romans zimowy*, 1972; *Śledztwo*, 1974; *Ludzi w akwarium*, 1976. Poza powieściami Kisielewski wydaje *100 razy głową w ściany*, 1972 (nakładem oficyny księży Pallotynów Éditions du Dialogue); *Materii pomieszanie*, Londyn 1973 (Odnowa); *Moje dzwony trzydziestolecia*, Chicago 1979 (Polonia Book Store); *Stosunki Państwo – Kościół w PRL*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1974, nr 49; *Czy istnieje walka o świat?*, Londyn 1976 (Odnowa); *Na czym polega socjalizm*, Londyn 1979. Wydaje od 1976 r. w „Kulturze” Giedroycia felietony niedopuszczone przez cenzurę do publikacji w kraju, pisze także od 1977 r. specjalnie do „Kultury”, a w latach 1978–1982 teksty publicystyczne ukazują się w każdym numerze pisma. Przedruk w drugim obiegu: *Wołanie na puszczy*, Warszawa 1982 (Nowa).

Wiemy to wszystko z *Dzienników*, których pisanie wymusiła sytuacja, a dzięki którym nie tylko dziś obcujemy z różnymi nastrojami ich autora, ale mamy szansę zbliżyć się do jego świata i odczuć atmosferę PRL-u lat 70. i 80. Kisielewski notuje w nim z emfazą i zaciekawia; w zapisach raptularzowych wyladowuje całą swoją frustrację. A jest ona reakcją na bardzo różne sprawy i z porządków różnej miary. Notuje np., że mieszkańcy znad Wisły umrą nie z terroru władzy, ale z nudy, bo – czy może być coś jeszcze gorszego od nudnej ojczyzny? Prasa komunizmu jest też gorsza od samego komunizmu – będzie podkreślał w wielu miejscach, doceniając przy okazji, choć i krytycznie, radiowe audycje Monachium. Pisze, że uszła z niego „dusza felietonisty”, a groza normalności i stabilizacji w warunkach siermiężnego państwa jest dla niego grozą prawdziwą, straszniejszą od tej, jaka wylania się z publikacji Biblioteki Kultury, czyli z „Giedroyciowych książek”.

Takich uwag i towarzyszącego im nastroju pewnie i Giedroyc nie byłby w stanie zrozumieć, bo – jak się zdaje w tym przypadku – obcość psychiczna wzrasta z czasem nie tylko między pokoleniami, ale także między druhami z tego samego przedwojennego świata, a których – co oczywiste – dzieli różny miąższ życia, inne doznania i doświadczenia codzienności. Co bodaj ważniejsze – inne nawyki myślowe, światoogłady i wyobrażenia, style działania, wreszcie – oddalenie i z tego zrodzony dramatyczny dystans.

Trzeba pisać, bo czasu mało! – tymi słowami wielokrotnie wybrzmiewającymi w *Dziennikach* będzie próbował się Kisielewski dyscyplinować. Szczęśliwie „Kultura” po raz kolejny wychodzi autorowi naprzeciw; z pewnością – artykuły, które zamieszcza w emigracyjnym piśmie, ocalają go jako publicystę i utrwalają jego nonkonformistyczną myśl, także spekulacje polityczne trudne do przeknięcia przez samego Giedroycia. Publikacje te równoważą psychiczny dyskomfort, poprawiają nastrój i zobowiązują do utrzymania pisarskiej aktywności i zarazem aktywności życiowej. Pozwa-



lają mu także mieć nadzieję, że jego głos dotrze do odbiorcy krajowego, zwykle poniewczasie (ale jednak), przebije się, mimo oporów i możliwego w takich warunkach minięcia się z nerwem współczesności.

Bez względu na koszty, to dzięki m.in. Giedroyciowi mógł Kisielewski uczestniczyć w opozycyjnym dyskursie lat 70. i 80. Dlatego okres, kiedy pisarz nie mógł publikować w obiegu oficjalnym, z perspektywy *Dzienników* i wystąpień za granicą<sup>72</sup>, nie był zmarnowany. To raczej nowy etap, kolejny moment „ukropu”, z tą różnicą może, że zmuszony do milczenia i bez szans na otrzymanie paszportu autor – egzul, mierzy się ze swoją czasową emocjonalną i intelektualną introwersją.

Autoanaliza i trudna sztuka szczerości – to wyzwania, przed jakimi staje jako człowiek i twórca: kompozytor, publicysta, polityk, pisarz. W zapisach raptularzowych znajdziemy bowiem wszystko: retrospekcje i rekonstrukcje działalności politycznej, uwagi o inicjatywach drugoobiegowych, napomknięcia o emigracji, również i coś bardzo osobistego – objawy znużenia i zmęczenia najpierw Polską późnego Gierka, a z czasem – krajem pogrążonym w stanie wojennym. Jest więc tu gorzki sarkazm, ironia, humor, a zarazem śmiertelna powaga, wreszcie melancholia. Kolejne role, maski i twarz – publicysty, felietonisty, dokumentalisty, pisarza, niespełnionego polityka, a w migawkach – męża i ojca.

<sup>72</sup> Kisielewski z dużym entuzjazmem przyjmowany jest na emigracji, jak píše o jednym ze spotkań Bohdan Brodziński: *Kisiel w Londynie*, „Kultura” 1976, nr 1-2; artykuły Kisielewskiego wywoływały liczne polemiki wśród wychodźstwa, m.in. cykl: „Wołanie na puszczy”: *Gorczyicy dwa ziarna*, „Kultura” 1979, nr 5/380; *Cienie w jaskini*, „Kultura” 1979, nr 6; *Masto, Szkota debilizmu*, „Kultura” 1979, nr 7-8; *Podczas trzęsienia ziemi*, „Kultura” 1980, nr 10; *Strachy wschodnie na Zachodzie*, „Kultura” 1981, nr 1-2; *Nadzieje i złudy*, „Kultura” 1981, nr 3; *Entuzjazm i niemożność czyli młyn polski*, „Kultura” 1981, nr 7-8. Cykl: „Widziane inaczej”: *Stary świat w nowej skórze*, „Kultura” 1981, nr 9; *Czy zanudzą na śmierć*, „Kultura” 1981, nr 10; *O nowe hasło. Odejdźcie od socjalizmu*, „Kultura” 1981, nr 12; *Bezsilność publicystyki*, „Kultura” 1983, nr 1-2.

Z czasem i sam Kisielewski doceni intymność dziennika i jego kompensacyjną wartość, także rolę opozycjonisty, w jakiej się obsadził (został obsadzony) i jaką uznał za dość paradoksalną. Poczuł się pozycjonowany, objęty mianem „wroga” i z sarkazmem przyjął konsekwencję z tego faktu płynącą, a właściwie uznał twardą logikę systemu, dla którego ten kto ma odwagę krytykować, nie budzi zainteresowania władzy. Bycie wyrzuconym na margines, oznacza śmierć cywilną: „Zdecydowany »wróg« ma w tym ustroju (po odejściu Stalina oczywiście) lepszą sytuację niż współpracownik, bo współpracownika co pewien czas straszą, szantażują i wyrzucają, a wróg to, wiadomo, wróg i niczego się odeń nie wymaga, czekają tylko, aż się sam rozsypie” (D., s. 331-332)<sup>73</sup>.

Mierzy się więc Kisielewski z rzeczywistym problemem. Odczuwa, będąc w kraju, gorycz pominięcia i umniejszenia ról, z jakich był publicznie znany. Pominięcia, przy zachowaniu wszakże wszelkich proporcji, podobnego do tego, jakie stało się udziałem „pełnoprawnych” emigrantów i ofiarą restrykcji cenzorskiego zapisu na dzieło. Już ta sama okoliczność zbliża go do „stowarzyszenia wykluczonych” i wpisanych na indeks, skreślonych, wypchniętych z publicznego obiegu i pamięci, czy żyjących poza krajem lub w kraju w egzulu o wielu wymiarach i postaciach.

„Miałem już zacząć pisać – notuje w dzienniku – gdy przyniesiono mi paczkę książek z PWM [Polskie Wydawnictwo Muzyczne – V.W.M.]. Przejrzałem zmajestrowaną przez muzykologów *Polską współczesną kulturę muzyczną 1944–1964* i tak się zdenerwowałem, że straciłem ochotę do wszelkiej pracy (starcza nerwowość!) [notabene podobnie zareagował na tę publikację oddalony od Kisielewskiego o setki kilometrów Roman Palester z Monachium<sup>74</sup> – V.W.M.], Bristiger i Jarociński iza jak z nut, wazelinują się Lissie i Chomińskiemu,

<sup>73</sup> Zapis z 9 marca 1969.

<sup>74</sup> Zob.: *Do publiczności w Polsce: Miłosz, Palester, Panufnik; Marszjaszowe konflikty. O szkicach Romana Palestra.*

sprawę socrealizmu niemal pomijają, zamazują, kręcą. Jeszcze Jarociński trochę się tam bije w cudze piersi, skrętnie przemilczając swój udział, ale Bristiger pisze już istny panegiryk, sławiąc pod niebiosą najgłupsze wypociny »Zosi«. Cóż za skurwysyn – bo co do tamtego, to nigdy nie miałem złudzeń. Przy okazji oczywiście całkiem wymazali i moje polemiki estetyczne, Bristiger pominął nawet zbiory artykułów i recenzji pisząc: »Co się zaś tyczy codziennego życia muzycznego w Polsce, to tylko Zygmunt Mycielski, Jerzy Waldorff wydali w formie książkowej felietony śledzące jego przebieg«. Głupie bydlę. Falszerstwom sprzyja pominięcie w bibliografii pism »Tygodnika Powszechnego«. Cała zresztą książka roi się od typowo muzykologicznych niechlujstw, błędów i nonszalancji – kronika wydarzeń skandaliczna. Jeden artykuł Chomińskiego o najnowszej muzyce dobry – ten ma zawsze wszystko w dupie, robi swoje – jeden coś wart, choć »wtedy« tak był cyniczny. Ale cynizm to przynajmniej postawa jakoś uczciwa (przyznał mi się do niej kiedyś)<sup>75</sup>.

I pomyśleć, że nic się nie da sprostować, bo akurat trwa moja niełaska i te skurwysyństwa zostaną w bibliotekach na wieki. Po cholere być uczciwym – naprawdę chyba uczciwość to głupota, a dobra pamięć – choroba umysłowa. Bristigera odtąd nie znam – ale co mi z tego?” (*D.*, s. 11).

Prawda, to wszystko bardzo bliskie odczuciom emigrantów. Doświadczenie wykluczenia, nie jedyne zresztą, niewątpliwie zbliża go do nich; poza tym Kisielewski nadzwyczaj wyraźnie podkreśla charakter własnego wyobcowania, zaznaczając jego liczne kręgi: od psychicznego po etyczny. Niepokoi się o czas, który mija, ale przy tym dostrzega dobre strony izolacji, do której z czasem zacznie tęsknić. Dziewiątego marca 1969 notuje: „[...] ja chcę pracować, a nie mam wiele czasu, bom stary, z ich [przyjaciół – V.W.M.] zaś gadania nic się nowego nie dowiem. Trzeba by jak Proust zamknąć się

<sup>75</sup> „Chomiński kiedyś w okresie stalinizmu powiedział mi wprost, że pisze o muzyce przeciwnie, niż myśli. Wtedy uważałem, że to była odwaga, teraz widzi mi się, że świńskie asekurowanie się”. *Dzienniki*, 7 czerwca 1968, s. 15.

w korkowym pokoju – właściwie w Konstancinie to było coś takiego – trzeba tam jeździć i kwita. Poza tym gnębi mnie, że dużo czytam, a mało z tego zapamiętuję, może mózg już wysiada, cholera wie. Za późno wzięłem się do pracy – to te głupie felietony i polityka mnie zjadły. A przecież miałem »tylko jedno życie«” (*D.*, s. 197).

Do tego ogólnego stanu niemocy dodajmy inne bolączki: poczucie nonsensownych zabiegów wokół swoich spraw, mitręgę gnuśnej codzienności, brak pożywki dla myśli. „Jestem jakoś nadmiernie rozgoryczony i zdenerwowany komunizmem [...]. U podstaw ustroju tkwi zapewne i Kraków, i na nowo krążące UB, i wreszcie fakt, że nie mogę sobie wywojować »Le Monde’a« – nie przychodzi i kwita, a ja łażę po różnych cłach, cenzurach, pocztach i wszędzie się zapierają, że to nie oni. Boję się, że nie czytając tu normalnej prasy, prędzej czy później zidiocieję, bo w końcu to okoliczności i naciski tworzą człowieka, samemu z siebie da się żyć tylko do pewnej granicy” (*D.*, s. 167)<sup>76</sup>. Kolejne zapisy dowodzą pogłębiającego się poczucia wyobcowania wynikającego z absurdalnego życia w systemie dusznych kompromisów i niemal wszechobecnego serwilizmu. Coraz częściej też nachodzi go myśl o zmarnowanym życiu, które miało ogniskować się wokół publicystyki interwencyjnej i czynnej polityki, a stało się przecież inaczej niż chciał.

Kryzys pisania powiązany jest również z wątpliwościami natury etycznej, co uwyraźnia się w notach z lat 70. Kisielewski zapisuje: „Wczoraj był u nas Waldorff [...]. Jest zadowolony z siebie, mówi, że pisząc tylko o muzyce i sztuce zachował uczciwość. Ma swoją rację. Mnie zgubiła polityka, najpierw próbowałem odgrywać rolę »legalnej opozycji«, ale to tak, jak mówił Irzykowski bodajże o metodach polemicznych Słonimskiego: »Ja mu proponuję partię szachów, a on rzuca figury i majchrem we mnie«. Dali mi w końcu majchrem (zresztą przez moją nieostrożność – sprowokowałem ich lekomyślnie) i jestem wyrzucony poza życie, a więc skazany na roz-

<sup>76</sup> Zapis z 12 stycznia 1969.

ważenie spraw zasadniczych i najwyższych, np. problem powszechnego w tym systemie kłamstwa, spraw, w których uczestnicząc bliżej w konkretnym życiu, często się nie dostrzega. Być obserwatorem, z którego obserwacji i wniosków nic nikomu nie przyjdzie – to ci rola!”<sup>77</sup>. A w chwilę później zyskujemy dopełnienie: „Kropla kłamstwa zatruwa jak kwas pruski beczkę wody – póki nie pisze się wszystkiego, wszystko, co się pisze, jest fałszem. I Załuski fałszywy (chodzi o książkę *Siedem polskich grzechów głównych* – V.W.M.) i wszyscy. Ja też byłem fałszywy, bo nigdy, przez cenzurę, nie mogłem powiedzieć wszystkiego, co myślę o »socjalizmie« [...] i w ogóle nie mogłem podać żadnych niuansów. Ponieważ więc pisałem mętными aluzjami, które nie wszyscy rozumieli, a moje przemówienia sejmowe nie były drukowane, więc w rezultacie byłem też osobowością mętłą, zafałszowaną, zaszyfrowaną. [...] Ale prości ludzie coś niecoś pojęli, to sukces, jak na komunizm rzadko dostępny (jestem »wróg«, ale nie idę do ciupy – a więc jakoś jestem jednak, choć nie piszę, legalną opozycją)” (D., s. 35-36)<sup>78</sup>.

Wielokrotnie będzie powracał do problemu prawdy w kontekście sensu uprawiania poważnej publicystyki. Dobitny tego przykład pojawia się na marginesie felietonu Aleksandra Małachowskiego o *Czterech pancernych i psie*, gdzie ironicznie daje Kisielewski do zrozumienia, że wszystko jest w tym filmie raczej skłamanie, ale... ostatecznie, jak spuentuje – cykl jest „ładny”, „miły”: „[...] – a więc prawda się nie liczy, jest niepotrzebna, samotna, jej obrońcy to odosobnieni maniacy?! Tu, w użytkowym stosunku do prawdy czy nieprawdy tkwi sedno tego, co z nami psychicznie wyrażają, z czym moi koledzy, jak się zdaje, całkowicie się pogodzili, a ja nie mogę. Maniak ze mnie – ale ktoś chyba takim być musi! W ten sposób się wywyższam, pocieszam, podnoszę na duchu” (D., s. 351)<sup>79</sup>.

<sup>77</sup> *Dzienniki*, 9 czerwca 1968, s. 21.

<sup>78</sup> Zapis z 22 czerwca 1968.

<sup>79</sup> Zapis z 21 lutego 1970.

Ostatecznie: „Dla pisarza siedzieć w więzieniu za swoje pisarstwo to nie jest wcale rzecz najgorsza: najgorsza jest nie móc w ogóle być pisarzem, bo cenzura knebluje lub, co jeszcze gorsze, fałszuje” (*D.*, s. 762)<sup>80</sup>.

I coraz mniej złudzeń: „Cenzura absolutna, więc tylko do szuflady, dla wydania »tam« – ale nagle nie wiem, co by teraz dalej pisać, toć wszystko, co mogłem, napisałem! [...] O cholera, jak tu zacząć na nowo?! I czy należy?! Bo może to już naprawdę koniec, choć ciało »krzepkie«. Marzyła mi się kariera Sołżenicyna (wywalili go z Rosji), a tutaj nic tylko niemożność. Ciekawym, czy i kiedy mi to przejdzie!” (*D.*, s. 796)<sup>81</sup>.

Esencję kondycji pisarskiego (społecznego i zawodowego) wykończenia stanowi zapis z 29 stycznia 1977. Wydaje się też, że jego powstaniu towarzyszy jeden z najbardziej kryzysowych i świadczących o skrajnej frustracji momentów życia Kisielewskiego: „Jeszcze raz na nowo odkryłem Amerykę: jak głęboko tragiczna i bez wyjścia jest sytuacja pisarza w dzisiejszej Polsce. Chce on opisać tutejsze życie, jest ono absolutnie odmienne od życia w innych ustrojach, nawet miłość, religia, sport – wszystko jest inne, naznaczone piętnem tego systemu, który przekształca wszystko. Ale tutaj pisać jest trudno (do szuflady? – trzeba mieć po temu warunki i wolę), a wydać oczywiście nie można. Więc pisarzyny palą się do wolnego rynku czytelniczego na Zachodzie, tylko że tam nikt się do naszej literatury, nawet tej »podziemnej« nie pali, bo nic z naszego życia nie rozumieją i nic ich nasza odmienność czy specyfika nie obchodzi. W ten sposób literat polski dostaje się w tryby bez wyjścia: tu ma tematykę, lecz nie może nic napisać, bo brak wolności słowa, tam ma wolność słowa, lecz z daleka od tutejszej tematyki na nic mu się tamtejsza wolność nie przyda. [...] ...Polska mało kogo obcho-

<sup>80</sup> Zapis z 5 maja 1973.

<sup>81</sup> Zapis z 18 kwietnia 1974.

dzi, świat nie zna jej smaku. Słowem polski pisarz to bezsens: tu być nim nie można, tam – nie ma po co. Czyż nie lepiej było od początku zająć się tylko muzyką? I spokój byłby większy, i sumienie czystsze” (D., s. 895).

Przychodzą nowe doświadczenia z publikacją w drugim obiegu, ale to – jak Kisielewski mówi – inicjatywy dość spóźnione, naturalnie spóźnione dla niego. Mimo sceptycyzmu, pod koniec lat 70. „zostaje” jednak opozycjonistą; uznaje prawdopodobnie, że wiek zobowiązuje i nie czas na dywagacje o kosztach czynnego oporu, za którym stoi, jak podpowiada mu wiedza i doświadczenie, realne wykluczenie.

Decyzja o zaangażowaniu podszyta sceptycyzmem, stała się jednak paradoksalnym źródłem siły i żywotności Kisielewskiego w stosunkowo późnym okresie życia, a znowu jest w swoim żywiole – w żywiole krytyka, opiniodawcy i korektora wychylonego ku przyszłości, również ku przyszłości literatury, która była jego niespełnioną, drugą po publicystyce miłością. Recenzuje drugoobiegowy „Zapis” i propozycje książek wydawanych poza cenzurą.

Nie da się jednak nie zauważyć sporego oddalenia psychicznego i ideowego Kisielewskiego od środowiska, które tę inicjatywę podjęło. Można też odnieść wrażenie, że on sam melancholijnie godzi się na pewną, być może już i naturalną z wiekiem formę outsiderstwa: „W sumie obraz twórczości »szufladowej« niezbyt budujący, tyle że właśnie nie miała ona być szufladowa. Zobaczymy – co dalej – jak skompletują drugi tom – nawet mnie już proponowali. Ale tak czy owak, rzecz jest mocna – obok KOR-u, różnych protestów, wywiadów udzielanych za granicą to jest prawdziwy bunt inteligencji twórczej – tyle że czyż to o nią chodzi i czy będzie ona miała coś do gadania? [...] Mnie puścili cały felieton o zebraniu literatów, o konieczności »odbudowy pogłowia« pisarskiego, o lekceważeniu ludzi, którzy mają dać świadectwo epoce. Był to felieton–oferta, próba zaproponowania trzeciego wyjścia, która powinna była wyjść właśnie od środowiska »Tygodnika Powszechnego«. Ale oferta ta, usta-

wiająca zresztą mnie na »trzecim miejscu«, nie będzie podjęta ani w ogóle zrozumiana” (*D.*, s. 902-903)<sup>82</sup>.

Po trzech latach intensywnej pracy w przestrzeni alternatywnej polityki i kultury – w „podziemiu” i na emigracji, odczuwa pisarz pewną satysfakcję: „Przemęczyłem się już trochę pisywaniem »u gówniarzy«, jak to sobie określam. Rzeczywiście masę u nich napisałem, w szeregu »pisemek«: »Zapis«, »Biuletyn« KOR-u, »Res Publica«, »Głos«, »Spotkania«, »Krytyka«, »Bratniak«, w przeszłości »Aspekt« – to chyba sporo. Wydałem też przedmowę *Na czym polega socjalizm?* i teraz wydam jeszcze kontynuację *Walki o świat*. Do tego comiesięczny felieton w paryskiej »Kulturze« i w końcu »Tygodnik Powszechny«, choć [felietony – V.W.M.] konfiskowane, to coś niecoś się ukazuje. Rozpraszam siły – a może należałoby je zebrać – mam zaczęłą powieść, co prawda kryminał, ale polski, współczesny, a do tego nieźle mi się komponuje koncert fortepianowy. [...] To i tak cud, że tak długo (dwa i pół roku) udało mi się pisać zarazem w »Kulturze« i w »Tygodniku«” (*D.*, s. 944)<sup>83</sup>.

Rok 1980–1981 przynosi nowe owoce, to czas kolejnego rozkwitu: odczyty, wyjazdy, w związku z 70. rocznicą urodzin<sup>84</sup> życze-

<sup>82</sup> Zapis z 11 lutego 1977.

<sup>83</sup> Zapis z 24 lutego 1980.

<sup>84</sup> W Wolnej Europie 7 marca 1981 r. L. Tyrmand powiedział: „[...] patrząc na jego życie z perspektywy dzisiejszego jubileusza, nie można pominąć waloru Kisielewskiego jako długodystansowca, przynajmniej w sensie przenośnym. Tyłuż jego przeciwników i prześladowców już nie istnieje. Rozpłynęli się bez śladu w niebycie. A Kisielewski biega i biega, dysząc ciężko, lecz skutecznie, tak że wszyscy go słyszą. Ktoś może spytać: dlaczego? Dlaczego zajmujemy się dziś tak wyczerpująco i obficie Stefanem Kisielewskim, z zawodu muzykiem i dziennikarzem, z upodobania powieściopisarzem i politykiem, z zamiłowania wiernym bywalcem warszawskich i krakowskich restauracji? Moja odpowiedź jest krótka i prosta: albowiem jest jednym z najwybitniejszych Polaków swego pokolenia, a także całej polskiej historii, która rozciąga się pomiędzy rokiem 1945 a dniem dzisiejszym. On, jak mało kto, określił płac naszych dziejów i zdefiniował go w formie niezwyklej w tradycji kultury polskiej, a także



nia i kwiaty od ministra Tejhmy(!), na festiwalu muzycznym w Poznaniu wykonywano *Symfonię w kwadracie*, odbył spotkania w Sztokholmie z okazji wręczenia Literackiej Nagrody Nobla Czesławowi Miłoszowi, więc i spotkanie z poetą, udał się podróże dalsze i bliższe – do Australii i po Europie. W chwilę później – dramatyczny, ale nie tak już emocjonalnie i bez szczególnej ciekawości przyjęty stan wojenny, z pewnością – pogłębiający jego własne zmęczenie: „Trzeba w dziwnych warunkach zacząć nowy, ostatni etap życia. I znowu dookoła Wojtek (tym razem Jaruzelski)!” – czytamy w posłowie do *Dzienników* (D., s. 950).

Jest w tym zapisie ostatnich lat coś bardzo ważnego, lęk przed dostaniem się dziennika w niepowołane ręce, lęk przed jego zniszczeniem i wreszcie troska o ewentualny kształt tej publikacji. „Porządkując swoje sprawy – notuje Kisielewski – likwiduję również problem niniejszych zapisków czy pamiętników, prowadzonych od maja 1968 na przestrzeni dwunastu lat. Pojęcia nie mam, jaki będzie ich przyszły los. Bruliony są ukryte, trzeba by je przepisać, może trochę poprawić pospieszny styl? [...] Ciekawym, czy to się kiedyś ukaże? W Paryżu wspomniałem o tym Księciu – bardzo się zainteresował. Ale czy rzecz dojdzie kiedyś do jakiejś publikacji?

---

rzadkiej w innych kulturach narodowych. On, w większym stopniu niż ktokolwiek z jego współczesnych, wpłynął na kształtowanie w warunkach powojennych wzorów myślowych trzech generacji: swojej własnej, mojej oraz tej, która usiłuje ulepić nową polską rzeczywistość.

Przez ostatnie 34 lata Kisiel uczył myśleć tych, co go czytali. Filozofia i wiara, wierność moralnym pryncypiom i miłość prawidłowego rozumowania, zwana także zdrowym rozsądkiem, zeszyły się w jeden, jedyny i niepowtarzalny styl intelektualny Kisielewskiego. Jest on filozofem wyjaśniającym strukturę naszych realiów, zarówno obiektywnych, jak i subiektywnych. Nie ma znaczenia, w jakim systemie odniesienia przekazuje on nam swoje mędrkowanie. Kisiel nie uprawia filozofii, lecz filozofuje. Jego dywagacje są w symbiozie z dowolnością formy, co czyni go nie tylko wspaniałym *Homme de lettres*, lecz zadziwiającym popularyzatorem treści zawyłych, trudnych i nie do strawienia w interpretacji nie kończących się mas zawodowców od epistemologii, speców od socjologii i historii kultury, literatury i procesów cywilizacyjnych”. Podają za: K. W. Tatarowski, *Literatura i pisarze...*, dz. cyt. (transkrypt audycji *Polscy twórcy na emigracji* z 17 listopada 1990).



*Roman Palester podczas wizyty w Polsce,  
wrzesień 1983*

Czy znajdzie pieczołowitego wydawcę, tak jak znalazły go w osobie Grydzewskiego *Dzienniki Lechonia?*” (D., s. 951).

Człowiek 73-letni, jakim wówczas był Kisielewski, ma odwagę powiedzieć, że wszystko, co robił w życiu, pozbawione było sensu i jednocześnie w jakiś dla siebie tylko znany sposób próbuje uchwycić równowagę, przyjmując z pokorą, a nawet z dobroduszną ironią swój wiek oraz przekornie uznawać to ograniczenie za paradoksalny dar wolności. „Mieć swój pogląd i nie wypowiadać go, lecz delektować się nim po cichu, szlifować go wyłącznie w samotności, nie dzieląc się tą czynnością z nikim – cóż za przyjemność! Polecają tę przyjemność jako niezwykle higieniczną terapię duchową jogowie hinduscy. Również w świecie islamu istniała opisywana kiedyś przez Miłosza sekta »ketman«, która ćwiczyła się w zachowywaniu swych poglądów wyłącznie dla siebie – ukrywanie ich chroniło ukrywającego przed wszelkimi naciskami zewnętrznego świata, pozwalając mu w ten sposób zachowywać wolność duchową niezależnie od okoliczności. Być sobą i nietykalnym w każdych warunkach – wspinała rzecz! [...]”

Cóż za wolność: nie wpływać na nic, nie służyć do niczego, nie pisywać o niczym (raczej pisywać o niczym) i nie martwić się tym! Odkryłem nowe rozkosze” (D., s. 674).

Puenta Kisielowej opowieści *à rebours* brzmi po latach tak oto: „Wreszcie NIEODPOWIEDZIALNOŚĆ”.

Aktywność polityczną Kisielewskiego w latach 80. kwituje Palest, nie szczędząc mu zresztą uszczypliwości. Jego ocena rzeczywistości nie wystawia koledze dobrego świadectwa, zwłaszcza w kontekście deficytu profetyzmu, który – zdaniem publicysty RWE – winien być atrybutem rasowego polityka. Palest w wywiadzie udzielonym Jagodzie Jędrzychowskiej prawdopodobnie w 1989 roku powiedział: „Cała paczka »niezależnych« publicystów krajowych – należy do niej i Kisiel – klepie wiecznie te same frazesy o sytuacji geopolitycznej, wobec czego podobno nie można nic zrobić. Ale być polity-

kiem to oznacza umiejętność widzenia i precyzowania dziś tego, co jutro będzie oczywistością”<sup>85</sup>.

Ale to rzecz na inne studium. Najbardziej wydaje się interesujące niecodzienne i skomplikowane ze swej istoty usytuowanie Kisielewskiego w krajowej i emigracyjnej przestrzeni kultury i jego wyobcowujący charakter. Autor *Widzianego z góry* funkcjonował „na styku”, był w podróży intelektualnej i rzeczywistej między krajem i emigracją.

Ostał się dzisiaj z pewnością jako rasowy felietonista, dobry publicysta, znacznie słabszy pisarz i „gracz” polityczny, ale i umysłowość żywa, przenikliwa, nadto autor–kolekcjoner szczegółu, rozpoznający jego rzeczywiste znaczenie w morzu innych drobnych i z pozoru mało ważnych rzeczy. Poza tym znacznie słabszy pisarz – niekiedy zbyt powierzchowny, ale jako diagnosta – syntetyczny, choć mylący się, jako felietonista – emocjonalny i zarazem twardo broniący swoich racji<sup>86</sup>; człowiek poważny choć prześmiewczy. Pechowiec. Ten jego pech był świetnie zresztą przez niego samego rozpoznany, zdiagnozowany i stematyzowany.

Kisielewski był właściwie człowiekiem niezwykle dynamicznym i przez to zaciekawiającym: z jednej strony skłaniała go do słownej ekspresji niemal obsesyjna kontrydycyjność, potrzeba uprawiania publicystyki, w której mógłby najpełniej wykorzystać swój talent polemiczny, poza wszystkim miał ze swojego konserwatywnego punktu widzenia coś bardzo istotnego do powiedzenia inteligencji liberalnej, marskistom, emigracji. Chciał wpływać na rzeczywistość, zmieniać ją i kształtować, z drugiej zaś strony – rosnące wątpliwości, czy prawda się jeszcze liczy, czy jest jeszcze do czegoś potrzebna w życiu społecznym i wspólnotowym, studziły jego zapał.

<sup>85</sup> *Rozmowa z Romanem Palestrem*, w: Jagoda Jędrzychowska, *Widzieć Polskę z oddalenia*, Paryż 1990, s. 90.

<sup>86</sup> Zob.: Krzysztof Dybciak, *Kisiel renesansowy*, „Arcana” 2011, nr 4, s. 271 i n.



*Roman Palester i Stefan Kisielewski,  
Paryż 1979*

Zdigitalizowano i udostępniono w ramach projektu pn.  
Rozbudowa otwartych zasobów naukowych Repozytorium Uniwersytetu w Białymstoku,  
dofinansowanego z programu „Społeczna odpowiedzialność nauki” Ministra Edukacji i Nauki na podstawie umowy SONB/SP/512497/2021

Śmiertelnym wrogiem publicysty politycznego była cenzura, z czasem i autocenzura. Na szczęście jednak prowadził konsekwentnie i z pasją swój dziennik, choć możemy żałować jedynie, że nie prowadził go co najmniej od powojnia.

Był zwierzędem politycznym jak Giedroyc, wdał się nawet w czynną politykę. Zaryzykował<sup>87</sup>. Nie chciał również, by nazywano go opozycjonistą, skoro otrzymał mieszkanie od Cyrankiewicza i zaangażował się w PRL-owski projekt z ramienia koła Znak. A jednak, jak zapewne wielu intelektualistów krajowych, przeżywał rozczarowanie czasem, w którym przyszło mu żyć, nie był to z pewnością czas skrojony na miarę jego publiczno-artystycznych wymagań i potrzeb.

Miał Kisielewski w swojej biografii dwa udane lata, nierównoważące wprawdzie dyskomfortu PRL-owskiego wyobcowania (popadnięcie w niełaskę władz, permanentnych donosów, działania cenzury), ale na pewno były one istotne. Doznał satysfakcji uczestniczenia w przełomie 1989–1991, stał się wówczas niewątpliwie ostatni już raz mentorem środowisk opozycyjnych, komentatorem i diagnostą przemian na użytek emigracji, znowu był niezastąpiony i kontrolersyjny.

Na koniec – kamyczek do ogródka przysłowiowego już dziś uporu i przekory publicysty, o czym napisano wiele. Bo może te cechy cha-

<sup>87</sup> Kisielewski w 1991 roku o życiowych wyborach mówi: „Nie udało mi się skoncentrować na jednym – na przykład na muzyce – i stworzyć coś, co byłoby potrzebne ludziom i powszechnie – w całej Europie albo w świecie – znane. Zamiast tego – rozmieniłem się na drobne... Ogromnie zawiniła tu także mania polityczna, której trudno się pozbyć. Myślę jednak, że to wszystko mało znaczy, że najważniejsze jest zbawienie duszy, a co do tego nie mam pewności”. *Dziewiąty krzyżyk*, w: Stefan Kisielewski, *Abecadło Kisielewa, Testament Kisielewa*, dz. cyt., s. 208. W innym, wcześniejszym wywiadzie z 1990 roku powie również: „Faktem jednak pozostaje, że nastawiłem się, iż do śmierci przyjdzie mi odegrać rolę źle widzianego, walczącego, spierającego się, obserwującego wszystkie absurdy tego świata. Krytykowanie komunizmu było moim zawodem, z tego żyłem”. *Chciałem być gorszy*, w: tamże, s. 225.

rakteru pozwalały Kisielewskiemu wytrwać, mimo rozmaitych ograniczeń? W 70. urodziny felietonisty, przed mikrofonem RWE 7 marca 1981 roku Leopold Tyrmand, o permanentnej skłonności przyjaciela do ryzyka powiedział: „Gdzieś w latach 50. udaliśmy się obaj na warszawską »Legię«, czyli na pływalnię – wspomina Tyrmand. – Skoczyłem ze słupka startowego, zaś Kisiel zlął po stopniach wprost na głęboką wodę i trzymając się obrzeża basenu, zaczął wędrować pod trampolinę. Podpłynąłem i spytałem, czy mu się coś nie udało? Na to Kisiel – nic, tylko ja nie umiem pływać. Zdrętwiałem i krzyknąłem – to po coś się władował na tę stronę, głupku! Wylaż z wody, bo jeszcze będzie nieszczęście! Zaś Kisiel – ba, wylaż... ale jak? I uporeczywie, chwyt za chwytem, sunął ku płytciznie. Nikt by go nie zmusił do ucieczki tylko dlatego, że było niebezpiecznie. On sam, na swój sposób, być może niemrawie, ale z pełnym opanowaniem sytuacji, parł przed siebie, świadomy czterech metrów głębi pod sobą i braku własnych umiejętności, jak pokonać zagrożenie”<sup>88</sup>.

Pewne jest, że Stefan Kisielewski opierał się przed wyrzuceniem za burtę, przepędzeniem z literatury, wypchnięciem z kultury; czy mógł wybrać inną drogę? Nie ma na to pytanie satysfakcjonującej odpowiedzi, ale bez wątpienia, on sam postawił pytanie inne: w czym wytrwać?

---

---

<sup>88</sup> Podaję za: K. W. Tatarowski, *Literatura i pisarze...*, dz. cyt. (transkrypt audycji *Polscy twórcy na emigracji* z 17 listopada 1990).





## Ważniejsze pozycje bibliograficzne

- Adamczyk Kazimierz, *Doświadczenia polsko-żydowskie w literaturze emigracyjnej (1939–1980)*, Kraków 2008.
- Adamczyk Kazimierz, *Dziennik jako wyzwanie*, Kraków 1994.
- Adamczyk Kazimierz, „Happy-end” – historia z drugiej ręki, „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 2007, z. 1.
- Andrzejewski Jerzy, *Miazga*, Warszawa 1979.
- Aparat represji wobec inteligencji w latach 1945–1956*, pod red. Rafała Habielskiego i Dominiki Rafalskiej, Warszawa 2011.
- Archiwum radiowe Czesława Straszewicza*, opracowała Violetta Wejs-Milewska, „Kresy” 2001, nr 3.
- Artyści a Służba Bezpieczeństwa. Aparat bezpieczeństwa wobec środowisk twórczych. Materiały pokonferencyjne*, pod red. Roberta Klimentowskiego, Sebastiana Ligarskiego, Wrocław 2008.
- Balcerzan Edward, *Ojczyzna wobec obczyzny*, w: *Między Polską a światem. Kultura emigracyjna po 1939 roku*, pod red. Marty Fik, Warszawa 1992.
- Bednarczyk Leszek, *Władza nad mową (nowomową)*, „Pismo” 1981, nr 2.
- Bereś Stanisław, *Literatura emigracyjna (1945–1990). Zarys periodyzacji*, w: *W kręgu twórczości pisarzy emigracyjnych. Studia i szkice*, pod red. Zbigniewa Andresa, Rzeszów 1999.
- Bikont Joanna, Szczęsna Joanna, *Lawina i kamienie. Pisarze wobec komunizmu*, Warszawa 2006.
- Błażyński Józef, *Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii, 1940–1955*, Londyn 1985.
- Bolesławska Beata, *Panufnik*, Kraków 2001.
- Bralczyk Jerzy, *O języku polskiej propagandy politycznej*, w: *Współczesna polszczyzna. Wybór zagadnień*, pod red. Haliny Kurkowskiej, Warszawa 1981.
- Brandys Kazimierz, *Dziennik 1972*, Warszawa 1996.

- Brandys Kazimierz, *Dziennik 1976–1977*, Warszawa 1996.
- Brandys Kazimierz, *Dziennik 1978*, Warszawa 1997.
- Braun Kazimierz, *Los i etos polskiego pisarza emigracyjnego*, w: *Proza polska na obczyźnie. Problemy – dyskursy – uzupełnienia*, t. 1, pod red. Zbigniewa Andresa, Janusza Pasterskiego, Anny Wal, Rzeszów 2007.
- Centrum władzy. Protokoły posiedzeń kierownictwa PZPR. Wybór z lat 1949–1970*, opracowali Antoni Dudek, Aleksander Kochański, Krzysztof Persak, Warszawa 2000.
- Chylińska Teresa, *Czy Roman Palester był emigrantem?*, w: *Między Polską a światem. Kultura emigracyjna po 1939 roku*, pod red. Marty Fik, Warszawa 1992.
- Czapliński Przemysław, *O realizmie socjalistycznym*, „Teksty Drugie” 1995, nr 1.
- Czermińska Małgorzata, *Autobiograficzny trójkąt: świadectwo, wyzwanie i wyznanie*, Kraków 2000.
- Czermińska Małgorzata, *Autor – podmiot – osoba. Fikcjonalność i niefikcjonalność*, w: *Polonistyka w przebudowie. Literaturoznawstwo – wiedza o języku – wiedza o kulturze – edukacja*, t. 1, pod red. Małgorzaty Czermińskiej, Stanisława Gajdy i in., Kraków 2005.
- Czermińska Małgorzata, *Sprawy publiczne w pismach intymnych*, w: *Literatura i władza*, Warszawa 1996.
- Ćwikliński Krzysztof, *Znani i nieobecni. Studia i szkice o Andrzejku Bobkowskim i innych pisarzach emigracyjnych*, Toruń 2011.
- Danilewicz Zielińska Maria, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Wrocław – Warszawa – Kraków 1992.
- Dorosz Beata, *Zagubiona idea. Wokół Kongresu Kultury Polskiej*, w: *Paryż – Londyn – Monachium – Nowy Jork. Powrześniowa emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko polskiej*, pod red. Violetty Wejs-Milewskiej, Ewy Rogalewskiej, Białystok 2009.
- Drzewiecki Zbigniew, *Wspomnienia muzyka*, Kraków 1971.
- Dybcia Krzysztof, *Historyczne znaczenie oraz różnorodność ruchów migracyjnych i społeczności migrujących*, „Ethos” 2009, nr 3-4.
- Dybcia Krzysztof, *Inwazja eseju*, „Pamiętnik Literacki” 1977, z. 4.
- Dybcia Krzysztof, *Panorama literatury na obczyźnie*, Kraków 1990.
- Dybcia Krzysztof, *Próba porównania wielkich emigracji europejskich XX wieku*, w: *Paryż – Londyn – Monachium – Nowy Jork. Powrześniowa emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko pol-*

- skiej, pod red. Violetty Wejs-Milewskiej, Ewy Rogalewskiej, Białystok 2009.
- Dybcia Krzysztof, *Systemy komunikacji literackiej wielkich literatur emigracyjnych*, „Teksty Drugie” 1998, nr 3.
- Emigracja polska wobec sowietyzacji kraju po drugiej wojnie światowej*. *Studia*, pod red. Ryszarda Sudzińskiego, Toruń 2007.
- Fijałkowska Barbara, *Polityka i twórcy 1948–1959*, Warszawa 1985.
- Fik Marta, *Autorytacie, wróć? Szkice o postawach polskich intelektualistów po październiku 1956*, Warszawa 1997.
- Fik Marta, *Kultura polska po Jalcie: kronika lat 1944–1981*, Londyn 1989.
- Fiut Aleksander, „Ach, jak mam czasami dosyć tych swoich »Norwidów«!”. *Czesław Miłosz w korespondencji Jerzego Giedroycia*, w: *Jerzy Giedroyc: Kultura, polityka, wiek XX. Debaty i rozprawy*, pod red. Andrzeja Mencwela, Andrzeja S. Kowalczyka, Leszka Szarugi, Zuzanny Grębeckiej, Warszawa 2009.
- Fiut Aleksander, *Czesława Miłosza autoportret przekorny*, Kraków 1994.
- Fiut Aleksander, *Pytanie o tożsamość*, Kraków 1995.
- Franaszek Andrzej, *Historia pewnego samobójstwa 1951–1960*, w: tegoż, *Miłosz. Biografia*, Kraków 2011.
- Franaszek Andrzej, „Wszystkie Pana wady i ćwieki”. *Spór o Jerzego Giedroycia z Czesławem Miłoszem*, w: *Jerzy Giedroyc: Kultura, polityka, wiek XX. Debaty i rozprawy*, pod red. Andrzeja Mencwela, Andrzeja S. Kowalczyka, Leszka Szarugi, Zuzanny Grębeckiej, Warszawa 2009.
- Friszke Andrzej, *Koło „Znak” w Sejmie*, Warszawa 2002.
- Friszke Andrzej, *Przystosowanie i opór. Studia z dziejów PRL*, Warszawa 2007.
- Friszke Andrzej, *Życie polityczne emigracji*, Warszawa 1999.
- Gackowski Tomasz, *W świetle służby bezpieczeństwa*, w: *Stefan Kisielewski. Kisiel 1911–1991–2011*, pod red. Rafała Habielskiego, Marka Jabłonowskiego, Warszawa 2011.
- Gawlikowski Lechosław, *Mitologia ery tworzenia Rozgłośni Polskiej RWE*, w: *Radio Wolna Europa w polityce polskiej i zachodniej. Materiały z konferencji naukowej. Warszawa 30 listopada – 1 grudnia 2007*, pod red. Andrzeja Borzyma, Jeremiego Sadowskiego, Warszawa 2009.

- Gąsiorowska Małgorzata, *Muzyka polska lat 1945–1955 wobec socrealizmu*, w: *Muzyka, słowo, sens: Mieczysławowi Tomaszewskiemu w 70. rocznicę urodzin*, pod red. Anny Oberc, Kraków 1994.
- Giedroyc Jerzy, *Autobiografia na cztery ręce*, opracował i posłowiem opatrzył Krzysztof Pomian, Warszawa 1999.
- Giedroyc Jerzy, Bobkowski Andrzej, *Listy 1946–1961*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Jan Zieliński, Warszawa 1997.
- Giedroyc Jerzy, Gombrowicz Witold, *Listy 1950–1969*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Andrzej S. Kowalczyk, Warszawa 1993.
- Giedroyc Jerzy, Mieroszewski Juliusz, *Listy 1949–1956* (cz. 1 i 2), wybrał i wstępem poprzedził Krzysztof Pomian, przypisami i indeksem opatrzyli Jacek Krawczyk i Krzysztof Pomian, szkicem o Mieroszewskich i Mieroszewskim uzupełnił Piotr Wandycz, Warszawa 1999.
- Giedroyc Jerzy, Miłosz Czesław, *Listy 1952–1963*, opracował i wstępem opatrzył Marek Kornat, Warszawa 2008.
- Giedroyc Jerzy, Stempowski Jerzy, *Listy 1946–1969* (cz. 1 i 2), wydał, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej S. Kowalczyk, Warszawa 1998.
- Giedroyc Jerzy, Wańkiewicz Melchior, *Listy 1945–1963*, wyboru dokonała i wstępem opatrzyła Aleksandra Ziółkowska-Boehm, przypisy opracowali Aleksandra Ziółkowska-Boehm i Jacek Krawczyk, Warszawa 2000.
- Głowiński Michał, *Marcowe gadanie. Komentarze do słów 1966–1971*, Warszawa 1991.
- Głowiński Michał, *Narracje literackie i nieliterackie. Prace wybrane*, t. 2, Kraków 1997.
- Głowiński Michał, *Nowomowa po polsku*, Warszawa 1991.
- Głowiński Michał, *Pawiany z Monachium (PRL-owska propaganda wobec Wolnej Europy)*, w: tegoż, *Pismak 1863 i inne szkice o różnych brzydkich rzeczach*, Warszawa 1995.
- Głowiński Michał, *Peereliada. Komentarze do słów 1976–1981*, Warszawa 1993.
- Gołębiowski Bronisław, *Pamiętnikarstwo i literatura. Szkice z socjologii kultury*, Warszawa 1973.
- Gombrowicz Rita, *Gombrowicz w Europie 1963–1969*, Kraków 1997.
- Gombrowicz. Walka o sławę, korespondencja: Józef Wittlin, Jarosław Iwaszkiewicz, Artur Sandauer*, cz. 1, układ, przedmowa, przypisy Jerzy Jarzębski, Kraków 1996.
- Gombrowicz Witold, *Dziennik 1953–1956*, Kraków 1988.
- Gombrowicz Witold, *Komentarz do: Émile M. Cioran, Dogodności i niedogodności wygnania*, „Kultura” (Paryż) 1952, nr 6.

- Gombrowicz Witold, *Wspomnienia polskie. Wędrowki po Argentynie*, Warszawa 1990.
- Graczyk Roman, Z „Tygodnikiem Powszechnym” związki bliskie i trudne, w: Stefan Kisielewski. *Kisiel 1911–1991–2011*, pod red. Rafała Habielskiego, Marka Jabłonowskiego, Warszawa 2011.
- Habielski Rafał, *Charakter i znaczenie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Kilka uwag i refleksji*, w: *Radio Wolna Europa w polityce polskiej i zachodniej. Materiały z konferencji naukowej. Warszawa 30 listopada – 1 grudnia 2007*, pod red. Andrzeja Borzyma, Jeremiego Sadowskiego, Warszawa 2009.
- Habielski Rafał, *Dokąd nam iść wypada?: Jerzy Giedroyc od „Buntu Młodych” do „Kultury”*, Warszawa 2007.
- Habielski Rafał, *Kusy, Łysy i Księżę*, w: Stefan Kisielewski. *Kisiel 1911–1991–2011*, pod red. Rafała Habielskiego, Marka Jabłonowskiego, Warszawa 2011.
- Habielski Rafał, *Niezlomni i nieprzejednani. Emigracyjne „Wiadomości” i ich krąg 1940–1981*, Warszawa 1991.
- Habielski Rafał, *Obawy i wątpliwości. Emigracja wobec inauguracji RWE*, w: *50 lat Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Materiały sesji jubileuszowej*, pod red. Darii Nałęcz, Warszawa 2003.
- Habielski Rafał, *Rozgłośnia Polska Radia „Wolna Europa”*, w: tegoż, *Polityczna historia mediów w Polsce w XX wieku*, Warszawa 2009.
- Hajdasz Jolanta, *Szczekaczka, czyli Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa*, Poznań 2006.
- Helman Zofia, *Roman Palester. Twórca i dzieło*, Kraków 1999.
- Herczyński Ryszard, *Opozycja intelektualistów w Polsce 1945–1970*, Warszawa 2008.
- Herling-Grudziński Gustaw, *Murti-Bing*, w: *Wyjścia z milczenia. Szkice*, Warszawa 1998.
- Herling-Grudziński Gustaw, *Studium kliniczne Kisielewskiego*, w: tegoż, *Recenzje, szkice, rozprawy literackie 1947–1956*, pisma t. 2, Kraków 2010.
- Hirszowicz Maria, *Putapki zaangażowania. Intelektualiści w służbie komunizmu*, Warszawa 2001.
- Hofman Iwona, *Dwugłos o Peerelu. Dzienniki Stefana Kisielewskiego i Mariana Brandysa*, Lublin 2000.
- Hofman Iwona, *Polityka, media, społeczeństwo. Studia i szkice*, Toruń 2007.

- Janta-Polczyński Aleksander, *Wracam z Polski 1948: Warszawa, Wrocław, Kraków, Poznań, Szczecin – życie, polityka, gospodarka, sztuka, ludzie i zagadnienia*, Paryż 1949.
- Jarosiński Zbigniew, *Nadwiślański socrealizm*, Warszawa 1999.
- Jastrun Mieczysław, *Dziennik. Wybór z lat 1955–1960*, wybór, opracowanie, wstęp Włodzimierz Bolecki, Londyn 1990.
- Jastrun Mieczysław, *Dzienniki 1955–1981*, Kraków 2002.
- Jeleński Konstanty A., *Bohaterskie niebohaterstwo Gombrowicza*, „Kultura” (Paryż), nr 9.
- Jerzy Giedroyc: Kultura, polityka, wiek XX. Debaty i rozprawy*, pod red. Andrzeja Mencwela, Andrzeja S. Kowalczyka, Leszka Szarugi, Zuzanny Grębeckiej, Warszawa 2009.
- Jędrzychowska Jagoda (Kijowska Kazimiera), *Widzieć Polskę z oddalenia*, Paryż 1990.
- Johnson Ross A., *Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych podczas zimnej wojny. Rola Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa*, w: *Radio Wolna Europa w polityce polskiej i zachodniej. Materiały z konferencji naukowej. Warszawa 30 listopada – 1 grudnia 2007*, pod red. Andrzeja Borzyma, Jeremiego Sadowskiego, Warszawa 2009.
- Karpiński Wojciech, *Herb wygnania*, Paryż 1988.
- Kerski Basil, *François Bondy i Kongres Wolności Kultury*, w: *Pisarz na emigracji. Mitologie, style, strategie przetrwania*, pod red. Hanny Gosk, Andrzeja S. Kowalczyka, Warszawa 2005.
- Kijowski Andrzej, *Dziennik 1955–1969*, wybór i opracowanie Kazimiera Kijowska, Jan Błoński, Kraków 1998.
- Kijowski Andrzej, *Dziennik 1970–1977*, Kraków 1998.
- Kirchner Hanna, *Młode pokolenie prozaików: w poszukiwaniu tożsamości osobowej i nowych form ekspresji*, w: *Literatura polska 1918–1975*, t. 2, 1933–1944, pod red. Aliny Brodzkiej, Stefana Żółkiewskiego, Warszawa 1993.
- Kisiel (wywiady Joanny Pruszyńskiej)*, Warszawa 1997.
- Kisiel Marian, *Więzy i wzloty. Przełom 1955–1959 w literaturze polskiej – próba modelu*, Kielce 1996.
- Kisiel Marian, *Zmiana. Z problemów świadomości literackiej przełomu 1955–1959 w Polsce*, Katowice 1999.
- Kisielewski Stefan, *Abecadło Kisielea, Testament Kisielea. Ze Stefanem Kisielewskim rozmawia Piotr Gabryel*, wstęp Tomasz Wołek, Piotr Gabryel, posłowie Mariusz Urbanek, Warszawa 2010.
- Kisielewski Stefan, *Dzienniki*, Warszawa 1996.

- Kisielewski Stefan, *Lata pozłacane, lata szare. Wybór felietonów z lat 1945–1987*, Kraków 1989.
- Kisielewski Stefan, *Polityka i sztuka*, Warszawa 1998.
- Kossowska Stefania, *Gość z innej planety*, w: tejże, *Galeria przodków*, Warszawa 1991.
- Kowalska Anna, *Dzienniki 1927–1969*, przedmowa Julia Hartwig, wybrał, z rękopisu do druku przygotował, przypisami opatrzył Paweł Kądziała, Warszawa 2008.
- „Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny...” *Topika polskiej współczesnej poezji emigracyjnej – studia*, pod red. Wojciecha Ligęzy i Wojciecha Wyskiela, Łódź 1995.
- Krajewski Andrzej, *Między współpracą a oporem. Twórcy kultury wobec systemu politycznego PRL (1975–1980)*, Poznań 2004.
- Kryszak Janusz, *Emigracyjność w literaturze XIX i XX wieku*, w: *Polonistyka w przebudowie. Literaturoznawstwo – wiedza o języku – wiedza o kulturze – edukacja*, t. 2, pod red. Małgorzaty Czerwińskiej, Kraków 2005.
- Krzeczunowicz Andrzej, *Wspomnienia między pokoleniami*, w: *Autoportret zbiorowy. Wspomnienia dziennikarzy polskich na emigracji z lat 1945–2002*, pod red. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak, Opole 2003.
- Kulturowa teoria literatury*, pod red. Michała P. Markowskiego, Ryszarda Nycza, Kraków 2006.
- Laskowski Janusz, *Radiostacja „Świt”*, „Zeszyty Historyczne” 1966, nr 9–10.
- Lejeune Philippe, *Wariacje na temat pewnego paktu. O autobiografii*, przełożyli Wincenty Grajewski, Stanisław Jaworski, Aleksander Labuda, Regina Lubas-Bartoszyńska, Kraków 2001.
- Ligęza Wojciech, *Jaśniejsze strony katastrofy: szkice o twórczości poetów emigracyjnych*, Kraków 2001.
- Ligęza Wojciech, *Jerozolima i Babilon. Miasta poetów emigracyjnych*, Kraków 1998.
- Ligęza Wojciech, *Korespondencja skamandrytów z archiwum Jana Lechonia*, w: *Życie literackie drugiej emigracji niepodległościowej*, t. 1, pod red. Janusza Kryszaka, Rafała Moczkodana, Toruń 2001.
- Lisiecka Alicja, *Mandaryni i gryzypiórki: wstęp do pamiętnika*, Londyn 1973.
- Literatura i władza*, pod red. Ireny Wojnowskiej, Warszawa 1996.

- Literatura i wyobcowanie – studia*, pod red. Jerzego Świącha, Lublin 1989.
- Łapiński Zdzisław, *Jak współżyć z socrealizmem. Szkice nie na temat*, Londyn 1988.
- Łatyński Marek, *Ogród Angielski 1. Wspomnienia z Radia Wolna Europa*, Lublin 1997.
- Łopatyńska Lidia, *Dziennik osobisty, jego odmiany i przemiany*, „Prace Polonistyczne” 1950.
- Machcewicz Paweł, *Emigracja w polityce międzynarodowej*, Warszawa 1999.
- Machcewicz Paweł, „*Monachijska menażeria*”. *Walka z Radiem Wolna Europa 1950–1989*, Warszawa 2007.
- Machcewicz Paweł, *Walka z Radiem Wolna Europa 1950–1975*, w: *Aparat bezpieczeństwa wobec emigracji politycznej i Polonii*, pod red. Ryszarda Terleckiego, Warszawa 2005.
- Mackiewicz Józef, *...mówi Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa*, Monachium 1969.
- Madajczyk Czesław, *Klerk czy intelektualista zaangażowany*, Poznań 1999.
- Markiewicz Henryk, *Krytyka literacka w walce o realizm socjalistyczny 1944–1954*, Warszawa 1955.
- Markowska Elżbieta, *Jana Krenza pięćdziesiąt lat z batutą. Rozmowy o muzyce polskiej*, Kraków 1996.
- Masłoń Krzysztof, *Fobie i obsesje Czesława Miłosza*, „Plus-Minus” 12-13 II 2011, nr 6, Tygodnik „Rzeczpospolitej”.
- Mazur Mariusz, *Propagandowy obraz świata. Polityczne kampanie prasowe w PRL (1956–1980)*, Warszawa 2003.
- Media a polityka*, pod red. Magdaleny Szpunar, Rzeszów 2007.
- Michnik Adam, *Z dziejów honoru w Polsce. Wypisy więzienne*, Warszawa 1985.
- Mieroszewski Juliusz, *Literatura „oblężonego miasta”*, „Kultura” (Paryż) 1952, nr 1.
- Mierzanowska Daria, *Wolna Europa i świat*, Kraków 1998.
- Miłosz Czesław, *Do Antoniego Słonimskiego*, „Kultura” (Paryż) 1951, nr 12.
- Miłosz Czesław, *List Czesława Miłosza do Redaktora*, „Kultura” (Paryż) 1955, nr 6.



- Miłosz Czesław, *List do polskich komunistów*, „Kultura” (Paryż) 1959, nr 12.
- Miłosz Czesław, *Nie*, „Kultura” (Paryż) 1951, nr 5.
- Miłosz Czesław, *Noty o wygnaniu*, w: tegoż, *Zaczynając od moich ulic*, Wrocław 1990.
- Miłosz Czesław, *Odpowiedź Czesława Miłosza na komentarze do jego artykułu „Nie”*, „Kultura” (Paryż) 1951, nr 7-8.
- Miłosz Czesław, *Refleksje o środowisku zamkniętym*, „Kultura” (Paryż) 1955, nr 11.
- Miłosz Czesław, *Rozmowy polskie 1979–1998*, Kraków 2006.
- Miłosz Czesław, *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945–1950*, Kraków 1998.
- Miłosz Czesław, *Zdobycie władzy*, Paryż 1955.
- Miłosz Czesław, *Ziemia Ulro*, Paryż 1977.
- Miłosz Czesław, *Zniewolony umysł*, Paryż 1953.
- Mizerkiewicz Tomasz, *Reforma „śmiechu polskiego” na emigracji (Gombrowicz i Straszewicz)*, w: tegoż, *Niś śmiesznego. Studia o komiczności w literaturze polskiej XX i XXI wieku*, Poznań 2007.
- Morawski Maciej, *Głosy z Monachium*, Warszawa 1993.
- Murzański Stanisław, *Między kompromisem a zdradą. Intelktualiści wobec przemocy 1945–1956*, Warszawa 1993.
- Mycielski Zygmunt, *Dziennik 1950–1959*, Warszawa 1999.
- Mycielski Zygmunt, *Dziennik 1960–1969*, Warszawa 2001.
- Mycielski Zygmunt, *Niby-dziennik*, Warszawa 1998.
- Najder Zdzisław, *RWE 1982–1987. Zapiski dyrektora*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 2005, nr 153.
- Nałęcz Daria, *Zawód dziennikarza w Polsce 1918–1939*, Warszawa 1982.
- Newcourt-Nowodworski Stanisław, *O propagandzie (przeważnie czarnej), jaka panoszyła się na falach eteru (i gdzie indziej też)*, „Z dziejów Polskiej Radiofonii” 2005, nr 2, s. 7-20.
- (*Nie*)ciekawa epoka? *Literatura i PRL*, red. i wstęp Hanna Gosk, Warszawa 2008.
- Nowak Jan (Jeziorański Zdzisław), *Polska z oddali. Wojna w eterze – wspomnienia*, t. 2, 1956–1976, Londyn 1988.
- Nowak-Jeziorański Jan, Giedroyc Jerzy, *Listy 1952–1998*, wybór i opracowanie Dobrosława Platt, Wrocław 2002.

- Nycz Ryszard, *Osoba w nowoczesnej literaturze: ślady obecności*, w: tegoż, *Literatura jako trop rzeczywistości*, Kraków 2001.
- Odojewski Włodzimierz, *Pochwała felietonu*, „Na Antenie” 1973, nr 129.
- Olejniczak Józef, *Dziennik*, w: *Leksykon szkolny. Gatunki paraliterackie, publicystyczne i użytkowe*, pod red. Marka Pytasza, Gorzów Wielkopolski 1993.
- Olejniczak Józef, *Emigracje. Szkice – studia – sylwetki*, Katowice 1999.
- Palester Roman, *Konflikt Marsjasza*, „Kultura” (Paryż) 1951, nr 7-8.
- Palester Roman, *Uwagi o muzyce czyli „Pazylogia” i „współczesny Apollo”*, „Kultura” (Paryż) 1951, nr 12.
- Panufnik Andrzej, *O sobie*, przełożyła Marta Glińska, Warszawa 1990.
- Partia i literaci. Dokumenty Biura Politycznego KC PZPR, 1959*, pod red. Tadeusza Kisielewskiego, Łowicz – Warszawa 2004.
- Październik 1956 roku. Początek erozji systemu*, pod red. Marka Jabłonowskiego, Stanisława Stęпки, Słupsk 2007.
- Pisarz na emigracji. Mitologie, style, strategie przetrwania*, pod red. Hanny Gosk, Andrzeja S. Kowalczyka, Warszawa 2005.
- Powroty w zapomnienie. Dekada literatury emigracyjnej 1989–1999*, pod red. Bolesława Klimaszewskiego i Wojciecha Ligeży, Kraków 2001.
- PRL atakuje Radio „Wolna Europa”. Teksty, rysunki i karykatury z prasy, radia, telewizji i wydawnictw książkowych*, wybór i wstęp Alina Grabowska, Wrocław 2002.
- Prokop Jan, *Klerk i diabeł*, Kraków 1999.
- Prokop Jan, *Lata niby-Polski. Literatura – stalinizm – mity polityczne*, Kraków 1998.
- Prokop Jan, *Pisarze w służbie przemocy*, Kraków 1995.
- Prokop Jan, *Sowietyzacja i jej maski. PRL w latach stalinowskich*, Kraków 1997.
- Prokop-Janiec Eugenia, *Ku wielokulturowości: literatura emigracyjna jako literatura imigrantów*, w: *Proza polska na obczyźnie. Problemy – dyskursy – uzupełnienia*, t. 1, pod red. Zbigniewa Andresa, Janusza Pasterskiego, Anny Wal, Rzeszów 2007, s. 37-50.
- Prorok Leszek, *Dziennik 1949–1984*, Kraków 1998.
- Pyszny Joanna, *Pisarze i literatura w prasie polskiej lat pięćdziesiątych XX wieku. Szkice*, Wrocław 2002.
- Pytasz Marek, *Wygnanie – emigracja – diaspora. Poeta w poszukiwaniu czytelnika*, Katowice 1998.
- Radziwon Marek, *Iwaskiewicz – pisarz po katastrofie*, Warszawa 2010.

- Rakowski Mieczysław, *Dzienniki polityczne 1967–1968*, Warszawa 1999.
- Rakowski Mieczysław, *Dzienniki polityczne 1969–1971*, Warszawa 2001.
- Rodak Paweł, *Prawda w dzienniku osobistym*, „Teksty Drugie” 2009, nr 4.
- Rokicki Konrad, *Literaci. Relacje między literatami a władzami PRL w latach 1956–1970*, Warszawa 2011.
- Ryszka Franciszek, *O pojęciu polityki*, Warszawa 1992.
- Ryszkiewicz Mirosław, *Felietony Kisiela w okowach cenzury PRL*, w: *Poetyka i pragmatyka gatunków prasowych*, pod red. Kazimierza Wolnego, Rzeszów 1999.
- Ryszkiewicz Mirosław, *Mowa ezopowa w felietonach Kisiela*, „Pamiętnik Literacki” 2002, nr 1.
- Ryszkiewicz Mirosław, *Pisarstwo Stefana Kisielewskiego w okowach systemu (komunikacyjnego)*, w: *Polacy i Węgrzy w Europie. Język, literatura, kultura – paralele i kontakty*, pod red. László K. Nagy’ego, Debrecen 2001.
- Sambor Michał, *Literatura na emigracji*, „Kultura” (Paryż) 1953, nr 6.
- Samotność słowa. Z listów do Wacława Iwaniuka. Józef Wittlin, Kazimierz Wierzyński, Aleksander Janta-Polczyński*, opracował i wstępem opatrzył Leszek M. Koźmiński, Lublin 1995.
- Semelin Jaques, *Wolność w eterze*, Lublin 1999.
- Shore Marci, *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*, przełożył Marcin Szuster, Warszawa 2008.
- Siedlecka Joanna, *Jaśnie Panicz. O Witoldzie Gombrowiczu*, Warszawa 2011.
- Sirecka-Wołodko Magdalena, *Zagraniczna polityka kulturalna Polski w latach 1956–1970*, Toruń 2011.
- Skarga Barbara, *Tożsamość i różnica. Eseje metafizyczne*, Kraków 1997.
- Słabek Henryk, *Intelektualistów obraz własny w świetle dokumentów autobiograficznych 1944–1989*, Warszawa 1997.
- Słownik realizmu socjalistycznego*, pod red. Zdzisława Łapińskiego, Wojciecha Tomasika, Kraków 2004.
- Smulski Jerzy, *Od Szczecina do... Października. Studia o literaturze polskiej lat pięćdziesiątych*, Toruń 2002.
- Sporne postaci polskiej literatury współczesnej*, pod red. Aliny Brodzkiej, Warszawa 1994.

- Sporne postaci polskiej literatury współczesnej: kontynuacje*, pod red. Aliny Brodzkiej, Lidii Burskiej, Warszawa 1996.
- Spór o PRL*, wstęp Piotr Wandycz, Kraków 1996.
- Stabro Stanisław, *Samotność intelektualisty*, w: *Literatura a wyobcowanie. Studia*, pod red. Jerzego Świącha, Lublin 1990.
- Stefan Kisielewski. Kisiel 1911–1991–2011*, pod red. Marka Jabłonowskiego, Rafała Habielskiego, Warszawa 2011.
- Stempowski Jerzy, *Felietony dla Radia Wolna Europa*, opracował Jerzy Timoszewicz, Warszawa 1995.
- Straszewicz Czesław, O „Świcie”, „Kultura” (Paryż) 1953, nr 72.
- Straszewicz Czesław, *Pióra w ukropie, albo strach nami rządzi*, „Kultura” (Paryż) 1952, nr 2-3.
- Suchanow Klementyna, *Argentyńskie przygody Gombrowicza*, Kraków 2005.
- Sulikowski Andrzej, *„Nie można świata zostawić w spokoju”. O twórczości Jana Józefa Szczepańskiego*, Lublin 1992.
- Supruniuk Mirosław A., *Czesław Miłosz i Kongres Wolności Kultury*, „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 1998, z. 1.
- Supruniuk Mirosław A., *Poeta i redaktorzy „Wiadomości”. Czesław Miłosz w „polskim Londynie”*, w: *Zycie literackie drugiej emigracji niepodległościowej*, t. 2, pod red. Barbary Czarneckiej, Janusza Kryszaka, Toruń 2004.
- Supruniuk Mirosław A., *Przyjaciele wolności. Kongres Wolności Kultury i Polacy*, Warszawa 2008.
- Supruniuk Mirosław A., *„Wielkie pokuszenie”, albo zapomniany fragment „Zniewolonego umysłu” Czesława Miłosza*, „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 2001, z. 4.
- Supruniuk Mirosław A., *Zagadki Czesława Miłosza. Rok 1951 – wstęp do opisu*, „Kresy” 2003, nr 2-3.
- Szaruga Leszek, *Literacki kanon polskiego realizmu socjalistycznego*, w: *Socrealizm. Fabuły, komunikaty, ikony*, pod red. Krzysztofa Stępnika, Magdaleny Piechoty, Lublin 2006.
- Szaruga Leszek, *Literatura i życie. Ważniejsze wątki dyskusji literackich 1939–1989*, Lublin 2001.
- Szaruga Leszek, *Literatura lat 1945–1975*, Warszawa 1996.
- Szczepański Jan J., *Dziennik 1954–1956*, t. 1, Kraków 2009.
- Szymański Wiesław P., *Uroki dworu. Rzecz o zniewalaniu*, Kraków 1997.

- Szyszka Michał, *Droga klerka. Filozofia sztuki Stefana Kisielewskiego*, Kraków 2010.
- Święch Jerzy, *Nowoczesność. Szkice o literaturze polskiej XX wieku*, Warszawa 2006.
- Tatarowski Konrad W., *Aksjologia i polityka w pisarstwie i działalności Jana Nowaka-Jeziorańskiego*, Łódź 2010.
- Tatarowski Konrad W., *Emigracyjny „spór o prawo do nawrócenia” i jego konsekwencje*, w: *Paryż – Londyn – Monachium – Nowy Jork. Powrześnieowa emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko polskiej*, pod red. Violetty Wejs-Milewskiej, Ewy Rogalewskiej, Białystok 2009.
- Tatarowski Konrad W., *Literatura i pisarze w programie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa*, Kraków 2005.
- Taylor-Terlecka Nina, *Kongres, którego nie było. Od poczęcia (od urojenia) do poronienia, czyli opowieść o tym, jak marzenia poetów przysną w styku z realnym (nie tylko polskim) światem*, w: *Paryż – Londyn – Monachium – Nowy Jork. Powrześnieowa emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko polskiej*, pod red. Violetty Wejs-Milewskiej, Ewy Rogalewskiej, Białystok 2009.
- Taylor-Terlecka Nina, *Witolda Gombrowicza pradzieje radiowe*, „Przeгляд Polski” Dodatek Kulturalny „Nowego Dziennika” (Nowy Jork) 4 II 2011.
- Terlecki Tymon, *Archiwum literatury emigracyjnej*, „Pamiętnik Literacki” (Londyn) 1980, t. 3.
- Terlecki Tymon, *Emigracja naszego czasu*, pod red. Niny Taylor-Terleckiej, Jerzego Święcha, Lublin 2003.
- Terlecki Tymon, *Józef Wittlin*, w: tegoż, *Spotkania ze swoimi*, Wrocław 1999.
- Thom Françoise, *Drewniany język*, z francuskiego przełożyła Izabela Bielička, konsultacja i posłowie Michał Głowiński, Warszawa 1990.
- Tomasik Wojciech, *Inżynieria dusz. Literatura realizmu socjalistycznego w planie „propagandy monumentalnej”*, Wrocław 1999.
- Trznadel Jacek, *Hańba domowa*, Białystok 1990.
- Trzy listy Witolda Gombrowicza do Tymona Terleckiego*, opracowała Nina Taylor-Terlecka, „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 2001, z. 4.
- Tyrmand Leopold, *Dziennik 1954*, Warszawa 1996.
- Tyrmand Leopold, *Porachunki osobiste*, „Kultura” (Paryż) 1967, nr 3.

- Ulicka Danuta, *Funkcja poznawcza literatury i wiedzy o literaturze*, w: tejsze, *Literaturoznawcze dyskursy możliwe*, Kraków 2007.
- Urbanek Mariusz, *Kisiel*, Wrocław 1997.
- Voisine-Jechova Hana, *Być sobą – być u siebie*, w: *Paryż – Londyn – Monachium – Nowy Jork. Powrześnieńska emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko polskiej*, pod red. Violetty Wejs-Milewskiej, Ewy Rogalewskiej, Białystok 2009.
- Waldorff Jerzy, *Słowo o Kisielu*, Warszawa 1995.
- Walicki Andrzej, *Zniewolony umysł po latach*, Warszawa 1993.
- Wardzyński Rafał, *Na forum Zjazdów Delegatów ZLP w latach 1956–1967*, w: *Stefan Kisielewski. Kisiel 1911–1991–2011*, pod red. Rafała Habielskiego, Marka Jabłonowskiego, Warszawa 2011.
- Wejs-Milewska Violetta, *Andrzej Bobkowski i Radio Wolna Europa. Korespondencja z Janem Nowakiem-Jeziorańskim*, „Kresy” 2003, nr 4.
- Wejs-Milewska Violetta, *Korespondencja: Jan Nowak – Witold Gombrowicz*, „Kresy” 2002, nr 3-4.
- Wejs-Milewska Violetta, *Pióra w ukropie i pióra suche. Wokół eseju Czesława Straszewicza „Pióra w ukropie, albo strach nami rządzi”*, „Arcana” 2001, nr 5.
- Wejs-Milewska Violetta, *Radio*, w: tejsze, *Wykorzeni i wygnani. O twórczości Czesława Straszewicza*, Kraków 2003.
- Wejs-Milewska Violetta, *Radio Wolna Europa na emigracyjnych szlakach pisarzy. Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski, Roman Palester, Czesław Straszewicz, Tymon Terlecki*, Kraków 2007.
- Werner Andrzej, *Wina niewinnych i niewinność winnych. Rzut oka na związki polityki z literaturą i literatury z polityką w PRL*, w: *Sporne postaci polskiej literatury współczesnej*, pod red. Aliny Brodzkiej, Warszawa 1994.
- Wiatr Adam, *Stefan Kisielewski jako krytyk muzyczny*, Wrocław 2006.
- Wierzbicka Anna, *Słownik kluczem do historii i kultury. „Ojczyzna” w językach niemieckim, polskim i rosyjskim, oraz Wolność – libertas – freedom – Svoboda. Uniwersalne ideały czy specyficzne dla danej kultury jednostki leksykalne?*, w: *Język – umysł – kultura*, wybór i red. Jerzy Bartmiński, Warszawa 1999.
- Wierzbicki Piotr, *Struktura kłamstwa*, Londyn 1987.
- Wierzbicki Piotr, *Traktat o gnidach*, Chicago 1986.

- Wiszniewska Monika, *Stańczyk Polski Ludowej. Rzecz o Stefanie Kisielewskim*, Katowice – Warszawa 2004.
- Wittlin Józef, *Blaski i nędze wygnania*, w: tegoż, *Orfeusz w piekle XX wieku*, Paryż 1963.
- Wittlin Józef, *Do jakiej Ameryki jechałem*, w: tegoż, *Orfeusz w piekle XX wieku*, Paryż 1963.
- Wittlin Józef, *Eseje rozproszone*, opracował Paweł Kądziela, Warszawa 1995.
- Wittlin Józef, *Pisma pośmiertne i inne eseje*, opracował Jan Zieliński, Warszawa 1992.
- Woźniakowski Krzysztof, *Między ubezwłasnowolnieniem a opozycją. Związek Literatów Polskich w latach 1949–1959*, Kraków 1990.
- Wyka Marta, *Przypisy do życia*, Kraków 2007.
- Wyrwa Tadeusz, *Z nie opublikowanych wspomnień z (nie tylko) emigracyjnego życia kompozytora Romana Palestra*, „Pamiętnik Literacki” (Londyn) 2010, t. 39.
- Wyskiel Wojciech, *Kręgi wygnania. Jan Lechoń na obczyźnie (krąg pierwszy i drugi)*, Kraków 1988.
- Zadencka Maria, *Granice Europy. O wadze lokalizacji oraz znaczeniu przestrzeni w emigracyjnych dyskusjach historycznych*, w: *Paryż – Londyn – Monachium – Nowy Jork. Powrześnieowa emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko polskiej*, pod red. Violetty Wejs-Milewskiej, Ewy Rogalewskiej, Białystok 2009.
- Zajęc Paweł, *Emigracja*, „Twórczość” 2010, nr 2.
- Zaleski Marek, *Redaktor i Poeta*, w: *Jerzy Giedroyc: Kultura, polityka, wiek XX. Debaty i rozprawy*, pod red. Andrzeja Mencwela, Andrzeja S. Kowalczyka, Leszka Szarugi, Zuzanny Grębeckiej, Warszawa 2009.
- Zawodniak Mariusz, *Literatura w stanie oskarżenia. Rola krytyki w życiu literackim socrealizmu*, Warszawa 1999.
- Zawodniak Mariusz, *Zaraz po wojnie, a nawet przed... O przygotowaniach do socrealizmu*, „Teksty Drugie” 2000, nr 1-2.
- Ziętara Paweł, *Emigracja wobec Października. Postawy polskich środowisk emigracyjnych wobec liberalizacji w PRL w latach 1955–1957*, Warszawa 2001.
- Zubrzycki Jerzy, *Socjologia polskiej emigracji*, „Kultura” (Paryż) 1954, nr 9, cz. 2.
- Żdanowicz Andrzej, *Przemówienia o literaturze i sztuce*, przełożyła Izabela Ogrodowicz, Warszawa 1954.

## ARCHIWA

Archiwum Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa (Narodowe Archiwum Cyfrowe w Warszawie). Zawiera Archiwum Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa, tu: kopie archiwalnych nagrań dźwiękowych audycji Rozgłośni Polskiej RWE z lat 1952–1994. Zbiór liczy 15 246 taśm magnetofonowych oraz 2 000 kaset. Poza tym znajdują się tam kopie skryptów radiowych liczące ponad 1,5 miliona stron maszynopisu.

Hoover Institution Archives, Stanford University, Kalifornia. Dysponuje największym zbiorem dokumentów, skryptów i nagrań RWE/RS. Liczą one ponad 10,5 miliona stron i 80 000 taśm dźwiękowych.

Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Zakład Narodowy im. Ossolińskich (Wrocław).

Archiwum Czesława Straszewicza (Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie).

Archiwum Tymona Terleckiego w Oksfordzie.

Archiwum Emigracji w Toruniu.

Kolekcja Romana Palestra (Archiwum Kompozytorów Polskich XX wieku – Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego).

Zbiory Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku.



## Nota wydawnicza

Poniższe studia (ze wskazaniem pierwodruku) zostały dla potrzeb wywodu zaktualizowane, uzupełnione i stosownie rozszerzone.

1. *O socrealizmie z urugwajskiego oddalenia. Rzecz o „Kociotku na Ziemowita” Czesława Straszewicza*, w: *Socrealizm. Fabuły – komunikaty – ikony*, pod red. Krzysztofa Stępnika, Magdaleny Piechoty, Lublin 2006, rozdz.: *Doktryna rozbrajana przez śmiech. O „Kociotku na Ziemowita” Czesława Straszewicza*.
2. *Dylematy klerka na wygnaniu. Słów kilka o pewnej dyskusji z lat 50.*, w: *Życie literackie drugiej emigracji niepodległościowej II*, pod red. Barbary Czarneckiej, Janusza Kryszaka, Toruń 2004, rozdz.: *Dylematy klerka na wygnaniu. Dyskusja z lat 50*.
3. *Zdrada klerków. Intelktualiści krajowi „pod lupą” komentatorów w RWE*, w: *Paryż – Londyn – Monachium – Nowy Jork. Powrzesieńowa emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko polskiej*, pod red. Violetty Wejs-Milewskiej, Ewy Rogalewskiej, Białystok 2009, rozdz.: *Intelktualiści znad Wisły w komentarzach Radia Wolna Europa*.
4. *W stronę historii radia. Strategie retoryczne publicystyki polskiej sekcji RWE wobec paradoksu komunikacji z odbiorcą krajowym*, w: *Styl – dyskurs – media*, pod red. Barbary Bogolebskiej, Moniki Worosowicz, Łódź 2010, rozdz.: *Paradoksy komunikacji: Radio Wolna Europa a kraj*.
5. *Witold Gombrowicz i polska sekcja Radia Wolna Europa (1954–1969)*, w: *Życie literackie drugiej emigracji niepodległościowej III*, pod red. Janusza Kryszaka, Toruń 2008, rozdz.: *Próby współpracy Witolda Gombrowicza z polską sekcją Wolnej Europy*.

## Referaty wygłoszone na konferencjach

1. *Jerzy Stempowski i środowisko RWE*, referat wygłoszony na konferencji: „Klimat czasu – klimat epoki. Jerzy Stempowski i Krystyna Marek”, Muzeum Polskie w Rapperswil, 12-13 wrzesień 2007 (rozd.: *Jerzy Stempowski – niespieszny przechodzień w pospiesznym medium*).
2. *Między literaturą a radiem. Przypadek Tadeusza Nowakowskiego*, referat wygłoszony na konferencji „Główne nurty w literaturze XX i XXI wieku a dziennikarstwo”, Instytut Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków, 20-21 kwietnia 2010.
3. *Gość z innej planety – Józef Wittlin*, referat *Józef Wittlin w roli recenzenta teatralnego* wygłoszony na Konferencji „Etapy Józefa Wittlina”, Wydział Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, 14-15 kwietnia 2011.

## Spis ilustracji

- V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów; delegaci przed Pałacem Kultury i Nauki. Warszawa 1955; Drohiczyn, lata 50. WYKLEJKA 1  
*Źródło: ze zbiorów Violetty Wejs-Milewskiej*
- Na dworcu kolejowym w Budapeszcie. Drugi od prawej: Roman Palester, 1948 40-41  
*Źródło: Kolekcja Romana Palestra (Archiwum Kompozytorów Polskich XX wieku – BUW)*
- Roman Palester, 1946 47  
*Źródło: Kolekcja Romana Palestra (Archiwum Kompozytorów Polskich XX wieku – BUW)*
- Od lewej: Roman Palester i Tymon Terlecki, Oberammergau 1954 65  
*Źródło: Archiwum Tymona Terleckiego – Oksford*
- Podczas uroczystości wręczenia Nagrody Polskich Oddziałów Wartowniczych przy Armii Amerykańskiej w Europie. Od lewej: Witold Małcużyński, Roman Palester, Andrzej Panufnik, Tymon Terlecki, Londyn 1955 70-71  
*Źródło: Kolekcja Romana Palestra (Archiwum Kompozytorów Polskich XX wieku – BUW)*
- Roman Palester i Andrzej Panufnik na balkonie monachijskiego mieszkania Palestrów, 1955 81  
*Źródło: Kolekcja Romana Palestra (Archiwum Kompozytorów Polskich XX wieku – BUW)*
- Roman Palester podczas pracy twórczej, lata 60. 91  
*Źródło: Kolekcja Romana Palestra (Archiwum Kompozytorów Polskich XX wieku – BUW)*
- Roman Palester w paryskim mieszkaniu, lata 80. 96  
*Źródło: Kolekcja Romana Palestra (Archiwum Kompozytorów Polskich XX wieku – BUW)*

- Roman Palester przed mikrofonem RWE w Londynie, lata 50. 123  
*Źródło: Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego – Ossolineum*
- Od lewej: Andrzej Panufnik, Tymon Terlecki (prawdopodobnie),  
 Roman Palester, Londyn 1955 137  
*Źródło: Kolekcja Romana Palestra (Archiwum Kompozytorów Pol-  
 skich XX wieku – BUW)*
- Roman Palester i Andrzej Panufnik podczas uroczystości wręcza-  
 nia Nagrody Polskich Oddziałów Wartowniczych przy Armii Ame-  
 rykańskiej w Europie, Londyn 1955 140-141  
*Źródło: Kolekcja Romana Palestra (Archiwum Kompozytorów Pol-  
 skich XX wieku – BUW)*
- Czesław Straszewicz 149  
*Źródło: Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego – Ossolineum*
- Nagranie w studio RWE. Od lewej: Czesław Straszewicz, Janina  
 Radulska, Kazimierz Sowiński, Zdzisław Marynowski (widoczny  
 częściowo) i Gustaw Herling-Grudziński (tyłem), Monachium 1954 162-163  
*Źródło: Archiwum Wolnej Europy*
- Konferencja RWE. Na pierwszym planie Stanisław Paprocki, za  
 nim Kazimierz Zamorski (obaj z Działu Studiów i Analiz), na trze-  
 cim planie Czesław Straszewicz, Monachium, początek lat 50. 175  
*Źródło: Archiwum Wolnej Europy*
- Nagranie w studio RWE. Od lewej: Zdzisław Marynowski (stoi),  
 Kazimierz Sowiński, Gustaw Herling-Grudziński (za chmurą dy-  
 mu), Janina Radulska i Czesław Straszewicz, Monachium 1954 192-193  
*Źródło: Archiwum Wolnej Europy*
- Gustaw Herling-Grudziński w swoim pokoju redakcyjnym podczas  
 pracy w Rozgłośni Polskiej RWE, Monachium 1953–1955 219  
*Źródło: Archiwum Wolnej Europy*
- Tymon Terlecki w studio RWE, 1964 223  
*Źródło: Archiwum Tymona Terleckiego – Oksford*
- Od lewej: Gustaw Herling-Grudziński i Tymon Terlecki, Oberam-  
 mergau 1954 245  
*Źródło: Archiwum Tymona Terleckiego – Oksford*
- Dyskusja „okrągłego stołu”. Przed mikrofonem od lewej: Juliusz  
 Sakowski, Leopold Kielanowski, Tymon Terlecki, Włada Majew-

ska, Michał Chmielowiec, Bronisław Hełczyński, londyńskie studio RWE, 1964 256-257

*Źródło: Archiwum Tymona Terleckiego – Oksford*

Dyskusja „okrągłego stołu”. Przed mikrofonem od lewej: Michał Chmielowiec, Bronisław Hełczyński, Tymon Terlecki (prowadzący dyskusję), Juliusz Sakowski, londyńskie studio RWE, 1964 263

*Źródło: Archiwum Tymona Terleckiego – Oksford*

Dyskusja „okrągłego stołu”. Przed mikrofonem od lewej: Tymon Terlecki, Leopold Kielanowski, Michał Chmielowiec, Bronisław Hełczyński, Włada Majewska, Juliusz Sakowski, londyńskie studio RWE, 1964 263

*Źródło: Archiwum Tymona Terleckiego – Oksford*

Poranna konferencja redakcyjna w Rozgłośni Polskiej RWE w Monachium. Od lewej: Lech Wierczyński, Ignacy Klibański (Dział Analiz), Paweł Zaremba, Aleksandra Stypułkowska („Jadwiga Mieczkowska”), Tadeusz Nowakowski („Tadeusz Olsztyński”). Odwrócenie tyłem (od lewej): Kazimierz Wierzbiański (szef dziennika radiowego) i Józef Ptaczek. Konferencję prowadzi, wówczas asystent dyrektora, Zygmunt Michałowski, koniec lat 60. 276-277

*Źródło: Archiwum Wolnej Europy*

Tadeusz Nowakowski („Tadeusz Olsztyński”) 369

*Źródło: Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego – Ossolineum*

Nagranie w studio RWE w Monachium. Od lewej: Janusz Śląski („Jan Zaleski”), wówczas współpracownik Głosu Ameryki w Monachium, i Tadeusz Nowakowski („Tadeusz Olsztyński”). Wywiad z polskim bokserem wagi piórkowej, Henrykiem Tyczyńskim, który pozostał na Zachodzie, lata 50. 379

*Źródło: Archiwum Wolnej Europy*

Nagranie w studio RWE w Monachium. Pierwszy od prawej: Tadeusz Nowakowski („Tadeusz Olsztyński”), prawdopodobnie lato 1969 379

*Źródło: Archiwum Wolnej Europy*

Poranna konferencja redakcyjna Rozgłośni Polskiej RWE w Monachium. Od lewej: Leszek Meyer, Lech Wierczyński, Ignacy Klibański, Paweł Zaremba, Aleksandra Stypułkowska („Jadwiga Mieczkowska”) i Tadeusz Nowakowski („Tadeusz Olsztyński”), koniec lat 60. 382-383

*Źródło: Archiwum Wolnej Europy*

- Od lewej: Gustaw Herling-Grudziński, Roman Palester, Adam Ciołkosz, Neapol, ok. 1970 433  
*Źródło: Kolekcja Romana Palestra (Archiwum Kompozytorów Polskich XX wieku – BUW)*
- Roman Palester podczas wizyty w Polsce, wrzesień 1983 501  
*Źródło: Kolekcja Romana Palestra (Archiwum Kompozytorów Polskich XX wieku – BUW)*
- Roman Palester i Stefan Kisielewski, Paryż 1979 504-505  
*Źródło: Kolekcja Romana Palestra (Archiwum Kompozytorów Polskich XX wieku – BUW)*
- Wrocław, lata 50.; Kraków, lata 60. WYKLEJKA 2  
*Źródło: ze zbiorów Violetty Wejs-Milewskiej*

## Indeks nazwisk

### A

Adamczyk Kazimierz 11, 39, 374, 387  
Adenauer Konrad 216  
Albee Edward 357  
Anders Władysław 274  
Andres Zbigniew 10, 170  
Andrzejewski Jerzy 7, 33, 34, 37, 225,  
279  
Arrabal Fernando 359  
Arski Stefan 482  
Auderska Halina 221

### B

Balcerzan Edward 9  
Baliński Stanisław 324, 349  
Bandrowska Ewa 68  
Barcza Alicja de 292, 293, 294  
Bartoszewski Władysław 280  
Beckett Samuel 357  
Bednarczyk Leszek 146  
Bereś Stanisław 170  
Bereś Witold 426  
Białostocki Jan 92  
Bielecki Tadeusz 265  
Bielicka Izabela 146  
Bierut Bolesław 262  
Bikont Joanna 206, 411

Błażyński Zbigniew 165  
Błoński Jan 29, 285, 488  
Bobkowski Andrzej 7, 11, 178, 184,  
217, 299, 424, 437, 478, 479, 480,  
483, 484  
Bodeński Lesław 346  
Bolecki Włodzimierz 29, 284  
Bolesławska Beata 129, 134, 135, 138  
Böll Heinrich 216  
Borejsza Jerzy 207, 445  
Borzym Andrzej 243  
Boy-Żeleński Tadeusz 317  
Bralczyk Jerzy 146  
Brandt Willy 69, 266  
Brandys Kazimierz 29, 332, 409  
Brandys Marian 426  
Braun Kazimierz 17  
Brecht Bertolt 357  
Breza Tadeusz 221  
Bristiger Michał 493, 494  
Brodski Josif 10  
Brodziński Bohdan 426, 492  
Brodzka Alina 24, 206, 412  
Broniewski Władysław 218  
Broński M. (właśc. Wojciech Skala-  
mowski) 426  
Broszkiewicz Jerzy 136

Bryll Ernest 337  
 Brozowski Stanisław 46, 388, 456  
 Burek Tomasz 426

**C**

Camus Albert 330, 331  
 Celt Tadeusz zob. Chciuk-Celt Tadeusz  
 Cervantes Miguel de 198  
 Chabrowski Wacław 349  
 Chciuk-Celt Tadeusz 244, 431  
 Chmielowiec Michał 257, 263, 349  
 Chomiński Józef M. 494  
 Chruszczow Nikita 218, 230, 409  
 Chylińska Teresa 66, 90  
 Ciołkosz Adam 433  
 Ciołkoszowa Lidia 325  
 Cioran Émile M. 173, 185, 194, 195  
 Conrad Joseph 82  
 Cummings Richard H. 240  
 Cyrankiewicz Józef 265, 289, 425, 506  
 Czachowska Jadwiga 368  
 Czaplejewicz Eugeniusz 15  
 Czapliński Przemysław 146  
 Czapska Maria 334  
 Czapski Józef 114, 198, 199, 221, 334, 337

Czarnecka Barbara 107  
 Czechowicz Józef 265  
 Czermińska Małgorzata 18, 19, 387  
 Czerny-Stefańska Halina 259  
 Czeszko Bohdan 221

**Ć**

Ćwikliński Krzysztof 11, 16, 185

**D**

Daniel Julij 279, 337  
 Danilewicz Zielińska Maria 342, 345, 346, 370, 371, 372, 426  
 Dante Alighieri 198  
 Dąbrowska Maria 324, 339, 349, 479  
 Dąbrowski Florian 426  
 Dejmek Kazimierz 83, 226  
 Dłuski Ostap 135  
 Dmowski Roman 483  
 Dołęga-Mostowicz Tadeusz 317  
 Dorosz Beata 328  
 Drzewiecki Zbigniew 68, 69, 226  
 Dürrenmatt Friedrich 330  
 Dybciak Krzysztof 18, 169, 503  
 Dygat Stanisław 337

**E**

Eban Abba 272  
 Eliade Mircea 14  
 Eliot Thomas S. 349  
 Elster Antoni 485  
 Éluard Paul 135  
 Erhardt Ludwik 84  
 Esslin Martin 363  
 Eurypides 355

**F**

Faulkner William 331  
 Fijałkowska Barbara 76  
 Fik Marta 9, 32, 66, 461  
 Fitelberg Jerzy 88  
 Fiut Aleksander 19, 25, 106, 114  
 Florczak Zbigniew 482  
 Flukowski Stefan 413



- Frajlich Anna 107, 376, 377  
Franaszek Andrzej 111, 114, 117  
Friedman Georges 330  
Friszke Andrzej 13, 32  
Fryling Jan 342
- G**
- Gabryel Piotr 53, 138, 451  
Gackowski Tomasz 480  
Gajda Stanisław 19  
Gałczyński Konstanty I. 455  
Garcia Lorca Federico 290  
Gawlikowski Lechosław 243, 287, 288,  
345, 347, 348  
Gąsiorowska Małgorzata 56  
Giedroyc Jerzy 10, 82, 88, 95, 99, 106,  
107, 108, 109, 110, 112, 113, 114,  
117, 118, 128, 138, 139, 142, 174,  
178, 184, 185, 187, 191, 217, 224,  
237, 284, 291, 292, 293, 294, 298,  
299, 300, 307, 308, 319, 321, 324,  
325, 326, 327, 328, 329, 331, 333,  
334, 336, 339, 424, 437, 451, 452,  
459, 460, 472, 473, 476, 477, 478,  
479, 482, 483, 484, 485, 486,  
487, 490, 491, 492, 506  
Gierek Edward 251, 492  
Giraudoux Jean 355  
Głowiński Michał 146, 246, 247, 248,  
268, 270, 271, 272, 273, 274, 275,  
278, 280, 288, 387  
Goebbels Joseph P. 60  
Gogol Nikołaj 355  
Gołębiowski Bronisław 387  
Gołubiew Antoni 209, 457  
Gombrowicz Rita 311  
Gombrowicz Witold 23, 24, 37, 106,  
147, 164, 165, 170, 171, 172, 174,  
178, 185, 186, 187, 188, 189, 190,  
194, 195, 197, 198, 199, 200, 201,  
202, 203, 289, 290, 291, 292,  
293, 294, 295, 296, 297, 298,  
299, 300, 301, 302, 303, 304,  
305, 306, 307, 308, 310, 311, 312,  
313, 314, 315, 316, 317, 318, 327,  
329, 486  
Gomułka Władysław 215, 261, 262,  
264, 265, 283, 305, 335, 410,  
420  
Gosk Hanna 10, 32, 103  
Grabowska Alina 234, 240, 280  
Graczyk Roman 480  
Grajewski Wincenty 19  
Grębecka Zuzanna 10, 114, 339  
Grydzewski Mieczysław 10, 217, 324,  
502  
Grynberg Henryk 100, 337
- H**
- Habielski Rafał 243, 426, 429, 460,  
482, 487  
Halecki Oskar 328  
Hartwig Julia 29  
Hazlitt Henry 332  
Helman Zofia 74, 75, 90, 93, 94  
Helczyński Bronisław 257, 263  
Hemar Marian 349, 351  
Hemingway Ernest 331  
Herbert Zbigniew 209  
Herling-Grudziński Gustaw 66, 79,  
82, 93, 108, 129, 143, 163, 193,  
207, 217, 218, 219, 220, 221, 240,  
244, 245, 247, 252, 329, 337, 346,  
367, 378, 380, 424, 425, 433

Hertz Paweł 221, 285  
 Hertz Zofia 114, 280, 281  
 Hertz Zygmunt 114  
 Hirszowicz Maria 206  
 Hłasko Marek 31, 32, 100, 338  
 Hofman Iwona 426  
 Holzer Jerzy 280  
 Horodyński Dominik 403  
 Hostowiec Paweł zob. Stempowski Jerzy

**I**

Ionesco Eugène 357  
 Irzykowski Karol 428, 456, 495  
 Iwaniuk Waław 347  
 Iwaszkiewicz Jarosław 75, 87, 210, 211, 220, 225, 289, 412

**J**

Jabłonowski Marek 260, 426, 467  
 Jan Paweł II 368, 370, 371, 372  
 Janta-Pończyński Aleksander 165, 347  
 Jarociński Stefan 493  
 Jarosiński Zbigniew 146  
 Jaruzelski Wojciech 500  
 Jasienica Paweł 225, 461  
 Jastrun Mieczysław 7, 29, 227, 248, 284, 449  
 Jaworski Stanisław 19  
 Jeffers Robinson 355  
 Jeleński Konstanty A. 128, 138, 187, 189, 221, 291, 293, 300, 313, 319, 333, 424, 487  
 Jeziorański Zdzisław zob. Nowak-Jeziorański Jan

Jędrzychowska Jagoda (właśc. Kijowska Kazimiera) 29, 46, 77, 86, 90, 102, 120, 285, 287, 502, 503  
 Johnson A. Ross 243  
 Joyce James 180

**K**

Kaczyński Tadeusz 72  
 Kant Immanuel 25  
 Karpiński Światopełk 23, 177, 317  
 Karpiński Wojciech 337, 426  
 Karpiński Ziemowit 349  
 Karst Roman 220  
 Kartezjusz 25  
 Karwowska Bożena 10  
 Kasprowicz Jan 349  
 Kassern Tadeusz Z. 76, 121, 130  
 Katz-Hewetson Janina 426  
 Kądziała Paweł 29, 364  
 Kąkole 465  
 Kerski Basil 103  
 Kielanowski Leopold 257, 325, 351, 263, 370, 380  
 Kiepura Jan 345  
 Kierczyńska Melania 450  
 Kierkegaard Søren A. 46  
 Kijowska Kazimiera zob. Jędrzychowska Jagoda  
 Kijowski Andrzej 29, 225, 227, 248, 285  
 Kirchner Hanna 24  
 Kirschke Tadeusz, ks. 431  
 Kisiel Lidia 283  
 Kisielewski Stefan 21, 29, 37, 39, 43, 52, 82, 83, 85, 94, 95, 97, 103, 138, 209, 218, 226, 227, 248,

- 253, 254, 255, 258, 280, 281, Krenz Jan 69, 90  
 282, 283, 285, 390, 403, 423, Kroński Tadeusz 106  
 424, 425, 427, 428, 429, 431, Kruczkowski Leon 411  
 432, 434, 435, 436, 437, 438, Kryszak Janusz 18, 107, 347  
 439, 440, 441, 442, 443, 445, Kuncewiczowa Maria 349, 475  
 447, 448, 450, 451, 452, 453, Kurezab Jan 414  
 454, 455, 456, 457, 458, 459, Kurkowska Halina 146  
 460, 461, 463, 464, 466, 467, Kuroń Jacek 272  
 468, 470, 471, 472, 473, 474, 475, Kwiatkowski Bogdan 25  
 476, 477, 478, 479, 480, 481, 482, Kwiatkowski Jerzy 413  
 483, 484, 486, 487, 488, 490,  
 491, 492, 493, 494, 495, 496,  
 497, 498, 499, 500, 502, 503,  
 505, 506, 507
- Klementowski Robert 412  
 Klibański Ignacy 277, 383  
 Kochanowski Jan 466  
 Koestler Arthur 32, 463  
 Kolbe Maksymilian 371  
 Kołakowski Leszek 222  
 Kondracki Michał 130  
 Konopczyński Władysław 252, 253  
 Konwicki Tadeusz 220  
 Kornat Marek 99, 100, 103, 115, 485  
 Kossak Zofia 380  
 Kossowska Stefania 349, 354, 360  
 Kott Jan 221, 222, 285, 448, 449  
 Kowalczyk Andrzej S. 10, 103, 114,  
 142, 185, 339  
 Kowalik Jan 203  
 Kowalska Anna 7, 29, 248, 285  
 Kowalski Artur 465  
 Koźmiński Leszek M. 347  
 Koźniewski Kazimierz 31, 412  
 Krajewski Andrzej 206, 411  
 Krasiński Zygmunt 452  
 Krawczyk Jacek 128, 142, 459
- Labuda Aleksander 19  
 Laskowski Janusz 148  
 Lasota Grzegorz 411  
 Lechoń Jan 217, 293, 328, 341, 342,  
 345, 346, 347, 348, 349, 350,  
 352, 364, 502  
 Lehman Leon 357  
 Lejeune Philippe 19  
 Lem Stanisław 410  
 Libera Paweł 323  
 Lichniak Zygmunt 160  
 Ligarski Sebastian 412  
 Ligęza Wojciech 11, 19, 104, 343, 347  
 Linek Piotr 426  
 Lipiński Edward 280  
 Lippman Walter 470  
 Lipski Jan J. 280  
 Lisiecka Alicja 206  
 Lissa Zofia 59, 131, 493  
 Lubas-Bartoszyńska Regina 19  
 Ludorowska Halina 426  
 Ludorowski Lech 426  
 Luter Martin 469  
 Lutosławski Witold 74, 138, 226

**Ł**

Łabuński Feliks 74, 130  
 Łapiński Zdzisław 113, 146  
 Łatyński Marek 234, 238, 267, 281  
 Łobodowski Józef 198  
 Łubieński Konstanty 139  
 Łukasiewicz Jacek 412

**M**

Mach Wilhelm 289  
 Machcewicz Paweł 13, 225, 238, 243,  
 260  
 Machejek Władysław 225, 410  
 Maciejewski Roman 130  
 Mackiewicz Józef 235, 265, 351, 471  
 Mackiewicz-Cat Stanisław 215  
 Madajczyk Czesław 206  
 Majakowski Włodzimierz 156, 220  
 Majewska Włada 257, 263  
 Malawski Artur 74  
 Malewska Hanna 209  
 Mallarmé Stéphane 363  
 Malraux André 32  
 Małachowski Aleksander 496  
 Małcużyński Karol 255  
 Małcużyński Witold 71  
 Mann Tomasz 117  
 Marek Krystyna 260, 325  
 Maritain Jacques 398  
 Markiewicz Henryk 450  
 Markowska Elżbieta 90  
 Markowski Michał P. 19  
 Marusyn Mirosław 337  
 Marynowski Zdzisław 160, 163, 193  
 Masłoń Krzysztof 106

Matejko Jan 442  
 Matuszewski Ryszard 221, 289  
 Maurer Jadwiga 368  
 Mazur Mariusz 248  
 McCarthy Joseph R. 104  
 McNeice Louis 349  
 Menewel Andrzej 10, 114, 339  
 Meyer Leszek 383  
 Męclewscy 465  
 Mianowicz Tomasz 235  
 Micewski Andrzej 280  
 Michałowski 109, 110, 111, 234, 266,  
 277, 280, 286, 287, 301  
 Michniewicz Jacek 79  
 Michnik Adam 280, 425  
 Miciński Bolesław 23, 25, 26, 27, 38,  
 177  
 Mickiewicz Adam 97, 198, 252, 253  
 Mieczkowska Jadwiga (właśc. Aleksandra Stypułkowska) 260,  
 277, 383, 431  
 Mieczysławska Aniela 451  
 Mieroszewski Juliusz 128, 138, 139,  
 170, 178, 217, 424, 431, 434, 459,  
 460, 482, 484, 485, 487  
 Miller Arthur 357  
 Miłoś Czesław 7, 10, 23, 24, 36, 44,  
 51, 88, 89, 99, 100, 101, 102, 103,  
 105, 106, 107, 108, 109, 110, 111,  
 112, 113, 114, 115, 116, 117, 118,  
 120, 124, 127, 128, 135, 138, 139,  
 142, 143, 144, 161, 165, 170, 171,  
 172, 174, 176, 177, 179, 181, 183,  
 184, 185, 186, 187, 190, 195, 199,  
 200, 203, 205, 206, 208, 210,  
 250, 284, 294, 300, 327, 404,  
 424, 426, 427, 435, 436, 451, 454,  
 463, 484, 485, 488, 500, 502

- Mitzner Zbigniew 482  
 Mizerkiewicz Tomasz 147, 159  
 Moczko Rafał 347  
 Moczar Mieczysław 225, 283  
 Modzelewski Karol 272  
 Molier 355  
 Moniuszko Stanisław 57  
 Morawski Kajetan 117, 337  
 Morawski Maciej 221, 472  
 Murrow Edward R. 104  
 Mycielski Zygmunt 29, 82, 83, 119,  
 120, 226, 277, 228, 494
- N**
- Naglerowa Herminia 198, 199  
 Nagórski Zygmunt 88  
 Nagy László K. 448  
 Najder Zdzisław (pseud. Socjusz) 234,  
 267, 287, 426  
 Nałęcz Daria 243  
 Nałkowska Zofia 317  
 Newcourt-Nowodworski Stanisław 148  
 Newman John H. 46  
 Niemcewicz Julian U. 97  
 Nieuważny Florian 156  
 Norwid Cyprian K. 97, 337, 349, 350  
 Nowaczyński Adolf 371  
 Nowak Andrzej 426  
 Nowak Jan (Zdzisław Jeziorański) zob.  
 Nowak-Jeziorański Jan  
 Nowak-Jeziorański Jan 89, 107, 109,  
 111, 119, 122, 142, 209, 217, 220,  
 221, 222, 224, 225, 226, 233,  
 235, 236, 240, 244, 249, 261,  
 265, 272, 280, 283, 286, 288,  
 289, 290, 294, 296, 298, 299,  
 300, 301, 302, 303, 306, 307,  
 308, 309, 310, 311, 312, 313, 314,  
 315, 317, 319, 325, 326, 327, 329,  
 331, 332, 333, 336, 337, 345,  
 347, 350, 351, 429, 430, 431, 432,  
 434, 435, 436, 442, 452, 476, 479,  
 484, 485, 486, 487  
 Nowakowski Tadeusz 37, 79, 129, 207,  
 211, 212, 216, 217, 224, 225, 226,  
 229, 230, 247, 251, 252, 264,  
 266, 277, 284, 309, 317, 331, 365,  
 366, 367, 368, 369, 370, 371, 372,  
 373, 374, 375, 376, 378, 379, 380,  
 383, 384  
 Nowakowski Zygmunt 380  
 Nowosad Witold 334  
 Nycz Ryszard 19
- O**
- Oberc Anna 56  
 Oberon (właśc. Auberon Herbert) 139  
 Ochlewski Tadeusz 53, 68, 74, 75, 84,  
 226  
 Odojewski Włodzimierz 242, 337, 381  
 Olejniczak Józef 387  
 Olsztyński Tadeusz zob. Nowakowski  
 Tadeusz  
 Opalski Józef 93  
 Orłowska Paulina 458  
 Orwell George 32, 104, 463  
 Otwinowski Stefan 413, 414
- P**
- Palester Barbara 67, 75, 86, 102, 244  
 Palester Roman 21, 36, 39, 41, 43, 44,  
 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53,  
 54, 56, 58, 59, 60, 62, 64, 65, 66,  
 71, 72, 74, 76, 77, 79, 80, 81, 82,  
 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92,

- 94, 97, 99, 100, 101, 102, 103, 109, 111, 112, 118, 120, 121, 123, 124, 126, 127, 128, 129, 132, 134, 135, 137, 139, 141, 143, 144, 165, 186, 206, 207, 208, 209, 210, 211, 212, 213, 217, 226, 227, 242, 244, 247, 249, 250, 252, 268, 292, 294, 295, 296, 301, 329, 330, 331, 332, 334, 335, 336, 337, 338, 339, 367, 431, 432, 433, 454, 493, 501, 502, 505
- Panufnik Andrzej 36, 71, 81, 87, 89, 94, 99, 100, 103, 112, 121, 128, 129, 130, 132, 133, 134, 135, 137, 138, 139, 141, 142, 143, 144, 186, 206, 210, 452, 453
- Panufnik Scarlett 142
- Paprocki Stanisław 175
- Parandowski Jan 209
- Parnicki Teodor 299, 300, 332
- Pasternak Borys 228
- Pasterski Janusz 10
- Pawlikowski Michał 351
- Penderecki Krzysztof 93
- Piasecki Bolesław 484
- Piasecki Stanisław 177, 317
- Picasso Pablo 135, 210
- Piechota Magdalena 146
- Piechowicz Stanisław 53
- Piłsudski Józef 265, 317, 423
- Pinter Harold 357
- Piotrowski Marian 295
- Platon 61
- Platt Dobrosława 237, 336, 452
- Płachecki Marian 10
- Podkowińscy 465
- Polewka Adam 413
- Pollak Seweryn 156, 220
- Polony Leszek 94
- Pomian Krzysztof 128, 459, 472
- Poniatowski Stanisław A. 351
- Prokop Jan 206
- Prokop-Janiec Eugenia 10
- Prorok Leszek 29
- Proust Marcel 180, 494
- Pruszyńska Joanna 426
- Przyboś Julian 221
- Przybylski Ryszard 337
- Przybyszewski Stanisław 349
- Przyłuski Bronisław 349, 376
- Ptaczek Józef 277
- Putrament Jerzy 207, 215, 225, 278, 279, 413, 450
- Pyszny Joanna 113, 206
- Pytasz Marek 11

## R

- Radulska Janina 163, 193
- Radulski Waclaw 380
- Radziwon Marek 210
- Rajca Bruno 94
- Rakowski Mieczysław 29, 461
- Rapacki Adam 215, 464
- Raphael Bill 88
- Rawicz Jerzy 341, 364
- Regamey Konstanty 128
- Rodak Paweł 387
- Rogalewska Ewa 15, 126, 224, 266, 328
- Rokicki Konrad 206, 412
- Romanowiczowa Zofia 114, 349
- Rousset David 346
- Rudziński Witold 68

- Rusinek Michał 221  
Rutkowski Bronisław 53  
Ryszkiewicz Mirosław 447
- S**
- Sadowski Jeremi 243  
Sadzewicz Marek 332  
Sakowski Juliusz 257, 263, 264, 265,  
266, 284, 349, 365, 368, 381  
Sambor Michał (właśc. Chmielowiec  
Michał) 178, 201, 202  
Samozwaniec Magdalena 412  
Sandauer Artur 156, 221, 281, 305, 429  
Sartre Jean-Paul 135, 331, 357  
Satanowski Robert 80  
Savinio Alberto 364  
Schaffer Bogusław 69  
Schiller Leon 87  
Schopenhauer Arthur 231  
Semelin Jaques 239  
Siedlecka Joanna 311  
Sienkiewicz Henryk 151  
Silone Ignazio 117  
Siniawski Andrzej 279, 337  
Sirecka-Wołodko Magdalena 259  
Sitwell Edith 349  
Skarga Barbara 19, 20  
Skoczylas Jerzy 426  
Skoneczny Stanisław 414  
Skrowaczewski Stanisław 69  
Slaski Janusz 379  
Słonimski Antoni 182, 183, 200, 221,  
495  
Słowacki Juliusz 253  
Sokorski Włodzimierz 75, 103, 131,  
207, 211, 212, 450  
Solżenicyn Aleksander 97, 143, 497  
Sowiński Kazimierz 163, 193  
Stabro Stanisław 167  
Stalin Józef 59, 129, 159, 209, 218,  
222, 230, 493  
Staliński Tomasz zob. Kisielewski  
Stefan  
Starowiejska-Morstinowa Zofia 426  
Starzewski Jan 117  
Stempowski Jerzy 37, 138, 142, 217,  
299, 300, 321, 322, 323, 324,  
325, 326, 327, 328, 329, 330,  
331, 332, 333, 334, 335, 336,  
337, 338, 339, 340, 342, 482,  
483, 484  
Stępką Stanisław 260  
Stępnik Krzysztof 146  
Stomma Stanisław 430  
Straszewicz Czesław 9, 21, 23, 24, 25,  
26, 27, 35, 36, 38, 39, 79, 110,  
129, 145, 147, 148, 149, 150, 151,  
152, 153, 155, 156, 160, 161, 163,  
164, 170, 171, 172, 173, 174, 175,  
176, 177, 178, 179, 181, 184, 185,  
186, 187, 188, 190, 191, 193, 194,  
196, 197, 199, 200, 203, 207, 213,  
214, 215, 217, 225, 244, 247, 252,  
254, 258, 261, 270, 291, 295, 298,  
299, 304, 305, 316, 367, 486  
Strykowski Julian 220  
Strzetelski Stanisław 294, 295, 296,  
308  
Suchanow Klementyna 194  
Sudziński Ryszard 13  
Sulikowski Andrzej 387  
Supruniuk Mirosław A. 101, 103, 106,  
107, 114  
Szałagan Alicja 368

- Szałowski Antoni 121, 130  
 Szaniawski Klemens 93  
 Szaruga Leszek 10, 114, 146, 339, 426  
 Szczepański Jan J. 7, 29, 31, 37, 39, 209, 385, 386, 387, 388, 389, 390, 391, 393, 394, 396, 398, 399, 401, 402, 405, 406, 407, 408, 409, 410, 412, 414, 415, 417, 418, 420, 422, 428, 487  
 Szczęsna Joanna 206, 411  
 Szekspir William 182, 349, 355  
 Szmaglewska Seweryna 221  
 Szostakowicz Dymitr 134  
 Szpakowska Małgorzata 339  
 Sztompka Henryk 68  
 Szulczewski Cezary 431  
 Szwalbe Andrzej 80  
 Szymanowski Karol 66  
 Szymborska Wisława 104  
 Szyszka Michał 426, 428, 451  
 Szyszko-Bohusz Jerzy 431
- Ś**
- Światło Józef 165  
 Święch Jerzy 10, 12, 17, 167
- T**
- Talleyrand-Périgord Charles-Maurice de 465, 466, 469  
 Tatarowski Konrad W. 126, 224, 233, 239, 260, 261, 266, 306, 325, 337, 370, 380, 384, 458, 473, 500, 507  
 Taylor-Terlecka Nina 10, 12, 291, 292, 293, 328  
 Terlecki Tymon 10, 12, 15, 16, 65, 67, 71, 79, 129, 137, 171, 207, 217, 223, 245, 257, 263, 291, 322, 326, 327, 334, 336, 338, 353, 354, 367, 377  
 Thom Françoise 146  
 Timoszewicz Jerzy 333, 336, 337, 338  
 Tołstoj Lew 355  
 Tomasik Wojciech 146, 450  
 Tomasz z Akwinu 25  
 Tomaszewski Adam 368  
 Tomkowski Jan 458  
 Trojanowski Wojciech 317, 372  
 Tronowicz Henryk 426  
 Trościanko Wiktor 226, 244, 247, 252, 317, 431  
 Trznadel Jacek 206  
 Turowicz Jerzy 93, 427, 470  
 Tuwim Julian 159  
 Tyczyński Henryk 379  
 Tymon Ateńczyk zob. Terlecki Tymon  
 Tyrmand Leopold 29, 30, 31, 100, 209, 221, 222, 224, 225, 248, 266, 279, 390, 426, 437, 438, 439, 440, 441, 454, 479, 499, 507
- U**
- Ulicka Danuta 19  
 Umińska Eugenia 68  
 Unger Leopold 225, 226  
 Urbanek Mariusz 53, 138, 426, 451
- V**
- Vincenz Stanisław 178  
 Voisine-Jechova Hana 14, 15, 17



**W**

Wagner-Pieńkowski Karol 306, 307,  
308, 314

Wal Anna 10

Walaciński Adam 94

Waldorff Jerzy 426, 494, 495

Walicki Andrzej 206, 332, 412

Wandycz Piotr 128, 459

Wańkowicz Melchior 138, 139, 142,  
217

Wardzyński Rafał 428, 436, 462, 464,  
480

Wat Aleksander 97, 218, 230, 337

Wawrzyniak Wiesław (właśc. Wiesław  
Wróblewski) 286, 287

Wążyk Adam 218, 221, 260, 285, 408

Weintraub Wiktor 325, 342

Wejs-Milewska Violetta 15, 23, 87, 95,  
126, 129, 164, 171, 224, 261, 266,  
305, 328

Werner Andrzej 206, 412

Wiatr Adam 426

Wiechowicz Stanisław 74

Wierczyński Lech 277, 383

Wierzbiański Kazimierz 277

Wierzbicki Piotr 94, 206, 248, 270,  
274

Wierzyński Grzegorz 235

Wierzyński Kazimierz 59, 86, 341,  
346, 347, 349, 350, 352, 354,  
364

Wiesław zob. Gomułka Władysław

Wilder Thornton 331

Wilhelmi Janusz 216

Winczakiewicz Jan 349

Wirpsza Witold 337

Wirski Juliusz 413

Wiszniewska Monika 426

Witek-Swinarska Barbara 311

Wittlin Józef 12, 15, 37, 88, 107, 341,  
342, 343, 344, 345, 346, 347,  
348, 349, 350, 351, 352, 353,  
354, 355, 356, 357, 358, 359,  
360, 361, 363, 364

Wittlin Tadeusz 342, 346

Wittlin-Lipton Elżbieta 342, 343

Wodiczko Bohdan 69

Wolny-Zmorzyński Kazimierz 447

Wolek Tomasz 53, 138, 451

Woroszyński Wiktor 82, 220, 222, 230,  
260, 335, 429

Woźniakowski Krzysztof 206, 280,  
411

Wójcik Tomasz 25

Wygodzki Stanisław 332

Wyka Kazimierz 28, 289

Wyka Marta 28

Wyrwa Tadeusz 59, 86, 87, 89

Wyskiel Wojciech 10

**Z**

Zadenska Maria 18

Zagórski Jerzy 83, 413

Zahorska Stefania 326

Zając Paweł 17

Zaleski Marek 114

Zaluski Zbigniew 496

Zamorski Kazimierz 175, 235

Zaremba Paweł 79, 277, 383

Zaremba Zygmunt 475

Zasio Evelyn M. 119

Zawada Andrzej 412

- Zawadzki Tadeusz zob. Zawadzki-Żen-  
czykowski Tadeusz 426
- Zawadzki-Żenczykowski Tadeusz 351, 431
- Zawieyski Jerzy 429
- Zawodniak Mariusz 450
- Zbyszewski Wacław 317, 322, 338, 370
- Zieliński Jan 184
- Ziółkowska-Boehm Aleksandra 142
- Zubrzycki Jerzy 170
- Ż**
- Żdanow Andrzej 56, 59
- Żeromski Stefan 265, 337, 349
- Żółkiewski Stefan 24, 449
- Żukrowski Wojciech 221
- Żuławski Juliusz 221
- Żytomirski Eugeniusz 279